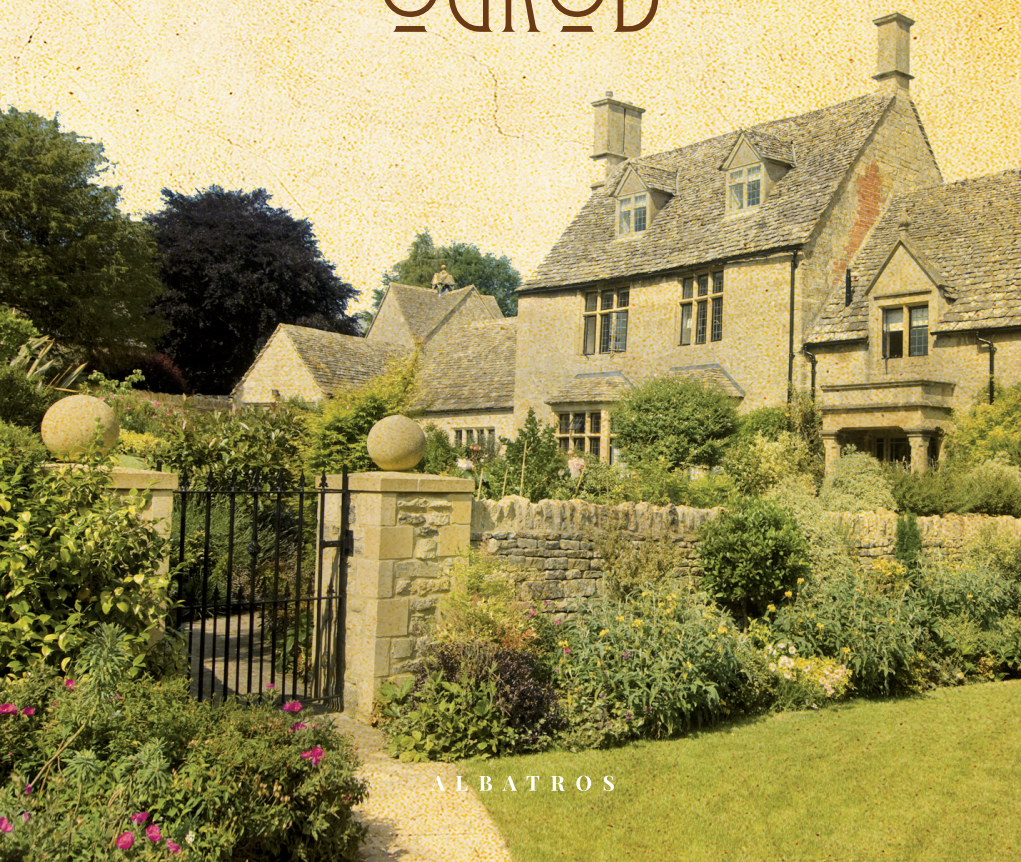




KATE
MORTON

ZAPOMNIANY
OGRÓD



ALBATROS

Zagubione dziecko...

W przeddzień pierwszej wojny światowej na statku płynącym do Australii znaleziono porzuconą dziewczynkę. Tajemnicza kobieta, zwana Autorką, obiecała się nią opiekować – a potem przepadła bez śladu.

Strasliwy sekret...

W noc dwudziestych pierwszych urodzin Nell O'Connor poznaje sekret, który na zawsze zmieni jej życie. Kilkadziesiąt lat później Nell wsiada na pokład statku płynącego do Anglii, aby wreszcie poznać prawdę o sobie. Droga wiedzie ją na smagane wiatrem wybrzeża Kornwalii, do tajemniczej posiadłości Blackhurst, należącej do arystokratycznego rodu Mountrachet.

Tajemnicze dziedzictwo...

Po śmierci Nell jej wnuczka, Cassandra, otrzymuje niespodziewany spadek. Dom zwany Cliff Cottage i otaczający go ogród kryją w sobie tajemnice związane z Mountrachetami i zaginioną autorką mrocznych wiktoriańskich baśni. To tam Cassandra odkryje prawdę o swojej rodzinie i rozwikła stuletnią tajemnicę zaginionej dziewczynki.

KATE
MORTON

ZAPOMNIANY
OGRÓD

Z angielskiego przełożyła
Anna Dobrzańska

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

KATE MORTON

Pisarka, która zyskała międzynarodową sławę dzięki powieściom *Dom w Riverton*, *Zapomniany ogród*, *Milczący zamek* i *Dom nad Jeziorem*.

Kate Morton jest najstarszą z trzech sióstr. Pochodzi z południowej Australii, po wielu przeprowadzkach jej rodzina osiadła w Tamborine Mountain. Od dzieciństwa lubiła czytać, szczególnie książki autorstwa Enid Blyton. Studiowała w Londynie w Trinity College. Ukończyła z wyróżnieniem University of Queensland, uzyskując dyplom z literatury angielskiej. Kate Morton jest matką trzech synów.

Jej powieści zostały wydane w 42 krajach i sprzedane w ponad 3 milionach egzemplarzy. Szczególną popularnością cieszą się w jej rodzimej Australii, USA, Włoszech, Wielkiej Brytanii oraz w Niemczech.

katemorton.com

Tej autorki

DOM W RIVERTON
ZAPOMNIANY OGRÓD
MILCZĄCY ZAMEK
STRAŻNIK TAJEMNIC
DOM NAD JEZIOREM
CÓRKA ZEGARMISTRZA

Tytuł oryginału:
THE FORGOTTEN GARDEN

Copyright © Kate Morton 2008
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2009

Redakcja: Beata Słama

Ilustracje na okładce: Paul Matthew Photography/Shutterstock, kostins/
Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-624-7

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakkolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...

...

DLA OLIVERA I LOUISA

*Cenniejszych niż wszystkie złote nici
w Krainie Baśni*

Należące do dworu
budynki gospodarcze

Stajnie



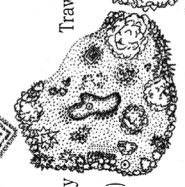
Szklarnia



Ogród
warzywny



Ogród
antypodyczny

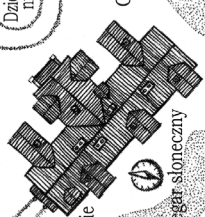


Sharpstone (5 mil)

Trawnik w kształcie
nerki

Dzielnia
niec

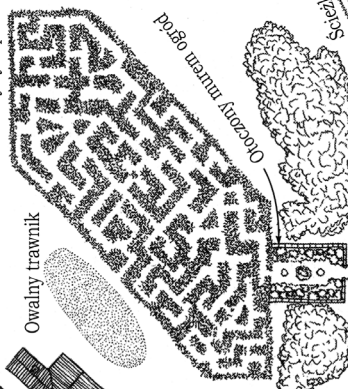
Dwór
Blackhurst



Majątek Blackhurst

Ciemisty żywopłot

Owalny trawnik



Zatoka
Blackhurst

Altana
Lasy

Zegar słoneczny

położenie szczytu

Muzeum
Rybołówstwa
i Przemysłownictwa

Słup
wielobran-
zowy
w Tregenna

Chatka
Pilchard

Tregenna

Polperro (20 mil)

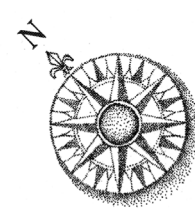
Port w Tregenna

Szkieł na kłifie

Punkt obserwacyjny

Chatka
na kłifie

Czarna
skała



Majątek Blackhurst 1913

Ale dlaczego muszę przynieść trzy kosmyki z włosów Królowej Wrózek? – zapytał wiedźmę młody książę. – Dlaczego nie dwa albo cztery?

Starucha pochyliła się, nie przestając prząść.

– Nie ma innej liczby, moje dziecko. Trzy to liczba symbolizująca czas, bo czyż nie mówimy o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości? To także liczba oznaczająca rodzinę: matkę, ojca i dziecko. Trzy to również liczba duszków, bo czyż nie szukamy ich pośród dębów, jesionów i głogu?

Młody książę pokiwał głową, wiedział bowiem, że wiedźma mówi prawdę.

– W takim razie, aby zapleść magiczny warkocz, muszę mieć trzy kosmyki włosów.

Eliza Makepeace *Magiczny warkocz*

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Londyn, 1913

Miejsce, w którym kuciała, było ciemne, jednak mała dziewczynka robiła, co jej kazano. Kobieta powiedziała, żeby czekała, że wciąż jeszcze nie są bezpieczne i że muszą siedzieć cicho jak myszy pod miotłą. Dziewczynka wiedziała, że to gra, zupełnie jak zabawa w chowanego.

Nasłuchiwała skulona za drewnianymi beczkami. Malowała w głowie obrazy, tak jak nauczył ją tata. Słyszała dalekie i bliskie pokrzykiwania mężczyzn, prawdopodobnie marynarzy. Były to szorstkie, donośne głosy, pełne morza i soli. Gdzieś w oddali słychać było wyjące syreny statków, świst blaszanych gwizdków, plusk wiosła, a wysoko w górze krakanie szarych mew, których rozpostarte skrzydła chwyciły promienie dojrzewającego dnia.

Pani wróci, tak jak obiecała, jednak dziewczynka miała nadzieję, że nastąpi to szybko. Czekala już długo, tak długo, że słońce zdążyło przemknąć po niebie i ogrzewało jej kolana przez materiał nowej sukienki. Nasłuchiwała nadejścia pani, szelestu jej sukni na drewnianym pokładzie. Stukania obcasów, które w przeciwieństwie do obcasów mamy zawsze gnały w pośpiechu. Dziewczynka zastanawiała się w niejasny, beztroski sposób, tak charakterystyczny dla kochanych dzieci, gdzie jest teraz jej mama. Kiedy przyjdzie. Myślała też o pani. Wiedziała, kim jest, słyszała, jak babcia o niej mówiła. Nazywano ją Autorką. Mieszkała za labiryntem, w maleńkiej chatce na drugim końcu majątku. Dziewczynka nie powinna o tym wiedzieć. Nie pozwalano jej się bawić w ciernistym gąszczu. Mama i babcia mówiły,

że zbliżanie się do klifu jest niebezpieczne. Ale czasami, kiedy nikt nie patrzył, dziewczynka lubiła robić zakazane rzeczy.

W przeświecającym pomiędzy dwoma beczkami srebrzystym świetle słońca tańczyły pyłki kurzu. Dziewczynka uśmiechnęła się i pani, klif, labirynt, a nawet mama, zniknęli z jej myśli. Wyciągnęła palec, próbując pochwycić wirującą drobinę i roześmiała się, gdy pyłek niespodziewanie umknął przed jej dotykiem.

Dźwięki, które dochodziły spoza kryjówki, zaczęły się zmieniać. Dziewczynka usłyszała nagle poruszenie, zgiełk i podekscytowane głosy. Po chwili zbliżyła twarz do smugi światła i poczuła na policzku chłodny dotyk drewna. Jednym okiem zerknęła na pokład.

Nogi, buty i rąbki halek. Ogony wyciętych z papieru, łopoczących na wietrze kolorowych wstęg i przebiegłe mewy krążące nad pokładem w poszukiwaniu okruchów.

Gwałtowne szarpnięcie i z trzewi ogromnego statku dobiegł przeciągły, niski jęk. Deski pokładu zadrżały i dziewczynka poczuła pod palcami delikatne wibracje.

Po chwili nastała cisza. Dziewczynka wstrzymała oddech, wsparła się na dłoniach, czując, jak rozkołysany kolos odpycha się od doku. Zagrzmiały syreny, a tuż po nich rozbrzmiały okrzyki radości i życzenia dobrej podróży. Byli w drodze. Do Ameryki, do miejsca zwanego Nowy Jork, gdzie urodził się tata. Już od jakiegoś czasu słyszała, jak szeptali między sobą i jak mama mówiła ojcu, że powinni wyjechać tak szybko, jak to możliwe, że nie mogą już czekać.

Dziewczynka się roześmiała. Statek ślizgał się po wodzie niczym ogromny wieloryb, jak Moby Dick w opowieści, którą tak często czytał jej ojciec. Mama nie lubiła, kiedy czytał jej takie historie. Mówiła, że są przerażające i podsuwają jej niedorzeczne pomysły. Kiedy to mówiła, ojciec całował mamę w czoło, przyznawał, że ma rację, i obiecywał, że w przyszłości będzie bardziej ostrożny. Jednak wciąż opowiadał dziewczynce historie o ogromnym wielorybie. A także inne – jej ulubione, z książki o bezokich wiedźmach, osieroczonych pannach i długich podróżach przez morza. Upewniał się tylko, że mama o niczym nie wie.

Dziewczynka rozumiała, że muszą mieć tajemnice przed mamą.

Mama nie czuła się dobrze, była chorowita, jeszcze zanim dziewczynka przyszła na świat. Odkąd sięgała pamięcią, babcia kazała jej być grzeczną, powtarzając, że jeśli mama się zdenerwuje, stanie się coś strasznego i będzie to jej wina. Dziewczynka kochała mamę i nie chciała sprawiać jej przykrości, nie chciała, by coś jej się stało, więc dochowywała tajemnic. Tak było w przypadku opowieści, zabaw w pobliżu labiryntu i wizyt, jakie ojciec składał Autorce mieszkającej na drugim końcu majątku.

– Aha! – krzyknął jej do ucha jakiś głos. – Znalazłem cię! – Beczka odsunęła się na bok, a oślepią słońcem dziewczynka zmrużyła oczy. Przez chwilę mrugała, czekając, aż właściciel głosu przesłoni słońce. Był to wysoki chłopak, ośmio- może dziewięcioletni. – Nie jesteś Sally – zauważył.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Kim jesteś?

Nie mogła nikomu zdradzić swego imienia. Była to kolejna gra, w którą grała razem z panią.

– No?

– To tajemnica.

Chłopiec zmarszczył piegowaty nos.

– Dlaczego?

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Tata zawsze powtarzał, że nie powinna rozmawiać na temat pani.

– Gdzie jest Sally? – Chłopiec robił się niecierpliwy. Spojrzał w prawo i w lewo. – Biegła tędy, jestem tego pewien.

Gdzieś w dole pokładu dał się słyszeć śmiech i tupot stóp. Twarz chłopca pojaśniała.

– Szybko! – krzyknął, zrywając się do biegu. – Zaraz uciekniesz!

Dziewczynka wychyliła głowę zza beczki i patrzyła, jak chłopiec lawiruje w tłumie, goniąc za rąbkiem białej halki.

Ach, jakże chciała pobiec za nim.

Ale pani kazała czekać.

Chłopiec zniknął z pola widzenia. Widziała jeszcze, jak uskokzył przed korpulentnym mężczyzną z woskowanym wąsem, który nachmurzył się w zabawny sposób.

Dziewczynka się roześmiała.

Może to wszystko jest częścią tej samej gry. Pani bardziej przypominała dziecko niż dorosłych, których dziewczynka poznała w swoim życiu. Może ona także bierze udział w zabawie.

Dziewczynka wyślizgnęła się zza beczki i ostrożnie dźwignęła się na nogi. W zdrętwiałej lewej stopie pojawiło się nieprzyjemne mrowienie. Przez chwilę czekała, aż odzyska czucie, spoglądając, jak chłopiec znika za rogiem.

Dopiero wtedy uradowana pobiegła za nim.

2

Brisbane, 1930

W końcu zdecydowali, że przyjęcie urodzinowe Nell odbędzie się w domu Foresterów na Latrobe Terrace. Hugh proponował nową salę taneczną, jednak Nell – naśladując swoją matkę – stwierdziła, że niemądrze byłoby narażać się na zbędne koszty, zwłaszcza w tak ciężkich czasach. Hugh przystał na to, jednak uparł się, że koronka do sukni powinna być sprowadzona aż z Sydney. Lil powiedziała mu o tym przed śmiercią. Pamiętał, jak pochyliła się nad gazetą, wzięła go za rękę i pokazała mu ogłoszenie wraz z adresem Pitt Street. Powiedziała, że mieli tam najlepsze koronki, wyjaśniła, jak wiele gest ten będzie znaczył dla Nellie i że jakkolwiek ekstrawagancka, koronka może zostać przerobiona na suknię ślubną. Później uśmiechnęła się do niego, jak wtedy, gdy miała szesnaście lat, a on był nią oczarowany.

Lil i Nell pracowały nad suknią przez kilka długich tygodni. Wieczorami, gdy Nell wracała do domu z kiosku i wypili już herbatę, młodsze dziewczynki leniwie sprzeczały się na werandach, a duszne powietrze aż wrzało od brzęczenia komarów, Nell wyciągała kosz z przyborami do szycia i siadała przy chorej matce. Czasami słyszał ich śmiech, kiedy z rozbawieniem rozmawiały o kłótni Maksa Fitzsimmonsa z kolejnym klientem, pani Blackwell i jej dolegliwościach albo błazeństwach bliźniaków Nancy Brown. Zatrzymywał się pod drzwiami, nabijał fajkę tytoniem i słuchał, jak Nell opowiada szepcąc o czymś, co powiedział Danny: o domu, który obiecał kupić tuż po ślubie, samochodzie, który miał na oku, a który – według ojca

– mógł kupić za grosze, albo najnowszym mikserze w domu towarowym McWhirtera.

Hugh lubił Danny'ego, nie mógł pragnąć dla Nell nikogo lepszego. Patrząc na nich, widział siebie i Lil z czasów młodości. Byli tacy szczęśliwi, mając przed sobą nieodkrytą, pełną tajemnic przyszłość. Ich małżeństwo również należało do udanych. Zanim dziewczynki przyszły na świat, mieli swoje wzloty i upadki, jednak potrafili stawić im czoło...

Nabiwszy fajkę, Hugh nie miał już pretekstu, by czaić się pod drzwiami. Siadał wówczas w ciemnym zakątku frontowej werandy, by cieszyć się spokojem lub tym, co po nim pozostało w domu pełnym rozwyrzonych dziewcząt, z których jedna była bardziej pobudliwa od drugiej. Tylko on i leżąca na parapecie packa na muchy, na wypadek, gdyby komary stały się zbyt natarczywe. W takich chwilach oddawał się rozmyślaniom o skrywanej od lat tajemnicy.

Czuł, że nadchodzi jego czas. Presja, przed którą tak zajadle się bronił, narastała z każdym dniem. Nell ma już prawie dwadzieścia jeden lat i jest dojrzałą kobietą, gotową, by wyjść za mąż i rozpocząć samodzielne życie. Ma prawo poznać prawdę.

Wiedział, co powiedziałyby na to Lil, dlatego o niczym jej nie mówił. Nie chciał jej denerwować, podobnie jak nie chciał, by poświęciła ostatnie dni swego życia, starając się wybić mu z głowy ten pomysł.

Czasami, myśląc o czekającym go wyznaniu, łapał się na tym, że żałuje, iż musi to powiedzieć akurat jej. Przeklinał się w duchu za to, że faworyzuje jedną z córek.

Jednak Nellie zawsze była wyjątkowa i tak niepodobna do innych. Pełna życia, obdarzona niezwykłą wyobraźnią. Była bardziej podobna do Lil, choć takie porównanie było przecież bez sensu.



Zawiesili wstążki wzdłuż krokwi – białe, by komponowały się z suknią, i czerwone, by pasowały do włosów Nell. W starej drewnianej sali nie było może tak czysto jak w nowszych ceglanych budynkach, jednak całokształt prezentował się okazale. Z tyłu, nieopodal sceny, cztery młodsze siostry Nell ustawiły stół, na którym rosła

sterta prezentów. Niektóre z kobiet udzielających się w kościele przygotowały kolację, podczas gdy Ethel Mortimer grała na pianinie romantyczne utwory z czasów wojny.

Początkowo młodzieńcy i dziewczęta stali zbici w gromadki pod ścianami, jednak w miarę jak najbardziej towarzyscy spośród gości nabierali pewności siebie, na parkiecie pojawiły się pierwsze pary. Młodsze siostry spoglądały na nie tęsknym wzrokiem, dopóki nie zawołano ich, by postawiły na stole tace z jedzeniem.

Kiedy nadeszła pora przemówień, policzki gości płonęły, a podeszwy butów były zdarte od tańca. Marcie McDonald, żona pastora, stuknęła w kieliszek i wszyscy spojrzeli na Hugh, który rozkładał wyjęty z kieszonki maleńki kawałek papieru. Odchrząknął i przecesał dłonią starannie ułożone włosy. Nigdy nie lubił publicznych przemówień. Był typem człowieka, który nie zadawał się z innymi, pozostawał wierny własnym przekonaniom i chętnie oddawał głos ludziom bardziej wygadany. Jednak nieczęsto zdarzało się, by córka osiągała pełnoletność, i to on jako ojciec musiał to ogłosić. Hugh zawsze był służbistą, który w życiu kierował się zasadami. Przynajmniej w większości przypadków.

Uśmiechnął się, kiedy jeden z kolegów krzyknął coś, po czym ukrył kartkę w dłoniach i wziął głęboki oddech. Jeden po drugim, odczytywał nabazgrane drobnymi czarnymi literami kolejne punkty: o tym, jak on i Lil byli dumni z Nell, jakim błogosławieństwem było jej przyjście na świat, jak bardzo lubią Danny'ego. Wspomniał też, jak szczęśliwa była Lil, gdy tuż przed śmiercią dowiedziała się o zaręczynach.

Wspomnienie niedawno zmarłej żony sprawiło, że Hugh zaczęły szczypać oczy, a on sam zamilkł. W ciszy spoglądał na twarze znajomych i córek, zatrzymując wzrok na Nell, która uśmiechnęła się, gdy Danny szepnął jej coś do ucha. Ponura twarz Hugh miała w sobie zapowiedź czegoś istotnego, jednak po chwili pojaśniała, a skrawek papieru zniknął w kieszeni.

– Nadszedł czas, aby do rodziny dołączył kolejny mężczyzna – oznajmił z uśmiechem.

Po skończonym przemówieniu w kuchni zaczął się ruch. Kobiety podawały gościom filiżanki herbaty, podczas gdy Hugh wałęsał

się po sali, lawirował wśród ludzi, pozwalał, by przyjacielsko klepali go po ramieniu, gratulowali przemowy, a nawet wetknęli mu do ręki spodek i filiżankę. Serce waliło mu jak młot i pocił się, choć wcale nie było mu gorąco.

Naturalnie wiedział, dlaczego tak się działo. Jego obowiązki tego wieczoru jeszcze się nie skończyły. Widząc, jak Nell wymyka się bocznymi drzwiami na niewielki podest, dostrzegł swoją szansę. Odchrząknął, odstawił filiżankę na stół z prezentami i uciekając od zgiełku, zanurzył się w chłodnym nocnym powietrzu.

Nell stała przy srebrnozielonym pniu samotnego eukaliptusa. Niegdyś, pomyślał Hugh, drzewa te porastały zbocza gór i parowów. To dopiero musiał być widok; prawdziwy las upiornych pni, nocą, kiedy księżyc był w pełni.

No proszę. Znowu coś odwleka. Nawet w tej chwili okazuje słabość i próbuje wymigać się od odpowiedzialności.

Para czarnych nietoperzy przecięła bezszelestnie nocne niebo, podczas gdy Hugh pokonał skrzypiące drewniane schody i wszedł na mokrą od rosy trawę.

Musiała usłyszeć, jak nadchodzi – być może wyczuła jego obecność – bo odwróciła się z uśmiechem.

Kiedy stanął obok, powiedziała, że myślała o mamie i o tym, z której gwiazdy teraz na nich spogląda.

Hugh mógł zapłakać, słysząc te słowa. Przekląć fakt, że właśnie w takiej chwili musi wspominać Lil. Uświadomić mu, że patrzyła wściekła za to, co zamierza uczynić. Niemal słyszał jej głos i wszystkie stare kłótnie...

Jednak to on miał podjąć decyzję i ją podjął. Koniec końców, to od niego wszystko się zaczęło. Jakkolwiek nieumyślnie, to właśnie on zdecydował się na krok, który pchnął ich na tę ścieżkę, i to on był odpowiedzialny za to, by wszystko naprawić. Tajemnice mają nadzwyczajny dar wychodzenia na jaw, tak więc lepiej, by dowiedziała się prawdy od niego.

Ujął dłonie Nell w swoje ręce i złożył na każdej z nich delikatny pocałunek. Chwilę później ścisnął je delikatnie, trzymając gładkie palce w swych twardych, spracowanych dłoniach.

Jego córka. Pierworodna.

Uśmiechnęła się do niego, tak promienna w zwiewnej, wykończonej koronką sukience.

Odpowiedział uśmiechem.

Następnie poprowadził ją, by usiadła obok niego na zwałonym zbiegałym pniu eukaliptusa, i pochylił się, by móc szeptać jej do ucha. Przekazać sekret, którego wraz z Lil strzegł przez siedemnaście lat. Czekał, aż zrozumie, aż coś w jej twarzy podpowie mu, iż pojęła, co do niej mówił. Patrzył, jak cały jej świat legł w gruzach, a ona sama zniknęła w jego odmętach.

3

Brisbane, 2005

Cassandra od kilku dni nie opuszczała szpitala, choć lekarz nie dawał nadziei na to, że jej babka odzyska świadomość. Według niego było to mało prawdopodobne. Nie w tym wieku i nie z taką ilością morfiny w organizmie.

Wieczorne pojawienie się pielęgniarki zwiastowało koniec dnia, jednak Cassandra nie była w stanie powiedzieć, która dokładnie jest godzina. Trudno to określić w miejscu, gdzie światła na korytarzach nigdy nie gasną, gdzie człowiek bez przerwy słyszy telewizję, choć nigdy nie widzi odbiornika i gdzie – niezależnie od pory dnia i nocy – po korytarzach kursują hałaśliwe wózki na kółkach. Najśmieszniejsze było to, że miejsce, które tak bardzo polegało na rutynie, funkcjonowało równie doskonale i bez niej.

Mimo to Cassandra czekała. Obserwując i pocieszając, gdy Nell tonęła w morzu wspomnień i od czasu do czasu wypływała na powierzchnię, by nabrać powietrza. Nie mogła znieść myśli, że babka wygra ze śmiercią i odzyska świadomość tylko po to, by odkryć, że została zupełnie sama.

Pielęgniarka zamieniła pustą kroplówkę na opasły pęcherz, przekręciła pokrętko za łóżkiem i zabrała się do poprawiania pościeli.

– Nic nie piła – powiedziała Cassandra głosem, który nawet jej samej wydał się obcy. – Przez cały dzień.

Zaskoczona pielęgniarka podniosła wzrok. Zerknęła znad okularów na krzesło, na którym siedziała Cassandra i leżący na jej kolanach niebiesko-zielony, szpitalny koc.

– Przestraszyła mnie pani – odrzekła. – Była tu pani przez cały dzień, prawda? Najlepiej, gdyby to się już skończyło.

Cassandra zignorowała tę uwagę.

– Może powinniśmy dać jej coś do picia? Musi być spragniona.

Pielęgniarka złożyła prześcieradła i beznamiętnie wcisnęła je pod chude ramiona Nell.

– Nic jej nie będzie. Kroplówka zadba o wszystko. – Sprawdziła coś w karcie Nell i nie podnosząc głowy, stwierdziła: – Jeśli pani chce, na korytarzu są automaty z herbatą.

Po tych słowach wyszła i Cassandra zobaczyła, że oczy Nell są szeroko otwarte.

– Kim jesteś? – usłyszała słaby głos.

– To ja, Cassandra.

Chwila ciszy.

– Czy ja cię znam?

Lekarz ostrzegął ją przed tym, mimo to wciąż bolało.

– Tak, Nell.

Nell podniosła na nią szare wilgotne oczy i zamrugła niepewnie.

– Nie pamiętam...

– Ćśś... Już dobrze.

– Kim jestem?

– Nazywasz się Nell Andrews – wyjaśniła Cassandra, ujmując jej dłoń. – Masz dziewięćdziesiąt pięć lat. Mieszkasz w starym domu w Paddington.

Usta Nell drżały – starała się skupić, odnaleźć w słowach Cassandry jakieś znaczenie.

Cassandra wyjęła z szuflady nocnego stolika chusteczkę i starła z brody Nell cieniutką strużkę śliny.

– Masz sklepik z antykami w Latrobe Terrace – ciągnęła łagodnie. – Jest nasz, sprzedajemy stare rzeczy.

– Znam cię – wyszeptała Nell. – Jesteś córką Lesley.

Zaskoczona Cassandra zamrugła. Rzadko rozmawiały o jej matce, zarówno wtedy, gdy dorastała, jak i przez ostatnie dziesięć lat, odkąd wróciła i zamieszkała pod mieszkaniem Nell. Istniała między nimi niepisana umowa, na której mocy nie rozmawiały o prze-

szłości, bo chciały – z różnych powodów – o niej zapomnieć.

Tym razem to Nell zaczęła. Przerażonym wzrokiem wodziła po twarzy Cassandry.

– Gdzie jest chłopiec? Mam nadzieję, że nie tu. Jest tutaj? Nie chcę, żeby dotykał moich rzeczy. Popsuje je.

Cassandra poczuła, że robi jej się słabo.

– Moje rzeczy są cenne. Nie pozwól, by się do nich zbliżył.

– Nie... nie, nie pozwolę. Nie martw się, Nell. Jego tu nie ma – wykrztusiła Cassandra, potykając się o własne słowa.



Później, kiedy Nell znów straciła przytomność, Cassandra zastanawiała się nad okrucieństwem ludzkiego umysłu, który uparczywie przywołuje obrazy z przeszłości. Dlaczego teraz, u schyłku życia, w głowie babki rozbrzmiewały głosy ludzi, którzy dawno temu odeszli z tego świata? Czy zawsze tak było? Czy ci, którzy wykupili miejsce na milczącym statku śmierci, zawsze spoglądali na doki, poszukując znajomych twarzy?

Z tą myślą musiała zasnąć, ponieważ następną rzeczą, jaką zarejestrowała, był fakt, że panująca w szpitalu atmosfera uległa zmianie. Wjechali głębiej w mroczny tunel nocy. Światła na korytarzu zdawały się przyćmione, a zewsząd dobiegały odgłosy snu. Cassandra osunęła się w fotelu. Szyję miała zeszytywniałą, a stopa, która wysunęła się spod cienkiego koca, była zupełnie zmarznięta. Było późno, wiedziała o tym i tym bardziej poczuła się zmęczona. Co ją zbudziło?

Nell. Oddychała głośno. Nie spała. Cassandra podeszła do łóżka i przycupnęła na jego skraju. W półmroku oczy Nell zdawały się szkliste, blade i mętne niczym brudna od farb woda. Jej głos, niegdyś silny i stanowczy, teraz był chrapliwy. Z początku Cassandra nie mogła go usłyszeć i zdawało jej się, że usta Nell układają się bezgłośnie w dawno wypowiedziane słowa. Dopiero wówczas zrozumiała, że Nell próbuje coś powiedzieć.

– Pani – mówiła – pani mówiła, żeby czekać...

Cassandra musnęła dłonią ciepłe czoło staruszki, odgarniając pasmo siwych włosów, które jeszcze niedawno lśniły jak polerowane srebro. Znowu ta „pani”.

– Nie miałyby nic przeciwko – odparła. – Pani nie miałyby nic przeciwko, gdybyś sobie poszła.

Usta Nell zacisnęły się i zadrżały.

– Nie wolno mi się ruszać. Powiedziała, że mam czekać, tu, na statku. – Jej głos był cichy jak szept. – Pani... Autorka... Nie mów nikomu.

– Ćśś... Nikomu nie powiem, Nell. Nie powiem tej pani. Możesz iść.

– Powiedziała, że po mnie przyjdzie, ale sobie poszłam. Nie zostałam tam, gdzie mi kazała.

Staruszka oddychała z trudem, jakby za chwilę miała wpaść w panikę.

– Proszę, nie martw się. Proszę, Nell. Wszystko jest dobrze. Obiecuję.

Głowa Nell opadła na bok.

– Nie mogę iść... Miałam się nie... Pani.

Cassandra nacisnęła przycisk, by wezwać pomoc, jednak nad łóżkiem nie zapaliła się żadna lampka. Zawahała się, czekając, aż na korytarzu rozlegną się szybkie kroki. Powieki Nell trzepotały niczym skrzydła motyli. Staruszka traciła przytomność.

– Sprowadzę pielęgniarkę...

– Nie! – Nell wyciągnęła rękę, starając się pochwycić dłoń Cassandry. – Nie zostawiaj mnie! – Płakała. Na bladej skórze załśniły łzy.

Oczy Cassandry się zaszkliły.

– Już dobrze, babciu. Sprowadzę pomoc. Zaraz wrócę, obiecuję.

4

Brisbane, 2005

Dom zdawał się wiedzieć, że jego pani odeszła i nawet jeśli nie opłakiwał jej śmierci, pogrążył się w uporczywej ciszy. Nell nigdy nie przepadała za ludźmi czy przyjęciami (nawet myszy kuchenne były głośniejsze od jej wnuczki), tak więc dom przyzwyczał się do owej cichej egzystencji bez zamieszania i hałasu. Tym większy był szok, gdy nagle zaroilo się od ludzi, którzy krzatali się wokół domu i ogrodu, raczyli się herbatą i rozrzucaли okruczki. Wtulony w zbo-cze za ogromnym zabytkowym centrum dom ze stoickim spokojem zno-sił ostatnie upokorzenie.

Naturalnie wszystko przygotowały ciotki. Gdyby to zależało od niej, Cassandra pożegnałaby babkę w ciszy i spokoju, jednak ciotki nie chciały nawet o tym słyszeć. Według nich Nell zasłu-giwała na czuwanie. Rodzina i przyjaciele chcieli pożegnać zmarłą. Poza tym wypadało tak zrobić.

Cassandra nie mogła rywalizować z tak prostoduszną pewno-ścią. Dawno, dawno temu mogłaby się sprzeciwić, ale nie teraz. Poza tym nic nie było w stanie powstrzymać ciotek, każda z nich miała energię, która zadawała kłam ich wiekowi (nawet najmłodsza, ciotka Hettie, choć miała przeszło osiemdziesiąt lat).

Tak więc Cassandra wyzbyła się jakichkolwiek złych przeczuc, postanowiła przemilczeć fakt, że jej babka nie miała przyjaciół i za-brała się do przydzielonych jej obowiązków: ustawiania filiżanek i talerzyków, szukania widelczyków do ciasta i usuwania niektórych bibelotów, tak by członkowie rodziny mieli gdzie usiąść. Pozwoliła

też, by ciotki krzątały się wokół niej z należytą pompą i poczuciem własnej ważności.

Naturalnie nie były to jej prawdziwe ciotki, a tylko młodsze siostry Nell i ciotki matki Cassandry. Jednak Lesley ich nie potrzebowała, dlatego ochoczo wzięły Cassandrę pod swoje skrzydła.

Cassandra miała nadzieję, że matka weźmie udział w uroczystościach pogrzebowych i pojawi się w krematorium, jak zwykle wyglądając trzydzieści lat młodziej i niezmiennie przyciągając pełne uwielbienia spojrzenia. Piękna, młoda i niefrasobliwa.

Jednak tak się nie stało. Przyjdzie kartka, myślała Cassandra, z obrazkiem, który nijak nie będzie pasował do okoliczności. Duże ozdobne litery, które zwracają uwagę, a na dole moc pocałunków. Jak łatwo je rozdawała, linijka po linijce.

Cassandra zanurzyła dłonie w zlewie i przesunęła leżące w nim naczynia.

– Myślę, że wszystko poszło doskonale – rzuciła Phyllis, najstarsza po Nell i jak do tej pory najbardziej apodyktyczna. – Nell byłaby zadowolona. – Cassandra zerknęła na boki. – To znaczy – przerwała, wycierając ręce – kiedy przestałaby zrzedzić, że wszystko to było zbyteczne. A ty? – spytała matczynym tonem. – Jak się trzymasz?

– Nic mi nie jest.

– Jesteś wychudzona. Czy ty w ogóle jesz?

– Trzy razy dziennie.

– Mogłabyś się podtuczyć. Wpadnij jutro wieczorem na herbatkę. Zaproszę rodzinę, przygotuję zapiekankę z mielonego mięsa i ziemniaków.

Cassandra nie oponowała.

Tymczasem Phyllis rozejrzała się po starej kuchni, spoglądając na wiszący nad kuchenką okap.

– Nie boisz się być tu sama?

– Nie, nie boję się...

– Chociaż sama – dodała Phyllis, marszcząc nos. – Oczywiście, że jesteś sama. Tyle że to naturalne. Ty i Nell byłyście dla siebie doskonałym towarzystwem, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, położyła na przedramieniu Cassandry pokrytą plamami słonecznymi

dłoń. – Powiem ci, dlaczego dasz sobie radę. To zawsze smutne, gdy człowiek traci kogoś, na kim mu zależy, ale łatwiej to znieść, jeśli ta osoba miała już swoje lata. Tak właśnie powinno być. Gorzej, gdy odchodzi ktoś naprawdę młody... – Urwała w połowie zdania. Ramiona jej stężały, a na policzkach wykwitł rumieniec.

– Tak – odparła pospiesznie Cassandra – oczywiście, że tak. – Przestała myć filizankę i wyrzała przez kuchenne okno na podwórze. Mydliny spływały jej po palcach, zakrywając złotą obrączkę. – Powinnam wyjść i trochę poplewić. Jeśli dalej tak będzie, nasturcje przedrą się na drugą stronę ścieżki.

Phyllis z wdzięcznością powitała ten pomysł.

– Przyślę Trevora do pomocy. – Jej sękaty palec jeszcze mocnej zacisnęły się na ramieniu Cassandry. – W przyszłą sobotę, dobrze?

W kuchni pojawiła się ciotka Dot, przynosząc z bawialni kolejną tacę brudnych filizanek. Postawiła ją z brzękiem na stole i przytknęła do czoła pulchną dłoń.

– W końcu – jęknęła, mrugając do Cassandry i Phyllis przez niewiarygodnie grube okulary. – To już ostatnia. – Mówiąc to, zajrzała do okrągłego pudełka po cieście. – Strasznie zgłodniałam.

– Ależ, Dot – syknęła Phyllis, z radością przekuwając zakłopotanie w napomnienie – niedawno jadłaś.

– Godzinę temu.

– Z twoim woreczkiem żółciowym? Myślałam, że będziesz się pilnowała.

– Pilnuję się. – Dot wyprostowała się i obiema rękami ścisnęła pokaźną talię. – Od świąt Bożego Narodzenia straciłam prawie trzy kilo. – Odłożyła plastikowe wieczko i napotkała pełen powątpiewania wzrok Phyllis. – Trzy kilo.

Cassandra opanowała uśmiech i wróciła do zmywania filizanek. Phyllis i Dot były równie pulchne jak reszta ciotek. Odziedziczyły to po matce, która z kolei odziedziczyła to po swej matce. Nell była jedyną, która umknęła przed rodzinną klątwą i wrodziła się w chudego irlandzkiego ojca. To dopiero był widok: wysoka smukła Nell i jej niskie kluchowate siostry.

Sprzeczką pomiędzy Phyllis i Dot rozgorzała na dobre. Cassandra wiedziała, że jeśli nie przerwie tej kłótni, będzie ona trwała do

chwili, gdy jedna (albo obie) z nich ciśnie ręcznikiem kuchennym i niczym burza pogna do domu. Widziała to już wcześniej, jednak nigdy nie przywykła do sposobu, w jaki niektóre stwierdzenia czy mierzenie się wzrokiem wskrzeszają dawne animozje. Będąc jedynaczką, Cassandra postrzegała relacje między rodzeństwem jako coś fascynującego i przerażającego zarazem. Całe szczęście, że pozostałe ciotki zostały już wyprowadzone przez rodziny i nie mogły wtrącić swoich trzech groszy.

Cassandra odchrząknęła.

– Jest coś, o co chciałam zapytać. – Podniosła nieco głos i udało jej się zwrócić na siebie uwagę ciotek. – Chodzi o Nell. O coś, co powiedziała w szpitalu.

Phyllis i Dot zwróciły ku niej poczerwieniałe twarze. Wspomnienie siostry najwyraźniej uspokoiło emocje. Przypomniało, dlaczego stoją w jej kuchni, wycierając filizanki.

– Chodzi o Nell? – spytała Phyllis.

Cassandra skinęła głową.

– Zanim odeszła, wspomniała o jakiejś kobiecie. Nazwała ją „autorką”. Chyba zdawało jej się, że są na statku.

Phyllis zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Majaczyła, nie wiedziała, co mówi. Pewnie chodziło o jakąś postać z telewizyjnego serialu. Lubiała jakiś serial, którego akcja toczyła się na statku?

– Ależ, Phyll – wtrąciła Dot, kręcąc głową.

– Jestem pewna, że mówiła o...

– Daj spokój, Phyll. Nellie odeszła. Nie ma sensu dłużej udawać.

Phyllis skrzyżowała ramiona na piersi i naburmuszyła się.

– Powinnyśmy jej powiedzieć – dodała łagodnie Dot. – Przecież nic się nie stanie. Nie teraz.

– Co chcecie mi powiedzieć? – Cassandra spoglądała to na jedną ciotkę, to na drugą. Zadała pytanie, by zapobiec kolejnej rodzinnej awanturze. Nie spodziewała się żadnych tajemnic. Tymczasem ciotki były tak pochłonięte sobą, że najwyraźniej o niej zapomniały. – Co chcecie mi powiedzieć? – powtórzyła.

Dot spojrzała na Phyllis i delikatnie uniosła brwi.

– Lepiej, żeby dowiedziała się od nas niż z innych źródeł.

Phyllis skinęła niezauważalnie głową, spojrzała na Dot i uśmiechnęła się ponuro. To, co wiedziały, na powrót uczyniło je sojuszniczkami.

– W porządku, Cass. Lepiej chodź tu i usiądź – odparła w końcu. – Dotty, skarbie, wstaw proszę wodę i zrób nam filiżankę pysznej herbaty.

Cassandra podążyła za Phyllis do pokoju gościnnego i przycupnęła na sofie Nell. Phyllis rozsiadła się po przeciwnej stronie i wyraźnie zdenerwowana zaczęła szarpać wystający kłaczek.

– Nie wiem, od czego zacząć. Tak dawno o tym nie myślałam.

Cassandra była zaskoczona. O czym?

– To, co zaraz usłyszysz, jest rodzinnym sekretem. Możesz być pewna, że każda rodzina ma swoje tajemnice. Po prostu niektóre są większe od innych. – Mówiąc to, ściągnęła brwi i zerknęła w stronę kuchni. – Co ona tam robi? Wleczę się jak deszczowy tydzień.

– O co chodzi, Phyll?

Phyll westchnęła.

– Obiecałam sobie, że nigdy nikomu nie powiem. Cała ta sprawa i tak podzieliła już naszą rodzinę. Lepiej by było, gdyby tata zachował to dla siebie. Biedaczysko, myślał chyba, że tak właśnie należy postąpić.

– Co takiego zrobił?

Nawet jeśli Phyllis usłyszała pytanie, nie dała tego po sobie poznać. To była jej historia i zamierzała opowiedzieć ją po swojemu i we właściwym czasie.

– Byliśmy szczęśliwą rodziną. Nie opływaliśmy w dostatki, ale byliśmy szczęśliwi. Mama, tata i my, dziewczynki. Jak wiesz, Nellie była najstarsza. Później, z powodu pierwszej wojny światowej, długo, długo nic i po prawie dziesięciu latach cała reszta. – Uśmiechnęła się. – Nie uwierzyłyabyś, ale Nellie była duszą rodziny. Wszyscy ją uwielbialiśmy. Dla nas, dziewczynek, była kimś w rodzaju matki, zwłaszcza gdy mama zachorowała. Nell opiekowała się nią tak troskliwie.

Cassandra mogła to sobie wyobrazić, ale żeby jej drażliwa babka była duszą rodziny...

– Co się stało?

– Przez długi czas żadna z nas nie miała o niczym pojęcia. Tego właśnie chciała Nell. Nagle wszystko się zmieniło, a my nie wiedziałyśmy dlaczego. Nasza starsza siostra zmieniła się nie do poznania, jakby przestała nas kochać. Naturalnie nie stało się to w ciągu jednej nocy, zmiana nie była aż tak drastyczna. Po prostu Nell wycofywała się, krok po kroku oddalała się od nas. Była to bolesna tajemnica i niezależnie od tego, jak bardzo nalegałyśmy, tata nie chciał o niej rozmawiać. Dopiero mój mąż, niech spoczywa w spokoju, naprowadził nas na właściwy trop. Rzecz jasna nie zrobił tego celowo, nie zamierzał odkryć sekretu Nell. Po prostu lubił historię. Kiedy urodził się Trevor, postanowił stworzyć drzewo genealogiczne. Było to w tym samym roku, w którym urodziła się twoja matka: w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym.

Przerwała, mierzając Cassandrę przenikliwym spojrzeniem, jakby spodziewała się, że dziewczyna domyśli się reszty. Myliła się.

– Pewnego dnia wszedł do kuchni – pamiętam, jakby to było wczoraj – i powiedział, że w archiwach nie ma wzmianki o narodzinach Nell. „Nic dziwnego, odparłam. Nellie urodziła się w Maryborough, zanim rodzina zebrała manatki i przeniosła się do Brisbane”. Słyszac to, Doug pokiwał głową i wyjaśnił, że też o tym pomyślał, ale kiedy wysłał do Maryborough list z prośbą, by przesłali akta Nellie, odpowiedzieli, że takie akta nie istnieją. – Phyllis spojrzała znacząco na Cassandrę. – To tak, jakby Nellie nie istniała. Przynajmniej nie oficjalnie.

Cassandra spojrzała na Dot, która wróciła z kuchni i wręczyła jej filiżankę herbaty.

– Nie rozumiem.

– Ależ oczywiście, że nie rozumiesz, skarbie – odparła Dot, siadając w fotelu obok Phyllis. – My również przez długi czas nie rozmawiałyśmy. – Pokręciła głową i westchnęła. – Aż do czasu, gdy porozmawialiśmy z June. To było na ślubie Trevora, prawda Phylly?

Phyllis skinęła głową.

– Tak, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym. Byłam wściekła na Nell. Niedawno straciłyśmy ojca, mój syn, siostrzeniec Nellie, zenił się, a ona nie raczyła się pojawić. Zamiast tego wyjecha-

ła na wakacje. To dlatego postanowiłam porozmawiać z June. Nie będę ukrywała, że nieźle się wtedy wyżyłam na Nell.

Cassandra wyglądała na zmieszaną. Nigdy nie orientowała się w szerokim gronie znajomych i członków rodziny.

– Kim jest June?

– To jedna z naszych kuzynek – wyjaśniła Dot. – Ze strony mamy. Na pewno miałaś okazję ją poznać. Była mniej więcej rok starsza od Nell i kiedy były dziewczynkami, znały się jak łyse konie.

– Musiały być sobie bliskie – parsknęła Phyllis. – June była jedyną osobą, której Nell powiedziała, gdy to się stało.

– Gdy co się stało? – spytała Cassandra.

Dot pochyliła się do przodu.

– Kiedy tata jej powiedział...

– Tatuś powiedział Nell coś, czego nigdy nie powinien jej mówić – odparła szybko Phyllis. – Biedaczek myślał, że postępuje właściwie. Żałował tej decyzji do końca życia, a między nim a Nell nigdy już nie było tak jak kiedyś.

– A musisz wiedzieć, że miał słabość do Nell.

– Kochał nas wszystkie – warknęła Phyllis.

– Boże, Phyll – jęknęła Dot, przewracając oczami – nawet teraz nie możesz się z tym pogodzić. Nell była ulubienicą taty, to oczywiste. I jak się okazało, przewrotne.

Phyllis nie odpowiedziała, tak więc Dot, zadowolona, że udało jej się przejąć ster, ciągnęła:

– To było w noc jej dwudziestych pierwszych urodzin. Po przyjęciu...

– Wcale nie po przyjęciu – sprostowała Phyllis – tylko w trakcie. – Mówiąc to, spojrzała na Cassandrę. – Myślę, że według taty był to idealny moment, by powiedzieć jej prawdę. Początek nowego życia i takie tam. Nell była zaręczona i szykowała się do ślubu. Nie z twoim dziadkiem, z innym mężczyzną.

– Naprawdę? – Cassandra była zaskoczona. – Nigdy o tym nie mówiła.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to była miłość jej życia. Miejscowy chłopak, który w niczym nie przypominał Alą.

Phyllis wymówiła to imię z niesmakiem. Nie było tajemnicą,

że ciotki odnosiły się z dezaprobatą do amerykańskiego męża Nell. Nie chodziło o sprawy osobiste, lecz o pogardę, jaką obywatele żywili wobec amerykańskich żołnierzy, którzy w czasie pierwszej wojny światowej napłynęli do Brisbane i dzięki swym pieniądзом i eleganckim mundurom zabrali ze sobą najładniejsze dziewczęta.

– A więc, co się stało? Dlaczego za niego nie wyszła?

– Odwołała ślub kilka miesięcy po przyjęciu – odparła Phyllis. – To dopiero był szok. Wszyscy tak bardzo lubiliśmy Danny’ego. Cała ta historia złamała biedakowi serce. W końcu, tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, poślubił inną. Małżeństwo nie przyniosło mu jednak szczęścia i po wojnie z Japończykami nie wrócił już do domu.

– Czy ojciec zakazał Nell wyjść za Danny’ego? – spytała Cassandra. – Czy to właśnie powiedział jej tamtej nocy? Żeby za niego nie wychodziła?

– Ależ skąd! – oburzyła się Dot. – Tatko uważał, że Danny to prawdziwy skarb. Żaden z naszych mężów nie mógłby się z nim równać.

– Więc dlaczego z nim zerwała?

– Nie chciała powiedzieć. Nawet Danny’emu. – odrzekła Phyllis. – Ta niewiedza doprowadzała nas do szału. Wiedziałyśmy tylko, że Nell nie rozmawia z ojcem ani z Dannym.

– Tyle wiedziałyśmy do chwili, gdy Phyll porozmawiała z June – wyjaśniła Dot.

– Prawie czterdzieści pięć lat później.

– Co powiedziała June? – chciała wiedzieć Cassandra. – Co się stało na przyjęciu?

Phyllis upiła łyk herbaty i unosząc brwi, zerknęła na dziewczynę.

– Tata powiedział Nell, że nie jest ich dzieckiem.

– Adoptowali ją?

Ciotki wymienili spojrzenia.

– Niezupełnie – odparła Phyllis.

– Raczej znaleźli – uściśliła Dot.

– Przygarnęli.

– Zatrzymali.

Cassandra się nachmurzyła.

– Znaleźli? Gdzie?

– Na nabrzeżu Maryborough – odparła Dot. – W miejscu, do którego zawiąły największe statki z Europy. Naturalnie teraz wygląda to inaczej, porty są większe, a ludzie latają samolotami...

– Tatuś ją znalazł – wtrąciła Phyllis. – Kiedy była małeńka. To było tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Ludzie masowo wyjeżdżali z Europy, a my z radością witaliśmy ich tu, w Australii. Tata był wtedy mistrzem portowym i miał za zadanie upewnić się, czy ci, którzy przyjeżdżają, są tymi, za których się podają i dotarli tam, dokąd chcieli. Niektórzy z nich w ogóle nie mówili po angielsku. Jeśli dobrze zrozumiałam, pewnego dnia zrobił się straszny zamęt. Do portu, po tragicznych wydarzeniach, zawinął statek z Anglii. Tyfus i udary słoneczne to tylko nieliczne nieszczęścia, jakie dotknęły pasażerów. Tak więc, gdy statek wpłynął do portu, na pokładzie znaleziono bagaże bez właścicieli, a los części pasażerów był nieznanym. Zapanowało straszne zamieszanie. Oczywiście tatko opanował sytuację – nigdy nie miał problemu z zaprowadzaniem porządku – jednak został dłużej w pracy, by przekazać stróżowi wszystkie informacje i wyjaśnić, dlaczego w biurze jest tyle bagaży. Kiedy tak czekał, zauważył, że w dokach zostało coś jeszcze. Małeńka dziewczynka, ledwie czteroletnia, siedząca na małej walizeczce.

– W promieniu kilku mil nie było żywej duszy – dodała Dot, kiwając głową. – Była zupełnie sama.

– Tato próbował ustalić, kim jest, ale dziewczynka nie chciała powiedzieć. Powtarzała tylko, że nie wie, że niczego nie pamięta. Jakby tego było mało, do walizki nie przyczepiono plakietki z nazwiskiem, a jej zawartość nie mówiła nic o tożsamości dziecka. Było już późno, ściemniało się i pogoda zaczęła się psuć. Tato wiedział, że dziewczynka jest głodna, więc zdecydował, że zabierze ją do domu. Co innego mógł zrobić? Przecież nie mógł pozwolić, by całą noc siedziała zmoknięta w doku, prawda?

Cassandra pokręciła głową, jak gdyby starała się dopasować samotną, wyczerpaną dziewczynkę z opowieści Phyllis do Nell, którą znała.

– Z tego, co mówiła June, następnego dnia poszedł do pracy,

oczekując odchodzących od zmysłów krewnych, policji i śledztwa...

– Ale nic takiego się nie stało – wtrąciła Dot. – Mijały kolejne dni, w czasie których nie wydarzyło się kompletnie nic.

– Zupełnie, jakby dziewczynka zatarła za sobą wszelkie ślady. Oczywiście próbowali dowiedzieć się, kim jest, ale wśród tych wszystkich ludzi, którzy codziennie przybywali do portu... Do tego cała ta papierkowa robota. W takim zamieszaniu nietrudno było coś przeoczyć.

– Albo kogoś.

Phyllis westchnęła.

– A więc wzięli ją do siebie.

– Co innego mogli zrobić?

– I wychowali w przeświadczeniu, że jest jedną z nich.

– Jedną z nas.

– Do czasu, aż ukończyła dwadzieścia jeden lat – ciągnęła Phyllis. – Wtedy tata zdecydował, że powie jej prawdę. Prawdę o tym, że jest podrzutkiem z małą walizką.

Cassandra siedziała w milczeniu, próbując oswoić się z tym, czego się dowiedziała. Oplotła palcami gorącą filiżankę.

– Musiała czuć się bardzo samotna.

– Święta prawda – przyznała Dot. – Zupełnie sama. Spędziła długie tygodnie na ogromnym statku, aż w końcu wylądowała w porcie.

– Nie mówiąc o tym, co było później.

– Co masz na myśli? – spytała Dot, ściągając brwi.

Cassandra przygryzła wargę. Co Phyll ma na myśli? To uderzyło ją niczym potężna fala, świadomość tego, jak bardzo samotna czuła się jej babka. Jak gdyby dostrzegła nagle ważny aspekt życia Nell, o którym nie miała wcześniej pojęcia. A może pojęła coś, o czym wiedziała od lat. Izolację Nell, jej niezależność i drażliwość.

– Boże, jakaż musiała poczuć się samotna, gdy dowiedziała się, że nie jest tym, za kogo się uważała.

– Tak – przyznała zaskoczona Phyllis. – Muszę wyznać, że z początku tego nie zauważałam. Kiedy June mi powiedziała, nie mogłam pojąć, dlaczego tak bardzo wpłynęło to na naszą rodzinę i za nic w świecie nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak bardzo wpłynęło

to na Nell. Mama i tata kochali ją nad życie, a my widziałyśmy w niej idealną starszą siostrę. Nie mogła sobie wymarzyć lepszej rodziny. – Oparła się o podłokietnik i kładąc głowę na dłoni, pomasaowała lewą skroń. – Z czasem jednak zrozumiałam. Bywa i tak, prawda? Pojęłam, że rzeczy, które bierzemy za pewnik, są ważne. Wiecie, rodzina, krew, przeszłość... To one czynią nas tym, kim jesteśmy, a tata nieświadomie je Nell odebrał. Nie chciał tego, ale to zrobił.

– Nell musiała czuć ulgę, wiedząc, że w końcu poznałyście prawdę – zauważyła Cassandra. – Jakoś musiało jej to pomóc.

Phyllis i Dot ukradkiem wymieniły spojrzenia.

– Chyba powiedziałyście jej, że znacie prawdę?

Phyllis się nachmurzyła.

– Kilka razy prawie to zrobiłam, ale kiedy przyszło co do czego, nie mogłam wykrztusić słowa. Nie mogłam jej tego zrobić. Przez tyle czasu nie powiedziała nam ani słowa, odbudowała swoje życie wokół tajemnicy i robiła wszystko, by nikt się o tym nie dowiedział. Zburzenie tego muru wydało mi się... nie wiem... okrutne. Jakbym po raz kolejny miała pozbawić ją tożsamości. – Mówiąc to, pokręciła głową. – Choć z drugiej strony może to tylko głupie gadanie. Nell bywała gwałtowna i może po prostu brakowało mi odwagi.

– To nie kwestia odwagi – stwierdziła stanowczo Dot. – Wszyscy uznaliśmy, że tak będzie najlepiej. Tego właśnie chciała Nell.

– Chyba masz rację – zgodziła się Phyllis. – Tak czy inaczej, człowiek się zastanawiał. Nie to, że nie było okazji, choćby dzień, w którym Doug znalazł walizkę.

– Tuż przed śmiercią – podjęła Dot – tata poprosił męża Phylly, żeby podrzucił walizkę Nell. Słowem nie wspomniał, o co chodzi. W kwestii tajemnic był równie dobry jak Nell. Przechowywał jej walizkę przez wszystkie te lata. W środku było dokładnie to, z czym przypłynęła do Australii.

– Zabawne – westchnęła Phyllis. – Tamtego dnia, kiedy tylko zauważyłam tę walizkę, pomyślałam o historii June. Wiedziałam, że to ta sama walizka, którą tata znalazł na nabrzeżu i choć przez tyle lat leżała w jego składziku, nigdy nie zwróciłam na nią uwagi. Nie skojarzyłam jej z Nell. Gdyby się nad tym zastanowić, ciekawe, co rodzice zamierzali zrobić z taką śmieszną walizką. Biała skóra i

srebrne klamerki. Małeńka, w sam raz dla dziecka...

Phylly nie musiała opisywać walizki, Cassandra doskonale wiedziała, jak wyglądała.

Co więcej, wiedziała, co było w środku.

5

Brisbane, 1976

Cassandra wiedziała, dokąd jada, kiedy tylko matka opuściła szybę i kazała pracownikowi stacji benzynowej nalać do pełna. Mężczyzna powiedział coś, na co matka zareagowała dziewczęcym śmiechem. Chwilę później puścił do Cassandry oczko, zanim jego wzrok spoczął na obciętych, dżinsach i długich brązowych nogach Lesley. Cassandra była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni gapią się na jej matkę i nie zwracała na to uwagi. Zamiast tego wyjrzała za okno i pomyślała o swojej babce, Nell. To właśnie do niej jechały. Jedynym powodem, dla którego jej matka tankowała za pięć dolarów, była godzinna podróż południowo-wschodnią autostradą do Brisbane.

Cassandra zawsze czuła respekt przed Nell. W całym swoim życiu spotkała ją zaledwie pięć razy (jeśli pamięć jej nie myliła), jednak Nell nie należała do ludzi, których łatwo zapomnieć. Po pierwsze, była najstarszą osobą, jaką Cassandra w życiu widziała. Do tego nie uśmiechała się, jak inni ludzie, przez co wydawała się jeszcze starsza i bardziej przerażająca. Lesley nie mówiła o niej zbyt często, ale pewnego razu, gdy Cassandra leżała w łóżku, a matka kłóciła się ze swoim chłopakiem sprzed epoki Lena, usłyszała, jak Lesley nazywa Nell wiedźmą i choć Cassandra od dawna nie wierzyła w czary, ten obraz na zawsze pozostał w jej umyśle.

Nell przypominała wiedźmę. Jej długie srebrzyste włosy były upięte w ciasny kok. Do tego mieszkała w wąskiej drewnianej chatce na wzgórzach Paddington, otoczona łuszczącą się cytrynową farbą, zapuszczonym ogrodem, kotami sąsiadów, które chodziły za nią

krok w krok. No i sposób, w jaki patrzyła na ludzi: jakby zamierzała rzucić zaklęcie.

Jechały Logan Road. Opuściły szyby, a Lesley śpiewała piosenkę Abby, która zawsze leciała w Countdown. Po przejechaniu rzeki Brisbane, minęły centrum miasteczka i przejechały przez Paddington i wgryzające się we wzgórze, wycięte z falistej blachy muchomory. Nieopodal Latrobe Terrace, u podnóża stromego zbocza i w połowie wąskiej uliczki, stał dom Nell.

Lesley zatrzymała samochód i zgasiła silnik. Cassandra siedziała przez chwilę, patrząc, jak wpadające przez szybę promienie kładą się na jej nogach i czując, jak skóra pod kolanami klei się do winylowego siedzenia. Wyskoczyła z samochodu razem z matką i stojąc na chodniku, mimowolnie spojrzała na wysoki drewniany budynek.

Z jednej strony domu biegła w górę wąska, spękana, betonowa ścieżka. Na samym jej szczycie znajdowały się drzwi, jednak lata temu ktoś wybudował schody i, jak stwierdziła Lesley, „dziś nikt już nie korzysta z ukrytego wejścia”. Dodała też, że Nell to się podoobało: dzięki temu ludzie nie odnosili wrażenia, że są mile widziani i nie nachodzili jej przy byle okazji. Rynny były stare i powyginane, a pośrodku ziała ogromna, przedziewiała dziura, przez którą w czasie ulewy przepływały hektolitry wody. Na szczęście tego dnia nie zanosilo się na deszcz, a delikatny ciepły wietrzyk wygrywał na dzwoneczkach subtelne melodie.

– Chryste, co za dziura – mruknęła Lesley, spoglądając znad brązowych okularów i kręcąc głową. – Dzięki Bogu, że się stąd wyrwałam.

Na końcu ścieżki dał się słyszeć hałas. Zadbany kot o lśniącej karmelowej sierści zmierzył nowo przybyłe niechętnym spojrzeniem. Skrzypnęły zawiasy i rozległy się kroki. Obok kota pojawiła się wysoka srebrnowłosa kobieta. Cassandra wstrzymała oddech. Nell. Patrząc na nią, poczuła się, jakby stanęła twarzą w twarz z wytworem własnej wyobraźni.

Stały tak w milczeniu, mierząc się wzrokiem. Cassandra miała wrażenie, że bierze udział w tajemniczym rytuale dorosłości, którego nie potrafiła jeszcze zrozumieć. Zastanawiała się, dlaczego wciąż stoją i kto uczyni kolejny krok, kiedy nagle Nell przerwała milcze-

nie:

– Chyba ustaliliśmy, że następnym razem uprzedzisz mnie telefonicznie o swoim przyjeździe.

– Też się cieszę, że cię widzę, mamó – mruknęła Lesley.

– Jestem w trakcie sortowania pudełek na aukcję. W domu panuje bałagan, nie ma nawet gdzie usiąść.

– Przeżyjemy. – Lesley pstryknęła palcami w kierunku Cassandra. – Twojej wnuczce chce się pić. Cholernie tu gorąco.

Zmieszana Cassandra przestąpiła z nogi na nogę i wbiła wzrok w ziemię. W zachowaniu jej matki było coś dziwnego, jakaś nerwowość, do której nie była przyzwyczajona i której nie umiała nazwać. Usłyszała, jak Nell powoli wypuszcza powietrze.

– Dobrze więc. Lepiej wejdźcie do środka.



Nell nie przesadzała, mówiąc o bałaganie. Spod stert pogniecionych gazet nie było widać podłogi. Na stole, który zdawał się samotną wysepką na papierowym morzu, stała niezliczona ilość porcelany, szkła i kryształów. Bibeloty, pomyślała Cassandra, dumna z siebie, że zapamiętała nowe słowo.

– Nastawię wodę – rzuciła Lesley, przemykając na drugą stronę kuchni.

Nell i Cassandra zostały same i staruszka wbiła we wnuczkę przenikliwe spojrzenie.

– Urosłaś – stwierdziła w końcu. – Ale wciąż jesteś za chuda.

Miała rację, dzieciaki w szkole mówiły jej to samo.

– Też byłam taka chuda – ciągnęła Nell. – Wiesz, jak nazywał mnie ojciec?

Cassandra wzruszyła ramionami.

– „Szczęśliwe nogi”. Szczęśliwe, że jeszcze się nie złamały. – Nell zaczęła zdejmować filiżanki z haczyków przymocowanych do staromodnej szafki. – Kawa czy herbata?

Oburzona Cassandra pokręciła głową. Mimo że skończyła w maju dziesięć lat, wciąż była małą dziewczynką i nie przywykła, by proponowano jej napoje dla dorosłych.

– Nie mam soków owocowych ani napojów gazowanych –

ostrzegła Nell – ani innych tego typu rzeczy.

– Lubię mleko – bąknęła Cassandra.

Nell zamrugła z niedowierzaniem.

– W lodówce jest mnóstwo mleka dla kotów. Butelka będzie śliska, więc nie upuść jej na podłogę.

Kiedy herbata została nalana, Lesley zaproponowała Cassandrę, żeby pobawiła się na dworze. Jej zdaniem dzień był zbyt ciepły i słoneczny, by dziewczynka siedziała w domu.

Nell pozwoliła jej pobawić się koło domu, pod warunkiem że niczego nie zniszczy i pod żadnym pozorem nie wejdzie do mieszkania na parterze.



Był to jeden z tych koszmarnych, antypodycznych okresów, kiedy kolejne dni zdają się tworzyć jeden, nieprzerwany. Wentylatory nie robią nic poza mieleniem rozgrzanego powietrza, cykanie cykad grozi trwałą utratą słuchu, oddychanie stanowi nie lada wysiłek, a człowiek ma ochotę położyć się na plecach i czekać do chwili, gdy styczeń i luty dobiegną końca, nadejdą marcowe burze, a niedługo po nich pierwsze kwietniowe wiatry.

Jednak Cassandra nie miała o tym pojęcia. Była dzieckiem i z dziecięcym uporem zносиła ciężkie warunki. Zatrzasnęła tylko drzwi z siatką i podążając ścieżką, pobiegła do ogrodu na tyłach domu. Kwiaty uroczynu spuściły smętnie głowy i smażyły się na słońcu – czarne, wyschnięte i skurczone. Zgniotła kilka z nich butem, z radością patrząc, jak rozsmazują się na jasnym betonie.

Chwilę później przysiadła na żelaznej ławeczce i spojrzała w dół na przedziwny ogród swojej tajemniczej babki i połatany drewniany dom. Zastanawiała się, o czym rozmawiają Lesley i Nell i co jest powodem dzisiejszej wizyty. Jednak niezależnie od tego, w jaki sposób stawiała pytania, nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

Po jakimś czasie ogród okazał się zbyt wielką pokusą. Pytania odeszły w zapomnienie i Cassandra zaczęła zbierać grube strąki niecierpka. Siedząca w oddali czarna kocica obserwowała dziewczynkę z udawanym brakiem zainteresowania. Gdy Cassandra narwała już sporą garść, wdrapała się na najniższy konar mangowca na tyłach

ogrodu i zaczęła otwierać kolejne strąki. Ucieszył ją chłodny dotyk maziowatych nasion, zdziwienie kocicy, kiedy pusty strąk łądował pomiędzy jej łapami i gorliwość, gdy pomyliła go z konikiem polnym.

Kiedy otworzyła już wszystkie strąki, wytarła dłonie w spodenki i rozejrzała się po ogrodzie. Po drugiej stronie drucianej siatki znajdował się potężny, biały, prostokątny budynek. Mimo iż był zamknięty, wiedziała, że jest to kino Paddington. Gdzieś nieopodal babka miała sklep z używanymi rzeczami. Cassandra widziała go za ledwie raz, przy okazji innej spontanicznej wizyty w Brisbane. Została wtedy z babką, podczas gdy Leslie poszła na jakieś spotkanie.

Nell pozwoliła jej polerować srebrny serwis do herbaty. Było to ciekawe zajęcie: osobliwy zapach pasty Silvo, czerniejąca ściereczka i lśniący serwis. Nell wyjaśniła nawet Cassandrze, co symbolizują poszczególne znaki – lew – funta, głowa lamparta – Londyn, litera – rok, w którym wyprodukowano serwis. Niczym sekretny kod. Po powrocie do domu Cassandra urządziła prawdziwe polowanie z nadzieją, że znajdzie jakiekolwiek srebra, które mogłaby wyczyścić i objaśnić Lesley ich tajemne znaczenie. Nic jednak nie znalazła. Aż do teraz zapomniała, jak bardzo lubiła to zajęcie.

Z upływem dnia liście mangowca zaczęły więdnąć, a pokrzykiwania srok wzięły im w gardłach. Dla Cassandry był to znak, że pora wracać do domu. Mama i Nell wciąż siedziały w kuchni – przez siatkę w drzwiach widziała ich niewyraźne sylwetki – więc postanowiła pokręcić się jeszcze w pobliżu domu. Jej uwagę przykuły potężne drewniane drzwi na prowadnicach i kiedy pociągnęła za uchwyt, jej oczom ukazało się chłodne, mroczne pomieszczenie na parterze.

Ciemność tak bardzo kontrastowała z panującą na zewnątrz jasnością, że Cassandra miała wrażenie, iż przestępuje próg innego świata. Wchodząc do pomieszczenia i spacerując pod ścianami, poczuła nagły przypływ emocji. Pomieszczenie było duże, jednak Nell zrobiła wszystko, by zagospodarować przestrzeń. Wzdłuż trzech ścian, od podłogi aż po sufit ciągnęły się rzędy rozmaitych pudeł. Czwarta ściana służyła jako oparcie dla dziwnych okien i drzwi, niektórych z powybijanymi szybami. Jedyną wolną przestrzeń stanowiły widoczne na odległej ścianie drzwi, które prowadziły do

pomieszczenia nazywanego przez Nell „mieszkaniem”. Zaglądając do środka, Cassandra dostrzegła, że „mieszkanie” ma wielkość sypialni. Na dwóch ścianach stały prowizoryczne półki uginające się pod ciężarem starych książek, a na wciśnięte w kąt rozkładane łóżko narzucono czerwono-biało-niebieską narzutę. Jedyne źródło światła było niewielkie okienko, jednak ktoś zabezpieczył je od zewnątrz drewnianymi kołkami. Na pewno po to, by zatrzymać potencjalnych włamywaczy, pomyślała Cassandra. Nie miała jednak pojęcia, co można wynieść z tej graciarni.

Poczuła ochotę, by położyć się na łóżku i poczuć na rozgrzanej skórze chłodny dotyk narzuty. Ale Nell wyraziła się jasno, owszem może bawić się na dole, ale nie wolno było wchodzić do „mieszkania”. A Cassandra była posłusznym dzieckiem. Zamiast więc wejść do pomieszczenia i położyć się na łóżku, zawróciła. Podeszła do miejsca, gdzie dawno temu jakieś dziecko narysowało na cementowej podłodze kwadraty do gry w klasy. Przeczesała pomieszczenie w poszukiwaniu odpowiedniego kamyka, odrzucając kilka, zanim w końcu zdecydowała się na niewielki gładki.

Rzuciła go – kamyk wylądował dokładnie pośrodku pierwszego pola – i zaczęła skakać. Dotarła do liczby siedem, gdy usłyszała dobiegający z góry wrzask Nell:

– Co z ciebie za matka?!

– Nie gorsza od ciebie!

Cassandra zamarła, balansując na jednej nodze pośrodku pola numer siedem. Zapadła cisza albo przynajmniej tak jej się zdawało. Prawdopodobnie obie kobiety ściszyły głos, pamiętając o mieszkających obok ludziach. Kiedy się kłócili, Len zawsze upominał Lesley, mówiąc, że obcy ludzie nie muszą wiedzieć o ich problemach. Nie przeszkadzało im to, że Cassandra słyszała każde słowo.

Dziewczynka zachwiała się, straciła równowagę i opuściła nogę. Trwało to zaledwie ułamek sekundy i po chwili noga znów była w górze. Nawet Tracy Waters, która wśród uczennic klas piątych uchodziła za najsurowszego jurora w kwestii gry w klasy, pozwalała na coś takiego i z pewnością pozwoliłaby Cassandrze dokończyć rundę. Jednak Cassandra straciła ochotę do gry. Ton głosu Lesley był niepokojący. Po chwili rozboleł ją brzuch.

Dziewczynka cisnęła kamień i odsunęła się od kratki.

Było zbyt gorąco, by wracać na podwórko. Najchętniej poczytałaby teraz książkę. Uciekła do Zakłętego Lasu, wdrapała się na Odległe Drzewo albo razem ze Słynną Piątką z powieści Enid Blyton zdobyła Szczyt Przemytników. Wyobraziła sobie książkę leżącą na łóżku, gdzie zostawiła ją dziś rano, tuż obok poduszki. Głupio zrobiła, że nie wzięła jej z sobą. Jak zawsze, gdy zrobiła coś niemądrego, usłyszała w głowie głos Lena.

Pomyślała wówczas o półkach Nell i zamkniętych w „mieszkanie” starych książkach. Z pewnością Nell nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby wzięła jedną i poczytała. Będzie uważała, żeby nie narobić żadnych szkód i zostawić wszystko w porządku.

Pomieszczenie pachniało kurzem i upływającym czasem. Cassandra zerknęła na grzbiety okładek, czerwone, zielone i żółte, szukając ciekawych tytułów. Na trzeciej półce, w wąskiej smudze światła wylegiwała się pręgowana kotka. Cassandra nie zauważyła jej wcześniej i zastanawiała się, skąd się tu wzięła i jak to możliwe, że umknęła jej uwagi. Kotka, wyczuwając, że oto stała się obiektem zainteresowania, przysiadła na tylnych łapkach i wbiła w Cassandrę majestatyczne spojrzenie. Chwilę później zeskoczyła miękko na podłogę i zniknęła pod łóżkiem.

Cassandra patrzyła, jak odchodzi, zastanawiając się, jakby to było, gdyby sama potrafiła poruszać się z taką lekkością i posiadała umiejętność rozplywania się w powietrzu. Zamrugła. Może jednak nie do końca chciała zniknąć. W miejscu, gdzie kot otarł się o narzutę, dostrzegła coś dziwnego. Przedmiot był mały, biały i prostokątny.

Cassandra uklękła na podłodze, podniosła rąbek tkaniny i zerknęła pod łóżko. Była to małeńka, bardzo stara walizka. Jej górna część była pogięta i przekrzywiona i Cassandra zdołała dostrzec jakieś kartki, białe płótno i kawałek niebieskiej wstążki.

Chwilę później nie miała już wątpliwości, musiała wiedzieć, co dokładnie kryje się w środku, nawet jeśli oznaczałoby to złamanie kolejnych zasad. Z walącym sercem wysunęła walizkę, oparła wieko o poręcz łóżka i zaczęła przeglądać jej zawartość.

Srebrna szczotka do włosów, stara i na pewno cenna, z wybitą

tuż przy włosiu miniaturową głową lamparta – symbolem Londynu. Biała sukienka, mała i ładna. Przywodziła na myśl starodawne sukienki, których Cassandra nigdy nie widziała, nie mówiąc o tym, by taką miała – koleżanki w szkole wyśmiałyby ją, gdyby pojawiła się w czymś takim. Przewiązany niebieską wstążką plik papierów. Cassandra pozwoliła, by kokarda zwiędła między jej palcami i delikatnie szarpnęła końce wstążki.

Zdjęcie, biało-czarny szkic. Na nim stojąca pod ogrodową pergolą najpiękniejsza kobieta, jaką Cassandra widziała w życiu. Nie, to nie pergola, to porośnięte liśćmi drzwi, wejście do drzewiastego tunelu. Labirynt, pomyślała nagle. To dziwne słowo pojawiło się w jej umyśle niespodziewanie.

Z milionów cienkich czarnych linii, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyłonił się obraz i Cassandra zastanawiała się, jakie to uczucie, gdy tworzy się coś tak wspaniałego. Widok był dziwnie znajomy i z początku nie miała pojęcia, jak to możliwe. Po chwili zrozumiała – kobieta przypominała postać z książki dla dzieci. Była niczym ilustracja do baśni; dziewczę, które zmienia się w księżniczkę, gdy przystojny książę dostrzega w niej coś więcej niż tylko łachmany.

Położyła szkic na podłodze i zerknęła na pozostałe papiery. Były wśród nich koperty z listami, gruby pamiętnik zapisany smukłym ozdobnym pismem. Możliwe, że został napisany w innym języku, bo jedyne, co Cassandra zdążyła zauważyć, było to, że nie rozumie ani słowa. Z tyłu upchnięto rozmaite broszury i wyrwane strony gazet, a także zdjęcie mężczyzny, kobiety i małej dziewczynki z długimi warkoczami. Cassandra nie rozpoznała nikogo z nich.

Pod pamiętnikiem znalazła książkę z baśniami. Okładkę wykonano z grubej zielonej tektury i ozdobiono złotymi literami: *Magiczne opowieści dla chłopców i dziewcząt* autorstwa Elizy Makepeace. Cassandra powtórzyła imię autorki, czując, jak tajemnicze dźwięki ocierają się o jej usta. Chwilę później otworzyła książkę i spojrzała na okładkę oraz rysunek wróżki siedzącej w ptasim gnieździe. Bajkowa postać miała długie włosy, duże przezroczyste skrzydła, a jej głowę okalał wianuszek gwiazd. Po bliższym przyjrzeniu się Cassandra zdała sobie sprawę, że twarz wróżki jest twarzą kobiety ze

szkicu. Wokół gniazda wił się koślawy napis, który przedstawiał ją jako „Waszą bajarkę panią Makepeace”. Podekscytowana Cassandra przewróciła kolejną kartkę, spod której czmychnęły przerażone rybiki. Czas zabarwił stronicę książki mdłym odcieniem żółci, zniszczył i wystrzępił ich krawędzie. Papier zdawał się kruchy tak bardzo, że gdy potarła zagięty róg, ten oddzielił się od kartki i na jej oczach obrócił w pył.

Cassandra nie mogła się powstrzymać. Po chwili leżała zwinięta w kłębek pośrodku połowego łóżka. Było to idealne miejsce do czytania, chłodne, ciche i sekretne. Czytając książkę, Cassandra zawsze chowała się przed światem, choć sama nie wiedziała dlaczego. Zupełnie, jakby nie mogła znieść tego, że zostanie posądzona o lenistwo i jakby czuła, że oddanie się w pełni czemuś tak radosnemu jest z gruntu złe.

Mimo to po raz kolejny oddała się tej przyjemności. Świadomie wpadła do króliczej nory, wprost do baśniowego świata pełnego magii i tajemnic, do historii o księżniczce, która mieszkała z niewidomą wiedźmą w chatce na skraju ciemnego lasu. Dzielnej księżniczce, dużo dzielniejszej od Cassandry.

Do końca baśni zostały zaledwie dwie strony, kiedy usłyszała nad głową czyjeś kroki.

Zmierzały w jej kierunku.

Cassandra zerwała się z łóżka i stanęła na podłodze. Pragnęła dokończyć historię i odkryć, co przydarzyło się księżniczce, nie było jednak czasu. W pośpiechu zebrała papiery, wrzuciła wszystko do walizki i ukryła pod łóżkiem, w ten sposób pozbywając się dowodów swego nieposłuszeństwa.

Wymknęła się z pomieszczenia, podniosła porzucony kamień i ruszyła w kierunku namalowanych kredą kwadratów.

Kiedy Lesley i Nell dotarły do rozsuwanych drzwi, Cassandra sprawiała wrażenie, jakby całe popołudnie grała w klasy.

– Chodź, dzieciaku – rzuciła Lesley.

Cassandra posłusznie otrzepała spodenki i podeszła do matki, która otoczyła ją ramieniem.

– Dobrze się bawisz?

– Tak – odparła powściągliwie Cassandra. Czyżby wiedziały?

Jednak matka nie była zła. Wręcz przeciwnie, zdawała się triumfować. Zerknęła na Nell.

– Widzisz, mówiłam ci. Potrafi się sobą zająć.

Nell nie odpowiedziała, za to Lesley ciągnęła:

– Na jakiś czas zostaniesz tu z babcią Nell, Cassie. To będzie jak przygoda.

To dopiero niespodzianka. Najwyraźniej mama musi załatwić w Brisbane dużo różnych spraw.

– Będę jadła tutaj lunch?

– Każdego dnia, dopóki po ciebie nie wrócę.

Cassandra poczuła nagle, jak ostre są krawędzie kamienia, który ścisnęła w dłoni. Z jaką siłą wrzynały się w delikatne opuszki palców. Spojrzała na matkę, by po chwili zerknąć na Nell. Czy prowadzą z nią jakąś grę? Czy jej matka żartuje? Czekala, aż Lesley wybuchnie śmiechem.

Ale nic takiego się nie stało. Duże niebieskie oczy Lesley prawie w ogóle na nią nie patrzyły.

Cassandra nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie wzięłam piżamy. – Tylko tyle zdołała wydusić.

Po tych słowach na twarzy Lesley pojawił się szeroki, pełen ulgi uśmiech i Cassandra poczuła, że chwilowe odrzucenie dobiegło końca.

– Nie przejmuj się tym, matolku. W samochodzie masz spakowaną torbę. Chyba nie myślałaś, że podrzucę cię do babci bez twoich rzeczy?

Przez cały ten czas Nell była milcząca i spięta. Patrzyła tylko na Lesley z czymś, co Cassandra odczytywała jako dezaprobatę. Najwyraźniej wcale nie życzyła sobie towarzystwa wnuczki. Jak mówił Len, „małe dziewczynki mają fatalny nawyk pałętania się pod nogami”.

Lesley podbiegła do samochodu i przez tylną szybę wyciągnęła niewielką torbę podróżną. Cassandra zastanawiała się, kiedy ją spakowała i dlaczego ona sama tego nie zrobiła.

– Masz, skarbie – zaszczebiotała Lesley, rzucając córce torbę. – W środku jest niespodzianka. To nowa sukienka. Len pomógł mi ją wybrać. – Po tych słowach wyprostowała się i spojrzała na Nell.
– Tylko tydzień lub dwa. Obiecuję. Aż Len i ja wszystko uporząd-

kujemy. – Mówiąc to, zmierzwiła włosy Cassandry. – Babcia Nell bardzo się cieszy, że w końcu trochę u niej pomieszkasz. To będą prawdziwe wakacje w wielkim mieście. Będziesz miała co opowiadać, kiedy wrócisz do szkoły.

Po tych słowach na twarzy Nell pojawił się uśmiech, tyle tylko, że kobieta wcale nie wyglądała na szczęśliwą. Widząc to, Cassandra pomyślała, że doskonale wie, co taki uśmiech oznacza. Sama uśmiechała się w ten sposób, kiedy mama obiecała coś, czego naprawdę pragnęła, a co równie dobrze mogło się nie spełnić.

Lesley musnęła ustami policzek córki, ucisnęła jej drobną dłoń i dosłownie zniknęła. Cassandra nie zdążyła nawet się do niej przytulić, powiedzieć, żeby jechała ostrożnie, i zapytać, kiedy właściwie po nią wróci.



Później tego samego dnia Nell przygotowała obiad, grube wieprzowe parówki, purée ziemniaczane i brejowaty groszek z puszki, który zjadły w wąskim pokoju obok kuchni. W domu Nell nie było siatek przeciw owadom, jak w mieszkaniu Lena przy Burleigh Beach. Zamiast tego babcia trzymała na parapecie plastikową packę na muchy. Sięgała po nią za każdym razem, gdy w pokoju pojawiła się mucha lub komar. Była przy tym tak szybka i doświadczona, że śpiący na jej kolanach kot nawet nie drgnął.

Stojący na lodówce klockowaty wiatrak leniwie miał wilgotne, duszne powietrze. Cassandra uprzejmie odpowiadała na zadawane od czasu do czasu pytania, aż koszmar obiadu dobiegł końca. Po nim nastąpił kolejny rytuał mycia i wycierania naczyń, po czym Nell zaprowadziła Cassandrę do łazienki i zaczęła nalewać do wanny letnią wodę.

– Gorsza od zimnej kąpieli zimą może być tylko gorąca kąpiel latem – zauważyła rzeczowo. – Mówiąc to, wyjęła z szafki brązowy ręcznik i położyła go na splucze. – Możesz zakręcić wodę, kiedy dojdzie do tego poziomu. – Wskazała pęknięcie w zielonej porcelanie, wyprostowała się i wygładziła sukienkę. – Dasz sobie radę?

Cassandra pokiwała głową i się uśmiechnęła. Miała nadzieję, że udzieliła poprawnej odpowiedzi; dorośli bywają czasem podstępni.

Przed wszystkim wiedziała, że nie lubią, gdy dzieci okazują uczucia, zwłaszcza te negatywne. Len często przypominał Cassandrę, że grzeczne dzieci powinny się uśmiechać i zachowywać czarne myśli wyłącznie dla siebie. Jednak Nell była inna. Cassandra nie miała pojęcia, skąd to wie, ale instynktownie wyczuwała, że w tym domu obowiązują inne zasady. Mimo wszystko lepiej było się nie wychylać.

Dlatego właśnie nie wspomniała o szczoteczce do zębów, a raczej o jej braku. Kiedy wyjeżdżali, Lesley zawsze zapominała o takich rzeczach, jednak Cassandra wiedziała, że nie umrze, jeśli przez tydzień lub dwa nie umyje zębów. Zebrała włosy i spięła je na czubku głowy elastyczną przepaską. W domu zakładała czepek kąpielowy matki, jednak nie była pewna, czy Nell ma coś takiego, a nie chciała pytać. Zamiast tego weszła do wanny, zanurzyła się w letniej wodzie, podkurczyła nogi i zamknęła oczy. Przez chwilę wsłuchiwała się w plusk wody, która łagodnie obmywała krawędzie wanny, brzęczenia żarówki i latającego wokół niej komara.

Siedziała tak przez jakiś czas, aż w końcu podniosła się z ociąganiem, w obawie, że jeśli zostanie tu chwilę dłużej, Nell zacznie jej szukać. Wymarła się, powiesiła ręcznik na wieszaku, wygładziła jego wilgotne brzegi i włożyła piżamę.

Znalazła Nell na werandzie. Krzątała się przy leżance, poprawiając pościel i przykrywając ją kocem.

– Z reguły nie służy do spania – zauważyła Nell, poklepując poduszkę. – Materac jest niewygodny, a sprężyny odrobinę za twarde, ale co to dla takiego porzuconego dziecka jak ty. Będzie ci tu wystarczająco wygodnie.

Cassandra przytaknęła z powagą.

– I tak nie będę tu długo. Tylko tydzień lub dwa, dopóki mama i Len nie rozwiążą pewnych problemów.

Nell uśmiechnęła się ponuro. Rozejrzała się po pokoju i zerknęła na Cassandrę.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? Może szklankę wody? Lampkę?

Cassandra zastanawiała się w duchu, czy Nell ma zapasową szczoteczkę do zębów, jednak nie wiedziała, jak o to zapytać. W końcu pokręciła głową.

– W takim razie, wskakuj – rzuciła Nell, unosząc rąbek koca.

Cassandra posłusznie wśliznęła się do łóżka, czekając, aż Nell okryje ją kołdrą. Materiał był wyjątkowo miękki i choć używany, pachniał świeżością.

– Cóż... dobranoc – rzekła niepewnym głosem Nell.

– Dobranoc.

Chwilę później zgasły światła i Cassandra została zupełnie sama.



W ciemnościach dziwne odgłosy przybrały na sile: ruch uliczny na odległym wzniesieniu, telewizor w jednym z pobliskich domów, kroki Nell w sąsiednim pokoju. Gdzieś za oknem rozległ się dźwięk dzwoneczków i Cassandra zauważyła, że w powietrzu unosi się zapach eukaliptusa i smoły. Nadciągała burza.

Na samą myśl o tym skuliła się pod kołdrą. Cassandra nie lubiła burz, bo były nieprzewidywalne. Przy odrobinie szczęścia ucichnie, zanim na dobre się rozpocznie. Z myślą o tym zawarła ze sobą małą umowę: jeśli zdoła policzyć do dziesięciu, zanim kolejny samochód przejedzie przez pobliskie wzgórze, wszystko będzie dobrze. Burza szybko minie, a mama wróci po nią w ciągu tygodnia.

Raz. Dwa. Trzy... Nie oszukiwała, nie spieszyła się... Cztery. Pięć... Jak do tej pory nic się nie wydarzyło... Sześć. Siedem... Szybki oddech, żadnych samochodów, była prawie bezpieczna... Osiem...

Nagle usiadła wyprostowana. W torbie są kieszenie. Mama nie zapomniała, po prostu nie chciała, żeby szczoteczka gdzieś się zawieruszyła.

Cassandra wyślizgnęła się z łóżka dokładnie w chwili, gdy gwałtowny podmuch uderzył dzwoneczkami w szybę. Skradając się, czuła, jak hulający po podłodze chłodny wiatr liże jej bose stopy.

Niebo nad domem mruknęło złowieszczo i rozbłysło jaskrawym światłem. To przypomniało Cassandrze baśń, którą czytała po południu, i szaleńczą burzę, która przywiodła księżniczkę do chatki czarownicy.

Cassandra uklękła na podłodze, przetrząsając kieszeń za kieszenią i pragnąc, by palce napotkały znajomy kształt.

Na pokryty blachą falistą dach spadły pierwsze opasłe krople deszczu. Z początku rzadkie i nieśmiałe, przybierały na sile, aż do chwili, gdy Cassandra nie słyszała już niczego.

Skoro już wstała, nie zaszkodzi jeszcze raz zajrzeć do głównej przegródki. Szczoteczka była mała, z łatwością mogła wpaść na samo dno i leżeć tam niezauważona. Zanurzyła dłonie we wnętrzu torby i wyciągnęła całą zawartość. Nie znalazła szczoteczki.

Zatkała uszy, kiedy kolejny grzmot zatrząsł domem. Chwilę później podniosła się i złożyła dłonie na piersi i nieświadoma swej chudości pognęła do łóżka, gdzie zakopała się w pościeli.

Deszcz ściekał z okapów, spływał strumieniami po szybach i wylewał się z zupełnie zaskoczonych, przedziewiałych rynien.

Zagrzebana w pościeli Cassandra leżała nieruchomo, obejmując rękami kolana. Powietrze w pokoju było ciepłe i wilgotne, jednak jej ramiona pokrywała gęsia skórka. Wiedziała, że powinna spróbować zasnąć. Jeśli tego nie zrobi, rano będzie zmęczona, a nikt przecież nie lubi towarzystwa zrządzających ludzi.

Starła się, jak mogła, jednak sen nie nadchodził. Liczyła owce, śpiewała cichutko o żółtych łodziach podwodnych, pomarańczach, cytrynach i morskich ogrodach, a nawet opowiadała sobie bajki. Noc zdawała się jednak ciągnąć bez końca.

Niebo przecięła błyskawica, deszcz lał się strumieniami, okolicą zatrząsł kolejny grzmot. Cassandra zaczęła płakać. Łzy, które tak długo cisnęły się jej do oczu, znalazły ujście pod czarnym welonem nocy.

Ile czasu minęło, zanim dostrzegła stojącą w progu ciemną sylwetkę? Minuta? Dziesięć?

Cassandra zdusiła szloch, aż poczuła w gardle nieprzyjemne palenie.

Szept, głos Nell:

– Przyszłam sprawdzić, czy okno jest zamknięte.

Skulona w ciemności dziewczynka wstrzymała oddech i otarła oczy ręką prześcieradła.

Nell stała teraz znacznie bliżej i Cassandra wyczuwała przedziwną energię wytwarzaną wówczas, gdy ludzie stoją obok siebie, nie dotykając się.

– Co się stało?

Gardło Cassandry, wciąż boleśnie zaciśnięte, odmówiło odpowiedzi.

– Chodzi o burzę? Boisz się?

Dziewczynka pokręciła głową.

Nell przycupnęła sztywno na skraju leżanki i zawiązała mocny pasek szlafroka. Kolejna błyskawica i Cassandra ujrzała twarz babki, a w niej oczy matki z lekko opadającymi w kącikami.

Szloch wyrwał się z gardła niczym spuszczonej z łańcucha pies.

– Moja szczoteczka do zębów – jęknęła przez łyż. – Nie mam mojej szczoteczki.

Zdumiona Nell patrzyła przez chwilę, po czym otoczyła Cassandrę ramionami. Dziewczynka drgnęła zaskoczona tym gwałtownym niespodziewanym gestem, jednak w końcu się poddała. Zrezygnowana pochyliła się do przodu, opierając głowę o pachnące lawendą ciało babki, a jej ramiona zadrżały, gdy wypłakiwała się w koszulę Nell.

– Już dobrze – szepnęła babcia, muskając dłonią włosy dziewczynki. – Nie martw się. Znajdziemy inną. – Odwróciła głowę, by spojrzeć na spływające po szybach strugi deszczu i oparła brodę o głowę Cassandry. – Ocalałeś, rozumiesz? Teraz już wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

I choć Cassandra nie wierzyła, by cokolwiek w jej życiu mogło być dobrze, dała się porwać słowom Nell. Coś w głosie babki kazało jej zrozumieć, jak przerażająca i samotna jest burzowa noc w nowym nieznanym miejscu.

6

Maryborough, 1913

Mimo iż późno wrócił do domu, rosół był wciąż ciepły. Oto cała Lil, niech Bóg ją błogosławi. Jej zupy nigdy nie były zimne. Hugh włożył do ust ostatnią łyżkę, po czym odchylił się na krześle i potarł obolałą szyję. Gdzieś w okolicach rzeki rozległ się odległy pomruk burzy, który przetoczył się w kierunku miasta. Niewidzialny przeciąg szarpnął płomieniem lampy i rozproszył cienie. Hugh omiótł spojrzeniem stół, ściany i drzwi. Ciemność tańczącą na lśniącej białej skórze walizki.

Wiele razy miał do czynienia z zagubionymi walizkami. Ale z małą dziewczynką? Jak to możliwe, do cholery, by czyjeś dziecko wylądowało samotnie na nabrzeżu? Z tego, co zdążył zauważyć, dziewczynka była niezwykle grzeczna. Ładna, z truskawkowozłocistymi włosami i niebieskimi oczami. Patrzyła na człowieka tak, że od razu wiedział, iż słucha i rozumie wszystko, co się do niej mówi, a nawet to, czego się nie mówi.

Drzwi do sypialni się otworzyły i pojawiła się w nich delikatna znajoma sylwetka Lil. Kobieta zamknęła cicho drzwi i wyszła na korytarz. Założyła za ucho niesforny kosmyk włosów, ten sam, który wymykał się, odkąd Hugh sięgał pamięcią.

– Zasnęła – szepnęła, wchodząc do kuchni. – Bała się burzy, ale zmęczenie wzięło górę. Biedna mała owieczka, była zupełnie wykończona.

Hugh wstał od stołu i zanurzył talerz w letniej wodzie.

– Nic dziwnego, sam dosłownie lecę z nóg.

- Wyglądasz na zmęczonego. Idź, ja pozmywam.
- Nic mi nie jest, skarbie. Lepiej się połóż, zaraz przyjdę.

Jednak Lil nie wyszła. Wyczuwał jej obecność za plecami i wiedział, że jest coś, o czym chce porozmawiać. Słowa wisiały między nimi i Hugh poczuł na szyi charakterystyczne napięcie mięśni szyi. Czuł, jak poprzednie rozmowy wracają do niego niczym fale przyływu, które niebawem rozleją między nimi swe spienione wody.

– Nie musisz owijać w bawełnę, Hugh. – Głos Lil był nienaturalnie niski.

- Wiem – westchnął.
- Dam sobie radę. Przecież to nie pierwszy raz.
- Oczywiście, że dasz sobie radę.
- Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to żebyś traktował mnie jak niepełnosprawną.

– Nie chciałem, Lil. – Odwrócił się do niej. Stała przy drugim końcu stołu, ściskając oparcie krzesła. Jej postawa miała przekonać go o jej stabilności, mówiła „wszystko jest po staremu”, jednak Hugh zbyt dobrze ją znał.

Wiedział, że cierpi. Wiedział też, że nie potrafi naprawić sytuacji. Jak mawiał doktor Huntley: „Niektóre rzeczy po prostu nie miały się wydarzyć”. Problem w tym, że ani Lil, ani on sam nie znajdowali w tym pocieszenia.

Po chwili stała obok niego i delikatnie trącała go biodrem. Czuł na jej skórze słodką, pełną smutku woń mleka.

– No, dalej. Idź do łóżka – mruknęła. – Ja zaraz przyjdę. – Jej nienaturalna wesołość zmroziła krew w żyłach Hugh, jednak zrobił, co mu kazano.

Lil dotrzymała słowa. Niebawem przyszła do sypialni, zmyła z siebie trudy minionego dnia i włożyła koszulę nocną. Mimo iż stała odwrócona plecami, widział, jak delikatnie obchodzi się z piersiami i wciąż jeszcze powiększonym brzuchem.

Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. Smutek na jej twarzy ustąpił miejsca hardości.

- Co?
- Nic. – Skupił się na swoich dłoniach, zgrubieniach i odparzeniach, których nabawił się w ciągu długich lat pracy na nabrzeżu.

– Myślałem o tej dziewczynce. Zastanawiałem się, kim jest. Chyba nie powiedziała, jak ma na imię.

– Mówi, że nie wie. Ile razy o to pytam, spogląda na mnie tym swoim poważnym wzrokiem i mówi, że nie pamięta.

– Chyba nie sądzisz, że kłamie? Niektórzy podróżujący na gapę potrafią zrobić z człowieka głupka.

– Hughie – zbesztła go Lil – ona nie podróżowała na gapę. Przecież to jeszcze dziecko.

– Spokojnie, Lil. Tylko pytałem. – Mówiąc to, pokręcił głową. – Jakoś trudno mi uwierzyć, że tak po prostu wszystko zapomniała.

– Słyszałam o podobnych przypadkach. To się nazywa amnezja. Ojciec Ruth Halfpenny cierpi na coś takiego, odkąd spadł z szynobu. Właśnie to jest najczęstszą przyczyną, upadki i tym podobne.

– Myślisz, że mogła skądś spaść?

– Wprawdzie nie zauważyłam żadnych siniaków, ale to całkiem prawdopodobne.

– No cóż – sapnął Hugh, podczas gdy kolejna błyskawica skąpała sypialnię w jaskrawym świetle. – Zajmę się tym jutro. – Odwrócił się i leżąc na wznak, spojrzał w sufit. – Przecież musiała się skądś wziąć – szepnął.

– Tak. – Lil zgasiła lampę i pokój pogrążył się w ciemności.

– Ktoś musi za nią strasznie tęsknić. – Jak co noc odwróciła się plecami, odgradzając Hugh od swego smutku. Pod kołdrą jej głos był stłumiony. – Mówię ci, i tak na nią nie zasługują. Co za bezmyślność. Jak człowiek może zgubić dziecko?



Lil patrzyła przez okno na dwie dziewczynki biegające tam i z powrotem pod sznurem do bielizny i śmiejące się za każdym razem, gdy chłodne wilgotne prześcieradła musnęły ich twarze. Znowu śpiewały jedną z piosenek Nell. Piosenki. Jedyne, co zapamiętała z poprzedniego życia. Znała ich tak dużo.

Nell. Nazwali ją tak po matce Lil, Eleanor. Przecież musieli jakoś się do niej zwracać. Ich mała pociecha wciąż nie pamiętała swojego imienia. Pytana o to przez Lil jeszcze szerzej otwierała błękitne oczy i mówiła, że nie pamięta.

Po kilku tygodniach Lil przestała pytać. Prawdę powiedziawszy, niewiedza czyniła ją jeszcze bardziej szczęśliwą. Nie chciała wyobrażać sobie dla Nell innego imienia poza tym, które jej dali. Zupełnie, jakby przyszła z nim na świat.

Robili, co mogli, by dowiedzieć się, kim była i skąd pochodzi. Każdy mógł o to zapytać. I choć początkowo Lil wmawiała sobie, że opiekują się Nell i chronią ją, aż ktoś po nią przyjdzie, z każdym mijającym dniem była coraz bardziej przekonana, że nikt taki się nie pojawi.

Wkrótce wszyscy troje popadli w słodką rutynę. Rano jedli śniadanie, następnie Hugh wychodził do pracy, a Nell i Lil zajmowały się domem. Lil podobało się to, że dziewczynka chodzi za nią jak cień. Lubiła pokazywać jej rozmaite rzeczy i wyjaśniać, jak działają. Nell uwielbiała pytać „dlaczego?”. Dlaczego słońce nocą się ukrywa, dlaczego płomienie nie wyskakują z paleniska, dlaczego rzeka się nie znudzi i nie popłynie inną drogą? Lil uwielbiała odpowiadać, patrząc, jak na małej twarzyczce maluje się zrozumienie. Pierwszy raz w życiu Lil czuła się potrzebna i spełniona.

Ich życie z Hugh też zmieniło się na lepsze. Kurtyna napięć, która wisiała między nimi przez ostatnie lata, powoli zaczynała się podnosić. Przestali być tak cholernie uprzejmi i nie dbali już o staranny dobór słów, jak obcy sobie ludzie, zmuszeni do bycia razem. Znowu zaczęli się śmiać, tym samym niewymuszonym śmiechem, który kiedyś był tak naturalny.

Co do Nell, dziewczynka czuła się w ich towarzystwie jak ryba w wodzie. Dzieci z sąsiedztwa nie potrzebowały wiele czasu, by zorientować się, że pojawił się ktoś nowy, a Nell z radością wyczekiwała wspólnych zabaw. Młoda Beth Reeves każdego dnia przesiadywała na ich podwórku. Lil uwielbiała słuchać biegających dziewczynek. Tak długo czekała na chwilę, gdy w ich ogródku rozlegną się dziecięcy śmiech i popiskiwanie.

Nell była dzieckiem obdarzonym niezwykle bujną wyobraźnią. Lil często słyszała, jak opisuje długie i skomplikowane gry w udawanie. Dzięki tej wyobraźni płaskie, otwarte przestrzenie zmieniały się w magiczne lasy pełne jeżyn i labiryntów, a nawet w stojącą nad brzegiem klifu chatkę. Lil wiedziała, że są to miejsca opisane w książ-

ce z baśniami, którą znaleźli w walizce Nell. Wieczorami Lil i Hugh na zmianę czytali je Nell. Z początku Lil uważała, że baśnie są zbyt przerażające, jednak Hugh przekonał ją, że jest inaczej. Dziewczynka mogła słuchać ich bez końca.

Stojąc przy oknie w kuchni, Lil widziała, że na tym właśnie polega dzisiejsza zabawa. Beth jak urzeczona wsłuchiwała się w słowa Nell, podczas gdy przyjaciółka prowadziła ją wymyślonym labiryntem ubrana w białą sukienkę, w słońcu, które zmieniało jej rude warstwy w czyste złoto.

Nell będzie tęskniła za Beth, gdy przeprowadzą się do Brisbane, jednak Lil była pewna, że wkrótce znajdzie nowych przyjaciół. Dzieci zawsze ich znajdują. Muszą zniknąć. Już i tak zbyt długo opowiadali sąsiadom, że Nell jest siostrzenicą z północy. Wcześniej czy później ludzie zaczną się zastanawiać, dlaczego dziewczynka nie wraca do domu. Jak długo jeszcze zostanie?

Nie, to oczywiste, ich trójka musi zacząć nowe życie w zupełnie innym miejscu, gdzieś, gdzie nikt ich nie zna. W wielkim mieście, gdzie nikt nie będzie zadawał pytań.

7

Brisbane, 2005

Był wczesnowiosenny poranek, zaledwie tydzień po śmierci Nell. Rześki wiatr kołysał krzewami, wykręcając liście tak, że ich blade spody zwracały się ku słońcu. Jak dzieci wypchnięte nagle w światła reflektorów, dumne, a zarazem zdenerwowane.

Herbata, którą Cassandra zaparzyła, dawno już wystygła. Jakiś czas temu upiła kolejny łyk, odstawiła kubek na cementowy parapet i zupełnie o nim zapomniała. Tym samym zablokowała drogę grupie pracowitych mrówek, które zmuszone do obejścia przeszkody wspinały się na krawędzie kubka i wykorzystując uchwyt, schodziły na drugą stronę.

Cassandra ich nie zauważyła. Siedziała w ogrodzie, na koślawym skrzypiącym krześle, nieopodal starej pralni, zapatrzona w tylną ścianę domu. Ściana zdecydowanie wymagała malowania. Aż trudno uwierzyć, że minęło już pięć lat. Według ekspertów dom powinien być malowany co siedem lat, jednak Nell nie miała w zwyczaju przestrzegać podobnych zasad. Przez wszystkie lata, w czasie których Cassandra mieszkała z babką, dom nie doczekał się generalnego malowania. Nell mówiła, że nie będzie szastała pieniędzmi tylko po to, żeby sąsiedzi mieli lepszy widok.

Jednak tylna ściana stanowiła odrębny problem. Według Nell była to jedyna ściana, na którą zwracały uwagę. Tak więc gdy boki i front domu łuszczyły się w ostrym queenslandzkim słońcu, jego tył był uosobieniem doskonałości. Co pięć lat w domu pojawiały się rozmaite tabele odcieni i zaczynał się długi i żmudny proces dobie-

rania koloru. Odkąd zamieszkała tu Cassandra, ściana zmieniała się jak kameleon, począwszy od turkusów i fioletów, a skończywszy na cynobrach i zieleniach. Raz nawet pojawiło się na niej malowidło, które nie spotkało się jednak z pełną aprobatą...

Cassandra miała dziewiętnaście lat i jej życie było słodkie. Była w połowie drugiego roku na akademii sztuk pięknych, jej sypialnia zmieniała się w studio po to, by idąc do łóżka, co wieczór mogła mijać deskę kreślarską. Poza tym marzyła o przeprowadzce do Melbourne, gdzie mogłaby studiować historię sztuki.

Nell niezbyt się ten pomysł podobał.

– Możesz studiować historię sztuki na Uniwersytecie Queensland – powtarzała. – Nie musisz wlec się aż na południe.

– Nie mogę wiecznie siedzieć w domu, Nell.

– Kto tu mówi o wieczności? Po prostu poczekaj jeszcze trochę i nabierz pewności siebie.

Cassandra wskazywała na siebie.

– Już jej nabrałam.

Nell się nie uśmiechała.

– Melbourne to drogie miasto i nie stać mnie na opłacanie twojego czynszu.

– Wiesz, że nie myję naczyń w Paddo Tav dla zabawy.

– Phi, przy takich zarobkach możesz zapomnieć o Melbourne na kolejne dziesięć lat.

– Masz rację.

Nell zadarła brodę i uniosła brew, zastanawiając się, co zwiastuje tak nagła kapitulacja.

– Sama nigdy nie odłożę wystarczająco dużo pieniędzy. – Cassandra przygryzła wargę i uśmiechnęła się z nadzieją. – Gdyby tylko ktoś zechciał udzielić mi pożyczki, ktoś kochający, komu zależy na tym, bym zrealizowała marzenia...

Nell wzięła porcelanową szkatułkę, którą zabierała do sklepu z antykami.

– Nie dam zapędzić się w ślepą uliczkę, moja droga.

To, co jeszcze chwilę temu zdawało się stanowczą odmową, roznieciło w Cassandrze isierkę nadziei.

– Porozmawiamy o tym później?

Nell spojrzała w sufit i przewróciła oczami.

– Obawiam się, że tak. Później i jeszcze później, i jeszcze później. – Westchnęła, dając tym samym do zrozumienia, że przynajmniej teraz uważa temat za zamknięty. – Masz wszystko, czego potrzeba, żeby pomalować tylną ścianę?

– Sprawdź.

– Nie zapomnisz użyć nowego pędzla? Nie chcę przez kolejne pięć lat wypatrywać pod farbą pogubionego włosia.

– Oczywiście, Nell. I żebyśmy się dobrze rozumiwały: zanim zacznę malować, muszę umoczyć pędzel w puszcze z farbą.

– Bezczelna jesteś.

Po południu, kiedy Nell wróciła do domu ze sklepu z antykami, skrzyła za rogiem i stojąc nieruchomo, podziwiała odświeżoną lśniącą ścianę.

Cassandra odsunęła się od swego dzieła i zacisnąwszy usta, starała się zapanować nad śmiechem. Czekala.

Cynober zdecydowanie rzucał się w oczy, jednak to pewien czarny szczegół przykuwał uwagę Nell. Podobieństwo było uderzające: Nell siedząca na swoim ulubionym krześle, trzymająca filiżankę gorącej herbaty.

– Chyba namalowałam cię w rogu, Nell. Nie chciałam, ale trochę mnie poniosło.

Twarz Nell przypominała maskę.

– Namaluję jeszcze siebie siedzącą obok. W ten sposób, nawet jeśli będę w Melbourne, będziesz miała wrażenie, że wciąż tu jestem.

Usta Nell zadrżały. Pokręciła głową, odstawiła szkatułkę, którą przyniosła ze sklepu i westchnęła.

– Jesteś bezczelną dziewczynką, nie mam co do tego żadnych wątpliwości – stwierdziła, po czym uśmiechnęła się i ujęła w dłonie twarz Cassandry. – Ale jesteś moją bezczelną dziewczynką i nie zamieniłabym cię na nikogo innego...

Nagły hałas i przeszłość zniknęły, zepchnięte w cień, niczym dym rozproszony przez jaśniejszą i głośniejszą teraźniejszość. Cassandra zamrugała i przetrzała oczy. Wysoko na niebie zawarczał samolot – biała plamka na bezkresnym morzu błękitu. To, że w środku są ludzie, że śmieją się, rozmawiają, jedzą i piją, zdawało się niewy-

obrażalne. Niektórzy z nich zapewne patrzą w dół, tak jak Cassandra spogląda w górę.

Kolejny hałas, tym razem bliżej. Szuranie.

– Witaj, Cassandro. – Koło domu pojawiła się znajoma postać, która stała przez chwilę, łapiąc oddech. W przeszłości Ben był wysokim mężczyzną, jednak okrutny czas nadawał ludziom kształty, których sami nie byli w stanie rozpoznać, co w przypadku Bena oznaczało ogrodowego gнома. Włosy miał białe, brodę szorstką, a jego uszy w niewyjaśniony sposób stały się czerwone.

Cassandra uśmiechnęła się wyraźnie zadowolona z wizyty. Nell nie była szczególnie towarzyska i nie ukrywała obrzydzenia do większości ludzi i ich neurotycznej potrzeby zyskiwania kolejnych sojuszników. Jednak ona i Ben mieli wiele wspólnego. Ben był handlowcem w centrum z antykami. Kiedyś pracował jako adwokat, jednak zmienił hobby w pracę, gdy jego żona umarła, firma, dla której pracował, delikatnie zasugerowała, że powinien przejść na emeryturę, a uzależnienie od kupowania starych mebli zagroziło utratą domu.

Dla dorastającej Cassandry był swego rodzaju autorytetem, uosobieniem mądrości, którą zarówno ceniła, jak i gardziła, a odkąd znowu zamieszkała z Nell, stał się jej serdecznym przyjacielem.

Ben wyciągnął zza betonowego budynku pralni stare podniszczone krzesło i usiadł na nim ostrożnie. Kolana, które ucierpiały w czasie drugiej wojny światowej, były dla Bena prawdziwym utrapieniem, zwłaszcza gdy zanosilo się na zmianę pogody.

Tymczasem Ben mrugnął do Cassandry, spoglądając na nią znad okragłych okularów.

– Masz rację. To cudowne miejsce, ciche i spokojne.

– To miejsce Nell. – Jej głos zabrzmiał dziwnie obco i Cassandra zastanawiała się, ile czasu upłynęło, odkąd zamieniła z kimś choć słowo. Chwilę później uświadomiła sobie, że ostatni raz rozmawiała z ludźmi tydzień temu w domu Phyllis.

– To dobrze. Nell zawsze wiedziała, gdzie usiąść.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Masz ochotę na filiżankę herbaty?

– Chętnie.

Weszła do kuchni tylnymi drzwiami i postawiła czajnik na kuchence. Woda wciąż była ciepła.

– Trzymasz się jakoś?

Wzruszyła ramionami.

– Nic mi nie jest. – Mówiąc to, przycupnęła na betonowym schodku obok krzesła.

Ben zacisnął blade usta i uśmiechnął się, tak że wąsy połączyły się z brodą.

– Kontaktowałeś się z matką?

– Przysłała kartkę.

– W takim razie...

– Pisała, że chciała przyjechać, ale oboje z Lenem byli zajęci. Caleb i Marie...

– Oczywiście, nastolatki pochłaniają mnóstwo czasu.

– To już nie nastolatki. Marie skończyła właśnie dwadzieścia jeden lat.

Ben gwizdnął.

– Jak ten czas leci.

Czajnik zaczął gwizdać.

Cassandra wróciła do kuchni, zalała torebkę wrzątkiem i patrzyła, jak woda staje się brązowa. To śmieszne, że dopiero za drugim podejściem Lesley okazała się tak dobrą matką. Jak dużo w życiu zależy od właściwego czasu.

Nalała do kubka odrobinę mleka, zastanawiając się, czy wciąż jeszcze nadaje się do picia i kiedy właściwie je kupiła. Z pewnością przed śmiercią Nell. Na opakowaniu znalazła datę – czternasty września. Który jest dziś? Nie była pewna. Mleko nie wyglądało na skwaśniałe. Wzięła kubek i wręczyła go Benowi.

– Przepraszam... mleko...

Upił łyk.

– Najlepsza herbata, jaką dziś piłem.

Przez moment spoglądał na nią, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Zamiast tego odchrząknął.

– Cass, przyszedłem tu zarówno w celach towarzyskich, jak i bardziej oficjalnych.

To, że śmierć zawsze pociąga za sobą sprawy oficjalne, było

oczywiste, mimo to Cassandra poczuła się zaskoczona, a słowa Bena sprawiły, że zakręciło jej się w głowie.

Skinęła głową. Oto cała Nell.

Ben sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej kopertę. Czas powygiął jej rogi i nadał papierowi niezdrowy żółtawy kolor.

– Sporządziła go jakiś czas temu. – Zerknął na kopertę, mrużąc oczy. – Dokładnie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym. – Dokończył, jakby oczekiwał, że to Cassandra przerwie milczenie. Kiedy tak się nie stało, ciągnął: – W większości jest niezwykle jasny. – Mówiąc to, wyjął zawartość koperty, jednak nie spojrzał na nią i pochylając się do przodu, oparł przedramiona na kolanach. Testament Nell zawisł bezwładnie w jego dłoni. – Twoja babka zostawiła ci wszystko, Cass.

Cassandra nie była zaskoczona, raczej wzruszona i może dziwnie samotna, ale nie zaskoczona. No bo któż inny mógłby coś dostać? Z pewnością nie Lesley. Mimo iż Cassandra już dawno temu przestała winić matkę, Nell nigdy nie wybaczyła córce tego, co zrobiła. „Żeby porzucić dziecko – stwierdziła kiedyś w rozmowie, pewna, że Cassandry nie ma w pobliżu – trzeba być zimnym, nieczułym człowiekiem, który z całą pewnością nie zasługuje na wybaczenie”.

– Naturalnie chodzi o dom, trochę pieniędzy na koncie oszczędnościowym i wszystkie antyki. – Zawahał się i spojrzał na Cassandrę, jakby oceniał, czy jest gotowa na coś, co ma dopiero nadejść. – Jest jeszcze jedna rzecz. – Zerknął w papiery. – W ubiegłym roku, gdy zdiagnozowano u niej chorobę, Nell zaprosiła mnie na poranną herbatę.

Cassandra pamiętała. Kiedy przyniosła śniadanie, Nell oznajmiła, że spodziewa się wizyty Bena i chciałaby porozmawiać z nim na osobności. Poprosiła Cassandrę, by skatalogowała dla niej kilka książek, mimo iż minęły lata, odkąd Nell zajmowała się stoiskiem.

– Tamtego dnia dała mi coś – wyznał Ben. – Zapieczętowaną kopertę. Powiedziała, że mam otworzyć ją tylko jeśli... kiedy... – Zaciśnął usta. – Sama zresztą wiesz.

Cassandra zadrżała, czując, na ramionach powiew chłodnego wiatru.

Ben machnął ręką. Papiery załopotały, jednak on wciąż milczał.

– Co to jest? – spytała Cassandra, czując, jak niepewność zaczyna ją ciążyć jej na żołądku. – Możesz mi powiedzieć. Nic mi nie będzie.

Zaskoczony jej tonem Ben podniósł wzrok. Chwilę później się roześmiał.

– Nie denerwuj się, Cass. To nic strasznego. Wręcz przeciwnie. – Zastanowił się przez moment. – To chyba bardziej tajemnica niż nieszczęście.

Cassandra odetchnęła. Wzmianka o tajemnicach najwyraźniej jej nie uspokoiła.

– Zrobiłem, co mi kazała. Odłożyłem kopertę i do wczoraj jej nie otwierałem. Gdy to zrobiłem, zatkało mnie. – Uśmiechnął się. – W środku jest akt własności innego domu.

– Czyjego domu?

– Domu Nell.

– Nell nie ma innego domu.

– Chyba jednak ma albo raczej miała. A teraz ten dom należy do ciebie.

Cassandra nie lubiła niespodzianek, ich nagłości i przypadkowości. W przeszłości potrafiła pogodzić się z tym, że los bywa nieprzewidywalny, teraz sama myśl o tym napawała ją lękiem. Podniosła leżący obok buta wyschnięty liść i w zamyśleniu zaczęła składać go na coraz mniejsze części.

Odkąd zamieszkały razem, Nell słowem nie wspomniała o innym domu, ani wtedy gdy Cassandra dorastała, ani po jej powrocie. Dlaczego? Dlaczego miałyby trzymać coś takiego w tajemnicy? Co chciała z tym domem zrobić? Czy była to inwestycja? Cassandra słyszała, jak ludzie popijający kawę w Latrobe Terrace rozmawiali o rosnących cenach nieruchomości i inwestycjach, ale Nell? Nell zawsze nabijała się ze śródmięjskich yuppies, którzy bulili małe fortuny za maleńkie, drewniane chatki w okolicach Paddington.

Poza tym już dawno temu osiągnęła wiek emerytalny. Jeśli dom miał być inwestycją, dlaczego go nie sprzedała? Dlaczego nie wykorzystwała pieniędzy ze sprzedaży? Handel antykami miał swoje dobre strony, ale zarobki z pewnością do nich nie należały. Nie w tych czasach. Nell i Cassandra zarabiały wystarczająco dużo, by starczyło im

na życie, ale nic ponad to. Były czasy, gdy inwestycje naprawdę się opłacały, jednak Nell nigdy o tym nie wspomniała.

– Ten dom... – podjęła w końcu. – Gdzie on jest? Gdzieś blisko?

Ben pokręcił głową i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Właśnie tu cała ta historia robi się naprawdę tajemnicza. Ten drugi dom jest w Anglii.

– W Anglii?

– W Zjednoczonym Królestwie, w Europie, na drugim końcu świata.

– Wiem, gdzie jest Anglia.

– W Kornwalii, a dokładnie w mieście o nazwie Tregenna. Przejrzałem tylko dokumenty, ale wiem, że dom nazywa się Cliff Cottage. Sądząc po adresie, przypuszczam, że kiedyś był częścią większej posiadłości wiejskiej. Jeśli chcesz, mogę się dowiedzieć.

– Ale czy ona... Jak ona... – Cassandra odetchnęła. – Kiedy go kupiła?

– Na akcie własności widnieje data szósty grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty.

Cassandra splotła ramiona.

– Przecież Nell nigdy nie była nawet w Anglii.

Tym razem to Ben wyglądał na zaskoczonego.

– Owszem, była. W połowie lat siedemdziesiątych pojechała na wycieczkę do Zjednoczonego Królestwa. Nigdy ci nie mówiła?

Cassandra powoli pokręciła głową.

– Pamiętam, kiedy wyjechała. To były początki naszej znajomości, kilka miesięcy przed tym, gdy pojawiłaś się w jej życiu. Miała wtedy malutki sklepik nieopodal Stafford Street. Kupiłem od niej parę rzeczy, byliśmy wówczas dobrymi znajomymi. Nie było jej przez ponad miesiąc. Pamiętam, bo tuż przed wyjazdem zarezerwałem u niej biurko z drewna cedrowego, prezent urodzinowy dla żony – przynajmniej tak miało być, ale wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Za każdym razem, gdy szedłem je odebrać, sklep był zamknięty. Nie muszę chyba mówić, że byłem wściekły. Zbliżała się pięćdziesiątka Janice, a biurko było idealne. Kiedy wpłacałem zaliczkę, Nell nie mówiła, że wyjeżdża na wakacje. Prawdę powiedziawszy, dokładała wszelkich starań, by przedstawić w skrócie zasady rezer-

wacji towaru. Oznajmiła, że oczekuje regularnych cotygodniowych wpłat i że będę musiał odebrać towar w ciągu miesiąca. Stwierdziła, że jej sklepik to nie przechowalnia i potrzebuje dużo miejsca na kolejne towary.

Zupełnie, jakby słyszała Nell. Na samą myśl o tym Cassandra się uśmiechnęła.

– Strasznie obstawała przy swoim, dlatego tak bardzo zdziwiło mnie, że zniknęła. Kiedy emocje opadły i przestałem się denerwować, zacząłem się martwić. Myślałem nawet o tym, żeby zawiadomić policję. – Mówiąc to, machnął ręką. – Okazało się jednak, że nie było to konieczne. Podczas czwartej czy piątej wizyty wpadłem na sąsiadkę Nell, która odbierała jej pocztę. Powiedziała mi, że Nell wyjechała do Anglii, i była wyraźnie oburzona, gdy zacząłem wypytywać o to, dlaczego wyjechała i kiedy wróci. Burknęła tylko, że robi to, o co ją poproszono, i nic więcej nie wie. Tak więc sprawdzałem, urodziny mojej żony już dawno minęły, i pewnego dnia zastałem sklep otwarty. Nell wróciła.

– A podczas wyjazdu kupiła dom.

– Najwyraźniej.

Cassandra otuliła się swetrem. To nie miało sensu. Po co Nell ni z tego, ni z owego miałaby wyjeżdżać na wakacje i kupować dom, do którego nigdy nie wróciła?

– Naprawdę nic więcej nie powiedziała? Nigdy?

Ben uniósł brwi.

– Mówimy o Nell. Dobrze wiesz, że nie była skora do zwierzeń.

– Ale byliście sobie bliscy. Z pewnością musiała o tym wspominać. – Słyszac to, Ben pokręcił głową, podczas gdy Cassandra obstawała przy swoim: – A gdy już wróciła, gdy w końcu odebrałeś biurko, nie zapytałeś jej, dlaczego wyjechała tak nagle?

– Oczywiście, że pytałem. Przez wszystkie te lata nieraz próbowałem się dowiedzieć. Wiedziałem, że chodziło o coś ważnego. Widzisz, kiedy Nell wróciła, była jakby odmieniona.

– Jak to?

– Bardziej nerwowa, tajemnicza. Nie mówię tak, patrząc na to z perspektywy czasu. Kilka miesięcy później prawie odkryłem jej tajemnicę. Byłem w sklepie, kiedy dostała list z Truro. Wchodząc, na-

tknąłem się na listonosza, więc przy okazji wziąłem pocztę Nell. Pamiętam, że próbowała zachowywać się naturalnie, jakby nic się nie stało, ale znałem ją już wystarczająco dobrze. Była podekscytowana tym listem. Zaraz też znalazła pretekst, żeby zniknąć na zapleczu.

– Co było w liście? Kto go przysłał?

– Muszę przyznać, że ciekawość wzięła górę. Wprawdzie nie posunąłem się tak daleko, by przeczytać list, ale zerknąłem na kopertę, żeby zobaczyć, kto go wysłał. Zapamiętałem adres i poprosiłem starego znajomego z Anglii, by dowiedział się czegoś więcej. Był to adres detektywa.

– Kogoś takiego jak Sherlock Holmes?

Ben pokiwał głową.

– To oni naprawdę istnieją?

– Jasne.

– Ale czego Nell mogłaby chcieć od angielskiego detektywa?

Ben wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Przypuszczam, że chodziło o rozwiązanie jakiejś zagadki. Przez jakiś czas robiłem aluzje, próbowałem wyciągnąć z niej jakieś informacje. Na próżno. W końcu dałem spokój. Stwierdziłem, że każdy ma prawo do sekretów i że gdyby chciała, z pewnością o wszystkim by mi powiedziała. Prawdę powiedziawszy, i tak miałem wyrzuty sumienia, że w ogóle węszyłem w tej sprawie. – Pokręcił głową. – Muszę przyznać, że naprawdę mnie to zaintrygowało. Cała ta sprawa przez długi czas nie dawała mi spokoju – machnął aktem własności – a teraz jeszcze to. Nawet po śmierci twoja babka wie, jak wprawić mnie w zakłopotanie.

Cassandra z roztargnieniem pokiwała głową. Myślami była gdzie indziej i desperacko starała się połączyć fakty. Wszystko przez gadaninę Bena o tajemnicach, przez to, że wierzył, iż Nell starała się rozwiązać jedną z nich. Wszystkie niewyjaśnione zagadki, które wyszły na światło dzienne wraz ze śmiercią Nell, zaczynały się ze sobą spletać: jej nieznane pochodzenie, fakt, że gdy była dzieckiem odnaleziono ją w porcie, walizka, tajemnicza podróż do Anglii, dziwny dom...

– No cóż – Ben wrzucił fusy do doniczki czerwonego geranium – lepiej już pójść. Za piętnaście minut mam klienta, który chce obej-

rzeć mahoniowy kredens. To może być cholernie dobry interes, chciałbym go sfinalizować. Skoro już będę w centrum, chcesz, żebym coś załatwił?

Cassandra pokręciła głową.

– W poniedziałek sama wybieram się do miasta.

– Nie ma pośpiechu, Cass. Przecież wiesz, że zawsze chętnie zajmę się domem. Po południu, kiedy pozałatwiam już wszystkie sprawy, przywiozę ci pieniądze.

– Dzięki, Ben – odparła. – Za wszystko.

Mężczyzna wstał, odstawił na miejsce składane krzesło i umieścił akt notarialny pod filiżanką. Już miał zniknąć za rogiem domu, kiedy nagle przystanął i odwrócił się.

– Uważaj na siebie, dobrze? Jeśli wiatr się nasili, odfruniesz.

Zmarszczki na jego czole były wyrazem szczerej troski i Cassandra z trudem wytrzymała jego spojrzenie. Spojrzenie, które zbyt jasno odzwierciedlało myśli Bena. Dręczyła ją świadomość, że oto ma przed sobą człowieka, który pamięta ją taką, jaką była kiedyś.

– Cass?

– W porządku, Ben. – Machnęła ręką, by chwilę później wsłuchać się w ryk silnika odjeżdżającego auta. Jego współczucie, choć szczere i pełne dobrych chęci, zdawało się Cassandrze podszyte pogardą. Rozczarowaniem, że nie była w stanie – lub po prostu nie chciała – wrócić do swego dawnego „ja”. Nie przyszło mu do głowy, że może właśnie taka chciała być. Że tam, gdzie on dostrzegał rezerwę i samotność, Cassandra wyczuwała instynkt samozachowawczy i świadomość, że człowiek jest bardziej bezpieczny, gdy ma mniej do stracenia.

Wbiła czubki tenisówek w cementową ścieżkę i wyrzuciła z głowy stare smutne myśli. Dopiero teraz wzięła do rąk akt notarialny i po raz pierwszy dostrzegła przyczepioną do pierwszej strony małą karteczkę. Była napisana pismem Nell prawie niemożliwym do odczytania. Przysunęła ją do oczu, oddaliła, powoli rozróżniając poszczególne słowa. *Dla Cassandry, którą zrozumie dlaczego.*

8

Brisbane, 1975

Nell po raz kolejny przejrzała dokumenty – paszport, bilet, czeki podróżne – zapięła torbę i srogo się zbeształa. Przecież takie rzeczy są na porządku dziennym. Ludzie codziennie latają samolotami albo przynajmniej tak jej mówiono. Przypinają się pasami we wnętrzu ogromnych blaszanych puszek i pozwalają wystrzelić się w powietrze. Na myśl o tym odetchnęła głęboko. Wszystko będzie dobrze. Przecież już raz ocalała.

Przez chwilę krążyła po domu, sprawdzając, czy okna są zamknięte. Weszła do kuchni, by upewnić się, czy zakręciła gaz, rozmroziła lodówkę i włączyła gniazdką. W końcu postawiła walizki przed tylnymi drzwiami i zamknęła dom. Naturalnie wiedziała, dlaczego tak się denerwuje i nie była to obawa przed tym, że czegoś zapomni ani nawet tym, że samolot spadnie z nieba. Denerwowała się, ponieważ wracała do domu. Po tylu latach nareszcie wracała do domu.

Wszystko to wydarzyło się tak nagle. Jej ojciec Hugh odszedł zaledwie kilka miesięcy temu, a ona już otwierała drzwi do przeszłości. Musiał wiedzieć, że tak właśnie robi. Gdy pokazał Phyllis walizkę, poprosił, by po jego śmierci oddała ją Nell. Musiał coś podejrzewać.

Czekając przy drodze na taksówkę, Nell spozrzała na bladożółty dom. Z tej perspektywy wydawał się niebywale wysoki i zupełnie niepodobny do żadnego innego domu, który widziała w swym życiu. O jego wyjątkowości świadczyły zamknięte przed laty, zabawne małe schody, fantazyjne daszki w różowe, niebieskie i białe pasy

i dwa mansardowe okna na szczycie dachu. Dom był zbyt wąski i zbyt kanciasty, by nazwać go eleganckim, a jednak kochała go całym sercem. Jego niezdarność, przypadkowość i nieznanie pochodzenie. Padł ofiarą czasu i kolejnych właścicieli, z których każdy chciał pozostawić na fasadzie trwałe ślad.

Kupiła go w 1961, tuż po śmierci Ala, kiedy wraz z Lesley wróciły z Ameryki. Budynek był zaniedbany, jednak jego lokalizacja na wzgórzach Paddington, za starym teatrem Plaza, przypominała Nell dom. Budynek wynagrodził nadzieję, jaką w nim pokładała, a nawet przyniósł kolejne źródło dochodu. Nell natknęła się na piwnicę pełną połamanych mebli, a wśród nich wymarzony stół w kolorze jęczmienia, z giętymi nogami i opuszczanym blatem. Mebel był w opłakanym stanie, jednak Nell się nie zastanawiała. Kupiła papier ścierny i szelak, i postanowiła przywrócić stół do życia.

To dzięki Hugh wiedziała, jak odnawiać meble. Gdy wrócił z wojny, a na świat zaczęły przychodzić kolejne siostry, Nell spędzała z nim całe weekendy. Stała się jego pomocnicą, nauczyła się rozróżniać zawiasy wczepinowe, szelak i pokost, i odkryła radość płynącą ze składania połamanych przedmiotów. Od ostatniego razu minęło jednak sporo czasu i dopiero widok stołu przypominał jej, jak bardzo lubiła to robić i w jaki sposób należy przeprowadzać podobne zabiegi. Mogła płakać, wcierając szelak w toczzone drewniane nogi i wdychając znajome opary, ale Nell nie należała do płaczliwych dzieci.

Skupiła uwagę na rosnącej obok walizki więdnącej gardenii i przypomniała sobie, że nie poprosiła nikogo, by podczas jej nieobecności zajął się ogrodem. Dziewczyna z domu obok zgodziła się wystawiać mleko dla blukających się kotów. Załatwiła kobietę do odbierania poczty w sklepie, ale o kwiatkach zupełnie zapomniała. Fakt, że zapomniała o swojej największej radości i dumie, świadczył o tym, jak bardzo inne rzeczy zaprzętały jej umysł. Będzie musiała poprosić którąś z sióstr, zadzwonić z lotniska albo z drugiego końca świata. Po raz kolejny je zaskoczy.

Aż trudno uwierzyć, że kiedyś były sobie tak bardzo bliskie. Spośród wielu rzeczy, które utraciła wraz z wyznaniem ojca, ta strata pozostawiła w jej sercu najgłębszą ranę. Miała jedenaście lat, gdy

na świat przyszła pierwsza siostra, jednak więź, jaka się między nimi narodziła, niemal pozbawiła Nell tchu. Wiedziała, że jest odpowiedzialna za swoje małe siostrzyczki i ich bezpieczeństwo. W nagrodę zaskarbiła sobie ich miłość i oddanie. To ona tuliła je, kiedy cierpiały, i to do jej łóżka uciekały, by przetrwać długie, pełne koszmarów noce.

Jednak sekret taty zmienił wszystko. Jego słowa cisnęły w powietrze księgę jej życia, mieszając kartki tak, że stworzyły zupełnie nową opowieść, a ona nie była w stanie złożyć ich z powrotem. Łapała się na tym, że nie umie patrzeć na siostrzyczki, nie widząc przy tym swojej inności. A przecież nie mogła powiedzieć im prawdy. Gdyby to zrobiła, zniszczyłaby coś, w co w duchu wierzyła. Dlatego wolała stać się dziwaczką niż kimś zupełnie obcym.

Na ulicę zajechała biało-czarna taksówka i Nell zatrzymała ją machnięciem ręki. Kierowca pakował bagaże, podczas gdy ona zajęła miejsce na tylnym siedzeniu.

– Dokąd jedziemy, skarbie? – spytał, trzaskając drzwiami.

– Na lotnisko.

Skinął głową i już po chwili mknęli labiryntem wąskich uliczek.

Gdy skończyła dwadzieścia jeden lat, ojciec wyszeptał słowa, które ograbiły ją z tożsamości.

– Ale kim jestem? – spytała.

– Jesteś sobą. Tak jak zawsze. Jesteś Nell, moją Nellie.

Słyszała w jego głosie, jak bardzo pragnął w to uwierzyć, jednak ona wiedziała lepiej. Rzeczywistość wokół niej zmieniła się tylko nieznacznie, ale ona już czuła, że nie pasuje do ich świata. Osoba, którą była – albo którą myślała, że jest – nie istniała. Nie było żadnej Nell O'Connor.

– Kim naprawdę jestem? – powtórzyła pytanie kilka dni później. – Proszę, tatusiu, powiedz mi.

– Nie wiem, Nellie. – Pokręcił głową. – Twoja mama i ja nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Zresztą dla nas nie było to istotne.

Starła się, by i dla niej nie miało to znaczenia, ale było zupełnie inaczej. Nagle wszystko się zmieniło i nie potrafiła już patrzeć ojcu w oczy. Nie dlatego, że nie kochała go tak jak kiedyś. Po prostu zniknęła ta naturalna łatwość. Uczucia, które do niego żywiła, niegdyś

niewidoczne i niekwestionowane, teraz stały się ciężkie i nabrzmiałe od słów. Gdy na niego patrzyła, słyszała w głowie cichy szept: „Nie jesteś jego”. Niezależnie od tego, jak próbował ją przekonać, nie mogła uwierzyć w jego miłość i w to, że kocha ją równie mocno jak pozostałe dziewczynki.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział, gdy go o to spytała. Jego oczy zdradzały bezbrzeżne zdumienie i ból. Po chwili wyjął chusteczkę i przetarł usta. – Ty pierwsza pojawiłaś się w moim życiu, i to ciebie kocham najdłużej.

To jednak nie wystarczyło. Była kłamstwem, żyła w kłamstwie i dłużej tak nie mogła.

W ciągu zaledwie kilku miesięcy dwadzieścia jeden lat życia rozsypało się jak domek z kart. Nell porzuciła pracę w agencji prasowej pana Fitzsimmonsa i zaczęła pracować jako bileterka w nowo otwartym teatrze Plaza. Spakowała ubrania w dwie małe walizki i zamieszkała ze znajomą przyjaciółki. W końcu zerwała zaręczyny z Dannym. Nie od razu, brakowało jej odwagi, by tak po prostu wszystko zakończyć. Miesiącami pozwalała, by związek umierał powolną straszliwą śmiercią, odmawiała kolejnych spotkań, a gdy znalazła czas dla Danny’ego, była opryskliwa. Nienawidziła się za to tchórzostwo, jednak ta nienawiść dodawała jej otuchy i coraz bardziej utwierdzała w przekonaniu, że zasługuje na wszystko, co ją spotkało w życiu.

Potrzebowała dużo czasu, by otrząsnąć się po zerwaniu z Dannym. Wymazać z pamięci jego twarz, szczere oczy i radosny uśmiech. Naturalnie chciał wiedzieć dlaczego, jednak nie mogła mu powiedzieć. Nie było takich słów, które mogły mu wyjaśnić, że kobieta, którą kochał i którą miał nadzieję poślubić, przestała istnieć. Jak mogła oczekiwać, że będzie ją szanował, jeśli dowie się, że była towarem jednorazowego użytku? Że jej prawdziwa rodzina tak po prostu ją porzuciła?

Taksówka skręciła w Albion i pognała w kierunku lotniska.

– Dokąd się pani wybiera? – spytał kierowca, zerkając na nią we wstecznym lusterku.

– Do Londynu.

– Ma tam pani rodzinę?

Nell wyrzała przez brudne okno.

– Tak – westchnęła z nadzieją.

Nie powiedziała Lesley o wyjeździe. Myślała o tym, wyobrażała sobie, że podnosi słuchawkę i wykręca numer córki – ostatni na długiej liście kontaktów – jednak za każdym razem porzucała ten pomysł. Prawdopodobnie zdąży wrócić do domu, zanim Lesley zorientuje się, że zniknęła.

Nell nie musiała zastanawiać się, w którym momencie zaczęły się problemy z Lesley, wiedziała to aż za dobrze. Ich relacje zaczęły się fatalnie i takie już pozostały. Jej narodziny były szokiem, nagłym pojawieniem się rozwrzeszczanego, płaczącego, pełnego życia tobołka, rączek, nóżek, dziąseł i rozbieganych paluszków.

Noc w noc rozbudzona Nell leżała w amerykańskim szpitalu, czekając na więź, o której mówili ludzie. Na świadomość, że jest w cudowny sposób związana z tą małą istotką, która rosła w jej wnętrzu. Jednak uczucie nie przyszło. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała i jak bardzo go pragnęła, pozostawała niewzruszona wobec małego lwiatka, które gryzło i drapało jej piersi, zawsze chcąc więcej, niż była w stanie mu dać.

Tymczasem Al był zakochany po uszy. Oczarowany. W ogóle nie zwracał uwagi na to, że dziecko jest prawdziwym małym hultajem. W przeciwieństwie do większości mężczyzn z radością tulił córeczkę, trzymał ją na zgięciu ramienia i przechadzał się z nią szerokimi ulicami Chicago. Czasami Nell patrzyła z przylepionym do twarzy sztucznym uśmiechem, jak z miłością wpatruje się w córeczkę. Kiedy podnosił wzrok, widziała w jego oczach, swoje puste, beznamienne spojrzenie.

Lesley od urodzenia miała w sobie nutkę dzikości, jednak śmierć Ala w 1961 to zmieniła. Gdy Nell przekazywała córce smutne wieści, widziała, jak oczy Lesley zachodzą mgłą rezygnacji i znużenia. Przez kolejne miesiące, Lesley, która dla Nell zawsze stanowiła zagadkę, otaczała się coraz szczelniejszym kokonem młodzieńczej pewności, dając jasno do zrozumienia, że gardzi matką i nie chce mieć z nią nic wspólnego.

Było to zrozumiałe – Lesley miała przecież czternaście lat, była podatna na wpływy i ogromnie kochała ojca. Patrząc wstecz, prze-

prowadzka do Australii niewiele pomogła. Nell wiedziała jednak, że nie należy obwiniać się za błędy popełnione w przeszłości. Zrobiła to, co w tamtym czasie wydawało jej się najlepszym rozwiązaniem. Nie była Amerykanką, matka Ala zmarła kilka lat wcześniej i jakkolwiek by na to spojrzeć, zostały z Lesley zupełnie same. Obce w obcym kraju.

Nell nie protestowała, gdy w wieku siedemnastu lat Lesley opuściła dom, by autostopem przejechać wzdłuż wschodniego wybrzeża Australii, aż do Sydney. Pozbywając się Lesley, odczuła ogromną ulgę. Od siedemnastu lat sumienie mówiło jej, że jest fatalną matką, że córka jej nienawidzi, że ma to we krwi, że w ogóle nie zasługuje na dzieci. Mimo że Lil miała w sobie dużo ciepła, Nell zaliczała siebie do wyrodnych matek, które bez skrupułów porzucają własne potomstwo.

Jak się okazało, nie było to wcale takie złe. Dwanaście lat później Lesley mieszkała bliżej domu, na Złotym Wybrzeżu, ze swoim ostatnim facetem i córką Cassandrą. Nell widziała dziewczynkę zaledwie kilka razy. Bóg jeden wie, kim był jej ojciec. Nell bała się zapytać. Kimkolwiek jednak był, musiał mieć odrobinę zdrowego rozsądku, ponieważ dziewczynka nie była tak dzika jak jej matka. Właściwie w ogóle nie była do niej podobna. Cassandra była dzieckiem, którego dusza przedwcześnie dojrzała. Cicha, cierpliwa, zamyślona, lojalna wobec Lesley – naprawdę wspaniałe dziecko. Miała w sobie ukrytą powagę, posępne błękitne oczy o delikatnie opadających kącikach i ładne usta, które wyglądałyby cudownie, gdyby od czasu do czasu pojawił się na nich beztroski, pełen radości uśmiech.

Czarno-biała taksówka zatrzymała się przed drzwiami Qantas. Nell wręczyła kierowcy należność, zapominając o Lesley i Cassandrze.

Zmarnowała na żalu wystarczająco dużo życia, grzęznąc w kłamstwach i niepewności. Teraz nadszedł czas odpowiedzi, czas, by dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Wyskoczyła z taksówki, zerkając na jeden ze startujących samolotów.

– Miłej podróży, skarbie – rzucił taksówkarz, niosąc jej bagaże do wózka.

– Mam nadzieję.

I faktycznie ją miała. Teraz, kiedy odpowiedzi były w zasięgu ręki. Po tylu latach, w czasie których była cieniem samej siebie, zamierzała stać się człowiekiem z krwi i kości.



Kluczem do wszystkiego była mała biała walizka albo raczej jej zawartość. Książka z baśniami wydana w 1913 roku w Londynie i zdjęcie na frontyspisie. Nell natychmiast rozpoznała twarz autorki. Zanim świadomy umysł zdążył zareagować, tajemna, prastara część mózgu odnalazła imiona, które do niedawna zdawały się być częścią dziecięcej gry. Pani. Autorka. Nie tylko wiedziała, że kobieta naprawdę istniała, ale знаła też jej nazwisko. Eliza Makepeace.

Pierwszą naturalną rzeczą, jaka przyszła jej do głowy, była myśl, że Eliza Makepeace jest jej matką. Kiedy pytała o nią w bibliotece, zaciskała pięści w nadziei, że bibliotekarka poinformuje ją, że Eliza Makepeace straciła dziecko i całe życie poświęciła na szukanie córki. Naturalnie teoria ta była zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Informacje na temat autorki były niezwykle skąpe, jednak wystarczyły, by przekonać się, że pisarka o tym nazwisku nie miała dzieci.

Listy pasażerów również nie okazały się pomocne. Nell sprawdziła każdy statek, który pod koniec 1913 roku wypłynął z Londynu do Maryborough. Jeśli wierzyć dokumentom, na żadnym z nich nie było Elizy Makepeace. Naturalnie istniała szansa, że kobieta tworzyła pod pseudonimem, a rezerwacji dokonała na prawdziwe lub co gorsza, wymyślane nazwisko. Hugh nigdy nie powiedział Nell, którym statkiem przypłynęła, a bez tego nie mogła zawęzić poszukiwań.

Mimo to nie zniechęcała się. Eliza Makepeace była istotna i odegrała w jej przeszłości kluczową rolę. Nell ją pamiętała. I choć były to stare, niewyraźne wspomnienia, pochodziły z realnego świata. Bycie na statku. Czekanie. Ukrywanie się. Zabawa. Powoli zaczynała przypominać sobie inne rzeczy, jak gdyby wspomnienie Autorki uruchomiło w jej umyśle jakiś mechanizm, podniosło ciężkie wieko. Jedne po drugich, pojawiały się kolejne wspomnienia: labirynt, stara przerażająca kobieta, długa podróż przez wodę. Wiedziała, że dzięki Elizie odnajdzie samą siebie, a żeby odnaleźć Elizę, musiała

pojechać do Londynu.

Dzięki Bogu, że miała pieniądze na podróż. Choć tak naprawdę powinna dziękować ojcu, który miał z tym znacznie więcej wspólnego niż Bóg. W białej walizce, obok baśni, szczotki do włosów i dziewczęcej sukieneczki, Nell znalazła list od Hugh, zdjęcie i czek. Nie były to duże pieniądze – Hugh nie był zamożnym człowiekiem – jednak wystarczyły, by odmienić jej życie. W liście pisał, że pragnie, by kupiła sobie coś wyjątkowego, nie chciał jednak, by pozostałe córki dowiedziały się o pieniądzach. Naturalnie pomagał im, jak tylko mógł, jednak Nell jako jedyna odmawiała pomocy. Hugh wierzył, że tym razem nie powie „nie”.

Później przepraszał, z nadzieją, że pewnego dnia Nell mu wybaczy. Że być może znajdzie ulgę w tym, iż on sam nigdy nie pozbył się poczucia winy, które prześladowało go przez całe życie. Przeżył je, żałując, że powiedział jej prawdę. Gdyby miał więcej odwagi, żałowałby, że w ogóle ją przygarnął. Żałować, że pojawiła się w jego życiu? Wolał żyć z potwornym poczuciem winy niż ze świadomością, że porzucił Nell.

Fotografia była jej znana, choć Nell nie widziała jej od dłuższego czasu. Było to czarno-białe zdjęcie – właściwie brązowo-białe – zrobione dziesiątki lat temu. Hugh, Lil i Nell, zanim na świat przyszły pozostałe dziewczynki, a wraz z nimi śmiech, krzykliwe głosiki i dziewczęce popiskiwanie. Było to jedno z tych zdjęć, na których ludzie wydają się nieco zaskoczeni. Jakby wyrwano ich z rzeczywistości, zmniejszono i umieszczono w domku dla lalek pełnym dziwnych rekwizytów. Patrząc na nie, Nell była przekonana, że pamięta dzień, w którym zostało zrobione. Być może wspomnienia z dzieciństwa były skąpe, jednak doskonale pamiętała fakt, że natychmiast poczuła niechęć do cuchnącego wywoływaczami studia fotograficznego. Odłożyła zdjęcie i po raz kolejny sięgnęła po list od ojca.

Niezależnie od tego, ile razy go czytała, zastanawiała się nad doborem słów i emanującym z listu poczuciem winy. Przypuszczała, że ojciec czuł się winny, ponieważ swym wyznaniem pogrążył jej życie w chaosie. Mimo to jego słowa brzmiały dziwnie niepokojąco. Zrozumiałaby, gdyby było mu przykro, gdyby wyrażał żal. Ale poczucie winy? Nie rozumiała tego. Niezależnie od tego, jak bardzo chciała,

aby to wszystko się nie wydarzyło i jak bardzo pragnęła porzucić dotychczasowe życie w kłamstwie, nigdy nie winiła za nic rodziców. W końcu zrobili to, co uważali za najlepsze, to, co było najlepsze. Dali jej dom i miłość. Fakt, że ojciec czuł się winny, był niepokojący. Było już jednak za późno, by spytać go, co miał na myśli.

9

Maryborough, 1914

Nell była z nimi od sześciu miesięcy, gdy do portowego biura przyszedł list. Mężczyzna z Londynu poszukiwał czteroletniej dziewczynki. Włosy rude. Oczy niebieskie. Dziecko zaginęło prawie osiem miesięcy temu i mężczyzna – z listu wynikało, że nazywa się Henry Mansell – ma powody przypuszczać, że weszło na pokład statku, prawdopodobnie transportowca płynącego do Australii. Poszukuje go w imieniu swych klientów, rodziny dziewczynki.

Stojąc przy biurku, Hugh poczuł, że uginają się pod nim nogi. Oto nadszedł moment, którego tak bardzo się bał, moment, którego się spodziewał. W przeciwieństwie do tego, w co wierzyła Lil, dzieci – zwłaszcza takie jak Nell – nie znikają ot, tak sobie. Usiadł w fotelu i starając się zapanować nad oddechem, spojrzał w okno. Nagle stwierdził, że jest dobrze widoczny, jakby za oknami czał się niewidzialny wróg.

Przesunął dłonią po twarzy i potarł obolały kark. Cholera, co powinien teraz zrobić? Niebawem do biura przyjdą inni pracownicy, którzy z pewnością zauważą list. I choć Hugh jako jedyny widział siedzącą na nabrzeżu dziewczynkę, wiedział, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Niebawem ludzie w mieście zaczną gadać, aż w końcu ktoś skojarzy fakty. Zauważy, że mała dziewczynka mieszkająca z O'Connorsami przy Queen Street, ta z dziwnym akcentem, do złudzenia przypomina zaginioną Angielkę.

Nie, nie może pozwolić, by ktokolwiek przeczytał ten list. Przez chwilę spoglądał na swoje trzęsące się ręce. Następnie złożył staran-

nie list i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki. To powinno na jakiś czas załatwić sprawę.

Usiadł i od razu poczuł się lepiej. Potrzebował tylko czasu, by pomyśleć, by zastanowić się, jak powiedzieć Lil, że nadszedł czas, by oddać Nell. Przygotowania do przeprowadzki były już w toku. Lil poinformowała właściciela domu, że niebawem opuszczą mieszkanie, zaczęła już nawet pakować rzeczy i rozgłaszać w mieście, że Hugh dostał ofertę pracy w Brisbane i byłiby głupcami, gdyby nie wykorzystali takiej okazji.

Jednak wszystko można odwołać, co więcej, należy odwołać. Fakt, że ktoś poszukuje Nell, zasadniczo zmienia postać rzeczy, prawda?

Wiedział, co na to powie Lil: że ci ludzie, ten Henry Mansell, nie zasługują na Nell. Że przecież ją zgubili. Będzie go prosiła, błagała, tłumaczyła, że nie mogą oddać Nell komuś, kto okazał się tak nieostrożny. Jednak Hugh uświadomi jej, że nie była to kwestia wyboru, wyjaśni, że Nell nie jest ich własnością, że nigdy nie była ich dzieckiem i należy do kogoś innego. Że wcale nie ma na imię Nell.

Gdy tego popołudnia wracał do domu, przystanął na schodach, by w spokoju zebrać myśli. Wdychając dobywający się z komina, gryzący dym, czuł się, jakby czyjaś niewidoczna twarz nie pozwalała mu się ruszyć. Miał wrażenie, że stoi w progu ze świadomością, iż przekroczenie go na zawsze odmieni jego życie.

Odetchnął głęboko, pchnął drzwi i spojrzał w twarze swych dwóch kobiet. Siedziały przy kominku, Nell na kolanach Lil, która rozczesywała długie pasma mokrych rudych włosów.

– Tatuś! – pisnęła dziewczynka, a na jej różowej twarzyczce rozkwitł rumieniec podniecenia.

Lil uśmiechnęła się do męża, patrząc na niego znad wilgotnych loków Nell. Był to uśmiech, który zawsze doprowadzał go do zguby. Od czasu, gdy zauważył ją po raz pierwszy, zwijając liny w należącej do ojca Lil szopie dla łodzi. Kiedy po raz ostatni widział ten uśmiech? Przed dziećmi. Ich dziećmi, które nie chciały przyjąć na świat.

Hugh uśmiechnął się do Lil, odstawił torbę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, czując pod palcami gładki papier.

Chwilę później spojrzął na stojący na piecu garnek.

– Obiad pięknie pachnie – zauważył schrypniętym głosem.

– Potrawka z ryby – odparła Lil, rozczesując włosy Nell. – Żle się czujesz?

– Co to?

– Przygotuję piwo z cytryną.

– Drapie mnie tylko w gardle – odparł. – Nie martw się.

– Nie martwię się. W każdym razie nie o ciebie. – Uśmiechnęła się i poklepała ramiona Nell. – No, już, malutka. Mamusia musi wstać i zaparzyć herbatę. Posiedź tu, dopóki nie wyschną ci włosy. Nie chcę, żebyś przeziębila się tak jak tatuś. – Mówiąc to, zerknęła na Hugh. Radość w jej oczach tak bardzo raniła jego serce, że musiał odwrócić wzrok.



Podczas obiadu list ciążył Hugh niczym kamień, nie dając o sobie zapomnieć. Przyciągał jego dłoń niczym magnes. Nawet gdy odkładał nóż, muskał palcami materiał, wyczuwał gładką fakturę papieru i spisane na nim słowa – wyrok śmierci na ich dotychczasowym szczęściu. List od człowieka, który znał rodzinę Nell. Cóż, przynajmniej tak twierdził...

Hugh wyprostował się, zdziwiony tym, że tak łatwo zaufał nieznanemu. Po raz kolejny przeanalizował treść listu, przypomniał sobie poszczególne linijki i poszukał w nich dowodów. Natychmiast poczuł chłodną, orzeźwiającą ulgę. W liście nie było niczego, co świadczyłoby o tym, że jego autor pisze prawdę. Na świecie było mnóstwo podejrzanych ludzi, uwikłanych w brudne, szemrane interesy. W niektórych krajach istniał prawdziwy rynek zbytu na małe dziewczynki; biali handlarze niewolników zawsze poszukiwali dzieci takich jak Nell, by sprzedać je...

Bzdura. Chwytając się podobnych możliwości, z góry wiedział, że były niedorzeczne.

– Hugh?

Podniósł wzrok. Lil spoglądała na niego z rozbawieniem.

– Miałeś przywidzenia. – Dotknęła jego czoła ciepłą dłonią. – Mam nadzieję, że nie dostaniesz gorączki.

– Nic mi nie jest. – Słowa zabrzmiały ostrzej, niż tego chciał. – Nic mi nie jest, kochanie.

Zacisnęła usta.

– Chciałam tylko powiedzieć, że położę do łóżka tę małą damę. Miała dziś ciężki dzień. Jest wykończona.

Jak na zawołanie Nell ziewnęła.

– Dobranoc, tatusiu – pisnęła radośnie. Zanim zdążył się zorientować, wskoczyła mu na kolana, przywarła do niego jak ciepłutki miękki kociak i opłótła ramionami jego szyję. Nagle dotarło do niego, jak szorstką ma skórę i jak ostry musi być zarost na jego policzkach. Mimo to objął dziewczynkę i zamknął oczy.

– Dobranoc, Nellie, skarbie – szepnął jej we włosy.

Kiedy szły do pokoju, odprowadził je wzrokiem. To jest jego rodzina. Nie wiedział dlaczego, ale to dziecko, ich mała Nell z długimi, rudymi warkoczami, umocniła ich związek. Są teraz rodziną, całością, trzema, nie dwiema duszami, które postanowiły się połączyć i spleść ze sobą swe przeznaczenie.

I oto on, ten, który próbuje wszystko zniszczyć...

Podniósł wzrok, gdy usłyszał w korytarzu jakiś dźwięk. Pod drewnianą mozaiką stała Lil, wbijając w niego zaniepokojone spojrzenie. Złudzenie optyczne wydobyło czerwień z jej włosów, wypełniło jej oczy dziwnym blaskiem i namalowało pod firanką rzęs długie cienie. Na drżących ustach rodził się uśmiech, który wyrażał emocje zbyt wielkie, by można je było opisać słowami.

Hugh odpowiedział niepewnym uśmiechem i po raz kolejny musnął palcami gładki papier. Otworzył usta, pełne słów, których nie chciał wypowiadać, nie do końca pewny, czy zdoła nad nimi zapanować.

Lil była tuż obok. Jej palce na jego nadgarstku wysyłały ku szyi fale gorąca. Jej ciepła dłoń na jego policzku.

– Chodź do łóżka.

Boże, czy istnieje coś piękniejszego od tych kilku słów? W jej głosie brzmiała obietnica i Hugh natychmiast podjął decyzję.

Chwycił ją za rękę i pozwolił prowadzić się jak dziecko. Mijając kominek, cisnął w ogień zmiętą kartkę, która spłonęła tak szybko, jak chwilowe wyrzuty sumienia. Hugh nie zatrzymał się, szedł przed

siebie, ani razu się nie obejrzawszy.

10

Brisbane, 2005

Na długo przed tym, zanim powstał sklep z antykami, był tu teatr. Teatr Plaza, wielki eksperyment lat trzydziestych. Nijaki z zewnątrz, niczym potężne, białe pudło, wrzynające się we wzgórze Paddington, we wnętrzu prezentował się zupełnie inaczej. Sklepiony ciemnogrnatowy sufit z wyciętymi chmurami został podświetlony, by stworzyć iluzję księżycowego światła, podczas gdy rozsiane wokół setki maleńkich światełek lśniły w ciemnościach jak gwiazdy. Przez dziesiątki lat – w czasach, gdy tramwaje, podzwaniając, mknęły po torach, a w dolinach rozkwitały chińskie ogrody – był to doskonały interes, który choć pokonał tak zażartych przeciwników jak ogień i woda, stał się ofiarą telewizji lat sześćdziesiątych.

Skleplik Nell i Cassandry znajdował się dokładnie po lewej stronie, pod łukiem proscenium. Labirynty półek, zastawione niezliczoną ilością bibelotów, szpargałów, starych książek i rozmaitych eklektycznych memorabiliów. Dawno temu inni sprzedawcy żartobliwie nazwali to miejsce „Aladynem” i tak już zostało. Niewielki drewniany sztyl i widoczne na nim złote litery głosiły, iż przekraczając próg, klienci wchodzią do Groty Aladyna.

Siedząc pośród półek na trójnożnym taborecie, Cassandra nie mogła zebrać myśli. Był to pierwszy raz, odkąd wróciła tu po śmierci Nell i dziwnie było przebywać w otoczeniu przedmiotów, które od lat razem gromadziły. Zadziwiające, że teraz, gdy nie ma już Nell, jej rzeczy nadal istniały. Było w tym coś zdradzieckiego i niełojalnego. Łyzki, które polerowała, ceny wypisane drobną pajęczyną liter i nie-

zliczona ilość książek. Były słabością Nell – każdy handlowiec ma swoją słabość. Szczególną miłością darzyła te napisane pod koniec dziewiętnastego wieku. Późnowiktoriańskie, z wielkim drukiem i czarno-białymi ilustracjami. Jeśli do tego zawierały dedykację, tym lepiej. Był to zapis przeszłości, namiastka rąk, przez które przewinęła się książka, zanim w końcu trafiła do Nell.

– Dzień dobry.

Cassandra podniosła wzrok na Bena, który wyciągał ku niej kubek kawy na wynos.

– Przeglądasz towar?

Odgarnęła z oczu kosmyki włosów i wzięła kawę.

– Przetawiam rzeczy to tu, to tam i zaraz odkładam je na miejsce.

Ben upił łyk kawy i spojrzał na Cassandrę znad papierowego kubka.

– Mam coś dla ciebie. – Mówiąc to, sięgnął pod robioną na drutach kamizelkę i wyjął z kieszeni koszuli złożoną kartkę.

Cassandra rozłożyła ją i wyglądała zagniecenia. Był to papier do drukarki, format A4, a na nim niewyraźne, czarno-białe zdjęcie domu. Właściwie była to chata z kamienia – jeśli dobrze widziała – pokryta plamami, a może były to pnącza? Z krytego dachówką dachu strzelał w niebo kamienny komin. Na nim niepewnie balansowały dwie donice.

Oczywiście wiedziała, co to za dom. Nie musiała pytać.

– Przeprowadziłem małe dochodzenie – przyznał się Ben. – Nie mogłem się powstrzymać. Moja córka w Londynie skontaktowała się z kimś z Kornwalii i wysłała mi e-mailem to zdjęcie.

A więc tak wygląda wielka tajemnica Nell. Dom, który kupiła pod wpływem impulsu, nie mówiąc nikomu ani słowa. Zdjęcie wywarło na Cassandrze dziwny wpływ. Akt własności od tygodnia leżał na stole kuchennym. Przechodząc, patrzyła na niego i o nim myślała, jednak dopiero zdjęcie uświadomiło jej, że dom jest czymś rzeczywistym. Nagle wszystko nabrało ostrości: Nell, która zmarła, nie mając pojęcia, kim naprawdę była, kupiła dom w Anglii i zostawiła go Cassandrze, wierząc, że wnuczka zrozumie dlaczego.

– Ruby zawsze miała smykałkę do odkrywania różnych rzeczy,

dlatego poprosiłem ją, by dowiedziała się czegoś na temat poprzednich właścicieli. Pomyślałem, że jeśli będziemy wiedzieli, od kogo Nell kupiła dom, być może zrozumiemy, dlaczego to zrobiła. – Ben wyjął z kieszeni notatnik i poprawił okulary. – Czy nazwiska Richard i Julia Bennett coś ci mówią?

Cassandra pokręciła głową, wciąż patrząc na zdjęcie.

– Według Ruby Nell kupiła dom od państwa Bennettów, którzy kupili go w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Kupili również pobliski dwór i przekształcili go w hotel. Hotel Blackhurst. – Spojrzał z nadzieją na Cassandrę, która po raz kolejny pokręciła głową.

– Jesteś pewna?

– W życiu o nim nie słyszałam.

– No cóż – westchnął Ben i z rezygnacją opuścił ramiona. – No cóż. – Zamknął notatnik i oparł się o najbliższy regał. – To chyba szczyt moich detektywistycznych umiejętności. Dam za wygraną. – Podrapał się w brodę. – To typowe dla Nell, że zostawia taką tajemnicę. To dopiero przekłeta rzecz, sekretny dom w Anglii.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Dzięki za zdjęcie i podziękuj ode mnie swojej córce.

– Sama jej podziękujesz, gdy już będziesz za oceanem. – Mówiąc to, potrząsnął kubkiem i zajrzał do środka, by sprawdzić, czy jest w nim jeszcze trochę kawy. – Jak myślisz, kiedy wyjedziesz?

Cassandra otworzyła zdumione oczy.

– Masz na myśli Anglię?

– Zdjęcie wygląda ładnie, ale nie ma to, jak zobaczyć dom na własne oczy.

– Myślisz, że powinnam pojechać do Anglii?

– Czemu nie? Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Możesz obrócić w tę i z powrotem w niecały tydzień i będziesz wiedziała, co zrobić z domem.

Mimo iż akt własności leżał na stole, Cassandra wciąż postrzegала chatkę jako czystą fikcję i nie myślała o niej w kategoriach prawdziwego domu, który czeka na nią na drugim końcu świata. Zaszurała stopami po zmatowiałej drewnianej podłodze i przez kosmyki grzywki spojrzała na Bena.

– Chyba powinnam ją sprzedać.

– Chcesz podjąć taką decyzję, nie zobaczywszy nawet, co tak naprawdę sprzedajesz? – Ben wrzucił kubek do stojącego przy cedrowym biurku przepelnionego kosza. – Nie zaszkodzi rzucić okiem, co? Najwyraźniej chatka miała dla Nell ogromne znaczenie, skoro nie sprzedawała jej przez wszystkie te lata.

Cassandra się zamyśliła. Czy powinna tak nagle lecieć do Anglii? Do tego zupełnie sama.

– Ale sklep...

– Ba! Jak zawsze ta sama gadka. Nie bój się, zajmę się wszystkim. – Mówiąc to, machnął ręką w kierunku półek. – Masz tu tyle towaru, że wystarczy na kolejne dziesięć lat. – Jego głos stał się łagodniejszy. – Czemu miałabyś nie jechać, Cass? Nie zaszkodzi ci, jeśli wyrwiesz się stąd na jakiś czas. Ruby mieszka w klitce w South Kensington. Pracuje w V&A. Pokaże ci okolicę, zaopiekuje się tobą.

Zaopiekować się nią. Ludzie zawsze chętnie opiekowali się Cassandrą. Raz, wiele lat temu, też była dorosła, miała obowiązki i chętnie nie opiekowała się innymi.

– Zresztą, co masz do stracenia?

Nic. Nie miała nic ani nikogo do stracenia. Nagle poczuła się zmęczona tym tematem. Wstając ze stołka, zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Pomyślę o tym – bąknęła.

– Dzielna dziewczynka. – Ben poklepał ją po ramieniu i zaczął zbierać się do wyjścia. – A, byłbym zapomniat. Znalazłem kolejną ciekawą rzecz. Nie rzuca światła na Nell ani na jej dom, ale to dość zabawny zbieg okoliczności. Ma coś wspólnego z twoim zamiłowaniem do sztuki i tym, co rysowałaś w przeszłości.

To, że Ben tak swobodnie mówił o jej życiu, pasji i przeszłości, zapierało Cassandrę dech w piersi. I tym razem zdobyła się na słaby uśmiech.

– Ziemia, na której stoi domek Nell, należała do rodziny Montrachet.

Nazwisko nic jej nie mówiło i Cassandra pokręciła głową.

Widząc to, Ben uniósł brwi.

– Ich córka Rose poślubiła niejakiego Nathaniela Walkera.

Cassandra ściągnęła brwi.

– Tego... amerykańskiego artystę?

– Tego samego. Facet malował głównie portrety, zresztą wiesz przecież. Pani taka-a-taka w towarzystwie sześciu ukochanych pudli. Według mojej córki w roku tysiąc dziewięćset pierwszym, tuż przed śmiercią, namalował samego króla Edwarda. Według mnie był to szczyt jego kariery, jednak Ruby twierdzi inaczej. Uważa, że portrety nie należały do najlepszych prac Walkera, że były pozbawione życia.

– Minęło trochę czasu, odkąd...

– Wołała jego szkice. Taka właśnie jest Ruby, uwielbia płynąć pod prąd.

– Szkice?

– Ilustracje, obrazki do magazynów, czarno-białe.

Cassandra gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Seria *Labirynt i lis*.

Ben wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Ach, Ben, one były niesamowite, są niesamowite, niezwykle szczegółowe. – Minęło tyle czasu, odkąd rozmyślała o historii sztuki i myśl o tym, że oto odziedziczyła dom, w którym przebywał Nathaniel Walker, zupełnie ją zaskoczyła.

– Nazwisko Nathaniela Walkera pojawiło się na zajęciach poświęconych Aubreyowi Beardsleyowi i jemu współczesnym – ciągnęła Cassandra. – Z tego, co pamiętam, był człowiekiem kontrowersyjnym, ale nie przypominam sobie dlaczego.

– To samo mówiła Ruby. Zobaczysz, świetnie się dogadacie. Była bardzo podekscytowana, gdy wspomniałem o Walkerze. Powiedziała, że na nowej wystawie mają kilka jego ilustracji. Najwyraźniej należą one do rzadkości.

– Nie zrobił ich zbyt wiele – odparła Cassandra. – Podejrzewam, że był zbyt zajęty malowaniem portretów. Ilustracje traktował bardziej jako hobby. Mimo to te, które namalował, zdobyły wielkie uznanie. Myślę nawet, że mamy tu jedną z nich. Jest w którejś z książek Nell. – Po tych słowach wspięła się na odwróconą skrzynkę i przesunęła palcem wskazującym po książkach stojących na najwyższej półce. Chwilę później trzymała w ręku bordową książkę z wy-

blakłymi, złocistymi literami.

Nie schodząc ze skrzynki, otworzyła ją i ostrożnie przekartkowała kolorowe stronicy.

– Jest. – Nie odrywając wzroku od książki, zeskoczyła na podłogę. – *Lament lisa*.

Ben podszedł do niej i poprawił okulary.

– Misterna robota, co? Nie znam się na tym, ale dla ciebie to sztuka. Teraz widzę, dlaczego się tak zachwycasz.

– Jest piękny i na swój sposób smutny.

Ben pochylił się nad książką.

– Smutny?

– Pełen melancholii i tęsknoty. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale ten wyraz pyszczka lisa, jakaś nieobecność. – Pokręciła głową. – Nie wiem, jak to określić.

Ben delikatnie ścisnął jej ramię, bąknął coś o tym, że w porze lunchu przyniesie jej kanapkę i wyszedł. Cassandra widziała jeszcze, jak machnął ręką w kierunku swojego sklepiku, albo raczej klienta, który niefrasobliwie żonglował kawałkami żyrandola Waterford.

Tymczasem Cassandra znów spojrzała na ilustrację, zastanawiając się, skąd ta pewność, że lis jest smutny. Oczywiście chodziło o umiejętności artysty, biegłość, z jaką kreślił czarne cienkie linie, które wyrażały tak skomplikowane emocje...

Zacisnęła usta. Szkic przypominał jej dzień, w którym znalazła zbiór baśni i zabijała czas w piwnicach domu Nell, podczas gdy na górze jej matka szykowała się do odejścia. Teraz Cassandra uświadomiła sobie, że właśnie od tej książki zaczęła się jej miłość do sztuki. Otworzyła ją i wpadła do świata cudownych, przerażających, magicznych ilustracji. Zastanawiała się, jakie to uczucie wyrwać się ze sztywnych ram słowa i posługiwać się tak barwnym językiem.

Z upływem czasu poznała to uczucie: alchemiczny magnetyzm pióra, rozkoszne poczucie, kiedy przy desce kreślarskiej czas traci znaczenie. Miłość do sztuki zaprowadziła ją na studia do Melbourne, doprowadziła do małżeństwa z Nicholasem i wszystkiego tego, co nastąpiło później. Zdziwiające, jak inaczej potoczyłoby się jej życie, gdyby nie zobaczyła walizki i nie poczuła wewnętrznego przymusu, by ją otworzyć i zajrzeć do środka...

Cassandra westchnęła. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Nagle wiedziała już, co powinna zrobić i gdzie szukać. To jedyne miejsce, w którym może odnaleźć wskazówki dotyczące tajemniczego pochodzenia Nell.



Myśl, że Nell mogła pozbyć się walizki, przyszyła jej do głowy, jednak Cassandra wołała w to nie wierzyć. W końcu jej babka sprzedawała antyki, była kolekcjonerką, ludzkim odpowiednikiem altanika. Niszczzenie lub pozbywanie się rzadkich staroci było do niej niepodobne.

Co więcej, jeśli ciotki mówiły prawdę, walizka nie była zwykłym starociem: była kotwicą, wszystkim, co łączyło Nell z przeszłością. Cassandra rozumiała znaczenie takich kotwic i doskonale wiedziała, co dzieje się z człowiekiem, kiedy lina łącząca go z dotychczasowym życiem zostanie przecięta. Ona sama dwukrotnie straciła swoją kotwicę. Po raz pierwszy w wieku dziesięciu lat, kiedy opuściła ją Lesley, i po raz drugi, jako młoda kobieta (czy naprawdę minęło już dziesięć lat?), gdy w ułamku sekundy życie – takie, jakie знаła – przestało istnieć, a ona po raz kolejny zerwała się z cumy.

Później, gdy patrzyła na to z perspektywy czasu, wiedziała, że – podobnie jak za pierwszym razem – odnalazła się dzięki walizce.

Po nocy spędzonej na przeszukiwaniu zagraconych pokoi i mimowolnym skupianiu się na kolejnych pamiątkach poczuła się bardzo zmęczona. Nie fizycznie, lecz psychicznie. Wypompowana. Weekend dał jej się we znaki. Nagle i niespodziewanie dopadło ją znużenie baśniami i magiczna chęć położenia się do łóżka.

Jednak zamiast zejść na dół do swojego pokoju, w ubraniu wślizgnęła się do łóżka Nell i wtuliła twarz w puchową poduszkę. Jej znajomy zapach zapierał dech w piersi – lawendowy talk, pasta do polerowania srebra, płatki mydlane Palmolive – i przez chwilę Cassandra miała wrażenie, że opiera głowę o pierś Nell.

Spała jak zabita, snem bez snów. Rano po przebudzeniu miała wrażenie, że spała dłużej niż jedną krótką noc.

Słońce sączyło się do pokoju przez szparę między zasłonami. Jego widok przywodził na myśl światło latarni morskiej i Cassan-

dra patrzyła przez chwilę, jak kładzie swą ciepłą dłoń na kolejnych przedmiotach, wzbijając w powietrze drobinki kurzu. Wystarczyło, by wyciągnęła dłoń, a pochwyciłaby je koniuszkami palców. Zamiast tego skierowała swój wzrok w miejsce, na które padały promienie. Szafę, której drzwi otworzyły się bezgłośnie, ukazując plastikowe torby pełne ubrań dla mieszkańców przytułku St Vinnie i ukrytą pod nimi starą, białą walizkę.

*Ocean Indyjski, dziewięćset mil
od Przylądka Dobrej Nadziei, 1913*

Podróż do Ameryki była niezwykle długa. Z opowieści taty pamiętała, że Ameryka leży dalej niż Arabia, a dziewczynka wiedziała, że aby dotrzeć do Arabii, potrzeba było stu dni i stu nocy. Nie liczyła dni, jednak wiedziała, że od chwili, gdy weszła na pokład, upłynęło dużo czasu. Tak dużo, że przyzwyczaiła się do dziwnego uczucia bycia w ciągłym ruchu. Była to umiejętność poruszania się po rozkołysanym statku. Wiedziała o tym z Moby Dicka.

Na samą myśl o książce dziewczynka posmutniała. Moby Dick przypomniawszy jej tatę, historie o ogromnym wielorybie, które czytał jej przed snem, obrazki, które pozwalał jej oglądać, pełne mrocznych oceanów i wielkich statków. Dziewczynka wiedziała, że to tylko ilustracje. Powtarzając to słowo w myślach, rozkoszowała się tym, jakie jest długie. Wiedziała, że pewnego dnia ilustracje trafią do książki, prawdziwej książki, którą przeczytają inne dzieci. Właśnie tym zajmował się jej tata: wkładał obrazki do książek. Przynajmniej tak było kiedyś. Malował też ludzi, jednak dziewczynka nie lubiła tych obrazów. Patrzyły na nią, gdy szła przez pokój.

Usta dziewczynki zaczęły drżeć – jak zwykle, gdy myślała o tacie i mamie – jednak natychmiast zagryzła wargi. Na początku często płakała. Nie mogła się powstrzymać, tak bardzo tęskniła za rodzicami. Teraz było inaczej, nie płakała już tak często i nigdy w obecności innych dzieci. Mogłyby pomyśleć, że jest zbyt mała, by się z nimi bawić, i gdzie by się wówczas podziała? Poza tym mama i tata niebawem do niej dołączą. Wiedziała, że będą na nią czekali, kiedy

statek przypłylnie do Ameryki. Czy będzie tam także kobieta zwana Autorką?

Dziewczynka ściągnęła brwi. Podczas długich dni, w trakcie których nauczyła się chodzić po rozkołysanym pokładzie, Autorka nie pojawiła się ani razu. Było to niepokojące, zwłaszcza gdy dziewczynka myślała o wszystkich instrukcjach, których udzielała jej kobieta, o tym, jak zawsze będą trzymały się razem i niezależnie od sytuacji nie pozwolą się rozdzielić. Może się ukrywa? Może to wszystko jest tylko częścią gry?

Dziewczynka nie miała pewności. Była tylko wdzięczna, że pierwszego dnia na pokładzie poznała Willa i Sally. W przeciwnym razie nie wiedziałyby, gdzie spać ani skąd zdobyć jedzenie. Will, Sally oraz ich bracia i siostry – mieli ich tyle, że dziewczynka nie potrafiła ich zliczyć – wiedzieli wszystko o zdobywaniu jedzenia. Pokazali jej miejsca na statku, gdzie można było znaleźć dodatkowe porcje solonej wołowiny. (Dziewczynka za nią nie przepadała, ale chłopiec roześmiał się tylko i powiedział, że może nie są to rarytasy, do których jest przyzwyczajona, ale pieskie życie rządzi się własnymi prawami). Przeważnie byli dla niej uprzejmi. Zdenerwowali się tylko raz, kiedy nie chciała zdradzić im swego imienia. Jednak mała dziewczynka знаła różne gry, wiedziała, że należy przestrzegać rozmaitych reguł, a Autorka powiedziała, że to jest najważniejsza z nich.

Rodzina Willa zajmowała koje na dolnym pokładzie, podobnie jak dziesiątki innych mężczyzn, kobiet i dzieci. Była wśród nich matka, którą wszyscy nazywali „Ma”. Kobieta w niczym nie przypominała mamy małej dziewczynki. Nie miała ładnej twarzy ani lśniących ciemnych włosów, które Poppy co rano upinała na czubku głowy. Ma była jak kobiety, które dziewczynka widziała czasami z okien powozu, gdy ten przejeżdżał przez wieś. W podartych spódnicach, znoszonych, dziurawych butach, z pomarszczonymi dłońmi przywodzącymi na myśl rękawiczki, które Davies zakładał do pracy w ogrodzie.

Kiedy Will po raz pierwszy zaprowadził dziewczynkę pod pokład, Ma siedziała na najniższej koi, karmiąc piersią jedno dziecko, podczas gdy drugie zanosilo się płaczem.

– Kto to? – spytała.

– Nie chce powiedzieć, jak się nazywa. Mówi, że czeka na kogoś i że powinna siedzieć w ukryciu.

– W ukryciu, tak? – Kobieta skinieniem przywołała dziewczynkę. – Przed czym się ukrywasz, moje dziecko?

W odpowiedzi dziewczynka pokręciła głową.

– Gdzie są jej rodzice?

– Nie sędzę, aby tu byli – odparł Will. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Ukrywała się, kiedy ją znalazłem.

– To prawda, dziecko? Jesteś sama?

Dziewczynka przemyślała pytanie i doszła do wniosku, że lepiej przytaknąć, niż wyjawić prawdę o Autorce. Chwilę później skinęła głową.

– No, no. Takie maleństwo, samo na wodach oceanu. – Ma pokręciła głową i szturchnęła płaczące dziecko. – To twoja walizka? Przynieś ją i pozwól, że Ma zajrzy do środka.

Dziewczynka patrzyła, jak Ma odpina zatrzaski i podnosi wieko. Kobieta odsunęła na bok zbiór baśni i drugą, nową sukienkę, by dotrzeć do ukrytej pod nią koperty. Chwilę później delikatnie złamała pieczęć i wyjęła niewielki plik papierów.

Will otworzył oczy ze zdumienia.

– Banknoty. – Mówiąc to, spojrzał na dziewczynkę. – Co z nią zrobimy, Ma? Powiemy bagażowemu?

Ma włożyła banknoty do koperty, złożyła ją na trzy i schowała za stanik.

– Nie widzę potrzeby informowania kogokolwiek na statku – rzekła w końcu. – Dziewczynka zostanie z nami, dopóki nie dopłyniemy na drugi koniec świata. Tam dowiem się, kto na nią czeka. Zobaczymy, jak podziękują nam za okazaną pomoc. – Uśmiechnęła się, ukazując zepsute zęby.

Dziewczynka nie miała z Ma wiele wspólnego i była za to wdzięczna. Ma zajmowała się dziećmi, z których jedno zawsze wisiało u jej piersi. Dzieci ssąły pierś – tak przynajmniej mówił Will – choć dziewczynka w życiu nie słyszała o czymś podobnym. Owszem, na okolicznych farmach widziała, jak malutkie zwierzątka ssąły pierś swoich matek, ale skąd pomysł, że ludzie robili to samo. Te dzieci były jak prosięta; nie robiły nic, tylko płakały, jadły i przy-

bierały na wadze. Podczas gdy uwaga Ma skupiała się wyłącznie na tej dwójce, reszta dzieci musiała radzić sobie sama. Will mówił, że są do tego przyzwyczajone i że to samo robiły w domu. Pochodzą z miejsca zwanego Bolton i kiedy byli mali, matka całymi dniami pracowała w fabryce bawełny. Dlatego tak bardzo kaszle. Dziewczynka to rozumiała: jej mama również nie czuła się dobrze, choć nie kasłała tak bardzo jak Ma.

Wieczorami dziewczynka i pozostałe dzieci siadywały w kącie, by posłuchać dobiegającej z pokładu muzyki i tupotu stóp sunących po lśniących podłogach. Właśnie to robili w tym momencie – siedzieli w ciemnym kącie i nasłuchiwali. Z początku dziewczynka chciała wyjść z ukrycia, jednak dzieci wyśmiały ją, mówiąc, że wyższe pokłady nie są dla takich jak oni i że mroczna kryjówka pod drabiną jest jedynym sposobem, by zbliżyć się do ludzi z wyższych sfer.

Dziewczynka siedziała cicho, nigdy wcześniej nie spotkała się z podobnymi regułami. W domu – z wyjątkiem jednego miejsca – mogła chodzić tam, gdzie chciała. Jedynym miejscem, do którego nie miała wstępu, był labirynt prowadzący do domu Autorki. To jednak nie było to samo i dziewczynka nie rozumiała, co chłopiec miał na myśli. Takich jak oni? Dzieci? Być może dzieciom nie wolno wchodzić na wyższe pokłady.

Tym bardziej nie zamierzała iść tam tego wieczoru. Była zmęczona i czuła się tak od kilku dni. Był to dziwny rodzaj znużenia, które sprawiało, że nogi zdawały się ciężkie jak kłody, a schody ciągnęły się bez końca. Miała zawroty głowy i nieprzyjemnie gorący oddech.

– Chodźmy! – zawołał Will, kiedy znudził się muzyką. – Poszukajmy stałego ładu.

Chwila zamieszania i już byli na nogach. Dziewczynka wstała i spróbowała złapać równowagę. Will, Sally i pozostałe dzieci rozmawiali, śmiali się, a ich piskliwe głosy krążyły wokół niej niczym stada oszalałych ptaków. Próbowала zrozumieć poszczególne słowa, jednak czuła wyłącznie drżenie nóg i dudniącą w uszach krew.

Nagle Will zbliżył twarz do jej twarzy.

– Co się dzieje? – Jego głos był nienaturalnie donośny. – Nic ci nie jest?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, jednak kolana ugięły się pod nią i zaczęła spadać. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, nim uderzyła głową w drewniany stopień, był wiszący na niebie, jasny, ogromny księżyc.



Dziewczynka otworzyła oczy. Tuż nad nią stał poważny mężczyzna z pucołowatymi policzkami i szarymi oczami. Wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet wtedy, gdy pochylił się i wyciągnął z kieszeni koszuli małą płaską szpatułkę.

– Otwórz.

Zanim zrozumiała, co się dzieje, szpatułka przywarła do jej języka.

– Tak – mruknął mężczyzna. – Dobrze. – Wyciągnął szpatułkę i poprawił kamizelkę. – Oddychaj.

Zrobiła, co jej kazał, i patrzyła, jak kiwa głową.

– Nic jej nie jest – stwierdził. Przywołał machnięciem młodszego mężczyznę z włosami koloru słomy, którego dziewczynka rozpoznała, gdy odzyskała przytomność. – Tu jest jedna żywa. Na litość boską, wynieście ją z izby chorych, zanim to się zmieni.

– Ale, sir – wydyszał drugi mężczyzna – to ta, która mdlejąc, uderzyła się w głowę. Myślę, że powinna trochę odpocząć...

– Nie mamy wystarczająco dużo łóżek. Odpocznie, kiedy wróci do kabiny.

– Nie jestem pewien, skąd się tu wzięła...

Lekarz przewrócił oczami.

– Więc zapytaj ją, człowieku.

Jasnowłosa mężczyzna zniżył głos.

– To ta, o której panu opowiadałem, sir. Chyba straciła pamięć. To musiało się stać, kiedy upadła.

Lekarz zerknął na dziewczynkę.

– Jak masz na imię?

Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę. Słyszała słowa mężczyzny, rozumiała, o co pytał, ale nie mogła odpowiedzieć.

– No?

– Nie wiem. – Mówiąc to, pokręciła głową.

Lekarz westchnął zirytowany.

– Nie mam czasu ani łóżek na podobne sprawy. Gorączka minęła. Sądząc po zapachu, podróżowała trzecią klasą.

– Tak, sir.

– I co? Przecież musi być ktoś, kto się nią opiekuje.

– Tak, sir. Na zewnątrz jest chłopak, który ją tu przyniósł. Przyszedł sprawdzić, jak się czuje. To chyba jej brat.

Lekarz wyjrzał za drzwi, by spojrzeć na chłopaka.

– Gdzie ich rodzice?

– Chłopak mówi, że ojciec jest w Australii, sir.

– A matka?

Jasnowłosa odchrząknął i nachylił się do lekarza.

– Prawdopodobnie wyrzucono ją za burtę w okolicach Przylądka Dobrej Nadziei. Zmarła trzy dni temu.

– Gorączka?

– Tak.

Lekarz ściągnął brwi i westchnął.

– Dobrze, doprowadź go.

Po chwili w izbie pojawił się młody wychudzony chłopak z oczami czarnymi jak węgiel.

– Ta dziewczynka jest z tobą? – spytał lekarz.

– Tak, proszę pana – odparł chłopak. – To znaczy, ona...

– Wystarczy, nie potrzebuję wysłuchiwać waszych opowieści. Nie ma już gorączki, a guz na jej głowie się wchłonał. Tymczasem jest małowówna, ale niebawem to się zmieni. Myślę, że chce zwrócić na siebie uwagę po śmierci matki. Czasem tak bywa, zwłaszcza w przypadku dzieci.

– Ale, sir...

– Dość. Zabierz ją. – Po tych słowach zwrócił się do członka załogi: – Oddajcie jej łóżko komuś innemu.



Dziewczynka siedziała przy relingu, wpatrując się w wodę. Zwieńczone białą pianą niebieskie fale marszczyły się pod palcami wiatru. Woda była bardziej wzburzona niż zwykle i dziewczynka poddała się kołysaniu. Czuła się dziwnie, nie było jej niedobrze, tyl-

ko dziwnie. Jakby głowę wypełniała gęsta biała mgła, która nijak nie chciała opaść.

Było tak, odkąd obudziła się w izbie chorych, odkąd zbadali ją ci dziwni mężczyźni i odkąd opuściła salę w towarzystwie chłopca. To on zabrał ją na dół do ciemnego miejsca pełnego koi, materaców i ludzi.

– Hej! – usłyszała za plecami czyjś głos. Jak się okazało, należał do jej towarzysza. – Nie zapomnij swojej walizki.

– Walizki? – Dziewczynka zerknęła na wyciągniętą ku niej białą skórzaną walizeczkę.

– O kurczę! – rzucił chłopak, mierząc ją dziwnym wzrokiem. – Naprawdę jesteś kopnięta, a ja myślałem, że udajesz przed lekarzem. Nie mów, że nie pamiętasz własnej walizki. Przez całą podróż strzegłaś jej jak żrenicy oka. Wystarczyło, że ktoś na nią spojrzał, a już szykowałaś się do ataku. Nie chciałaś martwić swojej drogiej Autorki.

Słowo zaszeleściło w powietrzu i dziewczynka poczuła na skórze dziwne mrowienie.

– Autorki? – powtórzyła.

Jednak chłopak nie odpowiedział.

– Ziemia! – wrzasnął, pędząc w kierunku relingu. – Ziemia! Wiedzicie?

Dziewczynka stanęła obok niego, ściskając w dłoni małą białą walizkę. Zerknęła nieufnie na piegowaty nos swego towarzysza i miejsce, które wskazywał jego wyciągnięty palec. Daleko przed nimi dostrzegła pas ziemi i porastające go bladozielone drzewa.

– To Australia – oznajmił chłopiec, wbijając wzrok w odległy brzeg. – Tam czeka na nas mój tata.

Australia, pomyślała dziewczynka. Było to kolejne słowo, którego nie rozumiała.

– Zaczniemy nowe życie, we własnym domu i z kawałkiem ziemi. Tak pisze w listach mój tata. Mówi, że będziemy uprawiali ziemię i zbudujemy dla nas nowe, lepsze życie. I tak będzie, nawet jeśli nie ma już mamy. – Ostatnie słowa wypowiedział ścisłym głosem. Zamknął, by chwilę później spojrzeć na swą towarzyszkę i wskazać głową odległy ląd. – Twój tata też tam jest?

Dziewczynka milczała przez chwilę.

– Mój tata?

Chłopiec przewrócił oczami.

– Twój tata. Facet, który jest z twoją mamą. No wiesz, ojciec.

– Mój tata – powtórzyła dziewczynka, jednak chłopak już nie słuchał. Dostrzegł jedną z siostr i biegł teraz ku niej, krzycząc o widocznym na horyzoncie brzegu.

Kiedy zniknął, dziewczynka pokiwała głową, choć wciąż nie była pewna, co jej towarzysz miał na myśli.

– Mój tata – powtórzyła niepewnie. – Tam jest mój tata.

Wieść o „ziemi!” rozniosła się po pokładzie i podczas gdy wszyscy dookoła byli zajęci i zabiegani, dziewczynka wzięła walizkę i ukryła się za stosem beczek, który z niewiadomych przyczyn przyciągnął jej uwagę. Chwilę później przycupnęła na deskach pokładu i otworzyła walizkę z nadzieją, że znajdzie w niej jedzenie. Myliła się. Zamiast tego sięgnęła więc po leżący na wierzchu zbiór baśni.

Statek zbliżał się do brzegu, a widziane w oddali maleńkie punkciki zmieniły się w skrzeczące mewy. Dziewczynka rozłożyła książkę na kolanach i wbiła wzrok w piękny czarno-biały rysunek kobiety i jelenia, stojących na polanie pośrodku cienistego lasu. I choć nie potrafiła przeczytać słów, dokładnie wiedziała, o czym jest baśń. O młodej księżniczce, która podróżowała przez morza, by odnaleźć cenny ukryty przedmiot należący do kogoś, kogo kochała.

Nad Oceanem Indyjskim, 2005

Cassandra oparła się o zimny chropowaty plastik kabiny i zerknęła przez okno na błękitny ocean, którego wody ciągnęły się aż po horyzont. Ten sam ocean, który lata temu przemierzała samotnie mała Nell.

Pierwszy raz opuściła granice kraju. To znaczy była raz w Nowej Zelandii i przed ślubem odwiedziła rodzinę Nicka na Tasmanii, ale nigdy wcześniej nie wypuszczała się aż tak daleko. Razem z Nickiem zamierzali na kilka lat wyjechać do Anglii: Nick pisałby muzykę dla brytyjskiej telewizji i Cassandra była pewna, że w Europie znajdzie się praca dla historyka. Jednak nie wyjechali i Cassandra już dawno pogrzebała marzenia o Europie, podobnie jak wiele innych.

A teraz była tu, na pokładzie samolotu, sama, w drodze do Europy. Po rozmowie z Benem, po tym, jak podarował jej zdjęcie domu i po tym, jak znalazła walizkę Nell, nie mogła myśleć o niczym innym. Wydawać by się mogło, że tajemnica jej babki przylgnęła do niej i mimo wszelkich starań Cassandra nie potrafiła się jej pozbyć. Prawdę powiedziawszy, podobał się jej fakt, że wciąż jest czymś zajęta. Lubiła rozmyślać o Nell, tej innej Nell, młodej dziewczynce, której nie znała.

Gdy znalazła walizkę, nie zamierzała jechać do Anglii. Rozsądek podpowiadał, że powinna poczekać, zobaczyć, co wydarzy się przez miesiąc, i być może zaplanować wyjazd na późniejszy termin. Nie mogła tak po prostu wyjechać do Kornwalii. Ale wtedy przyśnił jej się sen, ten sam, który od czasu do czasu śniła przez ostatnie dziesięć

lat. Stała pośrodku pola, wokół którego, jak okiem sięgnąć, nie było zupełnie nic. We śnie nie wyczuwało się wrogości, a jedynie nieskończoność. Ot, zwykła roślinność, nic, co pobudzałoby wyobraźnię. Błada trawa, której długie źdźbła muskały opuszki palców i kołyszając ją delikatny wietrzyk.

Na początku, kiedy sen zaczął się pojawiać, Cassandra wiedziała, że kogoś w nim szuka i że gdyby tylko poszła we właściwym kierunku, na pewno by znalazła. Jednak niezależnie od tego, ile razy sen powracał, nigdy nie doszło do spotkania. Za jednym wzgórzem natychmiast pojawiało się kolejne, odwracała wzrok w najmniej odpowiednim momencie lub niespodziewanie się budziła.

Z upływem czasu sen się zmienił. Zmiany były tak subtelne i powolne, że Cassandra nie zwracała na nie uwagi. Nie dotyczyły otoczenia; dookoła wszystko pozostało takie samo. Chodziło o odczucia. Pewność, że to, czego szuka, bezustannie wymyka jej się z rąk. Aż do pewnej nocy, kiedy wiedziała, że niczego już nie ma i że nikt na nią nie czeka. Że niezależnie od tego, dokąd zanoszą ją nogi, jak uważnie będzie szukała i jak bardzo będzie pragnęła odnaleźć tę osobę, została zupełnie sama...

Uczucie pustki pozostało, jednak Cassandra nie zwracała na nie uwagi. Nic nie wskazywało na to, że będzie to wyjątkowy dzień, aż do chwili, gdy w porze lunchu weszła do pobliskiego sklepu, by kupić chleb, i zatrzymała się przy biurze podróży. Zabawne, do tej pory nawet nie wiedziała o jego istnieniu. Nie wiedząc po co, pchnęła drzwi i stojąc na matach z morskiej trawy, spojrzała w twarz chętnym do pomocy konsultantom.

Pamiętała towarzyszące tej chwili dziwne zaskoczenie. Przeważnie uczucie, że oto istnieje naprawdę, że jest człowiekiem, który krążąc po orbitach innych ludzi, zbliża się do nich i oddala. Nie ważne, że często miała wrażenie, iż żyje w półmroku jakby na pół gwizdka.

Wróciwszy do domu, stała przez chwilę, analizując poranne wydarzenia i zastanawiając się, w którym momencie podjęła decyzję. Jak to się stało, że wyszła z domu po chleb, a wróciła z biletem lotniczym. Chwilę później weszła do pokoju Nell, wyciągnęła ze schowka walizkę i wyrzuciła na łóżko całą jej zawartość. Zbiór baśni, szkic,

na którego odwrocie zapisano nazwisko „Eliza Makepeace”, zeszyt w linie zapisany pismem Nell.

Zrobiła sobie kawę z dużą ilością mleka i usiadła na łóżku Nell, by odszyfrować bazgroły i przepisać je na czystą kartkę. Cassandra miała wprawę w odczytywaniu wiekowych pism i notatek – dla ludzi handlujących używanymi rzeczami to chleb powszedni – ale staroświeckie pismo miało określony styl. Pismo Nell było po prostu niechlujne. Przekornie i uparcie niechlujne. Jakby tego było mało, zeszyt był częściowo zniszczony przez wodę. Część kartek była posklejana, wokół pozółkłych pomarszczonych plam pojawiła się pleśń, a niektóre strony groziły podarciem i zniszczeniem cennych wpisów.

Praca była żmudna, jednak Cassandra nie potrzebowała wiele czasu, by zrozumieć, że Nell próbowała rozwikłać zagadkę swojej tożsamości.

Sierpień 1975. Dziś przynieśli mi białą walizkę. Kiedy ją zobaczyłam, od razu wiedziałam, co to jest.

Siliłam się na swobodę. Doug i Phyllis nie znają prawdy, a ja nie chciałam, by widzieli, że cała się trzęsę. Chciałam, by pomyśleli, że to zwykła stara walizka taty, którą chciał mi dać. Kiedy poszli, siedziałam i przez jakiś czas patrzyłam na walizkę. Chciałam za wszelką cenę przypomnieć sobie, kim jestem i skąd pochodzę. Oczywiście nic to nie dało i w końcu ją otworzyłam.

W środku był liścik od taty, swoiste przeprosiny, a pod nim inne rzeczy. Dziecięca sukieneczka – przypuszczam, że należała do mnie – srebrna szczotka do włosów i zbiór baśni. Otworzyłam książkę i ją zobaczyłam – Autorkę. Słowa ułożyły się w logiczną całość. To ona jest kluczem do mojej przeszłości, jestem tego pewna. Jeśli ją odnajdę, odnajdę także siebie. Właśnie to zamierzam uczynić. W tym zeszycie będę zapisywała postępy, a na samym końcu poznam moje imię i dowiem się, jak i dlaczego je straciłam.

Cassandra z zaciekawieniem przejrzała kolejne spleśniałe stronic. Czy Nell faktycznie odkryła prawdę? Czy dowiedziała się, kim jest? Czy dlatego właśnie kupiła ten dom? Ostatni wpis pochodził z

listopada 1975 roku, tuż po tym, jak Nell wróciła do domu, do Brisbane.

Zamierzam wrócić, kiedy tylko załatwię kilka spraw. Nie będzie mi łatwo pożegnać się z domem w Brisbane i ze sklepem, ale nie zamierzam bawić się w sentymenty, gdy w grę wchodzi rozwiązanie tajemnicy. Jestem już bliska, wiem to. Teraz, kiedy chatka należy do mnie, wiem, że ostateczne odpowiedzi są już tylko kwestią czasu. To moja przeszłość, moja tożsamość, którą już prawie odnalazłam.

Nell zamierzała na dobre wyjechać z Australii. Dlaczego tego nie zrobiła? Co się stało? Dlaczego w pamiętniku nie ma następnego wpisu?

Spojrzenie na datę. Listopad 1975. Cassandra poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Ostatni wpis pojawił się dwa miesiące przed tym, zanim ona, Cassandra, została podrzucona do domu Nell. Obietnica Lesley o tygodniu lub dwóch rozciągała się w czasie, aż w końcu stała się wiecznością.

Cassandra odłożyła zeszyt i z przerażeniem odkrywała kolejne fakty. Nell przejęła obowiązki rodzicielskie, nie mrugnawszy nawet okiem. Pojawiła się w życiu Cassandry, dając jej dom i rodzinę. Matkę. I nigdy, nawet przez chwilę, nie dała Cassandrze odczuć, że jej pojawienie się pokrzyżowało wszystkie plany.



Cassandra odwróciła się od okna, wyjęła z bagażu podręcznego zbiór baśni i rozłożyła go na kolanach. Nie miała pojęcia, dlaczego zapragnęła wziąć książkę na pokład samolotu. Przypuszczała, że chodziło o Nell i powstałą między nimi niewidzialną więź. Książka pochodziła z walizki Nell, była ogniwiem i kluczem do jej przeszłości i jedną z niewielu rzeczy, które towarzyszyły dziewczynce w podróży do Australii. Było w niej coś intrygującego. Budziła w Cassandrze ten sam wewnętrzny przymus, jak wówczas, gdy w wieku dziesięciu lat po raz pierwszy odkryła ją w piwnicy Nell. Tytuł, ilustracje, nawet nazwisko autorki. Eliza Makepeace. Szepcząc je, Cassandra

poczuła ciarki na plecach.

Podczas gdy rozciągający się w dole ocean zdawał się nie mieć końca, Cassandra zaczęła czytać pierwszą baśń *Oczy więdźmy*, którą zapamiętała z tamtego upalnego lata wiele, wiele lat temu.

OCZY WIEDŹMY

Eliza Makepeace

Pewnego razu, w krainie leżącej daleko za lśniącym morzem, mieszkała księżniczka, która nie wiedziała, że jest księżniczką. Stało się tak, ponieważ gdy była małą dziewczynką, jej królestwo zostało złupione, a królewska rodzina wymordowana. Zdarzyło się tak, że tamtego dnia młoda księżniczka bawiła się poza murami zamku i nie miała pojęcia o ataku. Dopiero gdy zaczęło zmierzchać, porzuciła zabawę i wróciwszy do zamku, zastała tylko ruiny. Przez jakiś czas księżniczka błąkała się po świecie, aż dotarła do małej chatki na skraju ciemnego lasu. Gdy zapukała do drzwi, rozwścieczone okrutnym najazdem niebo otworzyło się i splunęło na ziemię ognistym deszczem.

W chatce mieszkała ślepa wiedźma, która zlitowała się nad dziewczynką i postanowiła, że wychowa ją jak własną córkę. W chatce wiedźmy było dużo pracy, jednak księżniczka nigdy nie narzekała, była przecież prawdziwą księżniczką o czystym sercu. Pracowici ludzie są najszczęśliwsi, ponieważ nie mają czasu się nad sobą uzalać. Dlatego właśnie księżniczka była pogodnym dzieckiem. Pokochała kolejne pory roku i czerpała przyjemność z obsiewania ziemi i zbierania plonów. Choć wyrosła na piękną kobietę, nie miała o tym pojęcia, jako że w chatce wiedźmy nie było lustra ani próżności.

Pewnej nocy, kiedy księżniczka miała szesnaście lat, razem ze staruszką jadły w kuchni kolację.

– Co stało się z twoimi oczami, droga staruszko? – spytała księżniczka, która nie mogła dłużej skrywać ciekawości.

Wiedźma odwróciła ku niej twarz. Zamiast oczu miała pomarszczoną skórę.

– Mój wzrok został mi odebrany.

– Przez kogo?

– Kiedy byłam dziewczęciem, mój ojciec kochał mnie tak bardzo, że pozbawił mnie oczu, bym nigdy nie doświadczyła śmierci i zniszczenia.

– Ale, kochana staruszko, przez to nie wiesz również, co to piękno – odparła księżniczka, myśląc o radości, jaką czuła, patrząc na kwitnący ogród.

– Tak – przyznała wiedźma. – Chciałabym też zobaczyć, jak dorastasz, moja piękna.

– Czy możemy odnaleźć twoje oczy?

Słyszając to, wiedźma uśmiechnęła się smutno.

– Ojciec obiecał, że gdy skończę sześćdziesiąt lat, moje oczy zostaną zwrócone mi przez posłańca. Jednak tamtej nocy rozpętała się piekielna burza, a ty, moja piękna, stałaś u mych drzwi. Nie spotkałam się więc z posłańcem.

– Czy możemy odnaleźć go teraz?

Wiedźma pokręciła głową.

– Posłaniec nie mógł zaczekać, a moje oczy zostały wrzucone do głębokiej studni w krainie zagubionych rzeczy.

– Czy nie możemy tam pójść?

– Niestety! – westchnęła staruszka. – To odległa kraina, a droga do niej jest trudna i niebezpieczna.

Tak oto mijały kolejne pory roku, a wiedźma stawała się coraz słabsza i bledsza. Pewnego dnia, gdy księżniczka szła do ogrodu, by zerwać jabłka na zimę, ujrzała wiedźmę siedzącą na pniu jabłoni i gorzko płaczącą. Księżniczka, która nigdy dotąd nie widziała tak smutnej staruszki, zatrzymała się zaskoczona. Niebawem zrozumiała, że wiedźma rozmawia z dostojnym szarobiałym ptakiem o pasia-

stym ogonie.

– Moje oczy, moje oczy – powtarzała. – Zbliża się mój koniec i nikt nigdy nie przywróci mi wzroku. Powiedz mi, mądry ptaku, jak odnajdę drogę w kolejnym życiu, skoro nie wiem nawet, jak wyglądam?

Słyszac to, księżniczka natychmiast wróciła do chatki. Lata temu wiedźma poświęciła swe oczy, by zapewnić jej schronienie, i księżniczka wiedziała, że nadszedł czas, by odwdziżyć jej się za okazaną dobroć. Mimo iż nigdy wcześniej nie wychodziła poza granice lasu, nie wahała się. Jej miłość do opiekunki była tak głęboka, że gdyby zebrać wszystkie ziarna piasku z dna oceanu i usypać z nich kopiec, nie byłby on wystarczająco wielki.

Następnego dnia księżniczka zbudziła się o brzasku i ruszyła w las, nie zatrzymując się aż do chwili, gdy dotarła na jego skraj. Stamtąd wypłynęła w morze i przemierzając jego spienione wody, dotarła do krainy zagubionych rzeczy.

Podróż okazała się długa i ciężka, a księżniczka była zdumiona, ponieważ las w krainie zagubionych rzeczy w niczym nie przypominał lasu, w którym mieszkała wraz z wiedźmą. Drzewa były tu złowrogie i połamane, zwierzęta straszne i nawet śpiew ptaków przyprawiał księżniczkę o dreszcze. Im bardziej była przerażona, tym szybciej biegła, aż w końcu zatrzymała się, czując, jak serce łomocze jej w piersi. Zgubiła się i nie wiedziała, dokąd pójść. Ogarniała ją coraz większa rozpacz, gdy nagle jej oczom ukazał się dostojny szarobiały ptak.

– Zostałem wysłany przez wiedźmę – rzekł ptak – aby poprowadzić cię bezpiecznie do studni zagubionych rzeczy, w której odnajdziesz swe przeznaczenie.

Księżniczka poczuła ogromną ulgę i ruszyła za ptakiem. Była głodna, ponieważ w tej dziwnej krainie nie znalazła niczego do jedzenia. Po jakimś czasie natknęła się na staruszkę siedzącą na zwalonym pniu.

– Jak sobie radzisz, Piękna? – spytała kobieta.

– Jestem taka głodna – poskarżyła się księżniczka –

ale nie wiem, gdzie szukać jedzenia.

Staruszka wskazała las i księżniczka zobaczyła rosnące na drzewach dzikie jagody i kołyszące się na czubkach gałęzi dorodne orzechy.

– Och, dziękuję ci, dobra kobieto! – wykrzyknęła księżniczka.

– Przecież nic takiego nie zrobiłam – odparła staruszka. – Otworzyłam ci oczy i pokazałam to, o czym przecież wiedziałas.

Zjadłszy owoce, księżniczka i ptak ruszyli w dalszą drogę, jednak z upływem czasu pogoda zaczęła się zmieniać, a wiatr stawał się coraz chłodniejszy i bardziej porywisty.

Niebawem księżniczka spotkała kolejną staruszkę siedzącą na pniu drzewa.

– Jak sobie radzisz, Piękna?

– Jest mi tak zimno, ale nie wiem, gdzie szukać ciepłych ubrań.

Staruszka wskazała las i księżniczka zobaczyła krzewy dzikich róż o najdelikatniejszych płatkach. Okryła się nimi i natychmiast zrobiło jej się ciepłej.

– Och, dziękuję ci, dobra kobieto! – wykrzyknęła księżniczka.

– Przecież nic takiego nie zrobiłam – odparła staruszka. – Otworzyłam ci oczy i pokazałam to, o czym przecież wiedziałas.

Księżniczka ruszyła w dalszą drogę i choć było jej teraz ciepłej, zaczęły boleć ją stopy.

Po jakimś czasie spotkała trzecią staruszkę siedzącą na pniu drzewa.

– Jak sobie radzisz, Piękna?

– Jestem taka zmęczona, ale nie wiem, gdzie szukać powozu.

Staruszka wskazała las i księżniczka zobaczyła, że na polanie stoi brązowy jelonek ze złotą obrożą wokół szyi. Zwierzę zmrużyło czarne, pełne zadumy oczy, a księżniczka, która miała dobre serce, wyciągnęła do niego rękę. Je-

loniek podszedł do niej i skłonił głowę, tak by mogła wsiąść na jego grzbiet.

– Och, dziękuję ci, dobra kobieto! – wykrzyknęła księżniczka.

– Przecież nic takiego nie zrobiłam – odparła staruszka. – Otworzyłam ci oczy i pokazałam to, o czym przecież wiedziałas.

Księżniczka i jelonek podążali za szarobiałym ptakiem, który prowadził ich coraz głębiej w las. Mijały dni i księżniczka nauczyła się rozumieć język jelonka. Nocami, kiedy rozmawiali, dowiedziała się, że jelonek ukrywa się przed podstępny myśliwym wysłanym przez podłą wiedźmę, by go zabił. Księżniczka była tak wdzięczna jelonkowi za pomoc, że obiecała chronić go przed łowczym.

Jednak dobre intencje prowadzą do złego i rankiem następnego dnia księżniczka stwierdziła, że jelonek zniknął. Siedzący na drzewie szarobiały ptak ćwierkał z niepokojem, tak więc księżniczka zerwała się na równe nogi i ruszyła tam, dokąd ją prowadził. Kiedy weszła głębiej w pobliskie zarośla, usłyszała płacz jelonka. Przerażona podbiegła do niego i ujrzała sterczącą z jego boku strzałę.

– Wiedźma mnie odnalazła – przemówił jelonek. – Kiedy zbierałem orzechy, nakazała swym łucznikom, by do mnie strzelali. Uciekałem tak szybko, jak tylko mogłem, ale kiedy wpadłem w zarośla, nie mogłem się wydostać.

Księżniczka uklękła przy jelonku. Jego cierpienie przepełniło ją tak wielkim smutkiem, że zapłakała, a jej szczere i pełne bólu łzy sprawiły, że rana jelonka się zagoiła.

Przez kolejne dni księżniczka opiekowała się jelonkiem i kiedy zwierzę odzyskało siły, ruszyli w podróż na skraj lasu. Kiedy w końcu przedarli się przez gąszcz drzew, ujrzeni lśniące bezkresne morze.

– Niedaleko stąd, na północy – przemówił ptak – znajduje się studnia zagubionych rzeczy.

Dzień dobiegł końca, a zmierzch przerodził się w noc,

jednak kamyczki na plaży lśniły w świetle księżyca niczym kawałki polerowanego srebra, oświetlając wędrowcom drogę. Księżniczka i jej towarzysze szli na północ aż do chwili, gdy na szczycie czarnej skały ujrzeli studnię zagubionych rzeczy. Szarobiały ptak, który wypełnił już swój obowiązek, pożegnał się z nimi i odleciał.

Gdy księżniczka i jelonki dotarli do studni, księżniczka pogładziła szyję zwierzęcia.

– Drogi jelonku, nie możesz wejść ze mną do studni – zwróciła się do niego. – To zadanie wyłącznie dla mnie. – Przywołując całą odwagę, jaką odkryła w sobie podczas podróży, księżniczka wskoczyła do studni wykutej w skale.

Po drodze widziała wiele rzeczy, zapadała w sen i budziła się, aż do chwili, gdy znalazła się na polu, gdzie słońce sprawiało, iż trawa lśniła, a drzewa śpiewały.

Nagle, jak gdyby znikąd, pojawiła się piękna uśmiechnięta wróżka z długimi falującymi włosami, które migotały w słońcu niczym najczystsze złoto. Księżniczka natychmiast poczuła się spokojniejsza.

– Przebyłeś długą drogę, znużona wędrowniczko – przemówiła wróżka.

– Przebyłam ją, by zwrócić mojej drogiej przyjaciółce jej oczy. Czy widziałas je może, piękna wróżko?

Wróżka bez słowa otworzyła dłoń i księżniczka ujrzała przepiękne oczy panny, która nie wiedziała, co to złoto.

– Możesz je wziąć – odparła wróżka – ale wiedźma nigdy nie zrobi z nich użytku.

Zanim księżniczka zdążyła spytać, co takiego ma na myśli, zbudziła się na brzegu studni, obok swego wiernego towarzysza. W dłoniach trzymała maleńkie zawiniątko, w którym spoczywały oczy wiedźmy.

Trzy miesiące podróżowali przez krainę zagubionych rzeczy i głębokie błękitne morze, by dotrzeć w końcu do domu. Gdy byli już blisko chaty, na skraju ciemnego znajomego lasu zatrzymał ich myśliwy, który potwierdził przepowiednię wróżki: gdy księżniczka podróżowała do krainy

zagubionych rzeczy, wiedźma odeszła z tego świata.

Słyszac to, księżniczka zapłakała gorzko, gdyż cała jej podróż okazała się daremna. Jednak jelonek, który był równie mądry jak dobry, powiedział jej, by przestała płakać.

– Nie martw się, wiedźma nie potrzebowała oczu, by wiedzieć, kim jest. Wiedziała to dzięki twojej miłości.

Księżniczka była tak wdzięczna za dobroć jelonka, że wyciągnęła rękę i pogłaskała jego ciepły pyszczek. Kiedy to zrobiła, jelonek zmienił się w przystojnego księcia, a jego złota obroża w lśniąca koronę. Książę opowiedział księżniczce, jak podstępna wiedźma rzuciła na niego urok i uwięziła go w ciele jelonka, dopóki piękna panna pokocha go tak bardzo, by zapłakać nad jego losem.

Wkrótce książę i księżniczka zaręczyli się i żyli długo i szczęśliwie w maleńkiej chatce na skraju lasu. A zamknięte w słoiku oczy wiedźmy obserwowały ich z kominka.

13

Londyn, 1975

Był chuderlawym kruchym człowiekiem. Słabowitym i wysokim, z garbem na przykurczonych plecach. Poplamione beżowe spodnie przywierały do gruzłowatych kolan, kostki niczym gałązki strzelały znad za dużych butów, a na tyłej głowie tu i ówdzie pojawiły się kępki siwych włosów. Mężczyzna wyglądał jak bohater książki dla dzieci. Postać z baśni.

Nell oderwała wzrok od okna i po raz kolejny spojrzała na zapisany w zeszycie adres. Był, zapisany jej własnym niechlujnym piśmem: *Antykwariat pana Snelgrove'a, numer 4 Cecil Court, przy Charing Cross Road – wybitny londyński znawca bajkopisarzy i ekspert w dziedzinie starych książek. Może mieć informacje na temat Elizy.*

Jego nazwisko dostała wczoraj od pracowników Głównego Księgozbioru Podręcznego. Wprawdzie nie posiadali oni żadnych informacji na temat Elizy Makepeace, o których Nell by nie wiedziała, jednak stwierdzili, że jeśli jest ktoś, kto może jej pomóc, tym kimś jest pan Snelgrove. Z pewnością nie należał on do najbardziej towarzyskich osób, ale o starych książkach wiedział więcej niż ktokolwiek inny. Jak zażartował jeden z młodszych bibliotekarzy, pan Snelgrove był stary, jak świat i prawdopodobnie przeczytał zbiór baśni z chwilą, gdy zszedł on z maszyny drukarskiej.

Czując na szyi chłodny oddech wiatru, Nell otuliła się płaszczem i westchnąwszy, pchnęła drzwi.

Na dźwięk mosiężnego dzwoneczka siedzący w antykwariacie stary człowiek odwrócił się w kierunku wejścia. Grube szkła oku-

larów pochwyciły światło i odbiły je niczym dwa okrągłe lustra, a nienaturalnie duże owłosione uszy drgnęły nieznacznie.

Mężczyzna przekrzywił głowę i z początku Nell pomyślała, że składa jej jakiś osobliwy ukłon, pozdrowienie z zamierzchłych czasów. Kiedy jednak znalazła oprawek spojrzały na nią wyblakłe szkliste oczy, zrozumiała, że próbuje tylko przyjrzeć się intruzowi.

– Pan Snelgrove?

– Tak. – Ton jego głosu przywodził na myśl drażliwego dyrektora szkoły. – W rzeczy samej. Proszę zamknąć drzwi. Wpuszcza pani to przekłète powietrze.

Nell zrobiła krok do przodu i ostrożnie zamknęła drzwi. Wiatr był jednak szybszy i niewielki przeciąg porwał ze sobą ciepłe zatęchłe powietrze.

– Tytuł – rzucił mężczyzna.

– Nell. Nell Andrews.

Spojrzał na nią, mrugając szybko.

– Tytuł – powtórzył. – Tytuł książki, której pani szuka – dodał po chwili, wymawiając wyraźnie każde słowo.

– Oczywiście. – Nell zerknęła na notatnik. – Choć właściwie nie chodzi tu o książkę.

Pan Snelgrove zamrugał teraz powoli, jakby chciał dać do zrozumienia, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Najwyraźniej był już znużony jej obecnością. Takie zachowanie zaskoczyło Nell, która zwykle jako pierwsza miała dość ludzi.

– To... to znaczy... – bąknęła i przerwała, by zebrać myśli. – Mam już książkę.

Pan Snelgrove prychnął, a jego wielkie nozdra zmieniły się w wąskie szczeliny.

– Pozwolę sobie zauważyć, – zaczął – że skoro ma pani książkę, nie musi pani korzystać z moich skromnych usług. – Mówiąc to, skinął głową. – Życzę zatem miłego dnia.

Po tych słowach skupił całą uwagę na stojącym tuż przy schodach wysokim regale.

Nell nie mogła w to uwierzyć. Właśnie odprawiono ją z kwitkiem. Zdezorientowana otworzyła usta, by chwilę później je zamknąć. Ruszyła w stronę drzwi i nagle się zatrzymała.

Nie. Przebyła długą drogę, by rozwiązać tajemnicę, swoją tajemnicę, a rozmowa z tym człowiekiem może rzucić choć trochę światła na postać Elizy Makepeace i pytanie, dlaczego w roku 1913 towarzyszyła Nell w drodze do Australii.

Chwilę później wyprostowała się i podeszła do pana Snelgrove'a. Odchrząknęła znacząco i czekała.

Mężczyzna nie odwrócił się i ostentacyjnie ustawiał na półce kolejne książki.

– Pani wciąż tu jest – stwierdził po chwili.

– Tak. – Głos Nell zabrzmiał stanowczo. – Przebyłam długą drogę, by coś panu pokazać, i nie odejdę, dopóki tego nie zrobię.

– Obawiam się – westchnął znużony – że traciła pani cenny czas, tak jak teraz marnuje pani mój. Nie biorę książek w komis.

Nell poczuła w gardle ukłucie wściekłości.

– A ja nie zamierzam sprzedawać mojej książki. Proszę jedynie, aby zechciał pan na nią spojrzeć i udzielić mi fachowej porady. – Czuła, że płoną jej policzki, co nie zdarzało się często.

Pan Snelgrove zmierzył ją spojrzeniem wyblakłych, chłodnych, zmęczonych oczu. Jakieś uczucie (Nell nie wiedziała jakie) sprawiło, że kącik jego ust drgnął. Nie mówiąc nic, staruszek wskazał małeńkie biurko za kontuarem.

Nell pospieszyła w kierunku drzwi. Jego zgoda należała do tych drobnych uprzejmości, które sprawiały, że człowiek tracił chęć do działania. Czując, że łyzy cisną jej się do oczu, Nell zaczęła grzebać w torebce z nadzieją, że znajdzie starą chusteczkę i zdoła otrzeć łyzy. Co, do diabła, się z nią dzieje? Przecież nie jest uczuciowa i wie, jak panować nad emocjami. Tak przynajmniej było do tej pory. Do niedawna, do dnia, w którym Doug przyniósł walizkę, a w niej książkę z umieszczonym na frontyspisie zdjęciem. To wtedy zaczęła przypominać sobie rzeczy i ludzi – Autorkę, fragmenty przeszłości – zupełnie jakby zerkwała na świat przez małeńkie dziurki w podartym płótnie własnej pamięci.

Pan Snelgrove zamknął za sobą szklane drzwi i przeszedł po zakurzonym perskim dywanie. Przez chwilę kluczył pomiędzy kolorowymi stosami książek, ułożonymi na podłodze niczym ściany labiryntu, i opadł na stojący za biurkiem skórzany fotel. Ze sfatygo-

wanej paczki wyciągnął cygaro i je zapalił.

– Cóż... – słowo wypłynęło z jego ust wraz ze smugą dymu – ... proszę wejść. Niech no spojrzę na tę pani książkę.

Wyjeżdżając z Brisbane, Nell zawinęła książkę w ścierkę do naczyń. Pomyśl, który wydawał się rozsądny – książka była stara, cenna i wymagała ochrony – tu, w mrocznej skarbnicy pana Snelgrove’a wydał się absurdalny i żenujący.

Nell rozwiązała sznurek, odchyliła kraciasty, czerwono-biały materiał, i z trudem powstrzymała się przed wepchnięciem ścierki do walizki. Chwilę później podała baśnie wyraźnie zniecierpliwionemu antykwariuszowi.

Zapadła cisza wypełniona tykaniem ukrytego zegara. Nell czekała, podczas gdy staruszek przerzucał kolejne kartki.

Milczał.

Możliwe, że czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Miałam nadzieję, że...

– Cisza. – W powietrze wystrzeliła biała dłoń, a popiół na końcu cygara zakolysał się złowrogo.

Słowa uwięzły Nell w gardle. Starzec bez wątplenia był największym gburem, z jakim miała nieszczęście obcować, a zważywszy na charaktery niektórych spośród jej współników, to było coś. Niemniej może okazać się źródłem informacji, których potrzebuje. Nie miała wyboru, mogła tylko siedzieć pokornie i patrzeć, jak cygaro zmienia się w niewiarygodnie długi snop białego popiołu.

W końcu popiół złamał się i delikatnie spadł na podłogę, dołączając do innych zakurzonych ciał, które umarły tą samą milczącą śmiercią. Nell, która zwykle nie przywiązywała wagi do czystości, zadrżała.

Pan Snelgrove po raz ostatni łączywie zaciągnął się cygarem i zgasił je w przepelnionej popielnicze. Po długiej chwili, która zdawała się wiecznością, spytał, kaszląc:

– Gdzie ją pani zdobyła?

Czyżby jej się zdawało, czy faktycznie wyczuła w jego głosie nutkę podniecenia?

– Dostałam ją.

– Od kogo?

Jak odpowiedzieć na tak postawione pytanie?

– Przypuszczam, że od samej autorki. Nie pamiętam, byłam wtedy dzieckiem.

Staruszek spoglądał na nią z ciekawością. Jego zaciśnięte usta drżały nieznacznie.

– Naturalnie, słyszałem o tej książce, jednak jak żyję, nie widziałem choćby jednego egzemplarza.

Książka leżała teraz na stole i pan Snelgrove musnął palcami okładkę. Chwilę później przymknął oczy i westchnął z ulgą, jak ktoś, kto przemierzywszy pustynię, odnalazł w końcu wodę. Zaskoczona tą nagłą zmianą Nell odchrząknęła i postanowiła dążyć temat:

– Czy to znaczy, że jest rzadka?

– Ależ tak – odparł, otwierając oczy. – Tak. Wyjątkowo rzadka. Proszę spojrzeć, tylko jedna edycja. No i te ilustracje. Nathaniel Walker. To jedna z bardzo niewielu książek, które zilustrował. – Mówiąc to, otworzył okładkę i spojrzał na frontysepis. – To doprawdy niezwykle rzadki okaz.

– A autorka? Wie pan coś na temat Elizy Makepeace? – Nell wstrzymała oddech, podczas gdy mężczyzna zmarszczył nos. Wciąż jeszcze miała nadzieję. – To dość zagadkowa postać. Udało mi się zdobyć na jej temat zaledwie kilka zdawkowych informacji.

Pan Snelgrove dźwignął się z fotela, spojrzał na książkę tęsknym wzrokiem i sięgnął po stojące na półce drewniane pudełko. Miało mnóstwo małych szufladek i gdy wyciągnął jedną z nich, Nell zauważyła, że jest po brzegi wypełniona niewielkimi prostokątnymi karteczkami. Staruszek przerzucał je przez chwilę, mruczając coś pod nosem, po czym wyjął jedną z nich.

– Oto i ona. – Patrzył na kartkę, bezgłośnie poruszając ustami, aż w końcu przeczytał na głos: – Eliza Makepeace... jej opowieści pojawiały się w rozmaitych periodykach... Tylko jeden opublikowany zbiór – mówiąc to, postukał palcem okładkę książki – dokładnie ten... na jej temat powstało bardzo niewiele prac naukowych... z wyjątkiem... ach, tak.

Nell wyprostowała się na krześle.

– O co chodzi? Co pan znalazł?

– Artykuł, książkę, w której wspomniana jest Eliza. Jeśli dobrze

pamiętam, zawiera ona krótką biografię. – Po tych słowach podszedł do zawalonego książkami regału, który ciągnął się od podłogi aż po sufit. – Napisano go względnie niedawno, jakieś dziewięć lat temu. Według moich zapisków powinien być gdzieś... – Przesunął palcem po czwartej półce, zawahał się, minął kilka kolejnych książek i zatrzymał się. – Tutaj – mruknął, wyciągając książkę i zdmuchując z niej cienką warstwę kurzu. Następnie obrócił ją w dłoniach i mrużąc oczy, zerknął na grzbiet okładki. – *Baśniopisarze i beletryści końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku* autorstwa doktora Rogera McNaba. – Poślinił palec, odszukał indeks i przebiegł wzrokiem listę. – Jest, Eliza Makepeace, strona czterdziesta siódma.

Pchnął otwartą książkę w kierunku Nell.

Serce waliło jej jak młot, a w uszach czuła pulsowanie krwi. Było jej ciepło, bardzo ciepło. Przewracając kolejne strony, dojrzała do numeru czterdzięci siedem i znalazła na górze nazwisko Elizy.

W końcu. W końcu poczyniła jakiś postęp. Oto miała przed sobą biografię osoby, która w jakiś sposób związana była z jej przeszłością.

– Dziękuję – odparła, czując, że słowa więzną jej w gardle. – Dziękuję.

Zaskoczony jej wdzięcznością pan Snelgrove pokiwał tylko głową. Chwilę później wskazał książkę Elizy.

– Nie sądzę, aby chciała ją pani oddać w dobre ręce.

Nell uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Obawiam się, że nie mogłabym się z nią rozstać. To pamiątka rodzinna.

Gdzieś w głębi antykwariatu rozległ się dźwięk dzwonka. Tuż po nim za szklanymi drzwiami pojawił się młody mężczyzna, który wodził niepewnym wzrokiem po regałach.

Starzec machnął tylko głową.

– Cóż, gdyby zmieniła pani zdanie, wie pani, gdzie mnie szukać. – Spojrzał znad okularów na młodzieńca i parsknął pod nosem. – Dlaczego zawsze zostawiają otwarte drzwi? – Mówiąc to, ruszył w stronę wejścia. – *Baśniopisarze i beletryści* kosztują trzy funty – rzucił, mijając krzesło Nell. – Może pani posiedzieć tu przez chwilę, ale wychodząc, proszę zostawić pieniądze na ladzie.

Nell pokiwała głową i słysząc trzask zamykanych drzwi, z dudniącym sercem pogрузyła się w lekturze.

Pisarka pierwszej dekady XX wieku Eliza Makepeace zasłynęła przede wszystkim baśniami, które w latach 1907–1913 ukazywały się regularnie na łamach rozmaitych periodyków. Przypisuje się jej autorstwo trzydziestu pięciu opowieści, jednak wykaz ten jest niekompletny i możliwe, iż nigdy nie poznamy dokładnej liczby. Ilustrowany zbiór baśni autorstwa Elizy Makepeace ukazał się w sierpniu 1913 roku, nakładem wydawnictwa London Hobbins and Co. Książka sprzedawała się dobrze i zdobywała pozytywne recenzje. „Times” opisał baśnie, jako dziwną rozkosz, która budzi w czytelnikach czarujące, a niekiedy przerażające wspomnienia z dzieciństwa. Przede wszystkim doceniono jednak ilustracje autorstwa Nathaniela Walkera, które do dziś uważane są za jedne z jego najlepszych prac. Były one swoistym odejściem od olejowych portretów, z których zasłynął Walker.

Historia Elizy rozpoczęła się pierwszego września 1888 roku w Londynie, kiedy to autorka przyszła na świat. Rejestry urodzeń z tamtego okresu wskazują, że miała ona bliźniacze rodzeństwo, a pierwsze dwanaście lat swego życia spędziła w kamienicy czynszowej pod numerem 35 przy Battersea Church Road. Rodowód Elizy zdaje się bardziej skomplikowany, niż mogłoby sugerować jej skromne pochodzenie. Jej matka Georgiana pochodziła z arystokratycznej rodziny mieszkającej w posiadłości ziemskiej Blachhurst. Georgiana Mountrachet wywołała skandal towarzyski, kiedy w wieku siedemnastu lat uciekła z domu w towarzystwie młodego mężczyzny z nizin społecznych.

Ojciec Elizy Jonathan Makepeace urodził się w 1866 roku w Londynie jako syn biednego barkarza na Tamizie. Był piątym z dziewięciorga dzieci i dorastał w slumsach za londyńskimi dokami. Mimo iż zmarł w 1888 roku, zanim Eliza przyszła na świat, opublikowane baśnie zdają się swoistą reinterpretacją wydarzeń, które były udziałem Jonathana Makepeace’a w dzieciństwie. Na przykład w baśni Kłątwa rzeki postaci wisielców to najprawdopodobniej wspomnienia Jonathana z egzekucji na nabrzeżu. Należy

złożyć, że opowieści te były przekazywane Elizie przez jej matkę. Możliwe, iż Georgiana ubarwiała owe historie, jednak niewątpliwie przetrwały one w umyśle Elizy aż do chwili, gdy zaczęła pisać.

W jaki sposób syn biednego londyńskiego barkarza spotkał i rozkochał w sobie szlachetnie urodzoną Georgianę Mountrachet, pozostaje tajemnicą. Oprócz informacji o sekretnej ucieczce nieznane są fakty, które doprowadziły do takiego rozwoju wydarzeń. Jakikolwiek próby odkrycia prawdy zostały udaremnione przez rodzinę Georgiany, która starała się zatuszować całą sprawę. Informacje, które pojawiły się w gazetach, były zdawkowe i aby poznać prawdę o tym głośnym skandalu, należałoby zapoznać się z ówczesnymi listami i pamiętnikami. Na akcie zgonu Jonathana widnieje zawód: żeglarz, jednak faktyczne miejsce i charakter zatrudnienia pozostają niejasne. Istnieją spekulacje, iż życie na morzu zawiodło Jonathana do brzegów Kornwalii. Możliwe, że tam, w jednym z okolicznych wąwozów, słynąca ze swej urody, rudowłosa córka lorda Mountracheta, spotkała młodego Jonathana Makepeace'a.

Niezależnie od okoliczności, w jakich tych dwoje się spotkało, faktem jest, że byli w sobie szaleńczo zakochani. Niestety, ich szczęście nie trwało długo. Nagła i tajemnicza śmierć Jonathana, zaledwie dziesięć miesięcy po ucieczce, była dla Georgiany Mountrachet potwornym ciosem. Nagle znalazła się w Londynie, sama, niezamężna, ciężarna, bez rodziny i środków do życia. Jednak Georgiana nie zamierzała się poddawać: porzuciła obowiązujące wśród członków klasy wyższej sztywne normy społeczne, a po urodzeniu dzieci zrzekła się nazwiska Mountrachet. Pracowała w firmie prawniczej HJ Blackwater i Wspólnicy w Lincoln's Inn w Holborn.

Istnieją dowody świadczące o tym, iż pisarstwo Georgiany było swoistym darem, który wielokrotnie przejawiała już w młodości. Dzienniki rodziny Mountrachet, ofiarowane w 1950 roku Bibliotece Narodowej, zawierają kilka afiszy teatralnych wypisanych niebywale starannym pismem i ozdobionych znakomitymi ilustracjami. Przedstawienia amatorskie były popularną formą rozrywki w wielu znakomitych domach, jednak te, które odbywały

się w latach osiemdziesiątych XIX wieku w Blackhurst, zadziwiały swą regularnością i powagą.

Jakkolwiek obszerne są informacje na temat domu, w którym Eliza Makepeace przyszła na świat i spędziła wczesne lata życia, niewiele wiadomo o jej londyńskim dzieciństwie. Można jednak przypuszczać, że zdominowała je nędza i wola przeżycia. Najprawdopodobniej gruźlica, która ostatecznie zabiła Georgianę, męczyła ją od połowy lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Jeśli choroba rozwijała się tak, jak w większości przypadków, pod koniec dziesięciolecia problemy z oddychaniem i ogólne osłabienie uniemożliwiły Georgianie dalszą pracę. Potwierdzają to również dokumenty z HJ Blackwater.

Nie ma dowodów na to, że Georgiana szukała pomocy lekarskiej, jednak lęk przed medycyną był w tamtym okresie zjawiskiem dość powszechnym. W latach osiemdziesiątych XIX wieku gruźlica była chorobą podlegającą obowiązkowi zgłoszenia, tak więc lekarze musieli niezwłocznie informować o jej przypadkach lokalne władze. Miejska biedota w obawie, że zostanie wysłana do sanatoriów (które w tamtym okresie bardziej przypominały więzienia), nie szukała pomocy lekarskiej. Choroba matki musiała wywrzeć wielki wpływ na życie Elizy, zarówno osobiste, jak i twórcze. Z całą pewnością musiała ona iść do pracy. Dziewczęta w Londynie epoki wiktoriańskiej były zatrudniane przy wszelkiego rodzaju niewdzięcznych pracach – jako służące, sprzedawczynie owoców, kwiaciarki. Wzmianki o maglach i wannach, obecne w niektórych baśniach, sugerują, że Eliza pracowała jako praczka. Wampiropodobne stworzenia w Polowaniu na wróżki mogą wyrażać dziewiętnastowieczne przekonanie, że cierpiący na suchoty zostali pokąsani przez wampira. Wrażliwość na światło, opuchnięte, czerwone oczy, niebывale blada cera i charakterystyczny kaszel zdawały się tylko potwierdzać tę teorię.

Nie wiadomo, czy Georgiana starała się skontaktować z rodziną po śmierci Jonathana i wtedy, gdy sama podupadła na zdrowiu. Moim zdaniem jest to mało prawdopodobne. Jednak list z grudnia 1900 roku napisany przez Linusa Mountracheta do jednego ze współników sugerował, że mężczyzna właśnie co dowie-

dział się o swej londyńskiej siostrzenicy Elizie i wyrażał głębokie zdumienie, że dziewczynka przeżyła tyle lat w tak strasznych warunkach. Niewykluczone, iż Georgiana obawiała się, że rodzina Mountrachetów nigdy nie wybaczy jej ucieczki. Jeśli wierzyć listowi jej brata, obawy te były bezpodstawne.

Po tylu latach bezowocnych poszukiwań poza granicami kraju, pływania po morzach i przeczesywania lądów, któż mógłby pomyśleć, że moja ukochana siostra była tak blisko. Jak wielkich krzywd musiała doznać! Przekonanie się, że to, co mówię, jest prawdą, kiedy opiszę wam jej charakter. Czy aż tak mało obchodziła ją nasza miłość i fakt, że chcieliśmy jedynie, aby bezpiecznie wróciła do domu...

Choć Georgiana nigdy nie wróciła do rodzinnej posiadłości, Elizę przyjęto na łono rodziny Mountrachetów. Georgiana Mountrachet zmarła w czerwcu 1900 roku, gdy dziewczynka miała jedenaście lat. Według informacji, jakie zawierał akt zgonu, Georgiana zmarła na gruźlicę w wieku trzydziestu lat. Po śmierci matki Eliza została odesłana na wybrzeże Kornwalii, do rodziny ze strony matki. Nie wiadomo, w jakiej atmosferze przebiegł ów rodzinny zjazd, można jednak przypuszczać, że mimo przykrych okoliczności, które do niego doprowadziły, zmiana otoczenia była dla młodej Elizy cudownym darem losu. Przeprowadzka do majątku Blackhurst była niebywałą odmianą i wymarzoną ucieczką od niebezpieczeństw czyhających na młode dziewczęta na ulicach Londynu. W baśniach Elizy Makepeace morze stanowi swoisty motyw odnowy i zbawienia.

Wiadomo, że Eliza mieszkała z rodziną matki do dwudziestego piątego roku życia, jednak jej późniejsze losy owiane są tajemnicą. Istnieją rozmaite teorie na temat jej życia po 1913 roku, choć żadnej z nich nie udało się udowodnić. Niektórzy historycy twierdzą, że najprawdopodobniej padła ofiarą szkarlatyny, która w roku 1913 zaatakowała wybrzeża Kornwalii. Inni – zaskoczeni *Lotem kukułki* opublikowanej w 1936 roku w czasopiśmie „*Literary Lives*”, ostatnią baśnią Elizy Makepeace – sugerują, że wiele

podróżowała, szukając przygód rodem ze świata baśni. Ten pomysł, jakkolwiek kuszący, wciąż wymaga potwierdzenia, i choć istnieje na ten temat wiele rozmaitych teorii, los Elizy Makepeace, podobnie jak data jej śmierci, pozostaje jedną z niewyjaśnionych literackich tajemnic.

Słynny edwardiański portrecista Nathaniel Walker stworzył szkic węglem przedstawiający Elizę. Szkic, który po śmierci Walke-ra znaleziono wśród jego niedokończonych dzieł, nosi tytuł *Autora* i można go podziwiać w londyńskiej galerii Tate. Mimo iż Eliza Makepeace opublikowała zaledwie jeden zbiór baśni, jej utwory cechuje osobliwa, metaforyczno-socjologiczna głębia i z pewnością zasługują one na uwagę.

Podczas gdy wcześniejsze utwory, jak choćby *Odmieniec*, zdradzają głęboką fascynację europejskimi baśniami, późniejsze dzieła Elizy Makepeace takie jak *Oczy więdźmy* mają wyjątkowe, autobiograficzne podłoże.

Jak wiele pisarek pierwszej dekady XX wieku również Eliza Makepeace padła ofiarą zmian kulturowych związanych z istotnymi wydarzeniami początku wieku (pierwsza wojna światowa, ruch sufrażystek) i umknęła uwagi czytelników. Wiele spośród jej baśni zaginęło podczas drugiej wojny światowej, gdy z Biblioteki Narodowej zniknęły unikatowe numery mało znanych periodyków. W rezultacie, zarówno Eliza, jak i jej baśnie, pozostały nieznane, a w końcu zniknęły z powierzchni ziemi, jak wiele innych duchów początku XX wieku.

14

Londyn, 1900

Wysoko nad sklepem, w którym pan i pani Swindell sprzedawali swoje tandetne towary, w wąskim domu na brzegu Tamizy, znajdował się maleńki pokój, niewiele większy od szafy. Był mroczny, wilgotny i przesycony zapachem stęchlizny (naturalna konsekwencja fatalnego systemu kanalizacyjnego i nieistniejącej wentylacji), z wypłowiałymi ścianami, które pękały latem, a przeciekały zimą, i kominkiem, którego przewód kominowy był zatkany od tak dawna, że grubiaństwem byłoby twierdzić, że powinno być inaczej. Mimo tych podłych warunków pokój nad sklepem państwa Swindell był dla Elizy Makepeace i jej brata bliźniaka Sammy'ego jedynym domem, jaki znali i ażylem, którego tak bardzo brakowało im w codziennym życiu. Przyszli na świat jesienią tego samego roku, w którym na ulicach Londynu pojawił się Kuba Rozpruwacz, i z upływem czasu Eliza nabierała coraz większej pewności, że fakt ten uczynił ją tym, kim była. Morderca był jej pierwszym przeciwnikiem w życiu pełnym przeszkód.

Najlepszą rzeczą w pokoju nad sklepem – i jedyną, jeśli nie liczyć dachu nad głową – było pęknięcie pomiędzy dwoma cegłami, wysoko nad starą sosnową półką. Eliza była wdzięczna, że niedbałość budowniczych i upór miejscowych szczurów przyczyniły się do powstania tak cudownej dziury w zaprawie. Jeśli położyła się na brzuchu i wyciągnęła wzdłuż półki z okiem przyłożonym do ściany i przekrzywioną głową, widziała pobliskie zakole rzeki. Ze swej kryjówki patrzyła na zatłoczone ulice i życie londyńczyków. W ten oto

sposób spełniły się jej dwa największe marzenia: widziała wszystko, podczas gdy sama pozostawała niezauważona. Było to idealne rozwiązanie, bo choć ciekawość Elizy nie znała granic, ona sama nie lubiła, by na nią patrzono. Wiedziała, że bycie dostrzeżonym może oznaczać niebezpieczeństwo, a badawcze spojrzenia były równoznaczne z kradzieżą. Wiedziała o tym, ponieważ to właśnie lubiła robić najbardziej: przechowywać obrazy w pamięci, odtwarzać je, zmieniać i robić z nimi, co tylko chce. Tkać z nich straszne historie, chore wytwory wyobraźni, które z pewnością przeraziłyby tych, którzy stali się ich inspiracją.

A dookoła było tylu ludzi, tak wiele inspiracji. Życie w obserwowanym przez Elizę zakolu Tamizy nigdy nie zamierało. Rzeka była siłą napędową miasta, jego arterią, puchnącą i kurczącą się z kolejną falą przyptywów i odpływów, wraz z którymi przybywali do miasta kolejni dobroczyńcy i złoczyńcy. Mimo iż dziewczynka lubiła, gdy w czasie przyptywu na rzece pojawiały się węglowce, pełne wiosłujących mężczyzn, a lichtugi rozładowywały kolejne ładunki, to jednak wołała odpływy, gdy rzeka i jej okolice naprawdę budziły się do życia. Kiedy poziom wody był wystarczająco niski, by pan Hackman i jego synowie mogli zacząć wylawiać ciała i opróżniać ich kieszenie, gdy na brzeg wychodzili okoliczni zbieracze, przeczesując cuchnące błoto w poszukiwaniu lin, kości, miedzianych gwoździ i wszystkiego, co można sprzedać. Pan Swindell miał swoją własną grupę zbieraczy i swój własny skrawek błota, gnijące poletko, którego strzegł jak oka w głowie. Ci, którzy przypadkiem przekroczyli jego granice, musieli liczyć się z tym, że wraz z kolejnym odpływem trafią w ręce pana Hackmana, który przetrząśnie ich mokre kieszenie.

Pan Swindell próbował namówić Sammy'ego, by dołączył do grupy zbieraczy. Mówił, że przy każdej nadarzającej się okazji chłopak powinien odplacać mu za jego dobroć, bo choć Sammy i Eliza zawsze zdołali uciulać tyle, by wystarczyło na czynsz, pan Swindell wciąż przypominał im, że tylko z dobrej woli nie poinformował lokalnych władz o podejrzanym zgonie ich matki.

– Ci węszący dobroczyńcy z pewnością byliby zainteresowani losem dwóch młodych sierot, które muszą radzić sobie same na tym wielkim parszywym świecie. Niezwykle zainteresowani – powtarzał.

– Zgodnie z prawem, powinienem na was donieść z chwilą, gdy wasza matka wydała ostatnie tchnienie.

– Tak, panie Swindell – odpowiadała Eliza. – Dziękujemy, panie Swindell. To bardzo miłe z pana strony.

– Nie zapominajcie o tym. Dzięki dobroci mojej i mojej starej wciąż macie dach nad głową. – Po tych słowach spuszczał wzrok i złośliwie mrużył oczy. – Gdyby jeszcze twój brat dołączył do mojej grupy poszukiwaczy, miałbym pewność, że warto was tu zatrzymać. W życiu nie spotkałem nikogo z takim nosem.

I miał rację. Sammy miał naturalny dar odnajdywania prawdziwych skarbów. Już gdy był małym chłopcem, rozmaite błyskotki dosłownie wpadały mu w ręce. Pani Swindell nazywała to szczęściem głupiego, twierdząc, że Bóg sprzyjał głupkom i szaleńcom, jednak Eliza wiedziała, że to nieprawda. Sammy nie był idiotą, po prostu widział więcej niż inni ludzie, bo nie tracił czasu na gadanie. Nigdy. W ciągu dwunastu lat nie wypowiedział ani słowa. Nie musiał mówić; nie w towarzystwie Elizy. Ona zawsze wiedziała, co czuł i co myślał. Koniec końców byli przecież bliźniakami, dwiema połówkami tego samego jabłka.

To dlatego wiedziała, że panicznie boi się rzecznych błot i choć fobia ta była jej obca, rozumiała ją. Na brzegu rzeki powietrze stało się inne. Nie wiedzieć dlaczego, czy to przez smród błota, pikujące ptaki, czy może dziwne dźwięki, które odbijały się echem od prastarych brzegów...

Eliza wiedziała, że musi opiekować się Sammym. Nie tylko dlatego, że tak mówiła mama. (Stworzona przez mamę dziwna teoria głosiła, że zły człowiek – mama nigdy nie powiedziała, kim tak naprawdę jest – czai się, by ich wysledzić). Nawet gdy byli dziećmi, zanim Sammy dostał gorączki i o mało nie umarł, Eliza wiedziała, że braciszek potrzebuje jej bardziej, niż ona potrzebuje jego. Coś w jego zachowaniu sprawiało, że był bezbronny. Kiedy byli mali, wiedzieli o tym inne dzieci. Teraz widzieli to dorośli. W jakiś sposób wyczuwali, że Sammy nie jest jednym z nich.

I mieli rację, Sammy był odmieńcem. Eliza na temat odmieńców wiedziała wszystko. Czytała o nich w baśniach, które znalazła w sklepie z rupieciami. Były tam obrazki. Duszki i chochliki, które wy-

glądały dokładnie tak jak Sammy, z jego pięknymi rudymi włosami, długimi kończynami i okrągłymi niebieskimi oczami. Jak mawiała mama, było w Sammym coś, co od najmłodszych lat odróżniało go od innych dzieci: niewinność i spokój. Mówiła, że gdy Eliza wykrzywała malutką buzię i kwiliła z głodu, Sammy nigdy nie płakał. Leżał w swojej szufladzie, słuchając muzyki, której nie słyszał nikt poza nim.

Elizie udało się przekonać państwa Swindell, że Sammy nie powinien dołączać do zbieraczy i że lepiej by było, gdyby wciąż czyścił kominy dla pana Suttborna. Przypominała, że niewielu chłopców w wieku Sammy'ego podejmuje się podobnych prac. Nie po tym, jak wydano dekret zakazujący dzieciom czyszczenia kominów. W całym Kensington nie było nikogo tak szczupłego i zwinnego jak Sammy, którego spiczaste łokcie były wręcz stworzone do wspinaczki po mrocznych i zakurzonych zsypach. Dzięki Sammy'emu pan Suttborn miał zawsze mnóstwo klientów, a to znaczyło, że płacił regularnie. Pewny pieniądz był zawsze lepszy od nadziei, że Sammy wygrzebie w cuchnącym błocie coś cennego.

Jak dotąd Swindellowie słuchali głosu rozsądku – lubili monety Sammy'ego, podobnie jak lubili pieniądze jego matki, kiedy pracowała dla pana Blackwatera – jednak Eliza nie była pewna, jak długo jeszcze będzie w stanie ich powstrzymać. Zwłaszcza panią Swindell, która groziła im w zawołowany sposób, mrucząc o dobroczyńcach, którzy węszą po okolicy i oczyszczają ulice z biedoty.

Pani Swindell bała się Sammy'ego. Była osobą, dla której lęk był naturalną reakcją na to, co niewyjaśnione. Eliza usłyszała kiedyś, jak rozmawia szeptem z panią Barker, żoną węglarza, że słyszała od pani Tether – położnej, która odbierała poród bliźniąt – że Sammy urodził się z pępowiną owiniętą wokół szyi. Według pani Tether powinien być umrzeć jeszcze tej samej nocy, a jego pierwszy oddech powinien być ostatnim. „To wszystko diabelskie sztuczki, mówiła. Matka chłopca zawarła pakt z samym diabłem. Wystarczyło spojrzeć na chłopaka; poczuć, jak przewierca człowieka wzrokiem i zobaczyć ten jego spokój, zupełnie niepodobny do rówieśników”. Faktycznie, z Sammym Makepeace'em coś było nie tak.

Te niewiarygodnie opowieści sprawiały, że Eliza jeszcze za-

cieklej chroniła brata. Nocą, gdy leżała w łóżku, słuchając kłótni Swindellów i ich córeczki Hatty drącej się wniebogłosy, myślała o potwornych rzeczach, które mogą przydarzyć się pani Swindell. Widziała, jak podczas prania przypadkiem wpada do ognia, zostaje wciągnięta przez wyżymaczkę albo wpada głową do kadzi wrzącego smalcu, a jedynym dowodem makabrycznej śmierci są wystające z kotła patykowate nogi...

O wilku mowa. Zza rogu Battersea Church Road wychynęła pani Swindell z przewieszoną przez ramię torbą pełną łupów. Wracła do domu po kolejnym udanym dniu, który spędziła, polując na małe dziewczynki w ślicznych sukienkach. Eliza odsunęła się od szczeliny i trzymając się krawędzi komina, zeszła na dół.

Jej obowiązkiem było pranie sukienek, które pani Swindell przynosiła do domu. Czasami, gdy gotowała je nad ogniem, uważając, by nie zniszczyć cienkich niczym pajęcza sieć koronek, zastanawiała się, co myślały małe dziewczynki, gdy widziały panią Swindell machającą do nich torebką pełną cukierków, a raczej lśniących kawałków kolorowego szkła. Niestety, żadna z dziewczynek nie podeszła wystarczająco blisko, by odkryć podstęp. Bez obaw. Kiedy już weszły w uliczkę i zostały sam na sam z panią Swindell, kobieta zrywała z nich sukienki tak szybko, że nie zdążyły nawet krzyknąć. Pewnie miały później koszmary, myślała Eliza. Jak te, w których śniła, że Sammy utknął w kominie. Współczuła im – pani Swindell na polowaniu przedstawiała upiorny widok – jednak same były sobie winne. Nie musiały być aż tak chciwe i chcieć więcej, niż dał im los. Eliza nigdy nie pojęła, dlaczego dziewczynki urodzone w szlacheckich domach, wożone bajecznymi wózkami i noszące fantazyjne sukienki padają ofiarami pani Swindell za torbę łakoci. Miały szczęście, że zabierano im wyłącznie sukienki i spokój ducha. W mrocznych uliczkach Londynu ludzie tracili gorsze rzeczy.

Gdzieś na dole trzasnęły drzwi.

– Gdzie jesteś, dziewczyno?! – Głos pani Swindell przetoczył się po schodach jak kula pełna jadu. Eliza natychmiast zrozumiała: nie był to najlepszy dzień na polowanie, a to źle wróżyło mieszkańcom Battersea Church Road pod numerem 35. – Złaz tu i przygotuj kolację albo szykuj się na lanie.

Eliza pognęła na dół do sklepu z rupieciami. Przebiegła wzrokiem po ciemnych kształtach, butelkach i pudełkach, które w półmroku przypominały geometryczne dziwolągi. Jeden z nich poruszał się tuż za ladą. Pani Swindell, niczym błotny krab, rozgrzebywała zawartość torby, przetrząsając wykończone koronką sukienki.

– Nie stój tak i nie gap się na mnie jak ten twój głupkowaty brat. Zapal lampę, ty głupia dziewucho.

– Potrawka jest na piecu, pani Swindell – rzuciła Eliza, w pośpiechu zapalając lampę. – A sukienki już prawie wyschły.

– Mam nadzieję. Każdego dnia wychodzę na ulicę i staram się zarobić na życie, podczas gdy ty musisz tylko uprać sukienki. Czasami myślę, że lepiej byłoby, gdybym robiła to sama. Już dawno powinnam wyrzucić ciebie i twojego głupiego brata na zbity pysk. – Westchnęła i opadła na krzesło. – No, dalej, podejdź tu i zdejmij mi buty.

Podczas gdy Eliza klęczała na podłodze, rozsznurowując obcisłe trzewiki, drzwi otworzyły się i stanął Sammy, czarny od sadzy i kurzu. Widząc go, pani Swindell bez słowa wyciągnęła kościstą dłoń.

Chłopak pogrzebał w kieszeni umorusanych ogrodniczek, wyciągnął dwie miedziane monety i położył je na stole. Kobieta przez chwilę spoglądała na nie podejrzliwym wzrokiem, po czym przepocną stopą odsunęła Elizę na bok i pokuśtykała do skarbonki. Mrużąc oczy, obejrzała się przez ramię, wyjęła zza bluzki kluczyk i otworzyła zamek. Chwilę później monety wylądowały pośród innych, a pani Swindell cmoknęła wymownie.

Sammy podszedł do pieca, a Eliza sięgnęła po dwie miski. Nie jadali ze Swindellami. Jak mawiała pani Swindell, „wszystko po to, by nie przyszło im do głowy, że są częścią rodziny”. Koniec końców byli przecież parobkami i traktowano ich jako służbę, nie lokatorów. Eliza rozlała potrawkę, precedzając ją przez sito, jak nakazała pani Swindell. Jej zdaniem szkoda było marnować mięso na niewdzięczną biedotę.

– Jesteś zmęczony – szepnęła dziewczyna. – Zacząłeś wczesnym rankiem.

Sammy pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie powinna się martwić.

Eliza zerknęła w kierunku pani Swindell, upewniła się, że kobieta nie patrzy i wrzuciła do miski Sammy'ego kawałek golonki.

Chłopak uśmiechnął się, a jego okrągłe oczy napotkały wzrok siostry. Widząc jego przygarbione ramiona, twarz pokrytą sadzą z kominów zamożnych ludzi i wdzięczność, z jaką spoglądał na kawałek łykowatego mięsa, zapagnęła wziąć go w ramiona i tulić przez całą wieczność.

– No, no. Cóż za wzruszający obrazek – rzuciła pogardliwie pani Swindell, zatrzaskując wieczko skarbonki. – Biedny pan Swindell, siedzi w błocie, szukając skarbów, dzięki którym wyżywimy wasze niewdzięczne gęby. – Mówiąc to, pokiwała do Sammy'ego sękatym palcem. – A takie nicponie jak ty siedzą w domu. Nie tak to powinno wyglądać, mówię wam, nie tak. Kiedy wrócą dobroczyńcy, powtórzę im dokładnie to samo.

– Sammy, czy będziesz jutro pracował dla pana Suttborna? – spytała szeptem Eliza.

Sammy pokiwał głową.

– A pojutrze?

Kolejne skinienie.

– To dwie monety więcej w tym tygodniu, pani Swindell.

Ach, jakże potulny miała głos!

I jak na niewiele się to zdało.

– Bezczelna dziewucho! Jak śmiesz pyskować. Gdyby nie pan Swindell i ja, już dawno wylądowalibyście na bruku albo szorowalibyście podłogi w którymś z przytułków.

Eliza wstrzymała oddech. Przed śmiercią mama wymusiła na pani Swindell obietnicę, że Sammy i Eliza będą mogli mieszkać pod jej dachem tak długo, jak długo będą płacili czynsz i łożyli na dom. – Ale, pani Swindell – zaczęła ostrożnie Eliza – mama mówiła, że obiecała pani...

– Obiecałam? Obiecałam? – W kącikach ust kobiety pojawiły się spienione krople śliny. – Ja ci dam obietnice. Obiecałam, że tak wygarbuję ci skórę, że nie będziesz mogła usiąść na tyłku. – Mówiąc to, zerwała się z krzesła i sięgnęła po wiszący przy drzwiach skórzany pas.

Eliza nie ruszyła się z miejsca, choć miała wrażenie, że serce wy-

skoczy jej z piersi.

Pani Swindell zrobiła krok do przodu, jednak zawahała się, a jej usta wykrzywił okrutny grymas. Bez słowa spojrzała na Sammy'ego.

– Ty – rzuciła pogardliwie. – Podejdź no tu.

– Nie – jęknęła Eliza, patrząc na twarz brata. – Nie, przepraszam pani Swindell. Miałam pani rację, byłam bezczelna. Ja... jakoś to pani wynagrodzę. Jutro posprzątam sklep, wyszoruję schody, i... i...

– Wyczyścisz wychodek i zrobisz porządek ze szczurami na strychu.

– Tak. – Eliza kiwała głową. – Zrobię wszystko.

Pani Swindell ostentacyjnie rozciągnęła pas, który przypominał teraz skórzany horyzont. Przez chwilę spoglądała znad okularów to na Elizę, to na Sammy'ego. W końcu odwiesiła pas.

– Dziękuję, pani Swindell – jęknęła Eliza z ulgą.

Drżącą ręką podała miskę Sammy'emu i sięgnęła po chochlę.

– Dość tego – warknęła pani Swindell.

Eliza podniosła złknięy wzrok.

– Ty – ciągnęła kobieta, patrząc na Sammy'ego – wymyj butelki i ułóż je na półkach. Będziesz mógł zjeść dopiero, gdy skończysz.

– Po tych słowach zwróciła się do Elizy: – Jeśli chodzi o ciebie, idź na górę i najlepiej zejdź mi z oczu. – Jej wąskie usta zadrżały. – Pójdiesz spać bez kolacji. Nie mam zamiaru karmić rebeliantów.



Gdy była młodsza, Eliza lubiła wyobrażać sobie, że pewnego dnia ich ojciec wróci i uwolni ich z niewoli pani Swindell. Po mamie i Rozpruwaczu opowieść o Ojcu Odważnym była ulubioną historią Elizy. Czasami, kiedy nie mogła już dłużej przyciskać oka do zimnych cegieł, leżała na górnym łóżku i myślała o swym walecznym ojcu. Tłumaczyła sobie, że to, co mówiła mama, było kłamstwem, że ojciec nie utonął w morzu, ale został wysłany w daleką, bardzo ważną podróż, i kiedyś powróci, by zabrać ich od Swindellów.

I choć wiedziała, że to wytwór wyobraźni – równie nieprawdopodobny jak to, że pewnego dnia zobaczy wychodzące spodzieży cegieł gobliny i duszki – obraz powracającego ojca dodawał jej sił

i przynosił nieopisaną radość. W jej marzeniach ojciec zawsze jeździł konno przed dom Swindellów. Dosiadał rumaka, nigdy nie siedział w powozie. Koń był czarny jak noc, z lśniąco jedwabistą grzywą i długimi umięśnionymi nogami. Kiedy wjeżdżał w ulicę, wszyscy zastęgli w bezruchu i jak urzeczeni wpatrywali się w jeźdźcę, jej ojca, jakże przystojnego w czarnym stroju jeździeckim. Pani Swindell podnosiła wynędzniałą twarz znad wiszących na sznurze skradzionych sukienek i wołała panią Barker, by czym prędzej przysła zobaczyć, co się dzieje. Obie doskonale wiedziały, że ów przystojny mężczyzna jest ojcem Elizy i Sammy'ego, który wrócił po swoje dzieci. Wszyscy troje jechali nad rzekę, gdzie czekał statek, którym płynęli do dalekich krajów o nazwach, których Eliza nigdy wcześniej nie słyszała.

Czasami, przy wyjątkowych okazjach, gdy Elizie udało się przekonać mamę, by opowiedziała im coś ciekawego, mama mówiła o oceanie. Jej historie były niesamowite, ponieważ mama widziała ocean na własne oczy i z niebywałą łatwością wspominała magiczne dźwięki i zapachy – szum fal, słone powietrze, drobne ziarenka piasku, białe i zupełnie niepodobne do zalegającego nad brzegiem rzeki czarnego osadu. Takie chwile nie zdarzały się jednak często. Zazwyczaj mama nie pochwałała opowieści, zwłaszcza tych o Ojcu Odważnym.

– Musisz wiedzieć, co jest baśnią, a co prawdą, moja Lizo – mówiła. – Baśnie kończą się zbyt wcześnie i gdy książkę i księżniczka znikają ze stron książki, nigdy nie wiesz, co tak naprawdę się z nimi dzieje.

– Ale co masz na myśli, mamusiu? – pytała Eliza.

– Nie wiesz, jak radzą sobie w prawdziwym świecie, gdzie trzeba zarabiać na życie i chronić się przed złem.

Eliza nie rozumiała. I choć nigdy nie powiedziała tego matce, uważała takie rzeczy za mało istotne. Koniec końców mówiły o księciu i księżniczce, a ci nie musieli zarabiać pieniędzy. Wystarczyło, że żyli długo i szczęśliwie w swoim magicznym zamku.

– Nie możesz czekać, aż ktoś przyjedzie i cię uwolni – ciągnęła mama, patrząc tęsknie na Elizę. – Dziewczynka, która czeka na pomoc, nie poradzi sobie w życiu. Jeśli czegoś pragniesz, znajdziesz

w sobie wystarczająco dużo odwagi. Nie bądź księżniczką, Elizo. Znajdź w sobie odwagę, bądź silna i polegaj wyłącznie na sobie.

Kipiąc z nienawiści do pani Swindell i wściekając się na własną niemoc, Eliza wczołgała się do starego kominka. Powoli, ostrożnie wyciągnęła szczupłą rękę i zaczęła obmacywać szyb, szukając luźnej cegły. W ukrytej za nią niewielkiej szczelinie jej palce napotkały znajomy kształt glinianego słoika po musztardzie. Najciszej jak mogła, tak by nie narobić hałasu i nie zaalarmować wścibskiej gospodyni, dziewczynka wyciągnęła znalezisko.

Słoik należał do mamy, która latami trzymała go w tajemnicy. Tuż przed śmiercią, gdy na krótką chwilę odzyskała świadomość, powiedziała Elizie o skrytce. Poprosiła ją, by wyciągnęła słoik i jej przyniosła. Dziewczynka do dziś pamięta podniecenie, jakie towarzyszyło jej, gdy znalazła przedmiot i palącą ciekawość, gdy w duchu zadawała sobie pytanie, co takiego skrywa.

Czekając, aż matka otworzy gliniany słoik, czuła w palcach przedziwne mrowienie. W ciągu ostatnich dni ruchy kobiety stały się niezdarne, a wieczko pojemnika zabezpieczono woskowym korkiem. W końcu jednak wosk złamał się, a Eliza jęknęła ze zdumienia.

W słoiku była broszka, której widok z pewnością wycisnąłby łzy z oczu pani Swindell. Nie była większa od pensa, a jej krawędzie ozdobiono szlachetnymi kamieniami: czerwonymi, zielonymi i cudownie lśniącymi białymi.

W pierwszej chwili Elizie przyszło do głowy, że brosza została skradziona. Nie wyobrażała sobie, by matka mogła dopuścić się podobnej rzeczy, jednak jak inaczej weszłaby w posiadanie tak cudownego skarbu? Skąd go miała?

Tak wiele pytań cisnęło się jej na usta, jednak nie wiedziała, jak je zadać. Zresztą nie miało to znaczenia, bo mama i tak nie słuchała. Patrzyła tylko na broszkę z dziwnym wyrazem twarzy, jakiego Eliza nigdy dotąd nie widziała.

– Ta brosza jest dla mnie niezwykle cenna – szepnęła w końcu. – Bardzo cenna. – Mówiąc to, wcisnęła słoik w dłoń Elizy, jakby nie mogła dłużej znieść jego dotyku.

Naczynie było glazurowane, gładkie i chłodne. Eliza nie wiedziała, co powiedzieć. Broszka, dziwne zachowanie mamy... wszyst-

ko zdarzyło się tak nagle.

– Wiesz co to jest, Elizo?

– Broszka. Widziałam takie u bogatych kobiet.

Matka uśmiechnęła się słabo i Eliza pomyślała, że udzieliła błędnej odpowiedzi.

– A może wisiołek, który zerwał się z łańcuszka?

– Miałś rację. To broszka, wyjątkowa broszka. – Po tych słowach złożyła dłonie. – Wiesz, co jest za tym szkiełkiem?

Eliza zerknęła na rudozłote włókna.

– Gobelin?

I tym razem na twarzy matki pojawił się blady uśmiech.

– W pewnym sensie, choć nie utkano go z nici.

– Ale przecież widzę nitki splecione w ciasny warkocz.

– To kosmyki włosów, Elizo, zabrane kobietom z mojej rodziny. Mojej babce, jej matce i tak dalej. To tradycja. Ta broszka to sekretnik.

– Czy to znaczy, że nie można jej nikomu pokazywać?

Matka wyciągnęła dłoń i musnęła koniuszek jej warkocza.

– Nazywa się tak, ponieważ przypomina nam o ludziach, którzy odeszli z naszego życia. Tych, którzy żyli przed nami i dzięki którym jesteśmy tym, kim jesteśmy.

Eliza pokiwała głową, choć nie była pewna, skąd te nagłe wyznania.

– Broszka jest warta mnóstwo pieniędzy, ja jednak nigdy nie mogłam zdobyć się na to, by ją sprzedać. Jak zwykle padłam ofiarą własnej sentymentalności, jednak to nie powinno cię powstrzymać.

– Mamo?

– Nie czuję się dobrze, moje dziecko. Niebawem to ty będziesz musiała zaopiekować się Sammym i możliwe, że będziesz zmuszona sprzedać broszkę.

– Ależ nie, mamo...

– To może być konieczne, a wtedy będziesz musiała podjąć decyzję. Nie przejmuj się moimi słowami, słyszysz?

– Tak, mamo.

– Jeśli jednak będziesz musiała ją sprzedać, zrób to niezwykle ostrożnie. Broszka nie może być sprzedana oficjalnie, a wszelkie do-

wody sprzedaży muszą zostać zniszczone.

– Dlaczego?

Matka zerknęła na nią i Eliza natychmiast rozpoznała to spojrzenie. Sama wielokrotnie patrzyła tak na Sammy’ego, kiedy nie wiedziała, czy powinna zdobyć się na szczerość.

– Ponieważ moja rodzina się dowie. – Eliza milczała. Rodzina matki podobnie jak jej przeszłość owiane były tajemnicą. – Z pewnością zgłosili jej kradzież, choć...

Zaskoczona Eliza uniosła brwi.

– To nieprawda, moje dziecko, ponieważ broszka należy do mnie. Dostałam ją od matki na szesnaste urodziny, jednak była ona w mojej rodzinie na długo, długo przedtem.

– Ale jeśli jest twoja, dlaczego nikt nie może się o tym dowiedzieć?

– Oficjalna sprzedaż zdradziłaby miejsce naszego pobytu, a nie możemy do tego dopuścić. – Mówiąc to, ujęła w dłonie ręce Elizy. Twarz miała bladą od wysiłku, jaki sprawiało jej mówienie. – Rozumiesz?

Eliza skinęła głową na znak, że rozumie. To znaczy zdawało się jej, że rozumie. Mama obawiała się Złego Człowieka, tego samego, przed którym przestrzegała ich przez całe życie. Człowieka, który mógł być wszędzie, zawsze czaił się za rogiem, gotów ich złapać. Eliza uwielbiała te opowieści, choć mama nigdy nie mówiła wystarczająco dużo, by zaspokoić jej ciekawość. Dlatego sama ubarwiała historię o Złym Człowieku, dodając mu szklane oko, kosz pełen węży i usta, które wykrzywił potworny uśmiech.

– Podać ci lekarstwo, mamó?

– Jesteś dobrą dziewczynką, Elizo, dobrym dzieckiem.

Eliza odstawiła gliniany stoik i sięgnęła po buteleczkę laudanum. Kiedy wróciła, matka wyciągnęła dłoń i pieszczotliwie musnęła pasmo jej włosów.

– Opiekuj się Sammym – szepnęła. – I sobą. Pamiętaj, że silna wola sprawia, iż nawet najślabsi mają w sobie wielką siłę. Musisz być odważna, kiedy ja... jeśli cokolwiek mi się stanie.

– Dobrze, mamó, ale przecież wszystko będzie dobrze. – Wypowiadając te słowa, wiedziała, że będzie inaczej. Wszyscy wiedzieli,

co dzieje się z ludźmi cierpiącymi na suchoty.

Matka wypila łyk lekarstwa i wyczerpana opadła na poduszkę. Rude włosy rozsypały się wokół jej głowy, odsłaniając bladą szyję i bliznę, szramę, która nigdy nie zbladła i zainspirowała Elizę do opowieści o spotkaniu mamy z Rozpruwaczem. Historii, której nigdy nikomu nie opowiedziała.

Kolejne słowa tworzyły szereg krótkich, urywanych zdań.

– Elizo, powiem to tylko raz. Jeśli cię znajdzie i będziesz musiała uciekać, wtedy i tylko wtedy zabierz słoik. Nie idź do Christie’s ani innych dużych domów aukcyjnych. Oni mają archiwa. Idź do domu pana Baxtera i tam popytaj. On powie ci, jak znaleźć pana Johna Picknicka. Pan Picknick będzie wiedział, co zrobić. – Powieki drżały jej z wysiłku, jaki wkładała w każde słowo. – Zrozumiałas?

Eliza skinęła głową.

– Zrozumiałas?

– Tak, mamu, zrozumiałam.

– Do tego czasu zapomnij o istnieniu broszki. Nie dotykaj jej, nie pokazuj Sammy’emu i nikomu o niej nie mów. Jeszcze jedno, Elizo...

– Tak, mamusiu?

– Strzeż się mężczyzny, o którym mówię.



Eliza dotrzymała słowa. No, prawie dotrzymała. Od śmierci matki wyjęła słoik zaledwie dwa razy, by choć przez chwilę nacieszyć wzrok jego zawartością. By musnąć palcami broszkę, tak jak robiła to matka, by poczuć jej magię i zaklętą w niej, nieocenioną siłę. Za każdym razem zamykała słoik, używając do tego wosku świec, i odkładała go na miejsce.

Tego dnia nie miała jednak zamiaru spoglądać na broszkę. Wyjęła słoik, ponieważ zamknęła w nim swój własny skarb, którym zamierzała zabezpieczyć się na przyszłość.

Chwilę później wyciągnęła z naczynia skórzaną sakiewkę i ścisnęła ją w dłoni. Jej zawartość dodawała Elizie siły. Było to świecidełko, które Sammy znalazł na ulicy i podarował siostrze. Zabawka zamożnego dziecka, upuszczona i zapomniana, po to, by ktoś

ją znalazł i zatrzymał. Eliza dobrze ją schowała. Wiedziała, że jeśli Swindellowie zobaczą błyskotkę, zrobią wszystko, by trafiła ona do sklepu z rupieciami. A Eliza pragnęła sakiewki jak niczego w życiu. Dostała ją w prezencie i skórzany woreczek należał wyłącznie do niej. Niewiele było rzeczy, o których mogłaby to powiedzieć.

Minęło kilka tygodni, zanim w końcu znalazła dla niego odpowiednie zastosowanie. Od tamtej pory chowała w nim monety, pieniądze, które zarobiła u Matthew Rodina, szczurołapa, a o których Swindellowie nie mieli pojęcia. Eliza wiedziała, jak łapać szczury, choć nie lubiła tego robić. Gryzonie, jak wszyscy dookoła, chciały pozostać przy życiu w mieście, które nie faworyzowało ani cichych, ani potulnych. Próbowwała nie myśleć o tym, co mówiła jej matka – ona zawsze miała słabość do zwierząt – i zamiast tego powtarzała sobie, że nie ma wyboru. Jeśli ona i Sammy mają zacząć nowe życie, potrzebowali pieniędzy; monet, o których Swindellowie nie mieli pojęcia.

Eliza przysiadła na brzegu paleniska i stawiając słoik na kolanach, wytarła usmolone dłonie o spód sukienki. Nie mogła zrobić tego przy pani Swindell, która wietrzyła podstęp nawet w najbardziej banalnych rzeczach.

Kiedy dłonie były już wystarczająco czyste, Eliza poluzowała delikatną jedwabną wstążkę i zajrzała do środka.

Uratuj siebie, mówiła matka, i zaopiekuj się Sammym. To właśnie zamierzała zrobić. W sakiewce spoczywały trzy trzypensówki. Jeszcze dwie i będzie mogła kupić pięćdziesiąt pomarańczy. Dokładnie tyle potrzebowali, by zacząć sprzedawać owoce. Za zarobione pieniądze kupią kolejne pomarańcze i w ten sposób zaczną prowadzić swój mały interes. Będą wolni, znajdą nowy bezpieczny dom, z dala od wścibskich, mściwych spojrzeń Swindellów. Skończą się groźby na temat dobroczyńców i przytułków...

Kroki na schodach.

Eliza wrzuciła monety do sakiewki, pospiesznie zawiązała wstążkę i wepchnęła woreczek do słoika. Z dudniącym sercem schowała naczynie do komina. Chwilę później, niczym wzór wszelkich cnót, przycupnęła na skraju chwiejącego się łóżka.

Do pokoju wszedł Sammy, wciąż jeszcze czarny od sadzy. Gdy

tak stał przy drzwiach, trzymając migającą świecę, wydawał się tak chudy, że Elizie przyszło na myśl, iż to tylko gra świateł. Uśmiechnęła się do brata, który podszedł do niej, sięgnął do kieszeni i wyciągnął niewielki ziemniak ukradziony ze spiżarni pani Swindell.

– Sammy! – zbeształa go Eliza, wyjmując ziemniak z jego dłoni.
– Wiesz przecież, że je liczysz. Od razu będzie wiedziała, że to ty go ukradłeś.

Sammy wzruszył ramionami i opłukał twarz w stojącej obok łóżka misce.

– Dziękuję – szepnęła Eliza, ukradkiem chowając ziemniak do koszyka z przyborami do szycia. Rankiem odniesie go do spiżarni.

– Robi się zimno – rzuciła, zdejmując fartuch i stając nago na środku pokoju. – W tym roku chłód przyszedł wyjątkowo wcześnie. – Mówiąc to, wślizgnęła się do łóżka, drżąc pod cienkim szarym kocem.

Po chwili dołączył do niej Sammy, ubrany w koszulkę i płócienną majtki. Miał lodowate stopy, które Eliza starała się ogrzać ciepłem własnych stóp.

– Opowiedzieć ci historię?

Poczuła delikatny ruch głową i miękki dotyk włosów na policzku. Chwilę później rozpoczęła swą ulubioną opowieść:

– Dawno, dawno temu, gdy noc była zimna i ciemna, ulica pusta, a bliźnięta wiły się i rozpychały w jej brzuchu, młoda księżniczka usłyszała za plecami pospieszne kroki i natychmiast wiedziała, kto idzie...

Opowiadała tę historię od lat, choć nigdy wtedy, gdy w pobliżu była mama. Ona z pewnością uznałaby, że Eliza straszy brata nieprawdopodobnymi opowieściami. Nie rozumiała, że dzieci nie boją się takich historii, że w ich życiu zdarzają się dużo gorsze rzeczy niż te zmyślone.

Płytki oddech Sammy'ego stał się regularny i Eliza wiedziała, że chłopak zasnął. Przerwała więc opowieść i delikatnie wzięła go za rękę. Była taka zimna i tak koścista, że ogarnęło ją przerażenie. Chwilę później wzmocniła uścisk i wsłuchiwała się w spokojny, miarowy oddech.

– Wszystko będzie dobrze, Sammy – szepnęła, rozmyślając o

skórzanej sakiewce i ukrytych w niej pieniądzach. – Dopilnuję tego, obiecuję.

15

Londyn, 2005

Córka Bena, Ruby, czekała na Cassandrę na lotnisku Heathrow. Była to pulchna kobieta koło sześćdziesiątki, z rumianą twarzą i krótkimi, sterczącymi, srebrzystosiwymi włosami. Miała w sobie energię, od której iskrzyło w powietrzu, i z pewnością należała do osób, które nie mogą przejść niezauważone. Nim Cassandra zdążyła wyrazić swe zaskoczenie, Ruby chwyciła jej walizkę, opłotła ją pulchnym ramieniem i wyprowadziła przez szklane drzwi, wprost na parking.

Jeździła starym rozklekotanym hatchbackiem, w którego wnętrzu czuć było piżmo i chemiczny odpowiednik kwiatu, którego nazwy Cassandra nie mogła sobie przypomnieć. Kiedy zapięły pasy, Ruby wyjęła z torebki mieszankę cukierków z lukrecją i poczęstowała nią Cassandrę. Wybór padł na kostkę w brązowe, białe i czarne paski.

– Jestem uzależniona – przyznała Ruby, wkładając do ust mały różowy cukierek i chomikując go w policzku. – Poważnie uzależniona. Czasami nie zdążę zjeść jednego, a już sięgam po drugi. – Przez chwilę żuła wściekle, by w końcu połknąć cukierek. – No cóż, życie jest zbyt krótkie, by się ograniczać, prawda?

Mimo późnej godziny na drodze wciąż panował spory ruch. Pędziły autostradą, mijając kolejne przygarbione lampy, które zlewały asfalt mdławym pomarańczowym światłem. Gdy Ruby od czasu do czasu wciskała gwałtownie hamulec, kręciła głowę i wymachiwała rękami do innych kierowców, którzy ośmielili się stanąć jej na drodze,

Cassandra wyglądała przez okno, śledząc koncentryczne pierścienie londyńskiej architektury. Lubiła w ten sposób postrzegać miasta. Podróż z przedmieść do jego centrum przypominała powrót kapsułą czasu do przeszłości. Nowoczesne hotele i szerokie drogi szybkiego ruchu ustępowały miejsca domom ozdobionym tynkiem kamiennym, blokom, a w końcu mrocznemu sercu wiktoriańskich szeregowców.

Zbliżały się do centrum Londynu i Cassandra pomyślała, że najwyższy czas poinformować Ruby o hotelu, w którym zamierza spędzić najbliższe dwie noce. Chwilę później sięgnęła do torby, gdzie trzymała dokumenty.

– Ruby – zaczęła – zbliżamy się do Holborn?
– Holborn? Nie. To po drugiej stronie miasta. Czemu pytasz?
– Wynajęłam pokój w jednym z tamtejszych hoteli. Oczywiście mogę złapać taksówkę, przecież nie będziesz mnie tam wiozła.

Ruby przez dłuższą chwilę mierzyła ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Hotel? Nie sądzę. – Zmieniła bieg i gwałtownie wcisnęła hamulec, by uniknąć zderzenia z jadącym przed nimi niebieskim vanem. – Nie ma mowy, zostaniesz u mnie.

– Ależ nie – jęknęła Cassandra, wciąż mając przed oczami błysk niebieskiego metalu. – Nie chcę robić kłopotu. – Zwolniła uścisk na klamce. – I jest już za późno, żeby odwołać rezerwację.

– Nigdy nie jest za późno. Załatwię to za ciebie. – Mówiąc to, Ruby spojrzała na Cassandrę. Pas bezpieczeństwa tak mocno opinał jej obfite piersi, że wydawać się mogło, iż zaraz wyskoczą zza bluzki. – Poza tym to żaden kłopot. Przygotowałam już łóżko i czekałam na twój przyjazd. – Uśmiechnęła się szeroko. – Tata obdarłby mnie żywcem ze skóry, gdybym pozwoliła ci zostać w jakimś hotelu!

Kiedy dojechały do Kensington, Ruby zaparkowała samochód w małej zatoczce, a Cassandra w milczeniu podziwiała jej brawurą jazdę.

– Jesteśmy na miejscu. – Ruby wyciągnęła kluczyk ze stacyjki i machnęła ręką w stronę białego szeregowca po drugiej stronie ulicy. – Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Mieszkanie było małe. Znajdowało się w głębi edwardiań-

skiego domu, na drugim piętrze, za żółtymi drzwiami. Była w nim tylko jedna sypialnia, wnęka prysznicowa, toaleta i mała kuchenka połączona z salonem. Ruby przygotowała dla Cassandry spanie na sofie.

– Obawiam się, że to marne trzy gwiazdki – rzuciła wesoło. – Wynagrodzę ci to przy śniadaniu.

Cassandra zerknęła niepewnie na maleńką kuchnię, na co Ruby wybuchnęła tak głośnym śmiechem, że jej żółtozielona bluzka dosłownie zafalowała. Chwilę później przetarła oczy.

– O Boże, nie! Nie miałam na myśli gotowania. Po co się męczyć, kiedy inni robią to znacznie lepiej? Zamiast tego zabiorę cię do restauracji za rogiem. – Włączyła elektryczny czajnik. – Herbaty?

Cassandra się uśmiechnęła. Jedyne, czego chciała, to dać mężczyźnie twarzy odpocząć od sztucznego, wymuszonego uśmiechu. Możliwe, że była zmęczona długim nużącym lotem albo po prostu nie miała ochoty na towarzystwo, ale dokładała wszelkich starań, by trzymać fason. Filiżanka herbaty oznaczała przynajmniej dwadzieścia kolejnych minut uśmiechania się, potakiwania i – Boże, dopomóż – odpowiadania na niezliczone pytania Ruby. Przez chwilę pomyślała tęsknie o pokoju hotelowym w drugim końcu miasta, patrząc, jak Ruby moczy bliźniacze torebki herbaty w bliźniaczych filiżankach.

Herbata będzie jak znalazł.

– W takim razie, proszę – odparła Ruby, wręczając jej parującą filiżankę.

Usiadła na drugim końcu sofy i rozpromieniła się, roztaczając wokół zapach piżma.

– Nie wstydź się – rzuciła, wskazując cukierniczkę. – A skoro już o tym mowa, opowiedz mi o sobie. Cóż za niespodzianka, ten dom w Kornwalii!



Kiedy Ruby wreszcie się położyła, Cassandra starała się zasnąć. Była zmęczona. Kolory, dźwięki i kształty, wszystko mieszało się ze sobą, jednak sen nie nadchodził. W umyśle pojawiały się kolejne obrazy i rozmowy, niekończący się strumień myśli i uczuć, które

łączył jedynie fakt, że należały do niej: Nell i Ben, stoisko z antykami, matka, podróż samolotem, lotnisko, Ruby, Eliza Makepeace i jej baśnie...

W końcu dała sobie spokój ze snem. Odrzuciła kołdrę i wstała z sofy. Oczy przywykły do ciemności, więc bez trudu podeszła do jedynego w pokoju okna. Jego szeroki parapet sterczał nad kaloryferem i gdyby odsunęła zasłony, mogłaby oprzeć się o niego plecami, dotykając stopami przeciwległej ściany. Klęcząc, pochyliła się do przodu i zerknęła na ulicę, ponad mizernymi wiktoriańskimi ogrodami i porośniętymi bluszczem kamiennymi murami. Widoczna w dole ziemia skąpana była w upiornym księżycowym świetle.

Mimo iż dochodziła północ, Londyn nie pogrążył się w ciemnościach. W miastach takich jak to nigdy nie zapadał zmrok. Współczesny świat zabił noc. Kiedyś było inaczej, nawet Londyn był na łasce i niełasce natury. W tamtych czasach zmierzch zmieniał ulice w smołę, a powietrze w gęstą mgłę. To na tych ulicach grasował Kuba Rozpruwacz.

Tak wyglądał Londyn Elizy Makepeace, Londyn, o którym Cassandra przeczytała w pamiętniku Nell. Tonące we mgle ulice, na których materializowały się i znikały konie, dorożki i lampy.

Patrząc w dół na wąskie brukowane uliczki, przywoływała kolejne obrazy: upiornych jeźdźców wiodących przerażone konie zatłoczonymi ulicami. Latarników powożących dorożkami woźniców. Ulicznych handlarzy i dziwki, policjantów i złodziei...

16

Londyn, 1900

Mgła była gęsta i żółtawa jak pasta z grochu. Wpełzła do miasta nocą, przetoczyła się po powierzchni rzeki i rozlała po ulicach, wokół domów, przeciskając się pod drzwiami. Eliza spoglądała na nią zza popękanych cegieł. Pod tym milczącym mglistym płaszczem domy, lampy, a nawet ściany przywodziły na myśl ogromne mroczne cienie otulone brudnymi piekielnymi wyziewami.

Pani Swindell zostawiła jej stos prania, jednak Eliza nie widziała sensu w zabieraniu się do pracy w taką pogodę – z końcem dnia białe rzeczy staną się szare. Równie dobrze mogła wywiesić mokre rzeczy, nie piorąc ich i tak właśnie robiła. Dzięki temu zaoszczędzi kostkę mydła, nie mówiąc o czasie. Wszystko dlatego, że podczas mglistych dni, takich jak ten, Eliza miała do roboty znacznie ciekawsze rzeczy. Mgła dawała schronienie i ułatwiała przemykanie się.

Zabawa w Rozpruwacza była jedną z jej ulubionych. Na początku bawiła się w nią sama, jednak z czasem wyjaśniła reguły Sammy'emu i teraz na zmianę odgrywali role matki i Rozpruwacza. Eliza nie potrafiła zdecydować, którą z nich woli bardziej. Czasami zdawało jej się, że podziwia Rozpruwacza za to, że jest uosobieniem czystej, nieokiełznanej siły. Uwielbiała to ekscytujące poczucie winy, gdy tłumiąc śmiech, czała się za plecami Sammy'ego, gotowa go złapać...

Jednak w roli matki było coś równie kuszącego i uwodzicielskiego. Szybkie ostrożne kroki, strach przed oglądaniem się za siebie i ucieczka. Ciągłe próby zgubienia przeciwnika, trzymania go na dy-

stans i oszalałe bicie serca, które zagłuszało stukot kroków i usypiało zmysły. Lęk był cudowny i sprawiał, że przechodziły ją dreszcze.

Mimo iż państwo Swindell polowali na ulicach Londynu (mgła była rajem dla szubrawców, którzy podstępem zarabiali na życie), Eliza zesła na dół tak cicho, jak to możliwe, szczególnie uważając na skrzypiący, czwarty stopień. Sarah, dziewczyna, która opiekowała się córką Swindellów, Hatty, lubiła nadskakiwać swoim pracodawcom, ukradkiem donosząc na Elizę.

Po chwili zatrzymała się u podnóża schodów, spoglądając na niewyraźne kształty zgromadzonych w sklepie rupieci. Opary mgły jak bezcielesne palce przedarły się przez splekaną cegłę i rozlały po pomieszczeniu, wisząc nad przedmiotami i skupiając się wokół migocącej lampy gazowej. Sammy siedział w dalekim kącie, myjąc butelki. Był zatopiony w myślach. Eliza poznała to po rozmarzonym wyrazie jego twarzy.

Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma Sarah, podkrađła się do brata.

– Sammy – szepnęła, podchodząc.

Cisza, nie usłyszał.

– Sammy!

Kolano przestało podskakiwać i chłopak wychylił głowę zza lady. Na jego czoło opadł niesforne kosmyk włosów.

– Na ulicach jest mgła.

Jego tępe spojrzenie odzwierciedlało oczywistość tego stwierdzenia. Chwilę później Sammy wzruszył ramionami.

– Gęsta jak błoto w rynsztoku. Nie widać nawet ulicznych lamp. Idealna do zabawy w Rozpruwacza.

To przykuło uwagę Sammy'ego. Chłopak zamarł na chwilę, rozważył słowa siostry i pokręcił głową. Wskazał ręką krzesło pana Swindella i poplamioną poduszkę, na której każdej nocy po powrocie z tawerny opierał plecy.

– Przecież nie dowie się, że wyszliśmy. Minie mnóstwo czasu, zanim oboje wrócą do domu.

Sammy znów pokręcił głową, tym razem jednak bez przekonania.

– Będą zajęci przez całe popołudnie, żadne z nich nie przepuści

okazji zarobienia kilku dodatkowych groszy. – Eliza mogła przysiąc, że magia jej słów zaczyna działać. Koniec końców Sammy był przecież połówką jej samej i zawsze potrafiła odczytać jego myśli. – No, dalej, nie będziemy długo. Dojdziemy tylko do rzeki i zawrócimy. – Już prawie, prawie. – Możesz wybrać, kim chcesz być.

Tak jak podejrzewała, to wystarczyło. Ponure oczy Sammy’ego napotkały jej wzrok.

Chłopak podniósł rękę i zacisnął ją w małą bladą piąstkę, udając, że ściska w niej nóż.



Podczas gdy Sammy stał przy drzwiach, dając siostrze dziesięciosekundową przewagę przysługującą temu, kto wciela się w postać matki, Eliza zanurzyła się we mgle. Przemknęła pod sznurami z bielizną, skręciła za wozem handlarza starzyzną i pobiegła w kierunku rzeki. Poczucie zagrożenia było cudowne. Gnając przed siebie, czuła oszałamiający lęk, który niczym wzburzone fale rozbijał się o jej ciało. Kluczyła między ludźmi, wozami, psami i ukrytymi we mgle dziecięcymi wózkami. Przez cały czas nastawiała uszu, czekając, aż za plecami usłyszy znajome kroki spieszące, by ją dogonić.

W przeciwieństwie do Sammy’ego Eliza kochała rzekę. To dzięki niej czuła związek z ojcem. Matka, która niechętnie mówiła o przeszłości, powiedziała jej kiedyś, że ojciec dorastał na drugim brzegu tej samej rzeki. Zanim dołączył do załogi prawdziwego statku i wypłynął na szerokie morza, uczył się wiązać liny na węglowcu. Eliza lubiła myśleć o tym, co widział, mieszkając na brzegu rzeki, nieopodal Doku Śmierci. Było to miejsce, gdzie wieszano piratów, a ich martwe ciała kołysały się na łańcuchach aż do chwili, gdy zabierał ich trzeci przypyływ. Starzy mieszkańcy doków nazywali to podrygiwaniem umarłaków.

Eliza zadrżała, wyobrażając sobie martwe ciała i zastanawiając się, jakby to było, gdyby ktoś wydusił z jej płuc ostatni oddech. Chwilę później zbeształa się za to, że pozwoliła, by coś zaprzątnęło jej umysł. Był to jeden z tych błędów, których ofiarą padał zwykle Sammy. Być może on mógł sobie na nie pozwolić, Eliza wiedziała, że musi być bardziej ostrożna.

Ale dlaczego nie słyszy za plecami jego kroków? Przystanęła i rozglądając się, zaczęła nasłuchiwać. Latające nad rzeką mewy, skrzypienie masztów, jęk drewnianych kadłubów, toczący się wózek, mężczyzna krzyczący: „Złapcie ich żywcem!”, pospieszne ko-biece kroki, gazeciarz wykrzykujący ceny...

Nagle, gdzieś z tyłu, łomot. Rżenie koni. Wrzask mężczyzny.

Serce waliło jej jak oszalałe i prawie się odwróciła. Chęć, by zobaczyć, co się stało, była niemal bolesna i choć nie było to łatwe, Eliza opanowała się. Mama zawsze powtarzała, że jest zbyt ciekawska. Kręciła głową, cmokała i powtarzała, że jeśli Eliza nie nauczy się panować nad swoją wyobraźnią, pewnego dnia rozbije głowę o nieistniejącą skałę. Ale jeśli Sammy jest gdzieś w pobliżu i widzi, jak się rozglądała... To oznacza przegraną, a przecież jest już prawie nad rzeką. Smród rzeczno-błota mieszał się z siarkowym zapachem mgły. Prawie wygrała, musi pokonać jeszcze niewielki kawałek.

Gdzieś za plecami słyszała zgiełk podniesionych głosów i zbliżający się dźwięk dzwonka. Głupi koń prawdopodobnie wpadł na wóz szlifierza, konie zawsze wariują we mgle. Podłe zwierzę! Jak usłyszysz Sammy'ego, jeśli postanowił zaatakować właśnie teraz?

Z mgły, niczym falujące widmo, wyłonił się kamienny mur na brzegu rzeki.

Eliza uśmiechnęła się i przebiegła ostatnie kilka jardów.

Było to wbrew regułom, jednak nie mogła się powstrzymać. Kiedy dłonie dotknęły oślizgłego kamienia, pisnęła radośnie. Udało jej się, wygrała, po raz kolejny przechytryła Rozpruwacza.

Chwilę później usiadła triumfalnie na murku i spojrzała na ulicę. Jej pięty obijały się o zimny kamień, podczas gdy wzrok szukał we mgle przemykającej sylwetki brata. Biedny Sammy. Nie radził sobie w zabawach tak dobrze jak ona. Dłużej uczył się reguł i nie zawsze odnajdywał się w roli, którą miał odegrać. Udawanie nie przychodziło mu z taką łatwością jak Elizie.

Siedząc na murku, chłoneła dźwięki i zapachy ulicy. Z każdym oddechem wciągała do płuc oleisty smak mgły, a dzwoneczek, który słyszała chwilę temu, zbliżał się z każdą upływającą sekundą. Ludzie dookoła zdawali się podekscytowani i spieszyli w jednym kierunku, jak wtedy, gdy syn szmacciarza miał atak padaczki albo gdy w okolicy

pojawiał się kataryniarz.

Oczywiście! Kataryniarz! To tłumaczy, gdzie podziewa się Sammy.

Eliza zeskokczyła z murku, zaczepiając butem o wystający kamień.

Sammy nie mógł oprzeć się muzyce. Jak nic stoi teraz obok kataryniarza i z rozdziawionymi ustami wpatruje się w instrument, zupełnie zapominając, że jeszcze chwilę temu był okrutnym Rozpruwaczem.

Kierowała się teraz ku grupie ludzi, przebiegając szybko koło sklepu z wyrobami tytoniowymi, szewca i lombardu. Tłum gęstniał, dzwoneczek zamilkł, a ona wciąż nie słyszała muzyki.

Nienazwany lęk, który jak kamień zaciążył jej na żołądku, sprawił, że używając łokci, zaczęła przedzierać się przez tłum – miała bogate kobiety w pięknych sukniach, dżentelmenów w eleganckich płaszczach, uliczników, praczki, urzędników – wypatrując Sammiego.

Wśród ludzi pojawiły się pierwsze plotki, strzępy informacji, które ściszonymi głosami wymieniano nad jej głową: czarny koń, który pojawił się nie wiadomo skąd, chłopiec, który go nie zauważył, gęsta mgła...

To nie Sammy, powtarzała sobie, to nie może być Sammy. Był przecież tuż za nią, słyszała jego kroki...

Była już blisko, niemal widziała przez mgłę. Wstrzymując oddech, przepchnęła się do przodu i ogarnęła wzrokiem potworny widok.

Widziała każdy szczegół i natychmiast zrozumiała. Czarny koń i wątle ciało chłopca leżące przed wejściem do sklepu mięsnego. Rozrzucone na bruku rude włosy, tu i ówdzie czerwone od krwi. Zmiażdżona kopytami klatka piersiowa i nieruchome błękitne oczy.

Rzeźnik, który wybiegł ze sklepu, klęczał teraz obok ciała.

– Nie żyje. Biedak, nie miał żadnych szans.

Eliza spojrzała na konia. Zwierzę było narowiste, przerażone mgłą, tłumem i zgiełkiem. Buchające z nozdrzy gorące kłęby pary rozpraszały gęstą mgłę.

– Ktoś zna tego chłopca?

Tłum zafalował i poruszył się, podczas gdy ludzie patrzyli jedni na drugich, wzruszali ramionami i kręcili głowami.

– Chyba go tu widziałem – dał się słyszeć czyjś niepewny głos.

Eliza spojrzała w lśniące czarne oczy konia. Podczas gdy wszystko dookoła zdawało się wirować, zwierzę stało bez ruchu. Przez chwilę dziewczynka i koń mierzyli się wzrokiem i Eliza miała wrażenie, że zwierzę zagląda do jej wnętrza, widzi otchłań, która otwarła się w niej tak gwałtownie, że trzeba będzie całego życia, by ją zapełnić.

– Ktoś musiał go znać – rzucił rzeźnik.

Tłum zamilkł, przez co atmosfera stała się jeszcze bardziej upiorna.

Eliza wiedziała, że powinna znienawidzić czarną bestię, gardzić jej silnymi gładkimi nogami i umięśnionymi udami, jednak nie potrafiła. Patrząc w oczy konia, widziała w nich zrozumienie, jakby zwierzę – i tylko ono – widziało ziejącą w niej pustkę.

– Dobrze więc – stwierdził rzeźnik. Gwizdnął i w drzwiach pojawił się młody uczeń. – Przyrowadź wózek i sprzątnij ciało. – Chłopak zniknął we wnętrzu sklepu, by chwilę później wrócić, ciągnąc drewniany wózek. Kiedy układał na nim zmasakrowane ciało Sammy’ego, zamiatacz zaczął zmywać krew z bruku.

– Chłopak mieszkał chyba przy Battersea Church Road – dobiegł z tłumu spokojny głos. Jego brzmienie przywodziło na myśl głosy prawników w firmie, w której pracowała mama. Nie był to głos kogoś z wyższych sfer, ale zdawał się zbyt afektowany, jak na kogoś, kto mieszka w pobliżu rzeki.

Rzeźnik podniósł wzrok, by zobaczyć, do kogo należy głos.

Z mgły wyłonił się wysoki mężczyzna w binoklach i przyzwitym, choć znoszonym płaszczu.

– Kilka razy go tam widziałem.

Tłum przyjął te rewelacje z pomrukiem i jeszcze raz spojrzał na kruche poskręcane ciało.

– Wie pan może, w którym domu, gubernatorze?

– Obawiam się, że nie.

Rzeźnik przywołał dłonią czeladnika.

– Zawieź ciało na Battersea Church Road i popytaj w okolicy.

Ktoś powinien go znać.

Koń pokłonił się Elizie, trzy razy potrząsnął głową, westchnął i odwrócił wzrok.

Dziewczynka zamrugnęła, jakby coś wyrwało ją z letargu.

– Zaczekajcie – szepnęła.

– Tak? – Rzeźnik wbił w nią ciekawskie spojrzenie.

Oczy wszystkich zwrócone były teraz na drobną dziewczynkę z długim warkoczem złocistych włosów. Eliza zerknęła na mężczyznę w binoklach. Ich szkła były lśniące i białe, więc nie mogła zobaczyć jego oczu.

Rzeźnik uniósł dłoń i tłum zamarł.

– Cóż, moje dziecko. Znasz imię tego nieszczęśliwego młodzieńca?

– Nazywa się Sammy Makepeace – odparła Eliza. – I jest moim bratem.



Matka odłożyła pieniądze na własny pochówek, jednak nie pomyślała o dzieciach. Nic dziwnego. Jaki rodzic mógłby przewidzieć, że stanie przed taką koniecznością?

– Zostanie pochowany w zbiorowej mogile na cmentarzu St Bride – stwierdziła po południu pani Swindell. Włożyła do ust łyżkę zupy i wskazała siedzącą na podłodze Elizę. – Grób będzie otwarty dopiero w środę. Do tego czasu musimy trzymać ciało tutaj. – Przygryzła policzek i wydeła usta. – To znaczy na górze. Nie możemy pozwolić, by odór odstraszał klientów.

Eliza słyszała o pogrzebach biedaków na cmentarzu St Bride. Ogromny masowy grób otwierano raz w tygodniu, wrzucano do niego dziesiątki ciał, a ksiądz odprawiał szybkie nabożeństwo, by jak najszybciej uwolnić się od obrzydliwej woni rozkładu.

– Nie – powiedziała. – Tylko nie St Bride.

Mała Hatty przestała przeżuwać chleb. Zachomikowała wilgotną grudkę w prawym policzku i wybałuszając oczy, spoglądała to na matkę, to na Elizę.

– Nie? – Chude palce pani Swindell zacisnęły się na łyżce.

– Proszę, pani Swindell – zaczęła Eliza. – Proszę pozwolić mu

na godny pochówek, taki, jaki miała mama. – Ugryzła się w język, by nie wybuchnąć płaczem. – Chcę, żeby został pochowany obok niej.

– Ach tak? Może jeszcze mam się zgodzić na karawan ciągnięty przez konie? Kilka wynajętych płaczek? Pewnie myślisz, że pan Swindell i ja powinniśmy zapłacić za ten wymyślny pogrzeb? – Parsknęła, najwyraźniej zadowolona ze swej kąśliwej tyrady. – Wbrew powszechnej opinii, panienko, nie jesteśmy organizacją charytatywną, tak więc jeśli nie masz pieniędzy, chłopak spędzi życie wieczne na St Bride. Dla takich jak on to i tak za dużo.

– Nie chcę żadnego karawanu, pani Swindell, ani płaczek. Tylko pochówek w zwykłym grobie.

– A kto według ciebie powinien się tym zająć?

Eliza z trudem przełknęła.

– Brat pana Barkera jest grabarzem. Może on mógłby pomóc. Z pewnością, gdyby pani spytała...

– Szkoda zwracać ludziom głowę tobą i twoim przygłupim bratem.

– Sammy wcale nie jest przygłupi.

– Był wystarczająco głupi, by dać się stratować przez konia.

– To nie jego wina, była gęsta mgła.

Pani Swindell włożyła do ust kolejną łyżkę zupy.

– On nawet nie chciał wychodzić z domu – ciągnęła Eliza.

– Oczywiście, że nie – parsknęła pani Swindell. – Chłopak nie był rozrabiaką. To ty go namówiłaś.

– Proszę, pani Swindell, mogę zapłacić.

Kobieta uniosła brwi.

– Oczywiście, że możesz. Obietnicami i promieniami księżyca?

Eliza pomyślała o skórzanej sakiewce.

– Ja... ja mam trochę pieniędzy.

Pani Swindell otworzyła usta, pomiędzy których spłynęła strużka zupy.

– Pieniądze?

– Tylko troszkę.

– Skąd je masz, ty podstępna mała dziewczyno? – Jej zaciśnięte usta przypominały zasnuowaną sakiewkę. – Ile?

– Szylinga.

Kobieta wybuchła piskliwym śmiechem. Dźwięk był tak okropny, obcy i zimny, że przestraszona Hatty się rozplakała.

– Szylinga? – wydyszała. – Za szylinga nie kupisz nawet gwoździ do zabicia trumny.

Broszka matki, może ją sprzedać. Wprawdzie mama prosiła, by nie rozstawała się z nią aż do chwili, gdy zacznie jej zagrażać Zły Człowiek, ale w tej sytuacji...

Zaskoczona niespodziewanym atakiem śmiechu pani Swindell zaczęła kasłać. Chwilę później uderzyła się w kościstą pierś i spojrzała na siedzącą na podłodze Hatty.

– Przestań się drzeć, nie mogę się skupić.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, po czym, mrużąc oczy, spojrzała na Elizę. Pokiwała głową, jakby obmyślała jakiś plan.

– Twoje błagania sprawiły, że podjęłam decyzję. Osobiście dopilnuję, by chłopak nie dostał niczego więcej niż to, na co zasługuje. Zostanie pochowany jak biedak...

– Proszę...

– A ja za fatygę wezmę szylinga.

– Ale, pani Swindell...

– Dość. To cię nauczy, że nie należy być podstępny i ukrywać pieniędzy. Zaczekaj tylko, aż pan Swindell wróci do domu i dowie się o wszystkim. To dopiero będzie draka. – Mówiąc to, wręczyła Elizie miskę. – A teraz nalej mi jeszcze zupy i połóż Hatty do łóżka.



Noce były najgorsze. Odgłosy nocy przybierały na sile, cienie poruszały się bez powodu, a zupełnie sama w swoim maleńkim pokoju Eliza padła ofiarą koszmarów. Koszmarów znacznie gorszych od tego, co wyobrażała sobie w wymyślanych przez siebie niestworzonych historiach.

Za dnia miała wrażenie, że ktoś przewrócił jej świat do góry nogami jak wiszące na sznurze pranie. Wszystko miało te same kształty, rozmiary i kolory, choć w rzeczywistości było zupełnie inne. I mimo że ciało Elizy zachowywało się tak jak dawniej, jej umysł błędził w krainie najgorszych koszmarów. Bezustannie wyobrażała sobie Sammy'ego na dnie głębokiego dołu, pośród martwych bez-

imiennych ciał. Widziała, jak uwięziony pod ziemią otwiera oczy i usta, by wykrzyczeć światu, że nastąpiła straszna pomyłka i że wcale nie jest martwy.

Pani Swindell dopięła swego i dopilnowała, by chłopca pochowano jak biedaka w zbiorowej mogile. Tymczasem Eliza wzięła broszkę i poszła do domu pana Picknicka. Decyzja nie była jednak łatwa. Dziewczyna stała na ulicy przez dobre pół godziny i biła się z myślami. Wiedziała, że jeśli sprzeda broszkę, dostanie wystarczająco dużo pieniędzy, by opłacić Sammy'emu godny pochówek. Wiedziała też, że pani Swindell zechce wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze i gdy dowie się o skarbie, bezlitośnie ją ukaże.

Jednak nie lęk przed Swindellami zadecydował o jej decyzji. Nie był to również głos matki, głośny i wyraźny, proszący, by sprzedała pamiątkę tylko wtedy, gdy jej życiu zacznie zagrażać tajemniczy człowiek.

Zadecydował lęk przed tym, że przyszłość będzie gorsza od przeszłości. Że nadejdzie czas, kiedy matczyzna broszka będzie jedyną szansą na przetrwanie.

Zawróciła więc sprzed domu pana Picknicka i biegiem wróciła do sklepu, czując na sercu ciężar broszki. Powiedziała sobie, że Sammy by zrozumiał, że przecież wiedział, ile kosztowało życie nad brzegiem rzeki.

Na gorze, w małym pokoiku pamięć o nim zapakowała w uczucia – radość, miłość i oddanie – których już nie potrzebowała i ukryła ją głęboko w sercu. Kiedy pozbyła się wspomnień i emocji, poczuła się lepiej. Od śmierci Sammy'ego była tylko w połowie sobą. A jej dusza – niczym pozbawiony światła pokój – stała się zimna, mroczna i pusta.



Kiedy ten pomysł po raz pierwszy przyszedł jej do głowy? Później nie była już tego pewna. Tamten dzień niczym nie różnił się od innych. Jak co rano zbudziła się w małym mrocznym pokoiku, otworzyła oczy i leżała bez ruchu, czekając, aż odzyska spokój po koszmarach nocy.

Odrzuciła koc, usiadła na łóżku i postawiła bose stopy na zim-

nej podłodze. Długi warkocz ciążył na ramieniu. Było zimno. Jesień ustąpiła miejsca zimie i poranki były równie ciemne jak noce. Eliza zapaliła zapalnik, przytknęła ją do nadpalonego knota i spojrzała na wiszący na drzwiach fartuch.

Co ją do tego skłoniło? Co sprawiło, że sięgnęła po wiszące za fartuchem spodnie i koszulę? Dlaczego włożyła ubranie Sammy'ego?

Nie miała pojęcia, jednak czuła, że powinna to zrobić, zupełnie, jakby nie miała wyboru. Koszula pachniała znajomo. Zupełnie jak jej ubrania, choć trochę inaczej. Włożywszy bryczesy, przez chwilę rozkoszowała się dziwnym uczuciem, jakie dawały odkryte kostki, tak bardzo nawykłe do pończoch. Usiadła na podłodze i zasznurowała zdarte buty Sammy'ego. Pasowały idealnie.

Chwilę później stanęła przed niewielkim lustrem i spojrzała na swoje odbicie. Popatrzyła na drgający płomień świecy. Z lustra spoglądała na nią blada wymizerowana twarz. Długie złotorude włosy, niebieskie oczy z franką jasnych rzęs i takie same brwi. Nie odrywając wzroku od lustra, Eliza sięgnęła po ukryte w koszu nożyce krawieckie i przytrzymała warkocz. Był gruby i ciężki, jednak w końcu zawisł bezwładnie w jej dłoni. Niesforne włosy rozsypały się wokół twarzy. Mimo to Eliza ciąła dalej, aż do chwili, gdy krótkie kosmyki przypominały włosy Sammy'ego. Dopiero wtedy założyła jego kaszkiet.

Byli bliźniakami i nikogo nie powinno dziwić, że byli do siebie podobni, jednak to, co Eliza ujrzała w lustrze, sprawiło, że wstrzymała oddech. Kiedy uśmiechnęła się, Sammy w lustrze odpowiedział uśmiechem. Wyciągnęła rękę i dotknęła zimnego szkła, nie była już sama.

Stuk... stuk...

W sypialni niżej miotła pani Swindell zatańczyła na suficie, jak co rano wzywając ją do roboty.

Eliza podniosła z podłogi długi rudy warkocz i ścisnęła go mocno sznurkiem w miejscu, gdzie został odcięty. Później schowa go razem z broszką mamy. Nie jest jej już potrzebny, należy do przeszłości.

17

Londyn, 2005

Cassandra wiedziała, że autobusy będą czerwone i piętrowe, jednak widząc, jak toczą się ulicami do takich miejsc, jak Kensington High Street czy Piccadilly Circus, była oszołomiona. Zupełnie, jakby nagle przeniosła się do jednej z dziecięcych opowieści albo któregoś z filmów, w których po brukowanych uliczkach przemykają garbate taksówki, przy ulicach niczym żołnierze stoją dumne edwardiańskie szeregowce, a zimny północny wiatr gna po niebie niskie skłębione chmury.

Taki Londyn widziała w tysiącach filmów i opowieści oraz od mniej więcej dwudziestu czterech godzin. Gdy wreszcie budziła się po długiej, męczącej nocy, dotarło do niej, że jest sama w małym mieszkanku Ruby, a przeświecające między zasłonami wczesnopołudniowe słońce kładzie się na jej twarzy wąskimi promieniami.

Na stojącym przy sofie małym stolczku znalazła liścik od Ruby:

Brakowało mi ciebie przy śniadaniu! Nie chciałam cię budzić – częstuj się, czym tylko zechcesz. W miseczce znajdziesz banany, w lodówce też powinno coś być, choć ostatnio do niej nie zaglądałam, więc może to być makabryczny widok! W łazience w szafce znajdziesz czyste ręczniki. Będę w V&A aż do 6. Musisz wpaść i zobaczyć wystawę, którą nadzoruję. Jest tam coś ekscytującego, co na pewno cię zainteresuje!

PS Przyjedź wczesnym popołudniem. Rano mam przekłete spotkania.

Tak więc o trzynastej Cassandra stała pośrodku Cromwell Road i z burczącym brzuchem czekała, aż niekończący się sznur samochodów zakończy podróż wąskimi uliczkami miasta, by mogła przejść na drugą stronę ulicy.

Muzeum Wiktorii i Alberta okazało się potężnym imponującym budynkiem, którego ścianę frontową spowijał ogromny szary cień. Gigantyczne mauzoleum przeszłości. Cassandra wiedziała, że w środku znajduje się niezliczona liczba pomieszczeń, z których każde oddaje hołd historii. Tysiące przedmiotów z rozmaitych epok i miejsc daje świadectwo radości i smutków ich dawno zapomnianych właścicieli.

Cassandra spotkała Ruby, gdy ta kierowała grupę niemieckich turystów do nowo otwartego baru kawowego.

– Prawdę powiedziawszy – szepnęła Ruby, gdy zbici w gromadę turyści ruszyli we wskazanym kierunku – zdecydowanie popieram pomysł picia kawy w muzeum. Uwielbiam dobrą kawę, ale nic mnie tak nie wkurza, jak ludzie, którzy mijają moją wystawę w poszukiwaniu bezcukrowych babeczek i importowanych napojów!

Cassandra uśmiechnęła się, choć modliła się w duchu, by Ruby nie usłyszała tego, co dzieje się w jej żołądku. Prawdę powiedziawszy, sama zamierzała iść do baru.

– To znaczy, jak mogą przepuścić okazję spojrzenia w twarz przeszłości? – Mówiąc to, machnęła ręką w kierunku szklanych gablot, w których wewnątrz spoczywały bezcenne eksponaty. – No, jak?

Cassandra pokręciła głową i spróbowała opanować burczenie.

– Nie wiem.

– No cóż – westchnęła teatralnie Ruby. – Jesteś tu, a Filistyni należą do przeszłości. Jak się czujesz? Zmęczona po długiej podróży?

– Nic mi nie jest, dzięki.

– Dobrze spałaś?

– Sofa jest bardzo wygodna.

– Nie musisz kłamać – odparła Ruby ze śmiechem. – Choć doceniam twoją wrażliwość. Przynajmniej przez te niewygody nie przespałaś całego dnia. Zresztą i tak bym zadzwoniła i kazała ci wstać. Nie ma mowy, żebyś przegapiła coś takiego. – Rozpromieniła się. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że Nathaniel Walker żył kiedyś w tej

samej posiadłości, na której stoi twój domek! Wiesz, myślę nawet, że go widział i czerpał z niego inspirację. Być może nawet był w środku. – Wyraźnie podekscytowana Ruby wzięła Cassandrę pod ramię i poprowadziła ją jednym z przejść. – Chodź, jestem pewna, że ci się spodoba!

Z pewną obawą, niezależnie od tego, co Ruby zamierzała jej pokazać, Cassandra przygotowała się na odpowiednio entuzjastyczną reakcję.

– Tu jesteście. – Ruby z dumą wskazała zamknięty wewnątrz gabloty rząd szkieł. – Co o nich myślisz?

Cassandra jęknęła i pochyliła się nad szkłem. Nie musiała się silić na entuzjazm. Obrazki zszokowały ją i przypawiły o prawdziwy dreszcz emocji.

– Ale skąd one...? Jak ty...? – Cassandra rozejrzała się, szukając Ruby, która uradowana klasnęła w dłonie. – Nie miałam pojęcia o ich istnieniu.

– Nikt nie miał – odparła radośnie Ruby. – Nikt poza właścicielką i zapewniam cię, że nawet ona przez długi, długi czas nie poświęcała im większej uwagi.

– Skąd je wytrzasnęliście?

– Przypadkiem, moja droga. Zupełnie przypadkiem. Kiedy tylko pomyślałam o wystawie, nie chciałam po raz kolejny wystawiać tych samych przedmiotów z epoki wiktoriańskiej, które ludzie oglądają od dziesięcioleci. Dałam więc drobne ogłoszenie we wszystkich specjalistycznych magazynach, jakie przyszły mi do głowy. Nic wielkiego, ot: *Muzeum wypożyczy dzieła sztuki z początku dziewiętnastego wieku. Przedmioty zostaną pokazane na wystawie w londyńskim muzeum*. I tak oto pierwszego dnia po ukazaniu się ogłoszenia zaczęłam dostawać pierwsze telefony. Naturalnie większość z nich okazała się fałszywym alarmem, niektórzy próbowali wcisnąć nam obrazy stryjecznej babki Mavis, ale wśród śmieci znalazły się też prawdziwe perełki. Zdziwiłabyś się, wiedząc, ile bezcennych przedmiotów przetrwało do dnia dzisiejszego, choć ich właściciele w ogóle o nie nie dbali.

To samo jest z antykami, pomyślała Cassandra. Najlepsze z nich leżały zapomniane przez dziesiątki lat i jakimś cudem uniknęły spo-

tkania z nadgorliwymi majsterkowiczami.

Ruby spojrzała na szkice.

– To jedno z moich najcenniejszych znalezisk. – Uśmiechnęła się do Cassandra. – Niedokończone szkice Nathaniela Walkera. Kto by pomyślał? To znaczy, na górze mam niewielką kolekcję jego portretów i wiem, że kilka innych znajduje się w Tate Gallery, ale z tego, co wiem, to wszystko, co po nim pozostało. Myśleliśmy, że inne dzieła...

– Zostały zniszczone. Tak, wiem. – Cassandra czuła, że płoną jej policzki. – Nathaniel Walker słynął z tego, że wyrzucał wstępne szkice, z których nie był zadowolony.

– Wiesz więc, co poczułam, gdy kobieta wręczyła mi te szkice. Cały poprzedni dzień spędziłam za kółkiem i jadąc do Kornwalii, zaglądałam do różnych domów, uprzejmie odmawiając przyjęcia rozmaitych bezużytecznych gratów. Szczerze? – Mówiąc to, spojrzała w sufit i przewróciła oczami. – Zdziwiłabyś się, widząc, co według ludzi nadaje się na wystawy. Powiem tylko, że gdy dotarłam do tego domu, miałam już dość i zamierzałam dać sobie spokój. To była jedna z tych białych nadmorskich chat krytych szarym łupkiem i przysięgam, że chciałam stamtąd uciec, gdy Clara otworzyła drzwi. To mała, pocieszna istotka, jak te z książek Beatrix Porter, wiekowa kura ubrana w biały fartuszek. Zaprosiła mnie do najmniejszego i najbardziej zagraconego salonu, jaki w życiu widziałam – w porównaniu z nim moje mieszkanie to prawdziwy pałac – i uparła się, że zrobi mi filiżankę herbaty. W tamtej chwili, po całym tym fatalnym dniu, miałam ochotę na whisky, ale usiadłam i czekałam na kolejny bezwartościowy przedmiot.

– A ona dała ci to.

– Od razu wiedziałam, z czym mam do czynienia. Nie są wprawdzie podpisane, ale w lewym górnym rogu mają wytłoczony znak. Przysięgam, że kiedy to zobaczyłam, zaczęłam się trząść. Byłam tak podekscytowana, że o mało nie rozlałam herbaty.

– Ale skąd ona je wzięła? – dopytywała się Cassandra. – Skąd je wzięła?

– Mówiła, że były w rzeczach jej matki. Clara i jej matka Mary przeprowadziły się, kiedy Mary została wdową. Mary zmarła w wie-

ku sześćdziesięciu kilku lat, do tego czasu obie mieszkały w tym domku. Obie były wdowami i sądzę, że stanowiły dla siebie doskonałe towarzystwo. Clara była zachwycona, kiedy okazało się, że ma we mnie publiczność mimo woli i może mnie raczyć opowieściami o swej drogiej matce. Zanim wyjechałam, nalegała, bym weszła po prawdę zabójczych schodach i rzuciła okiem na pokój Mary. – Ruby nachyliła się do Cassandry. – To dopiero niespodzianka. Mary nie żyła od prawie czterdziestu lat, a jej pokój wyglądał tak, jak gdyby lada chwila miała do niego wrócić. Jego widok przyprawił mnie o gęsią skórę, ale w sympatyczny sposób: wąskie, idealnie pościelone małe łóżko z leżącą na narzucie do połowy rozwiązaną krzyżówką. Pod oknem stała niewielka zamknięta skrzynia. Kuszące! – Ruby przeczesła palcami niesforne siwe włosy. – Mówię ci, powstrzymałam się z całych sił, by nie przebiec przez pokój i nie rozerwać kłódki gołymi rękami.

– Otworzyła ją? Widziałas, co było w środku?

– Nie miałam aż tyle szczęścia. Pohamowałam się jednak i chwilę później opuściłyśmy pokój. Musiałam zadowolić się szkicami Nathaniela Walkera i zapewnieniami Clary, że wśród rzeczy jej matki nie ma nic równie cennego.

– Czy Mary też była artystką? – spytała Cassandra.

– Mary? Nie, była służącą. Przynajmniej na początku. W czasie pierwszej wojny światowej pracowała w fabryce zbrojeniowej i chyba na dobre porzuciła pracę służącej. To znaczy poniekąd ją porzuciła. Wyszła za rzeźnika i do końca dni robiła kaszanek i szorowała deski do krojenia. Nie mam pojęcia, co było gorsze!

– W takim razie – zaczęła Cassandra, ściągając brwi – jak weszła w posiadanie szkiców? Nathaniel Walker niewiele mówił o swych dziełach, a jego szkice należą do rzadkości. Nie dawał ich nikomu, nie podpisywał kontraktów z wydawcami, którzy chcieli zachować prawa autorskie do oryginałów i ukończonych prac. Nie mam pojęcia, co mogło zmusić go do oddania niedokończonych szkiców.

Ruby wzruszyła ramionami.

– Pożyczyła je? Kupiła? Może ukradła? Nie wiem i przyznam szczerze, że wcale mnie to nie obchodzi. Dla mnie to tylko kolejna piękna tajemnica, jakich wiele w życiu. Dziękuję tylko Bogu, że po-

łożyła na nich rękę, nie dowiedziała się, jak bardzo są cenne i nie pokazała ich światu. W przeciwnym razie gwarantuję ci, że nie byłyby dziś w tak doskonałym stanie.

Cassandra pochyliła się nad gablotą. Mimo iż nigdy wcześniej nie widziała tych obrazków, natychmiast je rozpoznała. Nie było mowy o pomyłce: to, co miała przed sobą, było bez wątpienia wczesnymi szkicami do zbioru baśni. Kreślone w pośpiechu linie rozlewały się po papierze, wypełniając go bez reszty pasją artysty. Oddech Cassandry stał się płytki, gdy przypomniła sobie, jak cudownie czuła się w chwili, gdy sama zaczynała tworzyć.

– To niesamowite, że możemy podziwiać proces tworzenia. Czasami mam wrażenie, że niedokończone prace mówią więcej o artyście niż najbardziej dopieszczane dzieła.

– Jak rzeźby Michała Anioła we Florencji – zauważyła Ruby.

Cassandra spojrzała na nią kątem oka wyraźnie zadowolona z jej przenikliwości.

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam obrazek kolana wyłaniającego się z marmuru, dostałam gęsiej skórki. Jak gdyby uwięziony w kamieniu posąg tylko czekał, aż ktoś go uwolni.

Ruby się rozpromieniła.

– Hej, skoro to twoja jedyna noc w Londynie, pójdziemy coś zjeść. Miałam wprawdzie spotkać się z moim przyjacielem Greyem, ale jestem pewna, że zrozumie. Albo nie, zaproszę go. Im więcej nas będzie, tym lepiej...

– Przepraszam panią – usłyszały amerykański akcent. – Czy pani tu pracuje?

Tuż za głosem pojawił się wysoki ciemnowłosy mężczyzna.

– Tak, słucham? – odparła Ruby. – W czym mogę pomóc?

– Moja żona i ja jesteśmy głodni, a jeden z mężczyzn na piętrze poinformował nas, że gdzieś tu jest bar kawowy.

Ruby zerknęła na Cassandrę i wymownie przewróciła oczami.

– Nieopodal dworca jest nowo otwarta restauracja Carluccio. O siódmej, ja stawiam. – Po tych słowach ściągnęła usta i zdobyła się na uśmiech. – Tędy, proszę zaprowadzę pana.



Po wyjściu z muzeum Cassandra postanowiła zjeść późny lunch. Ostatnim posiłkiem, który jadła, była kolacja na pokładzie samolotu, garść cukierków z lukrecją i filiżanka herbaty. Nic dziwnego, że żołądek domagał się jedzenia. W dzienniku Nell znalazła przyklejoną do okładki kieszonkową mapę Londynu i jeśli dobrze pamiętała, gdziekolwiek pójdzie, znajdzie coś do jedzenia. Zerkając na mapę, dostrzegła narysowany długopisem krzyżyk, gdzieś po drugiej stronie rzeki, przy ulicy Battersea. Poczwała nagły przyływ emocji. X oznacza miejsce. Ale jakie miejsce?

Dwadzieścia minut później w kafejce przy Kings Road kupiła kanapkę z tuńczykiem i butelkę wody. Tak zaopatrzona ruszyła Flood Street w kierunku rzeki. Po drugiej stronie dumne i wysokie wznosiły się cztery kominy elektrowni Battersea. Teraz, gdy szła śladami Nell, Cassandra czuła dziwne podniecenie.

Jesienne słońce wyszło z ukrycia i zalało powierzchnię rzeki połyskliwymi srebrnymi plamkami. Tamiza. Jak dużo widziały jej wody: niezliczone żywoty spędzone nad jej brzegami i tyleż samo śmierci. To jej wodami lata temu płynął statek, na którego pokładzie chowała się mała Nell. To tu pożegnała dotychczasowe życie i ruszyła ku nieznannej przyszłości. Przyszłości, która teraz była przeszłością, życiem, które dobiegło końca. Mimo to wciąż było istotne – kiedyś dla Nell, a teraz dla Cassandry. Ta układanka jest jej dziedzictwem. Co więcej, to ona musi sprawić, by wszystkie jej kawałki trafiły na swoje miejsce.

18

Londyn, 1975

Nell przekrzywiła głowę, żeby lepiej widzieć. Miała nadzieję, że gdy zobaczy dom, w którym mieszkała niegdyś Eliza Makepeace, rozpozna go i instynktownie wyczuje, że jest kluczem do jej przeszłości, jednak nic takiego się nie stało. Dom pod numerem 35 przy Battersea Church Road nie miał w sobie nic znajomego. Był to prosty budynek, przez co wyglądał jak wszystkie inne domy w okolicy: trzy piętra, otwierane pionowo okna, wąskie rynny pnące się po szorstkich ceglanych ścianach, które nieubłagany czas zmienił w poczerniałe klocki. Jedyną niezwykłą rzeczą była dziwna dobudówka na szczycie domu. Patrząc z zewnątrz, człowiek miał wrażenie, że ktoś celowo zamurował część dachu, by stworzyć dodatkowy pokój, jednak by potwierdzić te przypuszczenia, należało zajrzeć do środka.

Droga biegła równolegle do Tamizy. Brudna ulica z tonącymi w rynsztoku śmieciami i bawiącymi się na chodniku zasmarkanymi dziećmiakami z pewnością nie mogłaby zainspirować żadnego baśniopisarza. Głupiutkie romantyczne bzdury, a jakże, ale gdy Nell pomyślała o Elizie, w jej umyśle pojawiły się ogrody Kensington JM Barriego i magiczny urok Oksfordu widzianego oczami Lewisa Carrolla.

Jednak to ten adres wymieniono w książce, którą kupiła od pana Snelgrove'a. To w tym domu przyszła na świat Eliza Makepeace, i to tu spędziła wczesne lata swojego życia.

Nell podeszła bliżej. Dom wydawał się cichy i opuszczony. Zajrzała do środka przez frontowe okno. Małeńki pokoik, ceglany kominiek i ciasna kuchnia. Tuż przy drzwiach wąskie schody tulące się do ściany.

Odsunęła się od okna, niemal potykając się o uschniętą roślinę doniczkową.

Błada twarz otoczona koroną siwych loków, która pojawiła się w oknie sąsiedniego domu, sprawiła, że podskoczyła z przerażenia. Nell zamrugała, a gdy spojrzała po raz kolejny, twarz zniknęła. Duch? Znów zamrugała. Nie wierzyła w duchy; w każdym razie nie takie, które straszą ludzi nocą.

Po chwili drzwi do domu pod numerem 37 przy Battersea Church Road stanęły otworem i pojawiła się w nich miniaturowa postać kobiety wysokiej na cztery stopy, chudej i wspartej na lasce. Z krosty na podbródku wyrastał pojedynczy siwy włos.

– Kim jesteś, panienko? – spytała niewyraźnie z typowym londyńskim akcentem.

Minęło czterdzieści lat, odkąd ktoś nazwał ją panienką.

– Nell Andrews – odparła Nell, odsuwając się od wyschniętej rośliny. – Tylko zwiedzam... Patrzyłam... Próbowałam... – Wyciągnęła rękę. – Przyjechałam z Australii.

– Z Australii? – powtórzyła staruszka, rozciągając blade usta w bezzębny uśmiechu. – Trzeba było od razu tak mówić. Mąż mojej siostrzenicy jest Australijczykiem. Mieszkają w Sydney. Może ich znasz? Desmond i Nancy Parkerowie?

– Obawiam się, że nie – odparła Nell. Twarz kobiety spochmurnała. – Nie mieszkam w Sydney.

– No cóż – odparła sceptycznie staruszka. – Może przy okazji wizyty w Sydney wpadniesz na nich.

– Desmond i Nancy. Na pewno zapamiętam.

– Ostatnio wraca bardzo późno.

Nell ściągnęła brwi. O kim ona mówi? O mężu siostrzenicy w Sydney?

– Facet, który mieszka obok. To dość spokojny człowiek. – Tym razem zniżyła głos do szeptu. – Może to i czarnuch, ale ciężko pracuje. – Pokręciła głową. – Zabawne! Afrykańczyk mieszkający pod

numerem trzydzieści pięć. W życiu nie myślałam, że dożyję czegoś takiego. Moja mama przewróciłaby się w grobie, gdyby wiedziała, że w tym starym domu zamieszkają czarni.

To wzbudziło zainteresowanie Nell.

– Pani mama też tu mieszkała?

– A jakże – odparła z dumą kobieta. – Tu się urodziłam. Dokładnie w tym domu, który tak cię interesuje.

– Urodziła się tu pani? – Nelly uniosła brwi. Niewielu było ludzi, którzy mogli stwierdzić, że przeżyli całe życie przy jednej ulicy. – Ile lat temu? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt?

– Prawie siedemdziesiąt osiem. – Staruszka wysunęła brodę, przez co długi siwy włos załśnił w słońcu niczym brylant. – Ani dnia mniej.

– Siedemdziesiąt osiem lat – powtórzyła wolno Nell. – I była tu pani przez cały ten czas. Od... – szybka kalkulacja – od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego?

– Dokładnie od grudnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego. Byłam bożonarodzeniowym dzieckiem.

– Pewnie sporo pani pamięta? Chodzi mi o wspomnienia z dzieciństwa.

Staruszka zachichotała.

– Czasami myślę, że wspomnienia to wszystko, co mam.

– W tamtych czasach musiało tu być zupełnie inaczej.

– O tak. To prawda.

– Kobieta, która mnie interesuje, też mieszkała na tej ulicy. Prawdopodobnie w tym domu. Być może pamięta ją pani. – Nell otworzyła torebkę i wyjęła z niej kserokopię zdjęcia, które znalazła w zbiorze baśni. Ręce jej drżały. – Narysowano ją tak, by wyglądała jak ktoś z baśni, ale jeśli dokładnie przyjrzy się pani jej twarzy...

Staruszka wyciągnęła sękatą dłoń i wzięła zdjęcie z rąk Nell, po czym, zmrużyła oczy i zachichotała.

– Znała ją pani? – Nell wstrzymała oddech.

– Tak, znałam ją i nie zapomnę jej do śmierci. Gdy byłam małą dziewczynką, wiele razy napędziła mi niezłego stracha. Kiedy mamy nie było w domu, opowiadała rozmaite straszne historie. – Spojrzała na Nell, marszcząc czoło. – Elizabeth? Elen?

– Eliza – wyjaśniła szybko Nell. – Eliza Makepeace. Została pi-sarką.

– Nie wiedziałam o tym. Nie przepadam za książkami. Nie wi-dzę powodu, dla którego miałabym przerzucać wszystkie te strony. Wiem tylko, że dziewczyna z tego obrazka opowiadała takie histo-rie, od których włos jeżył się na głowie. To przez nią większość miej-scowych dzieciaków bała się ciemności. Mimo to zawsze wracaliśmy po więcej. Nie mam pojęcia, skąd ona brała te historie.

Nell po raz kolejny spozrzała na dom, jak gdyby chciała odna-leźć w nim ducha młodziutkiej Elizy. Gawędziarki, która dziwnymi opowieściami straszyla okoliczne dzieci.

– Brakowało nam jej, gdy została zabrana. – Staruszka pokiwała ze smutkiem głową.

– Myślałam, że odetchnęliście z ulgą, wiedząc, że nie będzie was już straszyla.

– Niezupełnie. – Staruszka poruszała ustami w taki sposób, jak-by przeżuwała własne dziąsła. – Każdy dzieciak lubi, gdy od czasu do czasu ktoś napędzi mu potężnego stracha. – Mówiąc to, wetknęła koniec laski w kruszejącą zaprawę i mrużąc oczy, zerknęła na Nell. – Jednak to ją życie przeraziło bardziej niż jakokolwiek opowieść. Pewnego dnia, we mgle, straciła brata. Żadna z jej opowieści nie była tak przerażająca, jak to, co mu się przydarzyło. Stratował go ogrom-ny czarny koń, który dosłownie zmiażdżył mu serce. – Pokręciła głową. – Po tym wypadku dziewczyna nigdy nie była już taka sama. Moim zdaniem oszalała. Obcięła włosy i jeśli dobrze pamiętam, za-częła nosić bryczesy!

Nell poczuła przypływ adrenaliny. To coś nowego.

Staruszka odchrząknęła, wyjęła z kieszeni chusteczkę i splunęła w nią. Chwilę później ciągnęła, jak gdyby nigdy nic.

– Krążyły plotki, że zabrano ją do przytułku.

– To nieprawda. Została odesłana do rodziny w Kornwalii.

– Kornwalia. – Z głębi domu dobiegł przeciągły pisk czajnika. – To chyba dobrze, prawda?

– Przypuszczam, że tak.

– No cóż – westchnęła kobieta, kiwając głową w kierunku kuchni – czas na herbatę. – Powiedziała to tak obojętnie, że przez

krótką chwilę Nell myślała, iż zostanie zaproszona do środka, uraczona herbatą i stekami opowieści o Elizie Makepeace. Jednak kiedy drzwi zaczęły się zamykać, a ona wciąż stała na ulicy, nadzieje na pogawędkę rozwiały się niczym dym.

– Proszę zaczekać! – krzyknęła Nell, wyciągając rękę.

Staruszka zostawiła uchylone drzwi, podczas gdy czajnik nie przestawał gwizdać. Nell wyjęła z torebki kawałek papieru i zaczęła coś zapisywać.

– Zapiszę pani adres i numer hotelu, w którym się zatrzymałam. Czy jeśli przypomni sobie pani coś jeszcze na temat Elizy, skontaktuje się pani ze mną? Cokolwiek.

Staruszka uniosła siwą brew. Przez chwilę mierzyła Nell uważnym spojrzeniem, po czym wzięła kartkę. Kiedy przemówiła, jej głos brzmiał nieco inaczej.

– Jeśli coś przyjdzie mi do głowy, dam pani znać.

– Dziękuję, pani...

– Swindell – odparła kobieta. – Panna Harriet Swindell – dodała z naciskiem. – Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który mógłby to zmienić.

Nell uniosła rękę, by pomachać na pożegnanie, jednak drzwi do domu były już zamknięte. Gdy czajnik przestał w końcu gwizdać, zerknęła na zegarek. Jeśli się pośpieszy, uda jej się zajrzeć do Tate Gallery. Tam może obejrzyć *Autorkę*, portret Elizy, namalowany przez Nathaniela Walkera. Wyjęła z torebki kieszonkową mapę Londynu i przesuwając palec w górę rzeki, aż dotarła do Millbank. Spoglądając po raz ostatni na Battersea Church Road, wiktoriańskie domy, w których otoczeniu wychowywała się Eliza, i mijający je czerwony autobus, Nell opuściła dzielnicę.



I oto była *Autorka*. Wisiała na jednej ze ścian muzeum. Zupełnie taka, jaką zapamiętała ją Nell. Przewieszony przez ramię gruby warokocz, zapięty pod samą szyję falbaniasty biały kołnierz i kapelusz. Zupełnie inny od tych, które nosiły damy w epoce edwardiańskiej. Jego krój był bardziej męski i zawadiacki, a ten, kto go nosił – nie wiadomo czemu – wydawał się bardziej zuchwały. Nell zamknę-

ła oczy. Jeśli naprawdę się postara, może przypomnieć sobie głos. Czasami pojawiał się w jej umyśle; srebrzysty dźwięk pełen magii, tajemnic i sekretów. Jednak znikał równie niespodziewanie, jak niespodziewanie się pojawiał.

Gdzieś za jej plecami przechodzili ludzie i Nell otworzyła oczy. Postać *Autorki* wróciła do ram obrazu i Nell podeszła bliżej. Z jednego powodu był to niezwykle obraz. Narysowany węglem, bardziej przypominał szkic. Modelka nie patrzyła na artystę i wydawać by się mogło, że uchwyciono ją w ruchu, zupełnie jakby odchodząc, odwróciła się na moment i tak już pozostała. W jej dużych oczach było coś ujmującego i niepokojącego zarazem, a delikatnie rozchyłone usta zastygły bez ruchu, jak gdyby zamierzała coś powiedzieć. *Autorka* wydawała się zaskoczona, a na jej twarzy próżno było szukać uśmiechu.

Gdybyś tylko mogła mówić, pomyślała Eliza. Być może powiedziałabyś mi, kim jestem i co robiłam w twoim towarzystwie. Dlaczego obie weszłyśmy na pokład tego statku i dlaczego po mnie nie wróciłaś.

Nagle poczuła przygnębiające rozczarowanie. Jak mogła pomyśleć, że portret Elizy powie jej coś więcej ponad to, co już wie? Nie pomyśleć, poprawiła się, mieć nadzieję. Wszystkie te poszukiwania opierają się na nadziei. Świat jest obrzydliwie wielkim miejscem, w którym niełatwo znaleźć kogoś, kto zaginął sześćdziesiąt lat temu, nawet jeśli samemu jest się tą osobą.

Muzeum opustoszało i do Nell nagle dotarło, że została sama, a ze ścian patrzą na nią oczy tych, którzy dawno odeszli z tego świata. Spoglądali na nią w ten osobliwy, nieprzyjemny sposób, w jaki patrzą na człowieka twarze z portretów: oczy, zawsze czujne, śledzące każdy krok. Nell zadrżała i włożyła płaszcz.

Miała już wyjść, kiedy jej uwagę przykuł inny portret. Spoglądając na obraz bladej, ciemnowłosej kobiety z pełnymi czerwonymi ustami, Nell nie miała wątpliwości, na kogo patrzy. Potargane strzępy wspomnień natychmiast ułożyły się w logiczną całość, a uczucie pewności wypełniło każdą komórkę w jej ciele. Nie chodziło o to, że rozpoznała widniejące pod obrazem nazwisko – *Rose Elizabeth Mountrachet* – słowa niewiele tu znaczyły. Chodziło o coś znacznie

ważniejszego i nieistotnego zarazem. Usta Nell zaczęły drżeć, a ona sama poczuła w piersi bolesny uścisk. Oddychanie przychodziło jej z trudem. „Mamusiu”, szepnęła, czując smutek, euforię i wszechogarniającą bezsilność.



Dzięki Bogu główny księgozbiór podręczny był otwarty do późnych godzin i Nell nie musiała czekać do następnego dnia. Przecież знаła nazwisko matki – Rose Elizabeth Mountrachet. Później postrzegала tę krótką chwilę w Tate Gallery jako swoje narodziny. Nagle, bez ostrzeżenia i zamieszania, stała się czymś dzieckiem i poznała imię swojej matki. Spiesząc mrocznymi uliczkami, powtarzała je bez końca.

Nie po raz pierwszy usłyszała to nazwisko. W książce, którą kupiła od pana Snelgrove’a, pod hasłem „Eliza Makepeace” widniało nazwisko rodziny Mountrachet. Wuj Elizy ze strony matki był drobnym arystokratą i właścicielem posiadłości w Kornwalii. Majątek nosił nazwę Blackhurst, i to tam wysłano Elizę po śmierci matki. Właśnie tego ognia szuka. Nici, która połączyłaby Autorkę z twarzą, w której rozpoznała swoją matkę.

Siedząca za biurkiem kobieta pamiętała Nell z poprzedniego dnia, kiedy to przyszła szukać informacji na temat Elizy.

– No i jak, znalazła pani pana Snelgrove’a? – spytała, uśmiechając się szeroko.

– Tak – odparła Nell zdyszana.

– I przeżyła pani, by o tym opowiedzieć.

– Sprzedał mi książkę, która okazała się bardzo pomocna.

– To cały pan Snelgrove, zawsze zdoła coś sprzedać. – Mówiąc to, pokiwała głową.

– Zastanawiam się – ciągnęła Nell – czy mogłaby mi pani znowu pomóc. Muszę znaleźć informacje na temat pewnej kobiety.

Bibliotekarka zamrugwała.

– Jeśli mam pani pomóc, będę potrzebowała trochę więcej szczegółów.

– Oczywiście. Chodzi o kobietę, która urodziła się pod koniec dziewiętnastego wieku.

– Też była pisarką?

– Nie, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. – Nell odechnęła i próbowała zebrać myśli. – Nazywała się Rose Mountrachet i pochodziła z arystokratycznej rodziny. Pomyślałam, że może uda mi się coś znaleźć w którejś z tych książek... no, wie pani... podających szczegóły z życia parów.

– Jak *Debrett*. Albo *Kto jest kim*.

– Właśnie.

– Tak, warto do nich zajrzeć. Mamy tu oba tytuły, ale *Kto jest kim* jest chyba łatwiejsze do przełknięcia. Znajdzie tam pani nazwiska innych członków rodziny. Możliwe, że kobieta, o którą pani pyta, nie ma osobnego wpisu, ale przy odrobinie szczęścia znajdzie ją pani przy nazwisku męża lub ojca. Pewnie nie wie pani, kiedy zmarła.

– Nie, dlaczego pani pyta?

– Wiedząc, kiedy nazwisko mogło pojawić się w książce, jeśli w ogóle się pojawiło, zaoszczędziłaby pani mnóstwo czasu. Dobrze też wiedzieć, kiedy osoba zmarła.

Nell pokręciła głową.

– Nie próbuję nawet zgadywać. Jeśli powie mi pani, gdzie szukać, spróbuję znaleźć nazwisko w *Kto jest kim*. Zacznę od tego roku i cofając się, poszukam jakichkolwiek wzmianek na jej temat.

– To może trochę potrwać, a niedługo zamykamy.

– Pospiesz się.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Proszę wejść schodami na pierwsze piętro. Przy biurku znajdzie pani pliki archiwalne. Listy są ułożone w porządku alfabetycznym.



W końcu, w roku 1934, Nell trafiła na prawdziwą żyłę złota. Nie chodziło o Rose Mountrachet, ale któregoś z Mountrachetów. Linusa, wuja, który po śmierci Georgiany przygarnął Elizę Makepeace. Nell przejrzała wpis:

MOUNTRACHET, lord, Linus St John Henry. Urodzony 11 stycznia 1860 roku, syn nieżyjącego lorda St Johna Luke'a Mo-

untracheta i nieżyjącej Margaret Elizabeth Mountrachet. 31 sierpnia 1888 poślubił Adeline Langley. Córką Rose Elizabeth Mountrachet poślubiła Nathaniela Walkera.

Rose poślubiła Nathaniela Walkera. To oznaczało, że to on jest ojcem Nell. Nieżyjący Rose i Nathaniel. A więc oboje zmarli wcześniej niż w 1934 roku. Czy dlatego była z Elizą? Czy Eliza opiekowała się nią, ponieważ oboje rodzice zmarli?

Jej ojciec – to znaczy Hugh – znalazł ją na nabrzeżu Maryborough pod koniec 1913 roku. Jeśli Eliza była jej opiekunką, ponieważ Rose i Nathaniel zostali zabici, oznaczało to, że musieli zginąć wcześniej.

A gdyby poszukała pod tą datą nazwiska Nathaniela Walkera? Z pewnością poświęcono mu trochę miejsca. Jeśli faktycznie ma rację i ojciec zginął przed rokiem 1913, powinna odnaleźć jego nazwisko w *Kto jest kim*. Przejrzała kolejne półki i wyciągnęła *Kto jest kim 1897–1915*. Drżącymi palcami przesunęła po ostatnich literach alfabetu, Z, Y, X, W. Był tam.

WALKER, Nathaniel James, urodzony 22 lipca 1183, zmarł 2 września 1913, syn Anthony’ego Sebastiana Walkera i Mary Walker. 3 marca 1908 roku poślubił nieżyjącą Elizabeth Mountrachet. Mieli jedną córkę – nieżyjącą Ivory Walker.

Nell przerwała. Informacja o córce była jak najbardziej poprawna, ale co ma oznaczać „nieżyjąca”? Nie jest martwa, wręcz przeciwnie, czuje się jak najbardziej żywa.

Nagle stwierdziła, że w bibliotece jest bardzo gorąco i że nie może oddychać. Powachlowała się dłonią i wróciła do lektury.

Co to może oznaczać? Czy to możliwe, aby ktoś się pomylił?

– Znalazła pani?

Nell podniosła wzrok. Głos należał do kobiety przy biurku.

– Czy one kiedykolwiek się mylą? – spytała. – Czy to możliwe, że podają błędne informacje?

Kobieta wydeła w zamyśleniu usta.

– Przypuszczam, że nie jest to najbardziej wiarygodne źródło.

Można tu znaleźć informacje dostarczone przez samych badanych.

– A co, jeśli osoba nie żyje?

– Słucham?

– W *Kto jest kim* znajdujemy nazwiska tych, którzy nie żyją. Kto wówczas dostarcza informacji?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że rodzina. Większość to fakty, które były zamieszczone tu wcześniej. Dopisują tylko datę śmierci i wszystko gra.

– Starła z półki cieniutką warstwę kurzu. – Zamykamy za dziesięć minut. Proszę powiedzieć, jeśli mogłabym jakoś pomóc.

Z pewnością to jest błąd. Podobne rzeczy musiały zdarzać się dość często; w końcu osoba robiąca skład nie zna osobiście wszystkich tych ludzi. Wystarczyło, że składacz zamyślił się choć na chwilę, a słowo „nieżyjący” mogło pojawić się dosłownie wszędzie. Ach, jak łatwo umrzeć dla potomności.

Ale to coś więcej niż błąd drukarski. Nell wiedziała, że to ona jest wspomnianym dzieckiem, jednak z całą pewnością nie zasługuje na miano „nieżyjącej”. Jedyne, co musi zrobić, to znaleźć biografię Nathaniela Walkera i udowodnić, że informacje podane w spisie są nieprawdziwe. Teraz ma nazwisko i imię, kiedyś nazywała się Ivory Walker. Nawet jeśli nie brzmi to znajomo i nie pasuje do niej jak ulubiony, znoszony płaszcz, jest jej i musi je zaakceptować. W przypadku pamięci termin „księgowość” przestaje obowiązywać. Człowiek nie może wybierać, które wspomnienia mu odpowiadają, a które nie.

Nagle przypomniała sobie książkę poświęconą obrazom Nathaniela, którą kupiła w drodze do Tate Gallery. Na pewno jest w niej krótka biografia. Nie myliła się.

Nathaniel Walker (1883–1913) urodził się w Nowym Jorku jako syn polskich imigrantów, Antoniego i Maryi Walker (pierwotnie Walczak). Ojciec pracował na nabrzeżu, matka, praczka, wychowywała szóstkę dzieci, z których Nathaniel był trzecim. Dwoje z rodzeństwa zmarło w dzieciństwie. Nathaniel pracował z ojcem na nabrzeżu, gdy obrazek, który naszkicował na ulicy Nowego Jorku, został zauważony przez Waltera Irvinga juniora, dziedzica fortuny naftowej, który zlecił Nathanielowi namalowanie swego

portretu. Pod skrzydłami mecenasa Nathaniel stał się znanym członkiem nowojorskiej burżuazji. W 1907 roku, na jednym z bankietów organizowanych przez Irvinga, Nathaniel poznał Rose Mountrachet, która przebywała z wizytą w Nowym Jorku. Pobrałi się w następnym roku w Kornwalii, w majątku ziemskim Blackhurst, nieopodal Tregenny. Po ślubie i przeprowadzce do Anglii Nathaniel zyskał jeszcze większą renomę, a za szczyt jego kariery uważa się rok 1910, kiedy to zlecono mu namalowanie portretu króla Edwarda VII.

Nathaniel i Rose mieli jedną córkę Ivory Walker, która przyszła na świat w 1909 roku. Żona i córka były częstym tematem jego prac, a jeden z ulubionych portretów nosi nazwę *Matka i dziecko*. Młoda para zginęła w tragicznych okolicznościach w 1913 roku w Ais Gill, w katastrofie kolejowej, w której zderzyły się dwa pociągi. Ivory Walker zmarła na szkarlatynę niedługo po śmierci rodziców.

To wszystko nie miało sensu. Nell wiedziała, że to ona jest dzieckiem, o którym pisano w biografii. Rose i Nathaniel Walker są jej rodzicami. Pamiętała Rose, poznała ją, gdy tylko zobaczyła jej portret. Daty się zgadzały: jej narodziny, nawet podróż do Australii zbyt dokładnie pokrywała się ze śmiercią Rose i Nathaniela, by mogła być przypadkiem. Nie wspominając o tym, że Rose i Eliza musiały być kuzynkami.

Nell spojrzała na indeks i przesunęła po nim palcem. Zatrzymała się przy *Matce i dziecku* i z dudniącym sercem otworzyła wskazaną stronę.

Usta jej zadrżały. Być może nie pamiętała swego imienia, ale nie było żadnych wątpliwości. Wiedziała, jak wyglądała, będąc małą dziewczynką. To ona. Siedząca na kolanach matki, namalowana ręką ojca.

Dlaczego historia uznała ją za zmarłą? Kto rozpowszechnił tę błędną informację? Czy było to celowe oszustwo, czy ludzie ci naprawdę w to wierzyli? A może po prostu nie mieli pojęcia, że dziewczynka została wprowadzona na pokład statku przez tajemniczą autorkę baśni?

„Nie możesz wymawiać swojego imienia. To rodzaj gry”. Tak

mówiła Autorka. Nell wyraźnie słyszała jej słowa, srebrzysty głos, niczym wiejąca od strony oceanu bryza. „To nasza tajemnica. Nie możesz jej zdradzić”. Nell znowu miała cztery lata i tak jak wtedy odczuwała lęk, niepewność i podniecenie.

Czuła woń rzecznego błota, jakże inną od błękitnego morza, słyszała kołujące nad Tamizą głodne mewy i nawoływania żeglarzy. Beczki, mroczna kryjówka, wąski promień światła i wirujące drobin-ki kurzu...

Autorka ją zabrała. Nie została wcale porzucona. Porwano ją, a jej dziadkowie nie mieli o niczym pojęcia. To dlatego jej nie szukali. Uwierzyli, że nie żyje.

Ale dlaczego Autorka miałaby ją uprowadzić? I dlaczego zniknęła, zostawiając Nell samą na statku, na końcu świata?

Jej przeszłość była jak matrioszka, wszystkim, co kryła, były kolejne pytania.

Aby rozwikłać tę tajemnicę, potrzebuje kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, kto mógł ją znać lub kto znał ją, gdy była dzieckiem. Kogoś, kto rzuciłby światło na postać Autorki, rodzinę Mountrachetów i Nathaniela Walkera.

Wiedziała, że nie znajdzie kogoś takiego w zakurzonych piwnicach biblioteki. Będzie musiała udać się do samego serca tej tajemnicy, do Kornwalii i wioski o nazwie Tregenna. Do wielkiego mrocznego domu, posiadłości Blackhurst, gdzie dawno, dawno temu żyła jej rodzina i ona sama.

19

Londyn, 2005

Ruby spóźniła się na obiad, jednak Cassandra nie miała jej tego za złe. Kelner zaproponował im stolik przy oknie widokowym, skąd obserwowała wracających do domu, zmęczonych ludzi. Byli jak gwiazdy świecące poza sferą, wewnątrz której toczyło się jej własne życie. Nadchodzili falami. Tuż przy wejściu do restauracji znajdował się przystanek autobusowy, a widoczną po drugiej stronie ulicy stację South Kensington wciąż zdobiły płytki w stylu art nouveau. Od czasu do czasu uliczny ruch sprawiał, że do lokalu przybywały coraz to nowe grupki ludzi, którzy osuwali się na krzesła lub stojąc przy jasno oświetlonym barze, czekali na białe kartonowe pudełka pełne wymienitego jedzenia na wynos.

Cassandra musnęła kciukiem delikatny podniszczony brzeg dziennika i po raz kolejny skupiła się na zdaniu, zastanawiając się, czy tym razem wyda jej się bardziej zrozumiałe. Ojcem Nell był Nathaniel Walker. Nathaniel Walker, królewski malarz, był ojcem Nell. Jej pradziadek.

Nie. Prawda wciąż wydawała się obca, zupełnie jak wtedy, gdy ją odkryła. Siedziała na ławce nad brzegiem Tamizy, próbując odczytać bazgroły Nell dotyczące jej wizyty na Battersea Church Road, w domu, w którym przyszła na świat Eliza Makepeace, i w Tate Gallery, gdzie wystawiano prace Nathaniela Walkera. Wiatr przybrał na sile, muskając powierzchnię wody i gnając ku brzegom. Cassandra zbierała się do odejścia, gdy coś przykuło jej uwagę. Napisane w pośpiechu podkreślone zdanie: *Rose Mountrachet była moją matką.*

Rozpoznałam jej portret i pamiętam ją. Po nim strzałka prowadząca do tytułu *Kto jest kim*, pod którym wypunktowano kolejne uwagi:

- Rose Mountrachet poślubiła malarza Nathaniela Walkera w 1908 roku.
- Jedna córka! Ivory Walker (przyszła na świat jakiś czas później – 1909? Sprawdzić szkarlatynę?).
- Rose i Nathaniel zginęli w 1913 roku w katastrofie kolejowej, Ais Gill. (W tym samym roku zniknęłam. Ogniwó?).

Do marginesu przyklejono złożoną kartkę, fotokopię z książki *Wielkie katastrofy kolejowe epoki parowozów*. Cassandra ją odczepiła. Papier był cienki, a pismo wypłowiałe, ale – dzięki Bogu – nie było na niej pleśni, która pożerała cały dziennik. Tytuł nagłówka brzmiał *Tragedia kolejowa w Ais Gill*. Pośród radosnego gwaru Cassandra po raz kolejny przejrzała krótki, choć pełen entuzjazmu raport.

W mrocznych wczesnych godzinach, 2 września 1913 roku, dwa pociągi przedsiębiorstwa Midland Railway wyjechały ze stacji Carlisle i ruszyły do stacji St Pancras. Wtedy nikt z pasażerów nie przypuszczał, że jest to podróż ku potwornej tragedii. Była to stroma droga, biegnąca przez wzgórza i północne krajobrazy, a pociągi były wyposażone w silniki o zbyt słabej mocy. Tamtej nocy dwa czynniki doprowadziły pociągi i ich pasażerów do zguby: silniki były zbyt słabe, by poradzić sobie z pochyłością terenu, a węgiel, którym napędzano obie maszyny, kiepsko przesiany, pełen odpadków, które uniemożliwiały prawidłowe spalanie.

Po opuszczeniu stacji Carlisle o godzinie 1.35 pierwszy pociąg z trudem wspinał się na szczyt Ais Gill, ciśnienie pary zaczęło gwałtownie spadać i maszyna się zatrzymała. Nietrudno sobie wyobrazić, że pasażerowie byli zdziwieni tym nagłym postojem, zwłaszcza że doszło do niego tuż po opuszczeniu stacji. Mimo to sytuacja nie wzbudziła nadmiernej paniki. W końcu byli w dobrych rękach. Strażnik zapewnił ich, że postój potrwa zaledwie kilka minut i niebawem wyruszą w dalszą drogę.

Właśnie owa pewność, że postój będzie krótki, była jednym z fatalnych błędów popełnionych tamtej nocy. Powszeczny protokół kolejowy sugeruje, że jeśli mężczyzna wiedział, ile czasu zajmie maszyniście i palaczom oczyszczenie rusztu i wyrównanie ciśnienia pary, powinien był iść z latarnią wzdłuż torów i zasignalizować awarię nadjeżdżającym pociągom. Nie uczynił tego jednak i dlatego los podróżujących pociągiem dobrych ludzi został przypiętowany.

Tym bardziej że tą samą drogą jechał drugi pociąg. Wprawdzie przewoził znacznie lżejszy ładunek, jednak zbyt słaby silnik i niskiej jakości węgiel wystarczyły, by przysporzyć maszyniście poważnych kłopotów. Kilka mil przed Mallerstang maszynista podjął fatalną w skutkach decyzję, by opuścić kabinę i sprawdzić, jak pracuje silnik. Mimo iż w dzisiejszych czasach podobne praktyki są uważane za niebezpieczne, w roku 1913 były one dość powszechne. Niestety, z chwilą gdy maszynista opuścił kabinę, palacz również napotkał problemy: wtryskiwacz przestał działać, a temperatura kotła zaczęła gwałtownie spadać. Kiedy maszynista wrócił do kabiny, awaria pochłonięła ich tak bardzo, że nie zauważyli wywiezionej na nastawni w Mallerstang czerwonej latarni.

Zanim skończyli i spojrzeli na tory, pierwszy pociąg był zaledwie kilka jardów przed nimi. Nie było możliwości, by w jakikolwiek sposób zatrzymać drugą maszynę. Nietrudno sobie wyobrazić, że zniszczenia były ogromne, a tragedia pochłonięła ogromną liczbę ofiar. Jak gdyby tego było mało, dach jednego z wagonów pocztowych ześlizgnął się z drugiej lokomotywy, niszcząc wagon sypialny dla pasażerów pierwszej klasy. Paliwo z systemu oświetleniowego zapaliło się, a potężny pożar niszczył kolejne wagony, pozabawiając życia tych, którzy nieszczęśliwie stanęli na jego drodze.

Cassandra zadrżała na myśl o wydarzeniach owej feralnej nocy 1913 roku: podróży na stromy szczyt, widoczny za oknem, pograżony w mroku krajobrazu i nagłe zatrzymanie się pociągu. Zastanawiała się, co Rose i Nathaniel robili w chwili uderzenia. Spali w przedziale, a może rozmawiali? Rozmawiali o córce Ivory, która czekała na nich w domu? Jakie to dziwne, że tak bardzo poruszył

ją los przodków, o których istnieniu dowiedziała się zaledwie chwilę temu. Jak strasznie musiała czuć się Nell, która straciła rodziców chwilę po tym, jak ich odnalazła.

Drzwi do Carluccio stały otworem, wpuszczając do środka chłodne powietrze zmieszane z wonią spalin. Cassandra podniosła wzrok i zerknęła na idącą ku niej Ruby i drepczącego za nią chudego łysego mężczyznę.

– Co za popołudnie! – Ruby opadła na krzesło naprzeciwko Cassandry. – Na sam koniec trafiła mi się grupka studentów. Już myślałam, że się nie wyrwę! – Po tych słowach wskazała szczupłego zadbanego mężczyznę. – To Grey. Jest dużo bardziej zabawny, niż może się wydawać.

– Ruby, skarbie, cóż za cudowna prezentacja. – Mówiąc to, wyciągnął ponad stołem gładką dłoń. – Graham Westerman. Ruby opowiadała mi o tobie.

Cassandra się uśmiechnęła. Było to ciekawe stwierdzenie, zwłaszcza że Ruby знаła ją od niespełna dwóch dni. Mimo to, jeśli ktokolwiek był w stanie dokonywać podobnych cudów, Cassandra była pewna, że osobą tą jest Ruby.

Grey usiadł przy stoliku.

– Trzeba być szczęściarzem, żeby odziedziczyć dom.

– Nie mówiąc o niesamowitej rodzinnej tajemnicy. – Ruby skinieniem ręki przywołała kelnera i zamówiła dla wszystkich przystawki.

Na dźwięk słowa „tajemnica” Cassandra poczuła chęć, by podzielić się swymi odkryciami, jednak słowa dosłownie uwięzły jej w gardle.

– Ruby mówi, że spodobała ci się jej wystawa – rzucił figlarnie Grey.

– Ależ oczywiście, że jej się podobała; w końcu jest tylko człowiekiem – odparła Ruby. – A do tego artystką.

– Historykiem sztuki – sprecyzowała Cassandra, czerwieniąc się.

– Tata mówił, że świetnie rysujesz. Robiłaś ilustracje do książki dla dzieci, prawda?

Cassandra pokręciła głową.

– Nie. Kiedyś rysowałam, ale traktowałam to jako hobby.
– Z tego, co słyszałam, to coś więcej niż hobby. Tata mówił...
– Gdy byłam młodsza, bez przerwy ganiałam ze szkicownikiem. Już tego nie robię, od lat...

– Zainteresowania mają to do siebie, że często idą w zapomnienie – zauważył dyplomatycznie Grey. – Doskonałym przykładem jest tu Ruby i jej chwilowa – na szczęście – fascynacja tańcem towarzyskim.

– Ależ Grey, tylko dlatego, że masz dwie lewe nogi...

Podczas gdy jej towarzysze rozprawiali o zaangażowaniu, z jakim Ruby podchodzi do najciekawszych fragmentów salsy, Cassandra wróciła myślami do pewnego popołudnia wiele lat temu, kiedy to Nell rzuciła szkicownik i paczkę ołówków 2B na stół, przy którym Cassandra odrabiała pracę domową z algebry.

Mieszkała z babką od ponad roku, poszła do liceum i miała równie wiele problemów z nawiązywaniem znajomości, jak z równaniami.

– Nie umiem rysować – stwierdziła zaskoczona i niepewna. Niespodziewane prezenty zawsze wzbudzały w niej nieufność.

– Nauczysz się. Masz oczy i ręce. Rysuj to, co widzisz.

Cassandra westchnęła. Nell miała mnóstwo niezwykłych pomysłów. W niczym nie przypominała innych matek – szczególnie Lesley – ale miała dobre chęci i Cassandra nie chciała jej zranić.

– Wydaje mi się, że do tego potrzeba czegoś więcej, Nell.

– Bzdura. To tylko kwestia upewnienia się, że widzisz to, co naprawdę istnieje. Nie to, co wydaje ci się, że istnieje.

Cassandra uniosła z powątpiewaniem brwi.

– Wszystko składa się z linii i kształtów. To jak kod. Musisz wiedzieć, jak go odczytać i zinterpretować. – Mówiąc to, machnęła niedbale ręką. – Weźmy na przykład tamtą lampę. Co widzisz, gdy na nią patrzysz?

– Hmm... lampę?

– Na tym polega twój problem – rzekła Nell. – Jeśli widzisz wyłącznie lampę, nie będziesz potrafiła jej namalować. Ale jeśli zobaczysz, że tak naprawdę chodzi o trójkąt zatknięty na szczycie prostokąta i łączącą je cieniutką rurkę, to już połowa sukcesu, prawda?

Cassandra niepewnie wzruszyła ramionami.

– Ustąp mi. Spróbuj.

Cassandra westchnęła z rezygnacją, przystając na propozycję Nell.

– Nigdy nie wiesz, jak będzie, może zaskoczysz samą siebie.

I nie myliła się. Nie żeby Cassandra wykazywała wielki talent. Zaskakujące było to, jak bardzo to polubiła. Kiedy siedziała ze szkicownikiem na kolanach i ołówkiem w ręku, czas stawał w miejscu...

Przy stoliku pojawił się kelner, który z kontynentalnym urokiem postawił przed nimi koszyk z pieczywem. Kiedy Ruby zamówiła prosecco, pokiwał głową. Ruby sięgnęła po trójkątny kawałek focaccii. Chwilę później mrugnęła do Cassandry i wskazała głową stół.

– Spróbuj oliwek i octu balsamicznego. Są warte grzechu.

Cassandra umoczyła kawałek pieczywa w oliwie i occie.

– No, dalej, Cassandro – rzucił Grey – ocal starą niezamężną parę przed kolejną kłótnią i opowiedz nam o tym, jak spędziłaś popołudnie.

Cassandra podniosła leżący na stole okruszek chleba.

– Właśnie, wydarzyło się coś ciekawego? – podchwyciła Ruby.

– Dowiedziałam się, kim byli biologiczni rodzice Nell – Cassandra usłyszała własny głos.

Ruby pisnęła z zachwytu.

– Co? Jak? Kim?

Cassandra zagryzła wargi, by ukryć pełen satysfakcji uśmiech.

– To byli Rose i Nathaniel Walker.

– O mój Boże! – roześmiała się Ruby. – Zupełnie jak ten mój malarz! Jakie to wszystko dziwne. Pomyśleć tylko, że rozmawialiśmy o nim nie dalej jak dziś i że ktoś taki mieszkał w tym samym majątku, co... – Urwała, a jej rumiana twarz stała się nagle kredowobiała. – Ty naprawdę masz na myśli mojego Nathaniela Walkera. – Z trudem przełknęła. – Chcesz powiedzieć, że Nathaniel Walker był twoim pradziadkiem?

Cassandra skinęła głową. Tym razem nie zdołała powstrzymać uśmiechu, przez co poczuła się nieco dziwnie.

Ruby rozdziawiła usta.

– I dziś, kiedy spotkałyśmy się w galerii, naprawdę nie miałaś o niczym pojęcia?

Cassandra pokręciła głową. Idiotyczny uśmiech nie schodził jej z twarzy. Chcąc się go pozbyć, wyjaśniła:

– Aż do popołudnia, kiedy przeczytałam o tym w dzienniku Nell.

– Nie mogę uwierzyć, że mówisz o tym dopiero teraz!

– Przy twojej paplaninie na temat salsy nie sędzę, aby Cassandra miała na to czas – wtrącił się Grey. – Nie mówiąc o tym, że niektórzy ludzie naprawdę lubią, aby ich prywatne życie było ich prywatnym życiem.

– Ależ Grey, nikt nie lubi dochowywać tajemnic. Jedyną rzeczą, która sprawia, że sekrety są takie fajne, jest świadomość, że nie możemy ich zdradzić – Mówiąc to, wskazała głową Cassandrę. – Jesteś spokrewniona z Nathanielem Walkerem. Niektórzy ludzie naprawdę mają cholerne szczęście.

– Trochę to dziwne. Nie spodziewałam się czegoś takiego.

– Racja – odparł Ruby. – Niektórzy ludzie grzebią w historii z nadzieją, że mogą być spokrewnieni z cholernym Winstonem Churchilllem, a ktoś taki jak ty nagle odnajduje przodka w osobie słynnego malarza.

Cassandra po raz kolejny nie mogła opanować uśmiechu.

Kelner, który pojawił się przy stoliku, nappełnił ich kieliszki pro-secco.

– Za rozwiązywanie tajemnic – wzniosła toast Ruby.

Stuknęli się kieliszkami i upili łyk wina.

– Wybaczcie moją niewiedzę – rzekł Grey – nie jestem znawcą historii sztuki, ale jeśli Nathaniel Walker miał córkę, która zaginęła, z pewnością sprawa została nagłośniona i szukało jej wiele osób. – Mówiąc to, wyciągnął rękę w kierunku Cassandry. – Nie wątpię w odkrycie twojej babki, ale jak to możliwe, że zaginęła córka sławnego artysty i nikt o tym nie wiedział?

Po raz pierwszy Ruby nie wiedziała, co powiedzieć. Zamiast tego zerknęła na Cassandrę.

– Z tego, co udało mi się wyczytać w pamiętniku Nell, wynika, że wszystkie źródła podają, iż Ivory Walker zmarła w wieku czterech

lat. Czyli dokładnie w tym samym wieku, w jakim była Nell, gdy przyплыnęła do Australii.

Ruby zatarła ręce.

– Myślisz, że została uprowadzona, a porywacze upozorowali jej śmierć? Ależ to ekscytujące! Ale kto mógł to zrobić? Dlaczego? Czego dowiedziała się Nell?

Cassandra uśmiechnęła się przepraszająco.

– Wydaje się, że nigdy nie rozwiązała tej części tajemnicy. Ale nie mogą mieć pewności.

– Co przez to rozumiesz? Skąd to wiesz?

– Czytałam zakończenie jej pamiętnika. Nell nie poznała prawdy.

– A jednak znalazła coś, wokół czego powstała ta teoria. – Desperacja Ruby była niemal namacalna. – Powiedz, że istnieje jakaś teoria! Coś, czego możemy się trzymać.

– Jest nazwisko. Eliza Makepeace. Nell przybyła do Australii z walizką, w której znajdował się zbiór baśni. Książka najwyraźniej budziła jakieś wspomnienia. Ale jeśli Eliza wsadziła Nell na statek do Australii, to sama nie wsiadła na pokład.

– Co się z nią stało?

Cassandra wzruszyła ramionami.

– Nie ma żadnych oficjalnych raportów. Zupełnie, jakby po wyjeździe Nell rozplynęła się w powietrzu. Jakikolwiek były plany Elizy, coś poszło nie tak.

Kelner napełnił kieliszki i spytał, czy są gotowi zamówić danie główne.

– Myślę, że tak – odparła Ruby. – Ale czy zechciałby pan dać nam jeszcze pięć minut? – Mówiąc to, otworzyła menu i westchnęła. – To wszystko jest takie niesamowite. Pomyśl tylko: jutro wyjeżdżasz do Kornwalii, żeby zobaczyć swoją tajemniczą chatkę! Jak możesz podchodzić do tego z takim spokojem?

– Zamierzasz zatrzymać się w tym domku? – spytał Grey.

Cassandra pokręciła głową.

– Notariusz, który ma klucz, mówił, że nie bardzo nadaje się do zamieszkania. Zrobiłam rezerwację w pobliskim hotelu Blackhurst. To dom, w którym niegdyś mieszkała rodzina Mountrachetów. Ro-

dzina Nell.

– Twoja rodzina – przypomniała Ruby.

– Tak. – Wcześniej nie przyszło jej to do głowy. I tym razem nie była w stanie zapanować nad uśmiechem, który mimo woli rozkwitł na jej drżących ustach.

Ruby zadrżała z teatralną przesadą.

– Ale ci zazdroszczę. Oddałabym wszystko, aby odkryć w przeszłości mojej rodziny podobną tajemnicę.

– Jestem podekscytowana. Myślę, że cała ta historia zaczęła mnie prześladować. Wciąż widzę Nell jako małą dziewczynkę, odebraną od rodziny, siedzącą samotnie na wybrzeżu. Nie mogę przestać o niej myśleć. Chciałabym wiedzieć, co tak naprawdę się stało i jakim cudem znalazła się zupełnie sama na drugim końcu świata. – Nagle poczuła się zażenowana własną gadatliwością. – To głupie.

– Wcale nie. Według mnie to zupełnie zrozumiałe.

Coś w pełnym współczucia głosie Ruby sprawiło, że Cassandrę przeszedł dreszcz. Wiedziała, na co się zanosí. Poczuła w żołądku bolesny ucisk i desperacko starała się zmienić temat.

Nie była jednak wystarczająco szybka.

– Nie ma nic gorszego niż utrata dziecka. – Ciepły głos Ruby skruszył cienką skorupę bólu, zza której wyłoniła się twarz Lea, jego zapach i niewinny śmiech dwulatka.

Cassandra zdobyła się na uśmiech i panując nad wspomnieniami, pokiwała głową, czując, że Ruby dotyka jej dłoni.

– Po tym, co przydarzyło się twojemu synkowi, nie dziwię się, że chcesz poznać przeszłość swojej babki. – Dłoń zacisnęła się na ręce Cassandry. – Dla mnie to zrozumiałe: straciłaś dziecko i masz nadzieję odnaleźć kolejne.

20

Londyn, 1900

Eliza wiedziała, kim są, kiedy tylko wychynęły zza rogu na Battersea Church Road. Już wcześniej widziała je na ulicach – starszą i młodszą – obie ubrane jak spod igły i spełniające Dobrze Uczynki, jakby sam Bóg zstąpił z niebios i powierzył im tę misję.

Od śmierci Sammy’ego pani Swindell często straszyla Elizę dobroczyńcami i nie przepuściła żadnej okazji, by przypomnieć dziewczynce, że jeśli nie zarobi monety czy dwóch, wyląduje w przytułku. Choć Eliza robiła, co mogła, by opłacać czynsz i odłożyć coś do skórzanej sakiewki, straciła swój cenny dar łapania szczurów i z tygodnia na tydzień popadała w coraz większe długi.

Z dołu dobiegło pukanie do drzwi. Eliza zamarła. Przerazona rozejrzała się po izbie, przeklinając wąską szczelinę i zatkany komin. Izba bez okien była dobra, gdy człowiek chciał bezpiecznie obserwować ulicę, jednak nie zdawała egzaminu, gdy trzeba było uciekać.

Znowu pukanie do drzwi. Krótkie, gwałtowne, natarczywe stukanie i dobiegający z zewnątrz wysoki dźwięczny głos.

– Datki na parafę!

Eliza usłyszała trzask otwieranych drzwi i łagodny brzęk zawieszonego nad nimi dzwonka.

– Panna Rhoda Sturgeon, a to moja bratanica, panna Margaret Sturgeon.

– Urocz. – Głos pani Swindell.

– Ileż tu zabawnych starych rzeczy. Nie ma gdzie się ruszyć.

– Proszę za mną, dziewczyna jest na górze. – Znowu skwaszony ton pani Swindell. – Proszę uważać. – Za stłuczone przedmioty płaci klient.

Kroki na schodach. Skrzypiący czwarty stopień i kolejne kroki. Eliza czekała, a serce tłukło jej się w piersi jak małe serduszką szczerów, które łapała dla pana Rodina. Widziała je oczami wyobraźni, migoczące niczym płomień na wietrze.

Po chwili zdradzieckie drzwi stanęły otworem, ukazując trzy kobiety.

Starsza z nich uśmiechnęła się, a jej oczy ginęły w fałdach obwisłej skóry.

– Panie z kółka parafialnego. Nazywam się Sturgeon, a to moja bratanica, panna Sturgeon. – Pochyliła się, sprawiając, że Eliza cofnęła się krok do tyłu. – A ty musisz być małą Elizą Makepeace.

Eliza nie odpowiedziała. Zamiast tego szarpnęła czapkę Samy'ego, którą wciąż miała na głowie.

Kobieta omiotła spojrzeniem mroczny obskurny pokój.

– O mój... – jęknęła i cmoknęła z dezaprobatą – Wasza sytuacja jest naprawdę ciężka. – Mówiąc to, uniosła rękę i powachlowała nią obfitą pierś. – Nie ma co do tego dwóch zdań. – Minęła Elizę. – Nic dziwnego, że ludzie chorują. Przecież tu nawet nie ma okna.

Pani Swindell, urażona skandaliczną uwagą na temat jej pokoju, zmierzyła Elizę gniewnym wzrokiem.

Tymczasem starsza panna Sturgeon spojrzała na młodszą, która wciąż jeszcze stała w drzwiach.

– Przy twoim słabym zdrowiu, Margaret, radzę, żebyś oddychała przez chusteczkę.

Młoda kobieta skinęła głową, wyciągnęła z rękawa koronkowy kwadrat, złożyła go na pół i przytykając do ust i nosa, przeszła przez próg.

Przekonana, że ma rację, panna Sturgeon ciągnęła:

– Miło mi poinformować cię, Elizo, że znalazłyśmy dla ciebie nowy dom. Gdy tylko usłyszałyśmy o twojej sytuacji, postanowiłyśmy ci pomóc. Jesteś zbyt młoda, by zostać służącą – i przypuszczam, że nie masz też odpowiedniego charakteru – ale z bożą pomocą znalazłyśmy ci miejsce w pobliskim przytułku.

Oddech Elizy stał się płytki i dosłownie uwiązał jej w gardle.

– Tak więc, jeśli zabierzesz wszystkie swoje rzeczy – ukryte pod bujnymi rzęsami oczy uważnie zlustrowały otoczenie – możemy ruszać.

Eliza ani drgnęła.

– No już, nie ociągaj się.

– Nie! – odparła Eliza.

Pani Swindell trzepnęła ją ręką w tył głowy, na co starsza panna Sturgeon zareagowała nieskrywanym oburzeniem.

– Masz szczęście, Elizo, że znalazłyśmy ci taki dom. Zapewniam cię, że istnieją na tym świecie rzeczy znacznie gorsze niż przytułek. – Westchnęła porozumiewawczo, zwracając twarz ku niebu. – No, chodź już.

– Nie.

– Może jest głupia? – zauważyła przez chusteczkę młoda panna Sturgeon.

– Nie jest głupia – parsknęła pani Swindell – tylko podła.

– Pan miłuje wszystkie swe owieczki, nawet najbardziej nikczemne – zauważyła starsza panna Sturgeon. – A teraz, Margaret, spróbuj znaleźć dla dziewczynki jakieś odpowiednie ubrania. I uważaj, żeby nie oddychać tym cuchnącym powietrzem.

Eliza pokręciła głową. Nie zamierzała iść do przytułku, a tym bardziej zdejmować ubrań Sammy’ego, które teraz były częścią niej.

Teraz – jak nigdy wcześniej – potrzebowała pomocy ojca, dzielnego bohatera, który stanąłby w drzwiach i zabrał ze sobą za morza, ku najciekawszej przygodzie życia.

– To wystarczy – stwierdziła pani Swindell, trzymając podarty fartuch Elizy. – Tam, dokąd idzie, nie będzie potrzebowała niczego więcej.

Eliza pomyślała nagle o słowach matki. Jej wierze w to, że każdy ma siłę, by się uwolnić, że przy wystarczająco silnej woli nawet najślabsi dysponują wielką potęgą. Nagle wiedziała już, co powinna zrobić. Niewiele myśląc, rzuciła się ku otwartym drzwiom.

Starsza panna Sturgeon, znacznie cięższa – i co dziwne, szybsza – stanęła jej na drodze. Chwilę później przy drzwiach pojawiła się pani Swindell, formując drugą linię obrony.

Eliza pochyliła głowę i uderzyła twarzą w pełne ciało panny Sturgeon. Kobieta wrzasnęła i złapała się za udo.

– Za co, ty mała tygrysico?

– Ciociu! Ona cię zarazi wścieklizną!

– Mówiłam przecież, że to prawdziwe utrapienie! – stwierdziła pani Swindell. – Dajmy spokój z ubraniami i zaprowadźmy ją na dół.

Kobiety złapały szamoczącą się Elizę pod ramiona i ruszyły na dół, podczas gdy idąca za nimi młoda panna Sturgeon udzielała im kolejnych niepotrzebnych rad na temat schodów i drzwi.

– Nie ruszaj się, dziewczyno! – wrzasnęła panna Sturgeon.

– Pomocy! – krzyknęła Eliza, nieomal wyrrywając się oprawcom. – Niech ktoś mi pomoże!

– Zobaczysz, zbierzesz cięgi! – syknęła pani Swindell, gdy dotarły do podnóża schodów.

Wtedy z pomocą przyszedł najmniej spodziewany ze sprzymierzeńców.

– Szczur! Widziałam szczura!

– W moim domu nie ma szczurów!

Młoda panna Sturgeon wrzasnęła, wskoczyła na krzesło i zrzuciła z półki rząd zielonych butelek.

– Niezdarna dziewucho! Za stłuczone przedmioty płaci klient!

– Ale to pani wina! Gdyby pani dom nie był siedliskiem szczurów...

– Bo nie jest! W pobliżu nie ma żadnego szczura...

– Cioteczko, widziałam go. Odrażające stworzenie, wielkie jak pies, z czarnymi paciorkowatymi oczami i długimi ostrymi pazurami... – Głos jej się załamał i dziewczyna osunęła się na krzesło. – Zaraz zemdleję. Nie jestem przyzwyczajona do takich okropności.

– No już, Margaret, bądź dzielna. Pomyśl o czterdziestu dniach i czterdziestu nocach Chrystusa.

Starsza panna Sturgeon dowiodła siły charakteru, ściskając ramię Elizy jedną ręką, a drugą podtrzymując szlochającą bratanicę.

– Ale te małe paciorkowate oczka, potworny nos... – jęczała dziewczyna. – Aaaaaa! To znowu on!

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku wskazywanym przez wyciągnięty palec Margaret, gdzie przycupnięty za koszem na wę-

giel siedział przerażony szczur. Eliza z całej duszy życzyła mu, by uszedł z życiem.

– Chodź tu, ty mały nicponiu! – Pani Swindell chwyciła szmatę i wymachując nią, zaczęła gonić gryzonia po całej kuchni.

Margaret piszczała, panna Sturgeon uciszała przerażoną bratanicę, pani Swindell przeklinała przy wtórze tłuczonego szkła, aż nagle, przez zgiełk przebił się głos, donośny, niski i spokojny.

– Proszę natychmiast przestać.

Wszystko ucichło, podczas gdy Eliza, pani Swindell i obie panny Sturgeon spojrzały na drzwi. Stał w nich odziany na czarno mężczyzna. Za nim lśniący powóz, wokół którego zgromadziły się okoliczne dzieciaki, dotykając kół i podziwiając umocowane z przodu latarnie. Mężczyzna w milczeniu spoglądał na kobiety.

– Panienska Eliza Makepeace?

Eliza nerwowo skinęła głową, niezdolna wydusić z siebie choćby słowa. Świadomość tego, że ktoś zagroził jej drogę ucieczki, była tak przerażająca, iż nie przyszło jej do głowy, by zastanowić się, kim jest ów człowiek, który zna jej imię.

– Córnka Georgiany Mountrachet? – Mówiąc to, wręczył Elizie fotografię. Była na niej mama, znacznie młodsza i ubrana w wytworny strój damy. Eliza otworzyła zdumione oczy i zmieszana pokiwała głową.

– Nazywam się Phineas Newton. W imieniu lorda Linusa Mountracheta z dworu Blackhurst przyjechałem zabrać panienkę do rodzinnej posiadłości.

Eliza otworzyła usta, choć nie tak szeroko jak panny Sturgeon. Rozwścieczona pani Swindell opadła na krzesło. Jej usta otwierały się i zamykały jak usta wyrzuconej na brzeg ryby.

– Lord Mountrachet...? Dwór Blackhurst...? Rodzinna posiadłość...? – bełkotała.

Nagle starsza panna Sturgeon wyprostowała się jak struna.

– Panie Newton, obawiam się, że nie mogę pozwolić, by ot, tak sobie, zabrał pan tę dziewczynkę, nie okazawszy przedtem żadnego dokumentu. My w parafii wypełniamy nasze obowiązki...

– Wszystko znajdziecie panie w niniejszym piśmie. – Mężczyzna wyjął z kieszeni kartkę. – Mój pracodawca uzyskał prawo opieki

nad tą oto panną. – Spojrzał na Elizę, mierząc wzrokiem jej niezwykle odzienie. – Chodźmy zatem, panienko. Nadciąga burza, a przed nami długa droga.

Eliza podjęła decyzję w ułamku sekundy. Nieważne, że nigdy wcześniej nie słyszała o lordzie Mountrachecie i dworze Blackhurst. Nieważne, czy mężczyzna podający się za pana Newtona mówi prawdę. Nieważne, że za każdym razem, gdy dochodziło do rozmów o rodzinie, matka markotniała i nabierała wody w usta. Wszystko jest lepsze od przytułku. A jeśli pójdzie z tym człowiekiem oznacza ucieczkę od panien Sturgeon i pożegnanie ze Swindellami i zimnym samotnym pokoikiem na poddaszu, Eliza czuła się tak, jakby naprawdę zdołała uciec przez otwarte drzwi.

Chwilę później podbiegła do pana Newtona, stanęła przy jego okrytym peleryną ramieniu i ukradkiem spojrzała na jego twarz. Z bliska nie wydawał się już tak potężny, jak wtedy, gdy jego sylwetka rysowała się na tle wejścia. Był otyłym mężczyzną średniego wzrostu. Miał rumianą cerę, a pod wysokim czarnym kapeluszem Eliza dostrzegła rzadkie brązowe włosy, które upływający czas przyprószył siwizną.

Podczas gdy panny Sturgeon z uwagą przeglądały dokument, pani Swindell odzyskała panowanie nad sobą. Widząc, co się święci, poderwała się z krzesła i wyciągając w kierunku mężczyzny chudy sękaty palec, wycedziła przez zaciśnięte zęby:

– To jakiś podstęp, a pan, drogi panie, jest oszustem. – Po tych słowach pokręciła głową. – Nie wiem, czego pan chce od tej dziewczyny, choć mogę to sobie wyobrazić, ale nie odbierze mi jej pan swymi przebiegłymi sztuczkami.

– Zapewniam panią – odparł pan Newton z wyraźnym niesmakiem – że nie jest to żaden podstęp.

– Czyżby? – Pani Swindell ściągnęła brwi, a jej zaślinione usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Czyżby? – powtórzyła, tym razem odwracając się do panien Sturgeon. – To kłamstwa, kłamstwa, a ten człowiek jest podłym kłamcą. Ta dziewczyna nie ma rodziny, jest sierotą. Sierotą. Należy do mnie i zrobię z nią, co zechcę. – Zwycięski uśmiech na jej twarzy mówił, że to argument nie do obalenia. – Po śmierci matki została ze mną, bo nie miała dokąd pójść. – Po

tych słowach zrobiła triumfalną pauzę. – Tak, właśnie to powiedziała mi jej matka: nie ma rodziny, która mogłaby się nią zaopiekować. Znam ją od trzynastu lat, podczas których ani razu nie wspomniała o rodzinie. Ten człowiek to krętacz.

Eliza podniosła wzrok na pana Newtona, który westchnął i nieznacznie uniół brwi.

– Choć nie jest dla mnie zaskoczeniem, iż matka panny Elizy trzymała w tajemnicy wieść o istnieniu rodziny, nie zmienia to faktu, że rodzina ta istnieje. – Mówiąc to, zwrócił się do panny Sturgeon: – Wszystko to znajdziecie panie w dokumentach. – Po tych słowach wyszedł na ulicę i otworzył drzwi powozu. – Panno Elizo? – rzucił, sugerując że powinna do niego wsiąść.

– Zawołam męża – odparła pani Swindell.

Eliza zawahała się, a jej dłonie odruchowo zaciskały się i otwierały.

– Panno Elizo?

– Mój mąż wyprowadzi pana z błędu.

Jakakolwiek była prawda o jej rodzinie, Eliza wiedziała, że wybór jest prosty: powóz albo przytułek. Nie miała już kontroli nad swym przeznaczeniem, nie w tym momencie. Mogła jedynie zdać się na łaskę któregośkolwiek z tych ludzi. Odetchnęła więc głęboko i zrobiła niepewny krok w kierunku pana Newtona.

– Nie spakowałam moich rzeczy...

– Niech ktoś zawoła pana Swindella!

Mężczyzna uśmiechnął się ponuro.

– Nie sądzę, aby cokolwiek z tego domu mogło się przydać w posiadłości Blackhurst.

Przed domem zgromadził się tłumek sąsiadów. Stojąca z boku pani Barker rozdziawiła usta, przyciskając do piersi kosz z praniem, mała Hatty przyciskała zasmarkany policzek do sukienki Sarah.

– Panienska pozwoli. – Pan Newton stanął obok drzwi i gestem zaprosił Elizę do środka.

Rzuciwszy dyszącej wściekle pani Swindell i spoglądającym w milczeniu pannom Sturgeon ostatnie spojrzenie, Eliza wspięła się po schodkach i zniknęła we wnętrzu powozu.

Dopiero gdy drzwiczki powozu się zamknęły, do Elizy dotarło, że nie jest sama. Naprzeciwko niej, otulony w fałdy czarnego materiału, siedział mężczyzna, którego natychmiast rozpoznała. Człowiek w binoklach i doskonale skrojonym garniturze. Żołądek podszedł jej do gardła. Wiedziała, kim jest. Złym Człowiekiem, przed którym ostrzegała ich mama i przed którym musiała uciec. Jednak gdy tylko odwróciła się w kierunku zamkniętych drzwi, mężczyzna uderzył pięścią w drewnianą ściankę i karoca ruszyła.

CZEŚĆ DRUGA

21

Droga do Kornwalii, 1900

Powóz gnał ulicą Battersea Church Road, podczas gdy Eliza wciąż nerwowo spoglądała na drzwi. Może jeśli przekręci jedną z gałek albo wciśnie któreś z zagłębień, zdoła bezpiecznie wyskoczyć. Wiedziała, że bezpieczeństwo jest w tym przypadku wątpliwą kwestią. Nawet jeśli przeżyje upadek, będzie musiała uciec przed przytułkiem, miejscem, którego tak bardzo się bała, a które teraz wydało jej się znacznie lepszym rozwiązaniem niż bycie uprowadzoną przez człowieka tak bardzo przerażającego jej matkę.

Z sercem, które tłukło się w piersi jak zamknięty w klatce wróbel, ostrożnie wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na dźwigni...

– Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Podniosła przerażony wzrok.

Mężczyzna ją obserwował, a widoczne zza szkieł oczy zdawały się nienaturalnie wielkie.

– Wypadniesz z powozu i zginiesz pod kołami. – Uśmiechnął się, odsłaniając złoty ząb. – Jak wytłumaczyłbym coś takiego twojemu wujowi? Trzynastcie lat poszukiwań, tylko po to, bym dostarczył cię w kawałkach? – Po tych słowach wydał świszczący, przeraźliwy dźwięk, który – sądząc po uniesionych kącikach ust – mógł uchodzić za śmiech.

Świst ucichł równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawił, a usta zacisnęły się w wąską kreskę. Mężczyzna musnął dłonią gęste wąsy, które wisiały nad jego ustami niczym dwa wiewiórcze ogony.

– Nazywam się Mansell. – Odchylił się do tyłu, zamknął oczy

i wsparł na łasce blade wilgotne dłonie. – Pracuję dla twojego wuja i mam niezwykle lekki sen.

Koła powozu skakały metalicznie na brukowanych uliczkach, za oknem znikwały ceglane budynki. Szarość, szarość, jak okiem sięgnąć, a pośród niej Eliza, nieruchoma, by nie zbudzić Złego Człowieka. Próbowwała oddychać w rytm galopu koni. Siłą woli nakazywała swym splątanym myślom wyprostować się. Skupiała się na chłodnej skórze siedzenia. Tylko tyle mogła zrobić, by powstrzymać drżenie nóg. Czuła się jak bohaterka książki wydarta ze stron, które tak dobrze знаła, i wklejona niedbale do zupełnie nowego świata.

Kiedy wjechali na przedmieścia Londynu, zostawiając za sobą las budynków, Eliza ujrzała groźne niebo. Konie robiły, co mogły, by wysforować się przed posępne szare chmury, jednak jaką szansę ma zwierzę w starciu z gniewem niebios? Na dach powozu spadły pierwsze złośliwe krople deszczu i już niebawem świat pogrążył się w bieli. Deszcz chłostał okna i przedzierał się przez wąskie szczeliny w drzwiach.

Jechali godzinami, w czasie których Eliza szukała schronienia we własnych myślach, aż do chwili, gdy na jednym z zakrętów na jej głowę spadł strumień lodowatej wody. Eliza zamrugła, strzepując z rzęs duże krople, i spojrzała na przemoczoną koszulę. Chciało jej się płakać. Dziwne, że w taki dzień, pełen emocji i zamieszania, coś tak nieistotnego, jak strużka wody, doprowadza człowieka do łez. Jednak Eliza nie mogła pozwolić sobie na łzy, nie tutaj, nie, kiedy naprzeciwko niej siedzi ten Zły Człowiek. Z takim postanowieniem przełknęła grudę, która utknęła jej w gardle.

Nie otwierając oczu, pan Mansell wyjął z kieszeni chusteczkę i bez słowa podał ją Elizie.

Dziewczynka delikatnie wytarła twarz.

– Tyle zamieszania – stwierdził, ledwo otwierając usta. – Tyle zamieszania.

W pierwszej chwili Eliza pomyślała, że mówi o niej i choć była innego zdania, postanowiła milczeć.

– Tyle lat – ciągnął – i taka marna nagroda. – Kiedy spojrzał na nią chłodnym oceniającym wzrokiem, Eliza się skuliła. – Pomyśleć tylko, do czego potrafi posunąć się załamany człowiek.

Eliza zastanawiała się, kim jest ów załamany człowiek, i czekała na wyjaśnienia. Jednak mężczyzna zamilkł. Chwilę później wziął chusteczkę, przez moment trzymał ją w bladych palcach, a w końcu odłożył na siedzenie.

Powozem szarpnęło i Eliza kurczowo złapała się siedzenia. Konie przeszły w leniwy kłus i powóz zwolnił, aż w końcu się zatrzymał.

Czyżby dotarli na miejsce? Eliza wyjrzała przez okno, jednak nie dostrzegła żadnego domu, tylko rozległe rozmiękle pole i niewielki kamienny budynek, z wiszącym nad drzwiami, smagany deszczem szyldem: „Oberża MacCleary, Guildford”.

– Mam na głowie inne sprawy – rzucił pan Mansell, wysiadając z powozu. – Dalej pojedziesz z Newtonem. – Kolejne słowa niemal utonęły w strugach rześistego deszczu, jednak z chwilą, gdy mężczyzna zamykał drzwi, Eliza usłyszała, jak krzyczy do woźnicy: – Zażwierz dziewczynę do Blackhurst!



Gwałtowny zakręt i Eliza wpadła na twarde zimne drzwi. Wyrywana ze snu potrzebowała kilku chwil by przypomnieć sobie, gdzie jest, jakim cudem znalazła się sama w ciemnym powozie, który wiezie ją ku nieznanemu przeznaczeniu. Z trudem, kawałek po kawałku, zaczęła wszystko sobie przypominać. Wezwanie od tajemniczego wuja, ucieczkę przed dobroczyńcami pani Swindell, pana Mansella... Starła z szyby skroploną parę i wyjrzała przez okno. Odkąd wsiadła do powozu, jechali dzień i noc, zatrzymując się od czasu do czasu, by wymienić konie. Teraz znów zapadał zmierzch. Najwyraźniej zasnęła, nie wiedziała tylko, na jak długo.

Deszcz ustał i zza niskich skłębionych chmur wyjrzały pierwsze gwiazdy. Światła powozu ginęły w gęstym mroku, a wyboista droga, po której jechali, sprawiała, że przypominały drżące ogniki. W słabym świetle Eliza ujrzała sylwetki potężnych drzew, grube poskręcane gałęzie i smukłe żelazne bramy. Wjechali w jeżynowy tunel, a wpadające w koleiny koła powozu zalewały okno strumieniami błotnistej wody.

W tunelu panował mrok, a krzewy były tak gęste, że nie prze-

dzierało się przez nie światło. Eliza wstrzymała oddech, spodziewając się, że powóz się zatrzyma. Z zapartym tchem czekała na to, co za chwilę ukaże się jej oczom. Blackhurst. Słyszała bicie własnego serca, które ze spłoszonego wróbla zmieniło się w kruka z potężnymi, wielkimi skrzydłami i jak oszalałe tłukło się w jej piersi.

Nagle się pojawił.

Kamienny budynek, największy, jaki Eliza widziała w życiu. Większy nawet od londyńskich hoteli, do których przybywali ludzie z wyższych sfer. Budynek spowijała ciemna mgła, która wiła się pośród smukłych drzew rosnących na tyłach posiadłości. W niektórych z niższych okien płonęło żółtawe światło. Czy to możliwe, że dotarli na miejsce?

Nagły ruch sprawił, że Eliza wyrzała przez okno. Pośród mroku, w blasku świecy ukazała się czyjaś twarz. Eliza przysunęła się do szyby z nadzieją, że dostrzeże coś więcej, jednak twarz zniknęła.

Powóz minął budynek, a na podjeździe rozbrzmiewał metaliczny stukot kół. Minęli kamienny łuk i powóz gwałtownie zahamował.

Eliza usiadła, czekając, obserwując, zastanawiając się, czy powinna wysiąść i sama znaleźć drogę do domu.

Nagle drzwi się otworzyły i pojawił się w nich pan Newton, przemoczony mimo płaszcza przeciwdeszczowego.

– Chodźmy, panienko – rzekł, wyciągając rękę – i tak jesteśmy spóźnieni. Nie ma czasu do stracenia.

Eliza przyjęła jego dłoń i zeszła po schodkach powozu. Gdy spała, zostawili deszcz za sobą, jednak wystarczyło spojrzeć na niebo, by wiedzieć, że zwycięstwo jest krótkotrwałe. Ku ziemi pędziły kłęby nabrzmiałych od wilgoci ciemnoszarych chmur, a powietrze było przesiąknięte mgłą, jednak zupełnie inną od tej w Londynie. Chłodniejszą, mniej oslizgłą, pachnącą solą, liśćmi i wodą. Słychać było również dobiegający nie wiadomo skąd hałas. Dźwięk przypominający miarowy pęd pociągu. Ciuch... ciuch... ciuch...

– Spóźniliście się. Pani oczekiwała dziewczynki o wpół do trzeciej. – W drzwiach pojawił się mężczyzna odziany jak ktoś z wyższych sfer. Mówił również jak ktoś z wyższych sfer, a jednak Eliza wiedziała, że nie należy do elity. Zdradzała go sztywna postawa i wyższość, z jaką odnosił się do innych. Nikt szlachetnie urodzony

nie musiał wkładać w to takiego wysiłku.

– Nie mogłem nic zrobić, panie Thomas – odparł Newton. – Przez całą drogę pogoda była paskudna. Zważywszy na to, jak bardzo weszły wody Tamaru, szczęście, że w ogóle nam się udało.

Pan Thomas był jednak niewzruszony i ostentacyjnie zatrzasnął kieszonkowy zegarek.

– Pani jest bardzo niezadowolona. Nie zdziwiłbym się, gdyby przełożyła audiencję na dzień jutrzejszy.

– Tak, panie Thomas. Nic dziwnego – odparł skwaszony woźnica.

Tymczasem mężczyzna nazywany „panem Thomasem” spojrzał na Elizę z nieskrywaną pogardą i niezadowolaniem.

– A to co?

– Dziewczynka, sir. Ta, którą miałem przywieźć.

– To nie żadna dziewczynka.

– Tak, sir, to właśnie ona.

– Ale jej włosy... ubranie...

– Zrobiłem tylko to, co mi kazano. Jeśli ma pan jakieś pytania, myślę, że powinien pan porozmawiać z panem Mansellem. Był ze mną, kiedy zabierałem dziewczynkę.

Ta wiadomość wyraźnie udobruchała pana Thomasa, który westchnął przez zaciśnięte usta.

– Skoro pan Mansell był zadowolony...

Woźnica pokiwał głową.

– Jeśli to wszystko, zaprowadzę konie do stajni.

Eliza miała ochotę pobiec za panem Newtonem i jego końmi, schronić się w stajni, ukryć w jednym z powozów i znaleźć drogę powrotną do Londynu, jednak zanim się obejrzała, mężczyzna zniknął we mgle, a ona została na łasce i niełasce pana Thomasa.

– Chodź – rzucił mężczyzna i dziewczynka zrobiła, co jej kazał.

W domu, mimo chłodu i wilgoci, było znacznie cieplej niż na dworze. Eliza przeszła za panem Thomasem krótkim korytarzem, robiąc wszystko, by jej buty nie stuknęły na szarej kamiennej podłodze. W powietrzu unosił się kuszący zapach pieczonego mięsa i dziewczynka poczuła w żołądku bolesne ssanie. Kiedy ostatni raz miała coś w ustach? Czy była to miska potrawy, którą dostała od

pani Swindell przed dwoma dniami? A może kawałek chleba i sera, który dał jej woźnica wiele godzin temu? Głód sprawił, że nagle zaschło jej w ustach.

Zapach stał się intensywniejszy, kiedy przechodzili przez ogromną zaparowaną kuchnię. Na ich widok grupka pokojówek i gruba kucharka przerwały rozmowę i wbiły w Elizę ciekawskie spojrzenia. W chwili gdy opuścili pomieszczenie, wrzawa wybuchła ze zdwojoną siłą. Myśl o jedzeniu sprawiła, że Eliza miała ochotę się rozpłakać. Usta miała pełne śliny, jakby połknęła garść soli.

W drzwiach na końcu korytarza pojawiła się szczupła kobieta o surowej twarzy.

– Czy to jest siostrzenica, panie Thomas? – Mówiąc to, zmierzyla Elizę badawczym wzrokiem.

– Tak, pani Hopkins.

– Nie zaszła żadna pomyłka?

– Niestety nie, pani Hopkins.

– Rozumiem. – Kobieta powoli wciągnęła powietrze. – Z pewnością ma w sobie coś londyńskiego.

To, jak zauważyła Eliza, z pewnością nie działa na jej korzyść.

– W rzeczy samej, pani Hopkins – odparł pan Thomas. – Zamierzałem ją wykąpać przed oficjalną prezentacją.

Pani Hopkins zacisnęła usta w wąską kreskę, wydając krótkie westchnienie.

– Mimo iż w pełni zgadzam się z pańską opinią, obawiam się, że nie mamy czasu. Pani i tak jest już bardzo niezadowolona, że musiała tak długo czekać.

„Pani”... Eliza zastanawiała się, kim jego owa pani?

W głosie pani Hopkins wyczuwało się wyraźne wzburzenie, gdy mówiła o Elizie. Aby je ukryć, kobieta musnęła dłonią gładką spódnice.

– Proszę zaprowadzić dziewczynę do salonu. Pani wkrótce tam przyjdzie. Tymczasem przygotuję kąpiel i zobaczymy, czy uda nam się usunąć przed kolacją choć część tego londyńskiego brudu.

A więc będzie kolacja. Na myśl o tym Eliza poczuła taką ulgę, że zakręciło jej się w głowie.

Gdzieś z tyłu rozległ się radosny chichot i odwracając się, Eliza

dostrzegła kędzierzawą pokojówkę, która natychmiast zniknęła w kuchni.

– Mary! – zawołała pani Hopkins, idąc za dziewczyną. – Jeśli nie przestaniesz podsłuchiwać, pewnego ranka potkniesz się o własne uszy...

Na końcu korytarza wąskie schody biegły do góry, skręcając w stronę drewnianych drzwi. To właśnie tam zmierzali teraz pan Thomas i Eliza, która niebawem znalazła się w ogromnym pokoju.

Podłogę pokrywały białe prostokątne płytki, a ze środka pokoju wyrastały wspaniałe schody. Z wysokiego sufitu zwisał żyrandol, którego świece zalewały pomieszczenie ciepłym światłem.

Pan Thomas przeciął hol i skierował się do drzwi pokrytych lśniącą czerwoną farbą. Chwilę później zatrzymał się i pochylając głowę, zaprosił Elizę do środka.

Jego białe usta zadrżały, a zmarszczki ściągnęły się, gdy spoglądał na dziewczynkę.

– Za chwilę pojawi się tu twoja ciotka. Bądź tak uprzejma i zwracaj się do niej „pani”, chyba że zadecyduje inaczej.

Eliza pokiwała głową. A więc „pani” jest jej ciotką.

Mężczyzna wciąż uważnie jej się przyglądał. W pewnej chwili pokręcił głową.

– Tak – rzekł spokojnym głosem. – Rzeczywiście przypominasz swoją matkę. Jesteś niechlujną małą dziewczuchą, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ale masz w sobie coś z niej.

Zanim Eliza zdążyła nacieszyć się myślą, że choć trochę przypomina mamę, na szczycie potężnych schodów rozległ się hałas. Pan Thomas się wyprostował. Delikatnie pchnął Elizę, która potykając się, stanęła w wejściu do wielkiego pokoju z bordową tapetą i płonącym w kominku ogniem.

Na stołach migotały lampy gazowe, lecz nie mogły oświetlić pokoju. Eliza niemal słyszała ciemność szepczącą w kątach, a pod ścianami urywany, płytki oddech cieni. Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech...

Kolejny dźwięk i drzwi przed nią stanęły otworem. Podmuch zimnego powietrza targnął ogniem i cisnął na ściany postrzępione cienie.

Drżąc z niecierpliwości, Eliza się odwróciła.



W drzwiach stała wysoka szczupła kobieta, której smukłe ciało przypominało wydłużoną klepsydrę. Miała na sobie długą suknię z granatowego jedwabiu.

Potężny pies, ogar, stał obok, przebiegając łapami i trącając pyskiem rąbek sukni. Od czasu do czasu podnosił głowę, by otrzeć się o dłoń kobiety.

– Panna Eliza – oznajmił pan Thomas, który stanął na baczność za plecami kobiety.

Kobieta nie odpowiedziała i w milczeniu studiowała twarz Elizy. Kiedy przemówiła, jej głos zdawał się okrutny i nieustępliwy.

– Muszę jutro porozmawiać z Newtonem. Przyjechała później, niż się spodziewaliśmy. – Mówiła powoli i z taką pewnością siebie, że Eliza niemal wyczuwała ostre krawędzie jej słów.

– Tak, pani – odparł Thomas, czerwieniąc się. – Czy mam przynieść herbatę? Pani Hopkins...

– Nie teraz, Thomasie. – Nie odwracając się, kobieta poruszyła bladą smukłą dłonią. – Powinieneś wiedzieć, że już za późno na herbatę.

– Tak, pani.

– Gdyby rozniosła się wieść, że w Blackhurst pija się herbatę po zmroku... – Wybuchła dźwięcznym nerwowym śmiechem. – Nie, zaczekamy na kolację.

– W pokoju jadalnym, pani?

– A gdzieżby indziej?

– Przygotować nakrycia dla dwóch osób?

– Zjem sama.

– A panna Eliza, proszę pani?

Ciotka zrobiła gwałtowny wdech.

– Zje lekką kolację.

Żołądek Elizy zaprotestował głośnym burczeniem, a ona sama prosiła Boga, by w skład posiłku wchodził choć kawałek gorącego mięsa.

– Wedle życzenia – odparł Thomas i pokłoniwszy się, opuścił

pokój. Drzwi zamknęły się za nim z posępnym jękiem.

Kiedy zostały same, kobieta znów głęboko odetchnęła i mrużąc oczy, spojrzała na Elizę.

– Zbliź się, dziecko. Niech no na ciebie spojrzę.

Eliza spełniła jej życzenie i starała się zapanować nad oddechem, który z niewyjaśnionych przyczyn stał się nagle szybki i głośny.

Z bliska ciotka była naprawdę piękna. Był to ten rodzaj piękna, który widać w każdym szczególe, a które w ogólnej ocenie traci na wartości. Jej twarz przypominała twarz z obrazu. Skóra biała jak śnieg, usta czerwone jak krew i bładniebieskie oczy. Patrząc w nie, człowiek odnosił wrażenie, że spogląda w pełne światła lustro. Jej ciemne włosy były gładkie i lśniące, zaczesane do tyłu i upięte na czubku głowy.

Wzrok ciotki błędził teraz po twarzy Elizy, a jej powieki drgnęły niespokojnie. Zimne palce uniosły podbródek dziewczynki, by zwrócić jej twarz ku światłu. Eliza, niepewna, w którą stronę skierować wzrok, spojrzała w te nieodgadnione oczy. Towarzyszący kobiecie ogromny pies ogrzewał jej ramiona ciepłym oddechem.

– Istotnie. – Kobieta wypowiedziała spółgłoskę „s” z ociąganiem, a kącikiem jej ust szarpnął nerwowy tik. Zabrzmiało to, jakby odpowiedziała na pytanie, które nie zostało zadane. – Jesteś jej córką. Może niezbyt podobną do matki, ale nie ma co do tego żadnych wątpliwości. – Zadrżała, gdy w okna uderzyły pierwsze krople deszczu. Paskudna pogoda w końcu ich dogoniła. – Możemy mieć tylko nadzieję, że nie odziedziczyłaś jej charakteru i że z upływem czasu nie ujawnisz podobnych skłonności.

Eliza zastanawiała się, o jakich skłonnościach mówi jej ciotka.

– Moja mama...

– Nie. – Kobieta uniosła dłoń. – Nie. – Przyłożyła palce do ust i uśmiechnęła się. – Twoja matka okryła wstydem nazwisko swej rodziny. Obraziła wszystkich, którzy mieszkają w tym domu. Dlatego nie rozmawiamy o niej. Nigdy. To pierwszy i najważniejszy warunek twojego pobytu w posiadłości Blackhurst. Rozumiesz?

Eliza zagryzła wargi.

– Pytałam, czy rozumiesz? – Głos kobiety niespodziewanie zadrżał.

Zaskoczona Eliza odruchowo skinęła głową.

– Twój wuj jest dżentelmenem. Rozumie swoje obowiązki. – Wzrok kobiety spoczął na wiszącym przy drzwiach portrecie mężczyzny w średnim wieku o rudych włosach i lisiej twarzy. Gdyby nie rude włosy, Eliza nie dostrzegłaby żadnego podobieństwa do matki. – Musisz zawsze pamiętać, jak wielkie spotkało cię szczęście. Pracuj ciężko, abyś pewnego dnia zasłużyła na hojność swego wuja.

– Tak, pani – odparła dziewczynka, pamiętając słowa pana Thomasa.

Ciotka odwróciła się i pociągnęła ukrytą w ścianie, maleńką dźwignię.

Eliza przełknęła z trudem.

– Przepraszam, pani – zaryzykowała – czy wolno mi będzie spotkać się z wujem?

W odpowiedzi kobieta uniosła lewą brew. Przez chwilę jej czoło żłobiły delikatne zmarszczki, które niemal natychmiast zniknęły za stąpione alabastrową gładkością.

– Mój mąż przebywa obecnie w Szkocji. Fotografuje tam katedrę Brechin i wróci do domu dopiero jutro. – Mówiąc to, podeszła bliżej i Eliza niemal wyczuwała emanujące z jej ciała napięcie. – Mimo iż zaproponował ci schronienie, twój wuj jest ważnym i zajęтым człowiekiem, osobą nienawykłą do obecności dzieci. – Jej zacisnięte usta niemal zbieleły. – Pamiętaj, by nie wchodzić mu w drogę. Okazał wystarczającą dobroć, sprowadzając cię do tego domu, nie pragnij zatem niczego więcej. Czy rozumiesz, co mówię? – Usta zadrżały. – Rozumiesz?

Eliza pospieszenie skinęła głową.

Na szczęście w tym samym momencie drzwi się otworzyły i pojawił się w nich pan Thomas.

– Wzywałeś mnie, pani?

Wzrok ciotki wciąż spoczywał na Elizie.

– Dziecko potrzebuje kąpieli.

– Tak, pani Hopkins przygotowała już wodę.

Kobieta zadrżała.

– Niech wleje do niej kwasu karbolowego. Czegoś silnego, co usunie ten londyński brud – mruknęła pod nosem. – I wszystko,

czym dziewczyna została skażona.



Podrapana po solidnym szorowaniu Eliza szła za migocącą lampą pani Hopkins po zimnych drewnianych schodach do drugiego korytarza. Z ciężkich złożonych ram spoglądały na nią twarze zmarłych i dziewczynka zastanawiała się, jak straszną rzeczą jest pozowanie: siedzenie nieruchomo całymi godzinami po to tylko, by zaschnięta na płótnie część człowieka zawisła samotnie w ciemnym korytarzu.

Nagle zwolniła. Mężczyzna na ostatnim portrecie wydawał się znajomy. Jego twarz wyglądała inaczej niż ta z obrazu na dole, na tym płótnie był znacznie młodszy. Twarz miał pełną i niepodobną do lisa, którego Eliza widziała na drugim portrecie. Zamiast niego Eliza dostrzegła w mężczyźnie swoją matkę.

– To twój wuj – rzuciła pani Hopkins, nie odwracając się. – Niebawem poznasz go osobiście. Słowo „osobiście” sprawiło, że Eliza zwróciła uwagę na wykonane różowokremową farbą ostatnie pociągnięcia pędzla. Zadrżała na myśl o bladych i wilgotnych palcach pana Mansella.

Pani Hopkins zatrzymała się przed drzwiami w mrocznym końcu korytarza i Eliza przyspieszyła kroku, wciąż przyciskając do piersi ubrania Sammy’ego. Po chwili gospodyni wyciągnęła z fałdów spódnicy ogromny klucz, włożyła go do zamka, pchnęła drzwi i trzymając lampę nad głową, weszła do środka.

Pokój pogrążony był w ciemności, a światło lampy sięgało ledwie za próg. Mimo to Eliza dostrzegła stojące pośrodku lśniąco z czarnego drewna i wyrastające z niego cztery słupki. Wyrzeżbione na nich postacie pięły się w kierunku sufitu.

Na stoliku nocnym stała taca z kawałkiem chleba i miska chłodnej zupy. Eliza nie dostrzegła mięsa, jednak, jak mawiała matka, „na bezrybiu i rak ryba”. Eliza tak łapczywie rzuciła się na jedzenie, że dostała czkawki. Na koniec wytarła miskę kawałkiem chleba, by nie zmarnować nawet krzty jedzenia.

Pani Hopkins, która przyglądała się temu z wyraźnym zdziwieniem, nie pokusiła się o komentarz. Zamiast tego przeszła przez po-

kój, postawiła lampę na stojącej w nogach łóżka drewnianej skrzyni i odrzuciła ciężki koc.

– No, dalej, wskakuj do łóżka. Nie będę tu przecież sterczała całą noc.

Eliza zrobiła, co jej kazano, i chwilę później poczuła na wrażliwej, obolałej skórze chłodny i wilgotny dotyk prześcieradeł.

Tymczasem pani Hopkins zabrała lampę i dziewczynka usłyszała trzask zamykanych drzwi. Została zupełnie sama w ciemnym pokoju, słuchając, jak wiekowe kości domu skrzypią pod jego lśniąca skórą.

Ciemność, która zapanowała w pokoju, miała głos. Niskie, odległe dudnienie. Wszechobecne, przerażające i zawsze zbyt dalekie, by okazało się nieszkodliwe.

Znowu zaczęło padać i w okna uderzyły gwałtownie ciężkie krople deszczu. Eliza zadrżała, gdy błyskawica niespodziewanie przecięła niebo na dwie postrzępione połówki i skąpała świat w upiornym świetle. W takich chwilach, po których zawsze nadchodził trzęsący budynkiem potężny grzmot, Eliza przypatrywała się otoczeniu.

Błysk... trzask... stojąca obok łóżka ciemna, drewniana szafa.

Błysk... trzask... kominek na odległej ścianie pokoju.

Błysk... trzask... stojący przy oknie stary bujany fotel.

Błysk... trzask... ławeczka w oknie wykuszowym.

Eliza przebiegła na palcach po zimnej podłodze. Wiatr, który przedarł się przez szpary w drewnianej podłodze, hulał teraz po pokoju. Dziewczynka wspięła się na umieszczoną w okiennej niszy ławeczkę i spojrzała na skąpany w mroku świat. Gniewne chmury spowiły błądy księżyc, a widoczny w dole ogród ginął pod czarną peleryną niespokojnej nocy. Deszcz wściekle wbijał mokre igły w rozmiękłą ziemię.

Kolejna błyskawica zalała pokój smugą światła. Tuż po niej Eliza zobaczyła w szybie swoje odbicie. Swoją twarz, twarz Sammy'ego.

Wyciągnęła rękę, ale obraz zdążył już zniknąć i zamiast niego poczuła pod palcami zimne szkło. W tym momencie – lepiej niż kiedykolwiek wcześniej – wiedziała, że jest bardzo, bardzo daleko od domu.

Wróciła do łóżka, wśliznęła się pomiędzy zimne, wilgotne prze-

ścieradła i przytuliła twarz do koszuli Sammy'ego. Zamknęła oczy i spróbowała zasnąć.

Nagle zerwała się i usiadła na łóżku.

Czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, a serce wali jak młot.

Broszka mamy. Jak mogła zapomnieć? W pośpiechu i dramatyzmie sytuacji zupełnie o niej zapomniała. Wysoko w kominie państwa Swindellów czeka na nią matczyzny skarb.

Cassandra wrzuciła do filiżanki torebkę herbaty i włączyła czajnik. Kiedy w dzióbku pojawiły się pierwsze obłoki pary, wyrzała przez okno. Jej pokój z widokiem na morze znajdował się na tyłach hotelu Blackhurst i choć było już ciemno, Cassandra zdołała dostrzec ogrody na tyłach budynku. Krótco przystrzyżony trawnik w kształcie nerki, który ciągnął się od tarasów aż do linii smukłych drzew. To tam opadała ściana klifu, a drzewa stanowiły ostatnią linię obrony na tym kawałku ziemi.

Gdzieś za wąwozem znajdowało się miasteczko, jednak Cassandra nie miała okazji bliżej mu się przyjrzeć. Podróż pociągiem zajęła większość dnia i zanim taksówka przedarła się przez wzgórza Tregenny, na dworze zapadł zmrok. Tylko przez moment, gdy samochód z trudem wspinał się pod górę, dostrzegła w wąwozie krąg migających świateł przywodzący na myśl baśniową wioskę, która budziła się do życia wraz z nastaniem nocy.

Czekając, aż woda się zagotuje, po raz kolejny przekartkowała zniszczony dziennik Nell. Czytała w pociągu, wierząc, że lepiej wykorzysta czas, odkrywając kolejny etap podróży Nell, jednak się myliła. W teorii zdawało się to rozsądne, jednak z praktyką było gorzej. Przez znaczną część podróży Cassandrze towarzyszyły jej własne myśli, które nieustannie nękały ją od obiadu z Ruby i Greyem. Choć wspomnienia o Nicku i Leo nigdy nie opuszczały jej umysłu, fakt, że tak otwarcie i niespodziewanie wspomniano o ich śmierci, sprawił, że ów koszmarny dzień powrócił.

Wszystko stało się tak nagle. Cassandra przypuszczała, że podobne rzeczy zawsze dzieją się niespodziewanie. W jednej chwili była żoną i matką, a w następnej została zupełnie sama. Wszystko przez jedną, przekłętą godzinę rysowania. Pamiętała tylko, że pchnęła ssącego kciuk Lea w ramiona Nicka i wysłała ich do sklepu po rzeczy, których nie potrzebowali. Odpalając stojący na podjeździe samochód, Nick uśmiechnął się szeroko, podczas gdy Leo po kiwał małą pulchną rączką, w której ścisnął ukochaną jedwabną poszewkę.

Cassandra, która myślami była już w pracowni, pożegnała ich roztargnionym machnięciem ręki.

Najgorsze było to, jak delektowała się tymi dziewięćdziesięcioma minutami, zanim ktoś w końcu zapukał do jej drzwi. Nawet nie zauważyła, jak długo ich nie było...

I tym razem Nell okazała się wybawcą. Przyjechała natychmiast i przywiozła ze sobą Bena. To on wyjaśnił Cassandrze, co się właściwie stało, i sprawił, że policyjny bełkot nabrał nagle potwornego sensu: wypadek, gwałtownie skręcająca ciężarówka, zderzenie. Makabryczny ciąg wydarzeń tak prozaicznych i tak zwyczajnych, że nie mogła uwierzyć, że przydarzyły się właśnie jej.

Nell nie powiedziała jej, że będzie dobrze. Doskonale wiedziała, że byłoby to kłamstwo i że już nigdy, przenigdy nie może być dobrze. Zamiast tego przybyła uzbrojona w pigułki, które miały pomóc Cassandrze zasnąć. Ukoić jej galopujące myśli i sprawić, że zapomni, choćby na kilka krótkich godzin. Później zabrała Cassandrę do siebie do domu.

U Nell było lepiej, duchy przeszłości nie czuły się tu tak swobodnie. Tu rządziły inne upiory, a te, które Cassandra przywiozła ze sobą, nie miały takich samych praw.

To, co było później, tonęło we mgle smutku, przerażenia i koszmarów, które nie kończyły się wraz z nastaniem kolejnego dnia. Cassandra nie wiedziała, co było gorsze. Noce, gdy myślała o Nicku, a jego duch pytał ją bez końca: „Dlaczego kazałaś nam jechać? Dlaczego kazałaś mi wziąć Lea?”. Czy noce, gdy w ogóle nie przychodził, gdy leżała zupełnie sama, godziny ciągnęły się w nieskończoność, a niosący ukojenie świty mijały tak szybko, że nie była w stanie za nim

nadażyć. I jeszcze ten sen. Znienawidzone pole, niosące obietnicę tego, że w końcu ich odnajdzie.

W ciągu dnia prześladował ją duch Lea, dźwięk jego zabawek, płacz, łapiąca spódnice, dziecięca rączka, Leo który prosił, by wzięła go w ramiona i utuliła. Chwila radości, jakże krótka i krucha, a mimo wszystko rzeczywista. Ułamek sekundy, w którym zapomniała, że już go nie ma. I bolesna rzeczywistość, gdy chciała wziąć go na ręce.

Próbowała wychodzić z domu, myślała, że może w ten sposób uda jej się uciec. Na próżno. Dookoła było tak wiele dzieci. W parkach, szkołach, sklepach. Czy zawsze było ich tak dużo? Dlatego zamknęła się w domu, spędzała całe dnie w ogrodzie Nell, leżąc pod starym mangowcem i spoglądając na płynące po niebie chmury. Idealne, błękitne niebo za liśćmi uroczynu, łopot pierzastych liści palmy, małe ziarna w kształcie gwiazd, które wiatr i deszcz rozsypywały na ścieżce.

Nie myśląc o niczym. Starając się nie myśleć. Myśląc o wszystkim.

To właśnie tam Nell odnalazła ją w to kwietniowe popołudnie. Pogoda zaczęła się zmieniać, a letnie upały ustępowały miejsca coraz śmielszym podrygom jesieni. Cassandra zamknęła oczy.

Wyczuła obecność Nell, gdy ze skóry znikło przyjemne uczucie ciepła, a ciemność za zamkniętymi oczami stała się jeszcze mroczniejsza.

Później już tylko głos.

– Wiedziałam, że cię tu znajdę.

Cassandra nie odpowiedziała.

– Nie uważasz, że już najwyższy czas zacząć coś robić?

– Proszę, Nell, daj spokój.

– Musisz zacząć coś robić. – Te słowa zostały wypowiedziane wolno i starannie wyartykułowane.

– Proszę... – Myśl o tym, że mogłaby znowu rysować, sprawiała że robiło jej się niedobrze. Co do szkicowników... Jak zniosłaby widok pulchnego policzka, czubka zadartego noska czy zapraszających do pocałunku, dzieciennych ust?

– Musisz się czymś zająć.

Nell starała się pomóc, a mimo to jakaś część Cassandry miała ochotę wrzasnąć na nią, potrząsnąć nią i ukarać za to, że nie potrafi zrozumieć. Zamiast tego Cassandra westchnęła. Jej powieki, choć wciąż zamknięte, zadrżały delikatnie.

– Dość się już nasłuchiłam od doktora Harveya. Chociaż ty sobie daruj.

– Nie chodzi mi o żadną terapię, Cass. – Zanim padły kolejne słowa, Nell się zawahała. – Chodzi o to, że powinnaś mi pomóc.

Cassandra otworzyła oczy i przesłoniła je dłonią.

– Co?

– Mam już swoje lata, moja droga. Potrzebuję pomocy. W domu, w sklepie, finansowo.

Niechciane słowa zawisły w powietrzu, a ich ostre krawędzie nie pozwoliły im zniknąć. Jak Nell może być tak zimna? Tak bezmyślna? Cassandra zadrżała.

– Straciłam rodzinę – wycodziła w końcu, choć gardło miała ściśnięte. – Oplakuję ich.

– Wiem – odparła Nell, siadając obok niej. Jej dłoń odnalazła dłoń Cassandry. – Wiem, skarbie. Ale minęło już pół roku. A ty wciąż żyjesz.

Słyszając te słowa, tak głośne i wyraźne, Cassandra się rozplakała.

– Jesteś tu – ciągnęła Nell, delikatnie ściskając jej rękę. – A ja potrzebuję pomocy.

– Nie mogę.

– Ależ możesz.

– Nie... – Głowa jej pękała, była zmęczona, tak bardzo zmęczona. – Naprawdę nie mogę. Nie mam niczego, co mogłabym ci dać.

– Nie chcę, żebyś dawała mi cokolwiek. Chodzi o to, że powinnaś iść ze mną i robić to, o co cię proszę. Chyba wiesz, jak posługiwać się ścierką, prawda?

Nell wyciągnęła rękę i odgarnęła z policzków Cassandry lepkie od łez kosmyki włosów. Głos miała niski i dziwnie stanowczy.

– Dasz sobie radę. Wiem, że wygląda to inaczej, ale zobaczysz, że tak będzie. W końcu przeżyłaś.

– Nie chcę przeżyć.

– Wiem o tym. To zrozumiałe. Ale czasami nie mamy wybo-

ru...

Hotelowy czajnik wyłączył się z ostentacyjnym „klik” i Cassandra drżącą ręką zalała herbatę wrzątkiem. Przez chwilę patrzyła, jak woda zmienia kolor. Teraz wiedziała, że Nell naprawdę ją rozumiała, że ona najlepiej wiedziała, co znaczy ta oślepiająca pustka, gdy człowiek traci nagle bliskich.

Zamieszała herbatę i na myśl o Nicku i Leo westchnęła cichutko. Zmusiła się do myślenia o teraźniejszości. Jest w hotelu Blackhurst, w Tregennie, w Kornwalii, słuchając szumu fal, które rozbijają się o piaski obcej plaży.

Za mrocznymi koronami najwyższych drzew samotny ptak przeciął atramentowoczarne niebo, a w pomarszczonym lustrze oceanu odbiła się blada twarz księżycy. Na brzegu zamigotały maleńkie światła. Kutry rybackie, pomyślała Cassandra. W końcu Tregenna jest wioską rybacką. Dziwne, że we współczesnym świecie wciąż są jeszcze miejsca, które z pokolenia na pokolenie dosłownie żyją przeszłością.

Cassandra wypiła łyk herbaty i odetchnęła ciepłym powietrzem. Jest w Kornwalii, zupełnie jak niegdyś Nell. Zupełnie jak Rose, Nathaniel i Eliza Makepeace. Szepcząc ich imiona, czuła na skórze dziwne mrowienie. Jakby ktoś pociągał za maleńkie niewidzialne sznurki. Przyjechała tu w konkretnym celu i nie może bez końca pławić się we własnej przeszłości.

– Oto jestem, Nell – szepnęła. – Czy właśnie tego ode mnie chciałaś?

Posiadłość Blackhurst, 1900

Kiedy Eliza obudziła się następnego ranka, potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, gdzie jest. Zdawało jej się, że leży w ogromnych drewnianych saniach z wiszącym nad głową granatowym baldachimem. Miała na sobie koszulę nocną, na widok której pani Swindell z pewnością zatarłaby ręce, a brudne ubrania Sammy'ego leżały zwinięte pod głową. Wtedy sobie przypomniła: dobroczyńcy z przytułku, pan Newton, jazda powozem, Zły Człowiek. Jest w domu wujostwa, w miejscu, w którym jeszcze wczoraj panowały niepodzielnie burza, pioruny, grzmoty i deszcz. Twarz Sammy'ego w oknie.

Eliza wdrapała się na ławeczkę w wykuszu, wyjrzała przez okno i zmrużyła oczy. Deszcz i grzmoty umknęły przed świtem, a powietrze i światło dnia zdawały się czyste i świeże. Na skoszonym trawniku walały się liście i gałęzie, pod oknem leżała przewrócona ławka.

Dziewczynka skupiła uwagę na odległym zakątku ogrodu. Ktoś, jakiś mężczyzna, chodził wśród zieleni. Miał czarną brodę, ogrodniczki, dziwny zielony kapelusz i czarne kalosze.

Słyszac hałas za plecami, Eliza się odwróciła. Do pokoju weszła młoda pokojówka z kręconymi włosami i postawiła na stoliku nocnym tacę. Była to ta sama dziewczyna, która ubiegłej nocy została zbesztana przez panią Hopkins.

– Dzień dobry, panienko – zaszczebiotała. – Mam na imię Mary i przyniosłam śniadanie. Pani Hopkins powiedziała, że po tak długiej podróży dziś rano może panienka zjeść w swoim pokoju.

Eliza pospiesznie usiadła przy stolczku i spojrzała na zawartość tacy. Nie wierzyła własnym oczom: gorące bułeczki polane topionym masłem, białe miseczki wypełnione po brzegi najprzedniejszymi owocowymi konfiturami, dwa płaty solonego wędzonego śledzia, puszysta jajecznica i gruba, lśniąca kiełbasa. Nie posiadała się z radości.

– Burza, którą panienka przywiozła ze sobą ubiegłej nocy, była naprawdę straszna – ciągnęła pokojówka, rozsuwając story. – Mało brakowało, a nie dotarłabym do domu. Choć przez jakiś czas i tak musiałam tu zostać.

Eliza przełknęła kawałek chleba.

– Nie mieszkasz tu?

Mary się roześmiała.

– Oczywiście, że nie! Być może innym to nie przeszkadza, ale ja wołałabym nie... – Zerknęła na Elizę, a jej twarz oblała się delikatnym rumieńcem. – To znaczy, mieszkam we wsi. Z mamą, tatą, braćmi i siostrą.

– Masz brata? – Na myśl o Sammym Eliza poczuła bolesną pustkę.

– Ależ tak, nawet trzech. Dwóch starszych i jednego młodszego, choć Patrick, najstarszy z nich, nie mieszka już w domu. Mimo to wciąż pracuje z tatą na kutrze. On, Will i tatuś wypływają każdego dnia, niezależnie od pogody. Młodszy Roly, ma dopiero trzy lata, dlatego zostaje w domu z mamą i małą May. – Mówiąc to, rzuciła poduszkę na okienną ławeczkę. – My, Martinowie, zawsze pracowaliśmy na morzu. Mój pradziadek był jednym z tregeńskich piratów.

– Kim?

– Jednym z tregeńskich piratów – powtórzyła Mary, otwierając zdumione oczy. – Nie słyszała panienka o nich? – Eliza pokręciła głową.

– Tregeńscy piraci byli najbardziej przerażającą bandą opryszków. Rządzili na morzach, a w ciężkich czasach przywozili do domów zapasy whisky i pieprzu. No i musi panienka wiedzieć, że zawsze okradali bogatych. Zupełnie jak ten, no... jak mu było na imię... tyle że na oceanie, a nie w lesie. Na wzgórzach istnieją przełścia, z których dwa lub trzy prowadzą prosto do oceanu.

- Gdzie jest ocean, Mary? – spytała Eliza. – Gdzieś niedaleko? Mary zmierzyła ją dziwnym spojrzeniem.
- Ależ oczywiście! Nie słyszy panienka?
- Eliza zamilkła. Czy naprawdę słyszy ocean?
- Proszę posłuchać – zachęcała Mary. – Szszsz... szszsz... szszsz... To właśnie ocean. Oddycha, jak zawsze. Naprawdę go panienka nie słyszała?
- Słyszałam. Po prostu nie wiedziałam, że to on.
- Nie wiedziała panienka? – powtórzyła Mary z uśmiechem. – A myślała panienka, że co to jest?
- Myślałam, że to pociąg.
- Pociąg! – Mary wybuchnęła śmiechem. – Żartuje panienka! Stacja jest daleko stąd. Naprawdę myślała panienka, że to pociąg? Muszę powiedzieć o tym braciom.
- Eliza pomyślała o opowieściach mamy: historiach o piasku, srebrnych kamkach i pachnącym solą wietrze.
- Czy mogłabym pójść i spojrzeć na ocean?
- Myślę, że tak. Musi tylko panienka wrócić, kiedy kucharka zadzwoni na obiad. Pani nie ma w domu, więc niczego nie zauważy.
- Eliza spostrzegła, że na wspomnienie ciotki radosna twarz Mary spochmurniała. – Musi panienka zdążyć przed panią, dobrze? To ona ustala zasady i porządek w domu.
- Jak się tam dostanę?
- Mary skinieniem przywołała ją do okna.
- Niech panienka podejdzie, to wszystko wyjaśnię.



Powietrze było tu inne, podobnie jak niebo, które zdawało się jaśniejsze i bardziej oddalone od ziemi. W niczym nie przypominało wiszącego nad Londynem, ciężkiego, szarego wieka, które – gdy na nie spojrzeć – zawsze groziło zatrzęsnięciem. Tu niebo unosiło się na wietrze niczym ogromne białe prześcieradło. Uwięzione pod nim powietrze sprawiało, że prześcieradło, łopocząc, wzbijało się coraz wyżej i wyżej.

Eliza stała na krawędzi klifu, spoglądając ponad zatoką na ciemnoniebieskie wody oceanu. Te same, po których żeglował jej ojciec.

Patrzyła też na plażę, którą знаła w dzieciństwie jej matka.

Burza sprawiła, że na piaszczystym brzegu leżały kawałki drewna. Białe gałęzie, powyginane i wyglądzone przez czas, wystawały spod kamyków niczym rogi ogromnej, przerażającej bestii.

Eliza wyczuwała w powietrzu smak soli, dokładnie tak, jak mówiła jej mama. Teraz, gdy wyrwała się z tego dziwnego domu, poczuła się lekka i wolna jak nigdy dotąd. Wciągnęła głęboki haust powietrza i pognąła w dół drewnianymi schodami, by jak najszybciej dotrzeć na brzeg.

Gdy się tam znalazła, usiadła na gładkiej skale i drżącymi palcami rozwiązała buty. Podwinęła nogawki bryczesów Sammy'ego, tak że kończyły się tuż nad kolanami, i ostrożnie ruszyła w kierunku wody. Pod stopami czuła ciepły dotyk kamieni, ostrych i gładkich zarazem. Przez chwilę stała nieruchomo, spoglądając na wznoszącą się i opadającą ogromną masę błękitu.

Następnie, oddychając głęboko słonym powietrzem, pomknęła w podskokach przed siebie, mocząc beztrzęsio palce, kostki i kolana. Biegła brzegiem, śmiejąc się na widok chłodnych bąbelków pomiędzy palcami, zbierając co ładniejsze muszle, a nawet wyrzucone przez morze śmiecie.

Zatoczka była mała, więc Eliza nie potrzebowała dużo czasu, by przejść z jednego końca na drugi. Kiedy dotarła do brzegu, zauważyła coś, co z oddali wydawało się niczym więcej, jak tylko czarną plamą. Z urwiska wyłaniała się ogromna czarna grań, która ciągnęła się aż do oceanu. Z bliska wyglądała jak wielki obłok czarnego dymu zatrzymanego w czasie i skazanego na wieczną samotność. Smutna sierota, której nie chciały ani ziemia, ani ocean, ani nawet powietrze.

Skała była śliska, jednak na jej krawędzi Eliza znalazła niewielką półkę skalną, wystarczająco szeroką, by mogła na niej stanąć. Odnajdując pośród postrzępionych skał oparcie dla nóg, dziewczynka pięła się po skalnym zboczu, aż w końcu dotarła na sam szczyt. Była teraz tak wysoko, że za każdym razem, gdy zerknęła w dół, zdawało jej się, że ma głowę pełną bąbelków. Chwilę później opadła na kolana i cal po calu podjęła dalszą wędrówkę. Droga stawiała się coraz węższa, aż w końcu Eliza dotarła do samego końca grani. Tam usiadła na skale, uniosła zaciśniętą pięść i wybuchnęła radosnym śmiechem.

Zdawało jej się, że siedzi na maszcie ogromnego statku. W dole spieniona biel nacierających na kadłub fal, a przed nią otwarte wody oceanu. Słońce upstrzyło jego powierzchnię setkami mieniących się świateł, które unosząc się i opadając, ciągnęły się aż po horyzont. Gdzieś przed nią była Francja. Za Europą znajdował się wschód – Indie, Egipt, Persja i inne egzotyczne miejsca, o których mówili żeglarze na Tamizie. Jeszcze dalej był Daleki Wschód i drugi koniec świata. Patrząc na ocean, migotliwe promienie słońca i rozmyślając o dalekich krajach, Eliza poczuła się jak nigdy dotąd. Było to ciepłe uczucie, niosące nadzieję, pełne nowych możliwości i pozbawione jakichkolwiek ograniczeń...

Pochyliła się do przodu i zmrużyła oczy. Horyzont nie był już równą gładką linią. Coś zmaciło tę harmonię: w miejscu, gdzie ocean łączył się z niebem, pojawił się ogromny czarny statek pod pełnymi żaglami. Z daleka wyglądał jak dziecięca zabawka, która lada moment spadnie poza krawędzie świata. Eliza zamrugła i kiedy otworzyła oczy, statek zniknął. Ach, jakże zwinne i szybkie są statki na otwartym morzu; jak mocne muszą być ich łopoczące na wietrze białe żagle. Na takim właśnie statku pływał mój tata, pomyślała.

Tym razem uwaga dziewczynki skupiła się na białym niebie. Wysoko w górze kołowała krzycząca mewa. Eliza śledziła ją wzrokiem aż do chwili, gdy zauważyła coś na szczycie klifu. Była to ukryta pomiędzy drzewami chatka. Eliza dostrzegła dach i umieszczone na szczycie maleńkie śmieszne okienko. Przez chwilę zastanawiała się, jak to jest mieszkać w takim miejscu, na krańcu świata. Czy człowiek ma wrażenie, że zaraz spadnie i stoczy się do oceanu?

Poczuła na twarzy zimne krople i spojrzała na wzburzone morze. Nadchodził przypływ i poziom wody gwałtownie się podnosił. Skalna półka, po której niedawno szła, znajdowała się teraz pod wodą.

Eliza rozpoczęła mozolną wyprawę w dół grzbietu, stawiając ostrożnie stopy i łapiąc się kurczowo wilgotnych, skalistych brzołów.

Kiedy zbliżyła się do poziomu wody, przystanęła. Z tej perspektywy widziała, że nie jest to lita skała. Wyglądała, jakby ktoś wyrzeźbił w niej ogromną dziurę.

Jaskinię – bo tym właśnie okazała się owa dziura. Eliza pomyślała o tregeńskich piratach Mary i wykopanych przez nich tunelach. Jaskinia z pewnością jest jednym z nich, co do tego Eliza nie miała wątpliwości. Czyż Mary nie mówiła, że piraci przewozili złupione towary siatką podziemnych jaskini?

Eliza pokręciła się wokół skały, wdrapała na płaskie wzniesienie i niewiele myśląc, weszła do ciemnej i wilgotnej pieczary.

– Halo-o-o-o-o?! – zawołała. Jej głos przez chwilę odbijał się od kamiennych ścian, aż w końcu ucichł.

Wnętrze jaskini tonęło w mroku i Eliza poczuła dreszcz podniecenia. Oto znalazła swoją własną pieczarę. Pewnego dnia wróci tu z latarnią, tak aby mogła zobaczyć, co jest dalej, zdecydowała.

Usłyszała głuchoe dudnienie, wciąż odległe, choć coraz bliższe. Stuk, stuk, stuk...

W pierwszej chwili pomyślała, że dobiega z wnętrza jaskini. Lęk sparaliżował jej nogi, podczas gdy przerażona dziewczynka zastanawiała się, z jakim morskim potworem przyjdzie się jej zmierzyć.

Stuk, stuk, stuk... Coraz bliżej.

Eliza cofała się, ostrożnie wybierając drogę.

Chwilę później na grzbiecie klifu pojawiły się słniące czarne konie i ciągnięty przez nie powóz. A więc tam w jaskini nie było żadnego potwora. To powóz Newtona pędził skalistą drogą, a tętent kopyt odbijał się echem od kamiennych ścian klifu.

Widząc to, Eliza przypomniała sobie ostrzeżenie Mary. Ciotka wyjechała rankiem, jednak spodziewano się, że wróci na obiad. Eliza nie mogła się spóźnić.

Dziewczynka wspięła się na skałę, zeskoczyła na kamienisty brzeg, przebiegła przez sadzawkę płytkiej wody i pognąła plażą. Zawiązawszy buty, wspięła się po drewnianych schodach. Kiedy biegła między drzewami, wilgotne nogawki bryczesów z głośnym mlaskaniem obijały się o jej kostki. Słońce nie ustawało w swej wędrówce po niebie i prowadząca do dworu ścieżka pogrążyła się w chłodnym cieniu.

Eliza czuła się jak w norze, sekretnej, porośniętej jeżynami dziurze, w której mieszkają duszki, gobliny i elfy. Gnając przed siebie, niemal wyczuwała ich obecność, wiedziała, że ukrywają się i patrzą,

jak przemyka na palcach przez ich królestwo. Obserwowała z uwagą podszycie, starając się nie mrugać, by przypadkiem nie przegapić któregoś z nich. Każdy przecież wie, że dostrzeżony przez człowieka duszek musi spełnić jego życzenia.

Zatrzymała się dopiero, gdy usłyszała jakiś hałas. Wstrzymała oddech. Na widocznej z przodu polanie był człowiek, prawdziwy człowiek z czarną brodą. Ten sam, którego widziała rano z okna sypialni. Siedział na kłodzie, rozwijając skrawek kraciastego materiału. W środku znajdował się trójkątny kawałek ciasta.

Eliza zeszła ze ścieżki i przyglądała się mężczyźnie. Kiedy dla lepszego widoku wspinała się na niski konar, jej krótkie włosy zahaczały o końcówki maleńkich nagich gałązek. Przedtem mężczyzna ciągnął wózek pełen ziemi albo tak się przynajmniej Elizie wydawało. Wiedziała jednak, że to podstęp: ziemia przykrywała skarby, które człowiek ukrył na wózku. Mężczyzna nie był bowiem zwykłym człowiekiem, a królem piratów. Jednym z tregeńskich piratów albo duchem któregoś z nich. Żeglarzem pragnącym pomścić śmierć swoich towarzyszy. Niespokojnym duchem, czekającym w swej kryjówce na małe dziewczynki, które zabiera do domu, by jego żona upiekła z nich ciasteczka. To do niego należy statek, który widziała na morzu. Wielki, czarny statek, który zniknął w mgnieniu oka. Statek widmo, a ten duch...

Gałąź, na której siedziała, nagle się złamała i Eliza runęła na ziemię, lądując w kopcu wilgotnych liści.

Brodaty mężczyzna na nią uwagi. Łypnął na nią lewym okiem i wrócił do jedzenia ciasta.

Widząc to, Eliza dźwignęła się z ziemi, rozmasowała obolałe kolano, wyprostowała się i wyjęła z włosów suche liście.

– A więc to ty jesteś tą nową małą damą – zauważył mężczyzna, podczas gdy ciasto w jego ustach zmieniło się w papkę. – Słyszałem plotki o twoim przyjeździe. Choć jeśli wolno mi zauważyć, wcale nie wyglądasz na damę. Przynajmniej w tych podartych chłopięcych ubraniach i z krótkimi włosami.

- Przyjechałam tej nocy i przywiozłam ze sobą burzę.
- Skoro tak, masz potężną moc jak na kogoś tak drobnego.
- Silna wola sprawia, że nawet najsłabsi mają w sobie wielką siłę.

Mężczyzna uniósł podobną do gąsienicy krzaczastą brew.

– Kto ci to powiedział?

– Mama.

Eliza za późno przypomniała sobie, że nie powinna wspominać o matce. Teraz, z dudniącym sercem czekała, co powie brodaty człowiek.

Tymczasem mężczyzna spojrzał na nią i powoli przeżuwał kawałek ciasta.

– Z pewnością wiedziała, co mówi. W większości przypadków matki zawsze mają rację.

Uczucie ulgi, które rozlało się po ciele Elizy, przypominało ciepłe mrowienie.

– Moja mama umarła.

– Moja również.

– Teraz mieszkam tu.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Na to wygląda.

– Mam na imię Eliza.

– A ja Davies.

– Jesteś bardzo stary.

– Tak stary jak mój mały palec i odrobinę młodszy od własnych zębów.

Eliza odetchnęła głęboko.

– Jesteś piratem?

Davies się roześmiał. Jego śmiech przywodził na myśl dobywający się z zatkanego komina głęboki świst.

– Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale jestem ogrodnikiem, tak jak przede mną mój ojciec. Dokładnie rzecz biorąc, dbam o labirynt.

Eliza pokręciła nosem.

– Dbasz o labirynt?

– Właśnie tak. – Kiedy jasne było, że dziewczynka wciąż nie rozumie, Davies wskazał spięte żelazną bramą smukłe bliźniacze żywopłoty. – To taka układanka z żywopłotu. Chodzi o to, żeby przejść przez nią, nie gubiąc przy tym drogi.

Układanka, która może pomieścić prawdziwego człowieka? Eli-

za nigdy nie słyszała o czymś takim.

– Dokąd prowadzi?

– Och, wije się w tę i z powrotem. Jeśli będziesz miała szczęście i się nie zgubisz, znajdziesz się po drugiej stronie posiadłości. Jeśli szczęście cię opuści – zmrużył złowrogo oczy – prawdopodobnie umrzesz z głodu, zanim ktokolwiek zauważy, że zaginęłaś. – Pochylił się ku Elizie i zniżył głos. – Często natykam się na kości takich nieszczęśników.

Emocje zmieniły głos Elizy w szept.

– A jeśli mi się uda, co znajdę po drugiej stronie?

– Kolejny wyjątkowy ogród i małą chatkę. Na skraju klifu.

– Widziałam tę chatkę, gdy byłam na plaży.

Davies pokiwał głową.

– To całkiem możliwe.

– Czyj to dom? Kto tam mieszka?

– Teraz stoi pusty. Zbudował go lord Archibald Mountrachet, twój pradziad. Niektórzy twierdzą, że miał to być punkt obserwacyjny i stanowisko sygnalizacyjne.

– Dla przemytników, tregeńskich piratów?

Uśmiechnął się.

– Coś mi się wydaje, że nasłuchiłaś się opowieści Mary Martin.

– Mogę tam pójść i zobaczyć?

– Nie znajdziesz drogi.

– Właśnie, że znajdę.

Oczy Daviesa błyszczały, gdy przekomarzał się z Elizą.

– Nigdy, nigdy nie znajdziesz drogi przez labirynt. A nawet jeśli znajdziesz, nigdy nie dowiesz się, jak przejść przez sekretną bramę do ogródka.

– Zobaczysz, że mi się uda! Proszę, Daviesie, pozwól mi spróbować!

– Obawiam się, że to niemożliwe, panienko Elizo – odparł z powagą mężczyzna. – Od dawna nikt nie wchodził do labiryntu. Nawet ja, choć zajmuję się nim, nie zapuszczam się zbyt daleko i docieram tylko tam, dokąd mogę. Ścieżki w głębi pewnie dawno już zarosły.

– Dlaczego nikomu nie udało się przejść na drugą stronę?

– Jakiś czas temu twój wuj zamknął labirynt. Od tamtej pory nikt się tu nie zapuszcza. Twoja matka знаła labirynt jak własną kieszeń. Prawie tak dobrze jak ja.

Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk dzwonka.

Davies ściągnął kapelusz i przetarł spocone czoło.

– Powinna już panienka iść. We dworze dzwonią na lunch.

– Ty też zjesz obiad?

Mężczyzna się roześmiał.

– My, pracownicy, nie jemy lunchu, panienko Elizo, byłoby to niestosowne. Zamiast tego jemy teraz obiad.

– Czy to znaczy, że ty też idziesz na obiad?

– Ja od dawna nie jadam w domu.

– Dlaczego?

– Nie lubię tam przebywać.

Eliza nie rozumiała.

– Dlaczego?

Davies pogładził brodę.

– Jestem szczęśliwszy w towarzystwie swoich roślin, panienko Elizo. Są ludzie, którzy lubią towarzystwo innych, i tacy, którzy za nim nie przepadają. Ja należę do tych drugich. Wystarczy mi moje gnojowisko.

– Ale dlaczego?

Davies odetchnął powoli jak stary zmęczony olbrzym.

– Są takie miejsca, w których człowiekowi cierpieć skóra, miejsca, w których dzieją się dziwne rzeczy. Rozumie panienka?

Eliza pomyślała o ubiegłej nocy, o ciotce, bordowym pokoju, ogarze, świetle świec i cieniach, które jak oszalałe tańczyły na ścianach. Skinęła głową.

– Młodziutka Mary to dobra dziewczyna. Ona się tobą zaopiekuje. – Spojrzał na Elizę i ściągnął brwi. – Pamiętaj panienko, nie można być łatwowiernym. Rozumiesz? Nie można.

Jako że była to chwila pełna powagi, Eliza uroczyście pokiwała głową.

– A teraz niech panienka zmyka. Jeśli spóźni się panienka na lunch, pani wyrwie jej serce i zje je na kolację. Nie lubi, gdy ktoś łamie zasady.

Eliza się uśmiechnęła, jednak Davies pozostał poważny. Odwróciła się, kiedy coś w górnym oknie przykuło jej uwagę, coś, co zauważyła poprzedniego dnia. Mała czujna twarz.

– Kto to? – spytała.

Davies obrócił głowę i mrużąc oczy, zerknął w stronę domu. Chwilę później wskazał głową okno.

– To chyba panienka Rose.

– Panienka Rose?

– Kuzynka panienki. Córką pani i pana.

Zdumiona Eliza otworzyła szeroko oczy. Kuzynka?

– Kiedyś często widywaliśmy ją we dworze, była wesołą dziewczynką, ale kilka lat temu zachorowała i wszystko się zmieniło. Pani poświęca mnóstwo czasu i pieniędzy, by wyleczyć panienkę Rose, a młody doktor z miasta przyjeżdża i odjeżdża.

Eliza wciąż patrzyła w okno. W końcu powoli uniosła dłoń, a jej rozcapierzone palce przypominały znaną na plaży rozgwiazdę. Kiedy pomachała do stojącej w oknie dziewczynki, ta niemal natychmiast zniknęła w mroku pokoju.

Na twarzy Elizy pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Rose – szepnęła, delektując się słodyczą tego słowa. Zupełnie jak imię baśniowej księżniczki.

24

Chatka na klifie, 2005

Wiatr zmierzwił włosy Cassandry, szarpiąc jej kucyk jak chorągiewkę na rękawie lotniskowym. Otuliła się swetrem, przystanęła, by złapać oddech, i zerknęła na wąską nadbrzeżną dróżkę i majaczącą w dole wioskę. Małe białe chatki tuliły się do skalistej zatoczki niczym pąkle, a czerwono-niebieskie łodzie rybackie kołysały się na falach, podczas gdy nad kadłubami pikowały i kołowały rozwrzeszczane mewy. Nawet na tej wysokości w powietrzu wyczuwało się słony zapach morza.

Droga była tak wąska i wiodła tak blisko krawędzi klifu, że Cassandra zastanawiała się, czy ktokolwiek zdobył się na odwagę, by przejechać tędy samochodem. Po obu stronach ścieżki rosły drżące na wietrze wysokie, blade trawy. Im wyżej się wspinała, tym gęstsza stawała się mżawka.

Cassandra zerknęła na zegarek. Myliła się, sądząc, że dotrze na szczyt w tak krótkim czasie, nie mówiąc o zmęczeniu, które sprawiło, że już w połowie drogi nogi miała jak z waty. Zmęczenie po długiej podróży i stary dobry brak snu.

Poprzednia noc była koszmarem. Pokój i łóżko były dość wygodne, jednak Cassandrę nękały dziwne sny, które pamiętała po przebudzeniu, a które umykały, gdy próbowała odgadnąć ich znaczenie.

W pewnym momencie zbudziło ją coś bardziej rzeczywistego. Hałas, jakby ktoś wkładał klucz do zamka. Była pewna, że to właśnie to; ktoś włożył klucz do zamka i szarpiąc klamkę, próbował otwo-

rzyć drzwi. Kiedy jednak rankiem wspomniała o tym w recepcji, dziewczyna zmierzyła ją dziwnym wzrokiem, po czym stwierdziła lodowato, że w hotelu używano kart magnetycznych, a nie metalowych kluczy. Cassandra musiała więc słyszeć wiatr szarpiący starymi elementami mosiężnej instalacji.

Podjęła wspinaczkę. Musi być już blisko. Kobieta w sklepie spożywczym powiedziała przecież, że dotrze na miejsce w ciągu dwudziestu minut, a ona idzie już przeszło pół godziny.

Skręciła za rogiem i dostrzegła zaparkowany przy drodze czerwony samochód. Stojący przy nim mężczyzna i kobieta przyglądali się jej. On był wysoki i szczupły, ona niska i krępa. Przez moment Cassandra pomyślała, że mogą to być turyści cieszący się widokiem, jednak kiedy pomachali w jej kierunku, wiedziała, z kim ma do czynienia.

– Witaj! – zawołał mężczyzna i ruszył w jej kierunku. Był w średnim wieku, choć siwe włosy i broda dodawały mu lat. – Ty musisz być Cassandrą. Nazywam się Henry Jameson, a to... – mówiąc to, wskazał rozpromienioną kobietę – moja żona Robyn.

– Miło cię poznać – powitała ją Robyn, która deptała mężowi po piętach. Jej siwiejące, równo obcięte włosy muskały rumiane gładkie policzki.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Dziękuję, że zechcieliście spotkać się ze mną w sobotę. Naprawdę jestem wam wdzięczna.

– Drobiazg. – Henry przecesał dłonią zmierzwiłone włosy. – To żaden kłopot. Mam tylko nadzieję, że nie przeszkadza ci obecność Robyn...

– Ależ oczywiście, że jej nie przeszkadzam, dlaczego miałabym przeszkadzać? – zachnęła się Robyn. – Prawda, że nie przeszkadzam?

Cassandra pokręciła głową.

– A nie mówiłam? W ogóle jej nie przeszkadzam. – Mówiąc to, Robyn chwyciła Cassandrę za nadgarstek. – Nie żeby próbował mnie powstrzymać. Wiedział, że jeśli spróbuje, czeka go wizyta w sądzie cywilnym.

– Żona jest sekretarką w lokalnym stowarzyszeniu historycznym – wyjaśnił Henry przepraszającym tonem.

– Opublikowałam kilka broszur na temat okolicy. Głównie historie o tutejszych rodzinach, ważnych obiektach, wspaniałych domach. Ostatnia traktuje o szlakach przemysłowych. Jesteśmy w trakcie wrzucania artykułów na stronę internetową...

– Robyn obiecała sobie, że wypije filiżankę herbaty w każdej rezydencji hrabstwa.

– Przez całe życie mieszkam w tej wiosce, a interesuję się wyłącznie starymi budynkami. – Robyn się uśmiechnęła. – Nie będę cię okłamywała i powiem wprost, że jestem strasznie ciekawska.

– Ależ skarbie, nigdy byśmy nie zgadli – odparł zmęczonym głosem Henry, wskazując wzgórze. – Tu droga się kończy, dalej musimy iść pieszo.

Pierwsza ruszyła Robyn, krocząc energicznie po porośniętej wysoką trawą wąskiej ścieżce. W miarę, jak wspinali się coraz wyżej, Cassandra zaczęła dostrzegać ptaki. Gromady maleńkich brązowych jaskółek, które krzyczały do siebie, przeskakując z jednej cienkiej gałęzi na drugą. Miała wrażenie, że jest obserwowana, jakby ptaki przepychały się, by mieć intruzów na oku. Zadrżała i niemal natychmiast zbeształa się za to dziecinne zachowanie i dopatrywanie się tajemnic w najzwyklejszych nastrojowych miejscach.

– To mój ojciec przeprowadzał transakcję z pani babką – wyjaśnił Henry, zwalniając kroku, by iść tuż za Cassandrą. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym. Właśnie zacząłem pracować w firmie jako młodszy notariusz, ale pamiętam tę sprzedaż.

– Każdy ją pamięta! – zawołała Robyn. – Sprzedano wtedy ostatnią część majątku. Byli we wsi i tacy, co mówili, że chatka nigdy nie zostanie sprzedana.

Cassandra spojrzała na morze.

– Dlaczego? Przecież z domu musi się roztaczać fantastyczny widok...

Henry zerknął na Robyn, która zatrzymała się i przyciskając dłoń do piersi, łapczywie łapała oddech.

– Cóż, to prawda – odparł – ale...

– Po okolicy krążyły dziwne historie – zaczęła Robyn, dysząc. – Plotki i takie tam... o przeszłości.

– Jakie historie?

– Głupie plotki – uciął stanowczo Henry. – Bzdurne historie, jakich pełno w każdej angielskiej wiosce.

– Mówiono, że dom był nawiedzony – dodała półgłosem Robyn.

Henry się roześmiał.

– Znajdź dom w Kornwalii, który nie jest nawiedzony.

Robyn przewróciła bladoniebieskimi oczami.

– Mąż jest pragmatykiem.

– A żona romantyczką. Chatka na klifie to nic więcej jak tylko kamień i zaprawa, jak wszystkie inne domy w Tregennie. Nie jest bardziej nawiedzony niż ja sam.

– I ty śmiesz nazywać siebie Kornwalijszym. – Robyn założyła za ucho pasmo niesfornych włosów i mrużąc oczy, zerknęła na Cassandrę. – Wierzysz w duchy, Cassandro?

– Nie sądzę. – Cassandra przypomniała sobie przedziwne uczucie, którego doświadczyła na widok ptaków. – W każdym razie nie w takie, które nocami straszą ludzi.

– A więc jesteś rozsądną dziewczynką – pochwalił Henry. – Jedynymi duchami, które od trzydziestu lat nawiedzają chatkę, są miejscowi chłopcy napędzający stracha sobie i innym. – Mówiąc to, wyjął z kieszeni spodni chusteczkę z monogramem, złożył ją na pół i przetarł nią czoło. – No, idziemy, Robyn. Jak tak dalej pójdzie, spędzimy na słońcu cały dzień. To już ostatnie podrygi tegorocznego lata.

Wspinaczka i zwężająca się ścieżka utrudniały dalszą rozmowę, więc kolejne sto metrów pokonali w milczeniu. Cienkie źdźbła bladej trawy gięły się pod najdelikatniejszym dotykiem wiatru.

W końcu, po przedarciu się przez kępę splątanych krzaków, dotarli do kamiennego muru. Ściana była wysoka na trzy metry i wydawała się dziwnie nie na miejscu, zwłaszcza że w okolicy nie było żadnych budynków. Zwapnioną przez czas bramę wejściową okalał żelazny łuk, tu i ówdzie opleciony bluszczem. Przekrzywiony sztyld zwiślał smętnie, kołysząc się na wietrze. Pokrywały go zielonobrazowe porosty, które niczym strupy wypełniały zdobione litery. Cassandra przechyliła głowę, by odczytać słowa: „Wejście wyłącznie na własną odpowiedzialność”.

– Mur postawiono w miarę niedawno – zauważyła Robyn.
– Mówiąc „niedawno”, moja żona ma na myśli jakieś sto lat. Chatka musi liczyć sobie trzy razy tyle. – Henry odchrząknął. – Teraz już wiesz, że miejsce jest w opłakanym stanie.

– Mam zdjęcie. – Cassandra sięgnęła do torebki i wyjęła z niej fotografię.

Spoglądając na zdjęcie, Henry uniósł brwi.

– Zrobiono je, zanim dom został sprzedany. Od tamtej pory nieco się zmienił. Nikt się nim nie zajmował. – Pchnął żelazną bramę i skinął głową. – Wchodzimy?

Kamienna ścieżka biegła wśród starych artretycznych róż i kiedy weszli do ogrodu, Cassandra mogłaby przysiąc, że zrobiło się chłodniej. Wszystko dookoła zdawało się mroczne, posępne i ciche. Było w tej ciszy coś dziwnie niepokojącego, niewyjaśniony spokój i bezruch. Jakby świat ukryty za trzymetrowym murem pogrążył się we śnie i czekał, aż ktoś lub coś go obudzi.

– Chatka na klifie – oznajmił Henry, gdy dotarli do końca ścieżki.

Cassandra otworzyła zdumione oczy, spoglądając na płataninę jeżyn. Liście bluszczu, ciemnozielone i postrzępione, przywarły do murów, kłębiąc się we wnękach, które niegdyś były oknami. Patrząc na nie, Cassandra pomyślała, że gdyby nie to, iż wie o istnieniu domu, miałyby problem z jego znalezieniem.

Henry zakasłał, a jego twarz oblała się przepaszającym rumieńcem.

– Z całą pewnością dom pozostawiono na pastwę losu.

– Nie ma rzeczy, której nie załatwiłoby porządne sprzątnięcie – odparła Robyn, siląc się na wesołość. – Nie należy się zniechęcać. Widziałas przecież, jakich cudów dokonują w tych programach telewizyjnych. Chyba macie takie programy w Australii?

Cassandra w zamyśleniu pokiwała głową, jednocześnie próbując dostrzec linię dachu.

– Pozwól ci pełnić honory domu – stwierdził Henry, sięgając do kieszeni i wyjmując klucz.

Klucz okazał się zadziwiająco długi i ciężki, z misternie rzeźbionym mosiężnym zakończeniem. Ściskając go w dłoni, Cassandra do-

świadczyła swoistego déjà vu. Już kiedyś trzymała w ręku podobny klucz. Ale gdzie? W sklepiku z antykami? Wspomnienie było wyraźne, jednak pamięć okazała się zawodna.

Cassandra stanęła na leżącym przy drzwiach kamieniu. Widziała zamek, jednak drzwi porastała gęsta pajęczyna bluszczu.

– To powinno pomóc – rzuciła Robyn, wyciągając z torebki sekator. – Nie patrz tak na mnie, skarbie – dodała, widząc zdziwienie na twarzy Henry’ego. – Jestem dziewczyną ze wsi. My jesteśmy gotowe na wszystko, w każdej sytuacji.

Cassandra wzięła sekator i jedno po drugim zaczęła ciąć splątane pnącza. Kiedy ostatnie z nich zawisło smętnie na drzwiach, zawałała się i musnęła dłonią białe od soli drewno. Z jednej strony miała ochotę dać sobie spokój i poprzestać na tym, co już wie, jednak gdy spojrzała przez ramię na Henry’ego i Robyn, oboje zachęcająco pokiwali głowami. W końcu włożyła klucz do zamka i używając obu rąk, przekręciła go.

Najpierw uderzyła ją wilgotna woń, intensywna, przypominająca smród zwierzęcych odchodów. Podobna do tej, która unosiła się w australijskich lasach deszczowych, świetle wilgoci i płodności. Hermetycznym ekosystemie, jakże nieufnym wobec przybyszów.

Zrobiła mały krok do wnętrza korytarza. Drzwi wejściowe wpuszczały wystarczająco dużo światła, by zobaczyła dryfujące w zatęchłym powietrzu omszałe drobinki kurzu, zbyt lekkie i zbyt zmęczone, by opaść na ziemię. Podłogi zrobiono z drewna i przy każdym kroku buty Cassandry skrzypiały przepraszająco.

Weszła do pierwszego pokoju i zajrzała za drzwi. Wewnątrz panował mrok spotęgowany przez pokryte grubą warstwą brudu okna. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, stwierdziła, że jest to kuchnia. Pośrodku stał spłowiały drewniany stół ze zwężanymi nogami i schowane pod nim dwa wyplatane krzesła. We wnęce po przeciwnej stronie pomieszczenia zauważyła przesłoniętą firanką pajęczyn stary kuchenny piec, a w kącie kołowrotek i kłębek ciemnej wełny.

– Zupełnie jak w muzeum – szepnęła Robyn. – Tylko trochę tu brudno.

– Nie sądzę, żebym w najbliższym czasie mogła zaproponować

wam filiżankę herbaty – rzuciła Cassandra.

Henry podszedł do kołowrotka i machnął ręką w strunę kamiennej wnęki.

– Tu są schody.

Faktycznie, w kącie ukryto wąskie schody, które pięły się w górę i skręcały gwałtownie na małym podeście. Cassandra ostrożnie postawiła stopę na pierwszym stopniu, sprawdzając jego wytrzymałość. Wyglądał dość solidnie, więc zaczęła wspinać się do góry.

– Ostrożnie – ostrzegł Henry, który przezornie wyciągnąwszy rękę, szedł tuż za nią.

Cassandra dotarła do podestu i zatrzymała się.

– O co chodzi? – spytał Henry.

– Drzewo, ogromne drzewo, zupełnie blokuje przejście. Przebiło się przez dach.

Henry zerknął ponad jej ramieniem.

– Nie sądzę, aby sekator Robyn na coś się tu zdał – zauważył. – Nie tym razem. Tutaj potrzebna będzie piła. – Mówiąc to, zaczął schodzić. – Masz jakiś pomysł, Robyn? Kogo byś wezwała do zwałonego drzewa?

Cassandra pojawiła się u podnóża schodów, gdy Robyn stwierdziła:

– Chłopak Bobby’ego Blake’a powinien sobie z tym poradzić.

– Miejscowy chłopak. – Henry pokiwał głową. – Prowadzi firmę zajmującą się projektowaniem ogrodów. To on zajmuje się hotelowym ogrodem i wierz mi, jest najlepszy.

– Zadzwońię do niego, co wy na to? – zaproponowała Robyn. – Zobaczymy, czy znajdzie czas w tym tygodniu. Wyjdę tylko na dwór i sprawdzę, czy mam zasięg.

Henry pokręcił głową.

– Zaledwie sto lat temu Marconi odebrał pierwszy sygnał, a zobaczcie dokąd zaprowadziła nas technologia. Wiesz, że sygnał został wysłany z wybrzeża niedaleko stąd? Dokładnie z zatoki Poldhu.

– Naprawdę? – Rozmiar zniszczeń i stan, w jakim znajdował się budynek, sprawiły, że Cassandra poczuła się przygnębiona. Choć była wdzięczna Henry’emu za to, że przystał na sobotnie spotkanie, nie była w stanie znieść wykładu na temat historii telekomunikacji.

Zamiast tego odgarnęła pajęczyny, oparła się o ścianę i posłała mu słaby uśmiech.

Henry najwyraźniej wyczuł jej nastrój.

– Strasznie mi przykro, że chatka jest w tak opłakanym stanie. Jako notariusz, który miał klucz, czuję się odpowiedzialny za to, co się tu stało.

– Jestem pewna, że nie mógłbyś nic zrobić. Zwłaszcza jeśli Nell poprosiła o to twojego ojca. – Uśmiechnęła się. – Poza tym byłoby to wtargnięcie, a wiszący nad bramą szyld wyraźnie informuje o zakazie wstępu.

– To prawda, twoja babka stanowczo zabroniła nam dokonywać jakichkolwiek zmian. Mówiła, że dom jest dla niej niezwykle ważny i że sama chce nadzorować wszystkie remonty.

– Myślę, że chciała się tu przeprowadzić. Na dobre.

– Tak – odparł Henry. – Szykując się na nasze spotkanie, przejrzałem stare dokumenty. We wszystkich listach pisała, że zamierza tu wrócić. Aż do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. Napisała wówczas, że okoliczności się zmieniły i niestety nie będzie mogła przyjechać, przynajmniej przez jakiś czas. Prosiła jednak ojca, by zatrzymał klucz, tak by w odpowiednim czasie wiedziała, gdzie go szukać. – Mówiąc to, rozejrzał się po pokoju. – Ale ten czas nigdy nie nadszedł.

– Tak – odparła Cassandra.

– Ale pojawiłaś się ty – stwierdził entuzjastycznie Henry.

– Tak.

Na dźwięk hałasu dobiegającego od strony drzwi oboje podnieśli wzrok.

– Dodzwoniłam się do Michaela – oznajmiła Robyn, chowając telefon. – Powiedział, że zajrzy tu w środę i zobaczy, co da się zrobić. – Po tych słowach zwróciła się do Henry’ego: – Chodź, skarbie. Marcia zaprosiła nas na lunch. Wiesz przecież, jak się denerwuje, kiedy się spóźnimy.

Henry uniósł brwi.

– Nasza córka ma wiele zalet, ale cierpliwość nie jest jedną z nich.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Dziękuję za wszystko.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy samej ruszać tę kłodę – ostrzegł Henry. – Niezależnie od tego, jak bardzo chcesz dostać się na piętro.

– Obiecuję.

Kiedy szli ścieżką w kierunku bramy, Robyn odwróciła się i spojrzała na Cassandrę.

– Wyglądasz jak ona, wiesz?

Cassandra zamrugała.

– Twoja babka. Masz jej oczy.

– Znałaś ją?

– Ależ tak, jeszcze zanim kupiła ten dom. Pewnego popołudnia przyszła do muzeum, w którym pracowałam. Wypytywała o miejscową historię, a w szczególności o stare rody.

– Robyn, skarbie, chodź już! – zawołał stojący na krawędzi klifu Henry. – Marcia nie wybaczy nam przypalonej pieczeni.

– O rodzinę Mountrachetów?

W odpowiedzi Robyn pomachała ręką.

– Dokładnie. To oni mieszkali we dworze. Pytała też o Walke-rów. Malarza i jego żonę, a także o autorkę bajek dla dzieci.

– Robyn!

– Tak. Tak. Już idę! – Spojrzała na Cassandrę i przewróciła oczami. – Ma w sobie tyle cierpliwości, co petarda w ogniu. – Po tych słowach ruszyła do Henry’ego, przypominając Cassandrę, żeby do nich zadzwoniła.

25

Tregenna, 1975

Tregeńskie Muzeum Rybołówstwa i Przemysłnictwa znajdowało się w małym pobielonym budynku na obrzeżach portu i choć wystawiona w witrynie, odręcznie napisana kartka jasno informowała o godzinach otwarcia, Nell spędziła w miasteczku trzy dni, zanim w końcu zauważyła światło w oknach budynku.

Nacisnęła klamkę i pchnęła niskie, ozdobione koronką drzwi.

Za biurkiem siedziała elegancka kobieta z długimi do ramion, brązowymi włosami. Jest młodsza od Lesley, pomyślała Nell, ale z pewnością bardziej dojrzała. Widząc Nell, kobieta wstała zza biurka, a koronkowy obrusik i stos papierów przesunęły się w jej stronę. Kobieta wyglądała jak dziecko przyłapane na wyjadaniu zawartości puszek z ciastkami.

– Ja... ja nie spodziewałam się gości – jęknęła, spoglądając znad dużych okularów.

Najwyraźniej nie była też z tego powodu szczególnie zadowolona. Mimo to Nell wyciągnęła rękę.

– Nell Andrews. – Zerknęła na stojącą na biurku tabliczkę. – A pani nazywa się Robyn Martin.

– Poza sezonem nieczęsto miewamy tu gości. Zaraz znajdę klucz. – Przesunęła leżące na biurku papiery i założyła za ucho kosmyk włosów. – Ekspozycje są trochę przykurzone – zauważyła lekko oskarżycielskim tonem. – Ale zapraszam.

Nell spojrzała ponad jej ramieniem. Za zamkniętymi szklanymi drzwiami znajdowało się pomieszczenie pełne rozmaitych sieci, ha-

ków i wędek. Na ścianach zwieszono czarno-białe fotografie przedstawiające łodzie, załogi i lokalne zatoczki.

– Właściwie szukam konkretnych informacji – wyjaśniła Nell.
– Naczelnik poczty mówił, że może pani będzie mogła mi pomóc.

– To mój ojciec.

– Słucham?

– Mój ojciec jest naczelnikiem poczty.

– Tak... – Cóż, powiedział, że może pani mi pomoże. Widzi pani, informacje, których szukam, nie mają nic wspólnego z rybołówstwem ani przemytnictwem. Chodzi o miejscową historię, a ściślej mówiąc, historię pewnej rodziny.

Wyraz twarzy Robyn natychmiast się zmienił.

– Trzeba było od razu tak mówić. Pracuję w Muzeum Rybołówstwa, żeby przysłużyć się społeczeństwu, ale historia Tregenny to całe moje życie. Proszę. – Przerzuciła leżące na biurku kartki i wcisnęła jedną z nich do rąk Nell. – To tekst do turystycznej broszury, który właśnie składam. Do tego kończę pracę nad krótkim artykułem na temat miejscowych posiadłości. Interesuje się nim wydawca z Falmouth. – Zerknęła na elegancki zegarek ze srebrną bransoletką. – Chętnie bym z panią porozmawiała, ale niestety jestem umówiona...

– Proszę – zaczęła Nell. – Przyjechałam z daleka i nie zajmę pani dużo czasu. Proszę o dosłownie kilka minut.

Robyn zacisnęła usta.

– Zrobię coś znacznie lepszego – odparła, kiwając głową. – Zabiorę panią ze sobą.



Wraz z przyływem do miasteczka napłynęła gęstniejąca mgła, która – podobnie jak zapadający zmierzch – wyprała okolice z koloru. W miarę, jak szły w górę wąskimi uliczkami, wszystko stawało się szare i nijakie. To wzbudziło niepokój Robyn. Kobieta szła teraz tak szybko, że Nell – mimo iż sama zwykle się spieszyła – musiała nieźle się natrudzić, by dotrzymać jej kroku. Choć Nell zastanawiała się, skąd ten pośpiech, tempo marszu było tak zawrotne, że nie miała okazji zapytać.

Na końcu ulicy dotarły do małego białego domu z szyldem, na którym napisano: „Chata Pilchard”. Robyn zapukała do drzwi i czekała. W środku nie paliło się światło, więc podniosła dłoń do oczu i spojrzała na zegarek.

– Nie ma go jeszcze w domu. Zawsze powtarzamy mu, że w takie dni jak ten, kiedy mgła jest naprawdę gęsta, powinien wracać do domu wcześniej.

– Kto?

Robyn zerknęła na Nell, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o jej towarzystwie.

– Gump, mój dziadek. Codziennie chodzi do portu przyglądać się łodziom. Kiedyś sam był rybakiem. Przeszedł na emeryturę dwadzieścia lat temu, ale wciąż musi wiedzieć, kto wypłynął w morze i gdzie łowił. – Głos jej się załamał. – Mówimy mu, żeby nie wychodził, kiedy jest mgła, ale nie da sobie nic powiedzieć...

Przerwała i mrużąc oczy, wbiła wzrok w ciemną uliczkę.

Podążając za jej wzrokiem, Nell dostrzegła ciemniejący kawałek gęstej mgły. Po chwili w oddali zmaterializowała się czyjaś sylwetka.

– Gump! – krzyknęła Robyn.

– Nie krzycz tak, moja droga – Usłyszały w odpowiedzi. – Nie krzycz tak. – Gump pojawił się nagle w gęstniejącym mroku, pokonał trzy betonowe stopnie i przekręcił klucz w zamku. – No, już, nie stójcie tak na tym zimnie – rzucił przez ramię. – Wchodźcie, napijemy się czegoś ciepłego.

W wąskim przedpokoju Robyn pomogła staruszkowi zdjąć stary, zbiełały od soli płaszcz przeciwdeszczowy i czarne gumowce, które postawiła na niskiej drewnianej ławce.

– Zmokłeś, Gump – mruknęła, ściskając w dłoni rąbek kracianej koszuli. – Przyniosę ci coś suchego.

– E tam – odparł mężczyzna, klepiąc wnuczkę po rękę. – Usiądę przy kominku i zanim zaparzysz herbatę, już wyschnę. – Po tych słowach ruszył do pokoju.

Robyn zerknęła na Nell i delikatnie uniosła brwi. Widzisz przez co muszę przechodzić? – mówiło spojrzenie.

– Gump ma prawie dziewięćdziesiąt lat, ale nie chce się stąd wyprowadzić – wyjaśniła szeptem. – Codziennie ktoś z nas je z nim

kolację. Ja towarzyszę mu od poniedziałku do środy.

– Jak na dziewięćdziesiąt lat wygląda naprawdę świetnie.

– Wzrok mu się pogarsza i trochę niedosłyszysz, mimo to musi się upewnić, że jego „chłopcy” wrócili bezpiecznie do portu. W ogóle nie dba o zdrowie. Boże, dopomóż, jeśli coś mu się stanie na mojej zmianie. – Zerknęła przez szybę, krzywiąc się, gdy staruszek potknął się, idąc do fotela. – Nie sądzę... To znaczy, czy mogłabyś posiedzieć z nim przez chwilę? Ja tylko rozpalę w piecu i nastawię wodę. Poczuję się lepiej, wiedząc, że jest już suchy.

Skuszona obietnicą dowiedzenia się czegokolwiek na temat rodziny Nell nie mogła odmówić. Kiedy skinęła głową, Robyn uśmiechnęła się z wdzięcznością i zniknęła za drzwiami pokoju.

Gump usadowił się w jasnobrązowym skórzanym fotelu i przykrył nogi miękką narzutą. Patrząc na nią, Nell pomyślała o narzutach, które Lil zrobiła dla wszystkich swoich córek. Zastanawiała się, co pomyślałaby matka, gdyby знаła cel tej podróży. Czy zrozumiałaby, dlaczego Nell tak bardzo chciała poznać prawdę o pierwszych czterech latach swojego życia? Prawdopodobnie nie. Lil zawsze wierzyła, że obowiązkiem każdego człowieka jest cieszenie się tym, co ma. „Nie ma sensu zastanawiać się na tym, co mogłoby być, mawiała. Liczy się tylko to, co jest tu i teraz”. Takie podejście było niezwykle wygodne dla Lil, która znała prawdę o samej sobie.

Robyn dźwignęła się z podłogi, podczas gdy tańczące w palenisku płomienie chciwie przeskakiwały z papieru na papier.

– Przyniosę herbatę, Gump, i przygotuję kolację. Kiedy ja będę w kuchni, moja przyjaciółka... – Urwała, spoglądając badawczo na Nell. – Przepraszam...

– Nell, Nell Andrews.

– Nell posiedzi tu z tobą. Przyjechała do Tregenny i interesuje się historią miejscowych rodów. Może opowiesz jej trochę o dawnych czasach.

Staruszek rozłożył ręce, na których piętno odcisnęły lata wciągania lin i zarzucania kotwic.

– Pytaj, o co chcesz, a powiem ci wszystko, co wiem – zachęcił.

Kiedy Robyn zniknęła za niskimi drzwiami, Nell rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, na czym mogłaby usiąść. W końcu przy-

cupnęła na stojącym przy kominku zielonym fotelu i przez chwilę rozkoszowała się ciepłem.

Gump, który w milczeniu nabijał fajkę, podniósł wzrok i zachęcająco pokiwał głową. Najwyraźniej czekał na pytania.

Nell odchrząknęła i nie wiedząc, od czego zacząć, wbiła wzrok w podłogę. Po chwili zdecydowała, że nie ma sensu owijać w bawełnę.

– Interesuje mnie rodzina Mountrachetów.

Trzasnęła zapalka, a znad fajki uniósł się obłoczek dymu.

– Pytałam w miasteczku, ale zdaje się, że nikt nic nie wie.

– Ależ wiedzą. Po prostu o nich nie mówią.

Nell uniosła brwi.

– Dlaczego?

– Ludzie w Tregennie lubią dobre opowieści, ale wszyscy tu jesteśmy przesądni. Z chęcią porozmawiamy na każdy temat, ale wystarczy spytać o to, co wydarzyło się na klifie, a natychmiast wszyscy nabierają wody w usta.

– Zauważyłam – westchnęła Nell. – Czy to dlatego, że Mountrachetowie byli utytułowanymi arystokratami? Pochodzili z wyższych sfer?

Gump parsknął.

– Mieli pieniądze, ale kto tu mówi o wyższych sferach? – Pochylił się w stronę Nell. – Był to tytuł, za który zapłacono, przelewając krew niewinnych. Wszystko zaczęło się w roku tysiąc siedemset dwudziestym czwartym. Późnym popołudniem rozpętała się burza. Ludzie od lat nie pamiętali tak gwałtownej. Wiatr zerwał dach latarni morskiej, a płomienie lamp naftowych gasły niczym świece. Księżyc ukrywał się za chmurami, a noc była czarna jak smoła. – Błade usta Gumpa zacisnęły się na ustniku fajki. – Większość łodzi rybackich wróciła do portu wcześniej, ale w cieśninie wciąż pozostał jeszcze jeden słup, dwumasztowiec z nieznaną załogą.

Załoga nie miała szans. Mówią, że spienione fale sięgały do połowy klifów Sharpstone. Siła, z jaką dwumasztowiec uderzył w skały, była tak wielka, że łódź rozpadła się na kawałki, jeszcze zanim dopłynęła do zatoczki. Pisano o tym w gazetach, a rząd wszczął śledztwo, jednak nigdy nie odnaleziono niczego poza kilkoma kawałkami czerwonego drewna cedrowego, które prawdopodobnie pochodzi-

ły z kadłuba. Winą za katastrofę obarczono zwolenników wolnego handlu.

– Zwolenników wolnego handlu?

– Przemysłników – wyjaśniła Robyn, która pojawiła się w drzwiach z tacą.

– Ale to nie oni ukradli ładunek – zaznaczył Gump. – Bez obaw. Ukradła go rodzina Mountrachetów.

Nell wzięła z rąk Robyn gorącą filiżankę.

– Mountrachetowie byli przemysłnikami?

Słyszając to, Gump wybuchnął suchym świszczącym śmiechem i upił łyk herbaty.

– Nie mieli tyle godności. Przemysłnicy kradną z przewróconych statków nadmiernie opodatkowane towary, ale też ratują życie członkom załogi. To, co wydarzyło się tamtej nocy w zatoce Blackhurst, było robotą złodziei. Złodziei i morderców. Ci ludzie wymordowali całą załogę, ukradli ładunek, a rankiem następnego dnia, zanim ktokolwiek odkrył prawdę, zatopili ciała i szczątki łodzi. Tak oto zbili majątek: na skrzyniach pełnych pereł i kości słoniowej, chińskich wachlarzach i hiszpańskiej biżuterii.

– W kolejnych latach we dworze Blackhurst przeprowadzono liczne remonty – podjęła Robyn, przysiadając na spleśniałym aksamitnym podnóżku. – Właśnie piszę o tym w broszurze *Dwory Kornwalii*. To wtedy dobudowano trzecie piętro i ogrodowe altanki, a król nadał panu Mountrachet tytuł szlachecki.

– Zadziwiające, czego mogą dokonać odpowiednie prezenty.

Nell pokręciła głową i przez chwilę wierciła się w fotelu. Z pewnością nie był to najlepszy moment, by wspominać, że ci złodzieje i mordercy są w istocie jej przodkami.

– Pomyśleć tylko, że uszło im to na sucho.

Robyn zerknęła na Gumpa, który odchrząknął.

– No cóż – mruknął. – Nie powiedziałbym.

Zdezorientowana Nell patrzyła to na Robyn, to na staruszkę.

– Są gorsze kary niż te ustanowione przez prawo. Zapamiętaj moje słowa, są gorsze kary. – Gump wypuścił przez zaciśnięte usta obłoczek dymu. – Po tym, co wydarzyło się w zatoce, cała rodzina została przeklęta.

Rozczarowana Nell odchyliła się w fotelu. Klątwa rodowa. Akurat wtedy, gdy miała nadzieję zdobyć naprawdę rzetelne informacje.

– Opowiedz jej o statku, Gump – poprosiła Robyn, jakby wychowała przynębenie Nell. – O czarnym statku.

Staruszek podjął się tego zadania z wyraźną radością, podnosząc głos niczym prawdziwy mistrz narracji.

– Rodzina zatopiła wprawdzie statek, ale się od niego nie uwolniła. W każdym razie nie na długo. Łódź wciąż czasami pojawia się na horyzoncie. Zwykle przed lub po burzy. Ogromny czarny słup, statek widmo, który nawiedza zatokę. Prześladowuje potomków tych, którzy doprowadzili do tragedii.

– Widział go pan? Ten statek?

Starzec pokręcił głową.

– Raz zdawało mi się, że go widzę, ale, dzięki Bogu, myliłem się. – Pochylił się do przodu. – Złe wiatry sprawiają, że statek pojawia się na horyzoncie. Mówią, że ten, kto zobaczy statek widmo, odprawi pokutę za jego zgubę. Jeśli go widzisz, on widzi ciebie. Wiem tylko, że ci, którzy go widzieli, ściągają na siebie więcej nieszczęść, niż człowiek jest w stanie wytrzymać. Statek naprawdę nazywał się „Jacquard”, ale tu nazywamy go „Czarnym Karawanem”.

– Posiadłość Blackhurst i „Czarny Karawan”. To chyba nie przypadek? – odezwała się Nell.

– Bystra jest – rzucił Gump, uśmiechając się do Robyn. – Bystra. – Są nawet tacy, którzy twierdzą, że stąd wzięła się nazwa majątku*.

– Ale nie ty?

– Zawsze myślałem, że nazwa pochodzi od wielkiej czarnej skały w zatoce Blackhurst. Wiecie, że w jej wnętrzu jest przejście? Niegdyś można było nim przejść od zatoki do majątku i z powrotem do wsi. Błogosławieństwo dla przemytników, choć dość kapryśne. Było coś w nachyleniu i kształcie tunelu: jeśli poziom wody w czasie przypływu był wyższy, niż się tego spodziewano, ludzie mieli marne szanse na przeżycie. Przez lata wnętrze skały stało się karawanem dla wielu dzielnych duszyczek. Jeśli kiedykolwiek spojrzycie na pla-

* Czarny Karawan to po angielsku *black hearse*, co wymawia się podobnie jak „Blackhurst”.

żę w okolicach majątku, zobaczycie to. Ogromną poszarpaną skalną paszczę.

Nell pokręciła głową.

– Nie widziałam jeszcze zatoki. Próbowалам wczoraj zobaczyć dom, ale bramy były zamknięte. Zamierzam wrócić tam jutro i wrzucić do skrzynki pocztowej list polecający. Mam nadzieję, że właściciele pozwolą mi rozejrzeć się po okolicy. Znacie ich może?

– Nie pochodzą stąd – wyjaśniła Robyn. – Przeprowadzili się niedawno, ale chodzą słuchy, że chcą przekształcić majątek w hotel. – Mówiąc to, nachyliła się w stronę Nell. – Mówią, że kobieta jest pisarką. Píše romanse i takie tam. Podobno jest bardzo wytworna, a jej książki niezwykle pikantne. – Kątem oka zerknęła na dziadka, a jej policzki oblały się rumieńcem. – Nie, żebym je czytała.

– W biurze agenta nieruchomości widziałam ogłoszenie dotyczące części majątku – wtrąciła Nell. – Jeśli dobrze pamiętam, wystawiono na sprzedaż chatkę na klifie.

Gump roześmiał się sucho.

– Nic dziwnego. W okolicy nie ma głupca, który by ją kupił. Żeby oczyścić to miejsce ze wszystkich nieszczęść, które je dotknęły, nie wystarczy wiaderko farby.

– Jakich nieszczęść?

Gump, który jeszcze chwilę temu ochoczo snuł opowieści, zamilkł, jakby próbował rozgryźć ostatnie pytanie. W jego oczach pojawił się niepokój.

– To miejsce już dawno temu powinno zostać spalone. Działy się tam dziwne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Lepiej nie pytaj – odparł staruszek drżącymi ustami. – Uwierz mi na słowo. Istnieją miejsca, których nie można odmienić, kładąc na nie świeżą warstwę farby.

– Nie miałam zamiaru jej kupować – zapewniła Nell zaskoczona reakcją staruszka. – Pomyślałam tylko, że może w ten sposób uda mi się rozejrzeć po posiadłości.

– Nie musisz odwiedzać majątku Blackhurst, żeby rzucić okiem na zatokę. Równie dobrze możesz obejrzeć ją ze szczytu klifu. – Mówiąc to, machnęła fajką w kierunku wybrzeża. – Idź ścieżką

nad urwiskiem i spójrz w stronę klifów Sharpstone. W dole zobaczysz zatokę. Gdyby nie ta potworna skała, byłaby to najpiękniejsza zatoczka w całej Kornwalii. Dziś nie ma już śladów krwi przelanej na plaży dawno, dawno temu.

Dom wypełnił zapach wołowiny i rozmarynu i Robyn przyniosła z kuchni miski i łyżki.

– Zostaniesz na kolacji, prawda, Nell?

– Oczywiście, że zostanie – odparł Gump, odchylając się w fotelu. – Ani myślę wypuszczać jej z domu w taką noc. Same zobaczcie, ciemno, choć oko wykol, a mgła robi się coraz gęstsza.



Potrawka była przepyszna i Nell nie potrzebowała zachęty, by wziąć dokładkę. Po kolacji Robyn zniknęła w kuchni pod pretekstem zmycia naczyń, a Nell i Gump znów zostali sami. W pokoju zrobiło się ciepło, a na policzkach staruszka pojawił się zdrowy rumieniec. Gump poczuł na sobie spojrzenie Nell i wesoło pokiwał głową.

W Williamie Martinie było coś, co sprawiało, że siedząc w jego domu, Nell czuła się bezpieczna. Właśnie na tym polega moc gawędziarzy, stwierdziła Nell. Umiejętność wyczarowania barw tak pięknych, że wszystko dookoła zdaje się błędnać. A William Martin był urodzonym gawędziarzem, co do tego nie miała wątpliwości. Pytanie tylko, do jakiego stopnia należało wierzyć jego opowieściom. Gump jak nikt inny potrafił ubarwiać i dodawać smaczku historiom, choć był również jedyną osobą, która żyła w czasach interesujących Nell.

– Zastanawiam się – zaczęła Nell, czując na rozgrzanej skórze przyjemne mrowienie – czy kiedy byłeś młodszy, znałeś Elizę Makepeace? Była pisarką, dziewczynką, którą opiekowali się Linus i Adeline Mountrachetowie.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza. Kiedy William przemówił, jego głos był cichy i stłumiony.

– Wszyscy znali Elizę Makepeace.

Nell wstrzymała oddech.

– Wiesz, co się z nią stało? – spytała pośpiesznie. – To znaczy,

co się z nią w końcu stało?

Gump pokręcił głową.

– Tego nie wiem.

W zachowaniu staruszka dało się wyczuć pewną powściągliwość, dystans, którego do tej pory nie było. Widząc to, Nell poczuła rosnącą w sercu nadzieję. Wiedziała, że musi być delikatna i że powinna zachować ostrożność. Nie chciała spłoszyć swego rozmówcy i sprawić, by zamknął się w sobie. Nie teraz.

– A wcześniej, kiedy mieszkała w Blackhurst? Pamiętasz ją?

– Przecież mówiłem, że tak, chociaż nie miałem okazji poznać jej bliżej. Tacy jak ja nie byli mile widziani w posiadłości.

Nell nie dawała za wygraną.

– Z tego, co udało mi się ustalić, ostatni raz widziano Elizę pod koniec tysiąc dziewięćset trzynastego roku w Londynie. Była w towarzystwie małej czteroletniej dziewczynki, Ivory Walker. Córkę Rose Mountrachet. Wiesz może, dlaczego Eliza miałaaby wyjechać do Australii z czymś dzieckiem?

– Nie.

– A wiesz może, dlaczego Mountrachetowie powiedzieli ludziom, że ich wnuczka nie żyje, podczas gdy dziecko cieszyło się doskonałym zdrowiem?

– Nie – odparł Gump łamiącym się głosem.

– A więc wiedziałeś, że wbrew temu, co pisano w raportach, Ivory Walker żyła?

Trzask ognia.

– Nie wiedziałem, ponieważ to nieprawda. To dziecko zmarło na szkarlatynę.

– Wiem, że tak właśnie mówiono. – Nell poczuła na twarzy uderzenie gorąca. W głowie jej dudniło. – Wiem również, że to nieprawda.

– Skąd niby miałabyś to wiedzieć?

– Ponieważ to ja byłam tym dzieckiem. – Głos Nell się załamał. – Przybyłam do Australii w wieku czterech lat. Zostałam wepchnięta na statek przez Elizę Makepeace, podczas gdy wszyscy myśleli, że nie żyje, a teraz nikt nie potrafi powiedzieć mi, dlaczego tak się stało.

Twarz Williama zmieniała się w nieprzenikloną maskę. Przez

krótką chwilę Nell miała wrażenie, że starzec odpowie na jej pytanie, jednak w ostatniej chwili się rozmyślił.

Zamiast tego dźwignął się z fotela i przeciągając się, wyciągnął ramiona.

– Jestem zmęczony – rzucił szorstko. – Pora, żebym się położył, Robyn! – zawołał. – Robyn! – powtórzył, tym razem głośniejszym głosem.

– O co chodzi, Gump? – Robyn wyszła z kuchni. W ręku trzymała ścierkę. – Co się stało?

– Idę do łóżka. – Mówiąc to, skierował się ku wąskim schodom.

– Nie masz ochoty na kolejną filiżankę herbaty? Tak miło nam się rozmawiało.

Wchodząc na schody, William położył dłoń na ramieniu wnuczki.

– Wychodząc, dołóż do kominka. Nie chcemy przecież, żeby mgła wtargnęła do domu.

Widząc zdumienie w oczach Robyn, Nell wzięła swój płaszcz.

– Chyba już pójdę.

– Przykro mi – odrzekła Robyn. – Nie wiem, co go napadło. Jest stary, szybko się męczy...

– Oczywiście. – Nell zapięła ostatni guzik. Wiedziała, że powinna przeprosić, w końcu to przez nią staruszek się zdenerwował. Jednak przede wszystkim czuła rozczarowanie, które dławiło ją w gardle jak kwaśny kawałek cytryny. – Dziękuję, że poświęciliście mi swój czas – wybąkała, wychodząc w wilgotną ciemną noc.

Kiedy dotarła do stóp wzgórza, odwróciła się i stwierdziła, że Robyn wciąż jeszcze stoi w drzwiach. Podniosła rękę i pomachała jej, na co Robyn odpowiedziała tym samym.

William Martin z pewnością był stary i zmęczony, jednak o jego nagłym wyjściu zadecydowało coś innego. Powinna była to wiedzieć, wystarczająco długo skrywała swą bolesną tajemnicę, by rozpoznać, że ktoś inny cierpi podobne męki. William wiedział znacznie więcej niż to, czym się z nią podzielił, jednak Nell tak bardzo pragnęła poznać prawdę, że naruszyła jego prywatność.

Idąc mroczną uliczką, zacisnęła usta, pochyliła głowę, kuląc się przed chłodem, i postanowiła, że zmusi Williama Martina, by powiedział jej prawdę.

26

Dwór Blackhurst, 1900

Eliza miała rację: imię Rose pasowało do baśniowej księżniczki, a Rose Mountrachet z pewnością miała należne księżniczce urodę i przywileje. Niestety, pierwsze jedenaście lat życia Rose Mountrachet w niczym nie przypominały baśni.

– Otwórz szeroko. – Doktor Matthews wyjął ze skórzanej torby cieką szpatułkę i przytrzymał nią język Rose. Pochylił się, by zajrzeć do gardła dziewczynki. Jego twarz była tak blisko, że Rose miała wątpliwą przyjemność spojrzeć na wystające z nosa mężczyzny ruchliwe włoski. – Hmm – mruknął lekarz, na co włoski zareagowały gwałtownym drżeniem.

Rose zakasłała, gdy szpatułka podrażniła jej gardło.

– No i, doktorze? – Z cienia wynurzyła się postać matki i jej smukłe palce, jakże blade na granatowym niebie sukni.

Doktor Matthews wyprostował się.

– Dobrze pani zrobiła, wzywając mnie, pani Mountrachet. Faktycznie pojawiło się zapalenie.

Mama westchnęła.

– Tego się obawiałam. Ma pan lekarstwa, doktorze?

Podczas gdy doktor Matthews przedstawiał przebieg leczenia, Rose odwróciła głowę, zamknęła oczy i ziewnęła. Odkąd sięgała pamięcią, wiedziała, że niedługo pożyje na tym świecie.

Czasami, w gorszych chwilach, wyobrażała sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie знаła swego przeznaczenia, gdyby przyszłość

rozpościerała się przed nią jak droga bez końca, pełna zwrotów i zakrętów, których nie była w stanie przewidzieć. Gdyby mijała kolejne słupki milowe, takie jak debiut towarzyski, mąż i dzieci. Ach, jakże pragnęła takiego życia.

Jednak nieczęsto pozwalała sobie na takie marzenia. Po co się nad sobą użalać? Zamiast tego czekała, wracała do zdrowia i pracowała nad albumem. Kiedy tylko mogła, czytała o miejscach, których nigdy nie zobaczy, rzeczach, których nigdy nie doświadczy i rozmowach, których nigdy nie odbędzie. Czekwała na kolejny nieunikniony epizod, który przybliży ją do Końca, z nadzieją, że kolejna przypadłość będzie choć odrobinę bardziej interesująca od poprzedniej. Oczekiwała czegoś, co przyniesie mniej bólu, a więcej nagród. Jak wtedy, gdy połknęła naparstek mamy.

Naturalnie nie chciała tego zrobić. Gdyby nie to, że był tak błyszczący i ładny w srebrnym pojemniczku w kształcie żołędzia, nigdy by go nie dotknęła. Ale czy którakolwiek ośmioletnia dziewczynka postąpiłaby inaczej? Rose próbowała utrzymać naparstek na czubku języka, zupełnie jak kłown z książeczki zatytułowanej *Cyrk Meggendorfera*, ten sam, który potrafił utrzymać czerwoną piłkę na głupim spiczastym nosie. Z pewnością nie było to wskazane, ale przecież Rose była dzieckiem, poza tym ćwiczyła tę sztukę przez kilka długich miesięcy i nic nigdy się nie stało.

Wypadek z naparstkiem zakończył się jednak szczęśliwie. Natychmiast wezwano lekarza, nowego młodego medyka, który niedawno przejął praktykę we wsi. Lekarz szturchał ją, dźgał i robił wszystko to, co powinni robić lekarze, aż w końcu zaproponował użycie zupełnie nowej metody diagnozowania. Twierdził, że zrobiwszy zdjęcie, będzie mógł zajrzeć do żołądka Rose, nie używając do tego skalpela. Wszystkim spodobał się ten pomysł: ojcu, ponieważ dzięki umiejętności obsługi aparatu został poproszony o zrobienie nowoczesnego zdjęcia, doktorowi Matthewsowi, ponieważ dzięki temu mógł opublikować zdjęcie w specjalnym czasopiśmie „Lancet”, i mamie, ponieważ publikacja wywołała spore zamieszanie w kręgach towarzyskich.

Jeśli chodzi o Rose – naparstek został wydalony (w najbardziej niestosowny sposób) jakieś czterdzieści osiem godzin później –

dziewczynka rozkoszowała się myślą, że choć na chwilę była w stanie zadowolić swego ojca. Nie, żeby ojciec powiedział coś na ten temat, takie zachowanie nie było do niego podobne, jednak Rose potrafiła uważnie obserwować i bez trudu rozpoznawała nastroje rodziców (nawet jeśli nie mogła określić, czym były powodowane). Widok szczęśliwego ojca sprawił, że jej nastrój znacznie się poprawił, a ona sama poczuła się lekka niczym suflet, za którymi tak przepadała.

– Jeśli pani pozwoli, pani Mountrachet, dokończę badanie.

Rose westchnęła, kiedy doktor Matthews podwinął jej koszulę nocną, by obejrzeć brzuch. Czując na skórze dotyk zimnych palców, zamknęła oczy i pomyślała o albumie. Mama zamówiła z Londynu periodyk pełen cudownych obrazków i wytwornych sukien ślubnych, a Rose użyła koronki i wstążek, by ozdobić album wycinkami. Jej panna młoda wyglądała cudownie: miała welon z najprzedniejszej, belgijskiej koronki, suknię ozdobioną perłami z ziaren i bukiet z suszonych kwiatów. Inaczej przedstawiała się sytuacja pana młodego: Rose nie wiedziała zbyt wiele na temat dżentelmenów. (I nie powinna. Niestosowne było, by tak młoda panna interesowała się takimi rzeczami). Rose uważała szczegóły dotyczące pana młodego za mało istotne. Najważniejsze, aby panna młoda była piękna i czysta.

– Wszystko wygląda w miarę dobrze – stwierdził doktor Matthews, opuszczając koszulę Rose. – Na szczęście nie jest to ogólna infekcja. Chciałbym jednak porozmawiać z panią później na temat dalszego leczenia.

Rose otworzyła oczy dokładnie w chwili, gdy lekarz obdarzył mamę kolejnym pochlebczym uśmiechem. Ach, jakże irytujące było jego zachowanie; to wieczne szukanie okazji, by wprosić się na herbatę, a przy tym poznać i leczyć kolejnych ludzi z wyższych sfer. Opublikowane zdjęcia naparstka od razu zyskały rozgłos i wsparcie wpływowych ludzi, co doktor Matthews skrupulatnie wykorzystał dla własnych celów. Teraz, gdy ostrożnie wkładał stetoskop do wielkiej czarnej torby, znudzenie Rose ustąpiło miejsca irytacji.

– Czy to znaczy, doktorze, że nie pójde jeszcze do nieba? – spytała, wbijając wzrok w czerwoną twarz mężczyzny. – Pracuję właśnie nad kolejną stroną mojego albumu i byłoby szkoda, gdybym jej nie dokończyła.

Doktor Matthews wybuchnął dziewczęcym śmiechem i spojrzał na mamę.

– No cóż, moje dziecko – wyjąkał – nie musisz się martwić. W odpowiednim czasie wszyscy zasiądziemy przy stole Pana...

Rose przez chwilę słuchała wykładu na temat życia i śmierci, po czym odwróciła głowę, by ukryć uśmiech.

Ludzie różnie reagują na perspektywę przedwczesnej śmierci. W niektórych wyzwała ona dojrzałość niewspółmierną do wieku i doświadczeń: cicha akceptacja przydaje ludziom piękna i kruchości. U innych sprawia, że ich serce pokrywa się kryształkami lodu. Lodu, który mimo upływającego czasu nigdy nie topnieje.

Dramat Rose polegał na tym, że choć dziewczynka pragnęła należeć do pierwszej grupy, podświadomie wiedziała, że jej serce skuwa lód. Nie chodziło o to, że była zła, po prostu stała się beznamietna. Posiadła umiejętność wychodzenia poza ciało i obojętnego obserwowania rzeczywistości.

– Doktorze Matthews – głos mamy przerwał tyradę na temat maleńkich, niebiańskich aniołków – proszę zejść na dół i zaczekać na mnie w salonie. Thomas przyniesie herbatę.

– Oczywiście, pani Mountrachet – odparł, wdzięczny, że uwolniono go od tej trudnej rozmowy. Wychodząc z pokoju, nawet nie spojrzał na Rose.

– Moja droga – zaczęła mama – to było prostackie.

Było to łagodne upomnienie, zważywszy na fakt, że jeszcze przed chwilą mama drżała o zdrowie Rose. Dziewczynka wiedziała więc, że i tym razem uniknie kary. Jak zawsze. Któż mógłby się gniewać na śmiertelnie chorą małą dziewczynkę? Rose westchnęła.

– Wiem, mamusiu, i przepraszam. Wszystko przez to, że kręci mi się w głowie, a słuchanie doktora Matthews'a sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.

– Słaby organizm to potworne brzemię. – Mama ujęła rączkę Rose w swoje dłonie. – Ale jesteś młodą damą, pochodzisz z rodu Mountrachetów. Słabe zdrowie nie usprawiedliwia tak aroganckiego zachowania.

– Tak, mamusiu.

– Muszę teraz wyjść i porozmawiać z lekarzem – wyjaśniła, do-

tykając policzka Rose chłodnymi palcami. – Zajrzę do ciebie, gdy Mary przyniesie tacę.

Po tych słowach ruszyła w kierunku drzwi, szeleszcząc suknią, gdy ciężki materiał dotknął drewnianej podłogi.

– Mamusiu?! – zawołała Rose.

Mama się odwróciła.

– Tak?

– Chciałam cię o coś zapytać. – Zawahała się, nie wiedząc, jak zacząć. – Widziałam w ogrodzie chłopca.

Matka uniosła brew.

– Chłopca?

– Dziś rano. Widziałam go z okna, kiedy Mary posadziła mnie w fotelu. Stał za krzakiem rododendronu i rozmawiał z Daviesem. Wyglądał na łobuza, miał potargane rude włosy.

Matka przycisnęła do piersi bladą, smukłą dłoń, po czym odepchnęła głęboko, co jeszcze bardziej zaintrygowało Rose.

– To nie chłopca widziałas, Rose.

– Jak to, mamusiu?

– To była twoja kuzynka Eliza.

Rose otworzyła oczy ze zdumienia. Tego się nie spodziewała. Przede wszystkim dlatego, że było to niemożliwe. Mama nie miała żadnych braci ani siostr, a po śmierci babci tylko mama, tata i Rose nosili nazwisko Mountrachet.

– Nie mam przecież kuzynów...

Mama się wyprostowała, a gdy przemówiła, jej głos brzmiał nie-naturalnie.

– Niestety, masz. Ma na imię Eliza i przyjechała, by zamieszkać w Blackhurst.

– Na jak długo?

– Obawiam się, że na zawsze.

– Ale, mamusiu... – Rose poczuła, że coraz bardziej kręci jej się w głowie. Jak to możliwe, żeby taki uliczny oberwaniec był jej kuzynką? – Ale jej włosy... zachowanie... jej ubranie było mokre. Przecież ona jest brudna i opalona... – Rose zadrżała. – Miała we włosach liście.

Mama przyłożyła palec do ust. Po chwili odwróciła się do okna,

a opadający na kark ciemny lok zakołysał się.

– Nie miała dokąd pójść. Ojciec i ja zgodziliśmy się ją przygarnać. To chrześcijański akt miłosierdzia, którego tacy jak ona nigdy nie docenią i na który z pewnością nie zasługują.

– Ale, mamusiu, co ona będzie tu robiła?

– Będzie naszym utrapieniem, nie mam co do tego wątpliwości. Mimo to nie możemy jej tak po prostu porzucić. Brak jakichkolwiek działań przedstawiłby naszą rodzinę w fatalnym świetle. Musimy więc przekuć przykry obowiązek w cnotę. – Jej słowa brzmiały jak uczucia przesiane przez sito. Ona sama najwyraźniej wyczuła ich jałowość i przezornie zamilkła.

– Mamusiu? – zaczęła ostrożnie Rose.

– Pytałaś, co będzie tu robiła. – Kobieta spojrzała na dziewczynkę, a w jej głosie wyczuwało się zdenerwowanie. – Oddaję ją tobie.

– Jak to, oddajesz ją mnie?

– To taki projekt. Będzie twoją protegowaną. Gdy twój stan się poprawi, będziesz uczyła ją dobrych manier. Ta dziewczyna przypomina dzikuskę, nie ma ani wdzięku, ani uroku. To sierota nieprzystosowana do życia w kulturalnym towarzystwie. – Mama odetchnęła. – Oczywiście nie mam złudzeń i nie oczekuję, że zdziałasz cuda.

– Tak, mamusiu.

– Wyobraź sobie tylko, moje dziecko, na jak fatalne wpływy narażona była ta sierota. Mieszkała przecież w Londynie, mieście dekadencji i grzechu.

Rose wiedziała już, kim jest dziewczynka. Eliza musi być dzieckiem siostry ojca, tajemniczkiej Georgiany, której portret mama wyniosła na poddasze i której imienia nikt nie śmiał wymawiać.

Nikt z wyjątkiem babci.

W ostatnich miesiącach życia staruszka wróciła do Blackhurst jak ranny niedźwiedź i zaszyła się w wieżycze, by dokonać żywota. W nielicznych chwilach, gdy odzyskiwała świadomość, bełkotała bez ładu i składu o dwójce dzieci: Linusie i Georgianie. Rose wydedukowała, że skoro Linus jest jej ojcem, Georgiana musi być jego siostrą. Tą samą, która zniknęła, zanim Rose przysła na świat.



Był letni poranek i Rose odpoczywała w fotelu przy oknie wieczystki, czując na karku łaskoczący dotyk ciepłej morskiej bryzy. Lubiła siedzieć przy babci, patrzeć na nią, gdy staruszka spała, słuchać jej oddechu ze świadomością, że każde kolejne tchnienie może być jej ostatnim, i patrzeć na jej błyszczące od potu czoło.

Nagle staruszka otworzyła oczy: były duże i wyblakłe, jakby gorzycz życia wyprała je z wszelkiego koloru. Przez chwilę patrzyła na Rose, jednak nie poznając wnuczki, odwróciła wzrok i jak urzeczona patrzyła na wydęte przez letni wiatr zasłony. Rose chciała wezwać matkę – od ostatniego przebudzenia minęły godziny – jednak gdy sięgnęła po dzwonek, staruszka westchnęła. Było to przeciągłe znużone westchnienie, tak głębokie, że skóra na twarzy staruszki dosłownie się zapadła.

Po chwili, nie wiadomo skąd, drżąca pomarszczona dłoń chwyciła Rose za nadgarstek.

– Jaka piękna dziewczynka – szepnęła staruszka głosem tak cichym, że aby usłyszeć kolejne słowa, Rose musiała się pochylić. – Szkoda, że uroda okazała się jej przekleństwem. Oglądali się za nią wszyscy młodzieńcy. Ale on nie mógł się powstrzymać, chodził za nią dosłownie wszędzie, myślał, że nie wiemy. Uciekła i nie wróciła, nie mam żadnych wieści od mojej Georgiany...

Rose Mountrachet była grzeczną dziewczynką, która znała zasady. Jak mogło być inaczej? Całe życie spędziła przykuta do łóżka, gdzie jak jeniec wysłuchiwała sporadycznych wykładów matki na temat zasad panujących w towarzystwie. Rose doskonale wiedziała, że dama nie powinna nosić rano pereł ani diamentów, obrażać ludzi z towarzystwa i nigdy, pod żadnym pozorem odwiedzać sama mężczyzny. Najważniejsze było jednak to, by za wszelką cenę unikać skandali, które mogłyby przyczynić się do zguby kobiety. A w najlepszym przypadku zaszkodzić jej dobremu imieniu.

Mimo to wspomnienie wiarołomnej ciotki i kusząca wzmianka o rodzinnym skandalu nie zaszkodziły Rose. Zamiast tego dziewczynka poczuła dreszcz podniecenia. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat poczuła przyjemne mrowienie w koniuszkach palców. Nachyliła się więc, by zachęcić staruszkę do mówienia i dać się ponieść rozmowie, która zmierzała ku ciemnym niezbadanym wodom.

– Kto, babciu? – zachęciła Rose. – Kto za nią chodził? Z kim uciekła?

Jednak babcia nie odpowiedziała. Cokolwiek siedziało w jej głowie, niełatwo było to wydobyć. Rose naciskała, bez skutku. W końcu dała za wygraną, czyniąc z imienia ciotki symbol mrocznych ciężkich czasów. Wszystkiego tego, co było w świecie niesprawiedliwe i nikczemne...

– Rose? – Mama delikatnie ściągnęła brwi. Jak zwykle chciała ukryć przed światem niezadowolenie, jednak Rose nie dała się oszukać. – Mówiłaś coś, moje dziecko? Szeptowałaś coś. – Wyciągnęła dłoń, by sprawdzić, czy dziewczynka nie ma gorączki.

– Nic mi nie jest, mamusiu. Po prostu się zamyśliłam.

– Wydajesz się rozpalona.

Rose przycisnęła dłoń do czoła. Czy naprawdę jest rozpalona? Nie potrafiła powiedzieć.

– Poślę po doktora Matthews, zanim wyjdzie – stwierdziła mama. – Lepiej być ostrożnym, niż później żałować.

Rose zamknęła oczy. Kolejna wizyta doktora Matthews, druga tego samego popołudnia. To było ponad jej siły.

– Dziś jesteś zbyt słaba, by zająć się naszym nowym przedsięwzięciem – stwierdziła mama. – Porozmawiam z lekarzem i jeśli uzna, że to możliwe, jutro spotkasz się z Elizą. Eliza! Wyobraź sobie córkę marynarza noszącą nazwisko Mountrachet!

Marynarz, to było coś nowego. Rose natychmiast otworzyła oczy.

– Mamo?

Kobieta oblała się rumieńcem. Powiedziała więcej, niż zamierała, co było rysą na jej nieskazitelnym pancerzu przyzwoitości.

– Ojciec twojej kuzynki był marynarzem. Nie rozmawiamy o nim w tym domu.

– Mój wuj był marynarzem?

Matka jęknęła i zakryła usta smukłą dłonią.

– On nie był twoim wujem, Rose. Był nikim, tak dla mnie, jak i dla ciebie. Dla mnie nie był nawet mężem twojej ciotki Georgiany.

– Mamo! – Najwyraźniej sprawa była znacznie bardziej gorsza, niż Rose mogła to sobie wyobrazić. – Co masz na myśli?

Kiedy matka przemówiła, jej głos był nienaturalnie niski.

– Może i Eliza jest twoją kuzynką, Rose, i może nie mamy innego wyboru, jak tylko przygarnąć ją pod nasz dach. Ale to dziewczyna niskiego stanu, pamiętaj o tym. Ma szczęście, że po śmierci matki trafiła do Blackhurst. Po tym wszystkim, co rodzina wycierpiała przez jej matkę. – Mówiąc to, pokręciła głową. – Jej odejście niemal zabiło twojego ojca. Aż strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby nie to, że trwałam przy nim przez cały ten czas. – Spojrzała na Rose, a w jej głosie pojawiło się delikatne drżenie. – Wstyd jest niczym, gdy rodzina na zawsze może utracić dobre imię. Dlatego to takie ważne, aby nasze życie było nieskazitelnie czyste. Twoja kuzynka Eliza będzie dla nas nie lada wyzwaniem, co do tego nie mam wątpliwości. Nigdy nie będzie jedną z nas, ale być może wyciągniemy ją z londyńskiego rynsztoka.

Rose z udawanym zainteresowaniem skubała rękaw koszuli.

– Czy dziewczynka z nizin społecznych nie może nauczyć się bycia damą?

– Nie, moje dziecko.

– Nawet jeśli zostanie przygarnięta przez arystokratyczną rodzinę? – Rose zerknęła na matkę spod firanek gęstych rzęs. – I poślubi dżentelmena?

Matka nie spieszyła się z odpowiedzią. Kiedy jednak przemówiła, starannie dobierała słowa.

– Naturalnie to możliwe, aby prosta dziewczyna, która wytrwale pracuje nad swoim wychowaniem, poprawiła swój społeczny status. – Odetchnęła gwałtownie, by odzyskać panowanie nad sobą. – Obawiam się jednak, że w przypadku twojej kuzynki jest to niemożliwe. Nie powinniśmy wiązać z nią wielkich nadziei, Rose.

– Oczywiście, mamusiu.

Kobieta była wyraźnie zdenerwowana. Nawet jeśli domyślała się, że córka zna prawdę, kwestia Elizy wprawiała ją w zakłopotanie. Był to kolejny rodzinny sekret, który Rose wydarła umierającej babce. Tajemnica, która tak wiele wyjaśniała: niechęć między kobietami, a przede wszystkim matczyną obsesję na punkcie dobrego wychowania. Jej przywiązanie do panujących w społeczeństwie zasad i zaangażowanie, z jakim starała się uchodzić za wzór cnót.

Adeline Mountrachet dołożyła wszelkich starań, by wymazać z pamięci przeszłość – większość z tych, którym nie była ona obca, zostali zmuszeni do milczenia, a ci, którzy nie dali się zastraszyć, za bardzo dbali o swą pozycję, by szepnąć choćby słowo o pochodzeniu pani Mountrachet – jednak babcia nie miała wobec niej żadnych skrupułów. Dokładnie pamiętała dziewczynkę z Yorkshire, którą w trudnych chwilach pobożni rodzice wysłali do majątku Blackhurst, gdzie została protegowaną cudownej Georgiany Mountrachet.

Matka zatrzymała się przy drzwiach.

– Jeszcze jedno, Rose. Najważniejsza rzecz.

– Tak, mamusi?

– Dziewczyna musi być trzymana z dala od ojca.

To nie powinno być trudne, bo Rose na palcach jednej ręki mogła policzyć, ile razy w ciągu ostatniego roku widziała ojca. Mimo to zaintrygowała ją ta dziwna prośba.

– Dlaczego?

Po krótkiej przerwie usłyszała słowa, które zamiast odpowiedzi niosły kolejne pytania.

– Twój ojciec jest zajęтым, ważnym człowiekiem. Nie trzeba mu przypominać o tej wstydlivej, rodowej skazie. – Zacerpnęła powietrza, a gdy przemówiła, jej głos zmienił się w szept.

– Uwierz mi, Rose, żaden z domowników nie skorzysta na tym, jeśli dziewczyna zbliży się do ojca.



Adeline przycisnęła delikatnie koniuszek palca i patrzyła na pęczniejącą kroplę krwi. W ciągu zaledwie kilku minut ukuła się już po raz trzeci. Haftowanie zawsze pozwalało uspokoić skołatałe nerwy, jednak tego dnia nawet ono nie było w stanie jej pomóc. Odłożyła robótkę na bok. Wszystko przez rozmowę z Rose. To ona – podobnie jak herbata z doktorem Matthews – wytrąciła ją z równowagi. Jednak przede wszystkim chodziło o pojawienie się córki Georgiany. To z pozoru zwykle dziecko przywiozło z sobą coś niepokojąco dziwnego. Coś niewidzialnego, jak zmiana ciśnienia przed nadchodzącą burzą. To coś zagrażało wszystkiemu, o co walczyła Adeline. Właściwie już rozpoczęło podstępą, krecią robotę, sprą-

wiając, że Adeline zaczęła wspominać dzień, w którym przybyła do Blackhurst. Były to wspomnienia, o których pragnęła zapomnieć, podobnie jak nie chciała, by pamiętali je inni...

Kiedy przybyła tu w roku 1886, dom wydawał się opuszczony. Cóż to był za dom, większy od jakiegokolwiek budynku, w którym kiedykolwiek postawiła stopę. Tamtego dnia przez ponad dziesięć minut czekała, aż ktoś powie jej, co ma robić i dokąd pójść. W końcu w holu pojawił się młody wyniosły mężczyzna w eleganckim garniturze. Widząc ją, zatrzymał się i wyraźnie zaskoczony spojrzał na zegarek kieszonkowy.

– Przybyłaś za wcześnie – zauważył tonem, który jasno mówił, co myśli o ludziach, którzy przybywają przed czasem. – Spodziewaliśmy się ciebie w porze herbaty.

Stała w milczeniu, niepewna, czego się od niej oczekuje.

– Jeśli tu zaczekasz – parsknął młodzieniec – znajdę kogoś, kto zaprowadzi cię do pokoju.

Adeline poczuła się jak piąte koło u wozu.

– Jeśli pan woli, mogę pospacerować po ogrodzie – powiedziała potulnie, czując, jak jej północny akcent odbija się echem od białych marmurowych ścian.

Mężczyzna uprzejmie skinął głową.

– Oczywiście.

Lokaj zabrał jej kufry, więc Adeline niemal zbiegła po okazałych schodach. Zatrzymała się dopiero u ich podnóża i rozejrzała, jakby chciała pozbyć się dziwnego uczucia, że już na samym początku zawiodła swoich dobroczyńców.

Podczas popołudniowych wizyt w domu Adeline wieloletni Lambert wielokrotnie wspominał o majątku i statusie rodziny Moutrachetów. Duchowny często powtarzał, że to zaszczyt dla całej diecezji, iż do tak ważnego zadania wybrano jedną z jego owieczek. Jego kornwalijski odpowiednik długo i cierpliwie szukał właściwej kandydatki, która sprostałaby surowym wymaganiom pani domu, i to od Adeline zależało, czy okaże się godna tego zaszczytu. Nie wspominając o sowitym wynagrodzeniu, które zostanie wypłacone jej rodzicom za poniesioną stratę. Sama Adeline była zdecydowana odnieść sukces. Przez całą drogę z Yorkshire udzielała sobie krót-

kich surowych porad w stylu: „Wygląd zewnętrzny i cechy charakteru przypominają...” albo: „Damą jest ta, która postępuje jak dama”. Jednak gdy dotarła na miejsce, straciła wiarę w swe przekonania.

Słyszając nad głową dziwny hałas, spojrzała w niebo, gdzie rodzina czarnych gawronów kreśliła w powietrzu dziwne wyszukane wzory. Jeden z nich zanurkował ku ziemi, by chwilę później poderwać się do lotu i poszybować w kierunku strzelistych drzew. Szukając dla siebie lepszego miejsca, Adeline ruszyła ich śladem, mrucząc pod nosem coś na temat nowego życia.

Była tak zajęta prawieniem sobie kazań, że niemal nie zwróciła uwagi na cudowne ogrody dworu Blackhurst. Zanim przeszła do wygłaszania opinii na temat statusu społecznego i arystokracji, wynurzyła się z chłodnego cienia lasów i stanęła nad brzegiem klifu, gdzie pod nogami szeleściły suche trawy. Za klifem, niczym rozwinęta biała granatowego aksamitu, rozpościerał się ocean.

Adeline złapała się gałęzi. Odkąd sięgała pamięcią, bała się wysokości i nawet teraz jej serce biło jak oszalałe.

Coś w wodzie sprawiło, że spojrzała w kierunku zatoczki. Młody mężczyzna i kobieta w małej łódeczce. On siedział, podczas gdy ona, stojąc, kołysała łódką. Adeline patrzyła jak urzeczona na przemoczony dół białej muslinowej sukni, który lubieżnie oblepiał nogi kobiety.

Czuła, że powinna odwrócić wzrok, jednak nie mogła. Kobieta miała rude włosy, których ciężkie długie loki zmieniały się na końcach w wilgotne kosmyki. Mężczyzna nosił słomkowy kanotier i zawieszzone na szyi czarne pudełko. Śmiał się, ochlapując dziewczynę wodą. Nieco później zbliżył się do niej i wyciągnął rękę, by złapać ją za nogi. Łódka zakołysała się gwałtownie i w chwili gdy Adeline myślała, że mężczyzna dopnie swego, dziewczyna z gracją wskoczyła do wody.

Nic w życiu Adeline nie przygotowało jej na takie zachowanie. Co opętało tę młodą damę, że zrobiła coś podobnego? Gdzie jest teraz? Adeline wyciągnęła szyję. Przez moment patrzyła na lśniąca wodę, aż dostrzegła wypływającą w okolicach czarnej skały odzianą na białą sylwetkę. Dziewczyna wyszła z morza – ociekający wodą cienki materiał kleił się do ciała – i nie oglądając się za siebie, wspię-

ła się na skałę. Adeline widziała jeszcze, jak idzie wąską ścieżką do chatki na klifie, zanim na dobre straciła ją z oczu.

Oddychając jak najpłycej, Adeline skupiła uwagę na młodym mężczyźnie, który wydawał się równie zaskoczony jak ona. On także patrzył za znikającą dziewczyną, aż w końcu powiosłował do brzegu. Wciągnął łódkę na kamienie, wziął buty i ruszył schodami do góry. Adeline zauważyła, że utyka i podpira się laską.

Młodzieniec przeszedł tuż obok, jednak jej nie zauważył. Gwizdał melodię, której nie potrafiła rozpoznać: radosne, różne dźwięki pełne słońca i soli. W melodii tej odnalazła wszystko to, od czego pragnęła uciec w ponurym Yorkshire. Ten młody człowiek był dwa razy wyższy od mężczyzn, których znała i dwa razy bardziej od nich wesoły.

Stojąc samotnie na szczycie klifu, Adeline poczuła nagle, jak ciężko i gorąco jej w ubraniu. Widoczna w dole woda wydawała się kusząco chłodna i w jej głowie pojawiła się karygodna myśl, zanim zdążyła nad nią zapanować. Jakie to uczucie zanurzyć się pod kryształicznie czystą powierzchnią i wyjść na brzeg, oczekając wodą, jak zrobiła to przed chwilą Georgiana Mountrachet?

Później, po wielu latach, gdy matka Linusa, stara wiedźma, leżała na łożu śmierci, wyznała, dlaczego spośród wszystkich kandydatek na protegowaną Georgiany wybrała właśnie Adeline.

– Szukałam głupiutkiej, szarej i najlepiej pobożnej myszki, z nadzieją, że przy niej moja córka stanie się bardziej potulna. Nawet przez chwilę nie przypuszczałam, że moje własne dziecko ucieknie z domu, a szara mysz podstępem zajmie jej miejsce. Chyba powinnam ci pogratulować. W końcu wygrałaś, prawda, pani Mountrachet?

Tak właśnie się stało. Od skromnego początku, pełnego ciężkiej pracy i determinacji, Adeline wspinała się na szczyt, o którym jej rodzice nie mieli pojęcia, gdy wysyłali córkę w obce strony, do maleńkiej kornwalijskiej wioski.

Pracowała ciężko nawet wtedy, gdy wyszła za mąż i została panią Mountrachet. Rządziła silną ręką, dbając o to, by błoto, którym złośliwi ludzie obrzucali jej rodzinę, odbijało się od klosza, pod którym chroniła swych bliskich. Nic nie mogło tego zmienić, nawet przyjazd córki Georgiany, na który Adeline nie miała wpływu.

Mogła jedynie dopilnować, by życie w Blackhurst toczyło się tak jak dotychczas.

Musi pozbyć się tego nieznosnego lęku, który podpowiada, że to Rose straci najwięcej na pojawieniu się tej dziewczyny...

Adeline odegnęła złe myśli, przez które kilkakrotnie ukłuła się w palec, i spróbowała odzyskać spokój. Zawsze była przewrażliwiona, jeśli chodzi o Rose. Była to cena, jaką niewątpliwie płaciła za posiadanie tak delikatnego dziecka. Siedzący obok niej Askrigg zaskomłał żałością. On również był przez cały dzień niespokojny. Adeline wyciągnęła rękę i pogłaskała gruzłowaty łeb.

– Ćśś – szepnęła. – Wszystko będzie dobrze. – Podrapała uniesione brwi psa. – Dopilnuję tego.

Nie ma się czego obawiać, bo i jakież zagrożenie może stanowić ta przybłęda? Ta patykowata dziewczyna z krótkimi włosami i ziemistą cerą, wychowana w slumsach Londynu? Wystarczy na nią spojrzeć, by – Bogu niech będą dzięki – człowiek wiedział, że to nie Georgiana. Może niepokój, który czuje nie jest wcale lękiem, a ulgą? Ulgą, którą poczuła, wiedząc, że oto stawiała czoło swym najgorszym obawom i je przezwyciężyła. Przyjazd Elizy oznaczał bowiem, że Georgiana odeszła. Tym razem na dobre. Zamiast niej we dworze pojawiło się porzucone dziecko, które nie ma pojęcia, jak naginać ludzi do swej woli.

Drzwi do pokoju stanęły otworem, wpuszczając podmuch wiatru, który stoczył krótką, gwałtowną bitwę z ogniem.

– Podano obiad, proszę pani.

Ach, jakże Adeline gardziła Thomasem, jakże gardziła nimi wszystkimi. Za ich służalcze „tak, proszę pani, nie, proszę pani, podano obiad, proszę pani”, choć dobrze wiedziała, co o niej myślą i co zawsze o niej myśleli.

– A pan? – spytała lodowatym tonem.

– Pan Mountrachet wraca właśnie z ciemni, proszę pani.

Przekłeta ciemnia. To oczywiste, że tam się ukrywa. Podczas herbatki z doktorem Matthewsem słyszała, jak powóz Linusa zajechał pod dom. Oczekiwała, że niebawem usłyszy w holu jego kroki – ciężkie, lekkie, ciężkie i znowu lekkie – ale nic z tego. Już wtedy powinna była wiedzieć, że poszedł prosto do swojej piekielnej ciemni.

Pod czujnym wzrokiem Thomasa Adeline przybrała obojętny wyraz twarzy. Prędzej oddałaby się w łapy Lucyfera, niż zdradziła się przed Thomasem ze swoimi małżeńskimi problemami.

– Idź – rzuciła, delikatnie wyginając nadgarstek – i dopilnuj, by na butach pana nie została nawet drobinka tego okropnego szkodliwego błota.



Gdy Adeline pojawiła się przy stole, Linus już przy nim siedział. Pochylony nad zupą nie podniósł nawet wzroku, kiedy weszła do jadalni. Jego uwagę pochłaniały czarno-białe odbitki rozłożone tuż przed nim, na samym końcu długiego stołu: mech, motyle i cegły, łupy z jego ostatniej wyprawy.

Widząc go, Adeline poczuła uderzającą jej do głowy falę gorąca. Co powiedzieliby ludzie, gdyby przypadkiem zobaczyli, do jakich zachowań dochodzi przy stole w Blackhurst? Zerknęła na stojących obok Thomasa i lokaja, którzy posłusznie utkwili wzrok w odległej ścianie. Jednak Adeline nie dała się zwieść, dobrze wiedziała, że za szklistym spojrzeniem pracują ich podstępne umysły, osądzając, notując i przygotowując kolejną porcję plotek, które już niebawem przekażą swym znajomym w innych posiadłościach.

Adeline usiadła sztywno na krześle, czekając, aż lokaj postawi przed nią talerz zupy. Włożyła do ust pierwszą łyżkę i oparzyła sobie język. Wściekła, spojrzała na Linusa, który pochylając głowę, patrzył na fotografię. Niewielka kępka włosów na czubku głowy przerzedziła się. Wyglądało to tak, jak gdyby na jego głowie uwił gniazdo wróbel.

– Dziewczynka przyjechała? – spytał, nie odrywając wzroku od fotografii.

Adeline ciarki przebiegły po plecach. Przekłeta dziewczucha.

– Tak.

– Widziałś ją?

– Oczywiście. Umieściłam ją w pokoju na górze.

Wreszcie podniósł głowę i upił łyk wina. I kolejny.

– Czy ona jest... czy jest taka, jak...?

– Nie. – Głos Adeline był lodowaty. – Nie, nie jest. – Złożone

na kolanach dłonie zacisnęły się w pięści.

Linus odetchnął, odłamał kawałek chleba i zaczął go żuć.

– Mansell mówi to samo – powiedział z pełnymi ustami, by rozłościć ją jeszcze bardziej.

Jeśli kogokolwiek należało winić za przybycie dziewczyny, osobą tą był Henry Mansell. Możliwe, że Linus oczekiwał powrotu Georgiany, ale to Mansell podsycał nadzieję. Detektyw, z sumiastym wąsem i binoklami, wziął pieniądze Linusa i przysyłał mu raporty. Każdej nocy Adeline modliła się o to, by Mansell zawiódł. Pragnęła, aby Georgiana trzymała się od nich z daleka, a Linus w końcu pogodził się z jej odejściem.

– Jak tam podróż? – spytała.

Nie odpowiedział. Znowu utkwiał wzrok w zdjęciach.

Tylko дума powstrzymała Adeline przed kolejnym ukradkowym spojrzeniem na Thomasa. Gdy spróbowała kolejną łyżkę zupy – teraz już chłodniejszej – jej twarz przywodziła na myśl maskę spokoju i zadowolenia. To, że Linus ją odrzuca to jedno – taki stan rzeczy trwał nieprzerwanie od chwili ślubu – jednak to, że wyparł się Rose, stanowiło zupełnie inny problem. Jest przecież jego dzieckiem, w jej żyłach płynie jego krew, krew jego szlachejnych przodków. Adeline nie potrafiła pojąć, jak ojciec może być tak bardzo obojętny wobec własnego dziecka.

– Znowu był u nas doktor Matthews – oznajmiła. – Kolejna infekcja.

Linus podniósł oczy, w których Adeline ujrzała zupełny brak zainteresowania. Włożył do ust kolejny kawałek chleba.

– Dzięki Bogu, to nic poważnego – ciągnęła, wykorzystując tę chwilę uwagi. – Nic, czym musielibyśmy się martwić.

Linus przełknął kęs chleba.

– Jutro wyjeżdżam do Francji – poinformował bezzamiennie. – W Notre Dame jest brama... – zamilkł. Tyle wystarczyło, by wypełnić zobowiązanie, iż będzie uprzedzał Adeline o swych wyjazdach.

Lewa brew Adeline drgnęła nerwowo, jednak kobieta natychmiast przywołała ją do porządku.

– Cudownie – odparła, siłąc się na nieszczerą uśmiech i starając się wymazać z pamięci obraz Linusa, łódki i obiektywu wymierzone-

go w młodą kobietę w bieli.

Oto jest, czarna skała z opowieści Williama Martina. Stojąc na szczycie klifu, Nell patrzyła, jak biała piana kłębi się wokół jej podstawy, wpływa do zatoczki i zostaje porwana przez fale. Nietrudno było wyobrazić sobie, że to tu właśnie szalały burze, rozbijały się statki, a o północy dokonywano napadów.

Widoczna po przeciwnej stronie linia drzew jak oddział żołnierzy broniła dostępu do Blackhurst, domu jej matki.

Nell wcisnęła ręce głębiej w kieszenie płaszcza. Tu, na górze, wiatr był tak silny, że musiała walczyć, by utrzymać się na nogach. Szyję miała zdrętwiałą, policzki gorące od rozcierania i zimne od wiatru. Odwróciła się, by zejść wąską wydeptaną ścieżką znad krawędzi klifu. Droga nie prowadziła aż tak daleko, a widoczna pośród wysokich traw ścieżka była bardzo wąska. Nell ostrożnie stawiała kroki: kolano miała opuchnięte i posiniaczone po niespodziewanej wizycie, którą złożyła poprzedniego dnia w posiadłości Blackhurst. Zamierzała zostawić list, w którym informowała właścicieli, że zajmuje się handlem antykami, przyjechała z Australii i jeśli to możliwe, chętnie rzuci okiem na ich dom. Kiedy jednak stanęła przed bramą, coś ją opętało, potrzeba tak silna, że zapierała dech w piersi. Kolejną rzeczą, jaką zapamiętała, był fakt, że wyzbyła się wszelkiej godności i nieudolnie wspinała się na bramę, szukając w metalowych zawijasach oparcia dla stóp.

Było to śmieszne zachowanie, jak na kobietę w jej wieku, ale tak właśnie postąpiła. Być tak blisko rodzinnego domu, miejsca, w któ-

rym przyszła na świat, i nie rzucić na nie okiem. Myśl ta była nie do zniesienia. Szkoda tylko, że sprawność fizyczna Nell nie szła w parze z jej uporem. Była równie zażenowana, co wdzięczna, gdy nowa właścicielka Julia Bennett przypadkiem przyłapała ją na próbie wtargnięcia. Na szczęście kobieta wysłuchała jej wyjaśnień i pozwoliła rozejrzeć się po posiadłości.

Ach, jakże dziwnie było oglądać ten dom. Dziwnie, ale nie w sposób, jakiego się spodziewała. Zniecierpliwienie dosłownie odebrało Nell mowę. Przeszła więc korytarzem, weszła na schody, zajrzała do pokoi, powtarzając sobie w duchu: tutaj siedziała twoja matka, tędy chodziła, to miejsce uwielbiała. Przechadzając się pustymi korytarzami, Nell czekała na objawienie. Oczekiwała, że ze ścian spłynie na nią osobliwe zrozumienie, dzięki któremu poczuje się jak w domu. Jednak nic takiego się nie stało. Były to płonne nadzieje, zupełnie do niej niepodobne. A mimo to chciała, by coś takiego się wydarzyło. Nawet najwięksi pragmatycy czasami marzą. Przynajmniej teraz jej wspomnienia wzbogaciły się o fakturę rzeczy, a nierealne rozmowy toczyły się w realnych pomieszczeniach.

Pośród wysokich, falujących traw Nell dostrzegła odpowiedniej długości kijek. Wspieranie się na nim było przyjemne i nadawało sens całej wyprawie. Nie mówiąc o tym, że odciążało opuchnięte kolano. Nell schyliła się, by podnieść kij i mijając kamienny mur, rozpoczęła ostrożną wędrówkę w dół zbocza. Na frontowej bramie, tuż nad ostrzeżeniem dla intruzów, wisiała jeszcze jedna tabliczka. Napis na niej głosił: „Na sprzedaż”. Pod spodem zapisano numer telefonu.

A więc to była chatka należąca do majątku Blackhurst. Wspomniała wczoraj o niej Julia Bennett. Ta sama, o której William Martin powiedział, że była świadkiem dramatycznych wydarzeń i powinna zostać spalona do gołej ziemi. Nell oparła się o bramę. Domek nie wyglądał złowieszczo ani groźnie. Ogród był zarośnięty, a zapadający zmierzch niczym leniwa rzeka wlewał się do każdego kąta, zwiastując mrok i chłód nocy. Prowadząca do chaty wąska ścieżka skręcała gwałtownie w lewo i wijąc się, znikwała w ogrodzie. Przy przeciwległej ścianie pośrodku klombu stał posąg upstrzony zielonymi porostami. Był to mały nagi chłopiec z oczami skierowa-

nymi na chatkę.

Nie, to nie klomb. Chłopiec stał pośrodku wyschniętej sadzawki.

Świadomość ta tak bardzo zaskoczyła Nell, że jak dziecko przylgnęła do zimnej zamkniętej bramy. Skąd to wie?

A wtedy na jej oczach w ogrodzie dokonana się metamorfoza. Rosnące tu od dziesięcioleci chwasty i splątane jeżyny zniknęły. Liście poderwały się z ziemi, odsłaniając ścieżki, rabatki i ogrodowe ławeczki. Światło odeгнаło mrok, a na powierzchni sadzawki zatańczyły oślepiające refleksy. Nell była w dwóch miejscach naraz: jako tuląca się do bramy sześćdziesięcioletnia kobieta z obolałym kolanem i mała dziewczynka z długim warkoczem, siedząca na kępcie miękkiej wilgotnej trawy i mocząca stopy w sadzawce...

Pod powierzchnią pojawiła się tłusta ryba z lśniącym złotym brzuchem. Dziewczynka roześmiała się, gdy ryba otworzyła mały pyszczek i skubnęła jej palec. Uwielbiała tę sadzawkę, chciała mieć taką samą w domu, ale mama bała się, że Nell wpadnie do wody i utonie. Mama często się bała, zwłaszcza gdy chodziło o Nell. Gdyby wiedziała, gdzie dziewczynka jest w tej chwili, byłaby bardzo zła. Ale mama nie wiedziała. Miała jeden ze swoich złych dni, leżała w mroku buduaru, przyciskając do czoła wilgotną flanelową szmatkę.

Słyszac hałas, dziewczynka podniosła głowę. Zobaczyła wychodzących z chatki Panią i ojca. Stali przez chwilę, podczas gdy tata mówił do kobiety słowa, których dziewczynka nie była w stanie usłyszeć. Gdy dotknął jej ramienia, kobieta ruszyła powoli wąską ścieżką. Patrzyła na dziewczynkę w dziwny, niepokojący sposób, jak stojący pośrodku sadzawki posążek małego chłopca, którego kamienne oczy nigdy nie mrugnęły. Po chwili uśmiechnęła się. Był to magiczny uśmiech, który sprawił, że dziewczynka wyciągnęła stopy z sadzawki i czekała na to, co powie towarzysza jej ojca...

Gdzieś w pobliżu przeleciał gawron i czas wrócił na swoje miejsce. Za bramą znów niepodzielnie panowały chwasty i zarośla, liście opadły, a ogród na powrót stał się mrocznym wilgotnym miejscem na łasce zapadającego zmierzchu. Statua chłopca, znowu zielona od porostów, stała nieruchomo pośrodku sadzawki.

Nell poczuła w knykciach dotkliwy ból. Zwolniła uścisk na bra-

mie i patrzyła na gawrona, który tłukąc wściekle skrzydłami, wzbił się ponad czubki drzew. Zza widocznych na zachodzie chmur wychynęły ostatnie promienie słońca, rozświetlając niebo złowieszczymi różowymi refleksami.

Oszołomiona Nell jeszcze raz zerknęła na ogród. Dziewczynka zniknęła. A może nigdy jej tu nie było?

Kiedy zawróciła i wspierając się na kiju, ruszyła w kierunku miasteczka, towarzyszyło jej dziwne poczucie rozdwojenia.

28

Posiadłość Blackhurst, 1900

Następnego ranka, podczas gdy blade zimowe światło zaglądało nieśmiało do pokoju dziecinnego, Rose delikatnie wygładziła końcówki długich ciemnych włosów. Pani Hopkins szczerkowała je tak długo, aż lśniły – dokładnie tak, jak chciała Rose – i miękkimi lokami kładły się na najlepszej koronkowej sukience, którą mama sprowadziła aż z Paryża. Rose, jak zwykle, czuła się zmęczona i poirytowana. Nikt nie oczekiwał od małych chorowitych dziewczynek, by zawsze były szczęśliwe i Rose nie zamierzała tego zmieniać. Prawdę powiedziawszy, wołała, gdy ludzie chodzili wokół niej na placach. Świadomość, że inni czują się podobnie, o dziwo, poprawiała jej nastrój. Poza tym Rose miała prawo czuć się fatalnie. Przez całą noc nie zmrużyła oka, przewracała się z boku na bok i wierciła jak księżniczka na ziarnku grochu, tyle że nie chodziło tu o groch, a o wieści, które przyniosła mama.

Gdy wyszła z pokoju, Rose zaczęła zastanawiać się nad tym, co tak naprawdę zszargało dobre imię jej rodziny i co wydarzyło się po tym, jak ciotka Georgiana uciekła z rodzinnego domu. Przez całą noc myślała o tej przeklętej kobiecie, a pełne nienawiści myśli nie odeszły wraz z nastaniem dnia. Podczas śniadania, później, gdy pani Hopkins pomagała jej się ubrać, a nawet teraz, gdy siedziała w pokoju dziecinnym, nie mogła myśleć o niczym innym. Patrzyła na ogień i blade cegły paleniska, zastanawiając się, czy mroczne pomarańczowe cienie przypominają wrota do piekieł, przez które z całą pewnością przeszła jej ciotka, gdy nagle... kroki w korytarzu!

Rose podskoczyła na krześle, wygładziła leżący na kolanach koc z owczej wełny i przybrała łagodny wyraz twarzy, który tak często widziała u matki. Przez chwilę rozkoszowała się dreszczem, który przebiegł jej po plecach. Ach, jakże ważne jest to zadanie! Ma swoją protegowaną. Krnąbrną sierotę, którą zamierza wychować tak, by była podobna do niej. Rose nigdy wcześniej nie miała przyjaciółki ani żadnego zwierzątka (mama obawiała się wścieklizny). Dlatego pomimo ostrzeżeń mamy wiązała z kuzynką wielkie nadzieje. Wiedziała, że zrobi z niej damę i odpowiednią towarzyszkę, kogoś, kto w czasie choroby otrze złane potem czoło, pogłaszcze jej dłoń, gdy będzie rozdrażniona i w chwili niepokoju wyszczotkuje włosy. Dziewczyna będzie jej wdzięczna i z taką radością zgłębi arkana bycia damą, że zrobi dokładnie to, czego zażąda od niej Rose. Będzie doskonałą przyjaciółką – taką, z którą nigdy się nie pokłóci, która nigdy nie będzie męcząca i która nie pozwoli sobie mieć własne zdanie.

Drzwi się otworzyły, ogień na kominku trzasnął i do pokoju weszła mama, szeleszcząc niebieskimi spódnicami. Było w jej zachowaniu coś niepokojącego, coś, co wzbudziło zainteresowanie Rose. Jej drżąca broda zdradzała, że obawy, które mama żywiła wobec projektu, są znacznie poważniejsze.

- Dzień dobry, Rose – rzuciła szorstko.
- Dzień dobry, mamusiu.
- Pozwól, że przedstawię ci twoją kuzynkę – zawahała się. – Elizę.

I wtedy, gdzieś zza maminych spódnic wychynęła chuda sylwetka, którą Rose widziała dzień wcześniej z okna swego pokoju.

Rose nie mogła się powstrzymać i odruchowo skuliła się w fotelu. Jej oczy zmierzyły dziewczynkę od stóp do głów, zatrzymując się na krótkich, potarganych włosach, koszmarnym ubraniu (bryczesach!), gruzłowatych kolanach i zdartych butach. Dziewczyna milczała, a bezczelny sposób, w jaki gapiała się na nią, wydał się Rose szczególnie nieprzyzwoity. Mama miała rację. Ta dziewczyna (bo chyba nikt nie sądził, że Rose pomyśli o niej jak o swej kuzynce!) nie posiadała nawet najbardziej podstawowej wiedzy na temat dobrego wychowania.

Rose odzyskała pewność siebie.

– Jak się masz? – Jej głos był słaby, jednak mama skinęła głową na znak, że doskonale sobie poradziła. Czekwała na odpowiedź, jednak ta nie nadeszła. Zdezorientowana Rose zerknęła na matkę, która dała znak, że niezależnie od sytuacji powinna kontynuować rozmowę. – Powiedz mi, kuzynko Elizo – zaczęła – jak podoba ci się pobyt w naszym domu?

Eliza zamrużyła, jak ludzie na widok rzadkich zwierząt w londyńskim zoo, i pokiwała głową.

Gdzieś w korytarzu rozległy się pospieszne kroki i Rose z ulgą przyjęła chwilę wytchnienia w rozmowie z tą dziwną milczącą kuzynką.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam – usłyszała dobiegający zza drzwi głos pani Hopkins – ale doktor Matthews czeka na panią w pokoju dziennym. Mówi, że przywiózł nową nalewkę, o którą pani prosiła.

– Proszę mu powiedzieć, żeby ją zostawił. Mam teraz na głowie inne sprawy.

– Naturalnie, proszę pani. Już mu to zaproponowałam, jednak upiera się, by dostarczyć ją pani osobiście.

Mama zatrzepotała rękami tak delikatnie, że tylko ci, którzy przez całe życie obserwowali jej nastroje, mogli zauważyć ten ruch.

– Dziękuję, pani Hopkins – rzuciła ponuro. – Proszę przekazać doktorowi, że niebawem się z nim spotkam.

Kiedy kroki pani Hopkins ucichły, mama spojrzała na Elizę i zwróciła się do niej apodyktycznym tonem.

– Usiądziesz cichutko na dywanie i będziesz słuchała Rose. Nie ruszaj się. Nie odzywaj się. I niczego nie dotykaj.

– Ale, mamusiu... – Rose nie spodziewała się, że tak szybko zostanie sam na sam z dziwaczną kuzynką.

– Może rozpocznieś lekcję, wyjaśniając kuzynce, co oznacza termin „odpowiednia sukienka”.

– Tak, mamusiu.

Chwilę później szeleszczące niebieskie suknie zniknęły, drzwi zamknęły się, a płomienie przygaśły. Rose spojrzała na stojącą przed nią dziewczynkę. Były zupełnie same i należało zacząć pracę.



– Odłóż to. Natychmiast to odłóż. – Rzeczy nie szły tak, jak Rose sobie to wyobrażała. Dziewczynka nie słuchała jej, nie wykonywała poleceń i nie była posłuszna nawet wtedy, gdy Rose straszyla ją gniewem mamy. Przez pięć nieskończenie długich minut Eliza chodziła po pokoju, brała do ręki różne przedmioty, przyglądała się im i odkładała na miejsce, zostawiając na nich lepkie odciski palców. W tym momencie potrząsała kalejdoskopem, który Rose dostała na urodziny od jednej ze stryjecznych ciotek.

– To cenne – zauważyła kwaśno Rose. – Nalegam, abyś to odłożyła. Nawet nie wiesz, jak się tym posługiwać.

Kiedy zorientowała się, że nie powinna była się odzywać, było już za późno. Teraz kuzynka szła w jej stronę z kalejdoskopem w ręku. Patrząc na nią z bliska, Rose dostrzegła brud pod paznokciami. Przeklęty brud, który według mamy jest przyczyną wszystkich chorób.

Rose była przerażona. Skuliła się w fotelu i zakręciło jej się w głowie.

– Nie – wydusiła. – Sio. Odejdź.

Eliza zatrzymała się tuż obok podłokietnika i Rose przyszło do głowy, że jeszcze chwila, a przysiądzie na miękkim aksamicie.

– Powiedziałam, odejdź! – Rose machnęła bladą chudą rączką. Czyżby dziewczyna nie rozumiała jej nienagannej angielszczyzny? – Nie możesz siadać obok mnie!

– Dlaczego nie?

A więc umie mówić.

– Byłaś na dworze. Nie jesteś czysta. Możesz mnie czymś zarazić. – Mówiąc to, Rose opadła na poduszki. – Strasznie kręci mi się w głowie, i to wszystko twoja wina.

– To nie moja wina – odparła stanowczo Eliza. W jej głosie nie pobrzmiwała choćby najmniejsza nuta pokory. – Mnie też kręci się w głowie. To dlatego, że w pokoju jest gorąco jak w piecu.

Ona też ma zawroty głowy? Rose dosłownie zaniemówiła. Zawroty głowy są jej własną bronią, której używa według potrzeb. A co tymczasem robi jej kuzynka? Pędziła w kierunku okna. Przera-

żona Rose w milczeniu obserwowała rozwój wypadków. Chyba nie zamierza...

– Otworzę je – zaszczębiotała Eliza, odsuwając pierwszą zasuwkę. – Od razu pocujemy się lepiej.

– Nie. – Rose poczuła narastającą panikę. – Nie!

– Zobaczysz, pocujesz się lepiej.

– Ale jest zima. Na zewnątrz jest zimno i pochmurno. Mogę się przeziębnić.

Eliza wzruszyła ramionami.

– A może nie.

Rose była tak oburzona bezczelnością dziewczyny, że zupełnie zapomniała o strachu.

– Nakazuję ci przestać – rzekła tonem, który tak często słyszała u mamy.

Eliza zmarszczyła nos, jakby zastanawiała się nad tym, co właśnie usłyszała. Rose wstrzymała oddech, podczas gdy dziewczyna posłusznie opuściła ręce. Chwilę później znowu wzruszyła ramionami, jednak tym razem gest zdawał się mniej impertynencki. Kiedy wróciła na środek pokoju, wydawała się przygnębiona. Chwilę później zatrzymała się przy dywaniku i wskazała leżący na kolanach Rose przedmiot.

– Możesz pokazać mi, jak działa teleskop? Nic przez niego nie widziałam.

Rose odetchnęła z ulgą. Była zmęczona i coraz bardziej zafascynowana tym dziwnym stworzeniem. Jakże łatwo skupić jej uwagę na błyskotce! Poza tym kuzynka posłuchała jej i z pewnością zasługuje na odrobinę wsparcia...

– Po pierwsze – zaczęła sztywno Rose – to nie teleskop. To kalejdoskop. Nic przez niego nie zobaczysz. Po prostu zaglądasz do środka i widzisz zmieniające się wzory. – Przyłożyła kalejdoskop do oka, by po chwili poturlać go w stronę kuzynki.

Eliza podniosła przedmiot, przyłożyła go do oka i obróciła. Gdy w pokoju rozległo się grzechotanie kolorowych szklanych odłamków, na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech, a wkrótce w całym pokoju rozbrzmiewał głośny śmiech.

Rose zamrugała zaskoczona. Nigdy wcześniej nie słyszała tak

szczerego śmiechu. No, może od czasu do czasu, gdy służącym wydawało się, że nikt ich nie słyszy. Był to szczęśliwy dziewczęcy śmiech, kłócący się z wizerunkiem Elizy.

– Dlaczego nosisz te ubrania? – spytała Rose.

Eliza odpowiedziała, nie odrywając oka od kalejdoskopu:

– Ponieważ są moje i należą do mnie.

– Wyglądają, jakby należały do chłopca.

– Kiedyś tak było. Teraz są moje.

To dopiero niespodzianka. Z każdą upływającą minutą sytuacja stawała się coraz bardziej intrygująca.

– Kim był ten chłopiec?

Zamiast odpowiedzi usłyszała grzechot kalejdoskopu.

– Pytałam, kim był ten chłopiec? – powtórzyła Rose, tym razem trochę głośniej.

Powoli, z ociąganiem, Eliza opuściła rękę.

– To niegrzeczne ignorować innych ludzi.

– Nie ignoruję cię – odparła Eliza.

– Więc dlaczego nie odpowiadasz?

Wzruszenie ramion.

– To nieładnie wzruszać ramionami. Kiedy ktoś do ciebie mówi, musisz odpowiedzieć. A teraz powiedz, dlaczego zignorowałaś moje pytanie?

Eliza podniosła wzrok i spojrzała na kuzynkę. Coś w jej twarzy uległo naglej zmianie. W oczach dziewczynki pojawił się blask, którego Rose wcześniej nie widziała.

– Nie odzywałam się, bo nie chciałam, żeby wiedziała, gdzie jestem.

– O kim ty mówisz?

Eliza ostrożnie zbliżyła się do fotela.

– O Innej Kuzynce.

– Jakiej „innej kuzynce”? – Dziewczyna wygadywała bzdury i Rose przyszło do głowy, że jest szalona. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparła. – Nie ma żadnej „innej kuzynki”.

– Ona jest tajemnicą. Trzymają ją zamkniętą na górze.

– Wymyślasz to wszystko. Po co ktokolwiek miałby trzymać ją w zamknięciu?

– Ze mnie też zrobili tajemnicę, prawda?
– Ale nikt nie trzymał cię pod kluczem.
– To dlatego, że nie jestem niebezpieczna. – Eliza podeszła na palcach do drzwi, uchyliła je i wyrzła na zewnątrz. Chwilę później Rose usłyszała cichy jęk.

– O co chodzi? – spytała szeptem.
– Ćśś! – Eliza przyłożyła do ust palec. – Nie może się dowiedzieć, że tu jesteśmy.

– Dlaczego? – Rose patrzyła na nią zdziwiona.
Eliza wróciła na palcach do fotela. Roztańczone płomienie kładły się na jej twarzy upiornym blaskiem.

– Nasza Inna Kuzynka – szepnęła – jest szalona.
– Szalona?
– Właśnie. – Eliza zniżyła głos i Rose musiała się pochylić, by usłyszeć kolejne słowa. – Zamknięto ją na poddaszu, gdy była małą dziewczynką, ale ktoś ją wypuścił.

– Kto?
– Jeden z duchów. Duch starej kobiety, bardzo grubej, starej kobiety.

– Babcia – szepnęła Rose.
– Ćśś! – szepnęła Eliza. – Słyszysz? Kroki!
Rose miała wrażenie, że jej bledne słabe serduszko dosłownie wyskoczy z piersi.

Tymczasem Eliza usiadła na podłokietniku fotela.
– Idzie tu!
Drzwi otworzyły się, przerażona Rose wrzasnęła, Eliza uśmiechnęła się, a mama jęknęła.

– Co ty wyprawiasz, przekłeta dziewczyno? – syknęła, patrząc to na Elizę, to na Rose. – Młode damy nie siadają okrakiem na meblach. Mówiłam ci, żebyś się nie ruszała. – Oddychała głośno. – Nic ci nie jest, Rose?

Rose pokręciła głową.
– Nie, mamusi.
Przez bardzo krótką chwilę kobieta nie wiedziała, jak się zachować i Rose zdawało się, że zaraz wybuchnie płaczem. Tymczasem mama złapała Elizę za ramię i szarpiąc, pociągnęła ją w kierunku

drzwi.

– Przeklęte dziewczuszyko! Za karę nie zjesz dziś kolacji – rzuciła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Ani przez następne dni. Aż do czasu, gdy nauczysz się robić to, co ci każą. Ja jestem panią tego domu i będziesz posłuszna moim...

Drzwi się zamknęły i Rose znowu została sama, zastanawiając się nad nieoczekiwanym obrotem spraw. Przyprawiającej o dreszcze opowieści Elizy, przyjemnym lęku, który przez chwilę pełznął po plecach i strasznej, cudownej zjawie szalonej Innej Kuzynki. Jednak najbardziej ze wszystkiego nurtowała ją rysa, która pojawiła się w twardym niczym stal zachowaniu mamy. Zupełnie, jakby granice świata Rose zostały nagle przesunięte.

Nic nie było już takie jak jeszcze chwilę temu. Świadomość ta sprawiła, że serce Rose zabiło mocniej, z niespodziewaną, niewyjaśnioną i niezmaconą radością.

Hotel Blackhurst, 2005

Kolory były tu inne. Cassandra nie miała pojęcia, jak jaskrawe jest australijskie światło, dopóki nie ujrzała łagodnego kornwalijskiego blasku. Teraz, zdziwiona, zastanawiała się, jak oddałaby jego piękno, używając do tego akwareli. Ugryzła kawałek maślanego tosta i przeżuwała go w zamyśleniu, spoglądając na linię drzew widocznych na szczycie klifu. Chwilę później zamknęła jedno oko i palcem wskazującym musnęła odległe czoło.

Na stole pojawił się cień, a tuż za nim Cassandra usłyszała głos:

– Cassandra? Cassandra Ryan? – Przy stole stała kobieta po sześćdziesiątce, z poprzetykanymi siwizną blond włosami, zgrabna. Gruba warstwa cienia do powiek skupiała uwagę na jej oczach. – Nazywam się Julia Bennett. Jestem właścicielką hotelu Blackhurst.

Cassandra wytarła palce w serwetkę i uściśnęła dłoń kobiety.

– Miło mi panią poznać.

Julia wskazała głową stojące przy stoliku wolne krzesło.

– Mogę...?

– Oczywiście, proszę.

Kobieta usiadła i Cassandra przez chwilę zastanawiała się, czy jest to może zindywidualizowana obsługa, o której wspomniano w broszurze.

– Mam nadzieję, że ci się u nas podoba.

– To piękne miejsce.

Julia uśmiechnęła się, a w jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki.

– Wiesz, gdy na ciebie patrzę, widzę w tobie twoją babkę. Ale załóżę się, że masz już dość tych porównań.

Cassandra uśmiechnęła się i z trudem powstrzymała chęć zasypiania Julii gradem pytań. Skąd ta kobieta wie, kim jest? Skąd zna Nell? Skąd wie, że są spokrewnione?

Julia roześmiała się i konspiracyjnie pochyliła się do przodu.

– Mały ptaszek powiedział mi, że w mieście pojawiła się Australijka, która odziedziczyła chatkę. Tregenna to mała miejscina. Wystarczy, że kichniesz na kłifie Sharpstone, a wszyscy w porcie o tym wiedzą.

Cassandra wiedziała, kim był ów mały ptaszek.

– Robyn Jameson.

– Była tu wczoraj i próbowała zwerbować mnie na uroczystości – wyjaśniła Julia. – Jak zwykle opowiedziała mi o wszystkim, co dzieje się w miasteczku: kto przyjechał, kto wyjechał... Skojarzyłam fakty i wywnioskowałam, że musisz być spokrewniona z kobietą, która przybyła tu jakieś trzydzieści lat temu i ocaliła moją skórę, uwalniając mnie od tego domu. Zastanawiałam się, kiedy twoja babka wróci w te strony, i przez jakiś czas czekałam na jej przyjazd. Lubiałam ją. Była uczciwą kobietą, prawda?

Opis był tak dokładny, że Cassandra zastanawiała się, czym Nell zapracowała na taką reputację.

– Wiesz, kiedy pierwszy raz spotkałam twoją babkę, wisiała na krzaku wisterii obok głównej bramy.

– Naprawdę? – Cassandra wytrzeszczyła oczy.

– Wspięła się na mur, ale najwyraźniej nie mogła zejść na dół. Na szczęście właśnie pokłóciłam się z mężem Richardem i przechadzałam się po posiadłości, żeby się uspokoić. Aż strach pomyśleć, jak długo jeszcze mogłaby tak wisieć, gdyby nie ja.

– Próbowала obejrzeć dom?

Julia skinęła głową.

– Powiedziała, że handluje antykami i że interesują ją przedmioty z epoki wiktoriańskiej. Chciała rozejrzeć się po posiadłości.

Cassandra poczuła wzruszenie, wyobrażając sobie Nell wdrapującą się na mury, opowiadającą półprawdy i nieprzyjmującą do wiadomości odmowy.

– Powiedziałam jej, że jak najbardziej może wejść, pod warunkiem że przestanie huścić się na moich roślinach. – Julia się roześmiała. – Dom był wtedy w opłakanym stanie. Przez dziesiątki lat nikt się nim nie zajmował, a kiedy razem z Richardem rozpoczęliśmy remonty, okazało się, że wszystko wygląda gorzej niż na początku. Jednak Nell to nie przeszkadzało. Chodziła po pokojach, zatrzymując się w każdym z nich. Zupełnie, jakby chciała nauczyć się ich na pamięć.

Albo odnaleźć je we wspomnieniach. Cassandra zastanawiała się, jak dużo Nell powiedziała Julii.

– Czy pokazała jej pani chatkę?

– Nie, ale jestem pewna, że coś o niej wspomniałam. Później trzymałam już tylko kciuki. – Roześmiała się. – Tak bardzo pragnęliśmy znaleźć kupca! Byliśmy splukani, zupełnie, jakbyśmy wykopali pod domem ogromny dół i wrzucili do niego ostatnie grosze. Chatka już od jakiegoś czasu była wystawiona na sprzedaż. Dwa razy prawie sprzedaliśmy ją londyńczykom szukającym domku letniskowego, ale żadna z transakcji nie doszła do skutku. Przekłęte szczęście. Obniżyliśmy cenę, ale nikt z okolicznych mieszkańców nie był zainteresowany kupnem. Cudowne widoki i nikogo chętnego, a wszystko przez jakieś głupie stare plotki.

– Robyn mi mówiła.

– Z tego, co wiem, w Kornwalii panuje przekonanie, że jeśli twój dom nie jest nawiedzony, coś jest z nim nie tak – stwierdziła beztrudno Julia. – Nawet w hotelu mamy ducha. Ale to już wiesz. Słyszałam, że spotkałaś ją poprzedniej nocy.

Zaskoczenie malujące się na twarzy Cassandry musiało być doskonale widoczne, ponieważ Julia ciągnęła:

– Samantha z recepcji powiedziała, że słyszałaś w nocy klucz w zamku.

– Ach – odparła Cassandra – no tak. Myślałam, że to któryś z gości, ale to z pewnością wiatr. Nie chciałam robić...

– To ona, nasz hotelowy duch. – Widząc zmieszanie na twarzy Cassandry, Julia się roześmiała. – No już, nie denerwuj się, nie zrobi ci krzywdy. Widzisz, nasz duch nie jest złośliwy. Nie zdzierzyłabym kogoś takiego we własnym hotelu.

Cassandra miała wrażenie, że Julia stroi sobie z niej żarty. Od-
kąd przyjechała do Kornwalii, usłyszała więcej opowieści o duchach
niż wtedy, gdy w wieku dwunastu lat poszła na pierwsze piżamowe
przyjęcie.

– Myślę, że każdy stary budynek potrzebuje jakiegoś ducha –
powiedziała.

– Dokładnie. Ludzie oczekują takich rzeczy. Gdyby w hotelu
nie było ducha, musiałabym go wymyślić. Takie historyczne miej-
sce jak to... Hotelowy duch jest tak samo ważny dla gości jak czy-
ste ręczniki. – Znów pochyliła się ku Cassandrze. – Nasz ma nawet
imię: Rose Mountrachet. Ona i jej rodzina mieszkali tu na początku
dwudziestego wieku. Jej przodkowie żyli w tym domu od stuleci. To
jej obraz wisi przy biblioteczce w holu: młoda kobieta z niebywale
bladą skórą i ciemnymi włosami. Widziałas go?

Cassandra pokręciła głową.

– Ależ musiałaś go wiedzieć. Obraz namalował John Singer
Sargent kilka lat po tym, jak namalował siostry Wyndham.

– Naprawdę? – Cassandra poczuła chłód. – Ten John Singer
Sargent?

Julia znowu się roześmiała.

– Niewiarygodne, prawda? To kolejna tajemnica tego domu.
Jeszcze kilka lat temu do głowy by mi nie przyszło, że obraz ma taką
wartość. Mieliśmy wtedy gościa z Christie's. Facet przyjechał rzucić
okiem na inny obraz i zauważył ten portret. Nazywam go moją sum-
ką na czarną godzinę, ale nie sadzę, abym kiedykolwiek mogła się z
nim rozstać. Ach, jakże piękna była nasza Rose. Szkoda, że miała tak
tragiczne życie! Była delikatnym dzieckiem, które wygrało walkę z
chorobą po to tylko, by w wieku dwudziestu czterech lat zginąć w
tragicznym wypadku. – Westchnęła. – Skończyłaś śniadanie? Chodź
ze mną, pokażę ci obraz.



Jako osiemnastolatka Rose Mountrachet była prawdziwą pięk-
nością: biała skóra, miękki obłok ciemnych włosów upiętych w luź-
ny kok i pełna pierś, jakże modna w tamtym okresie. Sargent zasły-
nał umiejętnością dostrzegania i przelewania na płótno osobowości

swych modeli, tak więc spojrzenie Rose było przepełnione smutkiem. Czerwone usta zastygły w bezruchu, jednak oczy dziewczyny pozostały czujne i skupione na artyście. Powaga malująca się na twarzy Rose pasowała do dziewczyny, która przez całe dzieciństwo była więźniem własnego zdrowia.

Cassandra pochyliła się do przodu. Portret miał ciekawą kompozycję. Rose siedziała na sofie, trzymając na kolanach książkę. Sofa została odwrócona, tak więc dziewczyna siedziała na pierwszym planie, mając za plecami ścianę oklejoną zieloną tapetą. Sposób, w jaki namalowano tę ścianę, sprawiał, że wydawała się wyblakła, miękka jak puch i bliższa sztuce impresjonizmu niż realizmu, którą reprezentował Sargent. Naturalnie artysta posługiwał się rozmaitymi technikami, jednak ten portret wydawał się dziwnie lekki i mniej staranny od pozostałych prac.

– Piękna, prawda? – spytała Julia, która kołysząc biodrami, wyszła z recepcji.

Cassandra nieprzytomnie pokiwała głową. Na obrazie widniała data – 1907, niedługo przed tym, jak Sargent zerwał z portretowaniem. Być może znudziło mu się patrzeć na twarze bogaczy.

– Widzę, że ciebie również oczarował. Teraz już wiesz, dlaczego tak bardzo chciałam uczynić z niej naszego ducha. – Roześmiała się, jednak Cassandra nie zareagowała. – Wszystko w porządku? Mizerne wyglądasz. Przyniosę ci trochę wody.

Cassandra pokręciła głową.

– Nie, nie, nic mi nie jest. Sęk w tym, że ten obraz... – Zaciśnęła usta, by chwilę później usłyszeć własne słowa: – Rose Mountrachet była moją prababką.

Julia ściągnęła brwi.

– Dowiedziałam się o tym niedawno. – Wyraźnie zakłopotana Cassandra uśmiechnęła się do kobiety. Mimo iż to, co mówiła, było prawdą, czuła się jak aktorka wypowiadająca kiepską kwestię w operze mydlanej. – Przepraszam. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Wszystko to jest takie niespodziewane.

– Moja droga – odparła Julia – przykro mi to mówić, ale obawiam się, że jesteś w błędzie. Rose nie mogła być twoją prababką. Właściwie nie mogła być niczyją prababką. Jej jedyna córka zmarła,

będąc jeszcze dzieckiem.

- Na szkarlatynę.

- Biedne maleństwo, miała zaledwie cztery latka... – Julia spojrzała z ukosa na Cassandrę. – Jeśli wiesz o szkarlatynie, musisz wiedzieć, że córka Rose zmarła.

- Wiem, że tak twierdzą ludzie, ale wiem także, że to nieprawda.

- Widziałam nagrobek na przydomowym cmentarzu – odparła łagodnie Julia. – Wygrawerowano na nim piękny smutny wiersz. Jeśli chcesz, mogę cię tam zaprowadzić.

Cassandra czuła, że płoną jej policzki. Jak zawsze gdy między nią a jej rozmówcą istniała różnica zdań.

- Możliwe, że na cmentarzu jest nagrobek, ale nie ma w nim ciała małej dziewczynki. W każdym razie nie Ivory Walker.

Na twarzy Julii malowały się mieszane uczucia. Dominowały ciekawość i niepokój.

- Mów dalej.

- Kiedy moja babcia skończyła dwadzieścia jeden lat, dowiedziała się, że ludzie, których uważała za rodziców, tak naprawdę nimi nie byli.

- Została adoptowana?

- Poniekąd. Gdy miała cztery lata, znaleziono ją na nabrzeżu w Australii. Miała przy sobie tylko małą walizkę. Dostała ją z powrotem w wieku sześćdziesięciu pięciu lat i wtedy zaczęła odkrywać swoją przeszłość. Przyjechała do Anglii, rozmawiała z ludźmi, zbierała informacje i przez cały czas prowadziła dziennik.

Julia uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Który ty z pewnością masz przy sobie.

- Właśnie. To stąd wiem, że córka Rose wcale nie umarła. Została porwana.

Julia zmierzyła ją spojrzeniem błękitnych oczu. Policzki jej płonęły.

- Jeśli to prawda, w okolicy musiały trwać poszukiwania. Lokalne gazety rozpisywałyby się na ten temat. Zupełnie jak w przypadku chłopca Lindberghów.

- Nie, jeśli rodzina chciała utrzymać to w tajemnicy.

- Po co mieliby to robić? Z pewnością poinformowaliby o tym

każdego w okolicy.

Cassandra pokręciła głową.

– Nie, jeśli chcieli uniknąć skandalu. Kobieta, która uprowadziła dziewczynkę, była podopieczną pana i pani Mountrachet. Była kuzynką Rose.

Julia jęknęła.

– Eliza porwała córkę Rose?

Tym razem Cassandra wyglądała na zaskoczoną.

– Wiesz o Elizie?

– Ależ oczywiście, w tej okolicy to dość znana postać – odparła Julia. – Żebyśmy się dobrze zrozumiwały. Chcesz powiedzieć, że Eliza wywiozła córkę Rose do Australii?

– Wprowadziła ją na pokład statku, ale sama na niego nie wsiadła. Eliza zaginęła gdzieś między Londynem a Maryborough. Kiedy mój pradziadek znalazł Nell, była na brzegu zupełnie sama. To dlatego wziął ją do siebie. Nie mógł jej tak po prostu zostawić.

Julia cmoknęła.

– I pomyśleć, że taka kruszyna została zupełnie sama. Twoja babka nie miała łatwego życia. To straszne, gdy człowiek nie zna własnej przeszłości. Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo chciała obejrzeć ten dom.

– Dlatego Nell kupiła tę chatkę – wyjaśniła Cassandra. – Kiedy odkryła, kim naprawdę jest, zapagnęła mieć na własność kawałek swojej przeszłości.

– Ależ oczywiście. – Julia uniosła i opuściła ręce. – To ma sens, ale nie jestem przekonana co do reszty.

– Co masz na myśli?

– Cóż, nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą, jeśli córka Rose przeżyła, została uprowadzona i wywieziona do Australii, trudno mi uwierzyć, że to wszystko sprawka Elizy. Rose i Eliza były sobie bardzo bliskie. Nie zachowywały się jak kuzynki, a jak siostry, jak najlepsze przyjaciółki. – Przerwała, jakby chciała zastanowić się nad porównaniem. W końcu westchnęła. – Nie, po prostu nie wierzę, by Eliza mogła dopuścić się takiej zdrady.

Julia była tak głęboko przekonana o niewinności Elizy, że Cassandra zaczęła powątpiewać, czy kobieta jest tylko bezstronnym

obserwatorem.

– Skąd ta pewność?

Julia machnęła ręką w kierunku wykuszowego okna i stojących obok dwóch wiklinowych krzeseł.

– Chodź, usiądź na chwilę. Poproszę Samanthę, żeby zaparzyła nam herbaty.

Cassandra zerknęła na zegarek. Niebawem miała spotkać się z ogrodnikiem, jednak intrygowało ją przekonanie Julii i sposób, w jaki mówiła o Elizie i Rose. Usiadła więc na krześle, podczas gdy Julia poleciła Samancie, by przyniosła im herbatę.

Kiedy kobieta zniknęła za drzwiami, Julia zaczęła opowieść:

– Kiedy kupiliśmy Blackhurst, posiadłość była w naprawdę opłakanym stanie. Odkąd pamiętam, chcieliśmy prowadzić hotel, jednak rzeczywistość przypominała prawdziwy koszmar. Nie masz pojęcia, co może się wydarzyć w tak ogromnym domu. Potrzebowaliśmy trzech lat, by posunąć się do przodu. Pracowaliśmy bez przerwy, przez co niemal rozpadło się nasze małżeństwo. Nic tak nie rujnuje związku jak wilgoć na ścianach i niezliczone dziury w dachu.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Wyobrażam to sobie.

– To naprawdę smutne. Rodzina, która przez długi czas mieszkała w tym domu, kochała go i dbała o niego, jednak w dwudziestym wieku, a dokładnie po pierwszej wojnie światowej, posiadłość została praktycznie opuszczona. Pokoje były pozamykane na głucho, kominki zamurowane, nie mówiąc o uszkodzeniach, jakie w latach czterdziestych wyrządzili stacjonujący tu żołnierze.

Włożyliśmy w ten dom wszystkie nasze oszczędności. W tym okresie wciąż jeszcze pisałam. W latach sześćdziesiątych wydałam kilka powieści romantycznych. Nie byłam wprawdzie Jackie Collins, ale wyszłam na swoje. Mąż pracował w bankowości i byliśmy przekonani, że mamy wystarczająco dużo pieniędzy, by zainwestować w ten dom. – Roześmiała się. – Myliliśmy się. I to bardzo. Przed trzecią Gwiazdką zostaliśmy prawie bez grosza, a nasze małżeństwo wisiało na włosku. Już wtedy sprzedaliśmy większość mniejszych części majątku, a przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku byliśmy gotowi pod-

dać się i z podwiniętym ogonem wrócić do Londynu.

Samantha, która w tym momencie weszła do pokoju, postawiła tacę na stole i niepewnie sięgnęła po dzbanek do herbaty.

– Dziękuję, Sam. Potrafię nalać herbaty – rzuciła ze śmiechem Julia. – Nie jestem królową. Jeszcze nie. – Mrugnęła do Cassandry. – Cukier?

– Poproszę.

Julia podała Cassandrze filiżankę herbaty, sama upiła łyk i podjęła przerwana opowieść:

– Tamte święta były naprawdę mroźne. Na morzu zerwał się sztorm, który przez kilka dni szalał na przylądku. Nie było prądu, indyk psuł się w ciepłej lodówce i nie mogliśmy sobie przypomnieć, gdzie położyliśmy świece. Siedzieliśmy w jednym z pokoi na piętrze, gdy w świetle błyskawicy zobaczyliśmy ścianę. – Ściągnęła usta, jakby czekała na własną puentę. – W ścianie była dziura.

– Mysia dziura?

– Nie, ta była kwadratowa.

Cassandra uniosła brwi.

– Niewielki otwór w kamieniu – wyjaśniła Julia. – Marzyłam o czymś takim za każdym razem, gdy brat znajdował moje pamiętniki. Ukryto ją za gobelinem, który malarz zerwał na początku tygodnia. – Siorbiąc, upiła kolejny łyk herbaty. – Wiem, że brzmi to niedorzecznie, ale znalezienie tego schowka było jak znalezienie talizmanu. Zupełnie, jakby dom chciał nam powiedzieć: „W porządku, już zbyt długo się tutaj tłuczecie. Dowiedliście, że wasze intencje są szczerze, więc możecie zostać”. Mówię ci, od tamtego wieczoru wszystko stało się znacznie łatwiejsze. Nie mieliśmy już takiego pecha. Nagle pojawiła się twoja babka, chętna, by kupić chatkę, facet o nazwisku Blake zaczął przywracać ogród do życia, biura wycieczkowe przywoziły turystów na popołudniową herbatę.

Mówiąc to, uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

– Ale co takiego znaleźliście? – spytała Cassandra, zła na siebie, że przerywa tę sielankę. – Co było w dziurze?

Julia zamrugała, jakby nie do końca wiedziała, o co chodzi.

– Czy było to coś, co należało do Rose?

– Tak – odparła – Właśnie tak. Znaleźliśmy przewiazaną wstąż-

ką kolekcję albumów z wycinkami. Pochodziły z lat tysiąc dziewięćset–tysiąc dziewięćset trzystaście.

– Albumy z wycinkami?

– W tamtych czasach wiele panien prowadziło takie albumy. Było to jedno z bardzo niewielu zajęć całym sercem popieranych przez ówczesne władze. Taka forma autoekspresji. Młode dziewczęta mogły sobie pofolgować bez obaw, że zaprzedały dusze diabłu – wyjaśniła z ciepłym uśmiechem. – Albumy Rose nie różnią się od innych, które można spotkać w muzeach czy na strychach. Pełno w nich kawałków materiałów, szkiców, obrazków, zaproszeń i anegdot. Jednak, gdy je znalazłam, tak bardzo utożsamiałam się z ich autorką, jej nadziejami, marzeniami i rozczarowaniami, że wciąż mam do niej słabość. Jest dla mnie swoistym aniołem stróżem.

– Czy wciąż masz te albumy?

Pełne winy skinienie głowy.

– Wiem, że powinnam ofiarować je muzeum albo komuś, kogo interesuje miejscowa historia, ale jestem dość przesądna i nie potrafię się z nimi rozstać. Jakiś czas temu umieściłam je w szklanej gablocie i wystawiłam w salonie, jednak za każdym razem, gdy na nie spoglądałam, czułam wstyd. Jakbym wystawiła na pokaz swoją prywatność. Schowałam je więc do pudełka i przechowuję w moim pokoju.

– Chciałabym je zobaczyć.

– Ależ oczywiście, moja droga. Oczywiście – odparła z uśmiechem Julia. – Za pół godziny oczekuję grupy, a Robyn i jej świąteczne przygotowania wypełnią mi czas do końca tygodnia. Może umówimy się na kolację w piątkowy wieczór, u mnie? Rick wyjedzie do Londynu, więc urządzimy sobie prawdziwy babski wieczór. Posiedzimy nad albumami Rose, popłaczymy sobie. Co ty na to?

– Doskonale – odparła Cassandra, uśmiechając się niepewnie. Pierwszy raz ktoś zaprosił ją na wspólne płkanie.

Dwór Blackhurst, 1907

Ostrożnie, by nie wiercić się na sofie i nie ściągnąć na siebie gniewu portrecisty, Rose spuściła wzrok i spojrzała na ostatnią stronę albumu. Pracowała nad nią od tygodnia, w tych nielicznych chwilach, gdy pan Sargent pozwalał odpocząć jej od pozowania. Był tam skrawek różowawej satyny, z której uszyto jej urodzinową suknię, wstążka Rose, a u dołu napisany starannie fragment wiersza lorda Tennysona: *Zerwana nic jak cienki włos. Zwierciadło pęka w odłamków stos. Klątwa nade mną, woła w głos. Pani na Shalott**.

Ach, jakże Rose utożsamiała się z panią z Shalott! Przeklęta, miała spędzić wieczność w swej komnacie, zawsze o jeden krok za daleko od prawdziwego świata. Czyż ona również nie spędziła większości życia w zamknięciu?

Ale dość tego. Rose podjęła decyzję: nie będzie już niewolnicą chorych wymysłów doktora Matthews'a i ciągłych obaw matki. Choć wciąż delikatna Rose nauczyła się, że wątłość rodzi wątłość i nic nie powoduje większych zawrotów głowy niż dzień spędzony w dusznym pokoju. Zamierzała otwierać okna, kiedy będzie gorąco – możliwe, że znowu zachoruje, a może nie. Chciała żyć nadzieją, że kiedyś wyjdzie za mąż, urodzi dzieci i zestarzeje się. W końcu, przy okazji swych osiemnastych urodzin, Rose postanowiła spojrzeć na Camelot. Co więcej, chciała spacerować po Camelocie. Wszystko dzięki temu, że po latach prośb mama w końcu ustąpiła i wyraziła zgodę: dziś po raz pierwszy Rose Mountrachet, w towarzystwie swej

* Alfred Tennyson *Lady of Shalott*, przekł. Piotr Cholewa.

kuzynki Elizy, miała pójść na spacer do zatoki Blackhurst.

Odkąd siedem lat temu pojawiła się w domu Eliza wciąż przynosiła opowieści o zatoce. Podczas gdy Rose leżała w ciepłym ciemnym pokoju, oddychając stęchłym powietrzem, Eliza wpadała przez drzwi, wznosząc orzeźwiającą woń morza. Siadała na skraju łóżka i wkładała jej w dłoń muszlę, kruchą mątwę lub gładkie kamyczki i rozpoczynała kolejną opowieść. To dzięki niej Rose stawiała nad brzegiem błękitnego morza, czuła we włosach ciepłą morską bryzę i stąpała po miękkim gorącym piasku.

Niektóre opowieści Eliza wymyślała, inne gdzieś usłyszała. Pokojówka Mary miała trzech braci, rybaków, i Rose przypuszczała, że zamiast pracować, dziewczyna woli ucinąć sobie pogawędkę. Nie z nią, oczywiście, ale Eliza była inna. Cała służba traktowała ją w wyjątkowy sposób. Właściwie było w tym coś niewłaściwego, jakby uważali się za jej przyjaciół.

Ostatnimi czasy Rose zaczęła podejrzewać, że Eliza potajemnie wymyka się z majątku. Niewykluczone, że gawędzi z wieśniakami, zwłaszcza że jej opowieści nabrały nowego kolorytu. Pojawiły się w nich łodzie i statki, syreny i skarby, morskie przygody opowiedane językiem tak barwnym, że Rose przeżywała je nawet wtedy, gdy dobiegły już końca. Również w spojrzeniu Elizy było coś nowego, zupełnie jakby sama doświadczyła wszystkich tych okropnych rzeczy.

Jedno było pewne: mama byłaby wściekła, wiedząc, że Eliza bywa we wsi i brata się z pospólstwem. Już samo to, że dziewczyna rozmawia ze służbą, wytrącało ją z równowagi – choćby dlatego Rose tolerowała przyjaźń Elizy i Mary. Gdyby mama spytała, dokąd chodzi, Eliza z pewnością powiedziałaby prawdę. Jediną rzeczą, której Rose nie potrafiła przewidzieć, była reakcja mamy. Mimo iż starała się od lat, mama nie wymyśliła kary, która powstrzymałaby Elizę.

Fakt, że jej zachowanie mogło być uważane za niestosowne, nie dla niej nie znaczył. Odsyłanie jej do schowka pod schodami dawało Elizie cenny czas na wymyślanie nowych opowieści. Odmawianie jej nowych sukni – kara, z powodu której najbardziej cierpiała Rose – nie robiło wrażenia na kimś, kto i tak wolał znoszone sukienki Rose. W przypadku kary Eliza zachowywała się jak chroniona czarami bo-

haterka własnych opowieści.

Daremne próby zdyscyplinowania Elizy sprawiały Rose niewypowiedzianą przyjemność. Każdy rozkaz spotykał się z beznamiętnym spojrzeniem błękitnych oczu, beztroskim wzruszeniem ramion i obojętnym: „Tak, ciociu”. Jakby Eliza naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że jej zachowanie może kogoś obrazić. Szczególnie wzruszanie ramionami doprowadzało mamę do szału. Pani na Blackhurst już dawno porzuciła nadzieję, że uda jej się zrobić z Elizy młodą damę. Już sam fakt, że Rose przekonała dziewczynę, by odpowiednio się ubierała, zasługiwał na miano cudu. (Rose przyjęła pochwały i przezornie przemilczała to, że Eliza porzuciła szmatławę bryczesy dopiero wtedy, gdy były już za małe). Mama mówiła, że dusza Elizy jest jak pęknięte lustro w teleskopie. To przez nią nic nie działa jak należy, dziewczyna nie wie, co to wstyd.

Eliza zmieniła pozycję, jakby czytała w myślach Rose. Siedzieli bez ruchu już prawie godzinę i ciało dziewczyny zaczęło się buntować. Mistrz Sargent wielokrotnie upominał ją, by nie ściągała brwi i nie ruszała się, podczas gdy on nanosił poprawki. Nie dalej jak wczoraj Rose słyszała, jak mówił mamie, że portret jest już prawie gotowy, a jedyne utrapienie to rudowłosa pannica, która nie może usiedzieć na miejscu wystarczająco długo, by uchwycił wyraz jej twarzy.

Słyszając to, mama drgnęła ze wstrętem. Od początku upierała się, by tylko Rose pozowała mistrzowi Sargentowi, jednak Rose postawiła na swoim: Eliza jest jej kuzynką i jedyną przyjaciółką, dlatego ona również musi być na portrecie. Atak kaszlu i posłane matce niewinne spojrzenie przesądziły sprawę.

Teraz, choć Rose delektowała się kolejną porażką matki, radość z tego, że postawiła na swoim i zostanie uwieczniona w towarzystwie ukochanej kuzynki, była jak najbardziej szczerą. Rose nigdy z nikim się nie przyjaźniła, ponieważ nigdy nie miała ku temu okazji, a nawet gdyby ją miała, po co umierającej dziewczynce przyjaciele? Jak większość dzieci, które pogodziły się z cierpieniem, niewiele miała wspólnego ze swoimi rówieśnikami. Nie interesowało jej toczenie obręczy, sprzątanie domków dla lalek ani męczące rozmowy na temat ulubionego koloru, liczby czy piosenki.

Jednak Eliza nie była taka jak inne dziewczynki. Rose wiedziała

o tym już pierwszego dnia. Eliza postrzegała świat w zadziwiający sposób i robiła zupełnie nieprzewidywalne rzeczy. Rzeczy, których mama nie mogła znieść.

Ale najlepszą rzeczą w Elizie – lepszą nawet od denerwowania mamy – były jej opowieści. Znała tak wiele cudownych historii, o których Rose nie miała pojęcia. Były to przerażające opowieści – cierpła od nich skóra i pociły się stopy. O Innej Kuzynce, londyńskiej rzece i nikczemnym Złym Człowieku z lśniącem nożem. No i oczywiście o czarnym statku, który nawiedzał zatokę Blackhurst. Tej historii Rose mogła słuchać bez końca, choć doskonale wiedziała, że jest to kolejny wymysł Elizy. Oczami wyobraźni dostrzegła pojawiający się na horyzoncie statek widmo, ten sam, który rzekomo widziała Eliza i na który czekała w upalne letnie dni.

Jedynym tematem, o którym Eliza nigdy nie wspominała w swych opowieściach, był jej brat Sammy. Tylko jeden jedyny raz wymówiła jego imię, jednak gdy Rose zaczęła naciskać, zamknęła się w sobie. To dzięki mamie Rose dowiedziała się, że Eliza miała brata bliźniaka, który dawno temu zginął w tragicznym wypadku.

Później, gdy leżała samotnie w łóżku, lubiła wyobrażać sobie jego śmierć. Małego chłopca, którego śmierć dokonała niemożliwego: pozbawiła Elizę bajkę słów. Wizje na temat „Śmierci Sammy’ego” wyparły z umysłu Rose tajemnicę „Ucieczki Georgiany”. Rose wyobrażała sobie, że chłopiec tonie, spada z dużej wysokości lub najzwyczajniej w świecie marnieje w oczach. Biedny mały Sammy, który niepodzielnie rządził sercem Elizy.

– Nie wierć się – jęknął pan Sargent, mierząc w Elizę pędzlem. – Przestań się wiercić. Jesteś gorsza od psów pani Asquith.

Rose zamrugnęła i starała się zachować powagę, gdy uświadomiła sobie, że do pokoju wszedł ojciec. Stał teraz przy sztaludze pana Sargenta, z uwagą obserwując jego pracę, marszcząc brwi i przechylając głowę, jakby chciał podążyć za płynnymi ruchami pędzla. Rose była zaskoczona; nie przypuszczała, że ojciec interesuje się sztukami pięknymi. Wiedziała wprawdzie, że lubi fotografować, choć nie widziała w jego zdjęciach niczego ciekawego. Ojciec nigdy nie fotografował ludzi, tylko robale, rośliny i cegły. A jednak był tu teraz i jak urzeczony wpatrywał się w portret córki. Rose się wyprostowała.

Zaledwie dwa razy w życiu miała okazję przyjrzeć mu się z bliska. Najpierw, gdy połknęła naparstek i doktor Matthews prosił ojca, by pomógł mu zrobić zdjęcie. Drugi raz nie był już tak miły.

Ukrywała się. W domu oczekiwano na przybycie doktora Matthews'a i dziewięcioletnia Rose ubzduriała sobie, że nie ma ochoty na spotkanie z lekarzem. Wybrała więc jedyne bezpieczne miejsce – ciemnię ojca.



Ukryła się w dziurze pod ogromnym biurkiem, a dla wygody wzięła ze sobą poduszkę. Kryjówka byłaby idealna, gdyby nie przykry zapach przywodzący na myśl środki do czyszczenia, których używały służące podczas wiosennych porządków.

Przesiedziała w ciemni niespełna piętnaście minut, gdy usłyszała trzask otwieranych drzwi. Przez widoczny w tylnej ścianie biurka maleńki sęk przecisnął się wąski promyk bladego światła. Rose wstrzymała oddech i obawiając się widoku mamy, lub – co gorsza – doktora Matthews'a, wcisnęła się głębiej w dziurę.

Jednak to nie mama ani doktor Matthews stanęli w otwartych drzwiach. Był to ojciec, ubrany w długi, czarny, podróżny płaszcz.

Rose poczuła w gardle bolesny uścisk. Nie potrzebowała wyjaśnień, by wiedzieć, że próg ojcowskiej ciemni jest granicą, której nie należało przekraczać.

Ojciec stał przez chwilę, a jego czarna sylwetka rysowała się wyraźnie na tle jasnego nieba. W końcu wszedł do środka i niedbale cisnął płaszcz na oparcie krzesła. W tej samej chwili w pokoju pojawił się Thomas, błądy i wyraźnie zawstydzony.

– Wasza lordowska mość – zaczął, łapiąc oddech – nie spodziewaliśmy się pana aż do przyszłego...

– Zmieniłem plany.

– Kucharz przygotowuje lunch, panie – dodał pospiesznie służący, zapalając wiszące na ścianie lampy. – Nakryję dla dwóch osób i powiadomię panią Mountrachet o pańskim powrocie.

– Nie.

Słowo to ojciec wypowiedział tak gwałtownie, że Rose odruchowo wstrzymała oddech.

Thomas odwrócił się w jego stronę, a zapalka, którą trzymał w odzianej w rękawiczkę ręce, zgasła. Milcząca ofiara nagłego, bezlitosnego chłodu.

– Nie – powtórzył ojciec. – To była niezwykle długa podróż, Thomasie. Potrzebuję odpoczynku.

– Podać coś panu, sir?

– Karafkę sherry.

Thomas pokiwał głową i wyszedł. Echo jego kroków jeszcze przez chwilę rozbrzmiewało na posadzce korytarza.

Rose usłyszała głucho dudnienie. Przyłożyła ucho do biurka, zastanawiając się, czy to nie któryś z ukrytych w szufladzie tajemniczych przedmiotów. Dopiero po chwili dotarło do niej, że słyszy dudnienie własnego serca. Zupełnie, jakby chciało wyskoczyć z jej małej piersi.

Nie było drogi ucieczki. Nie, gdy siedzący w fotelu ojciec blokował dostęp do drzwi.

Dlatego Rose siedziała pod biurkiem, podciągnawszy kolana pod brodę, by zasłonić oszalałe serce, które w każdej chwili mogło zdradzić jej obecność.

Był to jedyny raz, gdy była sam na sam z ojcem. Widziała, jak wypełnił sobą cały pokój, tak że przestrzeń, która jeszcze chwilę temu zdawała się pusta i cicha, wrzała od emocji i uczuć, których Rose nie potrafiła zrozumieć.

Miękki dywan stłumił ciężkie kroki, a po chwili usłyszała ciężki wydech, od którego włoski na karku stawały dęba.

– Gdzie jesteś? – jęknął ojciec. – Gdzie jesteś – powtórzył przez zaciśnięte zęby.

Rose wstrzymała oddech i zacisnęła usta w wąską kreskę. Czy mówi do niej? Czy jej wszechwiedzący ojciec wie, że ukrywa się w pokoju?

Westchnienie. Smutku? Miłości? Zmęczenia?

– *Poupée*.

Był to szept zrozpaczonego człowieka. Rose, która pobierała lekcje francuskiego u panny Tranton, wiedziała, że *poupée* oznaczało „laleczkę”.

– *Poupée* – powtórzył ojciec. – Gdzie jesteś, moja Georgiano?

Rose odetchnęła, szczęśliwa, że ojciec nie odkrył jej kryjówki, i rozczarowana, że nie jej imię wymawia z takim nabożeństwem.

Przytulając policzek do chłodnego drewna, obiecała sobie, że ktoś kiedyś wymówi jej imię z równie wielkim uczuciem...

– Opuść głowę! – Pan Sargent był wyraźnie poirytowany. – Jeśli nie przestaniesz się ruszać, namaluję ci trzy głowy i taką zapamiętają cię ludzie.

Eliza westchnęła głęboko.

Rose zamrugnęła. Oczywiście miała szkliste i zmęczone od patrzenia w jeden punkt. Mimo iż ojciec wyszedł, w pokoju wciąż czuło się jego obecność, to samo uczucie smutku, które stało się jego nieodłącznym towarzyszem.

Rose po raz kolejny zerknęła na album. Materiał miał ten szczególnie odcień różu, który będzie idealnie pasował do koloru włosów.

Przez lata choroby Rose marzyła tylko o jednym: chciała dorosnąć. Uciec od dzieciństwa i żyć dokładnie tak, jak opisała to Milly Theale w jej ulubionej książce. Pragnęła się zakochać, wyjść za mąż, mieć dzieci. Wyjechać z Blackhurst i zacząć zupełnie nowe życie. Z dała od tego domu i sofy, na której kazano jej leżeć nawet wtedy, gdy czuła się całkiem dobrze. Mama nazywała ją „sofą Rose”. „Połóżcie nową narzutę na sofie Rose. Coś, co ukryje jej bladą cerę i nada blask jej włosom”.

Rose wiedziała, że dzień, w którym ucieknie z tego domu, jest coraz bliżej. W końcu mama orzekła, że córka czuje się wystarczająco dobrze, by spotykać się z kawalerami. Przez ostatnie kilka miesięcy aranżowała lunchy z kolejnymi, odpowiednimi, młodymi (i trochę starszymi!) mężczyznami. Wszyscy byli głupcami – tak przynajmniej twierdziła Eliza, która po każdej wizycie rozśmieszała Rose do łez, parodiując zalotników – ale dzięki takim jak oni Rose zdobywała doświadczenie. Wiedziała, że gdzieś w świecie czeka na nią ten jeden jedyny, mężczyzna idealny. Wiedziała, że nie będzie podobny do ojca. Będzie artystą, z charakterystycznym dla artystów poczuciem piękna, człowiekiem, który nie dba o robale ani cegły. Otwartym i łatwym do odgadnięcia. Mężczyzną pełnym pasji i marzeń, który będzie kochał ją i tylko ją.

Siedząca obok Eliza parsknęła zniecierpliwiona.

– Doprawdy, panie Sargent – westchnęła – nawet mnie zajęłoby to mniej czasu.

Mój mąż będzie taki jak Eliza, pomyślała Rose, a na jej spokojnej dotąd twarzy pojawił się uśmiech. Dżentelmen, na którego czeka, jest męskim wcieleniem jej kuzynki.



Nareszcie wolne. Tennyson miał rację, pozowanie jest niewiarygodnie nudne. Eliza niemal wyskoczyła ze śmiesznej sukienki, którą miała na sobie wyłącznie przez wzgląd na ciotkę Adeline. W ubiegłym sezonie sukienka należała do Rose – miała drapiącą koronkę, satynę niezdolnie opinającą ciało i fatalny odcień czerwieni, który sprawiał, że Eliza wyglądała jak truskawkowa papka. Cóż za niepotrzebna strata czasu; zmarnowały cały poranek, obcując z gderliwym staruchem, który próbował namalować ich portrety po to tylko, by zawisły nieruchome i samotne na jakiejś zimnej ścianie.

Eliza przyklękła, zajrzała pod łóżko, uniosła połuzowaną dawno temu deskę podłogową, po czym wyciągnęła baśń o odmieńcu, musnęła dłonią czarno-białą okładkę, czując pod palcami własne nierówne pismo.

To Davies zaproponował, by przelewała swe opowieści na papier. Pomagała mu sadzić róże, gdy na pobliskim konarze przycupnął szarobiały ptaszek z pasiastym ogonkiem.

– Kukułka – wyjaśnił Davies. – Zimy spędza w Afryce, by powrócić tu wiosną.

– Chciałabym być ptakiem – westchnęła Eliza. – Mogłabym pognać na krawędź klifu i wzbić się w powietrze. Lecieć do Afryki, Indii albo Australii.

– Australii?

Było to miejsce, które ostatnio nie dawało jej spokoju. Najstarszy brat Mary, Patrick, wraz ze swoją rodziną wyemigrował ostatnio do Maryborough, gdzie kilka lat wcześniej osiedliła się jego ciotka Eleanor. Mimo rodzinnych koneksji Mary wierzyła, że nazwa miejscowości miała wpływ na wybór brata i starała się dowiedzieć jak najwięcej o tej egzotycznej krainie dryfującej po oceanie na drugim końcu świata. Eliza odnalazła Australię na szkolnej mapie. Był to

dziwny ogromny kontynent na Oceanie Południowym, z dwoma uszami: jednym spiczastym, a drugim oklapniętym.

– Znam kogoś, kto wyjechał do Australii – powiedział Davies, na chwilę odrywając się od pracy. – Dostał tam farmę o powierzchni tysiąca akrów, na której nic nie chciało rosnąć.

Eliza zagryzła wargi, jakby chciała poznać smak podekscytowania. To, co usłyszała, doskonale pasowało do jej wyobrażeń o Australii.

– Mary mówi, że mają tam naprawdę ogromne króliki. Nazywają je kangurami. Ich stopy są tak duże jak nogi dorosłego człowieka!

– Nie mam pojęcia, co by panienka mogła robić w takim miejscu. Albo w Afryce czy w Indiach.

Jednak Eliza dokładnie wiedziała, co mogłaby robić.

– Zamierzam zbierać opowieści. Prastare historie, których nikt nigdy tu nie słyszał. Będę jak bracia Grimm, o których ci opowiadałam.

Davies się nachmurzył.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego uparłaś się na parę starych, ponurych Niemców. Powinnaś pisać własne opowieści, zamiast spisywać te, które ktoś już wymyślił.

Tak właśnie zrobiła. Jako pierwsza powstała opowieść dla Rose; prezent urodzinowy, baśń o księżniczce, którą zmieniono w ptaka. Była to pierwsza historia, jaką kiedykolwiek uwięziła na papierze. Pierwszy fascynujący raz, gdy myśli i pomysły Elizy nabrały kształtu. Świadomość tego sprawiła, że poczuła się obnażona i bezbronna. Do końca nie wiedziała, czy podoba jej się ten stan, czy też nie.

Jednak Rose zawsze uwielbiała opowieści Elizy i był to najcenniejszy prezent, jaki dziewczyna mogła ofiarować swej kuzynce. Odkąd bowiem Eliza została wyrwana z samotnego życia w Londynie i przywieziona do wielkiego i tajemniczego Blackhurst, Rose stała się jej bratnią duszą. To ona śmiała się z nią i razem z nią tęskniła, aż w końcu zaczęła wypełniać pustkę, którą pozostawił po sobie Sammy, czarną, bezdenną dziurę, jaką noszą w sercu wszyscy samotni jedynacy. Dla niej Eliza była gotowa zrobić i napisać dosłownie wszystko.

ODMIENIEC

Eliza Makepeace

Dawno, dawno temu, gdy w żyłach czasu płynęła jeszcze magia, żyła sobie królowa, która ponad wszystko pragnęła dziecka. Była smutna, ponieważ król często wyjeżdżał z zamku, skazując ją na samotność i rozmyślania o tym, jak jej mąż, którego tak bardzo kocha, może rozstać się z nią na tak długi czas.

Zdarzyło się tak, że wiele lat temu król odebrał tron jego prawowitej następczyni, Królowej Wrózek, i kraina – niegdyś piękna i spokojna – stała się miejscem wymarłym, pełnym smutku i tęsknoty. Król był tak bardzo rozgniewany, że postanowił pojmać Królową Wrózek i siłą sprowadzić ją do królestwa. Przygotowano dla niej specjalną złotą klatkę, w której miała zostać uwięziona, by spełniać kaprysy króla.

Pewnego zimowego dnia, kiedy króla nie było w zamku, królowa usiadła przy otwartym oknie i spojrzała na skutą lodem ziemię. Siedziała i płakała, ponieważ smutek zimowych miesięcy przypominał jej, jaka jest samotna. Gdy tak patrzyła na surowy zimowy krajobraz, pomyślała o swoim brzuchu, równie pustym jak otaczający ją widok.

– Ach, jakże chciałabym mieć dziecko! – zawołała zrozpaczona. – Piękną córeczkę o czystym sercu i oczach, które nie znają łez. Wtedy nie byłabym już samotna.

Minęła zima i świat wokół zamku zaczął budzić się do życia. Do królestwa wróciły ptaki i zaczęły wic gniazda, na skraju lasu pojawiły się jelenie skubiące niespiesznie so-

czystą zieloną trawę, a z gałęzi wystrzeliły pierwsze pąki. Gdy na niebie zatańczyły skowronki, suknia królowej stała się za ciasna i niebawem stało się jasne, że królowa spodziewa się dziecka. Król wciąż jeszcze nie wrócił do zamku, dlatego królowa domyśliła się, że ukryta w zimowym ogrodzie psotna wróżka usłyszała jej łkanie i z pomocą magii spełniła życzenie o dziecku.

Brzuch królowej rósł z każdym dniem. Wkrótce do królestwa wróciła zima, a gdy w Wigilię Bożego Narodzenia świat zasnął pod grubą warstwą śniegu, królowa zaczęła rodzić. Trwało to całą noc, a gdy dzwony wybiły północ, przyszła na świat dziewczynka i królowa w końcu spojrzała na twarz swojej córki. Dziecię było przepiękne. Miało bladą, nieskazitelnie czystą skórę, ciemne włosy i cudownie czerwone usta w kształcie pączka róży.

– Rosalind. Nazwę ją Rosalind – oznajmiła królowa.

Tak bardzo pokochała córkę, że nie chciała spuścić jej z oka. Samotność uczyniła ją kobietą zgorzkniałą, gorycz sprawiła, że stała się samolubna i niezwykle podejrzliwa. Gdzie nie spojrzała, wydawało jej się, że ktoś czai się, by porwać jej cenne dziecko. Jest moja, pomyślała królowa. To moje zbawienie i już zawsze będzie ze mną.

Na chrzest księżniczki Rosalind zaproszono do zamku najmądrzejsze niewiasty z całego królestwa, by pobłogosławiły dziecko. Przez cały dzień królowa słuchała, jak kobiety życzyły Rosalind wdzięku, rozwagi i rozsądku. W końcu, gdy nad królestwem zapadał zmrok, królowa pożegnała niewiasty. Tylko na chwilę odwróciła wzrok, jednak gdy spojrzała na swe dziecko, zauważyła, że jedna z kobiet nie opuściła zamku. Stała teraz przy łóżeczku Rosalind, odziana jak podróżnik w długą pelerynę.

– Jest już późno, dobra kobieto – zwróciła się do niej królowa. – Księżniczka została pobłogosławiona i powinna już spać.

Tymczasem kobieta zrzuciła kaptur i królowa przebrała się, widząc zamiast mądrej dziewczycy pomarszczoną

wiedźmę o bezzębnym uśmiechu.

– Przybywam z wiadomością od Królowej Wrózek – oznajmiła wiedźma. – Dziewczynka jest jedną z nas i muszę ją zabrać.

– Nie! – krzyknęła królowa, spiesząc do łóżeczka. – To moja córeczka, moje słodkie dziecko.

– Twoje? To cudowne dziecko? – Po tych słowach wiedźma wybuchnęła śmiechem tak przeraźliwym, że wystraszona królowa cofnęła się. – Była twoja dopóty, dopóki pozwalałyśmy ci ją zatrzymać. W głębi serca zawsze wiedziałas, że zrodziła się z magicznego pyłu i dlatego teraz musisz nam ją oddać.

Królowa zaptakała, ponieważ słowa wiedźmy były tym, czego bała się najbardziej.

– Nie mogę jej oddać – powiedziała. – Zlituj się, wiedźmo i pozwól mi zatrzymać ją na dłużej.

Wiedźma lubiła psocić, więc gdy usłyszała błaganie królowej, uśmiechnęła się szeroko.

– Dam ci wybór – rzekła. – Wyrzeknij się dziecka, a obiecuję, że księżniczka będzie żyła długo i szczęśliwie w zamku Królowej Wrózek.

– Albo...

– Albo zatrzymaj ją do osiemnastych urodzin, kiedy to upomni się o nią przeznaczenie i odbierze ci ją na zawsze. Przemyśl dobrze moje słowa, bo im dłużej księżniczka będzie w zamku, tym mocniej będziesz ją kochała.

– Nie muszę się nad tym zastanawiać – odparła królowa. – Wybieram drugą opcję.

Usta wiedźmy rozciągnęły się w bezzębnym uśmiechu.

– W takim razie księżniczka jest twoja aż do poranka osiemnastych urodzin.

W tej samej chwili po raz pierwszy w życiu Rosalind zaczęła płakać. Królowa odwróciła się, by utulić dziecko, a gdy spojrzała za siebie, wiedźmy już nie było.

Księżniczka wyrosła na piękną dziewczynkę, pełną radości i światła. Oczarowała ocean swym śpiewem i gdzie

tylko się pojawiła, na twarzach ludzi rozkwitały uśmiechy. Nie śmiała się tylko królowa, którą paraliżował strach przed utratą dziecka. Gdy księżniczka śpiewała, królowa nie słyszała jej, gdy tańczyła, nie wiedziała, a gdy wyciągała ku matce małą rączkę, królowa nie czuła jej dotyku. Tak bardzo bała się mijającego czasu i chwili, gdy świat wrózek upomni się o Rosalind.

Mijały lata, a królowa z coraz większym niepokojem patrzyła w przyszłość. Jej usta zapomniały, co to śmiech, a na czole pojawiły się głębokie bruzdy. Pewnej nocy przysniła jej się stara wiedźma.

– Twoja córka ma prawie dziesięć lat – rzekła starucha. – Nie zapominaj, że jej przeznaczenie dopełni się w dniu osiemnastych urodzin.

– Zmieniłam zdanie – odparła królowa. – Nie mogę jej oddać. Nie oddam mojego dziecka.

– Dałaś nam słowo – przypominała wiedźma. – I musisz go dotrzymać.

Następnego ranka, upewniwszy się, że księżniczka jest pod dobrą opieką, królowa włożyła strój do jazdy konnej i kazała przyprowadzić rumaka. Choć używanie magii w zamku było surowo zakazane, królowa wiedziała, że istnieje miejsce, w którym wciąż można było znaleźć stare zaklęcia i czary. W mrocznej jaskini, nad brzegiem zakłętego morza, żyła wróżka, która nie była ani dobra, ani zła. Dawno, dawno temu została ukarana przez Królową Wrózek za to, że nierozważnie używała magii i gdy reszta wrózek opuściła królestwo, ta jedna pozostała w ukryciu. Nawet jeśli królowa wiedziała, jak niebezpiecznym zadaniem jest prosić ją o pomoc, musiała zaryzykować.

Królowa jechała przez trzy dni i trzy noce, a kiedy w końcu dotarła do jaskini, wróżka na nią czekała.

– Wejdz – rzekła – i powiedz, czego szukasz.

Królowa opowiedziała jej o wiedźmie i obietnicy oddania księżniczki w dniu jej osiemnastych urodzin. Wróżka słuchała, a gdy opowieść królowej dobiegła końca, rzekła:

– Nie mogę zdjąć kławy, ale wiem, jak ci pomóc.
– A zatem nakazuję ci, byś mi pomogła – powiedziała królowa.

– Muszę cię jednak ostrzec, królowo, że gdy usłyszysz moje słowa, nie będziesz zadowolona.

Pochyliła się i zaczęła szeptać królowej do ucha.

Królowa nie wahała się, gdyż wszystko zdawało się lepsze od utraty ukochanej Rosalind.

– Tak właśnie uczynię – stwierdziła.

Wróżka ofiarowała królowej eliksir i nakazała, by przez trzy kolejne noce dawała księżniczce po trzy krople.

– Wtedy wszystko będzie tak, jak obiecałam. – Wiedźma nie będzie cię już niepokoila, a księżniczka odnajdzie swe przeznaczenie.

Królowa pospieszyła do zamku. Po raz pierwszy od chrztu córki była spokojna i przez trzy kolejne noce wlewała trzy krople mikstury do mleka księżniczki. Trzeciej nocy, gdy księżniczka wypila szklankę mleka, zaczęła się dusić, a kiedy spadła z krzesła, zmieniła się w pięknego ptaszka, tak jak przepowiedziała wróżka. Ptaszek zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze. Widząc to, królowa zawołała służącą i rozkazała jej przynieść z komnat króla złotą klatkę. Kiedy ptaszek został zamknięty, a złote drzwiczki zatrzaśnięte, królowa odetchnęła z ulgą. Król bowiem był mądry i gdy raz zamknięto klatkę, jej drzwiczki nie mogły być ponownie otwarte.

– Uspokój się, moja śliczna – rzekła królowa. – Teraz jesteś bezpieczna i nikt mi cię nie odbierze. – Mówiąc to, ukryła klatkę w najwyższej zamkowej wieży.

Wraz z uwięzieniem księżniczki odeszło z królestwa całe światło, a na mieszkańców Magicznej Krainy spadła wieczna zima, która niszczyła uprawy i skuwała lodem żywe ziemie. Tym, co nie pozwalało mieszkańcom pograć się w rozpacz, był ptasi śpiew księżniczki – smutny i piękny – który dolatywał z okienka wieży i płynął ponad jałową ziemią.

Mijały kolejne lata, a do zamku przybywali słynący z chciwości książęta, by uwolnić uwięzioną księżniczkę. Mówiono bowiem, iż w jałowym królestwie znajduje się złota klatka, której wartość przekracza największe fortuny. Mówiono też, że uwięziony w niej ptak ma tak cudowny głos, że gdy śpiewa, z nieba spadają drobinki złota. Jednak wszyscy, którzy próbowali otworzyć klatkę, padali martwi, gdy tylko jej dotknęli. Królowa dniem i nocą siedziała w bujanym fotelu i strzegła klatki jak oka w głowie. Śmiała się, gdy kolejni książęta konali u jej stóp. W końcu podejrzliwość doprowadziła ją do szaleństwa.

Kilka lat później do lasu przybył syn biednego drwala. Kiedy pracował, usłyszał melodię tak piękną, że zastygł w bezruchu i jak urzeczony słuchał smutnej pieśni. Chwilę później rzucił siekierę i poszedł na poszukiwanie ptaka o tak smutnym cudownym głosie. Kiedy szedł przez gęsty las, pomagały mu ptaki i zwierzęta. Syn drwala dziękował im wszystkim, ponieważ był wrażliwym młodzieńcem, który rozumiał język przyrody. Przedzierał się przez kolczaste krzewy jeżyn, biegł przez rozległe pola, pokonywał góry, nocami spał w spróchniałych pniach drzew, żywił się jagodami i orzechami, aż w końcu dotarł do murów zamku.

- Jak udało ci się dotrzeć do tej zapomnianej krainy?
- spytał strażnik.
- Podążałem za śpiewem waszego pięknego ptaka.
- Zawróć więc, jeśli ci życie miłe – poradził strażnik.
- Wszystko w tym królestwie jest przeklęte, a ktokolwiek dotknie ptasiej klatki, natychmiast zginie.
- Nie kocham niczego i nie mam niczego do stracenia – odparł syn drwala. – Poza tym muszę zobaczyć tego cudownego ptaka na własne oczy.

W tej właśnie chwili księżniczka ukończyła osiemnasty rok życia i zaczęła śpiewać najsmutniejszą i najpiękniejszą melodię, w której opłakiwała utratę młodości i wolności.

Strażnik odsunął się, a młodzieniec wszedł do zamku i wspiął się po schodach na szczyt najwyższej wieży.

Kiedy zobaczył uwięzionego ptaka, w jego sercu zagościł wielki smutek, a gdy spojrzał ponad złotą klatką, nie ujrzał krat, ale tylko zamienioną w ptaka księżniczkę. Dotknął drzwi klatki, które otworzyły się, uwalniając ptaka.

W tej samej chwili ptak zmienił się w przepiękną kobietę z długimi włosami i koroną ze lśniących muszli. Z odległych drzew zleciały się ptaki, obsypując księżniczkę skrzącymi się drobinkami krzemienia, które przywarły do jej ciała, okrywając srebrną szatą. Do królestwa wróciły zwierzęta, a na jałowej ziemi wyrosły zboża i kwiaty.

Następnego dnia, kiedy słońce wzeszło nad oceanem, w zamku rozległo się głucho dudnienie, a przed bramy zajechał złoty powóz zaprzężony w sześć zaklętych koni. Wysiadła z niego Królowa Wrózek i wszyscy poddani złożyli jej pokłon. Królowej towarzyszyła wróżka z nadmorskiej jaskini, która wykonała polecenie swej pani i zadbała o to, by – gdy nadejdzie czas – księżniczka Rosalind została odnaleziona przez swe przeznaczenie.

Pod czujnym okiem Królowej Wrózek księżniczka Rosalind poślubiła syna drwala, a radość młodej pary była tak wielka, że magia wróciła do królestwa, a wraz z nią szczęście i wolność.

Nie świętowała tylko królowa, która gdzieś zniknęła. Na jej miejscu pojawił się wielki, szkaradny ptak z głosem tak okropnym, że krew ścinała się w żyłach. Ptaszysko zostało wygnane z królestwa i schroniło się w dalekim lesie, gdzie zostało zabite i zjedzone przez króla, który w swej pogoni za Królową Wrózek popadł w szaleństwo.

Dwór Blackhurst, 1907

Ktoś zapukał głucho do drzwi pokoju i Eliza pospiesznie ukryła *Odmienca* za plecami. Czuła, że policzki płoną jej z niecierpliwości.

Do pokoju wpadła potargana Mary. Jej loki zawsze zdradzały jej nastrój i Eliza nie miała wątpliwości, że w kuchni trwają przygotowania do urodzin.

– Mary! Myślałam, że to Rose.

– Panno Elizo. – Mary zacisnęła usta. Był to niezwykle prude-ryjny gest, na którego widok Eliza wybuchnęła śmiechem. – Pan życzy sobie widzieć panienkę.

– Wuj chce się ze mną zobaczyć? – Minęły lata, odkąd przywieziono ją do Blackhurst, Eliza zwiedziła dosłownie każdy zakątek posiadłości, jednak niezwykle rzadko widywała wuja. Był niewyraźną postacią, która przez większość czasu podróżowała po kontynencie, poszukując robaków, których zdjęcia wywoływał w ciemni.

– Chodźmy już, panienko Elizo – ponaglała Mary. – Pan wygląda na zagniewanego.

W zachowaniu Mary było coś nienaturalnego, jakaś powaga, której Eliza nigdy wcześniej nie widziała. Eliza musiała się spieszyć, by dotrzymać jej kroku, gdy Mary wyszła na korytarz i pognęła w dół wąskimi schodami. U podnóża, zamiast skręcić w lewo, do głównej części domu, Mary skręciła w prawo i niemal pobiegła wąskim, pograżonym w półmroku przejściem, które rozjaśniało słabe światło nielicznych lamp. Na ścianach nie ma żadnych obrazów, zauwa-

żyła Eliza. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie zadano sobie trudu, by ozdobić czymkolwiek te chłodne ciemne ściany.

Mary zatrzymała się dopiero, gdy dotarli do najdalszych drzwi. Już miała je otworzyć, gdy nagle odwróciła się i zupełnie niespodziewanie ucisnęła dłoń Elizy.

Zanim Eliza zdążyła spytać, co oznacza ten gest, drzwi do pokoju stanęły otworem i Mary zaanonsowała jej przybycie.

– Panna Eliza, wasza lordowska mość.

Po tych słowach odeszła, a Eliza została sama na progu do kryjówki swego wuja, skąd dobywała się najbardziej osobliwa woń, jaką kiedykolwiek miała okazję poczuć.

Wuj siedział za wielkim drewnianym biurkiem na końcu pokoju.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć, wuju? – Eliza cicho zamknęła drzwi.

Linus spojrzał na nią znad okularów i Eliza po raz kolejny zastanowiła się, jak to możliwe, że ten pokryty plamami starzec jest spokrewniony z jej piękną matką? Pomiedzy jego zaciśniętymi ustami pojawił się koniuszek języka.

– Słyszałem, że odkąd przyjechałaś do Blackhurst, doskonale radzisz sobie w czasie lekcji.

– Tak, sir – odparła Eliza.

– Słyszałem również od Daviesa, że lubisz ogrody.

– Tak, wuju. – Od pierwszego poranka w Blackhurst Eliza była zachwycona posiadłością. Znała tajemne przejścia pod klifami, uprzętniętą część labiryntu i ogrodu tak dobrze jak niegdyś mgliste uliczki Londynu. Niezależnie od tego, jak daleko się zapuszczała, ogród rósł i zmieniał się z każdą porą roku.

– To cecha rodzinna. Twoja matka... – Głos mu się załamał. – Będąc dziewczynką, twoja matka również uwielbiała ogród.

Eliza próbowała dopasować ten fakt do własnych wspomnień o mamie i jak przez mgłę zobaczyła fragmenty obrazów: mama w pozbawionym okien pokoju nad sklepem pani Swindell, mała doniczka z aromatycznym ziołem. Roślina była dzielna; żaden kwiat nie wytrzymałby tak długo w równie trudnych warunkach.

– Podejdź bliżej, dziecko. – Mówiąc to, przywołał ją skinieniem

dłoni. – Podejdź do światła, bym mógł cię zobaczyć.

Eliza stanęła po przeciwnej stronie biurka. Dziwna woń przybrała na sile, jak gdyby to on był jej źródłem.

Linus Mountrachet wyciągnął drżącą rękę i musnął złote końcówki rudych loków. Jego dotyk był delikatny, niemal niewyczuwalny. Po chwili cofnął rękę jak oparzony.

Zadrżał.

– Dobrze się czujesz, wuju? Może sprowadzić pomoc?

– Nie – odparł pospiesznie. – Nie. – Jeszcze raz wyciągnął rękę, dotknął miękkich loków i zamknął oczy. Eliza widziała błędzące pod powiekami gałki oczne i słyszała w gardle wuja dziwne mlaskanie.

– Tak długo jej szukaliśmy... by sprowadzić naszą Georgianę z powrotem do domu.

– Tak, sir. – Tyle Eliza wiedziała z opowiadań Mary. O przywiązaniu wuja Linusa do młodszej siostry, jego rozpacz, gdy uciekła, częstych wyprawach do Londynu. Poszukiwaniach, którym poświęcił całą młodość, nienaturalnej powadze, zapale, z jakim opuszczał Blackhurst i goryczy porażki, kiedy powracał. O tym, jak siedział sam w ciemni, pijąc sherry i nie przyjmując jakiegokolwiek pomocy, nawet tej ze strony ciotki Adeline. Aż do czasu, gdy pan Mansell powrócił z nowymi wieściami.

– Spóźniliśmy się. – Jego dotyk stał się mocniejszy. Owijał kosmyki jej włosów wokół palców, bawiąc się nimi jak wstążką. W pewnej chwili pociągnął zbyt mocno i Eliza musiała przytrzymać się krawędzi biurka, by się nie zachwiać. Jak urzeczona wpatrywała się w jego twarz, twarz baśniowego króla, od którego odwrócili się wszyscy poddani.

– Spóźniłem się. Ale jesteś tu. Dzięki Bogu dostałem kolejną szansę.

– Wuju?

Dłoń mężczyzny opadła na kolana i Linus Mountrachet otworzył oczy. Wskazał na stojącą przy przeciwległej ścianie przykrytą białym muslinem ławeczkę.

– Usiądź – nakazał.

Eliza zamrugła szybko.

– Usiądź. – Mówiąc to, podszedł do czarnego trójnogu. –

Chciałbym zrobić ci zdjęcie.

Nikt nigdy nie robił Elizie zdjęć i prawdę powiedziawszy, wcale nie miała na to ochoty. Kiedy jednak otworzyła usta, by powiedzieć o tym wujowi, drzwi do pokoju się otworzyły.

– Urodzinowy lunch... – Ostry głos ciotki Adeline uwiązał jej w gardle i kobieta przycisnęła do piersi smukłą dłoń. – Eliza! – Jęknęła zduszonym głosem. – Co ty sobie myślisz, dziewczyno? Idź natychmiast na górę. Rose o ciebie pyta.

Eliza pospieszyła w kierunku drzwi.

– I przestań zawracać wujowi głowę – syknęła ciotka, gdy Eliza mijała ją w wejściu. – Nie widzisz, że jest zmęczony po podróży?



I tak oto nadszedł ów przekłęty dzień. Adeline nie wiedziała, jak dokładnie będzie wyglądał, ale jego groźba czała się w mrocznych zakamarkach jej umysłu, nie pozwalając zapomnieć. Zaciśnięła zęby, pozwoliła, by wściekłość rozlała się po karku i wymazała z pamięci ten obraz. Córką Georgiany, jej długie rude loki, przekłęty duch przeszłości i twarz Linusa, twarz starca, w której odbijała się ta sama młodzieńcza żądza. Pomyśleć tylko, że chciał zrobić tej dziewczynie zdjęcie! Coś, czego nigdy nie zrobił dla Rose. Nie wspominając o niej.

– Proszę zamknąć oczy, lady Mountrachet – poprosiła pokojówka i Adeline zrobiła to, o co ją proszono. Służąca delikatnie odgarnęła włosy z czoła Adeline. Jej oddech był ciepły i dziwnie kojący. Ach, gdyby mogła siedzieć tak bez końca, czuć na twarzy ciepły, słodki oddech tej głupiutkiej pogodnej dziewczyny i o niczym nie myśleć. – Może już pani otworzyć, madame. Ja tymczasem przyniosę perły.

Pokojówka oddaliła się i Adeline została sam na sam ze swoimi myślami. Pochyliła się do przodu. Brwi miała gładkie, a włosy starannie upięte. Patrząc w lustro, uszczypnęła policzki – być może odrobinę zbyt mocno – i wyprostowała się, by spojrzeć na efekt. Ach, jakże bezlitosny jest upływający czas! Dokonuje niewielkich zmian, które pozornie niezauważalne drążą ją jak kropla skałę. Nektar młodości dosłownie przeciekał jej przez palce.

– Oto, jak przyjaciele stają się wrogami – szepnęła Adeline, spoglądając w bezlitosną taflę.

– Proszę, pani – usłyszała głos pokojówki. – Przyniosłam komplet z rubinowym zapięciem. Idealny na tak uroczyste i radosne święto. Kto by przypuszczał, że to lunch urodzinowy panienki Rose. Osiemnaście lat! Zobacz pani, następne będzie wesele...

Dziewczyna nie przestawała paplać, a Adeline odwróciła wzrok, jakby nie chciała patrzeć dłużej na własny rozkład.

Fotografia wisiała tam, gdzie zawsze, obok toaletki. Ach, jak pięknie wyglądała w ślubnej sukni. Kto by pomyślał, że pod maską spokoju i szczęścia rozgrywał się prawdziwy dramat. Dla odmiany Linus wyglądał, jak przystało na pana młodego. Może był trochę spięty i ponury, ale przecież taki właśnie był.

Pobrali się rok po ucieczce Georgiany. Od chwili zaręczyn Adeline Langley ciężko pracowała, by zmienić swój wygląd. Postanowiła, że zrobi wszystko, by być godną starego szlacheckiego nazwiska rodu Mountrachet: pozbyła się północnego akcentu i drobnomieszczańskich nawyków, czytała dzieła Debretta i doskonaliła się w sztuce bycia prózną i dystygowaną. Wiedziała, że jeśli chce, by ludzie zapomnieli o jej pochodzeniu, musi być damą w każdym calu.

– Załóż pani zielony czepek, pani Mountrachet? – spytała służąca. – Doskonale pasuje do tej sukni. Przygotuję też kapelusz, gdyby szła pani nad zatokę. Zostawię go na łóżku.

Noc poślubna w niczym nie przypominała tego, co wymarzyła sobie Adeline. Nie była pewna i nie zamierzała pytać, ale odniosła wrażenie, że Linus był równie rozczarowany jak ona. Później nieczęsto dzielili łożę, a odkąd Linus zaczął podróżować, prawie w ogóle. Mówił, że robi zdjęcia, ale Adeline знаła prawdziwy powód jego wyjazdów.

Ach, jakże bezwartościowa się czuła. Zawiodła. Jako żona i kobieta. Co gorsza, nie sprawdziła się również jako dama. Mimo wszelkich starań prawie w ogóle nie bywali w towarzystwie. Linus, gdy akurat przebywał w Blackhurst, był marnym towarzyszem, z reguły przesiadywał sam, odpowiadał na zadawane pytania i od czasu do czasu czynił jakąś uszczypliwą uwagę. Kiedy Adeline podupadła na zdrowiu, stała się blada i zmęczona, przypuszczała, że to z rozpacz.

Dopiero gdy stwierdziła że jej brzuch jest coraz większy, stało się jasne, że spodziewa się dziecka.

– Proszę, pani. Kapelusz leży na łóżku, a pani jest gotowa na przyjęcie.

– Dziękuję, Poppy. – Zmusiła się do uśmiechu. – To wszystko.

Kiedy za pokojówką zamknęły się drzwi, Adeline po raz kolejny spojrzała na swe odbicie.

To Rose jest prawowitą spadkobierczynią chwały rodu Montrachet. Ta dziewczyna, córka Georgiany, została podrzucona niczym kukułcze jajo, by zająć jej miejsce. Chce wypchnąć Rose z gniazda, które Adeline z trudem uczyniła swoim domem.

Przez jakiś czas udawało jej się zachowywać należyty porządek. Adeline zadbała o to, by Rose miała najpiękniejsze suknie i eleganczką sofę, podczas gdy Eliza ubierała się w stroje kuzynki z poprzedniego sezonu. Jeśli chodzi o maniery i kobiecość, Rose biła kuzynkę na głowę. Adeline mogła być spokojna.

Jednak z upływem czasu pewne rzeczy uległy zmianie i sytuacja powoli, lecz nieubłaganie, zaczęła wymykać się spod kontroli. Bystrość Elizy była jedną rzeczą – nikt nie lubił mądrych kobiet – ale teraz, gdy spędzała coraz więcej czasu na świeżym powietrzu, jej cera nabrała zdrowego blasku, a włosy, te przekłête rude włosy, stały się długie i miękkie, ciało zaś nabrało zmysłowych krągłości.

Pewnego dnia Adeline usłyszała, jak jedna ze służących rozprawa na temat urody Elizy, twierdząc, że dziewczyna jest piękniejsza od matki, panienki Georgiany. Na dźwięk tego imienia Adeline zaстыgła w bezruchu. Po latach ciszy wspomnienia o Georgianie wypełzły na światło dzienne jak robactwo i czyhały na nią w każdym kącie. Szydziły z niej, wspominając jej pochodzenie i przypominając, że niezależnie od tego, jak bardzo będzie się starała, nigdy nie dorówna ukochanej siostrze Linusa.

Adeline poczuła w skroni tępy ból. Delikatnie pomasowała obolałe miejsce. Coś jest nie tak z Rose. Skroń była niczym szósty zmysł, dzięki niej Adeline wyczuwała rozmaite rzeczy. Odkąd Rose się urodziła, Adeline umiała przewidzieć jej dolegliwości. Była to niezniszczalna więź pomiędzy matką i córką.

Teraz, gdy znów poczuła w skroni nieprzyjemne pulsowanie,

zaciśnięła usta w wąską kreskę. Przez chwilę spoglądała na swą surową twarz, jak gdyby należała do obcej kobiety ze szlacheckiego domu, damy, której władza jest niekwestionowana. Odetchnęła głęboko, a wraz z powietrzem poczuła przypływ siły. Trzeba chronić Rose, biedną Rose, która nie ma pojęcia, jak wielkim zagrożeniem jest dla niej Eliza.

W głowie Adeline narodził się pomysł. Nie może odesłać Elizy, Linus nigdy by na to nie pozwolił, podobnie jak Rose nigdy by jej tego nie wybaczyła. Poza tym lepiej, gdy człowiek ma swoich wrogów na oku, choć niewykluczone, że znalazłby się powód, dla którego dziewczyna na jakiś czas mogłaby wyjechać za granicę. Do Paryża albo Nowego Jorku. Wystarczy dać jej szansę, sprawić, by zabłysła, zrobić wokół tego prawdziwe zamieszanie i odebrać Rose nadzieję...

Idąc do drzwi, Adeline wygładziła spódnice. Jedno jest pewne, dziś nie wybierze się na spacer nad zatokę. Głupio postąpiła, składając Rose obietnicę. Ot, chwila słabości. Dzięki Bogu wciąż ma wystarczająco dużo czasu, by zmienić zdanie na temat Elizy. Nikczemność tej dziewczyny nie zbruka dobrego imienia Rose.

Zamknęła drzwi i szeleszcząc spódnicami, ruszyła korytarzem. Co do Linusa, osobiście zadba o to, by mąż był zajęty. Jest przecież jego żoną i jej obowiązkiem jest dopilnowanie, by nie padł ofiarą własnych emocji i impulsów. Wyśle go do Londynu. Ubląga żony parlamentarzystów, by szepnęły słówko swym mężom i poleciły jego usługi, a sama zaproponuje egzotyczne miejsca, w których mógłby fotografować, i sprawi, że wyjedzie z domu. Od tej pory leniwe ręce Linusa Mountracheta będą pełne roboty.



Linus odchylił się na ogrodowej ławeczce i powiesił laskę na zdobionym podłokietniku. Słońce zachodziło, a zmierzch wlewał się do zachodniej części posiadłości gorejącym, różowopomarańczowym blaskiem. Deszcz, który przez ostatni miesiąc padał dość często, sprawił, że ogród rozkwitał i olśniewał swym pięknem. Linusa to jednak nie obchodziło.

Mountrachetowie od wieków byli urodzonymi ogrodnikami.

Kolejne pokolenia podróżowały po całym świecie, przeczesaując nieznaną ziemię w poszukiwaniu egzotycznych gatunków, które systematycznie wzbogacały ich kolekcję. Jednak Linus nie miał ręki do roślin. Dar ten odziedziczyła jego mała siostrzyczka...

Cóż, może nie do końca było to prawdą.

Był taki czas, dawno, dawno temu, gdy dbał o ogrody. Gdy jako chłopiec chodził za Daviesem, podziwiając kolczaste kwiaty z antypodów, rosnące w szklarni ananasy, pędy, które wyrastały w ciągu zaledwie jednej nocy i nasiona, które pomagał zbierać.

Co dziwne, w ogrodzie Linus nie czuł wstydu. Rośliny, drzewa i kwiaty nie dbały o przeklętą lewą nogę, która w pewnym momencie przestała rosnąć i była o kilka cali krótsza od prawej. To właśnie tam zapominał, że lewa stopa jest niczym więcej jak tylko zbędnym wyrostkiem, skarłowaciałym i zdeformowanym dziwactwem. W ogrodzie Blackhurst było miejsce dla wszystkiego i dla wszystkich.

Później, w wieku siedmiu lat, Linus zgubił się w labiryncie. Davies ostrzegał chłopca, by pod żadnym pozorem nie wchodził tam sam, tłumaczył, że droga przez labirynt jest długa, ciemna i pełna przeszkód, jednak Linus – jak każdy siedmiolatek – był niefrasobliwy. Labirynt i zwiastujące przygodę zielone bujne ściany wabiły chłopca. Był rycerzem, który wyruszył na wyprawę, by odnaleźć i pokonać najokrutniejszego ze smoków, i zamierzał powrócić do królestwa w blasku chwały. Najpierw jednak musiał przedrzeć się na drugą stronę.

Jako pierwsze w labiryncie pojawiły się cienie. Linus nie przewidywał, jak szybko przyjdzie mu się zmierzyć z pierwszym wrogiem – ciemnością. W mroku ożywały posągi, które głodnym wzrokiem spoglądały na niego ze swych kryjówek. Wysokie żywopłoty zmieniły się w żądne krwi bestie, a ich skarłowaciałi bracia płatali Linusowi okrutne figle: kazali mu wierzyć, że podąża we właściwym kierunku, podczas gdy zawracał. A może nie?

Linus zdołał dotrzeć do środka labiryntu, gdy ogarnęły go rozpacz i zwątpienie. Jakby tego było mało, chłopiec potknął się o wystający z ziemi mosiężny pierścień i fatalnie zwichnął kostkę. Od tej pory nie pozostało mu nic innego, jak tylko siedzieć w miejscu, przeżywać łączy wściekłości i walczyć z nasilającym się bólem.

Linus czekał i czekał. Tymczasem zmierzch zmienił się w noc, chłód stał się zimnem, a gorące łyzy wyschły na jego policzkach. Dopiero później dowiedział się, że z polecenia ojca nikt nie wyruszył na jego poszukiwania. Ojciec powtarzał, że Linus jest chłopcem, a każdy chłopiec – kulawy czy nie – musi odnaleźć wyjście z labiryntu. Jemu udało się pokonać labirynt w wieku zaledwie czterech lat. Zdaniem ojca Linus musiał się zahartować.

Przerażony Linus spędził w labiryncie całą noc, zanim matka przekonała ojca, by wysłał Daviesa na poszukiwania.

Zwicznęta kostka zagoiła się dopiero po tygodniu, jednak przez kolejne dwa tygodnie ojciec codziennie zabierał Linusa do labiryntu. Kazał chłopcu odnajdywać drogę i gromił go za kolejne niepowodzenia. Wkrótce Linus zaczął śnić o labiryncie, a po przebudzeniu rysował mapy. Podchodził do tego jak do zagadnienia matematycznego przekonany, że istnieje jakieś rozwiązanie. Jeśli tak było, zamierzał je znaleźć.

Po dwóch tygodniach ojciec się poddał. Piętnastego poranka, kiedy Linus pojawił się na kolejnym teście, ojciec nawet na chwilę nie oderwał wzroku od gazety.

– Sprawileś mi wielki zawód – stwierdził. – Jesteś głupkiem, który nigdy niczego nie osiągnie. – Mówiąc to, przewrócił kartkę, wyprostował gazetę i przejrzał nagłówki. – Zejdź mi z oczu.

Linus nigdy więcej nie zbliżył się do labiryntu. Nie chcąc winić rodziców za własne wstydlive wady – w końcu mieli rację, bo który chłopiec nie potrafił znaleźć wyjścia z labiryntu? – zaczął obwiniać ogród. Nienawiść była tak wielka, że wkrótce Linus zaczął łamać łodygi, zrywać kwiaty i deptać młode kielki.

Ludzi kształtują rzeczy, na które nie mają wpływu, cechy odziedziczone i te nabyte. Linusa określała przeklęta kość w nodze, która za nic w świecie nie chciała urosnąć. Z upływem czasu jego kalectwo dało początek nieśmiałości, nieśmiałość doprowadziła do jąkania się i tak oto Linus Mountrachet wyrósł na niesympatycznego chłopca, który zrozumiał, że jedynym sposobem, by ściągnąć na siebie uwagę innych, jest złe zachowanie.

Kiedy przestał wychodzić z domu, jego skóra stała się blada, a zdrowa noga przywodziła na myśl wątłą tyczkę. Linus wrzucał mat-

ce owady do herbaty, wkładał ciernie do kapci ojca i z radością przyjmował kolejne kary. Tak upływały kolejne lata.

Gdy skończył dziesięć lat, przyszła na świat jego małeńka siostrzyczka.

Linus od razu zaczął nią gardzić. Była przecież ucieleśnieniem słodczy, kruchości i piękna. I – jak odkrył, zaglądając pod długą, koronkową sukieneczkę – nie była kaleką. Obie pulchne nóżki były idealnie równe, a małeńkie stópki w niczym nie przypominały wyschniętych skarłowaciałych wyrostków.

Jednak gorsze od fizycznej doskonałości było jej szczęście. Małeńki różowy uśmiech i melodyjny śmiech. Jak może być tak szczęśliwa, podczas gdy on, Linus, jest tak nieszczęśliwy.

Postanowił rozwiązać ten problem. Przy każdej nadarzającej się okazji, gdy tylko udało mu się uciec guwernantce, zakradał się do pokoju dziecinnego i klękał przy wiklinowym łóżeczku. Jeśli dziewczynka spała, budził ją krzykiem. Jeśli sięgała po zabawkę, odsuwał ją od pulchnej rączki. Gdy wyciągała ramiona, on krzyżował swoje, a jeśli się uśmiechała, twarz Linusa zmieniała się w upiorną maskę.

Mimo to dziewczynka wydawała się niewzruszona. Linus nie potrafił doprowadzić jej do płaczu, podobnie jak nie umiał zmienić jej radosnego usposobienia. Dlatego też postanowił nękać siostrzyczkę przebiegłymi drobnymi karami.

Z upływem czasu Linus stał się jeszcze bardziej niezdarny. Jako młodzieniec miał długie patykowate ramiona i wyrastające z przyszczatego podbródka dziwne rudawe włoski. Tymczasem Georgiana wyrosła na uroczą dziewczynkę, ubóstwianą przez wszystkich. Już sam jej widok wywoływał uśmiech na twarzach najbardziej ponurych mieszkańców dworu, a chłopci, którzy od lat nie mieli dobrego zdania o rodzinie Mountrachetów, przysyłali jej do kuchni kosze pełne jabłek.

Pewnego dnia Linus siedział w oknie biblioteki i za pomocą szklą powiększającego spopielał małeńkie ciała mrówek. Wystarczyła chwila nieuwagi, a pośliznął się i spadł. Chłopcu nic się nie stało, jednak cenna zabawka rozbiła się na setki drobnych kawałków. Zrozpaczony Linus, który przez całe życie rozczarowywał siebie i innych, zaczął szlochać, po czym wybuchnął niekontrolowanym

placzem. Wyrzucał sobie, że upadł w tak niefortunny sposób, że nie jest wystarczająco bystry, nie ma przyjaciół, jest niedoskonałym i niekochanym przez nikogo dzieckiem.

Tak bardzo oślepiły go własne łzy, że nie dostrzegł, iż ktoś widział jego upadek. Zorientował się dopiero wtedy, gdy poczuł na ramieniu czyjś delikatny dotyk. Podniósł wzrok i zobaczył swoją małą siostrzyczkę, która ścisnęła coś w wyciągniętej dłoni. Była to Claudine, jej ukochana lalka.

– Linus smutny – powiedziała. – Biedny Linus. Claudine pocieszyć Linusa.

Nie wiedząc, co powiedziała, Linus wziął lalkę i z uwagą spozjrzał na Georgianę, która przycupnęła obok niego na podłodze.

Z niepewnym uśmieszkiem nacisnął plastikową powiekę, aż zapadła się w oczodół i podniósł wzrok, by sprawdzić, jak ów drobny akt wandalizmu podziałał na Georgianę.

Dziewczynka ssała kciuk, patrząc na brata pełnymi zrozumienia niebieskimi oczami. Po chwili wyciągnęła drobną rączkę i wgniotła drugą plastikową powiekę.

Od tamtego dnia stali się drużyną. Georgiana cierpliwie wytrzymywała i pokornie znosiła napady szału Linusa, jego humory i podłe nastroje wywoływane wieloletnim odrzuceniem. Pozwalała się bić, obrażać i tulić.

Gdyby zostawiono ich w spokoju, wszystko ułożyłoby się pomyślnie, ale rodzice nie mogli znieść myśli, że jest ktoś, kto kocha Linusa Mountracheta. Chłopiec wiele razy słyszał, jak szeptali po kryjomu, by kilka miesięcy później wysłać Linusa do szkoły z internatem.

Choć oceny chłopca były fatalne – Linus osobiście o to zadbał – ojciec, który niejednokrotnie polował z dziekanem college’u Balliol, załatwił mu miejsce w Oksfordzie. Jedyną pozytywną rzeczą, którą Linus wyniósł z czasów studenckich, było zamiłowanie do fotografii. Zawdzięczał je wrażliwemu młodemu wykładowcy. Pozwolił Linusowi używać swojego aparatu, a w końcu doradził mu, gdy młodzieniec zdecydował się kupić własny.

Linus powrócił do Blackhurst w wieku dwudziestu trzech lat. Ach, na jaką pannicę wyrosła jego *poupée*! Miała zaledwie trzynaście

lat, a była już taka wysoka. Miała najdłuższe rude włosy, jakie w życiu widział. Onieśmielała go. Tak bardzo się zmieniła, że miał wrażenie, iż poznaje ją od nowa. Jednak pewnego dnia, kiedy robił zdjęcia w zatoce, pojawiła się w obiektywie. Siedziała na szczycie czarnej skały i spoglądała na morze. Ogniste włosy powiewały na wietrze, smukłe ramiona oplatały kolana, a jej stopy... jej stopy były bose.

Linus wstrzymał oddech. Zamrugał i jak urzeczoną wpatrywał się w siostrę, gdy ta nagle odwróciła głowę i spojrzała wprost na niego. Podczas gdy inni nie potrafili zapomnieć o obiektywie, Georgiana nie wydawała się skrępowana. Zupełnie jakby patrzyła gdzieś ponad aparatem, prosto w oczy brata. Miała to samo pełne zrozumienia spojrzenie, które napotkał, gdy płakał wiele lat temu. Niewiele myśląc, Linus nacisnął przycisk. Teraz jej twarz, jej idealna twarz, należała wyłącznie do niego.



Linus sięgnął do kieszeni płaszcza i ostrożnie wyjął fotografię. Musiał uważać, ponieważ zdjęcie było stare i nieco podarte na brzegach. Na niebie dogasał ostatni promień słońca, jednak gdyby ustawił zdjęcie pod odpowiednim kątem...

Ile razy siedział tak, spoglądając na fotografię? Jak wiele godzin ślęczał nad nią po tym, jak zniknęła? Było to jedyne zdjęcie, jakie miał, ponieważ gdy Georgiana zniknęła, ktoś – matka Adeline, jeden z jej sługusów? – wślizgnął się do ciemni i wykradł negatywy. Zostało tylko to jedno jedyne zdjęcie, które zawsze miał przy sobie.

Los dał mu jednak drugą szansę i tej Linus nie zamierzał zmarnować. Nie był już dzieckiem, a panem na Blackhurst. Matka i ojciec dawno nie żyli. Zostały tylko nieznośna żona i jej chorowita córka. Jednak kim są, by stawać mu na drodze? Zaczął spotykać się z Adeline, by ukarać rodziców za ucieczkę Georgiany. Jednak dopiero zaręczyny okazały się ciosem tak potężnym, iż obecność Adeline w domu zdawała się stosunkowo niską ceną, jaką przyszło mu zapłacić. Tak też się stało. I tak było po dziś dzień. Linus ignorował Adeline. Był przecież panem domu i dostawał to, co chciał.

Eliza. Przez chwilę rozkoszował się brzmieniem i smakiem tego imienia. Jego usta mu drżały, skórę miał chłodną.

Zamierzał dać jej prezent. Coś, co obudzi w niej uczucie wdzięczności. Coś, co z pewnością pokocha, tak jak kiedyś jej matka.

Chatka na klifie, 2005

Cassandra minęła bramę i po raz kolejny zaskoczyła ją panująca wokół chatki dziwna, nieznosna cisza. Tym razem było jednak coś jeszcze, coś, co wyczuwała, ale czego nie potrafiła nazwać. Dziwne uczucie zmowy. Jakby przechodząc przez bramy, przystała na układ, którego zasad nie znała.

Tym razem przyszła wcześniej i migające drobinki światła wciąż jeszcze przedzierały się przez gęstwinę ogrodu. Projektant ogrodów nie pojawił się przez najbliższe piętnaście minut, więc Cassandra włożyła klucz do kieszeni i postanowiła obejrzeć okolicę.

Ukryta pod porostami wąska kamienna ścieżka wiała się wzdłuż frontowej ściany, znikając za rogiem. Rosnące przy domu chwasty były tak gęste i wysokie, że aby przejść dalej, musiała je przydepnąć.

Coś w tym ogrodzie przypominało ogród Nell w Brisbane. Nie chodziło o rośliny, raczej o nastrój. Jeśli Cassandra dobrze pamiętała, ogród Nell był mieszaniną roślin ogrodowych, ziół i barwnych roślin jednorocznych. Tu i ówdzie między nimi wily się wąskie betonowe ścieżki. Ogród w niczym nie przypominał typowych podmiejskich ogródków pełnych wyschniętej, spalonej słońcem trawy i wiecznie spragnionych róż rosnących w pomalowanych na biało oponach samochodowych.

Cassandra dotarła na tyły chatki i zatrzymała się. Tuż przed nią na ścieżce wznosiła się wysoka na trzy metry gęsta platanina jeżyn. Cassandra wyciągnęła szyję, by zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

To, co ujrzała, było jednolitą zbitą masą, jakby rośliny postanowiły stworzyć mur.

Ruszyła wzdłuż żywopłotu, delikatnie muskając palcami postrzępione liście bluszczu. Była to powolna wędrówka, poszycie sięgało kolan, a każdy kolejny krok groził upadkiem. W połowie drogi Cassandra dostrzegła dziurę w gęstwinie jeżyn, wąską szczelinę, wystarczającą, by zauważyć, że po drugiej stronie znajduje się coś masywnego. Unikając kłujących cierni, wyciągnęła rękę i ostrożnie włożyła ją w prześwit. Wkrótce jej palce dotknęły czegoś twardego i zimnego.

Ściana, kamienna ściana. Sądząc po przyklepionej do palców zielonej wilgoci, najprawdopodobniej pokryta mchem. Cassandra wytarła dłoń w nogawkę dżinsów, wyjęła z kieszeni akt własności i zerknęła na mapę posiadłości. Chatka przypominała małeńki kwadrat z przodu domu. Jeśli wierzyć mapie, oznaczona linią tylna granica posiadłości ciągnie się znacznie dalej. Cassandra złożyła mapę i schowała do kieszeni spodni. Z tego, co udało jej się odczytać, mur znajduje się na terenie posiadłości Nell i nie wyznacza jej granic. Jest częścią chatki na klifie, podobnie jak to, co znajduje się po drugiej stronie.

Cassandra podjęła wędrówkę wzdłuż ściany, licząc, że niebawem znajdzie bramę lub przejście. Słońce stało wysoko na niebie, ptaki zamilkły. Powietrze było ciężkie od słodkawego, mdłego zapachu pnącej róży. Mimo iż była jesień, Cassandra zaczynała się pocić. Pomyśleć tylko, że kiedyś wyobrażała sobie Anglię jako zimny i ponury kraj. Zatrzymała się, by wytrzeć spocone czoło i uderzyła głową w coś twardego.

Zza muru, niczym gigantyczne ramię wychynął stary, sękaty konar. Jabłoni, pomyślała Cassandra, widząc wiszące na drzewie lśniące złote jabłka. Były tak dojrzałe i tak cudownie pachnące, że bez namysłu sięgnęła po jedno z nich.

Zerknęła na zegarek i obrzucając splecione jeżyny tęsknym spojrzeniem, zawróciła w kierunku domu. Wędrówka wzdłuż muru może poczekać. Teraz musiała spotkać się z ogrodnikiem. Gęste splecione chaszczki i wysokie trawy tak bardzo potęgowały uczucie odosobnienia, że Cassandra miała wrażenie, iż mogłaby nie usłyszeć

mężczyzny, nawet gdyby wołał ją po imieniu.

Otworzyła frontowe drzwi i weszła do środka.

Dom zdawał się nasłuchiwać, jakby czekał na to, co stanie się za chwilę. Cassandra musnęła dłonią jedną ze ścian.

– Mój dom – szepnęła wzruszona. – Oto mój dom.

Słowa leniwie przylgnęły do ścian. W tej ciszy wydały się Cassandrze dziwne i nieoczekiwane. Przeszła przez kuchnię, minęła kołowrotek i weszła do małego salonu we frontowej części domu. Teraz, kiedy była tu sama, wszystko zdawało się inne. Dziwnie znajome, jak miejsce, które odwiedziła wiele lat temu.

Cassandra przycupnęła na starym bujanym fotelu. Wystarczająco dobrze знаła się na antykach, by wiedzieć, że mebel wytrzyma jej ciężar. Mimo to był w niej pewien niepokój, jakby w pobliżu czał się prawowity właściciel, który w każdej chwili może wrócić i zastać intruza siedzącego w jego fotelu.

Wycierając jabłko w koszulę, Cassandra wyjrzała przez brudne okno. Splecione ciasno pnącza stworzyły na szybie żywą zieloną kratę, jednak Cassandra zdołała dostrzec widoczny za szybą, pełen zakamarków ogród. Stał w nim niewielki posązek, którego wcześniej nie dostrzegła. Siedzący na kamieniu chłopiec, spoglądający na dom szeroko otwartymi oczami.

Cassandra podniosła jabłko do ust i poczuła intensywny zapach słońca. To jabłko z jej własnego ogrodu, z jabłoni, która mimo swego wieku, wciąż rodzi owoce. Rok po roku. Miało intensywny, słodki smak. Czy owoce zawsze były tak pyszne?

Ziewnęła. Słońce sprawiło, że poczuła się śpiąca. Miała ochotę posiedzieć jeszcze przez chwilę, dopóki nie przyjedzie ogrodnik. Ugryzła kolejny kęs jabłka. W pokoju zrobiło się ciepło. Jakby ktoś napalił w piecu i zamierzał przygotować lunch. Powieki miała ciężkie i mimowolnie zamknęła oczy. Gdzieś za oknem zaśpiewał ptak. Była to cudowna melodia pełna smutku i tęsknoty. Targane wiatrem liście zapukały do okien, a ocean oddychał głęboko: wdech i wydech, wdech i wydech...



...myśli tłukły się jej w głowie. Przemierzyła kuchnię, zatrzy-

mała się przy oknie, jednak nie wyjrzała na zewnątrz. Zamiast tego zerknęła na stojący na kominku mały zegar. Spóźnia się. Mówił, że będzie o wpół do. Zastanawiała się, skąd ta opieszałość. Może go przylapano? Może się rozmyślił? A może właśnie do niej idzie.

Policzki miała rozpalone. W pokoju było gorąco. Podeszła do pieca i przykręciła szyber. Zastanawiała się, czy nie powinna przygotować czegoś do jedzenia.

Gdzieś za oknem dał się słyszeć hałas.

Spokój prysnął. Jest tutaj.

Otworzyła drzwi i bez słowa wpuściła go do środka.

Teraz, gdy stał w maleńkim przedpokoju, wydawał się taki wielki, i choć zdążyła go poznać, wciąż unikała jego wzroku.

On również był zdenerwowany. Czuła to, choć robił wszystko, by ukryć emocje.

Usiedli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Teraz dzieliło ich tylko rozedrgane światło lampy. Dziwne miejsce do siedzenia w nocy, ale tak właśnie musiało być. Spojrzała na swoje dłonie i zastanowiła się, jak powinna zacząć. Z początku wszystko wydawało się takie proste. Teraz widziała piętrzące się przed nimi kolejne pułapki, które czekały tylko na jeden fałszywy krok. Być może zawsze tak było.

Wyciągnął rękę.

Wstrzymała oddech, patrząc, jak chwyta w palce długie pasmo jej włosów. Spoglądał na nie przez chwilę, która wydała się jej wiecznością. Nie patrzył na włosy, patrzył na jej włosy w swoich dłoniach.

W końcu podniósł wzrok i spojrzał na nią. Jego dłoń musnęła rozpalony policzek. Uśmiechnął się. Ona również odpowiedziała uśmiechem. Westchnął z ulgą. Chwilę później otworzył usta i powiedział...



– Halo? – Usłyszała głośnie pukanie. – Halo? Jest tu kto?

Cassandra otworzyła oczy. Jabłko potoczyło się po podłodze.

Usłyszała ciężkie kroki i po chwili w drzwiach stanął mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany, po czterdziestce. Miał ciemne włosy, równie ciemne oczy i szczery szeroki uśmiech.

– Witam. – Podniósł ręce, jak gdyby chciał się poddać. – Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha.

– Przestraszył mnie pan – odparła Cassandra, podnosząc się z krzesła.

– Przepraszam. – Wszedł do środka. – Drzwi były otwarte. Nie wiedziałem, że ucięła sobie pani drzemkę.

– Nie spałam. To znaczy spałam, ale wcale tego nie planowałam. Chciałam trochę posiedzieć, ale... – Urwała, mając w pamięci dziwny sen. Minęło wiele czasu, odkąd śniła o czymś równie zmysłowym, a jeszcze więcej, odkąd robiła coś równie zmysłowego i erotycznego. Nie od śmierci Nicka. Nie, żeby to się liczyło i żeby chciała to pamiętać. Skąd, u diabła, wziął się ten sen?

Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Nazywam się Michael Blake, ogrodnik do zadań specjalnych. Ty pewnie jesteś Cassandra.

– Tak. – Zarumieniła się i ucisnęła jego potężną, ciepłą dłoń.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Kolega mówił mi, że australijskie dziewczyny są piękne, ale nigdy mu nie wierzyłem. Teraz widzę, że nie kłamał.

Cassandra nie wiedziała, gdzie oczy podziać, więc wbiła wzrok tuż ponad ramieniem Michaela. W takich sytuacjach zawsze czuła się skrępowana, a przedziwny sen tylko spotęgował to nieprzyjemne uczucie. Miała wrażenie, że wciąż czai się w zakamarkach domu.

– Słyszałem, że masz problemy z drzewem.

– Tak. – Cassandra zamrugła i pokiwała głową, licząc, że w ten sposób zapomni o śnie. – Tak. Dziękuję, że przyszedłeś.

– Jak mógłbym odmówić damie w opalach? – Na przystojnej twarzy znów pojawił się szeroki szczerzy uśmiech.

Cassandra ciaśniej otuliła się swetrem. Spróbowała odpowiedzieć tym samym, ale uśmiech był nieszczerzy i pruderyjny.

– To tu. Na schodach.

Michael ruszył za nią w głąb korytarza, pochylając się nieco, gdy dotarli do schodów. Widząc zwalone drzewo, zagwizdał przeciągle.

– To jedna ze starych sosen. Wygląda na to, że leży tu od jakiegoś czasu. Niewykluczone, że przewróciła ją potężna burza, która przeszła nad miasteczkiem w dziewięćdziesiątym piątym roku.

– Dasz radę ją usunąć?

– Jasne, że tak. – Michael spojrział przez ramię ponad głową Cassandry. – Chris, przynieś piłę łańcuchową.

Cassandra odwróciła się. Nie miała pojęcia, że oprócz nich w domu jest ktoś jeszcze. Tuż za nią stał drugi mężczyzna, szczuplejszy od Michaela i z pewnością trochę młodszy. Rudawobrazowe włosy opadały w lokach na smukłą szyję. Miał oliwkową skórę i brązowe oczy.

– Christian – rzucił, kiwając głową. Wyciągnął rękę, zawahał się, wytarł ją w nogawkę spodni i znowu wyciągnął, tym razem bardziej zdecydowanie.

Cassandra podała mu rękę.

– Piła, Chris – przypomniał Michael. – No już, pospiesz się.

Kiedy mężczyzna wyszedł, ogrodnik spojrział na Cassandrę i figlarnie uniósł brwi.

– Za pół godziny powinienem być w hotelu, ale bez obaw. Zrobię, co trzeba, i zostawię zaufanego człowieka, żeby dokończył robotę. – Cassandra niemal skuliła się pod jego spojrzeniem. – A więc to twój dom. Całe życie mieszkam w miasteczku i do głowy by mi nie przyszło, że do kogoś należy.

– Sama przyzwyczajam się do tej myśli.

Michael ogarnął wzrokiem ruinę i znacząco uniósł brew.

– Co taka ładna Australijka robi w takiej ruderze?

– Dostałam ją w spadku po babce.

– Twoja babka była Angielką?

– Australijką. Kupiła dom w latach siedemdziesiątych, kiedy przyjechała tu na wakacje.

– Niezła pamiątka. Nie mogła znaleźć czegoś mniejszego? Ładnego ręcznika albo czegoś podobnego?

Słyszac hałas, spojrział na drzwi i stojącego w nich Christiana. Mężczyzna trzymał w dłoniach wielką piłę łańcuchową.

– Tego szukasz?

– To piła z łańcuchem – odparł Michael, puszczając oko do Cassandry. – Chyba tego nam trzeba.

Korytarz był wąski i Cassandra stanęła pod ścianą, by przepuścić Christiana. Kiedy ją mijał, nie podniosła wzroku i z udawanym

zainteresowaniem spoglądała na poluzowaną listwę podłogową. Sposób, w jaki Michael odzywał się do Christiana sprawiał, że czuła się skrępowana.

– Chris od niedawna jest w tym biznesie – wyjaśnił Michael, nie zwracając uwagi na jej zakłopotanie. – Wciąż jeszcze nie umie odróżnić piły łańcuchowej od krajzezi. Jest zielony, ale niedługo zrobimy z niego prawdziwego drwala. – Uśmiechnął się. – W końcu nazywa się Blake. Ma to we krwi. – Dał bratu kuksańca, po czym obaj skupili się na pracy.

Cassandra odetchnęła z ulgą, gdy w domu rozległ się ogłuszający ryk piły, a ona mogła spokojnie wrócić do ogrodu. Mimo iż wiedziała, że powinna wyrwać pchające się do domu splątane pnącza, ciekawość wzięła górę. Znajdzie w murze jakąś szczelinę, choćby miała poświęcić na to cały dzień.



Słońce stało wysoko, a najmniejszy nawet cień był na wagę złota. Cassandra zdjęła sweter i położyła go na pobliskim kamieniu. Poczwała tańczące na nagich ramionach drobinki światła, a gdy na jej czole pojawiły się pierwsze krople potu, zaczęła żałować, że nie wzięła kapelusza.

Idąc wzdłuż muru, przeszukiwała splątane chaszcze. Od czasu do czasu zatrzymywała się i choć ostrożnie sięgała w głąb kolczastych tuneli, myślami wciąż wracała do dziwnego snu. Był tak rzeczywisty, że pamiętała niemal każdy szczegół – przedmioty, zapachy, a nawet panujący we śnie nastrój. Przesycony erotyką, zaprawiony nutką zakazanej żądzy.

Potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić z umysłu niechciane natarchy emocje i skupiła się na tajemnicy Nell. Poprzedniej nocy siedziała do późna, czytając jej pamiętnik. Jeśli można było mówić o czytaniu. Jakby mało było problemów z pożerającą stronicę pleśnią, po tym jak Nell przyjechała do Kornwalii, bażgroły stały się jeszcze bardziej nieczytelne. Bardziej strzeliste, pokręcone i niechlujne. Cassandra szła o zakład, że pisano je w wielkim pośpiechu i emocjach.

Niemniej zdołała odczytać kolejne zapiski. Była zauroczona

barwnymi opisami powracających wspomnień, przekonaniem, że Nell odwiedziła chatkę, będąc małą dziewczynką. Cassandra nie mogła doczekać się chwili, gdy zobaczy albumy, które znalazła Julia, pamiętniki, w których matka Nell zapisywała swe najskrytsze myśli. Była pewna, że rzucą zupełnie nowe światło na dzieciństwo Nell i jej uprowadzenie przez Elizę Makepeace.

Nagle usłyszała gwizd, głośny i przenikliwy. Podniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć jakiegoś ptaka.

Zamiast niego ujrzała Michaela, który obserwował ją, stojąc przy rogu domu.

– Imponujący gąszcz – zauważył.

– Wystarczy porządnie wyplewić – odparła, niezgrabnie dźwigając się z ziemi. Zastanawiała się, jak długo na nią patrzył.

– Rok plewienia i piła łańcuchowa. – Uśmiechnął się szeroko. – Lecę do hotelu. Zostawiam Chrisa, żeby zapiął wszystko na ostatni guzik. – Mówiąc to, skinął głową w kierunku domu. – Powinien dać sobie radę. Upewnij się tylko, że wszystko jest tak, jak sobie życzysz. – Przerwał z tym samym niewymuszonym uśmiechem. – Masz mój numer, prawda? Zadzwoń. Pokażę ci kilka miejscowych atrakcji.

Nie była to prośba. Cassandra uśmiechnęła się i niemal natychmiast tego pożałowała. Podejrzewała, że w oczach Michaela każda reakcja zostanie odczytana jako zgoda. I faktycznie, idąc w kierunku domu, puścił do niej oko.

Cassandra z westchnieniem ruszyła w kierunku ściany. Christian, który korzystając ze zwalonego pnia, wdrapał się na dach, obcinał ręczną piłą wystające gałęzie. Podczas gdy Michael wydawał się zbyt niefrasobliwy, w Christianie wyczuwało się jakieś przejęcie, widoczne we wszystkim, co robił i czego dotyczył. Kiedy na nią spojrział, odwróciła wzrok i z udawanym zainteresowaniem znów zaczęła oglądać ścianę.

Panująca w ogrodzie niezręczna cisza potęgowała każdy, choćby najmniejszy dźwięk: chrobotliwy jęk piły, ptasie łapki na rozgrzanych dachówkach, cichy szelest płynącej gdzieś daleko wody. Zazwyczaj Cassandra lubiła pracować w milczeniu, przywykła do samotności, a nawet ją polubiła. Jednak tego dnia nie była sama i im dłużej udawała, że tak właśnie jest, tym bardziej nieznośna zdawała

się cisza.

W końcu nie wytrzymała.

– Tam jest jakaś ściana – zagaiła, a jej głos wydał się zbyt głośny i ostry, niż tego chciała. – Znalazłam ją wcześniej.

Christian oderwał wzrok od powykręcanych gałęzi i spojrzał na nią, jakby zacytowała fragment układu okresowego pierwiastków.

– Problem w tym, że nie wiem, co jest po drugiej stronie – ciągnęła. – Nie mogę znaleźć bramy, a na planie w ogóle jej nie zaznaczono. Wiem, że masz pełne ręce roboty, ale pomyślałam, że może uda ci się zobaczyć coś z góry.

Christian zerknął na swoje ręce i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

Ma ładne dłonie, pomyślała Cassandra i natychmiast odegnała od siebie podobne bzdury.

– Widzisz, co jest po drugiej stronie?

Mężczyzna zacisnął usta, wytarł ręce w nogawki dżinsów i lekko skinął głową.

– Naprawdę? – Tego się nie spodziewała. – Co tam jest? Powiedz, co tam jest.

– Zrobimy inaczej – odparł, łapiąc się okapu i zeskakując z dachu. – Chodź, pokażę ci.



Dziura była mała, znajdowała się tuż przy ziemi i była tak ukryta, że Cassandra mogłaby jej szukać przez kolejny rok, a i tak by jej nie znalazła. Tymczasem klęczący przy murze Christian rozcinał gołymi dłońmi ziemię i chwasty.

– Panie przodem – oznajmił chwilę później, odsuwając się na bok.

Cassandra zerknęła na niego.

– Myślałam raczej o bramie.

– Jeśli znajdziesz bramę, osobiście cię przez nią przeprowadzę.

– Chcesz, żebym... – Zerknęła na dziurę. – Nie wiem, czy potrafię, nie mam pojęcia, jak...

– Na brzuchu. Nie jest tak mała, jak się wydaje.

Co do tego Cassandra miała pewne wątpliwości. Szczelina wy-

glądała na naprawdę wąską. Mimo to dzień bezowocnych poszukiwań utwierdził ją w przekonaniu, że musi dowiedzieć się, co jest po drugiej stronie muru. Przyklękła więc i posłała Christianowi niepewne spojrzenie.

– Jesteś pewien, że to bezpieczne? Używałeś wcześniej tego przejścia?

– Chyba ze sto razy. – Podrapał się w szyję. – Oczywiście byłem wtedy młodszy i mniejszy, ale... – Uśmiechnął się. – Żartuję. Przepraszam. Zobaczysz, nic ci nie będzie.

Poczuła ulgę, gdy jej głowa bezpiecznie prześlizgnęła się przez otwór i stało się jasne, że nie utknie w ceglany murze. W każdym razie nie w tę stronę. Przesunęła się przez chwilę tak szybko, jak było to możliwe, i wstała. Otrzeпаła ręce i powiodła dookoła zdziwionym wzrokiem.

Była w ogrodzie. Otoczonym murem ogrodzie. Zaniebanym, ale wciąż pięknym. Ktoś kiedyś dbał o te rośliny. Pozostałości dwóch ścieżek wiły się w tę i z powrotem, przeplatając się jak koronki na bucikach do tańca irlandzkiego. Rozpięte na drabinkach krzewy strzegły granic ogrodu, a na zawieszonych nad głową drutach wiły się głodne pędy wisterii, tworząc zielony baldachim. Przy południowej ścianie rośło prastare guzowate drzewo. Cassandra podeszła bliżej. Była to ta sama jabłoń, której konar wystawał ponad ścianą jak ogromne, zastygłe w bezruchu ramię. Podniosła rękę, by jeszcze raz dotknąć złocistych owoców. Drzewo miało pięć metrów wysokości i wyglądało jak japońskie drzewko bonsai, które Nell podarowała Cassandrze na dwunaste urodziny. Przez dziesiątki lat krótki krępy pień przechylał się na bok, aż w końcu ktoś wsparł najcięższą gałąź na drewnianej podporze. Widoczne na korze ślady przypaleń zdradzały, że drzewo często padało ofiarą piorunów. Cassandra wyciągnęła rękę i pieszczotliwie musnęła palcami nadpalony pień.

– To niesamowite miejsce. Pełne magii, prawda? – Christian stał pośrodku ogrodu, tuż przy zardzewiałej żelaznej ławeczce. – Czuję to nawet wtedy, gdy przychodziłem tu jako dziecko.

– Przychodziłeś tu?

– Bardzo często. To była moja kryjówka. Nikt poza mną o niej nie wiedział. – Wzruszył ramionami. – No, prawie nikt.

Uwagę Cassandry przykuło coś lśniącego. Coś, co wyzierało spod płataniny bluszczu, za plecami Christiana. Lśniący w słońcu metal. Drzwi. Ukryte za grubymi niczym macki pnączami i gigantyczną pajęczyną, prawdopodobnie wejściem do kryjówki wielkiego pająka. Albo – jak kto woli – wyjściem.

Z pomocą Christiana Cassandra zerwała kilka ciernistych gałęzi, zza których wychynęła poczerniała ze starości mosiężna klamka. Cassandra szarpnęła ją nerwowo. Drzwi były zamknięte.

– Ciekawe, dokąd prowadzą.

– Po drugiej stronie jest labirynt, który ciągnie się aż do posiadłości – odparł Christian. – Kończy się nieopodal hotelu. Przez ostatnie kilka miesięcy Michael próbował doprowadzić go do porządku.

Oczywiście, labirynt. Przecież wiedziała. Tylko gdzie o nim czytała? W zapiskach Nell? W hotelowej broszurze?

– Dlaczego twoja babka kupiła ten dom? – spytał Christian, strzepując z ramienia suchy liść.

– Urodziła się w tych okolicach.

– W miasteczku?

Cassandra zawahała się, niepewna, jak dużo może powiedzieć temu człowiekowi.

– Właściwie we dworze. W Blackhurst. Dowiedziała się o tym, mając sześćdziesiąt lat, kiedy zmarł jej przybrany ojciec. Jej rodzicami byli Rose i Nathaniel Walker. Był...

– Artystą, wiem. – Christian podniósł z ziemi niewielki patyk. – Mam zbiór baśni z jego ilustracjami.

– *Magiczne opowieści dla chłopców i dziewcząt?*

– Tak. – Spojrzał na nią zdumiony.

– Też ją mam.

Uniósł brwi.

– Nie wydrukowano ich zbyt wiele. To znaczy w porównaniu z obecnymi nakładami. Wiedziałaś, że Eliza Makepeace mieszkała w tej chatce?

Cassandra pokręciła głową.

– Myślałam, że mieszkała we dworze...

– Większość jej baśni powstała w tym ogrodzie.

– Sporo o niej wiesz.

– Ostatnio na nowo odkrywam jej opowieści. Uwielbiam je, odkąd jako dzieciak znalazłem książkę w miejscowym sklepie z używanymi rzeczami. Jest w nich coś urzekającego, jakby za słowami kryło się coś więcej. – Zaszurał nogami. – To chyba żalosne: dorosły facet czytający bajki dla dzieci.

– Wcale tak nie uważam. – Cassandra zauważyła, że choć trzymał ręce w kieszeniach, bez przerwy poruszał ramionami. Zupełnie, jakby się denerwował. – Którą najbardziej lubisz?

Przechylił głowę i zmrużył oczy.

– *Oczy więdźmy.*

– Naprawdę? Dlaczego?

– Różni się od innych. Ma jakiś głębszy sens. Poza tym jak każdy ośmiolatek byłem zadurzony w księżniczce. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Kto by nie lubił dziewczyny, która straciła dom, rodziców i miała wystarczająco dużo odwagi, by wyruszyć na wyprawę w poszukiwaniu oczu jakieś staruchy?

Cassandra odpowiedziała uśmiechem. Baśń o księżniczce, która nie wiedziała, że jest księżniczką, była pierwszą opowieścią Elizy, jaką przeczytała. Było to tamtego upalnego dnia w Brisbane, kiedy jako dziesięcioletka nie posłuchała polecenia Nell i odkryła leżącą pod łóżkiem walizkę.

Christian złamał patyk i odrzucił kawałki na bok.

– Pewnie będziesz chciała sprzedać ten domek.

– Dlaczego pytasz? Masz ochotę go kupić?

– Za to, co zarabiam u Mike’a? – Na krótką chwilę ich spojrzenia się spotkały. – Nie spodziewaj się zbyt wiele.

– Nie wiem, jak sobie z tym poradzę – westchnęła. – Nie miałam pojęcia, że jest tu tyle do zrobienia. Ogród, dom... – Machnęła ręką w kierunku południowej ściany. – Przekłeta dziura w dachu.

– Na jak długo zostajesz?

– Mam rezerwację w hotelu na kolejne trzy tygodnie.

Pokiwał głową.

– To powinno wystarczyć.

– Tak myślisz?

– Jasne.

– To się nazywa wiara. Nie widziałeś nawet, jak trzymam młotek.

Christian ujął w palce zbłąkany wąs wisterii i delikatnie wetknął go między splątane chaszczce.

– Pomogę ci.

Cassandra oblała się rumieńcem. Nie chciała, żeby pomyślał, że o to właśnie jej chodziło.

– Nie chciałam... Nie mam... – Odetchnęła. – Planując budżet, nie przewidziałam remontu.

Uśmiechnął się. Tym razem odrobinę swobodniej.

– I tak zarabiam grosze. Równie dobrze mogę pracować za darmo w miejscu, które kocham.

33

Tregenna, 1975

Nell spojrzała na wzburzone morze. Był to pierwszy pochmurny dzień, odkąd przyjechała do Kornwalii, i cały krajobraz zdawał się drżeć. Tulące się do zmarzniętych grani białe chatki, srebrzyste mewy, nawet szare niebo, które chwilami przypominało opuchnięte od wilgoci oszalałe morze.

– Najlepszy widok w całej Kornwalii – zauważyła pośredniczka.

Nell nie skomentowała tej uwagi i wyglądając przez małe mandsardowe okno, spoglądała na skłębione fale.

– W pokoju obok jest jeszcze jedna sypialnia. Mniejsza, ale jednak sypialnia.

– Potrzebuję więcej czasu, by rozejrzeć się po domu – odparła Nell. – Kiedy skończę, zejdę do pani.

Kobieta przyjęła to z wyraźną ulgą i po chwili Nell widziała, jak otulając się płaszczem, zmierza ku bramie. Stojąc przy oknie, widziała jeszcze, jak zмага się z wiatrem, by zapalić papierosa. Spojrzała w kierunku ogrodu. Musiała wyteńczyć wzrok, by wśród pchających się do okien postrzępionych liści bluszczu dostrzec kamienną chłopięcą głowę.

Oparła się o zakurzoną futrynę, czując pod palcami chropowatą fakturę drewna. Wiedziała, że była tu już wcześniej, jako mała dziewczynka. Stała w tym samym miejscu, w tym samym pokoju, patrząc na to samo morze. Zamknęła oczy i spróbowała przywołać wspomnienia.

W miejscu, gdzie teraz stała, było kiedyś łóżko. Jednoosobowe proste łóżko z mosiężnymi wykończeniami i spłowiałymi zdobieniami, które czekały na wypolerowanie. Z sufitu zwisała się siatka, tak delikatna i zwiewna jak biała mgła, która wisiała nad horyzontem zawsze wtedy, gdy daleko od brzegu szalały potężne burze. Chłodna w dotyku, patchworkowa narzuta, podskakujące na wodzie kutry rybackie i pływające w sadzawce płatki kwiatów.

Siedzenie w tym oknie, najdalej wysuniętym punkcie domu, przypominało zwisanie ze szczytu klifu. Zupełnie jak księżniczka w jednej z jej ulubionych bajek przemieniona w ptaka huśtającego się w złotej klatce...

Z dołu dobiegły podniesione głosy taty i Autorki.

Jej imię, Ivory, ostre i postrzępione jak gwiazda wycięta z kartonu tępymi nożyczkami. Jej imię było bronią.

Ciskane w gniewie słowa. Dlaczego tata krzyczał na Autorkę? Tata, który nigdy w życiu nie podniósł głosu.

Dziewczynka była przerażona, nie chciała tego słuchać.

Zatkała uszy, śpiewała w myślach piosenki, snuła opowieści, myślała o złotej klatce, księżniczce ptaku huśtającej się w swym więzieniu i czekającej.

Nell chciała wyrzucić z pamięci dziecięcą piosenkę i obraz złotej klatki. Gdzieś w najciemniejszych zakamarkach umysłu czała się prawda. Wystarczyło ją pochwyć i wyciągnąć na powierzchnię...

Ale nie dziś. Otworzyła oczy. Dziś wspomnienia są zbyt oślizłe, a woda wokół nich zbyt mętna.

Nell zeszła na dół po wąskich schodach.

Kiedy pośredniczka zamknęła bramę, obie w milczeniu ruszyły do zaparkowanego przed domem samochodu.

– I co pani myśli? – spytała kobieta zdawkowo, jakby знаła już odpowiedź.

– Chciałabym go kupić.

– Może mogłabym jeszcze... – Agentka podniosła wzrok znad drzwi samochodu. – Chce go pani kupić?

Nell spojrzała na spowity mgłą horyzont. W pewien sposób cieszyło ją to załamanie pogody. Groźba deszczu i niskie skłębione chmury sprawiły, że czuła się jak nowo narodzona. Oddychała głą-

biej i miała jaśniejszy umysł.

Nie miała pojęcia, jak zapłaci za chatkę i co sprzeda, by zdobyć pieniądze. Wiedziała tylko, że musi ją mieć. Wiedziała to od chwili, gdy przypomniała sobie siedzącą przy sadzawce małą dziewczynkę. Siebie z dalekiej przeszłości.



W drodze powrotnej do Tregenny agentka zasypywała Nell obietnicami o tym, że przywiezie potrzebne dokumenty, kiedy tylko je wydrukuje. Zna również świetnego notariusza, z którym może ją skontaktować. W końcu Nell zatrzęsnęła drzwiami auta i weszła do holu hotelowego. Była tak zajęta obliczaniem różnicy czasu – czy powinna dodać trzy godziny i potraktować ranek jak wieczór? – gotowa zadzwonić do kierownika banku i wyjaśnić nagły zakup chatki na drugim końcu świata, że nie zauważyła nadchodzącej osoby, dopóki o mało na nią nie wpadła.

– Przepraszam – rzuciła z roztargnieniem.

Robyn Martin zamruła szybko.

– Czekaaś na mnie? – spytała Nell.

– Przyniosłam ci coś. – Robyn wręczyła Nell plik spiętych papierów. – To materiały do artykułu o rodzinie Mountrachetów. – Przeszła z nogi na nogę. – Słyszałam, jak pytałaś o nią Gumpa i wiedziałam, że nie będzie w stanie... że niewiele ma w tej kwestii do powiedzenia.

– Dziękuję – odparła wzruszona Nell. – I przepraszam, jeśli...

Robyn pokiwała głową.

– Czy twój dziadek...?

– Czuje się znacznie lepiej. Właściwie zastanawiałam się, czy w przyszłym tygodniu wpadłabyś do nas na kolację. To znaczy do Gumpa.

– Dziękuję, że pytasz – odparła Nell – ale nie sądzę, żeby twój dziadek miał na to ochotę.

Robyn pokręciła głową, a lśniące włosy rozsypały się wokół jej twarzy.

– Ależ nie, źle mnie zrozumiałaś.

Nell uniosła brwi.

– To jego pomysł – wyjaśniła Robyn. – Powiedział, że jest coś, o czym chciałby ci opowiedzieć. Coś na temat chatki i Elizy Makepeace.

34

Nowy Jork i Tregenna, 1907

*Panna Rose Mountrachet,
liniowiec „Luzytania”*

9 września 1907

*Panna Eliza Mountrachet,
posiadłość Blackhurst
Kornwalia, Anglia*

Najdroższa Elizo!

Ach! Jakże cudowna jest „Luzytania”! Pisząc ten list, siedzę na górnym pokładzie – przy małym stoliku w Veranda Café – patrząc na nieskończenie błękitny Atlantyk, podczas gdy nasz ogromny „pływający hotel” niesie nas w stronę Nowego Jorku.

Na pokładzie panuje odświeżająca atmosfera, a wszyscy wierzą, że „Luzytania” odbierze Niemcom Błękitną Wstęgę Atlantyku. Gdy statek rozpoczynał w Liverpoolu swą dziewiczą podróż, ludzie na pokładzie śpiewali: „Brytyjczycy nigdy, nigdy nie będą niewolnikami”. Ludzie w dokach machali flagami, a było ich tak dużo, że nawet gdy oddalaliśmy się od brzegu i ludzie zmieniali się w małe plamki na horyzoncie, wciąż widziałam te flagi. Kiedy łódzie żegnały nas donośnym trąbieniem, przysięgam, że dostałam gęsiej skórki, a moje serce przepełniła duma. Jakże to wspaniałe uczestniczyć w tak doniosłych wydarzeniach! Jak myślisz, czy historia będzie o nas pamiętała? Mam taką nadzieję – pomyśleć tylko, że jeden

człowiek może zrobić tak wiele, wpłynąć na bieg wydarzeń, a przez to zmienić swoje życie!

Wiem, co myślisz na temat Błękitnej Wstęgi Atlantyku – że to głupi wyścig wymyślony przez głupich ludzi, którzy chcą udowodnić, że ich statek okaże się szybszy od statku należącego do jeszcze głupszych ludzi! Ale, najdroższa Elizo, być tu i oddychać tą magiczną atmosferą podniecenia i podboju... Cóż, mogę jedynie powiedzieć, że to niezwykle ożywcze! Czuję się doskonale i choć wiem, że czytając to, przewrócisz oczami, pozwól, że wyznam ci, iż odbędziemy tę podróż w rekordowym czasie i zdobędziemy należne nam honory i miejsce.

Cały statek urządzony jest z takim przepychem, że czasami trudno pamiętać, że jesteśmy na morzu. Mama i ja zajmujemy jeden z dwóch apartamentów królewskich, który składa się z dwóch sypialni, pokoju dziennego, jadalni, prywatnej łazienki, toalety i spiżarni. Jego wnętrze przypomina malenkie obrazki Wersalu z książki, którą panna Tranton przyniosła w ubiegłym roku do klasy.

Przypadkiem podsłuchałam, jak jedna z wytwornych dam mówiła, że to najwspanialszy statek, na jakim miała okazję płynąć. Nie wiem, kim była owa pani, ale jestem przekonana, że to ktoś Niezwykle Ważny, ponieważ widząc ją, mama dosłownie zaniemówiła. Nie obawiaj się, nie trwało to wiecznie. Jak wiesz, mama nie potrafi długo się powstrzymywać. Szybko odzyskała mowę i do tej pory nadrabia stracony czas. Nasi towarzysze to według niej londyńska śmietanka towarzyska, dlatego należy „oczarować ich wdziękiem”. Przykazano mi, bym zawsze wyglądała kwitnąco. Dzięki Bogu mam dwie szafy pełne najpiękniejszych sukienek! Przynajmniej w tej kwestii mama i ja jesteśmy jednomyślne. Niestety, wciąż mamy odmienne poglądy na temat mężczyzn i za każdym razem, gdy mama wskazuje dżentelmena, który byłby dla mnie idealny, jestem szczerze przerażona. Ale dość już – obawiam się, że jeśli nadal będę rozprawiała o równie nieistotnych sprawach, stracę wierną słuchaczkę w osobie ukochanej kuzynki.

Wróćmy zatem do statku. Abyś mogła być ze mnie dumna,

przeprowadziłam pewne badania. Wczoraj rano wyrwałam się na chwilę spod opieki mamy i spędziłam uroczą godzinę w ogrodzie na dachu „Luzytanii”. Myślałam o tobie, najdroższa, jak bardzo byłabyś zdziwiona, wiedząc, że tak cudowne rośliny mogą rosnąć na pokładzie statku. Na każdym rogu stoją donice z pysznie zielonymi drzewami i najpiękniejszymi kwiatami. Siedząc pośród nich, czułam się naprawdę szczęśliwa (nikt nie wie lepiej ode mnie o leczniczych właściwościach ogrodów) i na chwilę zatopiłam się w marzeniach. (Ty z pewnością będziesz wiedziała, dokąd pognały moje myśli...).

Och, jakże żałuję, że nie dałaś się przekonać i nie popłynęłaś z nami, Elizo. Powinnam cię skarcić, ponieważ nie rozumiem twojej decyzji. W końcu to ty wpadłaś na pomysł, byśmy pewnego dnia razem wyjechały do Ameryki, zobaczyły nowojorskie drapacze chmur i wspaniałą Statuę Wolności. Nie pojmuję więc, co skłoniło cię do zmiany planów i pozostania w Blackhurst w towarzystwie ojca. Jak zwykle stanowisz dla mnie zagadkę, choć wiem, moja droga, uparta Elizo, że gdy raz podejmiesz decyzję, nic nie jest w stanie jej zmienić. Powiem tylko, że tęsknię za tobą i często wyobrażam sobie figle, które mogłybyśmy płatać, gdybyś była tu ze mną. (Ach, jakież zamęt wprowadziłybyśmy w życie biednej mamy!). Aż dziw pomyśleć, że kiedyś w ogóle cię nie znałam. Teraz, gdy o tym myślę, zdaje mi się, że zawsze byłaś częścią mojego życia, a wszystkie te lata spędzone w Blackhurst bez ciebie, droga Elizo, to nic więcej jak tylko oczekiwanie na twój przyjazd.

Ach, mama mnie woła. Zdaje się, że znów oczekują nas w jadalni. (Posiłki, Elizo! Zanim po raz kolejny zasiądę do stołu, muszę przespacerować się po pokładzie!). Mama z pewnością zadbała o to, by podczas posiłku towarzyszył nam jakiś hrabia lub syn bogatego przemysłowca. Mama powtarza, że w takim wypadku nie wystarczą starania córki, i tu się nie myli. Nigdy nie poznam Swego Przeznaczenia, jeśli zamknę się przed światem.

A zatem żegnaj cię, droga Elizo, i pragnę ci powiedzieć, że choć nie ma cię przy mnie ciałem, czuję twoją obecność. Wiem, że gdy po raz pierwszy spojrzę na osławioną panią Wolność, usłyszę

*jak mówisz do mnie: „Spójrz tylko na nią i pomyśl o wszystkim,
co widziała”.*

*Na zawsze twoja ukochana kuzynka,
Rose*



Eliza zacisnęła dłonie na owiniętej w brązowy papier paczce. Stojąc na progu jedyne go w Tregennie sklepu wielobranżowego, patrzyła na wiszące nad ziemią ciemnoszare stalowe chmury. Zamglony horyzont ostrzegał przed szalejącym na morzu sztormem, a powietrze w miasteczku było ciężkie od wilgoci. Eliza nie wzięła torby, ponieważ wychodząc z domu, nie planowała wycieczki do miasta. Opowieść pojawiła się w jej głowie późnym rankiem i należało niezwłocznie przelać ją na papier. Ostatnie kartki w notesie i tak nie pomieściłyby całej historii, więc Eliza zdecydowała się na zorganizowaną naprędce wyprawę do Tregenny.

Po raz ostatni zerknęła na ponure niebo i pośpiesznie ruszyła wzdłuż przystani. Gdy dotarła do rozwidlenia, zignorowała główną drogę, wybierając prowadzącą w stronę klifu wąską ścieżkę. Nigdy wcześniej tędy nie szła, jednak Davies wspomniał kiedyś, że to skróć łączący posiadłość z miasteczkiem.

Droga była wąska i porośnięta wysoką trawą, jednak dziewczyna nie zwolniła kroku. Zatrzymała się tylko raz, by spojrzeć na płaskie granitowe morze i zawijające na noc do portu małe białe kutry. Eliza uśmiechnęła się na ich widok. Przywodziły na myśl pisklętą wróblę spieszącą do gniazda po długim wyczerpującym dniu spędzonym na krańcu wielkiego świata.

Pewnego dnia ona również przemierzy morze i jak ojciec dotrze na drugi koniec świata. Za horyzontem czai się tyle cudownych, niezbadanych miejsc. Afryka, Indie, Arabia, antypody... To tam odkryje nowe opowieści i magiczne historie sprzed wielu, wielu lat.

Davies powiedział, że powinna spisywać swoje opowieści, i tak też robiła. Zapisała już dwanaście zeszytów i wciąż było jej mało. Co więcej, im częściej pisała, tym śmielsze i głośniejsze stawały się historie. Kłębiły się w jej głowie i dobijały się do niej, jakby po latach spędzonych w mroku pragnęły w końcu wyjść na światło dzienne.

Eliza nie miała pojęcia, czy to, co pisze, jest dobre, i prawdę powiedziawszy, nie dbała o to. To jej opowieści i przelewanie ich na papier sprawia, że nabierają realnych kształtów. Bohaterowie, którzy dotąd nieśmiało tańczyli w jej umyśle, na papierze mieli charakter i byli pewni siebie. Przyjmowali nowe zwyczaje, których dla nich nie przewidziała, mówili zaskakujące rzeczy i stawali się nieprzewidywalni.

Opowieści Elizy miały niewielką, choć wierną publiczność. Każdego wieczoru po kolacji kładła się w łóżku obok Rose i zaczynała kolejną baśń. Rose słuchała z szeroko otwartymi oczami, wzdychając i wstrzymując oddech tam, gdzie było to konieczne, i chichocząc radośnie w najbardziej przerażających momentach.

To Rose pochlebstwami nakłoniła Elizę, by wysłała jedną ze swych baśni do londyńskiego czasopisma „Children’s Storytime”.

– Nie chciałabyś, żeby je wydrukowano? Staną się prawdziwymi opowieściami, a ty prawdziwą pisarką.

– Ale one już są prawdziwe.

Rose zrobiła przebiegłą minę.

– Ale jeśli je opublikują, zarobisz na tym.

Własny dochód. To zainteresowało Elizę. Do tej chwili była całkowicie zależna od ciotki i wuja, a ostatnimi czasy coraz częściej zastanawiała się, skąd weźmie fundusze na czekające ją w przyszłości podróże i przygody.

– A to z całą pewnością nie spodoba się mamie – dodała Rose, opierając brodę na splecionych dłoniach i zagryzając usta, by nie wybuchnąć śmiechem. – Kobieta z rodziny Mountrachetów zarabiająca na życie!

Reakcja ciotki Adeline jak zwykle nie miała dla niej znaczenia, jednak myślała, że inni ludzie będą czytali jej bajki... Odkąd Eliza odkryła w sklepie pani Swindell książkę z bajkami i zatopiła się w jej wyblakłych stronach, zrozumiała potęgę opowieści. Ich magiczną zdolność do wypełniania pustki w ludzkich sercach i zranionych umysłach.

Mżawka zmieniła się w słaby deszcz i Eliza zaczęła biec, przyciskając do piersi notes, a mokre żdźbła traw chłostały wilgotną spódnice. Jak zareaguje Rose, gdy Eliza oznajmi jej, że czasopismo dla

dzieci zamierza opublikować *Odmienca*? Co powie, gdy dowie się, że chcą zobaczyć kolejne opowieści? Biegając, uśmiechnęła się do siebie.

Do powrotu Rose pozostał jeszcze tydzień i Eliza nie mogła się doczekać. Ach, jak pragnęła zobaczyć kuzynkę! Otrzymała od niej tylko jeden jedyny list napisany w drodze do Ameryki i od tamtej pory z niecierpliwością oczekiwała na kolejne wieści z wielkiego miasta. Z chęcią zobaczyłaby je na własne oczy, jednak ciotka Adeline nie wyraziła się niezwykle jasno.

– Jeśli chcesz, zrzuńnij sobie życie – stwierdziła pewnego wieczoru, gdy Rose poszła się położyć. – Ale nie pozwolę, aby twoje grubiańskie maniery wpłynęły na przyszłość Rose. Nigdy nie spotka swego przeznaczenia, jeśli nie będzie miała szansy rozbłysnąć. – Mówiąc to, ciotka Adeline wyprostowała się. – Zarezerwowałam dwa bilety do Nowego Jorku. Jeden dla Rose, drugi dla mnie. Chcąc uniknąć nieporozumień, wołałabym, żeby Rose myślała, iż to ty podjęłaś decyzję o pozostaniu w domu.

– Dlaczego miałabym ją okłamywać?

Ciotka wciągnęła do płuc głęboki haust powietrza i Eliza miała wrażenie, że jej blade policzki się zapadły.

– Naturalnie, aby ją uszczęśliwić. Nie chcesz, żeby była szczęśliwa?

Kiedy dotarła na szczyt wzgórza, ryk burzy odbił się echem od ścian klifu. Niebo pociemniało, a deszcz przybrał na sile. W strumieniach wody Eliza dostrzegła chatkę. Była to ta sama chatka po drugiej stronie otoczonego murem ogrodu, którą na prośbę wuja Linusa miała obsadzić roślinami. Chwilę później schroniła się pod portykiem i przywierając do drzwi, patrzyła na ściekające z okapu strugi deszczu.

Minęły dwa miesiące, odkąd Rose i ciotka Adeline wyjechały do Nowego Jorku, i choć czas włókł się niemiłosiernie, pierwszy miesiąc upłynął Elizie pod znakiem dobrej pogody i doskonałych pisarskich pomysłów. Każdy kolejny dzień oznaczał wyprawę do ulubionych miejsc w majątku: czarnej skały, którą tysiące lat i przypływów zmieniły w gładkie wzniesienie, oraz przycupniętego na skraju labiryntu sekretnego ogrodu, jej ogrodu. Ach, jakże cudownie było

mieć własne miejsce, cały ogród, w którym można było po prostu Być. Bywały dni, że Eliza siadała na żelaznej ławeczce i nasłuchiwała: liści, które delikatnie drapały ściany domu, równego oddechu oceanu i ptasich opowieści. Czasami, jeśli siedziała wystarczająco długo, wydawało jej się, że słyszy pełne wdzięczności westchnienia kwiatów, które chciwie wystawiały twarze do słońca.

Ale nie dziś. Tego dnia słońce ustąpiło miejsca skłębionym chmurom, a widoczne za krawędzią klifu morze było wyjątkowo wzburzone. Ciężkie krople deszczu z coraz większą wściekłością tłukły o ziemię. Eliza westchnęła. Nie ma sensu przedzierać się przez labirynt i biec do ogrodu, szczególnie jeśli nie chce zmoknąć i zniszczyć nowego dziennika. Gdyby tylko znalazła puste drzewo, w którym mogłaby się schronić! Gdzieś na obrzeżach umysłu zaczęła kiełkować kolejna opowieść i Eliza pochwyciła ją, patrząc, jak z maleńkiego załążka wyrastają kolejno ręce, nogi, a w końcu cała, misternie utkana historia.

Wyjęła grafitowy ołówek, który zawsze chowała za sztywnym gorsetem. Oparła dziennik na ugiętym kolanie i zaczęła pisać.

Tu, na górze, w królestwie ptaków, wiatr był znacznie silniejszy i niebawem na nieskazitelnie czystą kartkę spadły pierwsze krople deszczu, zostawiając na papierze duże wilgotne plamy. Eliza odwróciła się w kierunku drzwi, jednak tu również wszędobyłski deszcz nie dawał za wygraną.

To nie wróży niczego dobrego! Gdzie będzie pisała, kiedy nastanie wietrzna deszczowa jesień? Zatoka i ogród nie ochronią jej przed kaprysmi pogody. Naturalnie jest jeszcze dom wuja z setką pokoi, jednak panujący tam zgiełk i towarzystwo innych ludzi rozpraszały Elizę. Wystarczyło, że człowiek wyobraził sobie, iż jest sam, gdy ni stąd, ni zowąd dostrzegał klęczącą przy kominku pokojówkę, która wygarniała popiół z paleniska. Albo wuja siedzącego w milczeniu w ciemnym kącie.

Strugi wody spływały z daszku wprost pod stopy Elizy. Dziewczyna zamknęła dziennik i niecierpliwie uderzyła piętą o kamienną posadzkę. Potrzebuje lepszego schronienia. Spojrzała na czerwone drzwi. Jak mogła ich nie zauważyć? Jak mogła nie dostrzec wystającego z zamka mosiężnego zdobionego klucza? Niewiele myśląc,

Eliza przekręciła go w lewo. Mechanizm ustąpił z leciutkim stuknięciem. Dopiero wtedy położyła dłoń na gładkiej i dziwnie ciepłej gałce i przekręciła ją jednym płynnym ruchem. Szczęknięcie i drzwi otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Eliza przeszła przez próg, wprost do ciemnego suchego łona.



Linus siedział ukryty pod rozpiętym nad głową czarnym parasolem. Przez cały dzień nie widział Elizy i był tym wyraźnie zaniepokojony. Mimo to wiedział, że przyjdzie. Davies mówił, że zamierzała zajrzeć do ogrodu, a stamtąd prowadziła tylko jedna droga. Linus przymknął oczy i pozwolił myślom wrócić do czasów, gdy to Georgiana zniknęła w ogrodzie na długie godziny. Pamiętał, jak prosiła, by przyszedł i zobaczył rośliny, które zasadziła i którymi się opiekowała, jednak Linus zawsze odmawiał. Każdego dnia czekał cierpliwie, czuwał aż jego *poupée* wyłoni się zza żywopłotu. Czasami przypominał sobie dzień, w którym jako dziecko zgubił się w labiryncie. Ach, cóż to było za cudowne uczucie, zadziwiająca kombinacja wstydu zmieszanego z radością na widok siostry.

Otworzył oczy i wstrzymał oddech. Z początku myślał, że wyobrażnia płata mu figle, ale nie, nie mylił się, to była Eliza pogrążona we własnym myślach. Nie zdążyła go jeszcze zauważyć. Jego spierzchnięte usta układały się w słowa, które tak bardzo chciał wypowiedzieć.

– Dziecko! – zawołał.

Zdziwiona podniosła wzrok.

– Wuju – odparła, uśmiechając się nieśmiało. Rozłożyła ręce. W jednej z nich trzymała brązową paczkę. – Cóż za niespodziewana ulewa.

Rąbek przemoczonej spódnicy lepił się do jej nóg. Linus nie mógł oderwać od nich wzroku.

– Ja... ja bałem się, że złapie cię burza.

– I prawie tak się stało. Na szczęście znalazłam schronienie w chatce, tej małej chatce po drugiej stronie labiryntu.

Mokre włosy, mokra sukienka, mokre kostki. Linus przełknął z trudem, wbił w ziemię koniec laski i dźwignął się z ławki.

– Czy ktoś korzysta z tej chatki, wuju? – Eliza podeszła bliżej. – Wydaje się opuszczona.

Jej zapach – deszcz, sól, ziemia. Wsparł się na lasce i o mało nie upadł. Wyciągnęła rękę, by go podtrzymać.

– Ogród, dziecino, opowiedz mi o ogrodzie.

– Och, wujku, ależ on piękny! Musisz kiedyś tam przyjść i usiąść pośród kwiatów. Zobaczyć rośliny, które posadziłam.

Dłonie, którymi dotykała jego ramienia, były ciepłe i silne. Odałby resztę życia, by zatrzymać czas i już na zawsze pozostać tu i teraz ze swoją Georgianą...

– Lordzie Mountrachet! – Od strony domu biegł ku nim zdeenerwowany Thomas. – Panie, powinieneś powiedzieć, że potrzebujesz pomocy.

Dłonie Elizy zniknęły zastąpione sękatymi rękami służącego. Linus mógł tylko patrzeć, jak dziewczyna znika w holu, zatrzymuje się, by odebrać poranną pocztę, i ginie w rozdziawionej paszczy domu.



*Panna Rose Mountrachet,
linowiec „Luzytania”,
7 listopada 1907*

*Panna Eliza Mountrachet,
posiadłość Blackhurst, Kornwalia, Anglia*

Najdroższa Elizo!

Co za czas! Tak wiele rzeczy wydarzyło się od naszego ostatniego spotkania, że sama nie wiem, od czego zacząć. Najpierw jednak muszę cię przeprosić za to, że tak długo nie pisałam. Ostatni miesiąc w Nowym Jorku był szalony i kiedy w końcu znalazłam czas, by napisać do ciebie po tym, jak opuściliśmy wielki amerykański port, rozpętała się taka burza, że przez chwilę miałam wrażenie, iż wróciłam do Kornwalii. Te grzmoty i potworny szkwał! Siedziałam w kabinie przez całe dwa dni, a biedna mama była zupełnie zielona! Trzeba jej było często doglądać. Cóż za odmiana: chora mama i opiekująca się

nią chorowita Rose!

Po burzy pojawiła się mgła, która przez kilka dni unosiła się nad wodą, krążąc wokół statku jak ogromny morski potwór. Patrząc na nią, myślałam o tobie, droga Elizo, o opowieściach, które tknęły tak misternie, gdy byliśmy dziećmi, o syrenach i statkach zagubionych na morzu...

Teraz, gdy zbliżamy się do wybrzeży Anglii, niebo przeciera się...

Ale zaraz, zaraz. Dlaczego piszę o pogodzie, skoro mam do opowiedzenia tak wiele rzeczy? Odpowiedź jest prosta: unikam najważniejszego i nie wiem, jak przekazać ci naprawdę istotne wiadomości, bo – mój Boże! – od czego zacząć...

Droga Elizo, zapewne pamiętasz, jak w ostatnim liście pisałam ci, że mama i ja poznałyśmy na statku pewnych wpływowych ludzi? Jedna z nich, lady Dudmore, okazała się naprawdę interesującą zamożną damą. Co więcej, od razu mnie polubiła i dała nam list polecający, dzięki któremu poznałyśmy śmietankę nowojorskiej socjety. Wierz mi, Elizo, byliśmy jak bajecznie kolorowe motyle śmigające z jednego przyjęcia na drugie...

Ale przecież nie będę się rozpisywała o każdym wieczorku towarzyskim i grze w brydża! Droga Elizo, nie chcę dłużej owijać w bawełnę, dlatego wstrzymuję oddech i chcę, abys wiedziała, że... zaręczyłam się! I niebawem wyjdę za mąż! Najdroższa Elizo, przepełnia mnie tak wielka radość, że boję się otwierać usta w obawie, iż nie będę potrafiła mówić o niczym innym, jak tylko o mojej Miłości. Ale nie zrobię tego – nie tu i nie teraz. Boję się, że ubierając uczucia w słowa, umniejszę tylko ich wartość. Zamiast tego zaczekam, aż się spotkamy i wtedy wszystko ci opowiem. Pozwól tylko, że napiszę, iż czuję się, jakbym unosiła się na cudownie miękkim obłoku szczęścia.

Nigdy nie czułam się równie dobrze i muszę podziękować tobie, najdroższa Elizo, że nawet będąc w Kornwalii, otoczyłaś mnie opieką i z pomocą czarodziejskiej różdżki spełniłaś me największe życzenie! Choć mój narzeczony (ach, jak rozkosznie jest pisać te dwa cudowne słowa: mój narzeczony!) nie jest taki,

jakim go sobie wyobrażasz. Przyznaję, że choć jest naprawdę cudowny – przystojny, mądry i dobry – nie jest człowiekiem zamożnym! (Teraz domyślisz się, dlaczego posądzam cię o dar jasnowidzenia...). Jest dokładnie taki, jak młodzieniec, którego przeznaczyłaś mi w baśni Odmieniec! Skąd wiedziałaś, najdroższa, że właśnie ktoś taki zawróci mi w głowie?

Biedna mama wciąż jest w szoku (choć czuje się już znacznie lepiej). Musisz wiedzieć, że gdy poinformowałam ją o zaręczynach, nie rozmawiała ze mną przez kilka dni. Naturalnie wybrała już dla mnie odpowiedniego kandydata i nijak nie mogła zrozumieć, że nie dbam o pieniądze ani tytuły. To jej marzenia i przyznaję, że chociaż kiedyś były mi bliskie, straciłam nimi zainteresowanie. Jak mogłoby być inaczej, skoro mój książę odnalazł mnie i otworzył drzwi złotej klatki?

Tak bardzo pragnę Cię zobaczyć i podzielić się z Tobą moją radością. Tęsknię za Tobą i przeraża mnie myśl, że po powrocie do Anglii upłynie kolejny tydzień, zanim w końcu będziemy razem. Wyślę ten list, gdy tylko przybijemy do portu w Liverpoolu, choć wolalabym osobiście zawieźć go do Blackhurst, zamiast tracić czas z posępną rodziną mamy!

*Niezmiennie Twoja,
kochająca kuzynka Rose.*



Gdyby była uczciwa, Adeline wzięłaby na siebie całą winę. Czyż nie towarzyszyła Rose w każdym z wydarzeń, w których brały udział podczas pobytu w Nowym Jorku? Czyż nie występowała w roli przyzwoitki na balu wydawanym przez pana i panią Irving w ich ogromnym domu przy Piątej Alei? Co gorsza, czyż nie zachęciła Rose, gdy ów szykowny młodzieniec z ciemnymi włosami i pełnymi ustami zaprosił ją do tańca?

– Twoja córka to prawdziwa piękność – szepnęła pani Frank Hastings, gdy młodzieniec prowadził speszoną Rose na parkiet. – Najpiękniejsza ze wszystkich. – Dumna jak paw Adeline drgnęła na krześle. (Czy właśnie ta chwila okazała się tak zgubna i brzemienna w skutki? Czyżby Pan dostrzegł jej pychę?) – Piękna ciałem i du-

chem. A Nathaniel Walker to doprawdy przystojny mężczyzna.

Nathaniel Walker. To wtedy usłyszała jego imię po raz pierwszy.

– Walker – powtórzyła zamyślona: nazwisko miało w sobie coś dystygowanego, z pewnością słyszała coś na temat rodziny Walke-rów, która zbiła fortunę na ropie naftowej. Nowobogacy, ale cza-sy się zmieniały i nie było już wstydem łączenie tytułu z grubością portfela. – Czym zajmuje się jego rodzina?

Zdawało jej się, czy naprawdę dostrzegła na beznamietnej twa-rzy pani Hastings ledwie skrywaną wesołość?

– Ach, to nikt ważny. – Mówiąc to, uniosła brew. – Artysta za-przyjaźniony z najmłodszym synem państwa Irvingów.

Uśmiech na twarzy Adeline przygasł. Jeszcze nic straconego, malarstwo jest przecież bardzo szlachetnym zajęciem...

– Krążą plotki – ciągnęła pani Hastings, ściągając brwi – że chłopak Irvingów spotkał go na ulicy! To syn imigrantów, Polaków, jeśli dobrze pamiętam. Może sobie mówić, co chce, ale wątpię, by to samo widniało w jego papierach. Słyszałam, że zarabia na życie, szkicując!

– Obrazy olejne?

– Nic podobnego. Jeśli dobrze zrozumiałam, chodzi o bazgroły węglem. – Przygryzła policzek, by ukryć rozbawienie. – Cóż za wy-chowanie. Rodzice są katolikami, ojciec pracował w porcie.

Radość z czyjegoś niepowodzenia, która odmalowała się na twa-ry pani Hastings, sprawiła że Adeline miała ochotę krzyczeć.

– Ale przecież nie ma nic złego w tym, że piękna młoda dziew-czyna tańczy z przystojnym młodzieńcem.

Panika skrywana pod uprzejmym uśmiechem.

– Ależ naturalnie, nie ma w tym nic złego. – Tylko jak mogła w to uwierzyć, mając w pamięci piękną młodą dziewczynę stojącą na kornwalijskim klifie i przystojnego młodzieńca, który uwiódł ją swymi obietnicami? Nikt nie wiedział lepiej niż Adeline Mountra-chet, jak niebezpieczne bywają pochlebstwa młodych przystojnych mężczyzn.

Minął tydzień i najgorsze przypuszczenia okazały się prawdą. Co wieczór Adeline paradowała z Rose przed tłumem odpowied-nich młodych mężczyzn. Czekala z nadzieją, że ujrzy w oczach cór-

ki isierkę radości i zainteresowania. I co noc czekało ją srogie rozczarowanie. Rose nie widziała świata poza Nathaniem, podobnie jak on nie widział świata poza nią. Jak ktoś w malignie, Rose żyła w innym świecie, do którego Adeline nie miała wstępu. Były chwile, gdy chciała uderzyć gładkie policzki, płonące znacznie bardziej, niż wypadało młodej damie.

Wkrótce twarz Nathaniela Walkera zaczęła prześladować Adeline, która szukała jej w tłumie na kolacjach, balach czy wieczorkach literackich. Lęk gnieźdzący się w jej umyśle sprawiał, że inne twarze wydawały się niewyraźne i rozmyte, a tylko ta jedna wyróżniała się z tłumu. Zaczęła widywać go nawet wtedy, gdy nie było go w pobliżu. Śniła o nabrzeżach, łodziach i biednych rodzinach. Czasami w snach wracała do Yorkshire i swoich rodziców, którzy odgrywali rolę rodziny Nathaniela. Ach, jej biedny skołowany umysł. Kto by pomyślał, że spotka ją coś takiego?

W końcu pewnego wieczoru wydarzyło się najgorsze. Wracały z balu i w drodze do domu Rose była dziwnie milcząca. Adeline rozpoznała tę ciszę; zwiastowała upór i jasność umysłu. Jak ktoś, kto strzeże strasznej tajemnicy po to tylko, by ujawnić ją w najmniej oczekiwanym momencie i wszystkich zaskoczyć.

Ten potworny moment nadszedł, gdy Rose szykowała się do snu.

– Mamo – zaczęła, czesząc włosy – jest coś, co chcę ci powiedzieć. – I słowa, te okropne, budzące grozę słowa. Uczucie... przeznaczenie... na zawsze...

– Jesteś młoda – zaczęła pośpiesznie Adeline. – To zrozumiałe, że mylisz zwykłą przyjaźń z bardziej złożonym uczuciem.

– Ale to coś więcej niż tylko przyjaźń.

Serce zamarło w piersi Adeline.

– Ależ to byłaby katastrofa. Ten młodzieniec nie daje ci niczego...

– Daje mi siebie i tego tylko pragnę.

Jej upór i doprowadzająca do szału pewność siebie.

– To tylko dowód na to, jak bardzo jesteś naiwna i młoda.

– Jestem wystarczająco dorosła, by wiedzieć, co mówię, mamo. Mam osiemnaście lat. Czyż nie po to zabrałaś mnie do Nowego Jor-

ku, bym spotkała przeznaczenie?

Głos Adeline był nienaturalnie piskliwy.

– Ten mężczyzna nie jest twoim przeznaczeniem.

– Skąd to wiesz?

– Jestem twoją matką. – Ach, jakże nieprzekonująco zabrzmiały te słowa. – Jesteś piękna, pochodzisz z dobrej rodziny i chcesz zadowolić się kimś tak marnym?

Rose westchnęła cicho, jakby chciała zacząć ważną rozmowę.

– Ja go kocham, mamó.

Adeline zamknęła oczy. Młodość! Jaką szansę miały najrozsądniejsze argumenty przeciwko arogancckiej potędze tych trzech słów.

Jak to możliwe, że jej córka, jej najcenniejsza nagroda, wymawia je z taką łatwością, mówiąc o człowieku, który jest nikim?

– A on kocha mnie, mamó. Wyznał mi to.

Lęk zacisnął na sercu Adeline lodowatą pięść. Jej ukochana córeczka zaślepiona niemądrymi myślami o miłości. Jak jej powiedzieć, że niełatwo jest zdobyć serce ukochanego mężczyzny, a jeszcze trudniej zatrzymać go przy sobie?

– Zobaczysz – ciągnęła Rose – będę żyła długo i szczęśliwie, zupełnie jak w opowieści Elizy. Napisała ją, jakby wiedziała, co się wydarzy.

Eliza! Adeline zawrzała z wściekłości. Nawet tu, daleko od domu, ta nieznośna dziewczyna stanowi zagrożenie. Jej duch dryfuje ponad wodami oceanu niczym szeptane do ucha trujące słowa, którymi zamierzała zrujnować życie Rose i nakłonić ją do popełnienia strasznego błędu.

Adeline zacisnęła usta. Nie po to wyrwała Rose z objęć choroby i niezliczonych przypadłości, by patrzeć, jak marnuje przyszłość w małżeństwie bez przyszłości.

– Musisz to zakończyć. On z pewnością zrozumie. Przecież na pewno wiedział, że nigdy do tego nie dopuszczę.

– Zaręczyliśmy się, mamó. Nathaniel poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam.

– Więc zerwij te zaręczyny.

– Nie zrobię tego.

Adeline poczuła się przyparta do muru.

– Zostaniesz wykluczona z towarzystwa i nie będziesz mile widziana w domu swego ojca.

– Więc zostanę tu, gdzie jestem mile widziana. W domu Nathaniela.

Jak to się stało? Jej Rose mówiąca takie rzeczy. Rzeczy, o których wie, że złamią matczyne serce. Adeline kręciło się w głowie, musiała się położyć.

– Przykro mi, mamó – szepnęła Rose – ale nie zmienię zdania. Nie mogę. Nie prosz mnie o to.

Nie rozmawiały przez następne dni, wymieniały jedynie banalne uprzejmości, których żadna z nich nie mogła zignorować. Rose była przekonana, że matka się dąsa, ale nie miała racji. Adeline była pogrążona w myślach i jak zawsze potrafiła nagiąć uczucia do logiki.

Aby jednak wszystkie elementy równania do siebie pasowały, należało zmienić czynniki. Jeśli nie w umyśle Rose, to w sposobie myślenia jej narzeczonego. Nathaniel Walker będzie musiał udowodnić, że jest mężczyzną godnym ręki Rose, człowiekiem, o którym inni wyrażają się z podziwem i z zazdrością.

Im dłużej o tym myślała, tym głębiej wierzyła w to, że potrafi dokonać takiej zmiany.

W sercu każdego mężczyzny jest luka, pełna pragnień, mroczna otchłań, którą należy wypełnić. Adeline podejrzewała, że luką Nathaniela Walkera jest duma, najbardziej niebezpieczny rodzaj dumy charakterystyczny dla biedoty. Chęć sprawdzenia się, wyniesienia ponad stan i bycia lepszym od własnego ojca. Nawet gdyby nie poznała jego życiorysu, tak barwnie przedstawionego przez panią Hastings, Adeline i tak wiedziała, że w tym przypadku nie ma mowy o pomyłce. Widziała to w sposobie, w jaki się poruszał w starannie wyczyszczonych butach, intensywności jego uśmiechu i sile śmiechu. Były to cechy człowieka z nizin społecznych, który przypadkiem dostrzegł kuszący, barwny świat arystokracji. Człowieka, który choć doskonale ubrany, wciąż pozostaje biedakiem.

Adeline zbyt dobrze знаła tę słabość, wszak sama jej doświadczyła. Tym lepiej wiedziała, co powinna zrobić. Musiała upewnić się, że Nathaniel zyska uznanie. To ona Adeline Mountrachet stanie się orędowniczką jego sztuki, wypromuje ją w kręgach towarzyskich i

zadba o to, by nazwisko Walker stało się nazwiskiem słynnego portrecisty. Z jej poparciem, wyglądem i urokiem Nathaniela oraz Rose w charakterze jego żony młodzienc nie może nie zabłysnąć.

Już Adeline dopilnuje, by nigdy nie zapomniał, komu zawdzięcza szczęście i dobrą passę.



Eliza rzuciła list na łóżko. Rose jest zaręczona i zamierza wyjść za mąż. Ta wiadomość nie powinna jej dziwić. Wszak Rose często opowiadała o swych nadziejach na przyszłość, pragnieniu posiadania męża i rodziny, wielkiego domu i własnego powozu. Mimo to, czytając te rewelacje, Eliza poczuła się dziwnie.

Otworzyła nowy zeszyt i musnęła palcami pierwszą kartkę, wciąż jeszcze spuchniętą od wilgoci. Narysowała ołówkiem linię, spoglądając w zamyśleniu na odcień grafitu, który w zależności od tego, czy sunął po suchym, czy też mokrym papierze, wydawał się jaśniejszy lub ciemniejszy. Zaczęła opowieść, przez chwilę zapalczywie bazgrała po kartce, po czym odłożyła notatnik.

W końcu opadła na poduszki. Nie ma wątpliwości, czuje się nie-swojo, coś ciążyło jej na żołądku, coś okrągłego, ciężkiego, ostrego i gorzkiego. Zastanawiała się, czy aby nie jest to objaw jakiejś choroby. Może to ten deszcz? Mary często powtarzała, że dziewczęta nie powinny przebywać zbyt długo na deszczu.

Eliza odwróciła głowę i spojrzała na ścianę. Nic. Rose, jej kuzynka, którą zabawiała i z którą spiskowała, wychodzi za mąż. Z kim teraz ona, Eliza, będzie dzieliła sekretny ogród? Opowieści? Swoje życie? Jak to możliwe, że przyszłość, która do niedawna malowała się w najjaśniejszych barwach – pełna podróży, przygód i pisania – nagle okazała się niczym więcej jak tylko mrzonką?

Wzrok Elizy spoczął na zimnej tafli lustra. Dziewczyna niechęsto spoglądała na swoje odbicie, a od czasu, gdy widziała je po raz ostatni, miała wrażenie, że coś utraciła. Tym razem wyprostowała się, podeszła do toaletki i spojrzała na swoją twarz.

Nagle zrozumiała. Wiedziała już, co takiego utraciła. Lustrzane odbicie należało do młodej kobiety, w rysach tej twarzy nie było miejsca na kryjówkę dla Sammy'ego. Jej braciszek odszedł.

Podobnie jak teraz odchodzi Rose. Kim jest człowiek, który w mgnieniu oka odebrał jej najdroższą przyjaciółkę?

Eliza nie czułaby się tak źle, nawet gdyby połknęła przygotowaną przez Mary świąteczną dekorację – pomarańczę nadziewaną goździkami.

Zazdrość – oto co ciąży jej na żołądku. Zazdrości mężczyźnie, który uczynił Rose szczęśliwą, który z niebywałą łatwością dokonywał rzeczy, o które Eliza walczyła latami i który podstępem skradł uczucia Rose. Zazdrość. Szepcząc to jedno, jedyne słowo, Eliza poczuła w ustach jego trujący smak.

Odwróciła się od lustra, zamknęła oczy i z całych sił starała się zapomnieć o liście i fatalnych wieściach. Nie chciała zazdrościć Rose, podobnie jak nie chciała pielęgnować w sobie tego jadowitego uczucia. Eliza Makepeace wiedziała bowiem, jaki koniec czeka zaślepione zazdrością podłe siostry.

Mieszkanie Julii znajdowało się na ostatnim piętrze, na które prowadziły niebywale wąskie schody. Kiedy Cassandra wyszła z pokoju, słońce powoli staczało się za horyzont i korytarz tonął w mroku. Zapukała do drzwi i czekała, nerwowo ściskając butelkę wina. Kupiła ją w ostatniej chwili, wracając do domu w towarzystwie Christiana.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła Julia otulona lśniącym różowym kimonem.

– Wejdz, wejdz – rzuciła pośpiesznie, zapraszając Cassandrę do środka. – Właśnie upiększam naszą kolację. Mam nadzieję, że lubisz włoską kuchnię.

– Uwielbiam! – przyznała Cassandra, spiesząc za gospodynią.

Labirynt maleńkich pomieszczeń, niegdyś zamieszkanym przez pokojówki, zmieniono na przestronne jasne poddasze. Mansardowe okna za dnia musiały zapewniać mieszkańcom niebywale widoki.

Cassandra zatrzymała się w wejściu do kuchni. Pomieszczenie przedstawiało smętny widok, niczym krajobraz po bitwie pełen rozmaitych misek, kuchennych miarek, puszek pomidorów ze smętnie zwieszonymi metalowymi głowami, stojących w lśniących kałużach oleju, soku z cytryny oraz całej gamie innych tajemniczych składników. Nie wiedząc, co zrobić z butelką, nieśmiało wyciągnęła rękę w kierunku Julii.

– Jesteś kochana. – Julia otworzyła butelkę, z wiszącej nad ławą półki zdjęła kieliszek i wprawną ręką nalała do niego wina. Na ko-

niec zlizła z palca lśniąca kroplę shiraz. – Prawdę powiedziawszy, nie piję niczego poza ginem – wyznała, puszczając oko do Cassandry. – Zapewnia młodość i jest czysty. – Wręczyła gościowi kieliszek grzesznie czerwonego wina i wyszła z kuchni. – A teraz chodź i rozgość się.

Mówiąc to, wskazała stojący pośrodku pokoju masywny fotel. Tuż obok, na drewnianej skrzyni służącej jako niski stolik, leżał stos oprawionych w zniszczoną brązową skórę starych albumów.

Widząc je, Cassandra poczuła dreszcz emocji i przyjemne mrowienie w opuszkach palców.

– Usiądź i przeglądaj albumy, a ja skończę przygotowywać kolację.

Cassandrze nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Natychmiast sięgnęła po pierwszy album i musnęła dłonią zniszczoną okładkę. Z biegiem czasu skóra straciła ziarnistość i przywodziła na myśl delikatny miękki aksamit.

Cassandra otworzyła album i wstrzymując oddech, spojrzała na równe kształtne litery: *Rose Elizabeth Mountrachet Walker, 1909*. Dotknęła ich palcami i poczuła piętno, jakie odcisnęły na delikatnym papierze. Wyobraziła sobie cienką stalówkę, która tańczyła na kolejnych kartach. Ostrożnie przewróciła kilka stron, aż dotarła do pierwszego wpisu.

Nowy Rok. Zapowiedź kolejnych zmian i wspaniałych wydarzeń. Odkąd doktor Matthews postawił diagnozę, nie mogę się skupić. Przyznaję, że omdlenia, na które ostatnimi czasy cierpiałam dość często, niepokoiły nie tylko mnie, ale i moich bliskich. Wystarczyło spojrzeć na twarz mamy, by dostrzec malujący się na niej lęk. Podczas badania leżałam nieruchomo z oczami wbitymi w sufit i pragnąc zapomnieć o strachu, wracałam myślami do najszczęśliwszych chwil mojego życia. Dnia ślubu, podróży do Nowego Jorku, lata, kiedy to Eliza przybyła do Blackhurst... Ach, jakże cenne wydają się takie chwile w obliczu najgorszego.

Później, gdy siedziałam z mamą na sofie, oczekując diagnozy doktora Matthews, mama wzięła mnie za rękę. Jej dłoń była zimna. Zerknęłam na nią, ale nie podniosła wzroku. To wtedy za-

częłam się naprawdę bać. Gdy jako dziecko cierpiałam na rozmaite dolegliwości, mama zawsze była dobrej myśli. Zastanawiałam się, dlaczego teraz zabrakło jej wiary? Co takiego przeczuwa? Gdy doktor Matthews odchrząknął, ścisnęłam dłoń mamy i czekałam na najgorsze. Jednak nic nie było w stanie przygotować mnie na to, co usłyszałam.

– Jesteś w ciąży. Prawdopodobnie w drugim miesiącu. Jeśli Bóg pozwoli, urodzisz w sierpniu.

Ach, czy istnieją słowa, którymi można opisać moją radość? Po miesiącach nadziei i gorzkich rozczarowań upragnione dziecko. Spadkobierca Nathaniela, wnuk mamy i chrześniak Elizy.

Cassandra poczuła pieczenie w oczach. Pomyśleć tylko, że dzieckiem, którego poczęcie przyniosło tak wiele radości, była Nell. Jej droga wysiedlona babka, wytęsknione, długo oczekiwane dziecko. Przelane na papier uczucia Rose były tym bardziej wzruszające, że w żaden sposób nie zwiastowały późniejszych wydarzeń.

Przewróciła kilka kolejnych stron, mijając postrzępione skrawki koronki i wstążek, ignorując krótkie wzmianki na temat kolejnych wizyt doktora Matthews, zaproszenia na obiady i tańce, aż w końcu, w grudniu 1909 roku, znalazła to, czego szukała.

Jest już – piszę odrobinę później, niż przypuszczałam. Ostatnie miesiące były trudniejsze, niż mogłam się tego spodziewać, i choć mam niewiele czasu i siły, by spisywać kolejne wydarzenia, niczego nie żałuję. Po miesiącach oczekiwania, długich tygodniach choroby i niepokoju, a w końcu po ciężkim porodzie, trzymam w ramionach moje najdroższe dziecko. Nic innego się nie liczy. Jest idealna. Ma bladą mleczną cerę i różowe wydętne usteczka. Jej oczy mają kolor głębokiego błękitu, ale lekarz mówi, że tak jest zawsze i że z czasem mogą się zmienić. Potajemnie marzę o tym, aby się mylił. Pragnę, aby miała cechy typowe rodziny Mountrachetów, jak ojciec i Eliza: niebieskie oczy i rude włosy. Postanowiliśmy nazwać ją Ivory. Właśnie taki kolor ma jej skóra i głęboko wierzę,*

* Ivory (ang.) – kość słoniowa.

że taka będzie również jej dusza.

– Gotowe. – Julia wniosła do pokoju dwa talerze parującego makaronu i wciśnięty pod ramię ogromny młynek do pieprzu. – Ravioli z orzeszkami piniowymi i gorgonzolą. – Mówiąc to, wręczyła Cassandrze talerz. – Ostrożnie, jest gorący.

Cassandra odłożyła album.

– Pachnie wspaniale.

– Gdybym nie została pisarką, konserwatorką i hotelarką, byłabym szefową kuchni. Zdrowie. – Podniosła szklaneczkę ginu, upiła łyk i westchnęła. – Czasami mam wrażenie, że całe moje życie to zbieg okoliczności i przypadków. Nie, żebym się żaliła. Wyrzekając się wszelkiej kontroli i ufając przeznaczeniu, człowiek może być naprawdę szczęśliwy. – Nadziała na widelec miniaturowy pierożek. – Ale dość o mnie, jak tam sytuacja w chatce?

– Całkiem nieźle. Poza tym, że im więcej robię, tym więcej jest do zrobienia. Ogród zupełnie zarósł, a dom jest w opłakanym stanie. Nawet nie wiem, czy jest bezpieczny, jeśli chodzi o konstrukcję. Myślę, że dobrze by było, gdyby jakiś przedsiębiorca budowlany rzucił na to okiem, ale w natłoku zajęć nie miałam nawet czasu, żeby się z kimś skontaktować. To wszystko jest takie...

– Przytłaczające?

– Właśnie, przytłaczające, ale nie tylko. To... – urwała, jakby szukała odpowiedniego słowa, a gdy je znalazła, wydawała się zaskoczona – ...ekscytujące. Znalazłam coś w domu, Julio.

– Znalazłaś coś? – Julia uniosła brwi. – Jakiś skarb?

– Jeśli można nazwać skarbem coś zielonego i żyznego. – Cassandra zagryzła wargi. – To sekretny ogród otoczony murem i ukryty na tyłach domu. Zdaje się, że od dziesiątków lat nikt w nim nie był i nic dziwnego, bo mury są naprawdę wysokie i zupełnie zarosnięte ciernistymi krzewami. W życiu byś nie zgadła, że coś się za nimi kryje.

– Jak go znalazłaś?

– Przez przypadek.

Julia pokręciła głową.

– Nic nie dzieje się przypadkiem.

– Naprawdę nie miałam pojęcia o jego istnieniu.

– Nie mówię, że wiedziałaś. Chcę tylko powiedzieć, że być może ogród krył się przed oczami tych, których nie chciał oglądać.

– Cóż, w takim razie cieszę się, że pozwolił, bym go odnalazła. Jest naprawdę zaniedbany, ale pod płataniną cierni przetrwały wszystkie rośliny. Są tam ścieżki, ławeczki ogrodowe, a nawet karmniki.

– Jak w bajce o Śpiącej Królewnie, ogród spał i czekał, aż ktoś zdejmie z niego zły czar.

– Sęk w tym, że on wcale nie spał. Drzewa nie przestały rosnąć i wciąż rodziły owoce. Gdybyś tylko zobaczyła jabłoń. Ma ze sto lat.

– Faktycznie – odparła nagle Julia, prostując się na krześle i odsuwając talerz. – Albo prawie sto. – Zaczęła przerzucać kolejne strony, wodzić po nich palcami, kartkować albumy i wracać do fragmentów, które już przejrzała. – Aha – mruknęła w końcu, stukając palcem w kolejny wpis. – Jest. Tuż po osiemnastych urodzinach Rose, zanim wyjechała do Nowego Jorku i spotkała Nathaniela. – Mówiąc to, włożyła turkusowe okulary z masy perłowej i zaczęła czytać:

Dwudziesty pierwszy maja, tysiąc dziewięćset siedem. Ach, cóż to był za dzień! Pomyśleć tylko, że nie dalej jak o poranku spodziewałam się kolejnego nudnego dnia w domu. (Zwłaszcza po tym, jak doktor Matthews wspomniał o przypadkach kataru w okolicy. Mama przeraziła się, że zachoruję i zepsuję uroczy weekend na wsi, który czeka nas w przyszłym miesiącu). Eliza – jak zawsze – była odmiennego zdania. Gdy tylko mama pojechała na lunch do pani Phillimore, zjawiała się w moim pokoju rozpromieniona (ach, jakże zazdrościsz jej czasu, który spędza na świeżym powietrzu!) i uparła się, żebym zostawiła album (pracowałam nad tobą, drogi pamiętniku!) i przeszła z nią przez labirynt. Mówiła, że jest tam coś, co koniecznie muszę zobaczyć.

Z początku chciałam odmówić – obawiałam się, że któraś ze służących powie o wszystkim mamie, a nie miałam ochoty na sprzeczki, szczególnie teraz, gdy czeka nas wyprawa do Nowego Jorku – ale dostrzegłam w oczach Elizy spojrzenie, które zwiastuje jakiś pomysł i nie przyjmuje odmowy, spojrzenie, przez które nieraz

wpadałam już w tarapaty.

Moja droga kuzynka była tak podekscytowana, że nie sposób było nie podzielać jej entuzjazmu. Czasami, patrząc na nią, odnoszę wrażenie, że Eliza ma energię za nas obie i może właśnie dlatego tak często czuję się przygnębiona. Zanim zdążyłam się zorientować, biegłyśmy, trzymając się za ręce i chichocząc jak małe dziewczynki. Przy wejściu do labiryntu czekał na nas Davies, który dosłownie ugiął się pod ciężarem jakiejś wielkiej rośliny doniczkowej. Eliza zaoferowała mu pomoc (którą odrzucił), aż w końcu złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Wkroczyłyśmy do labiryntu (Eliza знаła tu każdą ścieżkę), minęłyśmy środkową część z uroczymi ławeczkami, przeszłyśmy przez mosiężny krąg, który według Elizy strzeże wejścia do podziemnych tuneli, aż w końcu stanęłyśmy przed żelaznymi drzwiami z wielkim mosiężnym zamkiem. Eliza teatralnym gestem wyjęła klucz z kieszeni spódnicy i nim zdążyłam spytać, gdzie, na Boga, znalazła coś podobnego, włożyła go do zamka. Przekręciła klucz i drzwi stanęły otworem.

Za nimi był ogród. Podobny, a zarazem zupełnie inny niż ogrody, które są wokół dworu. Ten ogród był otoczony murem. Zamknięto go w czterech wysokich, kamiennych ścianach. W dwóch z nich, północnej i południowej, umieszczono ciężkie, żelazne drzwi...

– A więc są jeszcze jedne drzwi – jęknęła Cassandra. – Nie znalazłam ich.

Julia spojrzała znad okularów.

– W latach tysiąc dziewięćset dwunastym i... tysiąc dziewięćset trzynastym przeprowadzano tam prace remontowe... pamiętam, że chodziło o zbudowaną z cegieł frontową ścianę. Może wtedy usunięto drzwi? Ale chwileczkę. Posłuchaj tego:

Sam ogród był zadbany i dość słabo obsadzony. Przywodził na myśl leżące odłogiem pole, czekające, aż ktoś w końcu je obsieje. Pośrodku, przy poidelku, stała, metalowa ławeczka, a na ziemi walały się drewniane skrzynie pełne małych roślin.

Eliza, nie zastanawiając się, wbiegła do ogrodu.

– *Co to za miejsce?* – spytałam.

– *Ogród. Opiekuję się nim. Szkoda, że nie widziałaś chwastów, które rosły tu na początku. Mielśmy pełne ręce roboty, prawda Daviesie?*

– *Z całą pewnością, panienko Elizo – odparł ogrodnik, opierając roślinę o południową ścianę.*

– *To będzie nasz ogród, Rose. Twój i mój. Sekretne miejsce, w którym będziemy mogły być tylko we dwie, zupełnie tak, jak to sobie wyobrażałyśmy, będąc dziewczynkami. Cztery ściany, zamknięte drzwi, nasz własny raj. Możesz tu przyjść nawet, gdy nie czujesz się najlepiej. Ściany osłonią nas od wiejących od strony morza gwałtownych wiatrów, więc będziesz mogła tu usiąść, posłuchać śpiewu ptaków i poczuć na twarzy ciepły dotyk słońca.*

Jej entuzjazm i głębia uczuć, którą wyczuwałam w każdym słowie, były tak wielkie, że zatęskniłam za takim właśnie miejscem. Spojrzałam na zadbane rabatki, uwięzione w doniczkach kwiaty, które wypuszczały pierwsze nieśmiałe pąki, i zobaczyłam raj, o którym mówiła Eliza.

– *Gdy byłam mała, słyszałam opowieści o ukrytym na terenie posiadłości, otoczonym murami ogrodzie, ale myślałam, że to jakieś bzdury.*

– *Wcale nie. To wszystko prawda i przywrócimy ten ogród do życia.*

Eliza i Davies z pewnością bardzo się tu napracowali. Jeśli przez cały ten czas nikt nie zajmował się ogrodem... jeśli ludzka noga nie postąpiła tu od czasu... Wróciły wspomnienia i historie zasłyszane w dzieciństwie. Nagle zrozumiałam i dokładnie wiedziałam, do kogo należał ogród...

– *Och, Lizo – rzuciłam pospiesznie – musisz być ostrożna, wszyscy musimy być ostrożni. Trzeba natychmiast opuścić to miejsce i nigdy więcej tu nie wracać. Jeśli tata się dowie...*

– *On już wie.*

Spojrzałam na nią surowo, bardziej surowo, niż zamierzałam.

– *Co chcesz przez to powiedzieć?*

– Wujek Linus powiedział Daviesowi, że powinnam zająć się ogrodem. Polecił mu uprzątnąć ostatni odcinek labiryntu i poprosił, abyśmy przywrócili ogród do życia.

– Ale ojciec zabronił komukolwiek wchodzić do tego ogrodu.

Eliza wzruszyła ramionami, w ten sam obojętny sposób, który tak bardzo drażnił mamę.

– Musiał zatem zmienić zdanie.

Zmienić zdanie. Jak bardzo klóciło się to w wizerunkiem ojca, który znalazłam od lat. Ojciec nieczęsto zmieniał zdanie, podobnie, jak nieczęsto okazywał serce. Z wyjątkiem tego jednego, jedyne go razu, gdy kryjąc się pod biurkiem w jego gabinecie, słyszałam, jak płakał z tęsknoty za swoją siostrą, za swoją poupée. Nagle zrozumiałam i świadomość ta niczym kamień zaciążyła mi na żołądku.

– To dlatego, że jesteś jej córką.

Jednak Eliza mnie nie słyszała. Oddaliła się i ciągnęła rozłożystą roślinę w kierunku wykopanej przy ścianie głębokiej dziury.

– To nasze pierwsze nowe drzewo! – zawołała. – Odprawimy ceremonię. Właśnie dlatego tak bardzo zależało mi na twojej obecności. To drzewo będzie rosnąć niezależnie od tego, dokąd zaprowadzi nas życie. Zapamięta nas na zawsze. Rose i Elize.

Stojący obok mnie Davies wyciągnął w moim kierunku niewielką łopatę.

– Życzeniem panienki Elizy jest, aby panienka Rose rzuciła pierwszą łopatę ziemi na korzenie drzewa.

Życzenie panienki Elizy. Kimże jestem, by dyskutować z tak potężną siłą?

– Co to za drzewo? – spytałam.

– Jabłoń.

Mogłam się domyślić. Eliza zawsze przywiązywała wagę do symboli, a przecież jabłko było pierwszym owocem.

Julia podniosła wzrok znad albumu. Po jej policzku potoczyła się samotna łza. Kobieta pociągnęła nosem i zmusiła się do uśmiechu.

– Przepraszam, uwielbiam Rose. Nie czujesz jej obecności?

Cassandra odpowiedziała uśmiechem. Zjadła jabłko z drzewa, które prawie sto lat temu zasadziła jej babka. Zarumieniła się, gdy wspomnienie o nim przypomniało jej tamten dziwny sen. W ciągu tygodnia, gdy pracowała w towarzystwie Christiana, w ogóle o nim nie myślała. Wierzyła, że wyrzuciła go z pamięci.

– A teraz ty robisz porządki w tym samym ogrodzie. Cóż za uroczy zbieg okoliczności. Ciekawe, co powiedziałyby na to Rose? – Julia wyjęła z pudełka chusteczkę i wydmuchiwała nos. – Wybacz – szepnęła, wycierając oczy i ślady tuszu – ale to takie romantyczne. – Roześmiała się. – Szkoda tylko, że nie masz do pomocy Daviesa.

– Może nie jest to Davies, ale ktoś jednak mi pomaga – odparła Cassandra. – Przychodzi codziennie po południu. Poznałam jego i jego brata Michaela, kiedy przyszli usunąć drzewo, które runęło na dom. Przypuszczam, że ich znasz. Robyn Jameson mówiła, że opiekują się ogrodami hotelowymi.

– Bracia Blake. Ależ naturalnie, i muszę przyznać, że przyjemnie na nich popatrzeć. Michael jest miły dla oka, nie sądzisz? No i wie, jak oczarować kobietę. Gdybym wciąż pisała, kobiecieciarze w moich powieściach mieliby twarz Michaela Blake’a.

– A Christian? – Mimo iż siliła się na nonszalancję, Cassandra poczuła, że płoną jej policzki.

– Och, on z pewnością byłby mądrzejszym, młodszym i spokojniejszym z braci, który ratowałby sytuację i zdobywał serca bohatererek.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Nawet nie pytam, kim byłabym ja.

– Wiem tylko, kim byłabym ja – odparła z westchnieniem Julia. – Podstarzałą pięknością, która nie mając szans u żadnego z przystojnych młodzieńców, pomagałaby ich wybrankom.

– Życie byłoby znacznie prostsze, gdyby przypominało baśnię. Gdyby ludzie przypominali szablonowych bohaterów powieści.

– Ależ przypominają. Tylko myślą, że jest inaczej. Ktoś, kto twierdzi, że takie rzeczy się nie zdarzają, jest banalny, ponury pedant, który obstaje przy własnej wyjątkowości!

Cassandra upiła łyk wina.

– Nie wierzysz w coś takiego jak wyjątkowość?

– Wszyscy jesteśmy wyjątkowi, ale nie tak, jakbyśmy to sobie wyobrażali. – Julia uśmiechnęła się i machnęła ręką, aż zadzwoniły bransolety. – Posłuchaj, jaką straszną jestem absolutystką. To oczywiste, że ludzie różnią się pod względem charakteru. Weźmy na przykład Christiana Blake’a, który, jak wiesz, nie jest z zawodu ogrodnikiem. Pracuje w szpitalu w Oksfordzie. To znaczy, pracował tam do niedawna. Był jakimś lekarzem, nie pamiętam specjalizacji, one wszystkie są takie długie i skomplikowane, prawda?

Cassandra wyprostowała się w fotelu.

– Lekarz przycinający drzewa?

– Właśnie, lekarz przycinający drzewa – powtórzyła znacząco Julia. – O tym właśnie mówię. Kiedy Michael powiedział mi, że jego brat zaczyna pracę w firmie, nie pytałam, choć zżerała mnie ciekawość. Co sprawia, że młody mężczyzna ot tak, po prostu, zmienia profesję?

Cassandra pokręciła głową.

– Zmiana zdania?

– Dość radykalna, nie sądzisz?

– Może czuł, że to, co robi, nie daje mu satysfakcji?

– Możliwe, ale coś mi mówi, że takie decyzje człowiek podejmuje na studiach. – Julia uśmiechnęła się zagadkowo. – Cała ta sprawa jest znacznie ciekawsza, niż mogłoby się zdawać, ale w końcu byłam pisarką, a takim ludziom trudno wykorzenić stare nawyki. Czasami nie potrafię zapanować nad wyobraźnią. – Mówiąc to, ścisnęła szklaneczkę ginu i wymierzyła w Cassandrę smukły palec. – Oto, co czyni bohaterów interesującymi. Ich tajemnice.

Cassandra pomyślała o Nell i skrywanych przez nią sekretach. Jak ona to wytrzymała? Nawet wtedy, gdy odkryła prawdę o swym pochodzeniu, nikomu o tym nie powiedziała.

– Żałuję, że moja babcia nie zdążyła zobaczyć tych albumów. Tak wiele by dla niej znaczyły.

– Przez cały tydzień myślałam o twojej babce – odparła Julia. – Odkąd powiedziałas mi, co się stało, wciąż zastanawiam się, co skłoniło Elizę do uprowadzenia dziewczynki.

– I do jakich wniosków doszłaś?

– Zazdrość. Za każdym razem odpowiedź brzmi tak samo. To

cholernie potężny czynnik, a Bóg jeden wie, że można było zazdrościć Rose Mountrachet. Była piękna, miała utalentowanego męża i prawo pierworództwa. W dzieciństwie Eliza musiała postrzegać Rose jako małą dziewczynkę, która ma dosłownie wszystko, a szczególnie to, czego nie ma Eliza. Bogatych rodziców, piękny dom, dobre serce, miłość i szacunek ludzi. Szybko wyszła za mąż za mężczyznę, który był niezłą partią, zaszła w ciążę i urodziła śliczną córeczkę... Cholera, nawet ja jej zazdroszczę! Wyobraź sobie, co czuła Eliza która, jak wiemy, była dość barwną i nieco ekscentryczną postacią. – Dopija drinka i stanowczym ruchem odstawia szklankę.

– Nie usprawiedliwiam tego, co zrobiła, po prostu mnie to nie dziwi.

– To chyba najbardziej oczywista z odpowiedzi, prawda?

– A te najczęściej są poprawne. Wszystko jest tutaj, w tych albumach. To znaczy jest tu, jeśli wiesz, czego szukać. Od momentu, gdy Rose dowiedziała się o dziecku, Eliza stała się chłodna i nieobecna. Szczególnie po urodzeniu Ivory Rose niewiele miejsca poświęca kuzynce. Musiało ją to dręczyć, bo Eliza była dla niej niczym siostra i nagle, w tak ważnym dla Rose momencie, zniknęła. Spakowała się i wyjechała z Blackhurst.

– Dokąd wyjechała? – spytała zaskoczona Cassandra.

– Pewnie gdzieś za granicę. – Julia ściągnęła brwi. – Choć teraz, gdy o tym wspomniałaś, nie wiem, czy Rose przypadkiem nie pisała... – machnęła lekceważąco ręką – ...zresztą to nie ma znaczenia. Faktem jest, że wyjechała, kiedy Rose spodziewała się dziecka, i nie wróciła aż do chwili, gdy Ivory przyszła na świat. Ich przyjaźń nigdy już nie była taka sama.



Cassandra ziewnęła i poprawiła poduszkę. Zmęczone oczy piekły i bolały, ale dotarła już prawie do końca 1907 roku i stwierdziła, że szkoda przerwać czytanie teraz, gdy do końca pozostało zaledwie kilka kartek. Poza tym im szybciej je przeczyta, tym lepiej. Choć Julia zgodziła się pożyczyć jej dzienniki, Cassandra miała wrażenie, że kobieta nie zniesie długiej rozłąki. Na szczęście pismo Rose w niczym nie przypominało niedbałych bazgrołów Nell, a równe,

staranne litery zachęcały do dalszego czytania. Cassandra napiła się letniej herbaty i przerzuciła kolejne kartki, ciężkie od skrawków materiału, wstążek i ślubnego tiulu. Na jednej z nich znalazła staranny ozdobny podpis: *Pani Rose Mountrachet Walker, pani Walker, pani Rose Walker*. Uśmiechnęła się – niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – i spojrzała na ostatnią stronę.

Już po raz kolejny przeczytałam Tess d'Uverville. To szalenie trudna powieść i nie jestem do końca przekonana, czy mi się podoba. W powieści Hardy'ego jest tak dużo przemocy. To zbyt szalone jak na mój gust: koniec końców, jestem przecież córeczką mamusi. Przejście Angela na katolicyzm, jego małżeństwo z Lizą-lu i śmierć biednej Sorrow, wszystkie te zdarzenia bardzo mnie dotknęły. Dlaczego Sorrow odmówiono chrześcijańskiego pochówku? To przecież oczywiste, że dzieci nie powinny odpowiadać za grzechy swych rodziców. Czy Hardy pochwala nawrócenie Angela, czy może jest sceptykiem? I jak to możliwe, że Angel tak łatwo przenosi uczucia z Tess na jej siostrę?

No cóż, pytania te z pewnością wprawiały w zakłopotanie umysły wybitniejsze niż mój, a przyczyną, dla której po raz kolejny sięgnęłam po smutną opowieść o biednej Tess, nie jest krytyka literacka. Przyznaję, iż miałam nadzieję, że pan Thomas Hardy da mi wgląd w to, czego mogę spodziewać się po ślubie z Nathanielem. Czego Nathaniel będzie oczekiwał ode mnie, jako od swojej żony. Och! Już sama myśl o tym sprawia, że płoną mi policzki! Z pewnością nie umiałabym o to zapytać. (Wyobrażam sobie minę mamy!).

Niestety! Pan Hardy nie udzielił odpowiedzi, na których tak bardzo mi zależało. Pomyliłam się. Zhańbienie Tess nie zostało opisane szczegółowo. Cóż, dopóki nie znajdę innego źródła wiadomości (myślę, że nie będzie to pan James ani pan Dickens), nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wejść po omacku do tej mrocznej otchłani. Obawiam się tylko, że Nathaniel zechce spojrzeć na mój brzuch. A może nie? Próżność to wielki grzech, ale nie mogę się powstrzymać. Plamy wyglądają tak okropnie, a Nathaniel tak uwielbia moją delikatną bladą skórę.

Ostatnie zdania Cassandra przeczytała kilka razy. Czym były plamy, o których pisała Rose? Znamionami? Bliznami? Czy którekolwiek z wcześniejszych zapisków wspominały coś na ten temat? Cassandra nie mogła sobie przypomnieć. Było zbyt późno, ona była zbyt zmęczona, a myśli miała równie niewyraźne jak widzenie.

Ziewnęła, przetarła oczy i zamknęła album. Prawdopodobnie nigdy nie pozna odpowiedzi, która pewnie i tak nie ma znaczenia. Cassandra po raz kolejny musnęła palcami zniszczoną okładkę, tak jak wiele lat temu robiła to Rose. Odłożyła album na stolik nocny i zgasiła światło. Po chwili zamknęła oczy i pogрузzyła się w znajomym śnie o wysokiej trawie, niekończącym się polu i stojącej na krawędzi klifu chatce, która nagle wtargnęła do jej umysłu.

Chatka Pilchard, 1975

Nell czekała przed drzwiami, zastanawiając się, czy powinna zapukać jeszcze raz. Stała na progu od przeszło pięciu minut i zaczęła podejrzewać, że William Martin nie ma pojęcia o wspólnej kolacji, a zaproszenie było niczym więcej, jak tylko sprytną sztuczką Robyn, która chciała załagodzić sytuację po ostatnim spotkaniu. Robyn wydawała się być osobą, która – niezależnie od przyczyn czy też konsekwencji – nie znosi jakichkolwiek nieporozumień.

Nell zapukała ponownie. Pamiętała, by zachowywać się naturalnie i niefrasobliwie, na wypadek gdyby któryś z sąsiadów zauważył stojącą na progu obcą kobietę uparcie dobijającą się do drzwi starszka.

Tym większe było jej zaskoczenie, gdy zasuwa w końcu zgrzytnęła, a w drzwiach pojawił się nie kto inny, jak sam William Martin. Miał przewieszoną przez ramię ścierkę, w rękę ścisnął drewnianą łyżkę.

– Słyszałem, że kupiła pani chatkę – rzekł.

– Dobrze wieści szybko się rozchodzą.

Zacisnął usta i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Od razu wiedziałem, że jesteś uparta.

– Taka się urodziłam.

Pokiwał głową i wyraźnie naburmuszony mruknął:

– W takim razie wejdź. Jeśli postoisz tu dłużej, zamrozniesz na śmierć.

Nell zdjęła kurtkę przeciwdeszczową i znalazła wolny wieszak.

Chwilę później weszła za Williamem do salonu.

Powietrze było ciężkie, wilgotne od pary, przesiąknięte dziwnym zapachem, który wydawał się rozkoszny i mdły zarazem. Ryba, sól i coś jeszcze.

– Mam na piecu garnek pysznego bulionu – stwierdził William, kierując się w stronę kuchni. – Przez te wszystkie trzaski i bulgotanie nie słyszałem, jak pukałaś. – Brzęk garnków, patelni i rzucone pod nosem przekleństwo. – Robyn powinna tu być lada chwila. – Znow brzęk. – Musiała zostać chwilę dłużej z tym swoim chłoptasiem.

Ostatnie słowo wymówił z wyraźnym niesmakiem.

– Nie akceptuje pan jej narzeczonego?

Nell weszła do kuchni i patrzyła, jak staruszek miesza grudkowaty bulion.

William położył chochlę na kuchennej ławie, przykrył garnek pokrywką i sięgnął po fajkę. Delikatnie szarpnął wystający z główki kosmyk tytoniu.

– Nic do niego nie mam, poza tym, że nie jest idealny. – Mówiąc to, oparł rękę na krzyżu i zgarbiony ruszył w kierunku pokoju. – Masz dzieci? Wnuki? – spytał, mijając Nell.

– Jedną córkę i jedną wnuczkę.

– A zatem wiesz, o czym mówię.

Nell uśmiechnęła się pod nosem. Odkąd wyjechała z Australii, minęło dwanaście dni. Zastanawiała się, czy Lesley w ogóle zauważyła jej nieobecność. Mało prawdopodobne, choć z drugiej strony mogła przecież wysłać jakąś pocztówkę. Dziewczynka Cassandra na pewno by się ucieszyła. Dzieciaki lubią takie rzeczy.

– No, dalej, dziewczyno. – Zniecierpliwiony głos Williama wyrwał ją z zamyślenia. – Dotrzymaj towarzystwa staremu człowiekowi.

Nell, która miała swoje przyzwyczajenia, wybrała ten sam aksamitny fotel, w którym siedziała przy okazji ostatniej wizyty. Skinęła Williamowi głową, a on odpowiedział tym samym.

Przez chwilę siedzieli w kojącej ciszy, słuchając podmuchów wiatru, który nerwowo szarpał oknami, jakby chciał zmusić tych dwoje do podjęcia rozmowy.

W końcu Nell wskazała wiszący nad kominkiem obraz: kuter

rybacki z malowanym w czerwono-białe pasy kadłubem i namalowaną czarnymi literami nazwą.

– To pana? „Królowa chochlików”?

– Tak – odparł William. – Czasami mam wrażenie, że była to miłość mojego życia. Wspólnie przeżyliśmy największe sztormy.

– Wciąż ją pan ma?

– Od kilku lat już nie.

Pokój znów wypełnił się milczeniem. William poklepał kieszeń koszuli, wyciągnął woreczek tytoniu i zaczął nabijać fajkę.

– Mój ojciec był mistrzem portowym – zaczęła Nell. – Dorastałam w otoczeniu statków. – Przed oczami stanęła jej sylwetka Hugh. Było to kilka lat po wojnie, ojciec stał na nabrzeżu w Brisbane, a widoczne za jego plecami słońce sprawiało, że jego długie irlandzkie nogi i silne ręce wydawały się nienaturalnie duże. – Takie rzeczy wchodzi w krew, co?

– Dokładnie.

Okna zadrżały pod naporem wiatru i Nell odetchnęła nerwowo. „Co za dużo, to niezdrowo”, „Teraz albo nigdy”, jej głowa pełna była podobnych truizmów. Ktoś musi w końcu rozładować atmosferę i Nell postanowiła, że będzie to ona. Trzeba tylko jakoś zacząć...

– Williamie – zagaiła, pochylając się do przodu i opierając dłoń na kolanach – wracając do naszego poprzedniego spotkania, nie miałam zamiaru...

Uniósł drżącą spracowaną dłoń.

– Nieważne.

– Ale nie powinienam...

– Nic się nie stało. – Po tych słowach wsadził fajkę w zęby, jakby chciał dać do zrozumienia, że uważa temat za zakończony. Zapalił zapalkę.

Nell odchyliła się w fotelu: skoro tak chce, proszę bardzo, jednak obiecała sobie, że tym razem nie wyjdzie, nie poznawszy kolejnego fragmentu układanki.

– Robyn mówiła, że chciałeś mi coś powiedzieć.

Pokój wypełnił słodkawy zapach świeżego tytoniu, podczas gdy William zaciągnął się kilka razy i wypuścił kłąb dymu. Nieznacznie skinął głową.

– Już wtedy powinienem był ci powiedzieć, ale... – utkwiał wzrok w przeciwległej ścianie i Nell z trudem opanowała pokusę, by odwrócić się i zerknąć, co takiego przykuło uwagę starca – ...zaskoczyłaś mnie. Minęło wiele czasu, odkąd ktoś wymówił jej imię.

Eliza Makepeace. Niewypowiedziane imię rozpięło między nimi srebrzyste skrzydła.

– Odkąd widziałem ją po raz ostatni, minęło przeszło sześćdziesiąt lat, jednak wciąż widzę, jak schodzi ze stojącej na szczycie klifu chatki, jak kieruje się w stronę wioski, a wiatr targa jej długie rozpuszczone loki. – William otworzył oczy i spojrzał na Nell. – Przypuszczam, że niewiele ci to mówi, ale w tamtych czasach... cóż, ludzie z elit nieczęsto zniżali się do tego, by wędrować między zwykłymi obywatelami. A jednak Eliza – odchrząknął i powtórzył imię – Eliza zachowywała się, jakby nie było w tym nic dziwnego. Nie była taka jak inni.

– Poznałeś ją?

– Znałem ją na tyle dobrze, na ile można poznać takich ludzi. Spotkałem ją, gdy miała osiemnaście lat. Moja młodsza siostra Mary pracowała we dworze i pewnego popołudnia przyprowadziła Elizę do domu.

Nell starała się nie okazywać emocji. Wreszcie spotkała kogoś, kto poznał Elizę. Co więcej, słowa starca mogły pobudzić jej własne mętne wspomnienia, które kłębiły się gdzieś na krawędzi umysłu.

– Jaka ona była, Williamie?

Staruszek zacisnął usta i podrapał się po brodzie. Szorstki, nieprzyjemny dźwięk zupełnie zaskoczył Nell, która przez ułamek sekundy znów była małą dziewczynką, siedziała na kolanach Hugh i tuliła głowę do jego szczeciniastego policzka. William uśmiechnął się szeroko, pokazując pożółkłe od tytoniu, mocne zęby.

– Wyjątkowa i niepodobna do nikogo. Wszyscy tu lubiliśmy opowiadać historie, ale jej opowieści były inne. Była zabawna, odważna i nieprzewidywalna.

– Piękna?

– Tak, piękna. – Wymienili przelotne spojrzenie. – Miała rude włosy. Długie do pasa. Pasma, które w promieniach słońca mieniły się złotem. – Machnął fajką. – Lubiała siedzieć w zatoce, na czarnej

skale, i wpatrywać się w morze. W słoneczne dni, gdy wracaliśmy do portu, już z daleka widzieliśmy jej postać. Machała nam. Wyglądała jak królowa chochlików.

Nell uśmiechnęła się. „Królowa chochlików”.

– Zupełnie jak twoja łódź.

William, który z udawanym zainteresowaniem wpatrywał się w sztruksowy materiał swoich spodni, mruknął coś pod nosem.

Tym razem Nell nie miała już wątpliwości. To nie był przypadek.

– Robyn powinna wkrótce przyjść. – Mówiąc to, nie zerknął na drzwi. – Napijemy się herbaty.

– Nazwałeś łódź na jej cześć?

William otworzył usta, zamknął je i westchnął.

– Kochałeś się w niej?

Opuścił ramiona.

– Oczywiście, że się w niej kochałem – przyznał. – Jak każdy mężczyzna, który kiedykolwiek na nią spojrzał. Mówiłem ci, że była inna niż wszyscy. To, co kieruje życiem przeciętnych ludzi, nie miało dla niej żadnego znaczenia. Postępowała tak, jak czuła, a czuła naprawdę wiele.

– Czy ona, czy ty i ona kiedykolwiek...

– Byłem zaręczony z inną. – Spojrzał na wiszącą na ścianie fotografię młodej pary. Oboje byli ubrani w ślubne stroje; kobieta siedziała, mężczyzna stał obok. – Cecyli i ja już wtedy byliśmy ze sobą od dłuższego czasu. Tak to już jest w małych miasteczkach. Dorastasz w sąsiedztwie dziewczyny i razem z nią zrucasz kamienie z klifu, a chwilę później jesteście trzy lata po ślubie i oczekujecie narodzin kolejnego dziecka. – Westchnął i przygarbił ramiona, kuląc się w wełnianym swetrze. – Kiedy poznałem Elizę, świat się zmienił. Nie przychodzi mi do głowy lepsze porównanie. Zupełnie jakby rzucono na mnie kłutwę, nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. – Pokręcił głową. – Bardzo lubiłem Cec, szczerze ją kochałem, jednak mogłbym ją zostawić. – Zanim odwrócił wzrok, ich oczy spotkały się na chwilę. – Nie jestem z tego dumny i wiem, że to bardzo nieuczciwe. I takie właśnie było. Nieuczciwe. – Spojrzał na Nell. – Ale nie można winić młodego mężczyzny za szczere uczucia, prawda?

Szukał w jej oczach zrozumienia i Nell poczuła, że coś w niej pęka. Zrozumiała: ten człowiek od wielu lat szuka rozgrzeszenia.

– Nie – odparła. – Nie można.

Odetchnął, a gdy się odezwał, jego głos był tak cichy, że musiała przechylić głowę, by zrozumieć poszczególne słowa.

– Czasami ciało pragnie rzeczy, których umysł nie potrafi pojąć i zaakceptować. Każda z moich niemądrych myśli dotyczyła Elizy. Nie mogłem się powstrzymać. To było jak, jak...

– Uzależnienie?

– Właśnie. Wiedziałem, że tylko z nią będę naprawdę szczęśliwy.

– Czy ona czuła to samo?

Uniósł brwi i uśmiechnął się z żalem.

– Wiesz, przez jakiś czas myślałem, że tak właśnie było. Było w niej coś takiego... jakieś zaangażowanie. Potrafiła sprawić, że człowiek czuł się wyjątkowy, jakby pragnęła być tylko z nim, tu i teraz. – Roześmiał się trochę nieprzyjemnie. – Wkrótce dostałem nauczkę.

– Co się stało?

Zacisnął usta i przez koszmarnie długą chwilę Nell myślała, że nic więcej nie powie. Odetchnęła więc, gdy usłyszała ten sam niespieszny cichy głos.

– Była wiosenna noc. Rok tysiąc dziewięćset ósmy albo tysiąc dziewięćset dziewiąty. Pamiętam, że tego dnia mieliśmy niezwykle udany połów i postanowiliśmy to uczcić. Po pijaku nabrałem odwagi i wracając do domu, postanowiłem iść brzegiem klifu. Wtedy było to dość ryzykowne, bo zamiast dzisiejszej drogi biegła tam wąska ścieżka, ale nie dbałem o to. Ubzdurałem sobie, że pójde poprosić ją o rękę. – Głos mu drżał. – Ale gdy zbliżyłem się do chatki, zobaczyłem przez okno...

Nell pochyliła się do przodu.

– Na pewno już o tym słyszałaś. – William odchylił się w fotelu.

– Była z kimś?

– Nie z kimś. – Usta mu drżały, jakby obawiały się tego, co za chwilę będą musiały powiedzieć. – Była z kimś z rodziny. – William potarł kącik oka i spojrzał na palec, szukając nieistniejącego paproszka. – Byli... – zerknął na Nell. – Cóż, możesz sobie wyobrazić.

W głębi domu rozległ się hałas, a wraz z nim wpadł do pokoju powiew chłodnego powietrza.

– Ochłodziło się. – Usłyszeli w korytarzu głos Robyn. Po chwili pojawiła się w salonie. – Przepraszam za spóźnienie. – Spojrzała na nich z nadzieją, przeczesując dłonią wilgotne od mgły włosy. – Wszystko w porządku?

– Nie mogłoby być lepiej – odparł William, zerkając na Nell.

Nell odpowiedziała delikatnym skinieniem głowy. Nie miała zamiaru wyjawiać tajemnicy starca.

– Właśnie zamierzałem podać bulion – rzucił William. – Chodź i uciesz moje stare obolałe oczy.

– Gump! Przecież mówiłam, że zrobię herbatę. Wszystko przyniosłam.

– Hmm – burknął, dźwigając się z fotela i łapiąc równowagę. – Kiedy się z nią umawiasz, trudno powiedzieć, kiedy przypomni sobie o starym Gumpie, jeśli w ogóle sobie przypomni. Pomyślałem więc, że jeśli nie zatroszczę się o siebie, umrę z głodu.

– Och, Gump – zbesztła go Robyn, niosąc do kuchni torbę z zakupami. – Naprawdę przesadzasz. Czy kiedykolwiek zapomniałam o tobie?

– Nie chodzi o ciebie, moja droga. – Wyszedł za nią. – Chodzi o tego twojego faceta. Jest gadułą, jak wszyscy prawnicy.

Podczas gdy Robyn i William przekomarzali się, czy staruszek potrafił ugotować i podać bulion, Nell zastanawiała się nad tym, co jej powiedział. Rozumiała teraz, dlaczego uparcie twierdził, że chatka została skażona. W jego mniemaniu tak właśnie było. Jednak przez swoje wyznania William odbiegł od tematu i zadaniem Nell było nakierowanie rozmowy na odpowiedni tor. Nie mogła drażnić tematu i wypytywać, z kim Eliza była tamtej pamiętnej nocy, nie o to przecież chodziło. I choć zżerała ją ciekawość, nie mogła pozwolić, by William zamknął się w sobie. Nie chciała ryzykować, szczególnie teraz, gdy mogła się dowiedzieć, dlaczego Eliza odebrała ją Rose i Nathanielowi i dlaczego wysłała ją do Australii, by tam zaczęła zupełnie nowe życie.

– Już jesteśmy. – W drzwiach pojawiła się Robyn niosąca tacę, a na niej trzy parujące miski.

Tuż za nią wszedł wyraźnie zakłopotany William, który natychmiast rozsiadł się w fotelu.

– Wciąż robię najlepszy bulion w okolicach Polperro.

Robyn zerknęła znacząco na Nell.

– Nikt tego nie kwestionuje, Gump – zapewniła, stawiając talerze na ławie.

– Gdybym tylko potrafił przenieść go z kuchni do stołu.

Robyn westchnęła teatralnie.

– Pozwól sobie pomóc, Gump. To wszystko, o co prosimy.

Nell zgrzytnęła zębami. Musi przerwać tę sprzeczkę i nie dopuścić, by William poczuł się urażony.

– Wyborny – zauważyła, próbując bulionu. – Idealna ilość sosu Worcestershire.

William i Robyn spojrzeli na nią zdumieni, a ich łyżki zawisły w połowie drogi do ust.

– Co? – Zdezorientowana Nell patrzyła to na Robyn, to na Williama. – O co chodzi?

Robyn otworzyła usta i zamknęła je niczym ryba.

– Sos Worcestershire.

– To nasz sekretny składnik – stwierdził William. – Jest w rodzinie od pokoleń.

Nell przepraszając wzruszyła ramionami.

– Mama robiła bulion, tak jak przed nią robiła go jej mama. Zawsze używały sosu Worcestershire. Przypuszczam, że w ich przypadku był to również sekretny składnik.

William odetchnął przez nos, a Robyn w milczeniu zagryzła wargi.

– I tak jest przepyszny – ciągnęła Nell, podnosząc do ust kolejną łyżkę. – Sekret tkwi w odpowiedniej ilości.

– Powiedz mi, Nell – zaczęła Robyn, uparcie unikając wzroku Williama – czy znalazłaś coś ciekawego w dokumentach, które ci dałam?

Nell uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Były bardzo ciekawe. Szczególnie zainteresował mnie artykuł na temat wodowania „Luzytanii”.

Robyn się rozpromieniła.

– Tak, musiało być niezwykle ekscytujące. Aż strach pomyśleć, co stało się z tym pięknym statkiem.

– Niemcy – bąknął Gump z pełnymi ustami. – To była profanacja, potworny akt barbarzyństwa.

Nell przypuszczała, że to samo mówili Niemcy o bombardowaniu Drezna, ale wiedziała, że to nie miejsce ani czas na podobne dyskusje. Ugryzła się więc w język i kontynuowała uprzejmą bezcelową rozmowę na temat historii miasteczka i dworu Blackhurst, dopóki Robyn nie wymówiła się koniecznością zmycia naczyń i przyniesienia deseru.

Nell patrzyła, jak kobieta znika w przedpokoju, po czym świadoma, że być może jest to ostatnia okazja, by побыć sam na sam z Williamem, podjęła przerwany wątek:

– Jest coś, o co chciałam zapytać.

– Więc pytaj.

– Znałeś Elizę...

Zapałił fajkę i skinął głową.

– Więc jak myślisz, dlaczego mnie uprowadziła? Czy aż tak bardzo pragnęła dziecka?

Staruszek wypuścił chmurę dymu i wcisnął fajkę w kącik ust.

– Nie wydaje mi się. Była wolnym duchem. Nie przepadała za obowiązkami i z pewnością nie kradła ich innym.

– Czy ludzie mówili coś na ten temat? Wysznuwali jakieś przypuszczenia? Teorie?

– Wierzyliśmy, że to dziecko... że ty... umarłaś na szkarlatynę. Nikt w to nie wątpił. – Wzruszył ramionami. – Nikt też nie przywiązywał większej wagi do zniknięcia Elizy. Nie pierwszy raz zniknęła z dworu.

– Naprawdę?

– Kilka lat wcześniej zrobiła dokładnie to samo. – Zerknął szybko w kierunku kuchni i unikając wzroku Nell, konspiracyjnie zniżył głos. – Zawsze obwiniąłem o to siebie. To wydarzyło się niedługo po tym... niedługo po tamtym wydarzeniu, o którym ci mówiłem. Spotkałem się z nią i powiedziałem jej, co widziałem, wyzwalałem ją od ostatnich. Prosiła, żebym nikomu nie mówił, powiedziała, że nic nie rozumiem i że to nie było tak, jak myślałem. – Roześmiał się gorzko.

– Mówiła to, co zwykle mówią kobiety, gdy ktoś je przyłapie.

Nell pokiwała głową.

– Zrobiłem to, o co mnie prosiła, i dotrzymałem tajemnicy. Niedługo potem dowiedziałem się we wsi, że wyjechała.

– Dokąd pojechała?

Pokręcił głową.

– Kiedy w końcu wróciła, mniej więcej po roku, pytałem, ale nigdy nie odpowiedziała.

– Deser gotowy – dobiegł z kuchni śpiewny głos Robyn.

William pochylił się do przodu, wyjął fajkę z ust i wymierzył ją w Nell.

– Dlatego poprosiłem Robyn, by cię zaprosiła. Właśnie to chciałem ci powiedzieć: dowiedz się, dokąd wyjechała Eliza, a będziesz bliżej rozwiązania całej zagadki. Wiem to, bo za każdym razem, gdy wracała, była odmieniona.

– Odmieniona? Co masz na myśli?

Staruszek pokręcił głową.

– Odmieniona, jakby nie była sobą. – Zacisnął zęby na ustniku fajki. – Czegoś w niej brakowało i nigdy nie była już taka sama.

CZEŚĆ TRZECIA

Posiadłość Blackhurst

Rankiem, w dzień, gdy Rose miała wrócić do Blackhurst, Eliza poszła do sekretnego ogrodu. Listopadowe słońce wciąż jeszcze budziło się ze snu i ścieżka tonęła we mgle, odsłaniając niewiele poza srebrną od rosy wilgotną trawą. Szła szybko, splatając ramiona, jakby chciała odegnąć napierający zewsząd chłód. Lekkim krokiem omijała kałuże – nieprzyjemną pozostałość po ulewie nocnej – aż w końcu otworzyła bramę do labiryntu. Tu, pośród grubych żywych ścian, ciemność poczyniała sobie jeszcze śmieiej, jednak Eliza tak dobrze знаła drogę, że bez problemu mogła pokonać ją nawet we śnie.

Zazwyczaj uwielbiała ten przelotny kruchy moment, gdy noc niechętnie ustępowała miejsca porankowi, jednak tego dnia była zbyt zdenerwowana, by zwracać uwagę na aurę. Odkąd otrzymała list, w którym Rose powiadamiała ją o swych zaręczynach, Eliza walczyła z uczuciami. Najeżony kolcami kamień zazdrości ciążył jej na żołądku i odbierał spokój ducha. Każdego dnia, gdy tylko pomyślała o Rose, gdy po raz kolejny sięgnęła po jej list i wybiegła myślami w przyszłość, czuła lęk, który niczym trucizna rozlewał się po jej ciele.

Wraz z listem Rose zmieniły się kolory świata, w którym do tychczas żyła Eliza. Jak w kalejdoskopie, który urzekł ją tak bardzo, gdy przybyła do Blackhurst. Wystarczył jeden nierozważny ruch, a te same kolorowe szkiełka tworzyły zupełnie inny obraz. W miejscu, gdzie jeszcze tydzień temu czuła się bezpieczna – wierząc że ona i Rose są ze sobą nierozzerwalnie związane – czuła się teraz samotna i zdradzona.

Zanim weszła do sekretnego ogrodu, przez płonące czerwienią, przerzedzone korony drzew wlewały się pierwsze nieśmiałe promienie. Eliza nabrała w płuca duży haust powietrza. Przyszła tu, ponieważ było to miejsce, w którym czuła się spokojna, a tego dnia bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała spokoju.

Musnęła dłonią niską żelazną ławeczkę, wciąż jeszcze mokrą od deszczu, i przycupnęła na jej skraju. Jabłoń obrodziła lśniącymi kulami w kolorze pomarańcza i różu. Mogła zerwać kilka i zanieść do kuchni, zgrażyć leżące na ziemi, skurczone, opadłe liście albo przyciąć kapryfolum. Zająć się czymś, co pozwoli choć na chwilę zapomnieć o Rose i obawie, że gdy wróci, nie będzie już taka sama.

Odkąd bowiem Eliza otrzymała list, wiedziała, że nie tego mężczyzny – Nathaniela Walkera – należy się bać, a miłości, jaką darzy go Rose. Mogła zaakceptować ich małżeństwo, ale fakt, że uczucia Rose mogły ulec zmianie, napawał ją prawdziwą grozą. Najbardziej bała się tego, że Rose, która przecież tak bardzo ją kochała, znalazła sobie kogoś innego i już nie będzie potrzebowała swojej kuzynki.

Siłą woli zmusiła się do spaceru, od czasu do czasu zerkając na rośliny. Wisteria zrzucała ostatnie liście, pachnące kwiaty jaśminu dawno już przekwitły, jednak łagodna jesień oszczędziła delikatne różowe róże. Eliza podeszła do krzewu, ujęła w palce na wpół rozwinięty bladoróżowy pąk i uśmiechnęła się do uwiecznionej między płatkami lśniącej kropki deszczu.

Myśl pojawiła się w jej umyśle nagle i Eliza była przekonana co do jej słuszności. Musi zrobić bukiet, prezent powitalny dla Rose. Kuzynka uwielbia kwiaty, jednak Eliza zamierzała wybrać wyłącznie te, które symbolizują łączącą je więź. Bluszcz oznaczający przyjaźń, różową różę symbolizującą szczęście i egzotyczne, podobne do dębu liście geranium, jako symbol wspomnień...

Eliza uważnie oglądała każdy listek i każdą najdrobniejszą gałązkę, wybierając najbardziej okazałe łodygi i pąki, z których ułożyła małeńki bukietek przewiązany różową satynową wstążką. Kończyła, gdy usłyszała znajomy odgłos pobrzękujących na kamiennym podejździe metalowych kół.

Wróciły. Rose jest w domu.

Z sercem podchodzącym do gardła Eliza podkasła wilgotną

spódnicę, wzięła bukiet i lawirując wśród zielonych ścian labiryntu, puściła się biegiem w kierunku domu. W pośpiechu rozchłapywała kałuże, czując, jak oszalałe serce galopuje w takt końskich kopyt.

Wypadła zza bramy w chwili, gdy powóz zatrzymywał się przed domem. Kątem oka dostrzegła siedzącego na ławeczce wuja Linusa, który ściskając w ręku mały brązowy aparat, jak zwykle pilnował wejścia do labiryntu. Udała że nie słyszy, gdy zawołał ją po imieniu.

Gdy dotarła przed dom, Newton otwierał drzwi do powozu. Mężczyzna puścił do niej oko, na co odpowiedziała radosnym machnięciem ręką. Zaciśnęła usta i czekała.

Odkąd otrzymała list, długie dni leniwie ustępowały miejsca jeszcze dłuższym nocom. Aż do teraz. Nagle czas stanął w miejscu, a Eliza czuła oszalałe kołatanie serca i własny przyspieszony oddech.

Zdawało jej się, czy też Rose wygląda i zachowuje się inaczej?

Kątem oka musiały dostrzec zamieszanie, bo obie się obróciły. Rose uśmiechnęła się, podczas gdy ciotka Adeline pozostała poważna.

Eliza powoli uniosła rękę, pomachała i szybko ją opuściła.

Rose uniosła z rozbawieniem brwi.

– Nie powitasz mnie w domu, kuzynko?

Eliza poczuła ulgę, która rozlała się po jej ciele. Jej Rose wróciła i teraz wszystko będzie dobrze. Zrobiła niepewny krok, by wyciągnąć ramiona i rzucić się do przodu. Po chwili obejmowała czule Rose.

– Odsuń się, dziewczyno – rzuciła gniewnie ciotka Adeline. – Cała jesteś ubłocona. Poplamisz suknię Rose.

Rose uśmiechnęła się i Eliza poczuła, jak resztki strachu opuszczają jej ciało. To oczywiste, że Rose pozostała sobą. Nie było jej zaledwie przez dwa i pół miesiąca. Eliza pozwoliła, by lęk i nieobecność kuzynki zrobiły swoje i spodziewała się zmiany tam, gdzie w ogóle jej nie było.

– Kuzynko Elizo, jak cudownie cię widzieć!

– Ciebie również, Rose. – Eliza wyciągnęła ku Rose skromny bukietik.

– Jaki piękny! – Rose podniosła bukiet do nosa. – Z twojego ogrodu?

– Bluszcz symbolizuje przyjaźń, geranium wspomnienia...

– Tak, tak i róża. Widzę. To miło z twojej strony, Elizo. – Rose podała bukietek Newtonowi. – Poproś panią Hopkins, by znalazła wazonik, dobrze, Newtonie?

– Mam ci tyle do opowiedzenia, Rose – zaczęła Eliza. – Nigdy nie zgadniesz, co się stało. Jedna z moich opowieści...

– Mój Boże! – Rose się roześmiała. – Jeszcze dobrze nie weszłam do domu, a moja Eliza już raczy mnie swymi opowieściami.

– Przestań męczyć kuzynkę – ucieła szorstko ciotka Adeline. – Rose musi odpocząć. – Zerknęła na córkę i głos jej zadrżał. – Powinna się położyć.

– Oczywiście, mamu. Zaraz tak zrobię.

Zmiana była subtelna, jednak Eliza natychmiast ją dostrzegła. W głosie ciotki Adeline wyczuwało się pewną nieśmiałość, podczas gdy odpowiedź Rose zdawała się dziwnie uległą.

Eliza rozmyślała o tym, gdy ciotka Adeline ruszyła w kierunku domu, a Rose nachyliła się i szepnęła jej do ucha:

– Chodź na górę, kochana. Mam ci tak dużo do powiedzenia.



Rzeczywiście Rose miała dużo do opowiadania. Opisywała każdą chwilę spędzoną w towarzystwie Nathaniela Walkera i – co gorsza – katusze, jakie cierpiała, będąc z daleka od swego ukochanego. Jej epicka opowieść rozpoczęła się wczesnym popołudniem i trwała przez dzień i noc. Z początku Eliza udawała zainteresowanie, a nawet była zainteresowana, ponieważ uczucia, o których tak żarliwie mówiła Rose, były jej zupełnie obce. Jednak w miarę upływu czasu zaczęła tracić nie tylko zainteresowanie, ale także cierpliwość. Próbowwała zająć Rose innymi rzeczami – wizytą w ogrodzie, najnowszą opowieścią, a nawet wyprawą do zatoki – jednak Rose wciąż mówiła o miłości i wyrozumiałości. Głównie swojej...

I tak, wraz z nadchodzącą zimą, Eliza coraz częściej szukała schronienia w zatoce, sekretnym ogrodzie i chatce. Miejscach, w których mogła zniknąć, gdzie służba nie nękała jej przerażającymi wieściami, które zawsze brzmiały tak samo: panienska Rose oczekuje spotkania z panienką Elizą w sprawie niecierpiącej zwłoki. Słyszając to, Eliza miała wrażenie, że niezależnie od tego, jak bardzo krytyko-

wała kolejne suknie ślubne, Rose Mountrachet nie zamierzała przestać jej nękać.

Mówiła sobie, że wszystko wróci do normy i że Rose jest podeksytowana. Zawsze interesowała się modą i ozdobami, a teraz miała okazję stać się prawdziwą księżniczką z bajki. Wystarczy trochę cierpliwości, a ich relacje znów będą takie jak kiedyś.

Tymczasem nastała wiosna. Ptaki wróciły z ciepłych krajów, z Nowego Jorku przyjechał Nathaniel, wszyscy żyli przygotowaniami do ślubu i nim się obejrzała, Eliza zegnała powóz nowożeńców, który wiozł szczęśliwą młodą parę do Londynu, skąd mieli popłynąć na Stary Kontynent.



Później, nocą, leżąc w łóżku, w cichym posępnym domu, Eliza odczuła nieobecność Rose. Prawda była równie oczywista jak bolesna: Rose już nigdy nie przyjdzie nocą do jej pokoju, podobnie jak Eliza nigdy więcej nie wślizgnie się do łóżka kuzynki. Koniec leżenia pod jedną kołdrą, chichotania i opowiadania historii. Dla nowożeńców przygotowano specjalny pokój w odległym skrzydle domu. Większy, z widokiem na zatokę, w sam raz dla młodej pary. Eliza przewróciła się na bok. Dopiero w ciemnościach zrozumiała, jak strasznie będzie żyć pod jednym dachem z Rose i nie móc jej odszukać.

Następnego dnia, jak nigdy dotąd, zapragnęła porozmawiać z ciotką Adeline. Zastała ją w salonie, siedzącą przy wąskim biurku, i choć pani domu nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi, Eliza postanowiła mówić.

– Zastanawiałam się, ciociu, czy mogłabym wziąć z poddasza kilka rzeczy?

– Jakich rzeczy? – spytała Adeline, nie podnosząc wzroku.

– Chciałam prosić o biurko, krzesło i łóżko...

– Łóżko? – Ciemne oczy zmrużyły się i spojrzały z ukosa na Elizę.

Podczas nocnych rozmyślań Eliza doszła do wniosku, że lepiej zmienić coś w swoim życiu, niż łątać dziury zrobione przez decyzje innych.

– Teraz, gdy Rose jest mężatką, pomyślałam, że moja obecność w domu nie będzie już konieczna. Dlatego chciałabym zamieszkać w chatce.

Eliza nie spodziewała się wiele, bo ciotka czerpała szczególną przyjemność z odmawiania innym. Patrzyła, jak smukła dłoń podpisuje list starannym, równym pismem, by po chwili podrapać głowę siedzącego przy biurku ogara. Usta ciotki rozciągnęły się w czymś, co Eliza odczytała jako delikatny uśmiech. Adeline wstała i dzwonkiem wezwała służącą.



Pierwszą noc w nowym domu Eliza spędziła przy oknie, obserwując ocean, który nadymał się i opadał jak ogromna kropla rtęci pod upiornym światłem księżyca. Gdzieś tam, po drugiej stronie była Rose. Po raz kolejny podróżowała statkiem, podczas gdy ona Eliza siedziała w domu. Przyjdzie jednak taki czas, że i ona wyruszy w daleką podróż. Pieniądze, które płaciło jej czasopismo, nie były wielkie, jednak gdyby pisała i oszczędzała przez rok, z pewnością stać by ją było na podróż. Oczywiście jest jeszcze broszka wysadzana kolorowymi kamieniami. Eliza nie zapomniała pamiątki po matce ukrytej w kominku w domu państwa Swindell. Pewnego dnia wróci i ją zabierze.

Pomyślała o ogłoszeniu, które w ubiegłym tygodniu widziała w gazecie. *Poszukujemy chętnych do wyjazdu do Queensland*, obwieszczało. *Przyjdźcie i rozpocznijcie nowe życie*. Mary często opowiadała o przygodach swojego brata w mieście Maryborough. Jeśli wierzyć jej słowom, Australia jest krajem otwartych przestrzeni, oślepiającego słońca i perspektyw, gdzie ludzie za nic mają etykietę i dworskie obyczaje.

Eliza marzyła, by wybrać się w taką podróż w towarzystwie Rose. Tyle razy rozmawiały na ten temat. A może tylko jej się zdawało? Patrząc w przeszłość, miała wrażenie, że gdy tylko pojawiał się temat podróży, Rose stawiała się cicha i milcząca.

Eliza spędzała w chatce kolejne noce. Kupowała produkty w miejscowym sklepie. William, jej przyjaciel, dbał o to, by zawsze miała w domu świeże dorsze, a Mary, która popołudniami odwie-

działa ją w drodze do domu, przynosiła talerz zupy, zimną pieczeń i najnowsze wieści z dworu.

Prócz tych wizyt Eliza po raz pierwszy w życiu była naprawdę sama. Z początku obawiała się dziwnych odgłosów nocy, jednak z upływem czasu nauczyła się je rozróżniać: miękkie łapki zwierząt biegających po dachu, trzask pieca, jęczące z zimna deski podłogowe. Odkryła też korzyści płynące z życia w samotności: odkąd zamieszkała w chatce, zauważyła, że bohaterowie jej opowieści stali się odważniejsi. Widziała duszki bawiące się w pajęczych sieciach, owady szepczące zaklęcia na parapetach, chochliki, które syczały i pluły ogniem. Bywały popołudnia, gdy siedząc w bujanym fotelu, słuchała ich opowieści. Później, nocą, gdy wszystko milkło i kładło się do snu, tkła z nich własne historie.

Rankiem czwartego tygodnia wzięła pióro, blok listowy i usiadła pod jabłonią na kępce miękkiej trawy. Miała pomysł na kolejną opowieść i niemal natychmiast zaczęła przelewać go na papier. Była to baśń o dzielnej księżniczce, która zrzekła się swego dziedzictwa i wraz z pokojówką wyruszyła w daleką podróż do dzikiej i niebezpiecznej krainy. Eliza zamierzała właśnie wysłać swą bohaterkę do zasnutą pajęczyną jaskini, w której mieszkał wyjątkowo złośliwy chochlik, gdy siedzący na jabłoni ptak rozpoczął trele.

– Naprawdę? – spytała Eliza, odkładając pióro.

Ptak powtórzył melodię.

– Przyznaję, że też jestem głodna. – Mówiąc to, zerwała jedno z niewielu jabłek, które wciąż jeszcze wisały na niższych gałęziach, wytarła je w sukienkę i zatopiła w nim zęby. – Jest naprawdę pyszne – zauważyła, gdy ptak odleciał. – Powinieneś spróbować.

– Chętnie skorzystam z tej oferty.

Dłoń Elizy zastygła w połowie drogi do ust, a ona znieruchomiała, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu siedział ptak.

– Przyniosłbym własne, ale nie miałem pojęcia, że zabawię tu tak długo.

Rozejrzała się po ogrodzie i zatrzymała wzrok na mężczyźnie, który siedział na jednej z ogrodowych ławeczek. Jego obecność tak bardzo ją zaskoczyła, że choć spotkali się już wcześniej, potrzebo-

wała chwili, by rozpoznać jego twarz. Te same ciemne włosy i oczy, ten sam niewymuszony uśmiech... Eliza wstrzymała oddech. Był to Nathaniel Walker, mężczyzna, który poślubił Rose. Siedział tu, w jej ogrodzie.

– Widzę, że naprawdę ci smakuje – zauważył. – Patrząc na ciebie, mam wrażenie, jakbym sam je jadł.

– Nie lubię, gdy się mnie podgląda.

Uśmiechnął się.

– W takim razie powinienem odwrócić wzrok.

– Co tu robisz?

Nathaniel uniósł rękę, prezentując książkę.

– *Mały lord Fauntleroy*. Czytałaś?

Pokręciła głową.

– Ja też nie, mimo że bardzo się staram. I muszę przyznać, że częściową winę za to ponosisz ty, kuzynko Elizo. Twój ogród jest zbyt doskonały. Siedzę tu od rana i ledwie skończyłem pierwszy rozdział.

– Myślałam, że jesteście we Włoszech.

– Owszem, byliśmy, ale wróciliśmy tydzień wcześniej.

Eliza poczuła na skórze przejmujący chłód.

– Rose jest w domu?

– Ależ oczywiście. – Uśmiechnął się szczerze. – Chyba nie sądzisz, że oddałem moją żonę Włochom!

– Ale kiedy ona... – Eliza nerwowo odgarnęła z czoła niesforne rude kosmyki. – Kiedy wróciliście?

– W poniedziałek po południu. To była niezmiernie burzliwa podróż.

Trzy dni. Są w domu od trzech dni, a Rose nie dała znaku życia. Żołądek Elizy skurczył się boleśnie.

– Rose... Czy wszystko z nią w porządku?

– Nigdy nie czuła się lepiej. Najwyraźniej klimat śródziemnomorski jej służy. Zostalibyśmy tam jeszcze przez tydzień, ale uparła się, że musi pomóc w przygotowaniach do przyjęcia. – Uniósł brwi z czułą teatralnością. – Słyszac, jak rozmawia z matką, obawiam się, że planują prawdziwą ucztę.

Eliza ukryła rozczarowanie, zatapiając zęby w jabłku, a po chwi-

li wyrzuciła ogryzek. Słyszała pogłoski o przyjęciu na świeżym powietrzu, jednak przypuszczała, że chodzi o kolejne spotkanie towarzyskie Adeline, nic, co miałoby jakikolwiek związek z Rose.

Nathaniel jeszcze raz uniósł książkę.

– Stąd wybór lektury. Pani Hodgson Burnett będzie na przyjęciu. Z pewnością nie możesz doczekać się spotkania z nią. Wyobrażam sobie, jak cudownie jest rozmawiać z kimś, kto również pisze.

Eliza nie podniosła wzroku i zwinęła między palcami róg kartki.

– Tak... tak sądzę.

Tym razem w jego głosie było coś przepraszającego.

– Oczywiście przyjdiesz? Jestem pewien, że Rose bardzo by tego chciała. Przyjęcie odbędzie się na owalnym trawniku, w sobotę o czternastej.

Eliza ozdobiła margines niedbałym szkicem winorośli. Rose doskonale wiedziała, że nie zależy jej na przyjęciach. Troskliwa kochająca Rose na pewno chciała oszczędzić jej towarzystwa ciotki Adeline i jej przyjaciół.

Głos Nathaniela był łagodny.

– Rose często o tobie mówi, kuzynko Elizo. Dlatego czuję się, jakbym znał cię osobiście. – Mówiąc to, machnął ręką. – Powiedziała mi o twoim ogrodzie, dlatego tu przyszedłem. Musiałem zobaczyć na własne oczy, czy jest tak piękny, jak go opisywała.

Eliza spojrzała na niego przelotnie.

– I?

– Jest dokładnie taki, jak mówiła, a nawet piękniejszy. Jak już powiedziałem, to przez ogród nie mogłem skupić się na czytaniu. Jest coś w świetle, w sposobie, w jaki sączy się między drzewami i rozlewa po ziemi, że patrząc na nie, mam ochotę je namalować. Zabazgrałem już cały frontysepis. – Uśmiechnął się. – Tylko nie mów pani Hodgson Burnett.

– Stworzyłam ten ogród dla Rose i dla siebie. – Tak bardzo przyzwyczaiła się do samotności, że jej głos zabrzmiał dziwnie i nie-naturalnie, a jej słowa, szczere i pełne uczuć, napawały ją wstydem. Jednak nie mogła odnaleźć wystarczająco dużo siły, by zachować je dla siebie. – Miała to być nasza sekretna kryjówka, miejsce, gdzie nikt nas nie znajdzie. Przysłań, w której Rose mogła siedzieć na

świeżym powietrzu, nawet wtedy, gdy nie czuła się najlepiej.

– To dla Rose wyjątkowe szczęście, że ma kuzynkę, która tak się nią opiekuje. Ja sam jestem ci dozgonnie wdzięczny za to, co dla niej uczyniłaś. Myślę, że tworzymy swoistą drużynę, ty i ja, nieprawdaz?

Nie, pomyślała Eliza, nie tworzymy. Rose i ja stanowimy parę, drużynę. Ty jesteś zbędny i nie zabawisz tu długo.

Nathaniel wstał, otrząpał spodnie i przycisnął książkę do piersi.

– Niestety, muszę cię już pożegnać. Matka Rose ma swoje zasady i nie sądzę, by spojrzała łaskawym okiem na to, iż spóźniłem się na obiad.

Eliza odprowadziła go do bram ogrodu i przez chwilę patrzyła, jak odchodzi. Dopiero wtedy zamknęła furtkę i przycupnęła na ławeczce. Przesunęła się, by nie siedzieć w miejscu, gdzie metal był jeszcze ciepły. Nie było w Nathanielu niczego, za co mogłaby go nie lubić i właśnie za to nie lubiła go najbardziej. Ich spotkanie ciążyło jej na sercu jak lodowata bryła lodu. Wszystko przez to, że wspomniał o przyjęciu i o Rose, przez pewność, z jaką mówił o jej uczuciach. Wdzięczność, jaką okazał Elizie, choć ubrana w piękne serdeczne słowa, nie pozostawiała wątpliwości, że traktuje ją wyłącznie jako pomocnicę. A teraz wtargnął do jej ogrodu i bez trudu przedzierał się przez żywopłot...

Eliza starała się zapomnieć o tym, co ją dręczy i wróciła myślami do opowieści. Księżniczka miała właśnie wejść za wierną pokojówką do jaskini chochlika. W takich okolicznościach z pewnością zapomni o spotkaniu.

Jednak niezależnie od tego, jak bardzo się starała, straciła zapach, a wraz z nim natchnienie. Fabuła, która z początku wywoływała radosne podniecenie, teraz wydawała się kiepska i przewidywalna. Eliza przekreśliła wszystko, co napisała do tej pory. Potrzebuje czegoś innego, czegoś świeżego. Wciąż jednak nic nie przychodziło jej do głowy i niezależnie od tego, jak manipulowała fabułą, nie uzyskiwała pożądanego efektu. No bo która księżniczka przedkłada pokojówkę nad księcia z bajki?



Słońce świeciło tak jasno, jak gdyby Adeline złożyła zamówienie

u samego Boga. Dodatkowe lilie dotarły na czas, a Davies przeczesywał ogrody w poszukiwaniu egzotycznych roślin, które udoskonaliłyby wymyślne aranżacje. Przelotny deszcz, który pozbawił Adeline snu i przysporzył jej tylu nieszczęść, sprawił, że ogród wyglądał jeszcze bardziej okazale, jakby każdy liść został wypolerowany na tę szczególną okazję. Fikuśne wyściełane krzesła doskonale prezentowały się na lśniącej od rosy, świeżo przystrzyżonej trawie. Wynajęci na tę okazję kelnerzy stali przy schodach jak wzór spokoju i opanowania, podczas gdy w ukrytej poza zasięgiem wzroku kuchni aż wrzało od przygotowań.

Goście zjeżdżali się do Blackhurst od niespełna kwadransa i powitani przez Adeline kierowali się do ogrodu. Ach, jakże dostojnie wyglądali w kapeluszach, choć żaden z nich nie prezentował się tak doskonale jak kapelusik Rose sprowadzony specjalnie na tę okazję aż z Mediolanu.

Skrywając się za liśćmi ogromnego rododendronu, Adeline przyjrzała się gościom. Lord i lady Ashfield siedzący w towarzystwie lorda Irvinga-Browna, sir Arthur Mornington, który sącząc herbatkę, zerka na grające w krokieta, roześmiane dzieci Churchillów, lady Susan Heuser zajęta rozmową z lady Caroline Aspley.

Adeline uśmiechnęła się do siebie. Tego właśnie potrzebowała. Przyjęcie stanowiło doskonałą okazję, by powitać w domu nowożeńców, a obecność plotkarzy i karierowiczów zapewni rozgłos Nathanielowi i jego sztuce portretowania. Nie na próżno kazała Thomasowi powiesić najlepsze prace zięcia na ścianach holu, by w porze herbatki poprowadzić tamtędy swych zacnych gości. Tym sposobem Nathaniel zostanie przedstawiony krytykom sztuki, plotkarzom i ludziom odpowiedzialnym za najnowsze trendy.

Nathaniel musi tylko oczarować gości tak, jak swego czasu oczarował Rose. Adeline zerknęła na gości i dostrzegła córkę siedzącą w towarzystwie Nathaniela i amerykańskiej pisarki, pani Hodgson Burnett. Co do pani Hodgson Burnett Adeline miała poważne wątpliwości, gdyż jakkolwiek jeden rozwód mógł uchodzić za nieszczęśliwe zrzęczenie losu, dwa rozwody graniczyły z bezbożnością.

Mimo to pisarka miała na kontynencie szerokie grono zacnych przyjaciół, więc Adeline zdecydowała, że jej obecność przyniesie

rodzinie znacznie więcej dobrego, niż jej niesława może wyrządzić złego.

Rose zareagowała na słowa pisarki szczerym serdecznym śmiechem i patrząc na nią, Adeline poczuła wzburzoną w sercu dumę. Tego dnia Rose wyglądała nadzwyczaj pięknie i nawet kwitnąca za jej plecami ściana róż nie była w stanie przyćmić jej urody. Jest radosna, pomyślała Adeline, jak szczęśliwa młoda mężatka, która tak niedawno ślubowała przed obliczem Boga.

Dziewczyna znów się roześmiała, a Nathaniel machnął ręką w kierunku labiryntu. Adeline miała tylko nadzieję, że nie tracą cennego czasu, rozprawiając o ogrodzonym murami ogrodzie czy innych niedorzecznych pomysłach Elizy. Ach, jakim cudownym darem opatrności jest zniknięcie tej dziewczyny.

W tygodniach poprzedzających przyjęcie Adeline spędzała bezsenne noce, zastanawiając się, jak powstrzymać Elizę przed zepsuciem tego wyjątkowego dnia. Błogosławiła więc poranek, gdy dziewczyna stanęła przy jej biurku, prosząc o możliwość zamieszkania w chatce. Na szczęście Adeline zdołała ukryć zadowolenie. Fakt, że Eliza zaszyła się w domku na klifie, był nieporównywalnie lepszy od jakichkolwiek knowań Adeline, która raz na zawsze pozbyła się utrapienia. Od tamtej pory Adeline nie widziała dziewczyny na oczy, a dom bez niej zdawał się jaśniejszy i bardziej przestronny. W końcu, po ośmiu długich latach los uwolnił ją od przytłaczającej obecności tej niewdzięcznej przybłędę.

Wciąż jednak musi przekonać Rose, że Eliza wyprowadziła się z domu dla własnego i ich dobra. Biedna Rose, zawsze była ślepa, gdy chodziło o Elizę, i nigdy nie nauczyła się dostrzegać w kuzynce potencjalnej rywalki. Co więcej, pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po powrocie z miesiąca miodowego, było dociekanie przyczyn nieobecności kuzynki. Kiedy Adeline podała jej rozsądny powód przeprowadzki, Rose ściągnęła brwi i zdecydowała, że jutro z samego rana spotka się z Elizą.

Jeśli plan Adeline faktycznie miał się powieść, takie spotkanie było nie do pomyślenia. Dlatego też wczesnym rankiem, tuż po śniadaniu, Adeline odwiedziła Rose w jej nowym pokoju, gdzie dziewczyna tworzyła delikatną kwiatową kompozycję.

– Uważasz, że powinniśmy zaprosić Elizę na przyjęcie w ogrodzie? – spytała, patrząc, jak Rose wybiera spośród innych kwiatów delikatną gałązkę różowego klematisu.

Rose odwróciła się, nie bacząc na ściekające z łodygi krople wody.

– Ależ oczywiście, że musi przyjść. Eliza to moja najdroższa przyjaciółka.

Adeline zacisnęła usta. Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała i na taki rozwój wydarzeń była przygotowana. Mimo to postanowiła udawać zaskoczoną i zrezygnowaną. Kilka zdań, przygotowanych odpowiednio wcześniej, wystudiowanych i przećwiczonych, wyłało się z jej ust naturalnym wartkim strumieniem.

– Naturalnie, moja droga. Jeśli tak bardzo zależy ci na jej obecności, Eliza zostanie zaproszona. Nie będziemy więcej poruszać tego tematu. – Po tak wspaniałomyślnym ustępstwie Adeline pozwoliła sobie na pełne tęsknoty westchnienie.

Tym razem Rose odwróciła się, ściskając w rękę gałązkę gardenii.

– O co chodzi, mamó?

– O nic, skarbie.

– Mamó?

Ostrożnie, ostrożnie.

– Myślałam o Nathanielu.

Rose wbiła w matkę pełne niepokoju spojrzenie. Policzki jej płonęły.

– O Nathanielu?

Adeline wstała, wygładziła spódnicę i uśmiechnęła się do córki.

– Nieważne. Myślę, że obecność Elizy nie wpłynie niekorzystnie na rozwój wypadków.

– Ależ oczywiście, że nie wpłynie. – Rose zawahała się, zanim włożyła gardenię do wazonu. Nie spojrzała na matkę, ale też nie musiała na nią spoglądać. Adeline wyobrażała sobie niepokój, jaki w tej chwili maluje się na twarzy córki. Po chwili usłyszała ostrożne pytanie:

– Dlaczego obecność Elizy miałaby zaszkodzić Nathanielowi?

– Nie to miałam na myśli, Rose. Po prostu zamierzałam skupić

uwagę gości na Nathanielu i jego pracach. Eliza to kochane dziecko, ale ma rzadki dar przyciągania uwagi innych. Miałam nadzieję, że ten dzień będzie należał do Nathaniela i ciebie, moja droga. Ale oczywiście zaprosimy Elizę, jeśli sobie tego życzysz. – Roześmiała się. Był to radosny beztroski śmiech, który przez lata opanowała do perfekcji. – Poza tym śmiem przypuszczać, że gdy tylko Eliza dowie się o twoim przedwczesnym powrocie, będzie tu tak częstym gościem, że któraś ze służących na pewno poinformuje ją o przyjęciu. Powinnaś też wiedzieć, że mimo iż twoja kuzynka nie przepada za spotkaniami towarzyskimi, jej przywiązanie do ciebie jest tak wielkie, że z całą pewnością będzie chciała przyjść.

Po tych słowach Adeline wyszła, uśmiechając się na widok dumnie wyprostowanych ramion Rose. Wystarczająco dobrze знаła córkę, by wiedzieć, że zasiała ziarno niepokoju i osiągnęła zamierzony cel.

I rzeczywiście, jeszcze tego samego dnia Rose pojawiła się w buuarze matki, twierdząc, że skoro Eliza nie przepada za przyjęciami, nie należy jej fatygować. Następnie oznajmiła ściszym głosem, że postanowiła odwołać dzisiejsze spotkanie z kuzynką i przełożyć je na późniejszy termin, gdy będą miały więcej czasu, by nacieszyć się swoim towarzystwem.



Wybuch radości na polu do krykieta zwrócił uwagę Adeline i wyrwał ją z zamyślenia. Klasnęła w dłonie, przywołała na twarz radosny uśmiech i weszła między gości. Gdy podeszła do kanapy, pani Hodgson Burnett wstała i lekkim ruchem otworzyła białą parasolkę. Skinieniem głowy pożegnała Rose i Nathaniela, po czym ruszyła w kierunku labiryntu. Adeline mogła mieć tylko nadzieję, że pisarka nie zamierza wejść do środka. Bramy zostały zamknięte odpowiednio wcześniej, by skutecznie zniechęcić gości, jednak Amerykanka słynęła z ekscentrycznego trybu życia i równie nieprzewidywalnych zachowań. Dlatego właśnie Adeline Mountrachet przyspieszyła kroku – szukanie zbłąkanych gości nie znalazło się w jej rozkładzie dnia – i zatrzymała panią Hodgson Burnett, zanim ta zdążyła się oddalić.

– Dzień dobry, pani Hodgson Burnett – powitała autorkę

uprzejmym uśmiechem.

– Dzień dobry, pani Mountrachet. Nie dość, że dobry, to jeszcze uroczy.

Cóż za akcent! Adeline uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Tak, nie mogliśmy wymarzyć sobie lepszej pogody. Widzę, że poznała już pani młodą parę.

– Można pomyśleć, że przywłaszczyłam ich sobie. Pani córka jest przeuroczą istotą.

– Dziękuję. Też mam do niej słabość.

Wymieniły uprzejme uśmiechy.

– Najwyraźniej jej mąż nie widzi poza nią świata – ciągnęła piosarka. – Czyż młodzieńcza miłość nie jest cudowna?

– Byłam zachwycona tym, jak bardzo do siebie pasują. Nathaniel to taki utalentowany młodzieniec... – przerwała. – Mam nadzieję, że wspomniał pani o swych portretach?

– Niestety, nie. Obawiam się, że nie dałam mu szansy. Zbyt natrętnie wypytywałam o sekretny ogród, który, jak twierdzą, znajduje się na terenie posiadłości.

– To nic takiego. – Adeline uśmiechnęła się blade. – Otoczony murem, obsadzony kwiatami kawałek ziemi. Można taki znaleźć w każdym angielskim dworze.

– Ale z pewnością nie każdy może poszczycić się tak piękną i romantyczną historią. Ogród, który dźwignięto z gruzów, by przywrócić zdrowie delikatnej młodej damie!

Adeline roześmiała się, jednak jej śmiech był nienaturalny i chrapliwy.

– Mój Boże! Zdaje się, że moja córka i jej mąż opowiedzieli pani jakąś bajkę. Rose zawdzięcza zdrowie wysiłkom doskonałego medyka, a ja zapewniam panią, że ogród jest nadzwyczaj pospolity. Co innego portrety Nathaniela...

– Mimo wszystko chciałabym go zobaczyć. Oczywiście mam na myśli ogród. Przyznam, że naprawdę mnie zaintrygował.

Tym razem Adeline musiała dać za wygraną. Skinęła przyzwalająco głową i klnąc pod nosem, zmusiła się do uśmiechu.



Adeline zamierzała udzielić Nathanielowi i Rose surowej reprimendy, gdy coś przykuło jej uwagę. Poruszenie przy bramie labiryntu, łopoczący skrawek białego materiału. Odwróciła się w chwili, gdy Eliza otwierała furtkę przed panią Hodgson Burnett.

Smukła dłoń mimowolnie poszybowała w kierunku ust, tłumiąc rodzący się w gardle wrzask. Ze wszystkich dni i momentów wybrała właśnie ten jeden. Eliza Mountrachet, niepokorna, niewdzięczna dziewczyna, zawsze w pośpiechu, w żalosnych ubraniach, najgorszy koszmar pani Mountrachet. Zdrowa i rumiana, z potarganymi włosami, w fatalnym kapeluszu i – jak zauważyła przerażona Adeline – bez rękawiczek. Chwała Bogu, że przynajmniej nie na bosaka.

Z ustami ściągniętymi jak u drewnianej marionetki Adeline rozejrzała się, w milczeniu szacując rozmiar katastrofy. Pokójówka, która pojawiła się u boku pani Hodgson Burnett, prowadziła pisarkę do najbliższego krzesła. Wszystko inne zdawało się niezmaczone i spokojne. A zatem dzień nie jest jeszcze stracony. Jedyne Linus, który ukrywając się pod rozłożystym klonem, ignorował wywody starego lorda Appleby, zauważył przybycie dziewczyny i wymierzył w nią to małe fotograficzne urządzenie. Tymczasem Eliza patrzyła z niedowierzaniem na Rose. Najwyraźniej przedwczesny powrót kuzynki był dla niej sporym zaskoczeniem.

Adeline odwróciła się, jakby chciała oszczędzić córce bólu i rozczarowania. Jednak Rose i Nathaniel byli zbyt zajęci sobą, by zwrócić uwagę na to, jakże bezczelne wtargnięcie. Nathaniel usiadł na krawędzi krzesła, tak że jego kolana niemal dotykały (a może dotykały? Adeline nie była pewna) kolan Rose. W palcach obracał truskawkę wyhodowaną w szklarni przez Daviesa, to zbliżając, to oddalając ją od ust Rose. Tymczasem Rose śmiała się, a na jej odsłoniętej nagiej szyi tańczyły promienie słońca.

Adeline oblała się rumieńcem i rozłożyła wachlarz, by zasłonić twarz. Cóż za nieprzystwoite zachowanie! Co pomyśla ludzие? Już widziała, jak plotkara Caroline Aspley zaraz po powrocie do domu chwyta za pióro.

Adeline wiedziała, że jej obowiązkiem jest położenie kresu tym jakże wyuzdanym umizgom, a jednak... Opuściła wachlarz i zerknęła ponad zdobioną obwódką. Niezależnie od tego, jak bardzo się sta-

rała, nie mogła oderwać wzroku. Cóż za dojrzałość! Świeżość, jaka emanuje od tej dziewczyny, jest zniewalająca. Mimo iż wiedziała, że Eliza wprowadzi zamęt, mimo iż jej własny mąż zachowuje się, jakby nie dbał o etykietę i konwenanse, zdawało jej się, że czas stanął w miejscu, a ona Adeline Mountrachet stoi zupełnie sama, świadoma jedynie bicia własnego serca. Skóra ją mrowiła, nogi uginały się pod ciężarem wąskiego ciała, a oddech stał się krótki i urywany. Myśl pojawiła się w jej umyśle, zanim zdążyła ją powstrzymać: jak to jest być tak bardzo kochanym?



Opary rtęci wypełniły jego nozdrza i Linus wciągnął je głęboko do płuc. Przez chwilę delectował się dziwną wonią, czując jak jego umysł rozrasta się do granic możliwości, a błona bębenkowa pali żywym ogniem. Dopiero wtedy odetchnął. Siedzący samotnie w ciemni Linus Mountrachet był wysoki na sześć stóp, a każda z jego nóg była równie prosta i silna jak druga. Używając srebrnych szczypców, leniwie przesuwiał papier fotograficzny w tę i z powrotem, patrząc, jak pod wodą materializują się kolejne szczegóły obrazu.

Nigdy nie zgodzi się mu pozować. Z początku nalegał, później błagał, aż w końcu z upływem czasu pojawiły się reguły tej dziwnej gry. Lubiła, gdy się za nią ugaśniał i zmuszała go do zmiany taktyki.

Musi przemyśleć wszystko od początku. Mansell został wysłany do Londynu po Kodak-Eastman Brownie – paskudną małą rzecz, urządzenie godne niewprawnych amatorów, marną kopię aparatu firmy Tourograph, choć znacznie lżejszą i bardziej poręczną. Linus wiedział, że tylko w ten sposób zbliży się do Elizy, przynajmniej na tak długo, jak długo dziewczyna będzie prowadziła swoje gierki.

Jej przeprowadzka była zuchwałym posunięciem, które Linus Mountrachet szczerze doceniał. Podarował jej ogród, by przesiadywała w nim i go kochała jak jej matka – nic tak nie radowało jego małej *poupée* jak otoczony murem ogród – jednak Linus nie przewidział, że dziewczyna postanowi w nim zamieszkać. Eliza od tygodni nie pokazywała się we dworze. Dzień po dniu czekał na nią przy bramie labiryntu, podczas gdy ona dręczyła go swoją nieobecnością.

A teraz, jakby tego było mało, Linus odkrył, że ma rywala. Ran-

kiem trzy dni temu, gdy jak co dzień siedział na ławce, jego oczom ukazał się nad wyraz nieprzyjemny widok. Spodziewał się zobaczyć Elizę, a zamiast niej w bramie pojawił się ten malarz i młody żonkoś. Co on sobie wyobraża? – pomyślał wściekły Linus. Że ot, tak sobie, może przechodzić przez tę bramę? Chodzić tam, gdzie on sam nigdy by się nie zapuścił? Pan Mountrachet zagotował się ze złości, a w jego głowie jak grzyby po deszczu rodziły się kolejne pytania: czy ją widział? Rozmawiał z nią? Patrzył jej w oczy? Nie do pomyślenia było, aby zwykły malarz węszył wokół jego nagrody.

Jednak to Linus okazał się zwycięzcą. Dziś nareszcie jego cierpliwość została nagrodzona.

Wciągnął powietrze. Na jego oczach rodził się obraz. W przydymionym świetle małej czerwonej lampki pan Mountrachet pochylił się nad zdjęciem. Ciemne tło – żywe ściany labiryntu – i jej postać otoczona nieco jaśniejszą poświatą. Zauważyła go od razu, sprawiając, że kark Linusa oblała fala przyjemnego gorąca. Jej duże oczy, rozchylone usta... jak przyparte do muru zwierzę.

Mrużąc oczy, zerknął na naczynie z utrwalaczem. Jest tam. Biel jej sukni, wąska talia – ach, jakże chciał objąć ją palcami, poczuć tłukące się w piersi, złęknione serce. I ta szyja, tak błada, mlecznobiała szyja, zupełnie jak u Georgiany. Linus na chwilę zamknął oczy i wyobraził sobie smukłą szyję swej *poupée* oraz szpecącą ją czerwoną szramę. Ona także próbowała go zostawić.

Był w ciemni, gdy przyszła po raz ostatni. Ciął podkładkę, dzięki której zamierzał usztywnić najnowszą kolekcję zdjęć: koniki polne południowo-zachodniej Anglii. Był podekscytowany, zamierzał nawet poprosić ojca, by zorganizował niewielką wystawę i nie miał ochoty, by mu przeszkadzano. Wyjątek – jak zawsze – stanowiła Georgiana.

Ach, jakże była ulotna, jak idealna, gdy tak stała w drzwiach, a mdłe światło lampy ożywiało jej piękne szlachetne rysy. Uniosła palec do ust i poprosiła, by dobrze się zastanowił, zanim cokolwiek powie. Dopiero wtedy zamknęła drzwi. Jak urzeczony patrzył, gdy zbliżała się powoli, a na jej ustach niczym płomień świecy pełgał delikatny tajemniczy uśmiech. To właśnie go pociągało – jej zagadkowość. Obecność *poupée* wyzwalała w nim zwodnicze uczucie, że

oto on Linus Mountrachet, człowiek, który tak mało czasu poświęca innym, bierze udział w przedziwnej ukartowanej grze.

– Pomożesz mi, prawda, Linusie? – spytała, patrząc na niego wielkimi jasnymi oczami. Później zaczęła mówić o mężczyźnie, którego poznała, żeglarzu. Kochają się, zamierzają być razem, chcą utrzymać swój związek w tajemnicy przed rodzicami i mają nadzieję, że Linus im pomoże. To spojrzenie, błagalne i jakże obojętne na jego cierpienie. Czas rozciągnął się, a jej słowa wirowały w jego umyśle, rosły i kurczyły się, przybierały na sile i zmieniały się w szept. Jedna krótka chwila stała się odwiecznym życiem w samotności.

Nie zastanawiając się, uniosł dłoń, zacisnął palce na scyzoryku i tnąc jej mlecznobiałą skórę, sprawił, że ona również poczuła jego ból...



Używając pęsety, Linus zbliżył fotografię do światła. Zmrużył oczy, zamrugał. A niech to! Tam, gdzie powinna znajdować się twarz Elizy, widniała upstrzona szarymi cętkami plama białego światła. Nie był wystarczająco szybki i dziewczyna zniknęła pod koniuszkiem palca. Linus zacisnął pięści. Przypomniawszy sobie – jak zwykle w chwilach niepokoju – małą dziewczynkę, która siedząc przed nim na podłodze, ofiarowała mu swoją lalkę, a wraz z nią obietnicę samej siebie. Zanim go zawiodła.

Nieistotne. Drobną komplikacją, ot co, chwilowe zawirowanie w ich wspólnej grze, grze, w którą lata temu grał z jej matką. Wtedy przegrał i stracił dużo cennego czasu. Po incydencie ze scyzorykiem jego Georgiana zniknęła i nigdy już nie wróciła. Tym razem Linus Mountrachet będzie bardziej ostrożny.

Bez względu na koszty i niezależnie od tego, jak długo przyjdzie mu czekać, ta rozgrywka będzie należeć do niego.



Rose wrywała białej stokrotce kolejne płatki: chłopiec, dziewczynka, chłopiec, dziewczynka, chłopiec dziewczynka... Uśmiechnęła się i zamknęła w dłoni złociste serce kwiatu. Małeńka córeczka dla niej i Nathaniela, później może syn i kolejna dwójka.

Odkąd sięgała pamięcią, Rose pragnęła mieć własną rodzinę. Rodzinę jakże inną od tego chłodnego, samotnego porozumienia, które знаła jako dziecko, zanim Eliza pojawiła się w Blackhurst. W jej rodzinie będzie bliskość i – tak – miłość między rodzicami, dziećmi, braćmi i siostrami, którzy będą o siebie nawzajem dbali.

Mimo iż tego właśnie pragnęła, wiedziała od doświadczonych leciwych dam, że choć dzieci są błogosławieństwem, płodzenie ich jest prawdziwą udręką. Dlatego też myśląc o nocy poślubnej, spodziewała się najgorszego. Gdy Nathaniel rozpinał jej suknię i zdejmował koronki, które mama zamówiła specjalnie na tę okazję, Rose wstrzymała oddech i z uwagą spoglądała na jego twarz. Była bardzo zdenerwowana. Lęk przed nieznanym zmieszany ze wstydem, który towarzyszył jej zawsze, gdy myślała o znamionach, sprawił, że siedziała bez ruchu. Czekala, aż mąż coś powie, i bała się tych słów. Tymczasem Nathaniel w milczeniu zdejmował kolejne warstwy jej ubrania. Nie spojrział jej w oczy, lecz zmierzył ją uważnym spojrzeniem jak ktoś, kto podziwia z dawna upragnione dzieło sztuki. Jego ciemne oczy skupiały się na jej ciele, usta miał lekko rozchylone. Uniósł rękę i delikatnie musnął większe znamię. Jego dotyk sprawił, że Rose zadrżała, a na brzuchu i po wewnętrznej stronie ud pojawiło się przyjemne mrowienie.

Później, gdy się kochali, Rose odkryła, że doświadczone kobiety miały rację – miłość boli. Jednak ona, która tak dobrze poznała ból, posiadała niezwykłą umiejętność wychodzenia poza własne ciało, dzięki czemu nie była uczestnikiem, lecz obserwatorem wydarzeń. Teraz, gdy skupiła się na twarzy Nathaniela – jego zamkniętych oczach, gładkich ciemnych powiekach, pełnych, dziwnie wykrzywionych ustach i szybkim, ciężkim oddechu – Rose odkryła, że ma w sobie siłę. W ciągu długich lat choroby nigdy nie przyszło jej do głowy, że ma taką moc. Była biedną Rose, delikatną Rose, słabowitą Rose, jednak z twarzy Nathaniela wyczytała pożądanie, które dodało jej sił.

W trakcie miesiąca miodowego czas zmienił swe oblicze. Tam, gdzie kiedyś były godziny i minuty, istniały tylko noce i dnie, słońce i księżyc. Tym bardziej byli zaskoczeni, gdy po powrocie do Anglii odkryli na nowo istnienie czasu. Szokiem był również powrót do ży-

cia w Blackhurst. Rose, która we Włoszech przyzwyczała się do prywatności, czuła, że drażni ją obecność innych: służby, matki, nawet Elizy. Tu, w domu, ktoś zawsze czaił się za rogiem, chcąc odwrócić jej uwagę od Nathaniela. Rose pragnęła własnego domu, w którym nikt by im nie przeszkadzał, jednak wiedziała, że i na to przyjdzie kiedyś czas. Wiedziała też, że matka ma rację: mieszkając w Blackhurst, Nathaniel ma większe szanse na spotkanie odpowiednich ludzi, a i sam dom jest wystarczająco duży dla nawet dwudziestu osób.

No i bardzo dobrze. Rose delikatnie dotknęła brzucha. Przypuszczała, że już niebawem będą potrzebowali pokoju dla dziecka. Cały ranek odczuwała dziwną ciekawość, jak ktoś, kto poznał wyjątkowy sekret. Była pewna, że tak właśnie powinna czuć się kobieta, która ma świadomość rodzącego się w jej łonie nowego życia. Ściskając w ręku złociste serce stokrotki, zawróciła w stronę domu, czując na plecach ciepłe promienie słońca. Zastanawiała się, kiedy powinna podzielić się tym sekretem z Nathanielem. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Ach, jakże będzie podekscytowany! Dziecko sprawi, że poczną się spełnieni.

38

Chatka na klifie, 2005

Cassandra uświadomiła sobie, że jest już wrzesień. Minęły ostatnie leniwe dni lata, a pełzające po ogrodzie cienie wyciągały macki ku zimie. Ziemię zaścielały suche liście, pomarańczowe i bladozielone, a na zmarzniętych gałęziach zawisły dumne kasztany w swych kolczastych mundurkach.

Cassandra i Christian cały tydzień pracowali w chatce – rozplątywali pnącza, szorowali pokryte pleśnią ściany, naprawiali przegniłe podłogi. Jednak ponieważ był piątek, a oboje byli zapalonymi ogrodnikami, postanowili, że należy poświęcić ogrodowi nieco więcej uwagi.

Christian kopał dziurę w miejscu, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się południowa brama, starając się dotrzeć do podnóża wielkich, wykutych w piaskowcu schodów, podczas gdy Cassandra od przeszło dwóch godzin kucała przy północnej bramie, wrywając paprocie z zaniedbanej, zarośniętej grządki. Zajęcie przypomniało jej weekendy, które jako dziecko spędzała z Nell, pieląc ogródek w Paddington. Ta dziwna swojskość sprawiła, że pracowała jak natchniona. Za jej plecami rosła sarta suchych liści i korzeni, jednak tempo pracy wciąż spadało. Trudno było oprzeć się pokusom sekretnego ogrodu. Przekraczając jego bramę, człowiek miał wrażenie, że wchodzi do miejsca poza czasem i rzeczywistością. Cassandra wierzyła, że to przez mur, choć fizycznie nie czuła się zamknięta ani zniewolona. Tu wszystko wydawało się inne: śpiew ptaków nabie-

rał mocy, a poruszane wiatrem liście szeptem opowiadały o swych sekretach. Nawet zapachy były tu intensywniejsze – woń wilgotnej, żywej ziemi, słodki zapach jabłek – a powietrze czystsze. Im dłużej przebywała w ogrodzie, tym głębiej wierzyła w swoją teorię: ten ogród nie śpi, on jest jak najbardziej rozbudzony.

Słońce przesunęło się, zalewając pnącza plamistymi snopami światła, a z pobliskiego drzewa niczym jednobarwne konfetti posypały się drobne żółte liście. Zalśniły złotem w rozedrganych wstążkach światła, sprawiając, że Cassandra zapagnęła sięgnąć po ołówek i uchwycić na papierze ten magiczny kontrast między światłością a mrokiem. Poczuła w palcach znajome mrowienie. Pomyślała o stanowczych kreskach, dzięki którym smugi światła nabierają życia, i cieniowaniu, które daje efekt przejrzystości. Pragnienie sięgnięcia po ołówek całkowicie ją zaskoczyło.

– Przerwa na herbatę? – Christian, który pracował w drugim końcu ogrodu, oparł łopatę o mur. Otarł spocone czoło rękawem sfatygowanej koszulki.

– Brzmi nieźle. – Otrzeпаła rękawiczki o nogawki spodni, pozbywając się wilgotnych grudek ziemi i kawałków paproci. Starą się nie patrzeć na jego nagi brzuch. – Kto zagotuje wodę?

– Ja. – Mówiąc to, przykleknął na uprzątniętym skrawku ziemi i napełnił rondel wodą z butelki.

Cassandra usiadła ostrożnie. Po tygodniu sprzątania miała sztywne łydki i obolałe uda. Naturalnie nie miała nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie. Ból, który odczuwała, wprowadzał ją w stan pobudzenia i dawał wręcz perwersyjną przyjemność. Był niezaprzeczalnym dowodem jej fizyczności. Nie czuła się już, jakby była niewidzialna i krucha. Była cięższa i czuła, że potrafi oprzeć się nawet gwałtownym podmuchom wiatru. Nocami zapadała w głęboki, pozbawiony marzeń, spokojny sen.

– Jak tam prace w labiryncie? – spytała, widząc, że Christian stawia rondel na małej kuchence turystycznej. – Nadal pracujecie w hotelu?

– Nieźle. Mike twierdzi, że zdążymy przed zimą.

– Nawet jeśli wciąż będziesz mi pomagał?

Christian się uśmiechnął.

– Prawdopodobnie Mike miałby w tej kwestii sporo do powiedzenia. – Wylał z kubków resztki zimnej herbaty i wrzucił do nich świeże torebki.

– Mam nadzieję, że nie masz z tego powodu żadnych kłopotów.

– Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić.

– Naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz.

– To nic. Obiecałem, że pomogę, i zamierzam dotrzymać słowa.

– Wiem i strasznie się cieszę. – Powoli zdjęła rękawiczki. – Tak czy inaczej zrozumieć, jeśli będziesz miał na głowie ważniejsze sprawy.

– Masz na myśli moją prawdziwą pracę? – Roześmiał się. – Nie przejmuj się, Mike i tak ściągą ze mnie haracz.

Jego prawdziwa praca. Temat, który nie dawał jej spokoju, a którego jak do tej pory nie śmiała poruszyć. Tym razem postanowiła nie dawać za wygraną i ulegając magii miejsca, zdecydowała, że co ma być, to będzie. Było to dziwne uczucie, które nieodparcie kojarzyło jej się z Nell. Zagrzebała piętę w ziemi i wyryła nią szeroki łuk.

– Christianie?

– Słucham?

– Zastanawiałam się... Jest coś, o co chciałam cię zapytać, coś, o czym wspomniała Julia Bennett. – Spojrzała mu w oczy, jednak szybko odwróciła wzrok. – Dlaczego siedzisz tu, w Tregennie, pracując dla Michaela, zamiast być lekarzem w Oksfordzie?

Gdy nie odpowiedział, zaryzykowała kolejne ukradkowe spojrzenie. Z jego twarzy trudno było wyczytać cokolwiek. Po chwili wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Dlaczego przyjechałaś do Tregenny i remontujesz dom bez swojego męża?

Zaskoczona Cassandra wzięła głęboki oddech, a palce instynktownie zacisnęły się na obrączce ślubnej.

– Ja... ja... – W głowie Cassandra jak grzyby po deszczu pojawiały się wymijające odpowiedzi. W końcu usłyszała głos, który brzmiał obco nawet dla niej samej.

– Ja nie mam męża. Kiedyś miałam, ale... zdarzył się wypadek. Nick był...

– Przykro mi. Słuchaj... nie musisz... nie chciałem...
– Nie, w porządku. Ja...
– Nie, nic nie jest w porządku. – Christian zmierzył włosy i wyciągnął rękę. – Nie powinienem pytać.

– Nic się nie stało. To ja pierwsza zapytałam. – O dziwo, wypowiadając te słowa, Cassandra poczuła niewypowiedzianą ulgę. Imię Nicka w jej ustach podziałało niczym balsam i sprawiło, że poczuła się mniej winna, wiedząc, że ona wciąż tu jest, podczas gdy jego już nie ma. Że jest tu, z Christianem.

Rondel zakołysał się i podzwaniając, wypłuł strużkę wody. Christian napełnił kubki wodą, wsypał do każdego łyżeczkę cukru i energicznie zamieszał, po czym wręczył jeden Cassandrze.

– Dzięki. – Oplotła kubek palcami i dmuchnięciem zmąciła powierzchnię wody.

Christian upił łyk, krzywiąc się, gdy gorąca herbata poparzyła mu język.

Zapadła niezręczna cisza. Cassandra myślała o sprawdzonych sposobach podtrzymania rozmowy, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

W końcu milczenie postanowił przerwać Christian.

– Myślę, że twoja babka miała szczęście, nie mając pojęcia o swojej przeszłości. – Cassandra zanurzyła palec w kubku i wyłowiła kawałek suchego liścia. – Nie rozumiesz? To jak dar od losu, który pozwala człowiekowi patrzeć w przyszłość, nie w przeszłość.

Udawała zainteresowanie wyłowionym liściem.

– Pod pewnymi względami.
– Pod każdym względem.
– To straszne, gdy człowiek nie pamięta niczego ze swej przeszłości.

– Dlaczego? – spytał Christian.

Spojrzała na niego z ukosa, jakby chciała upewnić się, że nie żartuje. Na jego twarzy malowała się powaga.

– Ponieważ to tak, jakby przeszłość nigdy się nie wydarzyła.
– Ale wydarzyła się i nic nie może tego zmienić.
– Tak, ale i tak byś tego nie pamiętała.
– Więc?

– Więc... – strzepnęła liść z palca i wzruszyła ramionami – człowiek potrzebuje wspomnień, żeby nie zapomnieć o przeszłości.

– Właśnie o tym mówię. Bez wspomnień można iść do przodu, nie oglądając się za siebie.

Cassandra oblała się rumieńcem i zawstydzona ukryła twarz za kubkiem. Upiła łyk herbaty. I kolejny. Christian pouczał ją w kwestii ograniczania przeszłości do roli historii. Oczekiwała tego od Nell i Bena, nauczyła się kiwać posępnie głową, gdy któraś z ciotek wygłaszała podobne opinie, jednak tym razem było inaczej. Czuła się cudownie, niezwykle lekko, a zwykle zamglone kontury wydawały się jasne i wyraziste. Cieszyła się sobą. Zastanawiała się, kiedy dokładnie Christian uznał ją za beznadziejny przypadek. Czuła się zakłopotana i – co gorsza – rozczarowana.

Napiła się jeszcze herbaty i ukradkiem spojrzała na Christiana. Przewiercał wzrokiem patyk, na którym wisiały smętnie ostatnie jesienne liście. Jego twarz z pozoru obojętna wyrażała zmieszanie, zamyślenie i samotność.

– Christianie...

– Wiesz, spotkałem kiedyś Nell.

To wyznanie zaskoczyło Cassandrę.

– Moją babkę Nell?

– Sądzę, że to była ona. Nie bardzo wiem, kto inny mógłby to być. Czas też się zgadza. Miałem jedenaście lat, a więc to musiał być rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty. Przyszedłem tutaj, żeby wyrwać się z domu, i przechodziłem pod murem, gdy coś złapało mnie za kostkę. Z początku nie wiedziałem, że to człowiek, i przez chwilę pomyślałem, że moi bracia mówili prawdę, gdy opowiadali, że chatka jest nawiedzona, a zamieszkujący ją duch albo okrutna wiedźma zamieni mnie w muchomora. – Uśmiechnął się lekko, skruszył w dłoni wyschnięty liść, a resztki wyrzucił na ziemię. – Ale to nie był duch, tylko stara kobieta z dziwnym akcentem i smutną twarzą.

Cassandra zobaczyła w myślach twarz Nell. Czy naprawdę była smutna? Onieśmielająca, owszem, i niezbyt ciepła, ale smutna? Nie potrafiła ocenić. Fakt, że знаła ją tak dobrze, sprawiał, że nie potrafiła być obiektywna.

– Miała siwe włosy – ciągnął Christian – upięte na czubku głowy.

– W kok.

Pokiwał głową, uśmiechnął się i wylał z kubka resztkę herbaty. Po chwili odrzucił patyk.

– A jak rozwiązanie zagadki? Natrafiłaś na coś nowego?

Cassandra odetchnęła powoli. Tego popołudnia był w Christianie jakiś niepokój. Jego nastrój przywodził na myśl sączące się przez pnącza strumienie światła – niezrozumiały, rozedrgany i dziwnie zmienny.

– Nie bardzo. W albumach Rose nie znalazłam żadnych rewelacji.

– Żadnego wpisu pod tytułem: „Dlaczego Eliza uprowadziła moje dziecko?” – Uśmiechnął się.

– Niestety, nie.

– Przynajmniej poczytałaś sobie na dobranoc.

– Zasnęłam z chwilą, gdy przyłożyłam głowę do poduszki.

– To morskie powietrze – orzekł Christian, dźwigając się z ziemi i sięgając po łopatę. – Jest dobre dla duszy.

Miał rację. Cassandra również wstała.

– Christianie – rzuciła, potrząsając rękawiczkami – jeśli chodzi o albumy...

– Tak?

– Czytając je, natknęłam się na coś dziwnego. Tajemnicę. Miałam nadzieję, że mi pomożesz.

– Naprawdę?

Zerknęła na niego nieufnym wzrokiem, jakby wciąż miała w pamięci niechęć, z jaką mówił o swojej przeszłości.

– To pytanie z dziedziny medycyny.

– W porządku.

– Rose pisze coś o znamionach na brzuchu. Z tego, co udało mi się wyczytać, były one wystarczająco duże i widoczne, by wprowadzić ją w zakłopotanie. Wcześniej konsultowała się w tej sprawie z niejakim Ebenezerem Matthewsem, lekarzem.

Wzruszył przepraszająco ramionami.

– Dermatologia nie była moją specjalnością.

- A co nią było?
- Onkologia. Czy Rose podaje więcej szczegółów? Wspomina coś o kolorze, rozmiarach, rodzaju albo ilości?
- Cassandra pokręciła głową.
- W większości przypadków używa eufemizmów.
- Typowa wiktoriańska pruderia – odparł, opierając stopę na łopacie i kołysząc nią. – To mogło być cokolwiek, blizny, znamiona... Wspomina o jakiejś operacji?
- Nie, jeśli dobrze pamiętam. O jakiej operacji mówisz?
- Oparł rękę na biodrze.
- Powiedzmy, zapalenie wyrostka robaczkowego, może nerki lub płuca wymagały operacji. – Uniósł brwi. – Może bąblowica. Czy to możliwe, że mieszkała w pobliżu farmy?
- We dworze było ich kilka.
- To z pewnością główny powód, dla którego dzieci epoki wiktoriańskiej przechodziły operacje jamy brzusznej.
- Co to dokładnie jest?
- Pasożyt, tasiemiec. Żywicielem ostatecznym jest pies, a pośrednim człowiek lub owca. Zazwyczaj pasożytuje w nerkach albo w wątrobie, ale bywa i tak, że atakuje płuca. – Zerknął na Cassandrę.
- Pasuje do opisu, ale obawiam się, że w tym przypadku nigdy nie poznamy prawdy.
- Dziś po południu jeszcze raz przejrzę albumy. Zobaczę, czy uda mi się coś znaleźć.
- Też o tym pomyślę.
- Dzięki, ale nie musisz się kłopotać. Pytałam z ciekawości. – Założyła rękawiczki i spłótła palce.
- Christian kilkakrotnie uderzył łopatą w ziemię.
- Za dużo śmierci.
- Cassandra podniosła na niego wzrok.
- W mojej pracy, na oddziale onkologii. To było zbyt bezlitosne. Pacjenci, ich rodziny, strata... Myślałem, że jakoś sobie z tym poradzę, ale to wszystko się nawarstwia.
- Cassandra pomyślała o ostatnich dniach Nell: upiornym, sterylnym zapachu szpitala, chłodnym, pustym spojrzeniu ścian.
- Tak naprawdę nie byłem stworzony do tej pracy. Zrozumia-

łem to, gdy byłem na uniwersytecie.

– Nie myślałeś o zmianie kierunku?

– Nie chciałem rozczarować mamy.

– Chciała, żebyś został lekarzem?

– Nie wiem. – Spojrzał na nią. – Umarła, gdy byłem dzieckiem.

Wtedy Cassandra zrozumiała.

– Rak. – Nagle pojęła, dlaczego tak bardzo Christian chce zapomnieć o przeszłości.

– Przykro mi, Christianie.

Pokiwał głową i odprowadził wzrokiem przelatującego czarnego ptaka.

– Będzie padać. Kiedy gawrony pikują, zanoszą się na deszcz. – Uśmiechnął się nieśmiało, jakby chciał przeprosić za zmianę tematu. – Kornwalijska pogoda rządzi się swoimi prawami.

Cassandra sięgnęła po widły.

– Jeszcze pół godziny i koniec na dziś.

Christian wbił wzrok w ziemię i grzebał czubkiem buta w piachu.

– W drodze do domu zamierzałem wpaść do pubu na drinka. – Spojrzał na nią. – Pomyślałem, że może poszłabyś ze mną.

– Jasne – usłyszała swój własny głos. – Czemu nie?

Christian uśmiechnął się, a na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

– Wspaniale. Naprawdę wspaniale.

Rzeński powiew wilgotnego słonego wiatru zrzucił jej na głowę liść wiązu. Cassandra strąciła go niedbałym machnięciem ręki, spojrzała na zarośniętą rabatę, wbiła widły w ziemię i wyszarpnęła kolejny korzeń orlicy. W końcu uśmiechnęła się do siebie, choć sama nie wiedziała dlaczego.



W pubie grał zespół, postanowili więc, że zostaną i zamówili paszteciki z frytkami. Christian opowiadał autoironiczne historie o swoim powrocie do domu i życiu z ojcem i macochą, podczas gdy Cassandra ujawniała niektóre z dziwactw Nell: fakt, że nie chciała używać nożyka do warzyw i owoców, bo obierki nie były tak cienkie

jak wtedy, gdy obierała ziemniaki zwykłym nożem, zwyczaj przygarniania błakających się po okolicy kotów i historię o tym, jak oprawiła w srebro należące do Cassandry zęby mądrości i zrobiła z nich wisiorek. Słyszając to, Christian wybuchnął śmiechem, co tak rozbawiło Cassandrę, że wkrótce oboje śmiali się do rozpuku.

Było już ciemno, gdy w końcu odwiózł ją do hotelu. Powietrze było tak gęste od mgły, że światło reflektorów wydawało się nienaturalnie żółte.

– Dziękuję – rzuciła Cassandra, wysiadając z samochodu. – Doskonale się bawiłam. – Mówiła prawdę. To był bardzo miły wieczór. Duchy przeszłości, choć wciąż obecne, trzymały się na odległość.

– Cieszę się, że dałaś się namówić.

– Tak. Ja też. – Uśmiechnęła się przez ramię, odczekała chwilę, aż w końcu zamknęła drzwi. Gdy samochód zniknął we mgle, pomachała za nim.

– Wiadomość telefoniczna – rzuciła Samantha, machając na jej widok skrawkiem papieru. – Byłaś w miasteczku?

– Tak, w pubie. – Cassandra wzięła karteczkę i ostentacyjnie zignorowała uniesione brwi Samantha.

Dzwoniła Ruby Davies – przeczytała. W poniedziałek przyjeżdża do Kornwalii. Zrobiła rezerwację w hotelu Blackhurst. Oczekuje sprawozdania!

Cassandra poczuła prawdziwe zadowolenie. Pokaże Ruby chatkę, albumy i sekretny ogród. Wiedziała, że Ruby zrozumie, jak bardzo są ważne. Z pewnością polubi też Christiana.

– Ktoś podrzucił cię do hotelu, prawda? Wyglądało mi to na samochód Christiana Blake’a.

– Dzięki za wiadomość – odparła Cassandra z uśmiechem.

– Nie, żebym się przyglądała! – zawołała Samantha za znikającą na schodach Cassandrą. – Nie podglądałam cię ani nie szpiegowałam.

Cassandra nalała do wanny gorącej wody i wsypała do niej lawendowych soli, które według Julii miały złagodzić ból w mięśniach. Wzięła albumy i rozłożyła je na suchym ręczniku na wyłożonej płytkami podłodze. Uważając, by nie zamoczyć lewej ręki, weszła do wanny i westchnęła cicho, czując na skórze jedwabny dotyk gorącej

wody. Oparła się o porcelanową krawędź wanny i otworzyła pierwszy album z nadzieją, że znajdzie jakiś istotny szczegół dotyczący dziwnych plam na ciele Rose.

Po jakimś czasie woda zrobiła się letnia, a skóra na stopach Cassandry przypominała suszoną śliwkę. Wprawdzie Cassandra natrafiła na kolejne wzmianki o tajemniczych „znakach”, które wprawiały Rose w zakłopotanie, jednak informacje te na nic się nie przydały.

A jednak znalazła coś interesującego, co – choć niezwiązane z tematem – obudziło jej ciekawość. Nie chodziło tu o słowa, ale o ton, w jakim napisano tych kilka zdań. Czytając je, Cassandra nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest w nich jakaś głębia i drugie, sekretne dno.

Kwiecień 1909. Rozpoczęto już prace nad budową muru. Mama słusznie przeczuwała, że najlepiej zrobić to pod nieobecność Elizy. Chatka jest zbyt odsłonięta. W czasach, gdy używano jej do bardziej nikczemnych celów, nie było to aż tak istotne, jednak dni, gdy odgrywała rolę latarni morskiej, minęły bezpowrotnie. Co więcej, nikt z nas nie chce rzucać się w oczy. Ostrożności nigdy za wiele. Należy pamiętać, że tam, gdzie można dużo zyskać, jest również wiele do stracenia.

39

Posiadłość Blackhurst, 1909

Rose płakała. Policzek miała ciepły, a poduszkę wilgotną, jednak łązy same cisnęły się do oczu. Zaciśnęła powieki przed zdradzieckim zimowym światłem i zanosła się płaczem jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. Okrutny, okrutny poranek! Jak to możliwe, że słońce wschodzi jak co dzień i cieszy się jej nieszczęściem? Jak to możliwe, że ludzie spieszą do pracy, jakby wierzyli w istnienie Boga, podczas gdy ona wraz z przebudzeniem ujrzała koniec nadziei zapisany krwią. Jak długo jeszcze, zastanawiała się, będzie musiała cierpieć te comiesięczne katusze?

Na swój upiorny sposób wołała jednak wiedzieć i jak zwykle obawiała się tych potwornych dni między kolejnymi atakami. Były to długie dni, w czasie których Rose pozwalała sobie na marzenia i naiwnie odzyskiwała nadzieję. Nadzieja. Jakże znienawidziła to słowo. Nadzieja jest jak podstępne nasienie, które ktoś zasadził w ludzkiej duszy. Wystarczy poświęcić jej odrobinę uwagi, a przetrwa najgorszy czas i rozkwitnie, ciesząc ludzkie oko. To ona sprawia, że człowiek za nic ma przeszłość i doświadczenie. Każdego miesiąca, po tygodniu krwawienia, Rose czuła, jak owa odrażająca istota, zwana nadzieją, odradza się na nowo. Co z tego, że za każdym razem obiecywała sobie, że nie da się zwieść i nie padnie ofiarą okrutnych obiecujących podszeptów; skoro i tak ulegała tej chorej euforii? Wszystko dlatego, że zrozpaczeni ludzie trzymają się nadziei jak żelazne desek wraku.

W ciągu roku doświadczyła zaledwie jednej krótkiej chwili wy-

tchnienia od tego przerażającego cyklu. Był to miesiąc, gdy krwawienie się nie pojawiło. Zgodnie z planem wezwano wówczas doktora Matthews, który przeprowadził badania i postawił błogosławioną diagnozę: Rose była w ciąży. Cóż to za szczęście, usłyszeć spokojny, opanowany głos mówiący, że oto spełnia się największe marzenie. Jakże łatwo zapomnieć o miesiącach rozczarowań i oddać się we władanie stabilności i pewności siebie. Już niebawem urośnie jej brzuch, a na świat przyjdzie dziecko. Osiem dni pielęgnowała tę nowinę, osiem dni szeptała słowa miłości do swego płaskiego jeszcze brzucha. Chodziła, rozmawiała, a nawet śniła inaczej. I właśnie wtedy, dziewiątego dnia...

Usłyszała pukanie do drzwi, jednak nie poruszyła się. Odejdź, pomyślała, odejdź i zostaw mnie w spokoju.

Skrzypienie drzwi, znak, że ktoś jednak wszedł i w irytujący sposób stara się być cicho. Hałas – ktoś postawił coś na stoliku nocnym – a tuż po nim cichy, łagodny głos:

– Przyniosłam śniadanie.

Znowu Mary. Jakby tego było mało, ta sama Mary widziała poplamione prześcieradła.

– Nie można się załamywać, pani Walker.

„Pani Walker”. Na dźwięk tych słów żołądek Rose się ścisnął. Ach, jak pragnęła być panią Walker. Po tym, jak w Nowym Jorku poznała Nathaniela, chodziła na jeden wieczorek taneczny za drugim i z bijącym sercem wypatrywała go w tłumie, wstrzymując oddech aż do chwili, gdy ich oczy się spotkały, a na ustach Nathaniela pojawiał się uśmiech.

A teraz, gdy nosiła już nazwisko Walker, okazała się go niegodna. Jest kobietą, która nie potrafi sprostać podstawowym zadaniom młodej żony. Nie może obdarzyć męża najcenniejszym darem, jaki kobieta może ofiarować mężczyźnie. Dziećmi. Zdrowymi, szczęśliwymi dziećmi, które będą biegały po posiadłości, robiły gwiazdy na piasku i ukrywały się przed guwernantką.

– Nie wolno płakać, pani Walker. Zobaczysz pani, wszystko przyjdzie z czasem.

Każde wypowiedziane w dobrej wierze słowo było jak wbijany w serce zatruty kolec.

- Naprawdę, Mary?
- Ależ oczywiście, proszę pani.
- Skąd ta pewność?
- Wcześniej czy później zawsze tak jest, prawda? To nieuniknione, jeśli kobieta naprawdę się stara. Żadna z nas przed tym nie ucieknie. Przynajmniej nie na długo. Znam wiele kobiet, które chciałyby tego uniknąć, ale nie wiedziały jak.

– Niewdzięcznice – parsknęła Rose z rozpalonymi, mokrymi od łez policzkami. – Takie kobiety nie zasługują na błogosławieństwo, jakim są dzieci.

W oczach Mary pojawiło się coś, co Rose uznała za współczucie. Przez krótką chwilę miała ochotę uderzyć te rumiane zdrowe policzki, jednak odwróciła się i skulona utonęła w pościeli. Pomyślała o smutku, który draży jej bezużyteczne puste łono, i ukryła się przed światem w mrocznej chmurze smutku i straty.



Nathaniel mógł namalować ją nawet przez sen. Tak dobrze znał twarz żony, że czasem wydawało mu się, że zna ją lepiej niż własną rękę. Skończył linię i delikatnie rozmazał ją kciukiem. Zmrużył oczy i przekrzywił głowę. Jest piękna, co do tego nie miał absolutnie żadnych wątpliwości. Ciemne włosy i blada skóra, piękne usta. Mimo to, patrząc na obraz, nie odczuwał przyjemności.

Schował szkic do teczek. Będzie szczęśliwa, gdy go dostanie. Błagania żony o kolejne portrety były tak rozpaczliwe, że nie potrafił jej odmówić. Gdyby w ciągu kilku dni nie ofiarował jej kolejnego portretu, rozplakałaby się i błagała go, by zapewniał ją o swej miłości. Teraz znacznie częściej rysował ją z pamięci niż z tego, co widział w rzeczywistości. Rzeczywistość była bowiem zbyt bolesna. Jego Rose utonęła w smutku. Młoda kobieta, którą poznał w Nowym Jorku, została pożarta przez rozpacz i pozostał po niej jedynie cień dawnej Rose, istota o zapadniętych podkrążonych oczach, poszarzałej skórze i drżących rękach. Czy któryś z poetów opisywał szpetotę pogrążonej w smutku ukochanej osoby?

Oddawała mu się każdej nocy, a on jej na to pozwalał. Jednak pożądanie Nathaniela zniknęło. To, co kiedyś ekscytowało go i pod-

niecało, teraz napełniało lękiem i – co gorsza – poczuciem winy. Poczuciem winy tak strasznym, że kiedy się kochali, nie mógł na nią patrzeć. Poczuciem winy, że nie może ofiarować jej tego, czego tak bardzo pragnie. Poczuciem winy, że nie pragnie dziecka tak bardzo, jak pragnie go ona. Rose nie mogła w to uwierzyć. Niezależnie od tego, jak często zapewniał ją, że jest dla niego wszystkim i nie chce niczego więcej, Rose nie dawała się przekonać.

A teraz, jakby tego było mało, jej matka przyszła zobaczyć się z nim w pracowni. Beznamiętnym wzrokiem spoglądała na portrety, zanim w końcu usiadła na stojącym przy sztalugach krześle i zaczęła przemówienie. Rose zawsze była delikatna. Zwierzące popędy męża mogą jej zaszkodzić, dlatego byłoby dobrze, gdyby na jakiś czas zaprzestali starań. Rozmowa ta była tak niepokojąca, że Nathaniel nie potrafił znaleźć słów, by przedstawić własny punkt widzenia i kłopotliwe położenie, w jakim się znalazł.

Zamiast tego skinął głową i udał się do ogrodu w poszukiwaniu samotności. Wkrótce też altana stała się jego ulubionym miejscem pracy i choć na dworze wciąż jeszcze panowały marcowe chłody, Nathaniel nie zamierzał rezygnować ze spokoju. Tu rzadko szukano jego towarzystwa i porady, a on czuł się odprężony. Zima spędzona w domu z rodzicami Rose i jej obojętnymi potrzebami sprawiła, że czuł się przybity. Jej smutek i rozczarowanie przeniknęły przez ściany, kotary, dywany. Dwór Blackhurst stał się domem umarłych. Linus przez całe dni ukrywał się w ciemni, Rose chowała się przed światem w sypialni, a Adeline niczym zjawa snuła się po korytarzach.

Nathaniel pochylił się do przodu zafascynowany wątłym promieniem słońca, który z trudem przedzierał się przez gałęzie rododendronu. Mrowienie w palcach mówiło, że są gotowe, by uchwycić subtelny grę światła i cienia. Nie było jednak czasu. Tuż przed nim, na sztaludze, stał portret brodatego lorda Mackelby, z rumianymi policzkami i pobrużdżonym czołem. Zostały już tylko oczy. To z nimi Nathaniel miał największy kłopot, malując portrety olejne.

Wybrał pędzel i wyciągnął z włosia pojedynczy włos. Zamierzał nałożyć farbę na płótno, gdy poczuł w ramieniu dziwne mrowienie,

jakby szósty zmysł podpowiadał mu, że ktoś nadchodzi. Zerknął przez ramię. Tuż za jego plecami stał służący.

– Na Boga, człowieku – sapnął Nathaniel – nie skradaj się tak. Jeśli jest coś, co chcesz mi powiedzieć, podejdź, stań przede mną i to powiedz. Nie musisz być taki ostrożny.

– Pani Mountrachet życzy sobie, aby lunch podano nieco wcześniej. Powóz do Tremayne Hall odjeżdża dziś o czternastej.

Nathaniel zaklął pod nosem. Na śmierć zapomniał o Tremayne Hall, gdzie kolejna z zamożnych przyjaciółek Adeline pragnie ozdobić ściany własną podobizną. Być może – jeśli dopisze mu szczęście – kobieta każe namalować się w towarzystwie trzech małych piesków!

Pomyśleć tylko, że kiedyś dziękował Bogu za podobne propozycje, z których każda podnosiła jego status. Był ślepym głupcem, nieświadomym ceny własnego sukcesu. Jego kreatywność malała wprost proporcjonalnie do ilości kolejnych zamówień. Produkował portrety jak nowoczesna fabryka, o której mówią ludzie interesu, zacierając z radości tłuste dłonie. Nie miał czasu na przerwę, na udoskonalenie i poprawienie warsztatu. Nathaniel Walker nie był już artystą, a w pociągnięciach jego pędzla nie było już godności czy człowieczeństwa.

Co gorsza, podczas gdy on bezustannie produkował kolejne portrety, czas, który mógłby poświęcić rysowaniu swej prawdziwej pasji, dosłownie przeciekał mu przez palce. Odkąd przybył do Blackhurst, zdołał wykonać zaledwie jeden duży rysunek i kilka mniejszych, przedstawiających dom oraz jego mieszkańców. Jego ręce, umiejętności i zapał – wszystko skarłowaciało i uległo deformacji.

Dokonał niewłaściwego wyboru. Dopiero teraz doszedł do tego wniosku. Gdyby tylko posłuchał Rose i zaraz po ślubie poszukał dla nich domu, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Możliwe, że byli by bezgranicznie szczęśliwymi rodzicami, a on cieszyłby się wymarzoną pracą.

Choć przecież wszystko być może wyglądałoby tak samo. Być może oboje doświadczaliby tej samej udręki, tyle że w skromniejszych warunkach. W tym całym szkopu! Jak chłopiec, który poznał ubóstwo, mógł przystać na coś gorszego?

A teraz Adeline, niczym biblijna Ewa, zaczęła kusić go opowie-

ściami o portretowaniu samego króla. I choć Nathaniel miał już dość portretowania, choć pogardzał sobą za to, że tak łatwo zrezygnował ze swej pasji, bezustannie ulegał jej namowom.

Teraz odłożył pędzel i stał z kciuka płamę farby. Zamierzał udać się na lunch, gdy mimochodem spojrzął na teczkę. Zerkając w kierunku domu, wyjął z niej sekretne szkice. Pracował nad nimi od dwóch tygodni, odkąd odnalazł w rzeczach Rose baśnie kuzynki Elizy. Mimo iż napisano je z myślą o dzieciach, opowieści w dziwny sposób przemawiały do Nathaniela. Bohaterowie ukradkiem przedostawali się do jego umysłu i nabierali życia, a ich prosta ludowa mądrość działała jak balsam na jego udręczony umysł i pozwalała przetrwać w szpetnym świecie dorosłych. Coraz częściej przypływał się na tym, że w chwilach nieuwagi gryzmoli kreski, które zmieniają się w siedzącą przy kołowrotku wiedźmę, królową wróżek z długim grubym warkoczem, lub zamkniętą w złotej klatce księżniczkę ptaka.

To, co zaczęło się jako niewinne bazgroły, z czasem zmieniło się w rysunki. Cienie stawały się głębsze, linie bardziej wyraziste, podobnie jak twarze bohaterów. Nathaniel patrzył na nie, starając się nie zauważać ozdobnego tłoczonego papieru, który Rose kupiła dla niego zaraz po ślubie. Nie myślał o szczęśliwszych czasach.

Rysunki nie zostały jeszcze ukończone, jednak był z nich zadowolony. Tylko one dawały mu satysfakcję i gwarantowały ucieczkę od udręki, jaką stało się jego życie. Z dudniącym sercem, Nathaniel przyczepił kawałki pergaminu do sztalugi. Po skończonym lunchu pozwolił sobie na chwilę wytchnienia i coś naszkicuje. Ponure oczy lorda Mackelby'ego mogą przecież poczekać.



W końcu, z pomocą Mary, Rose się ubrała. Przez cały ranek siedziała w fotelu, jednak wreszcie postanowiła opuścić pokój. Kiedy ostatnio stąd wychodziła? Dwa dni temu? Trzy? Kiedy wstała, zachwiała się i o mało nie upadła. Kręciło jej się w głowie i było jej niedobrze jak wtedy, gdy była dzieckiem. Jednak w tamtych czasach miała przy sobie Elizę, która podnosiła ją na duchu niesamowitymi opowieściami. Gdyby istniało równie skuteczne lekarstwo na cho-

roby dorosłych.

Minęło sporo czasu, odkąd Rose widziała Elizę. Czasami widywała ją przez okno, jak przemykała przez ogród albo stała na szczycie klifu – ledwie widoczna, mała plamka z powiewającymi na wietrze długimi rudymi włosami. Raz czy dwa Mary przysłała z wiadomością, że panienka Eliza jest na dole i prosi o spotkanie. Odpowiedź Rose zawsze brzmiała „nie”. Kochała kuzynkę, jednak wojna, którą toczyła przeciwko smutkowi i nadziei, pochłaniała całą jej energię. Eliza była radosna, pełna życia, pomysłów i zdrowa. Dla Rose był to widok nie do zniesienia.

Lekka jak piórko Rose snuła się po wyłożonym dywanami korytarzu, opierając rękę na rzeźbionych poręczach. Tego popołudnia, gdy Nathaniel wróci z Tremayne Hall, dołączy do niego w altanie i choć na dworze będzie chłodno, Mary utuli ją czymś ciepłym, a Thomas przyniesie leżankę i koce. Nathaniel na pewno czuje się samotny i niewątpliwie ucieszy się z jej towarzystwa. Tym razem będzie mógł naszkicować ją w pozycji półleżącej. Tak bardzo lubi ją rysować, a ona jako żona musi go wspierać i pocieszać.

Prawie dotarła do schodów, gdy usłyszała głosy dobiegające z pełnego przeciągów korytarza:

– Mówi, że nic nie powie, że to wyłącznie jej sprawa. – Słowom towarzyszyło postukiwanie miotły o listwę przypodłogową.

– Pani nie będzie zadowolona, kiedy się dowie.

– Pani się nie dowie.

– Dowie się, przecież ma oczy. Nie można nie zauważyć, że dziewczyna jest w ciąży.

Rose zasłoniła usta zimną dłonią i podeszła bliżej ściszonych głosów.

– Mówi, że kobiety w jej rodzinie mają małe brzuchy, więc ona także ukryje go pod fartuchem.

– Przez wzgląd na nią miejmy nadzieję, że mówi prawdę, w przeciwnym razie znajdzie się na bruku.

Rose dotarła na szczyt schodów w momencie, gdy Daisy zniknęła w jadalni dla służby. Druga pokojówka Sally miała znacznie mniej szczęścia.

Dziewczyna jęknęła, a jej policzki oblały się nietwarzowym ru-

mieńcem.

– Przepraszam, panią. – Delikatne dygnięcie, miotła zaplątana w spódnicach. – Nie widziałam pani.

– O kim rozmawiałyście, Sally?

Rumieniec rozlał się na uszy dziewczyny.

– Sally – powtórzyła Rose – proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Która z dziewcząt jest ciężarna?

– Mary, proszę pani – padła wyszeptana odpowiedź.

– Mary?

– Tak, proszę pani.

– Mary jest w ciąży?

Dziewczyna skinęła głową. Sądząc po wyrazie jej twarzy, chciała jak najszybciej zejść Rose z oczu i zniknąć w głębi domu.

– Rozumiem. – W brzuchu Rose otwarła się przepastna czarna otchłań, która rosła i pęczniała, jakby chciała ją pochłoniąć. Ta głupia dziewczucha z jej ohydą tanią płodnością. Obnosi się z nią, przemawia pieszczotliwie do Rose, mówi jej, że wszystko będzie dobrze, by później śmiać się za jej plecami. I nie jest zamężna! Przynajmniej Rose nic nie wiedziała o zamążpójściu dziewczyny. Dwór Blackhurst jest domem prastarych i solidnych moralnych obyczajów. Rose musi zadbać o to, by standardy te zostały zachowane.



Adeline czesała szczotką włosy, pasmo po paśmie. Po odejściu Mary we dworze brakowało służby i choć odczują to boleśnie podczas weekendowego przyjęcia, dziewczyna musiała zniknąć. Choć zwykle Adeline nie pozwalała Rose decydować o losach służby, musiała przyznać, że to wyjątkowa sytuacja, a Mary zachowała się jak podstępna, zdradziecka niewdzięcznica. W dodatku niezamężna, co jeszcze bardziej komplikowało sprawę. Nie, Rose miała rację, nawet jeśli pomyliła się co do metody.

Biedna kochana Rose. Z początkiem tygodnia we dworze pojawił się doktor Matthews, który spotkał się z Adeline w salonie, przemawiając do niej tym samym ścisłym głosem jak wtedy, gdy miał do przekazania złe wieści. Według jego oceny Rose nie ma się dobrze (jakby Adeline o tym nie wiedziała) i był tym wyraźnie za-

niepokojony.

– Niestety, pani Mountrachet, moje obawy nie dotyczą wyłącznie obecnego stanu Rose. Są... – odkaszlnął delikatnie w wypielęgnowaną zaciśniętą pięść – ...inne rzeczy.

– Inne rzeczy, doktorze Matthews? – Adeline podała lekarzowi filiżankę herbaty.

– Sprawy o podłożu emocjonalnym, pani Mountrachet. – Uśmiechnął się blade i upił łyk herbaty. – Zapytana o intymną sferę małżeństwa pani Walker przyznała się do czegoś, co jako lekarz muszę uznać za niezdrową fascynację fizycznością.

Adeline wstrzymała oddech i powoli wypuściła powietrze. Nie wiedząc, co powiedzieć, wrzuciła do filiżanki kolejną kostkę cukru i energicznie zamieszała łyżeczką. Nie patrząc na doktora Matthews, poprosiła, by kontynuował.

– Dla otuchy dodam, że choć stan pani córki jest poważny, nie ona jedna cierpi na ową przypadłość. Ostatnio odnotowałem znaczne zainteresowanie fizycznością wśród młodych panien i jestem pewien, że jest to stan, z którego pani córka wyrośnie. Znacznie bardziej niepokoi mnie fakt, że sytuacja ta ma wpływ na problemy Rose.

Adeline odchrząknęła.

– Proszę mówić dalej, doktorze Matthews.

– Moim zdaniem, jako medyka, pani córka powinna zaprzestać kontaktów fizycznych aż do chwili, gdy jej biedne ciało odzyska siły. Wszystko to jest ze sobą powiązane, pani Mountrachet.

Adeline podniosła filiżankę do ust i skosztowała goryczy najprzedniejszej chińskiej herbaty. Po chwili lekko skinęła głową.

– Niezbadane są ścieżki Pana. Podobnie jak niezgłębione są tajniki ludzkiego ciała, które on stworzył. Rozsądnie jest mniemać, że młoda dama ze wzmożonym... apetytem – zmrużył oczy i uśmiechnął się przepraszająco – nie będzie idealnym wzorem matki. Ludzkie ciało wyczuwa takie rzeczy.

– Sugeruje pan, doktorze Matthews, że rzadsze starania mogą znacznie szybciej przynieść pożądane efekty?

– Należy wziąć to pod uwagę. Że nie wspomnę o ogólnych korzyściach wypływających z wstrzemięźliwości, dobrym samopoczuciu i zdrowiu. Proszę wyobrazić sobie rękaw pokazujący siłę

wiatru...

Adeline uniosła brwi, zastanawiając się nie po raz pierwszy, dlaczego wciąż ufa temu mężczyźnie.

– Jeśli zawiesimy taki rękaw i zostawimy go na długie lata, porywy wiatry z pewnością poszarpią materiał. Podobnie jest z pani córką, która musi mieć czas, by wrócić do zdrowia. Należy osłonić ją przed silnymi wiatrami, które mogą rozedrzeć na strzępy jej delikatne ciało.

W słowach doktora Matthews'a był jakiś sens, jakaś dziwna logika. Rose jest słabowita i potrzebuje czasu, by w pełni powrócić do zdrowia. Myśl o dziecku dosłownie wysysała z niej życie. Adeline od dłuższego czasu zachodziła w głowę, jak powiedzieć córce, że przede wszystkim powinna zadbać o własne zdrowie. W końcu postanowiła poprosić o pomoc Nathaniela. Mimo iż rozmowa nie należała do najłatwiejszych, zyskała przychyłność zięcia, który obiecał zastosować się do jej rad. Przez ostatni rok Nathaniel starał się postępować ściśle według wskazówek Adeline, a teraz, gdy nadarzyła się okazja pracy na królewskim dworze, z pewnością przekona się o jej dobrych intencjach.

Choć z pozoru spokojna Adeline gotowała się z wściekłości. Dlaczego inne młode kobiety mogą mieć dzieci, podczas gdy Rose odebrano ten przywilej? Dlaczego jej córka marnieje w oczach, a inne dziewczęta kwitną? Ile jeszcze będzie musiało znieść umęczone ciało Rose? W chwilach rozpaczey Adeline zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest to jej wina. Może Bóg postanowił ją ukarać? Była przecież zbyt dumna, zbyt często chęłpiła się urodą swej córki, jej dobrym wychowaniem i miłym usposobieniem. Dla kochającej matki nie było gorszej kary, niż patrzeć na cierpienie własnego dziecka.

A teraz jeszcze Mary, ta koszmarna zdrowa dziewczyna z szeroką radosną twarzą i potarganymi włosami. To ona, a nie Rose, spodziewa się dziecka. Niechcianego dziecka, którego Bóg odmawia jej córce. Świat nie jest sprawiedliwy. Nic dziwnego, że Rose warknęła tylko: „Nadeszła jej kolej”. Radosna wiadomość, podobnie jak dziecko, powinna należeć do Rose. Nie do Mary.

Gdyby tylko istniał sposób, by dać Rose dziecko, nie narażając

przy tym jej kruchego ciała. Naturalnie było to niemożliwe. Gdyby istniał taki sposób, kobiety ustawiałyby się w kolejkach...

Dłoń Adeline zawisła w powietrzu, a ona sama spojrzała na swe lustrzane odbicie. Jej myśli poszybowały ku roztrzepanej zdrowej dziewczynie, która nie wie, co to instynkt macierzyński, i delikatnej, kruchej kobiecie, której ciało pozostawało w odwiecznym konflikcie z pełnym miłości sercem...

Odłożyła szczotkę i położyła na kolanach lodowate dłonie.

Czyżby zatem istniał sposób na naprawienie tej niesprawiedliwości?

Wiedziała, że nie będzie to łatwe. Po pierwsze, musi przekonać Rose, że wszystko, co robi, robi wyłącznie dla jej dobra. Poza tym jest jeszcze kwestia dziewczyny. Należy wmówić jej, że taki jest jej obowiązek. Że po tylu latach życzliwości i dobrego traktowania jest to winna rodzinie Mountrachetów.

Trudne, ale możliwe do wykonania.

Adeline powoli wstała z krzesła. Odłożyła szczotkę na toaletkę i wciąż myśląc o swoim planie, skierowała kroki do pokoju Rose.



Kluczem do szczepienia róży jest nóż. Davies mówił, że musi być ostry jak brzytwa, by można nim było ścinać włoski z przedramienia. Eliza zastała Daviesa w szklarni i mężczyzna chętnie poinstruował ją jak postąpić z krzyżówką, którą zamierzała posadzić w ogrodzie. Pokazał jej, gdzie dokładnie odciąć łodygę, jak upewnić się, że nie zostały na niej żadne drzazgi czy guzki, które mogłyby spowodować, że szczep się nie przyjmie. W końcu zdecydowała, że spędzi w szklarni cały ranek i pomoże Daviesowi przesadzać rośliny. Jak cudownie było zanurzyć dłonie w cieplej wilgotnej ziemi i poczuć obietnice, jakie niesie nadchodząca wiosna.

Był chłodny dzień i wracając do domu, Eliza spoglądała na płynące po niebie grube skłębione chmury. Muskający policzki zimny wiatr dawał wytchnienie od dusznego powietrza szklarni. Gdy przechodziła w pobliżu domu, jej myśli mimowolnie poszybowały ku Rose. Mary mówiła, że kuzynka jest ostatnio w złym nastroju i Eliza przypuszczała, że mimo usilnych próśb i starań nie zdoła zobaczyć

się z Rose. Postanowiła jednak spróbować. Zapukała do drzwi i czekała, aż ktoś otworzy.

– Dzień dobry, Sally. Przyszedłam zobaczyć się z Rose.

– To niemożliwe, panienko Elizo – odparła pośepnie pokojówka. – Pani Walker jest zajęta i nie życzy sobie żadnych wizyt. – Słowa zabrzmiały jak wyuczona kwestia.

– Daj spokój, Sally – spróbowała Eliza, siląc się na uśmiech. – Trudno przecież nazwać mnie gościem. Jestem pewna, że gdybyś powiedziała Rose o moim przybyciu...

– Sally ma rację – usłyszała dobiegający z głębi domu głos ciotki Adeline – pani Walker jest bardzo zajęta. – Z mroku wyłoniła się smukła sylwetka w kształcie klepsydry. – Właśnie zamierzaliśmy zasiać do lunchu. Jeśli zostawisz bilecik wizytowy, Sally z pewnością przekaze pani Walker, że byłeś tu i prosiłeś o spotkanie.

Sally oblała się rumieńcem i spuściła głowę. Nie ma wątpliwości, że wśród służby panuje poruszenie i Eliza liczyła, że Mary wyjaśni jej, o co tak naprawdę chodzi. Gdyby nie pokojówka i jej regularne sprawozdania, Eliza nie miałaby pojęcia, co dzieje się we dworze.

– Nie mam bileciku – odparła Eliza. – Proszę, Sally, przekaż kuzynce Rose, że chciałam się z nią spotkać. Ona wie, gdzie mnie szukać.

Pożegnawszy ciotkę delikatnym skinieniem głowy, Eliza przecięła trawnik. W pewnej chwili zatrzymała się, by spojrzeć w okno nowej sypialni Rose. Drżąc, wróciła myślami do Daviesowego noża i łatwości, z jaką cienkie ostrze oddzielało szczep od macierzystej rośliny.

Minęła zegar słoneczny, przeszła przez kolejny trawnik i dotarła do altany. W środku – do czego ostatnimi czasy zdążyła się przyzwyczaić – znalazła sztalugę i farby Nathaniela. Nigdzie jednak nie widziała samego artysty. Z pewnością udał się na lunch, zostawiając na sztaludze niedokończony portret...

I przypięte do sztalugi szkice.

To właśnie one przykuły jej uwagę.

Patrząc na nie, Eliza miała wrażenie, że czyjaś ręka powołała do życia wytwory jej wyobraźni. Postaci, które do tej pory żyły wyłącznie w jej umyśle, zostały przeniesione na papier jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki. Przeszedł ją dziwny dreszcz, lodowaty i gorący zarazem.

Podeszła bliżej, aż w końcu weszła po schodkach do altany, spojrzała na prace Nathaniela i uśmiechnęła się. Miała wrażenie, jakby wymaginowany przyjaciel zyskał nagle cielesną powłokę. Postacie na obrazkach były jak żywe, zupełnie takie, jak je sobie wyobraziła, a mimo wszystko inne. Dłoń Nathaniela była mroczniejsza niż jej umysł, jednak to spodobało się Elizie. Niewiele myśląc, odczepiła szkice od sztalugi.

Biegąc z powrotem przez labirynt, ogród i południową bramę, przez cały czas myślała o pracach Nathaniela. Zastanawiała się, kiedy je narysował, dlaczego i co zamierza z nimi zrobić. Dopiero gdy wpadła do chatki i wieszala w przedpokoju płaszcz, wróciła myślami do listu, który niedawno otrzymała od wydawcy w Londynie. Już na samym początku pan Hobbins komplementował jej opowieści. Pisał, że jest ojcem małej dziewczynki, która z zapartym tchem czeka na kolejne bajki autorstwa Elizy. W dalszej części listu sugerował, że może Eliza zdecydowałaby się opublikować ilustrowany zbiór baśni i prosił, aby miała go na względzie, jeśli podejmie taką decyzję.

Jego słowa pochlebiali jej, choć nie były wystarczająco przekonujące. Z jakiegoś powodu Eliza zapomniała o propozycji, a pomysł pana Hobbinsa pozostał wyłącznie w sferze marzeń. Teraz jednak, gdy zobaczyła szkice Nathaniela, stwierdziła, że potrafi wyobrazić sobie książkę. Co więcej, już czuła w dłoniach jej przyjemny ciężar. Oprawny w skórę tom zawierający jej ulubione bajki. Pięknie wydaną książkę dla dzieci. Taką jak ta, którą wiele lat temu znalazła w sklepie pani Swindell.

Mimo iż w liście pan Hobbins ani słowem nie wspominał o wynagrodzeniu, Eliza wiedziała, że wydając zbiór opowieści, zarobiłaby znacznie więcej niż dotychczas. Z pewnością książka jest więcej warta niż pojedyncze opowiadania. Może w końcu zdobędzie pieniądze na wymarzoną podróż...

Z zamyślenia wyrwało ją natarczywe walenie do drzwi.

Eliza odegnała niedorzeczną myśl, że oto Nathaniel przyszedł odebrać swoją własność. Nathaniel nigdy nie przychodził do chatki, a poza tym miną godziny, zanim zorientuje się, że coś zginięło.

Tak czy inaczej Eliza przezornie zwinęła rysunki i włożyła je do kieszeni płaszcza.

Dopiero wtedy otworzyła drzwi i spojrzała na stojącą w progu zapłakaną Mary.

– Panienko Elizo, proszę mi pomóc.

– Mary, co się stało? – Eliza wpuściła dziewczynę do środka i zamykając drzwi, zerknęła przez ramię. – Coś ci się stało?

– Nie, panienko Elizo. – Dziewczyna zaniosła się szlochem. – Nie o to chodzi.

– W takim razie opowiedz mi, co się stało.

– Chodzi o panią Walker.

– Rose? – Jęknęła przerażona Eliza.

– Wyrzuciła mnie – zawodziła Mary. – Powiedziała, że natychmiast mnie zwalnia.

Eliza poczuła ulgę pomieszaną z zaskoczeniem.

– Ale za co, Mary?

Mary opadła na krzesło i przetarła nadgarstkiem mokre od łez oczy.

– Nie wiem, jak to powiedzieć, panienko Elizo.

– Błagam cię, po prostu wyduś to z siebie i powiedz mi, co się wydarzyło, na miłość boską.

Z oczu pokojówki znów popłynęły łzy.

– Spodziewam się dziecka, panienko Elizo. Będę miała dziecko i chociaż trzymałam to w tajemnicy, pani Walker dowiedziała się o tym i mówi, że nie jestem już mile widziana we dworze.

– Och, Mary – szepnęła Eliza, siadając na krześle i ujmując w ręce zimną dłoń dziewczyny. – Jesteś pewna, że nie mylisz się co do dziecka?

– Nie mam żadnych wątpliwości, panienko. Nie planowałam tego, ale stało się.

– A kto jest ojcem?

– Chłopak z sąsiedniej ulicy. Proszę, panienko Elizo, on nie jest złym człowiekiem, mówi, że chce się ze mną ożenić, ale najpierw muszę zarobić trochę pieniędzy, w przeciwnym razie nie będę mogła nakarmić ani ubrać dziecka. Nie mogę stracić tej pracy, nie teraz, panienko Elizo. Wiem, że wciąż mogę wykonywać swoje obowiązki.

Na twarzy Mary malowała się tak wielka rozpacz, że Eliza nie mogła odpowiedzieć inaczej.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Porozmawia panienka z panią Walker?

Eliza nalała szklankę wody i podała ją Mary.

– Postaram się, choć obie wiemy, jak ciężko jest spotkać się z Rose.

– Błagam, panienko Elizo. Jest panienka moją ostatnią deską ratunku.

Eliza uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

– Zaczekam kilka dni. Dam Rose wystarczająco dużo czasu, żeby ochłonęła, i wtedy porozmawiam z nią w twoim imieniu. Jestem pewna, że posłucha głosu rozsądku.

– Dziękuję, panienko Elizo. Nie chciałam, żeby tak się stało. Gdybym tylko mogła cofnąć czas i odkręcić to wszystko!

– Wszyscy czasami o tym marzymy – westchnęła Eliza. – Idź teraz do domu, Mary, i spróbuj o tym nie myśleć. Jestem pewna, że wszystko się ułoży. Dam ci znać, gdy porozmawiam z Rose.



Adeline zapukała delikatnie do drzwi sypialni i nie czekając na odpowiedź, pchnęła je. Rose siedziała na ławeczce wykuszu i patrzyła na ogród. Ramiona miała wątle, twarz wychudzoną. Nawet pokój wyglądał inaczej, jakby współczuł tej kruchej, pozbawionej życia istocie. Poduszki zdawały się sflaczałe, a ciężkie zasłony smętnie zwieszały się z karniszy. Powietrze poprzecinane bladymi smugami światła było zatęchłe i nieruchome.

Nawet jeśli Rose zauważyła matkę, nie zwróciła na nią uwagi. Tymczasem Adeline stanęła za plecami córki i wyjrzała przez okno, jakby chciała zobaczyć, co tak zafascynowało Rose.

Niemal natychmiast dostrzegła Nathaniela, który siedząc w altanie, przerzucał rysunki w skórzanej teczce. Z jego ruchów emanował niepokój charakterystyczny dla ludzi, którzy zgubili lub zawie-ruszyli coś ważnego.

– On mnie zostawi, mamó. – Głos Rose był równie słaby jak promienie słońca. – Bo i po co miałby zostać?

Gdy się odwróciła, Adeline omal nie krzyknęła, widząc, jak szara i nijaka wydała jej się własna córka. Zamiast tego położyła dłoń na jej kościstym ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze, Rose.

– Czyżby?

W jej głosie było tyle goryczy, że Adeline wzdrygnęła się przerażona.

– Nie wiem, jak może być dobrze, skoro nie potrafię nawet uczynić go mężczyzną. Raz za razem zawodzę własnego męża. Nie mogę dać mu potomka, upragnionego dziecka. – Mówiąc to, utkwiała wzrok w oknie. – To oczywiste, że odejdzie. A ja bez niego jestem niczym.

– Rozmawiałam z Nathanielem, Rose.

– Och, mammo...

Adeline przyłożyła palec do ust córki.

– Rozmawiałam z Nathanielem i jestem pewna, że on, podobnie jak ja, pragnie tylko tego, byś wróciła do zdrowia. Kiedy tak się stanie, pojawią się dzieci. Musisz tylko być cierpliwa. Daj sobie czas na powrót do zdrowia.

Rose pokręciła głową. Jej szyja wydała się Adeline tak przeraźliwie chuda, że chciała powstrzymać córkę w obawie, że zrobi sobie krzywdę.

– Nie mogę czekać, mammo. Nie potrafię żyć bez dziecka. Dla niego zrobię wszystko, poświęcę siebie samą. Wolę umrzeć, niż czekać.

Adeline przycupnęła na ławce i ujęła w dłonie bladą, wątłą rękę córki.

– Nie musi tak być.

Rose zamrugała i zdumiona spojrzała na matkę. W jej oczach zamigotał maleńki płomycek nadziei. Nadziei, że Adeline może dokonać cudu.

– Jestem twoją matką i muszę dbać o twoje zdrowie, nawet jeśli ty sama o nie nie dbasz. Dlatego dużo myślałam o twojej sytuacji. Wierzę, że istnieje sposób, byś doczekała się upragnionego dziecka, nie narażając przy tym siebie.

– O czym ty mówisz, mammo?

– Z początku możesz nie pochwalać tego pomysłu, ale błagam cię, pozbądź się jakichkolwiek wątpliwości. – Adeline ściszyła głos. – Proszę, Rose, wysłuchaj uważnie tego, co mam ci do powiedzenia.



Koniec końców to Rose skontaktowała się z Elizą. Pięć dni po wizycie Mary Eliza otrzymała wiadomość, że Rose pragnie się z nią spotkać. Co dziwniejsze, Rose proponowała, by spotkały się w sekretnym ogrodzie.

Gdy zobaczyła kuzynkę, Eliza dziękowała Bogu, że wymościła ławeczkę poduszkami, tak bardzo Rose zeszczuplała. Mary wspominała wprawdzie o jej złym samopoczuciu, jednak Eliza nie tak to sobie wyobrażała. Mimo iż starała się nie okazywać zdziwienia, wiedziała, jak wyraźnie maluje się ono na jej twarzy.

– Dziwi cię mój widok, kuzynko – zaczęła Rose, uśmiechając się tak, że kości policzkowe wydały się Elizie ostre niczym brzytwy.

– Ależ nie – odparła, czerwieniąc się. – Oczywiście, że nie, ja tylko, moja twarz...

– Znam cię dobrze, moja Elizo. Potrafię czytać w twoich myślach, jakby były moimi własnymi. Nic się nie stało, po prostu ostatnimi czasami nie czułam się dobrze. Straciłam siły. Ale wrócę do zdrowia, jak zawsze.

Eliza pokiwała głową i poczuła pod powiekami nieprzyjemne pieczenie.

Rose uśmiechnęła się, uśmiechem tym smutniejszym, że wymuszonym.

– Chodź – machnęła ręką – usiądź przy mnie, Elizo. Pozwól, że przypomnę sobie, jak to jest, gdy ma się u boku ukochaną kuzynkę. Pamiętasz dzień, gdy po raz pierwszy przyprowadziłaś mnie do ogrodu i wspólnie zasadziłyśmy naszą jabłoń?

Eliza ujęła w ręce chudą, zimną dłoń Rose.

– Oczywiście, że pamiętam. Tylko na nią popatrz, Rose. Popatrz na nasze drzewo.

Pień drzewka był teraz tak wysoki, że sięgało ono górnych partii muru. Pełne wdzięku nagie gałęzie strzelały na boki, a gibkie młode pędy z radością pięły się ku niebu.

– Jest piękna – szepnęła tęsknie Rose. – Pomyśleć tylko, że wsadziliśmy ją do ziemi, a ona tak po prostu wiedziała, co robić.

Eliza uśmiechnęła się łagodnie.

– Robiła tylko to, co przewidziała dla niej natura.

Rose zagryzła wargi aż pozostał na nich czerwony ślad.

– Kiedy tu siedzę, czuję się jak wtedy, gdy miałam osiemnaście lat i czekałam na wyjazd do Nowego Jorku. Jestem podekscytowana i zniecierpliwiona. – Uśmiechnęła się do Elizy. – Wydaje mi się, że upłynęły wieki, odkąd siedzieliśmy razem, tylko ty i ja, jak wtedy, gdy byliśmy dziewczynkami.

Nagła tęsknota sprawiła, że Eliza zapomniała o roku zazdrości i rozczarowań. Delikatnie poklepała dłoń Rose.

– Rzeczywiście, kuzynko.

Rose zakasłała, a jej kruche ciało zadrżało z wysiłku. Eliza zamierzała zaoferować jej swój szal, gdy Rose spytała nagle:

– Słyszałaś ostatnie wieści z domu?

Eliza odpowiedziała ostrożnie zdziwiona tak nagłą zmianą tematu.

– Widziałam się z Mary.

– A więc wiesz. – Rose podniosła oczy, przez chwilę wytrzymała spojrzenie Elizy, po czym pokręciła ze smutkiem głową. – Nie pozostawiła mi wyboru, kuzynko. Rozumiem, że bardzo się lubiłyście, ale wierz mi, Mary nie mogła pozostać w Blackhurst w takim stanie. Musisz mnie zrozumieć.

– To dobra i lojalna dziewczyna, Rose – odparła łagodnie Eliza. – Nie przeczę, że zachowała się nierozważnie, ale czy nie mogłabyś ustąpić? Została bez pieniędzy, a dziecko ma wiele potrzeb. Proszę, Rose, pomyśl o Mary. Wyobraź sobie, w jak ciężkim położeniu się znalazła.

– Zapewniam cię, że dużo o tym myślałam.

– W takim razie, wiesz, że...

– Czy kiedykolwiek pragnęłaś czegoś, Elizo? Czy pragnęłaś czegoś tak bardzo że nie mogłaś bez tego żyć?

Eliza pomyślała o swej wysnionej morskiej podróży. Miłości do Sammy'ego. Potrzebie bliskości Rose.

– Pragnę dziecka bardziej niż cegółkolwiek na świecie. Moje

serce boli tak bardzo, jak moje ramiona. Czasami czuję na nich ciężar dziecka, które tak gorąco pragnę tulić. Ciepłutką główkę w załamaniu łokcia.

– Któregoś dnia na pewno...

– Tak, tak. Któregoś dnia. – Błady uśmiech Rose zadawał kłam jej słowom. – Ale od tak dawna walczę i przegrywam. Dwanaście miesięcy, Elizo. Dwanaście długich miesięcy pełnych bólu i rozczarowań. A teraz doktor Matthews mówi mi, że podupadam na zdrowiu. Spróbuj wyobrazić sobie, co poczułam, gdy dowiedziałam się o tajemnicy Mary. Co poczułam, wiedząc, że przez przypadek dostała to, czego ja pragnę od tak dawna. Że ona, która nie ma niczego, otrzyma to, za co ja oddałabym wszystko. Czy nie widzisz, że to nie w porządku? Bóg z pewnością nie chciałby czegoś takiego.

Rose była zdruzgotana, a jej kruchy wygląd tak bardzo kłócił się z siłą jej pragnień, że dobro Mary nagle przestało mieć znaczenie.

– Jak mogę ci pomóc, Rose? Powiedz, co mogę zrobić?

– Jest coś takiego, kuzynko Elizo. Chciałabym, żebyś zrobiła dla mnie coś, co pomoże też Mary.

W końcu stało się to, co Eliza przewidziała już dawno temu: Rose uświadomiła sobie, że potrzebuje Elizy. Że tylko ona może jej pomóc.

– Oczywiście, Rose – odparła. – Zrobię wszystko, o co tylko mnie poprosisz. Powiedz, czego chcesz, a tak się stanie.

Pogoda zmieniała się w piątkową noc, przynosząc szarą wilgotną mgłę, która wisiała nad miasteczkiem przez cały weekend. Widząc to, Cassandra zdecydowała, że pozwoli odpocząć obolałym kończy-
nom i zrobi sobie zasłużoną przerwę. Sobotę spędziła w pokoju ho-
telowym, popijając herbatę i czytając dziennik Nell. Coraz bardziej
intrygowała ją postać detektywa, z którym Nell kontaktowała się w
Truro. Mężczyzna nazywał się Ned Morrish. Jego nazwisko znalazła
w miejscowej książce telefonicznej, po tym jak William Martin zas-
ugerował, że aby rozwiązać zagadkę, musi ustalić, dokąd Eliza udała
się w roku 1909.

W niedzielę Cassandra spotkała się z Julią na popołudniowej
herbatce. Siąpiący od rana deszcz wczesnym popołudniem zmie-
nił się w mżawkę. Patrząc przez okno, Cassandra zdołała zauważyć
fragmenty mokrego trawnika. Cała reszta tonęła w gęstej mgle, a wi-
doczne tu i ówdzie nagie gałęzie przypominały fantazyjne pęknięcia
w niekończącej się ścianie bieli. Był to jeden z tych dni, które tak bar-
dzo lubiła Nell. Cassandra uśmiechnęła się na myśl o radości, jaką
wywoływały u Nell kalosze i płaszcz przeciwdeszczowy. Być może
w głębi duszy Nell czuła zew swego dziedzictwa.

Cassandra odchyliła się na poduszce fotela i spojrzała na tańczą-
ce w palenisku płomienie. Hol hotelowy tętnił życiem. Goście grali
w gry planszowe, inni czytali albo jedli, a wszędzie dokoła słyszało
było przytłumione głosy.

Julia ozdobiła babeczkę łyżeczką śmietany.

– Skąd to nagle zainteresowanie murem?

Cassandra opłótła palcami ciepły kubek.

– Nell wierzyła, że jeśli dowie się, dokąd Eliza wyjechała w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, znajdzie odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

– Ale co to ma wspólnego z murem?

– Nie wiem, być może nic. Ale coś w albumie Rose zwróciło moją uwagę.

– Co dokładnie?

– W kwietniu tysiąc dziewięćset dziewiątego roku dokonała wpisu, który poniekąd łączy zniknięcie Elizy z budową muru.

Julia zlizwała śmietanę z palca.

– Pamiętam – powiedziała. – Píše, że tam, gdzie jest dużo do zyskania, jest także wiele do stracenia.

– Właśnie. Chciałabym tylko wiedzieć, co takiego miała na myśli.

Julia zagryzła wargi.

– Cóż za brak taktu. Jak mogła nie pomyśleć o nas, które prawie dziewięćdziesiąt lat później będziemy czytały jej pamiętniki!

Cassandra uśmiechnęła się i w zamyśleniu skubnęła włókno wystające z podłokietnika.

– Ale po co w takim razie pisałyby te słowa? Co takiego było do zdobycia i co tak bardzo bała się stracić? No i po co zbudowano ten mur?

Julia ugryzła babeczkę i przez chwilę żuła ją w zamyśleniu. W końcu otarła usta hotelową serwetką.

– W tym samym czasie Rose była w ciąży, tak?

– Jeśli wierzyć wpisom w dzienniku.

– A więc może chodziło o hormony. Takie rzeczy się zdarzają, prawda? Kobiety łatwo się wzruszają i dają się ponieść emocjom. Może tęskniła za Elizą i martwiła się, że ktoś może okraść albo zniszczyć chatkę? Może czuła się odpowiedzialna? W końcu wciąż jeszcze były sobie bliskie.

Cassandra też o tym myślała. Cięża mogła mieć wpływ na wahania nastroju, ale czy to wystarczyło, by uznać odpowiedź za właściwą? Nawet gdyby założyć, że słowa Rose były dyktowane burzą

hormonów, było w nich coś niepokojącego i dziwnego. Co takiego wydarzyło się w chatce, że Rose czuła się tak bezradna?

– Mówią, że jutro się wypogodzi – rzuciła Julia, odkładając nóż na pełny okrucichów talerzyk. Odchyliła się w fotelu, odsunęła rąbek zasłony i spojrzała na tonący we mgle świat. – Pewnie wrócisz do pracy?

– Właściwie nie. Spodziewam się przyjazdu znajomej.

– Tu, do hotelu?

Cassandra pokiwała głową.

– Cudownie! Gdybyś czegoś potrzebowała, koniecznie daj mi znać.



Julia miała rację. W poniedziałek po południu mgła zaczęła się podnosić, a zza chmur przebiły się pierwsze nieśmiałe promienie słońca. Cassandra czekała w holu, gdy samochód Ruby wjechał na parking. Uśmiechnęła się, widząc, że wnętrze małego białego hatchbacka wypełnione jest albumami, i pognęła do drzwi.

– Uf! – Ruby weszła do holu, postawiła walizki, po czym zdjęła kaptur i potrząsnęła głową. – Stare, dobre, kornwalijskie powitanie! Ani kropli deszczu, a jestem zupełnie przemoczona. – Zatrzymała się i spojrzała na Cassandrę. – Patrzcie, patrzcie!

– O co chodzi? – Cassandra przyglądała włosy. – Coś ze mną nie tak?

Ruby uśmiechnęła się szeroko.

– Ależ skąd, i o to właśnie chodzi. Wyglądasz cudownie.

– Och. W takim razie dziękuję.

– Kornwalijskie powietrze musi ci służyć, bo w niczym nie przypominasz dziewczyny, którą spotkałam na Heathrow.

Cassandra roześmiała się, zaskakując Samanthę, która siedząc przy biurku, podsłuchiwała całą rozmowę.

– Naprawdę dobrze ci widzieć, Ruby – powiedziała, podnosząc jedną z toreb. – Zostawmy je i chodźmy na spacer. Zobaczymy, jak wygląda zatoka po deszczu.



Cassandra zamknęła oczy i zwróciła twarz ku słońcu, pozwalając, by wiejący od morza lekki wiatr łaskotał jej powieki. Gdzieś w oddali usłyszała schrypnięte krzykliwe głosy mew, jakiś owad uparczywie krążył przy jej uchu, podczas gdy łagodne fale rytmicznie rozbijały się o brzeg. Towarzyszyło jej przedziwne uczucie spokoju, jak gdyby ona i ocean nagle stali się jednym: wdech i wydech, wdech i wydech, wdech i wydech... Obfite deszcze zmyły wody oceanu i w powietrzu unosił się zapach soli. Otworzyła oczy i spojrzała na zatokę.

Okalająca szczyt linia prastarych drzew, czarna skała na końcu zatoki, wysokie, trawiaste wzgórza, za którymi kryje się jej dom. Odetchnęła. Głęboko i spokojnie.

– Czuję się jak w *Piątce na Wzgórzu Przemysłowców!* – zawołała Ruby. – Czekam tylko, aż na horyzoncie pojawi się piesek Timmy niosący w pysku butelkę z sekretną wiadomością – jej oczy rozbłyśły – ludzką kość albo jakąś paskudną rzecz, którą właśnie wykopał.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Uwielbiałam tę książkę. – Zaczęła iść po kamykach w stronę Ruby i czarnej skały. – Gdy byłam dzieckiem i czytałam ją w upalne dni, oddałabym wszystko, żeby dorastać na mglistym wybrzeżu w otoczeniu tajemniczych jaskiń.

Dotarli do miejsca, w którym kamienistą plażę porastała trawa i ujrzały strome wzgórze wyznaczające granicę zatoki.

– Dobry Boże – jęknęła Ruby, zadzierając głowę. – Naprawdę zamierzasz nas tam zawlec?

– Obiecuję, że nie jest tak strome, jak się wydaje.

Wydeptana przez okolicznych mieszkańców wąska ścieżka była ledwie widoczna pośród wysokich srebrzystych traw i drobnych żółtych kwiatów. Szły wolno, od czasu do czasu zatrzymując się, by Ruby mogła złapać oddech.

Cassandra upajała się świeżym rześkim powietrzem. Im wyżej się wspinały, tym większy czuły chłód. Każdy, nawet najdelikatniejszy podmuch wiatru przesiąknięty był wilgocią i zajadłe kąsał ich policzki. Zbliżając się do szczytu, Cassandra chwyciła w dłoń kępę długiej bladozielonej trawy i poczuła, jak wilgotne źdźbła umykają przed jej dotykiem.

– Jesteśmy prawie na miejscu! – krzyknęła do Ruby. – To tuż za tą granicą.

– Czuję się jak von Trapp* – wydyszała Ruby. – Tyle że znacznie grubszy, starszy i w ogóle niemający ochoty na śpiewanie.

Cassandra dotarła na szczyt. Nad jej głową przemykały ciężkie chmury gnane silnym jesiennym wiatrem. Nie czekając na Ruby, podeszła na skraj klifu i spojrzała na wciąż wzburzony humorzasty ocean.

– Dzięki Bogu. Żyję. – Usłyszała za plecami chrapliwy głos Ruby. Kobieta opierała dłonie na kolanach i zgięta wpół zachłannie łapała powietrze. – Zdradzę ci pewien sekret: idąc tu, nie byłam pewna, czy kiedykolwiek dożyję tej chwili.

Wyprostowała się, oparła ręce na krzyżu i podeszła do Cassandry. Gdy spojrzała na horyzont, jej twarz pojaśniała.

– Pięknie tu, prawda? – spytała Cassandra.

Ruby pokręciła głową.

– To niesamowite. Właśnie tak muszą czuć się ptaki, gdy siedzą w swoich gniazdach. – Cofnęła się od krawędzi klifu. – Z tą tylko różnicą, że mając skrzydła, czują się znacznie bezpieczniej.

– Za czasów przemytników dom był punktem obserwacyjnym.

Ruby pokiwała głową.

– Pewnie masz rację. Z tej wysokości niewiele rzeczy może umknąć uwagi. – Odwróciła się z nadzieją, że zobaczy chatkę, i rozczarowana nachmurzyła się.

– Szkoda tylko, że postawiono ten wysoki mur. Coś takiego na pewno zasłania widok.

– Tak, ale wyłącznie, kiedy jest się na dole. Zbudowano go dopiero w tysiąc dziewięćset dziewiątym.

Ruby skierowała się do bramy.

– Po jakie лихо ktoś miałby budować coś takiego?

– Dla ochrony.

– Przed czym?

Cassandra oderwała wzrok od morza i ruszyła za Ruby.

* Werner von Trapp – amerykański farmer, człowiek śpiewającej rodziny von Trappów.

– Wierz mi, sama chciałabym to wiedzieć. – Pchnęła skrzypiącą żelazną furtkę.

– Brzmi przyjaźnie – bąknęła Ruby, wskazując tabliczkę z ostrzeżeniem dla potencjalnych intruzów.

Cassandra uśmiechnęła się w zamyśleniu. *Wejście wyłącznie na własną odpowiedzialność.* W ostatnich tygodniach Cassandra mijała tę tabliczkę tak wiele razy, że przestała zwracać na nią uwagę. Teraz, gdy przypomniała sobie wpis w dzienniku Rose, słowa nabrały nowego znaczenia.

– No, dalej, Cass. – Ruby stała na drugim końcu ścieżki, przy wejściu do domu i wyraźnie zniecierpliwiona ruszała małą stópką. – Przeszłam tu taki kawał drogi. Chyba nie chcesz, żebym wspięła się po ścianie i weszła do środka przez okno?

Cassandra uśmiechnęła się i pokazała ciężki mosiężny klucz.

– Bez obaw. Koniec z morderczą wspinaczką. Przynajmniej na dziś. Sekretny ogród zostawimy sobie na jutro. – Włożyła klucz do zamka, przekręciła go i delikatnie pchnęła drzwi.

Ruby przestąpiła próg i idąc korytarzem, skierowała się do kuchni. Teraz, gdy Cassandra i Christian usunęli z okien wszędobylskie pnącza i zmyli z szyb wiekową warstwę brudu, w domu zrobiło się jasno i przytulnie.

– A niech mnie – szepnęła Ruby, rozglądając się po kuchni. – Jest w idealnym stanie!

– Można tak powiedzieć.

– Nikt nie zniszczył jej pod pozorem modernizacji. Cóż za niebywale rzadkie znalezisko. – Odwróciła się do Cassandry. – Jest w niej coś niezwykłego, prawda? Urzekająco ciepłego. Prawie czuję błędzące wśród nas duchy przeszłości.

Cassandra się uśmiechnęła. Wiedziała, że Ruby poczuje to samo co ona.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś, Ruby.

– Za nic nie przegapiłabym takiej okazji – odparła, przecinając pomieszczenie. – Grey zaczął wkładać zatyczki do uszu, tak bardzo wkurzała go moja gadka o twojej kornwalijskiej chatce. Do tego mam coś do załatwienia w Polperro, więc nie mogło się lepiej złożyć. – Mówiąc to, Ruby oparła się o fotel bujany i wyjrzała przez

okno. – Masz tu sadzawkę?

– Tak, ale niewielką.

– Ładny posążek. Ciekawe, czy nie jest mu zimno? – Puściła fotel, który jęknął i zakołysał się leniwie. Tymczasem Ruby rozglądała się po pokoju, muskając palcami zawieszoną nad piecem półkę.

– Co masz do załatwienia w Polperro? – Cassandra usiadła na stole kuchennym i skrzyżowała nogi.

– Moja wystawa zakończyła się w ubiegłym tygodniu i muszę oddać szkice Nathaniela Walkera ich właścicielce. Serce mi pęka, kiedy o tym pomyślę.

– Nie ma szans, żeby przekazała je muzeum?

– Byłoby miło. – Głowa Ruby zniknęła w ceglanej wnęcie, a kolejne słowa wydawały się stłumione i niewyraźne. – Może ty spróbujesz ją przekonać?

– Ja? Nawet jej nie znam.

– Cóż, jeszcze nie. Ale podczas ostatniej wizyty wspomniałam jej o tobie. Powiedziałam, że twoja babka była spokrewniona z Montrachetami, że urodziła się tu, w Blackhurst, a po powrocie kupiła ten uroczy domek. Clara była zafascynowana.

– Naprawdę? Skąd to zainteresowanie?

Ruby wyprostowała się i uderzyła głową o półkę.

– Cholera. – Rozmasowała obolałe miejsce. – Zawsze ta przeklęta głowa.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Nic mi nie jest. Jestem odporna na ból. – Opuściła rękę i puściła oko. – Matka Clary była służącą w Blackhurst, pamiętasz? Mary, ta sama, która robiła kaszankę ze swoim mężem rzeźnikiem.

– Tak, przypominam sobie. Skąd pewność, że Clara zainteresowała się Nell? Mówiła coś?

Ruby wróciła do oglądania pieca, tym razem otwierając drzwiczki paleniska.

– Powiedziała, że jest coś, o czym chciałaby z tobą porozmawiać.

Coś, co przed śmiercią powiedziała jej matka.

Cassandra poczuła na karku dziwne mrowienie.

– Co takiego? Mówiła coś jeszcze?

– W każdym razie nie mnie, i przestań się tak ekscytować. Zważywszy na to, jak wielką czią otacza swoją matkę, może myśleć, że będzie ci miło, jeśli dowiesz się, że najlepsze lata swego życia Mary spędziła w Blackhurst. Albo że Rose doceniła sposób, w jaki czyściła srebra. – Ruby zamknęła drzwiczki i odwróciła się do Cassandra. – Nie sądzę, aby ten piec wciąż działał.

– Szczerze powiedziawszy, działa. Sami nie mogliśmy w to uwierzyć.

– My?

– Christian i ja.

– Kim jest Christian?

Cassandra musnęła palcami krawędź stołu.

– To przyjaciel. Ktoś, kto pomaga mi posprzątać ten bałagan.

Ruby uniosła brew.

– Przyjaciel, tak?

– Tak. – Cassandra wzruszyła ramionami, siłąc się na obojętność.

Ruby skwitowała to porozumiewawczym uśmiechem.

– Dobrze mieć przyjaciół. – Mówiąc to, przeszła przez kuchnię, minęła okno z pękniętą szybą i podeszła do starego kołowrotka. – Pewnie nie zdążę go poznać? – Wyciągnęła rękę i zakręciła kołem.

– Ostrożnie – ostrzegła Cassandra. – Nie ukłuj się w palec.

– No tak. – Palce Ruby prześlizgnęły się po kole napędowym. – Szkoda by było, gdybyśmy przeze mnie zapadły w stuletni sen. – Zagryzła wargę i uśmiechnęła się filuternie. – Chociaż wówczas twój przyjaciel miałby szansę nas uratować.

Na półkach Cassandra wykwił rumieniec. Starła się zachować spokój, podczas gdy Ruby podziwiała belki sufitowe, białe-niebieskie kafelki wokół kuchenki i szerokie deski podłogowe.

– I co o tym myślisz? – spytała w końcu.

Ruby przewróciła oczami.

– Wiesz, co myślę, Cass. Zazdroszczę ci jak cholera. Tu jest cudownie! – Oparła się o stół. – Nadal zamierzasz ją sprzedać?

– Tak, chyba tak.

– Jesteś silniejsza ode mnie. – Ruby pokręciła głową. – Ja nie

mogłabym rozstać się z czymś takim.

Jej słowa obudziły w Cassandrze uczucie dumy, które niemal natychmiast stłumiła.

– Nie mam wyjścia. Nie mogę zostać, a nie chcę, żeby dom popadał w ruinę. Utrzymanie go byłoby zbyt kosztowne, szczególnie dla kogoś, kto mieszka na drugim końcu świata.

– Możesz zrobić z niego domek letniskowy, a w międzyczasie komuś go wynajmować. Mogłybyśmy obie spędzać wakacje nad morzem. – Roześmiała się. – To znaczy chciałam powiedzieć, że ty mogłabyś spędzać wakacje nad morzem. – Trąciła Cassandrę ramieniem. – No, dalej, pokaż mi, co jest na górze. Założę się, że widok jest zabójczy.

Cassandra poprowadziła ją wąskimi schodami, a gdy dotarły do sypialni, Ruby oparła się o parapet.

– Och, Cass – jęknęła, patrząc, jak wiatr szarpie spienione grzywy fal – ludzie staliby w kolejkach, żeby spędzić tu wakacje. – Tu wszystko jest takie naturalne. Miasteczko jest wystarczająco blisko, żeby robić tam zakupy, ale wystarczająco daleko, żeby odpocząć w spokoju i uciec przed światem. O zachodzie słońca to miejsce musi być bajeczne. Tak samo w nocy, gdy lampy łodzi rybackich migoczą w oddali niczym gwiazdy.

Słowa Ruby podekscytowały i przeraziły Cassandrę. Obudziły z letargu jej sekretne marzenie, sentyment, o którego istnieniu nie miała pojęcia, dopóki ktoś inny nie wypowiedział go na głos. Cassandra pragnęła zatrzymać ten dom, choć wiedziała, że najrozsądniej byłoby go sprzedać. Atmosfera tego miejsca ją urzekła. To dzięki niemu czuła więź z Nell, ale było w nim coś jeszcze: poczucie bezpieczeństwa i spokoju, które dawał jej ten dom i otaczający go ogród. Wrażenie, że wszystko jest dobrze. Ze światem i z nią. Po raz pierwszy od lat czuła się spełniona i szczęśliwa. Jak zamknięte koło, jak myśl, której nie mąciły żadne wątpliwości.

– Mój Boże! – Ruby odwróciła się i złapała Cassandrę za nadgarstek.

– Co? – jęknęła przerażona Cassandra, czując w żołądku bolesny uścisk. – Co się stało?

– Właśnie wpadł mi do głowy genialny pomysł. – Ruby prze-

łknęła nerwowo i machając ręką, starała się odzyskać oddech. – Będziemy tu nocowały – pisnęła w końcu. – Ty i ja, dziś wieczorem, będziemy nocowały w chatce!



Cassandra zrobiła już zakupy i wychodziła ze sklepu z artykułami żelaznymi, dźwigając pod pachą karton pełen świec i zapalek, gdy dosłownie wpadła na Christiana. Od kolacji w pubie minęły trzy dni – weekendowe opady deszczu całkowicie wykluczyły powrót do chatki – w czasie których nie widzieli się ani nie rozmawiali. Widząc go, Cassandra poczuła się dziwne podenerwowana i oblała się rumieńcem.

– Jedziesz na obóz?

– Coś w tym rodzaju. Odwiedziła mnie przyjaciółka i zamierzamy spędzić noc w domku.

Uniósł brwi.

– Uważajcie na duchy.

– Postaramy się.

– I szczury. – Uśmiechnął się krzywo.

Odpowiedziała uśmiechem i zaciśnęła usta. Chwila niezręcznego milczenia ciągnęła się jak gumka recepturka, która w każdej chwili grozi zerwaniem.

– Hej, wiesz co... – zaczęła nieśmiało – mógłbyś wpaść i zjeść z nami kolację. Nic szczególnego, ale będzie fajnie. Oczywiście, jeśli masz czas. Ruby chciały cię poznać. – Zaczzerwieniła się jeszcze bardziej i przeklęła w duchu pytający ton, który pojawiał się niemal w każdym zdaniu. – Będzie fajnie – powtórzyła.

Pokiwał głową, jakby rozważał jej propozycję.

– Jasne – odparł. – Czemu nie. Brzmi świetnie.

– Super. – Cassandra poczuła na skórze przyjemne mrowienie.

– O siódmej? Nie musisz niczego przynosić, jak widzisz, jesteśmy doskonale wyposażone.

– Daj mi to. – Christian wziął z rąk Cassandry kartonowe pudełko. Kiedy uwolniła nadgarstek z uszu plastikowej torby, dostrzegła na nim głębokie czerwone ślady. – Podrzucę cię do ścieżki – rzucił.

– Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

– Wcale nie sprawiasz. I tak miałem wpaść, żeby porozmawiać o Rose i jej dziwnych znamionach.

– W albumie nie znalazłam niczego więcej...

– Nieważne. Wiem, czym były i skąd się wzięły. – Machnął ręką, zapraszając ją do samochodu. – Wsiadaj, porozmawiamy podczas jazdy.

Christian wyprowadził samochód z ciasnego parkingu i ruszył główną ulicą.

– A więc o co chodzi? – spytała Cassandra. – Co takiego znalazłeś?

Christian wyciągnął rękę i niedbałym ruchem przetarł zaparowaną przednią szybę.

– Kiedy tamtego dnia opowiadałaś mi o Rose, coś zwróciło moją uwagę. Nazwisko lekarza: Ebenezer Matthews. Za nic nie mogłem sobie przypomnieć, skąd je znam. Przypomniałem sobie dopiero w sobotę rano. Na uniwersytecie chodziłem na kurs etyki lekarskiej i w ramach zaliczenia musieliśmy napisać pracę o historycznych zastosowaniach nowoczesnych metod.

Zwolnił przed skrzyżowaniem i przez chwilę majstrował coś przy ogrzewaniu.

– Przepraszam, czasami nawala. Za minutę powinno być ciepło. – Podkręcił regulator ogrzewania, wrzucił lewy kierunkowskaz i ruszył stromą drogą prowadzącą na klif. – Jedną z korzyści powrotu do domu jest dostęp do pudeł, do których macocha spakowała moje rzeczy, gdy zamieniała mój pokój w siłownię.

Cassandra uśmiechnęła się, przypominając sobie pudła pełne młodzieńczych szpargałów, które odkryła, gdy po wypadku zamieszkała z Nell.

– Zajął mi to trochę czasu, ale w końcu znalazłem esej i tak, jak myślałem, pojawiała się w nim nazwisko Ebenezera Matthews'a. Pisałem o nim, ponieważ pochodził z tej samej wioski, w której dorastałem.

– Czy w eseju było coś na temat Rose?

– Niezupełnie, ale kiedy zorientowałem się, kim był jej lekarz, napisałem e-maila do przyjaciółki z Oksfordu, która pracuje w bibliotece medycznej. Była mi winna przysługę i obiecała, że prześle

mi wszystko, co tylko uda jej się znaleźć na temat pacjentów Matthews w latach tysiąc osiemset osiemdziesiąt dziewięć – tysiąc dziewięćset trzynaście, z czasów, gdy żyła Rose.

Przyjaciółka. Kobieta. Cassandra starała się zapanować nad niespodziewanym uczuciem zazdrości.

– I?

– Doktor Matthews był cholernie zajęтым człowiekiem. Pochodził z ubogiej rodziny, jednak zdobył wysoką pozycję. Dziwne, jak na kogoś, kto mieszkając w Kornwalii, wykonywał dokładnie tę samą pracę jak lekarze w innych miasteczkach. Przełomem w jego karierze było spotkanie Adeline Mountrachet z posiadłości Blackhurst. Nie mam pojęcia, dlaczego do opieki nad swą chorą córeczką wybrała młodego medyka. W tamtych czasach arystokracja ufała lekarzom, którzy od pokoleń leczyli ich dolegliwości. Matthews i Adeline musieli się zaprzyjaźnić, ponieważ po pierwszej wizycie młody lekarz stał się osobistym medykiem małej Rose. Był nim przez całe jej dzieciństwo, a nawet wtedy, gdy była już mężatką.

– Ale skąd to wiesz? Jak twoja przyjaciółka zdobyła wszystkie te informacje?

– W tamtych czasach wielu lekarzy prowadziło dzienniki. Były to swoiste zapiski na temat pacjentów, informacje o tym, kto jest im dłużny pieniądze, nazwy przepisanych leków, tytuły publikacji i tym podobne rzeczy. Wiele takich dzienników trafiło do bibliotek. Zostały ofiarowane lub sprzedane zwykle przez rodziny lekarzy.

Dotarli do końca drogi, gdzie żwir ustępował miejsca wysokim trawom. Christian zaparkował samochód na wąskim parkingu przy punkcie obserwacyjnym. Szalejący wiatr sprawił, że ptaki, które zwykle kołowały nad skałami, siedziały zbite w posępne gromadki. W końcu Christian wyłączył silnik i spojrzał na Cassandrę.

– W ostatnich dziesięciu latach dziewiętnastego wieku doktor Matthews zaczął wyrabiać sobie renomę. Najwyraźniej nie wystarczył mu tytuł lekarza pierwszego kontaktu, nawet wtedy gdy na liście jego pacjentów znajdowały się najznamienitsze nazwiska lokalnej społeczności. Zaczął więc publikować rozmaite artykuły z dziedziny medycyny. Porównując publikacje z zapiskami w dzienniku, nietrudno się domyślić, że Rose pojawia się w obu, jako panna

R.M. Matthews poświęca jej wiele uwagi, zwłaszcza w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

– Dlaczego? Co się wtedy wydarzyło? – Nieprzyjemny uścisk w gardle uświadomił Cassandrę, że od jakiegoś czasu wstrzymuje oddech.

– Kiedy Rose miała osiem lat, połknęła naparstek.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że był to wypadek. Zresztą to bez znaczenia. Połowa brytyjskich monet w tym czy innym okresie znikła w dziecięcych żołądkach. Jeśli zostawiono je w spokoju, wychodziły z nich bez żadnych problemów.

Cassandra odetchnęła.

– Ale nie w tym przypadku. Doktor Matthews przeprowadził operację.

Christian pokręcił głową.

– Jeszcze gorzej.

– Co zrobił? – spytała, czując w żołądku bolesny skurcz.

– Kazał zrobić prześwietlenie, kilka zdjęć rentgenowskich, a następnie opublikował je w czasopiśmie „Lancet”. – Mówiąc to, sięgnął na tylne siedzenie i wręczył Cassandrze fotokopię.

Zerknęła na artykuł i wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem, o co tak naprawdę chodzi?

– Nie chodzi o zdjęcia, chodzi o naświetlenie. – Wskazał palcem liniijkę na szczycie strony. – Doktor Matthews kazał fotografowi robić zdjęcia przez sześćdziesiąt długich minut. Najwyraźniej chciał mieć pewność, że dostanie swoje zdjęcie.

Cassandra poczuła na twarzy powiew lodowatego powietrza.

– Ale co to oznacza? Godzinne naświetlanie?

– Promienie X są radioaktywne. Nie zauważyłaś, że dentysta, robiąc zdjęcie, zawsze opuszcza gabinet? Sześćdziesięciminutowe naświetlanie oznaczało, że doktor Matthews i jego fotograf dosłownie usmażyli jajniki Rose.

– Jajniki? – Cassandra wbiła w niego przerażone spojrzenie. – W takim razie, jak udało jej się zająć w ciążę?

– Właśnie to chcę powiedzieć. To niemożliwe. Rose nie mogła mieć dzieci. To znaczy z pewnością nie mogła urodzić zdrowego

dziecka. Ponieważ od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku Rose Mountrachet była najzwyczajniej w świecie bezpłodna.

Chatka na klifie, 1975

Mimo dziesięciodniowego opóźnienia, kiedy to miało dojść do wymiany kontraktów, młoda Julia Bennett była bardzo uprzejma. Kiedy Nell poprosiła o dostęp do chatki, machnęła ciężką od biżuterii ręką i wręczyła jej masywny mosiężny klucz.

– Ależ proszę bardzo – odparła, podzwaniając bransoletami. – Czuj się jak w domu. Bóg jeden wie, że chętnie pozbędę się tego ciężaru!

Klucz naprawdę był ciężki. Duży i mosiężny, z misternymi zdobieniami na jednym końcu i tępymi ząbkami na drugim. Był prawie tak duży, jak dłoń Nell, która położyła go na drewnianym kuchennym stole. W jej domku. No, prawie jej. Jeszcze tylko dziesięć dni.

Nell nie zamierzała zostać w Tregennie na dzień dokonania transakcji. Jej samolot wylatywał z Londynu za cztery dni i choć starała się przebukować bilet, poinformowano ją, że podobne zmiany łączą się ze sporymi kosztami. Dlatego postanowiła wrócić do Australii. Miejscowi notariusze, którzy zajmowali się sprawą, stwierdzili, że z przyjemnością przechowają dla niej klucz. Szczególnie że Nell zapewniła ich, że wróci tu na dobre, gdy tylko uporządkuje sprawy w Australii.

Miała świadomość, że to jej ostatnia wizyta w Brisbane. Co ją tam trzymało? Kilkoro przyjaciół, córka, której nie jest potrzebna, siostry, z którymi nie układało jej się najlepiej. Sklep z antykami. Tak, za nim z pewnością będzie tęskniła, ale czy nie może otworzyć podobnego w Kornwalii? Gdy tam wróci, zgłębi tajemnicę swojego

pochodzenia. Dowie się, dlaczego Eliza uprowadziła ją i wysłała statkiem do Australii. Aby żyć, człowiek potrzebuje celu. To właśnie jest jej cel. Jeśli go nie zrealizuje, nigdy nie pozna prawdy o samej sobie.

Przez chwilę przechadzała się po kuchni, jakby chciała zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół. Pierwszą rzeczą, jaką zamierzała zrobić po powrocie, były gruntowne porządki. Zbyt długo kurz i brud panoszyły się w tym domu, pokrywając każdą wolną przestrzeń. Trzeba dokonać kilku napraw: tu i ówdzie należy wymienić listwy przypodłogowe, usunąć przegniłe podłogi, doprowadzić do porządku kuchnię...

Naturalnie w Tregennie znajdą się fachowcy z każdej dziedziny, jednak Nell wzdrygała się przed zatrudnianiem nieznajomych. Choć zbudowana z kamienia i drewna chatka była dla niej czymś więcej niż zwykły dom. Tak jak opiekowała się Lil w ostatnich miesiącach jej życia, tak samo wiedziała, że musi osobiście nadzorować remonty i związane z nimi prace. Nareszcie może wykorzystać to, czego nauczył ją Hugh, gdy jako dziewczynka z podziwem obserwowała, jak pracuje.

Zatrzymała się przy bujanym fotelu. Coś w kącie pomieszczenia zwróciło jej uwagę. Podeszła bliżej. Do połowy opróżniona butelka napoju, paczka pełnoziarnistych herbatników i komiks *Bączek i Frytki*. Z pewnością nie było ich tu, gdy Nell po raz pierwszy oglądała dom, a to oznaczało, że ktoś tu wszedł. Przekartkowała komiks: sądząc po lekturze, był to ktoś młody.

Poczuła na twarzy powiew wilgotnego wiatru i odwróciła głowę. W oknie brakowało jednej z czterech kwadratowych szybek. Pamiętając, aby przed wyjazdem zabezpieczyć dziurę folią i taśmą, wyrzała na zewnątrz. Równolegle do ściany domu rósł wysoki żywopłot, gładki i równy niczym mur. Coś mignęło wśród gałęzi i Nell kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Gdy spojrzała w tamtą stronę, niczego nie zauważyła. Pewnie ptak albo wiewiórka, pomyślała.

Z mapy, którą dostała od notariusza, odczytała, że teren posiadłości ciągnie się daleko poza granice domu, co oznaczało, że cokolwiek znajduje się po drugiej stronie żywopłotu, prawdopodobnie również jest jej własnością. Zdecydowała, że przyjrzy się temu bliżej.

Ścieżka, która skręcała za rogiem domu, była wąska i ocieniona. Na tyłach domu czekała Nell kolejna niespodzianka. Cierniste krzaki, które przez lata płożyły się między domem a żywopłotem, były tak gęste, że musiała uważać, by nie pokaleczyć nóg.

Mniej więcej w połowie drogi znowu ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby w pobliżu coś się poruszyło. Odruchowo spojrzała na ziemię i dostrzegła wystające spod ściany żywopłotu odziane w buty patykowate nogi. Przez chwilę zastanawiała się, czy żywopłot spadł z nieba, jak w *Czarnoksiężniku z krainy Oz*, wprost na biednego kornwalijskiego gнома, czy może przyłapała właśnie intruza, który potajemnie zakradał się do jej domu.

Niewiele myśląc, złapała jedną chudą kostkę. Nogi zamarły w bezruchu.

– No, dalej – rzuciła. – Wychodź.

Chwila ciszy, po której nogi wierzgnęły niezdarnie i posłusznie się cofnęły. Chłopiec, który okazał się ich właścicielem, miał mniej więcej dziesięć lat, choć Nell nigdy nie była szczególnie dobra w odgadywaniu wieku dzieci. Wyglądał na chuligana z czupryną rudawobrazowych włosów i guzowatymi kolanami. Kościste golenie pokrywały siniaki.

– Rozumiem, że to ty jesteś tą małą małpką, która czuje się w moim domu jak u siebie.

Chłopiec zamrugał i wbił ciemnobrązowe oczy we własne stopy.

– Skoro tak, powiedz chociaż, jak masz na imię.

– Christian.

Głos był tak cichy, że ledwie go słyszała.

– Christian jak?

– Christian Blake. Ale ja nic nie zrobiłem. Mój tata pracuje nie daleko stąd, w posiadłości, i czasami przychodzę tu, żeby odwiedzić ogrodzony murem ogród. Pani ogród.

Nell spojrzała na porośniętą jeżynami ścianę.

– A więc za murem jest ogród? Nie wiedziałam. – Zerknęła na chłopca. – Powiedz mi, Christianie, czy twoja mama wie, że tu jesteś?

Chłopiec przygarbił się.

– Ja nie mam mamy.

Nell uniosła brwi.

– Latem poszła do szpitala i...

Zły humor Nell zniknął, jak ręką odjął.

– Rozumiem – westchnęła. – Cóż. Ile masz lat? Dziewięć? Dziesięć?

– Prawie jedenaście. – Chłopiec, wyraźnie oburzony, wcisnął dłoń w kieszenie spodni.

– Oczywiście, teraz to widzę. Mam wnuczkę w twoim wieku.

– Czy ona też lubi ogrody?

Pytanie zbiło Nell z tropu.

– Nie jestem pewna – odparła, mrugając.

Christian przechylił głowę i nachmurzył się, jakby oczekiwał innej odpowiedzi.

– To znaczy, wydaje mi się, że tak. Chyba lubi. – Te słowa zabrzmiały przeprasząco nawet dla niej samej. Natychmiast się zbeształa. Nie musi czuć skruchy tylko dlatego, że nie zna zbyt dobrze córki Lesley. – Nie widuję jej zbyt często.

– Mieszkacie daleko od siebie?

– Nie, nie bardzo.

– W takim razie, dlaczego widujecie się tak rzadko?

Nell przyjrzała się chłopcu, jakby chciała ocenić, czy jego imperytynencja jest czarująca, czy też nie.

– Czasami tak właśnie jest.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, było to kiepskie wytłumaczenie, tak dla niej, jak i dla niego. Istnieją jednak rzeczy, które nie wymagają wyjaśnień, zwłaszcza jeśli rozmówcą jest mały chłopiec, który narusza czyjąś prywatność.

Nell przypomniała sobie, że chłopiec od niedawna jest pólsierotą. Nikt, kto utracił pewność siebie, nie jest odporny na krytykę. Nell wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Życie bywa cholernie okrutne. Dlaczego chłopiec musi wychowywać się bez matki? Dlaczego przedwczesna śmierć tej biedaczki skazała dziecko na życie bez matczynego ciepła? Patrząc na wychudzone ciało Christiana, Nell poczuła, jak coś ściska jej trzewia. Gdy przemówiła, jej głos był szorstki, ale uprzejmy.

– Właściwie po co chciałeś się dostać do mojego ogrodu?

– Przysięgam, że nie chciałem niczego zniszczyć. Chciałem tyl-

ko trochę tam posiedzieć.

– I zawsze tak wchodzisz? Pod murem?

Dzieciak pokiwał głową.

Nell spojrzała na dziurę.

– Nie sądzę, żebym się tam zmieściła. Gdzie jest furtka?

– Nie ma. Przynajmniej nie w tej ścianie.

Nell ściągnęła brwi?

– Chcesz powiedzieć, że mam ogród, do którego nie można wejść?

Kolejne skinienie głowy.

– Od środka widać, że kiedyś było tu wejście, ale zostało zamurowane.

– Po co ktoś miałby je zamurowywać?

Chłopiec wzruszył ramionami, podczas gdy Nell dodała do listy zadań kilka kolejnych punktów.

– W takim razie może będziesz tak uprzejmy i opowiesz mi, co takiego jest po drugiej stronie? Sama raczej nieprędko to zobaczę, więc powiedz, co cię tu sprowadza?

– To moje ulubione miejsce na świecie. – Brązowe oczy stały się poważne. – Lubię siedzieć w ogrodzie i rozmawiać z mamą. Ona uwielbiała ogrody. Szczególnie ten za murem. To ona pokazała mi, jak do niego wejść. Zamierzaliśmy doprowadzić go do porządku, ale się rozchorowała.

Nell zacisnęła usta.

– Za kilka dni wracam do domu, do Australii, ale wrócę tu za miesiąc, góra dwa. Zastanawiałam się, czy mógłbyś popilnować dla mnie ogród?

Odpowiedziało jej pełne powagi skinienie głowy.

– Mogę to zrobić.

– Poczuję się lepiej, wiedząc, że zostawiłam go w dobrych rękach.

Christian wyprostował się.

– A kiedy pani wróci, pomogę wszystko naprawić. Tak, jak mój tata pomaga w hotelu.

Nell się uśmiechnęła.

– Dopilnuję, żebyś wywiązał się ze swojej obietnicy. Nie przyj-

muje pomocy od byle kogo, ale coś mi mówi, że jesteś odpowiednim człowiekiem do tej roboty.

Posiadłość Blackhurst, 1913

Rose otuliła się szalem i splotła ramiona, jakby chciała ochronić się przed kłującym chłodem. Gdy przyszła do ogrodu, by poszukać słońca, nie spodziewała się, że zastanie tam Elizę. Siedziała, zapisując w albumie kolejne spostrzeżenia, od czasu do czasu podnosząc wzrok na Ivory, która biegała i kryła się wśród kwiatów. Do głowy jej nie przyszło, że spokój, jakim cieszyła się od wielu dni, zostanie tak brutalnie zakłócony. Gdy jednak tknięta przecuciem zerknęła na bramę labiryntu, widok, który ukazał się jej oczom, zmroził jej krew w żyłach. Skąd Eliza wiedziała, że Rose i Ivory są same w ogrodzie? Czyżby je obserwowała, czekała na odpowiedni moment, by zaskoczyć Rose? Dlaczego teraz? Dlaczego po trzech długich latach właśnie dziś zmaterializowała się w jej życiu? Jak upiór przeszłości, potworna zjawia idąca ku niej z paczką w ręku.

Rose zerknęła na boki. Oto ona, pamiątka z przeszłości, z pozoru niewinna rzecz. Ale tylko z pozoru. Rose wiedziała o tym aż nadto dobrze. Nie musiała zaglądać pod brązowy papier, by wiedzieć, co kryje się w środku. Piekielny przedmiot związany z miejscem, czasem i przymierzem, o którym tak bardzo chciała zapomnieć.

Zebrała spódnice i wygładziła je, jakby chciała odgrodzić się od paczki.

Spłoszona Rose zerknęła na trawnik w kształcie nerki, skąd chwilę temu poderwało się stado czarnych szpaków. Zobaczyła matkę, która szła w jej stronę. Obok szeleszczących ciemnych spódnic szedł jej nowy ogar – Helmsley. Uczucie nagłej ulgi sprawiło, że

Rose zakręciło się w głowie. Matka była kotwicą, mostem łączącym Rose z teraźniejszością, z bezpiecznym światem, gdzie wszystko było takie, jak być powinno. Gdy się zbliżyła, Rose nie mogła dłużej ukrywać niepokoju.

– Och, mamusiu – zaczęła szybko. – Była tu. Eliza tu była.

– Widziałam z okna. Co mówiła? Czy dziecko słyszało coś, czego nie powinno było usłyszeć?

Rose starała się przypomnieć sobie ich spotkanie, jednak lęk i niepokój zmąciły jej pamięć, więc nie zapamiętała wypowiedzianych słów. Zamiast tego pokręciła smutno głową.

– Nie wiem.

Adeline zerknęła na zawiniątko i podniosła je z ławki, ostrożnie, jakby obawiała się, że się poparzy.

– Nie otwieraj jej, mamo, proszę. Nie zniosę widoku tego, co jest w środku. – Głos Rose przypominał błagalny szept.

– Czy to...

– Jestem o tym prawie przekonana. – Przycisnęła do policzka zimne palce. – Powiedziała, że to dla Ivory. – Spojrzała na matkę, czując jak ogarnia ją kolejna fala paniki. – Po co miałaby to przynosić, mamo? Po co?

Adeline zacisnęła usta.

– Co chciała przez to powiedzieć?

– Myślę, że nadszedł czas, abyś uwolniła się od swojej kuzynki.

– Adeline usiadła obok Rose i położyła paczkę na kolanach.

– Uwolniła, mamo? – powtórzyła Rose przerażonym szeptem, czując na policzkach kąsający chłód. – Chyba nie sądzisz, że mogłaby... że mogłaby tu wrócić?

– Udowodniła dziś, że za nic ma zasady, które zostały ustalone.

– Ale, mamo, chyba nie myślisz...

– Myślę tylko o tym, jak zadbać o twoje dobre samopoczucie.

– Widząc biegającą w słońcu Ivory, Adeline pochyliła się w stronę córki, tak że Rose poczuła łaskoczące jej ucho gładkie usta. – Musimy pamiętać, kochanie – szepnęła – że tajemnica nigdy nie jest bezpieczna, gdy wiedzą o niej inni.

Rose lekko pokiwała głową. Jak zwykle matka ma rację. Szaleństwem jest wierzyć, że może tak być bez końca.

Adeline wstała i subtelnym ruchem dłoni przywołała Helmsleya.

– Niebawem Thomas poda lunch. Nie siedź tu długo, bo się przeziębisz. Na dziś wystarczy już przykrych niespodzianek. – Położyła paczkę na ławce. – Każ Nathanielowi się tego pozbyć – rzuciła cicho.



Tupot nóg i rozlegające się nad głową pospieszne kroki sprawiły, że Adeline skrzywiła się ze wstrętem. Nieważnie, ile razy powtarzała swą diatrybę na temat młodych panien i stosownego zachowania, dziecko nie zamierzało jej słuchać. Naturalnie mogła się tego spodziewać: niezależnie od uroczej powierzchowności i ślicznych ubrań, w jakie stroiła ją Rose, dziewczynka pochodzi z prostej rodziny. Jej policzki są zbyt różowe, śmiech odbija się echem od ścian domu, nawet niesforne loki umykają przed wstążkami. Ivory jest tak niepodobna do Rose, jak to tylko możliwe.

Mimo to Rose ją uwielbia. Był to jedyny powód, dla którego Adeline akceptowała dziewczynkę, zmuszała się do uprzejmych uśmiechów, wytrzymywała impertynenckie spojrzenia i tolerowała zamieszanie. Nie było rzeczy, której nie zrobiłaby dla Rose. Wiedziała, że jeśli mała Ivory ma uciec przed swoim pochodzeniem, to ona Adeline Mountrachet musi zadbać o jej wychowanie i nienaganne manieri.

Grono tych, którzy znają prawdę, jest wąskie i takie musi pozostać. W przeciwnym razie rodzinie Mountrachetów grozi prawdziwy skandal. Dlatego tak ważne jest, aby Mary i Eliza były odpowiednio traktowane.

Z początku Adeline martwiła się, że Rose może nie zrozumieć i w swej niewinności uwierzy, że wszystko będzie tak jak kiedyś. Myliła się jednak. Z chwilą, gdy Rose po raz pierwszy wzięła Ivory w ramiona, dokonała się w niej nagła zmiana. Obudził się instynkt macierzyński i przymus, by za wszelką cenę chronić potomstwo. Rose zgodziła się z Adeline, że Mary i Eliza nie mogą zbliżyć się do dziecka. Od tego czasu miały pozostać wystarczająco daleko, by nie ingerować w życie Ivory, a zarazem wystarczająco blisko, by pozo-

stać pod wpływem Adeline. Tylko w ten sposób można było uniknąć rozgłosu i plotek o uroczym dziecku z posiadłości Blackhurst. Adeline towarzyszyła Mary przy zakupie małego domku w Polperro, podczas gdy Eliza uzyskała tytuł prawny do chatki na klifie. Mimo iż w głębi duszy Adeline ubolewała nad tym, że Eliza jest tak blisko, wiedziała, że dokonała właściwego wyboru, godząc się na mniejsze zło. Szczęście Rose było przecież najważniejsze.

Droga Rose. Była tak blada, siedząc samotnie na ogrodowej ławeczce. Prawie nie tknęła lunchu, przesuwając go z jednego końca talerza w drugi. Teraz odpoczywała, starając się zapobiec atakowi migreny, która od tygodnia nie dawała jej spokoju.

Adeline ostrożnie wyprostowała palce, które mimowolnie zacisnęły się w pięść. Gdy wszystko było gotowe, jasno i klarownie przedstawiła swoje warunki: żadna z dziewcząt nie ma prawa wstępu do posiadłości Blackhurst. Reguły były jasne i do dziś dnia nie zostały złamane. Dochowano tajemnicy, a życie w Blackhurst toczyło się jak zwykle spokojnie i leniwie.

Co Eliza sobie myślała, łamiąc dane słowo?



Nathaniel postanowił zaczekać do chwili, gdy Rose położy się, by uspokoić skołatane nerwy, a Adeline pojedzie w odwiedzinę. Mniemał, że w ten sposób żadna z nich nie dowie się, jak dopilnował, by Eliza nie niepokoiła już jego rodziny. Odkąd dowiedział się, co się tak naprawdę wydarzyło, zastanawiał się, jak najlepiej rozwiązać ten problem. Widok żony w takim stanie był mrożącym krew w żyłach ostrzeżeniem. Przypominał, że niezależnie od tego, przez co oboje przeszli, i bez względu na to, jakich cudów dokonało pojawienie się Ivory, ta druga Rose, nerwowa, drażliwa i nieobliczalna, wciąż jest gdzieś blisko, jak przyczajone zwierzę szykujące się do skoku. Wiedział, że musi porozmawiać z Elizą i przekonać ją, że nigdy więcej nie powinna tu wracać.

Od ostatniej wizyty w ogrodzie upłynęło sporo czasu i Nathaniel zapomniał, jak gęsty mrok panuje pośród ciernistych ścian i na jak krótko zaglądają tu promienie słońca. Szedł ostrożnie, starając się zapamiętać drogę. Wiele się zmieniło od czasu, gdy cztery lata

temu gnał przez labirynt, by odzyskać swe szkice. Dotarł do chatki, czując, jak krew pulsuje mu w uszach, a ramiona drętwieją od wysiłku, i od progu zażądał zwrotu rysunków. Mówił, że należą do niego, że są dla niego ważne i że ich potrzebuje. A kiedy nie wiedział już co powiedzieć, stał i, łapiąc oddech, czekał na to, co powie Eliza. Właściwie sam nie był pewien, czego się spodziewał – przyznania się do winy, przeprosin, tego, że dostanie swoje prace, a może wszystkich tych rzeczy – jednak Eliza nie dała mu żadnej z nich. Co więcej, całkowicie go zaskoczyła. Przez chwilę mierzyła go obojętnym wzrokiem, po czym zamrugła tymi niezwykłymi bładozielonymi oczami, które tak bardzo chciał namalować, i spytała, czy nie zechciałby ozdobić swymi ilustracjami zbioru jej baśni...

Z zamyślenia wyrwał go nagły hałas. Jego serce waliło jak młot. Odwrócił się i spojrzał na czający się za plecami mrok. Siedzący na gałęzi rudzik tytnął na niego czarnym paciorkowatym okiem, by po chwili zerwać się do lotu.

Dlaczego jest taki nerwowo? Ma zszargane nerwy winowajcy. To dziwny stan, szczególnie że nie zrobił przecież nic złego. Chciał tylko porozmawiać z Elizą, poprosić ją, by przestała przechodzić przez bramę labiryntu. Robi to przecież dla Rose. To jej zdrowie i dobre samopoczucie są najważniejsze, to na nich zależy mu najbardziej.

Szedł teraz szybciej, tłumacząc sobie, że widzi zagrożenie tam, gdzie w ogóle go nie ma. Może zadanie, którego się podjął, jest sekretne, ale z pewnością nie zakazane. Na tym właśnie polega różnica.

Zgodził się na propozycję zilustrowania książki. Jak mógłby odmówić i dlaczego miałby to zrobić? Rysowanie było jego największą pasją, a robienie ilustracji do jej książki pozwalało mu wślizgnąć się do świata, w którym nie ma miejsca na żale i porażki. Myśl o tym była niczym lina ratunkowa i sekretny azyl. Trzymała go przy życiu i pozwalała przetrwać długie godziny portretowania. Na spotkaniach z zamożnymi utytułowanymi cymbałami, na które wypychała go Adeline, każąc się uśmiechać i zachowywać w sposób, jakiego oczekiwano od tresowanego pieska, pielęgnował myśl, że swoimi lustracjami powołuje do życia postacie z baśni Elizy.

Nigdy nie dostał egzemplarza książki. Wydawca opóźniał datę

publikacji z takich lub innych powodów, a gdy w końcu książka ujrzała światło dzienne, Nathaniel zrozumiał, jak niemile widziana będzie w Blackhurst. Raz, na samym początku, popełnił fatalny błąd i wspomniawszy o niej Rose. Myślał, że się ucieszy, że uraduje ją ta współpraca między mężem a najdroższą kuzynką, jednak pomylił się. Nigdy nie zapomni wyrazu jej twarzy, szoku i złości zmieszanych z głębokim smutkiem. Powiedziała, że ją zdradził, że nie kocha jej i chce ją zostawić. Nathaniel nie wiedział, jak rozumieć jej słowa, zrobił więc to, co robił zawsze w takich sytuacjach: uspokoił ją i zapytał, czy może ją narysować. Od tamtego dnia słowem nie wspomniawszy o swoich planach. Ale ich nie porzucił. Nie mógł.

Kiedy Ivory przysłała na świat, a Rose wróciła do zdrowia, poczuł, że powoli odzyskuje kontrolę nad swoim życiem. Dziwne, jak wiele radości wniosło do martwego domu jedno małe dziecko i z jaką siłą zerwało czarny kir, który od tak dawna spowijał cały świat Nathaniela, Rose, ich małżeństwo, a nawet jego duszę. Naturalnie nie stało się to od razu. Z początku Nathaniel był bardzo ostrożny, jakby obawiał się, że dla Rose pochodzenie dziewczynki będzie problemem nie do pokonania. Dopiero gdy zobaczył, że Rose kocha Ivory jak własną córkę i nie traktuje jej jak podrzutka, lód w jego sercu stopniał. Pozwolił, by niewinność dziewczynki przeniknęła jego zmęczoną, zranioną duszę, i garściami czerpał z siły, którą wniosła do ich związku ta mała urocza istota.

Niebawem zapomniawszy o książce i radości, jaką czuł, ilustrując baśnie Elizy. Podporządkował swoje życie rodzinie Mountrachetów – ignorował istnienie Elizy, a kiedy Adeline poprosiła, by udoskonalił portret Johna Singera Sargenta, z zapalem przystąpił do poprawiania dzieła mistrza. Zdawało mu się wtedy, że przekroczył już tak wiele granic, które jeszcze do niedawna uważał za święte i nienaruszalne, że jedna więcej nie zrobi żadnej różnicy...

Dotarł do polanki pośrodku labiryntu, gdzie powitało go przełotne spojrzenie dwóch pawi. Szedł wolno, ostrożnie omijając metalowy pierścień, by po chwili wyjść na wąską ścieżkę prowadzącą do sekretnego ogrodu.

Nagle zamarł. Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka i usłyszał szelest i lekkie, niemal taneczne kroki.

Zatrzymał się i odwrócił. Przelotny błysk bieli. Ktoś podążał jego śladem.

– Kto tam? – Głos miał bardziej schrypnięty, niż się tego spodziewał. Tym razem postarał się, by zabrzmiał odrobinę pewniej: – Natychmiast wyjdź z ukrycia.

Chwila ciszy, po której intruz posłusznie ujawnił swoją tożsamość.

– Ivory! – Uczucie ulgi niemal natychmiast zmieniło się w konsternację. – Co tu robisz? Wiesz przecież, że nie wolno ci przechodzić przez bramę labiryntu.

– Proszę, tatusiu – odparła dziewczynka. – Weź mnie ze sobą. Davies mówi, że na końcu labiryntu jest ogród, w którym zaczynają się wszystkie tęcze świata.

Nathaniel nie mógł nie zgodzić się z tym porównaniem.

– Skąd on to wie?

Ivory pokiwała główką z tą samą uroczą dziecięcą powagą, która zawsze rozbijała Nathaniela. Zerknął na zegarek. Za mniej więcej godzinę wróci Adeline, by sprawdzić, jak sobie radzi z portretem lorda Haymarket. Nie ma czasu, by odprowadzić Ivory do domu i wrócić tu, a Bóg jeden wie, kiedy nadarzy się następna taka okazja. Podrapał się więc za uchem i westchnął.

– W takim razie ruszajmy.

Szła tuż za nim, nucąc melodię, w której rozpoznał *Pomarańcze i cytryny*. Nathaniel nie miał pojęcia, gdzie się jej nauczyła. Z pewnością nie od Rose, która miała fatalną pamięć do słów piosenek i melodii, ani od Adeline, dla której muzyka nie miała znaczenia. Z pewnością to któraś z pokojówek. Z braku guwernantki jego córka większość czasu spędzała w towarzystwie służby. Któż zatem wie, jakich rzeczy mogła się jeszcze nauczyć?

– Tatusiu?

– Tak?

– Znowu namalowałam w głowie obrazek.

– Naprawdę? – Nathaniel odsunął ciernistą gałązkę, by Ivory mogła przejść.

– To był statek kapitana Ahaba i płynący tuż obok ogromny wieloryb.

- Jakiego koloru był żagiel?
- Oczywiście, że białego.
- A wieloryb?
- Szary jak burzowa chmura.
- A czym śmierdziało na statku?
- Słoną wodą i brudnymi butami Daviesa.

Wyrażnie rozbawiony Nathaniel uniósł brwi.

– Mogę to sobie wyobrazić. – Była to jedna z ich ulubionych gier. Grali w nią popołudniami, gdy Ivory spędzała czas w pracowni Nathaniela. On sam był zaskoczony tym, jak bardzo cieszy go towarzystwo córki. To ona sprawiała, że widział rzeczy zupełnie inaczej, prościej, w sposób, który dodawał życia jego portretom. Jej częste pytania o to, co robi i dlaczego to robi, kazały mu mówić o rzeczach, o których dawno temu przestał myśleć i które dawno temu przestał doceniać: że należy rysować to, co się widzi, a nie to, co się wydaje, że każdy rysunek składa się z linii i kształtów, że kolory powinny odkrywać, a zarazem ukrywać pewne szczegóły.

- Dlaczego idziemy przez labirynt, tatusiu?
- Po drugiej stronie mieszka ktoś, z kim muszę się zobaczyć.

Ivory przetrawiła tę informację.

- To osoba, tatusiu?
- Ależ oczywiście, że tak. Myślisz, że twój tatuś mógłby spotykać się z bestią?

Skręcili za róg, chwilę później za kolejny, który przypomniał Nathanielowi wąski przesmyk w pełnej zakrętów i zakamarków ścieżce, którą Ivory zbudowała w pokoju dziecięcym. Pokonując je, miało się wrażenie, jakby straciło się kontrolę nad własnym przeznaczeniem. Głupie uczucie i jakże nieprawdziwe, bo dokąd i po co zmierza Nathaniel, jeśli nie na spotkanie swego losu?

Po raz ostatni skręcili za rogiem i stanęli przed bramą do sekretnego ogrodu. Nathaniel zatrzymał się, przyklęknął i delikatnie ujął w dłonie kościste ramiona córeczki.

– Ivory – rzekł uroczyście – dziś przeprowadziłem cię przez labirynt.

- Tak, tatusiu.
- Ale pamiętaj, że nigdy więcej nie możesz tu wejść, zwłaszcza

sama. – Zacisnął usta. – I coś mi mówi, że najlepiej będzie, jeśli... jeśli ta nasza wycieczka...

– Nie martw się tatusiu, nie powiem mamusi.

Coś ścisnęło Nathaniela w dołku. Uczucie ulgi zmieszane z wyrzutami sumienia, że oto spiskuje ze swoim dzieckiem przeciwko żonie.

– Ani babci.

Pokiwał głową i uśmiechnął się blado.

– Tak będzie najlepiej.

– Tajemnica.

– Tak, tajemnica.

Pchnął furtkę i ruchem ręki zaprosił Ivory do sekretnego ogrodu. W głębi duszy oczekiwał, że Eliza – niczym Królowa Wrózek – będzie siedziała na kępcie trawy pod rozłożystą jabłonią. Ogród był jednak cichy i spokojny. Jediną żywą istotą był rudzik – czyżby ten sam? – który przekrzywił główkę i z uwagą obserwował, jak Nathaniel kieruje się w stronę chatki.

– Och, tatusiu – szepnęła Ivory. Dziewczynka rozglądała się jak urzeczona. Zadarła głowę i spojrzała na pnącza, które wdrapywały się na ściany domu. – To zaczarowany ogród.

Niesamowite, że tak właśnie go postrzega. Nathaniel zastanawiał się, co takiego jest w ogrodzie Elizy, że budzi w ludziach tak silne emocje. Czyżby zawarła z duchami tajemny pakt? I co musiała dać w zamian, by otrzymać takie bogactwo?

Poprowadził Ivory przez południową bramę i ścieżką, która tuliła się do ścian domku. Mimo wczesnych godzin popołudniowych powietrze w ogrodzie było chłodne i rześkie – wszystko dzięki wybudowanej przez Adeline kamiennej ścianie. Nathaniel położył dłoń między łopatkami Ivory, jej baśniowymi skrzydłami.

– Posłuchaj – zaczął – tatuś wejdzie do środka, ale ty musisz zaczekać tu, w ogrodzie.

– Tak, tatusiu.

Zawahał się.

– Nie oddalaj się za bardzo.

– Dobrze, tatusiu. – Powiedziała to tak niewinnie, jakby chodzenie samej po ogrodzie było ostatnią rzeczą, o jakiej mogłaby po-

myśleć.

Kiwając głową, Nathaniel podszedł do drzwi. Zapukał i skubiąc mankiet koszuli, czekał, aż Eliza otworzy.

Po chwili drzwi stanęły otworem. Była tam, taka sama, jakby widział ją nie dalej jak wczoraj. Jakby nigdy nie było tych czterech długich lat.



Nathaniel usiadł przy stole, podczas gdy Eliza stanęła po drugiej stronie, ściskając palcami oparcie krzesła. Patrzyła na niego w ten szczególny sposób, który jasno i otwarcie dawał do zrozumienia, że nie jest zachwycona jego wizytą. Czyżby był aż tak próżny, myśląc, że po tylu latach ucieszy się na jego widok? Panująca w chatce jasność sprawiała, że jej włosy zdawały się jeszcze bardziej ogniste, a tańczące w nich drobinki światła przywodziły na myśl okruchy baśniowego złota. Nathaniel zbeształ się w myślach – pozwolił bowiem, by znajomość jej opowieści wpłynęła na sposób, w jaki postrzega ich autorkę. Powinien być bardziej ostrożny.

Obcość między nimi była rzeczywista, niemal namacalna. Tak dużo chciał jej powiedzieć, jednak teraz nic nie przychodziło mu do głowy. Widział ją po raz pierwszy od chwili, gdy poczyniono przygotowania. Odchrząknął i wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej dłoni. Jakby nie mógł się powstrzymać. Ona tymczasem uniosła rękę i utkwiała wzrok w palenisku.

Nathaniel cofnął dłoń i opadł na krzesło. Zastanawiał się, jak zacząć, w jakie słowa ubrać to, co chciał jej powiedzieć.

– Wiesz, dlaczego przyszedłem? – rzekł w końcu.

– Oczywiście – odparła, nie odwracając wzroku.

Patrzył na jej długie smukłe palce, gdy stawiała na piecu czajnik.

– A zatem wiesz, co muszę ci powiedzieć.

– Tak.

Z zewnątrz, niesiony wiatrem, dobiegł głos. Najśłodszy głos.

– *Pomarańcze i cytryny, dzwonią dzwony w St Clement...*

Eliza zamarła i zeszytniała, tak że Nathaniel dostrzegł widoczne na szyi małe guzki. Jak kręgosłup dziecka, pomyślał. Odwróciła się gwałtownie.

– Dziewczynka tu jest?

Wyraz jej twarzy sprawił Nathanielowi wręcz perwersyjną przyjemność. Wyglądała jak przerażone zwierzę zagnane w ślepy zaułek. Pragnął uchwycić to na papierze; te pełne lęku oczy, pobladłe policzki, zaciśnięte usta. Wiedział, że zrobi to, gdy tylko wróci do pracowni.

– Przyprowadziłeś tu dziecko?

– Szła za mną. Zorientowałem się, gdy było już za późno.

Chorobliwy wyraz zniknął z twarzy Elizy zastąpiony bladym uśmiechem.

– Ma charakterek.

– Niektórzy powiedzieliby, że to skłonność do psot.

Eliza przycupnęła na krześle.

– Cieszę się, że lubi zabawy.

– Nie wiem, czy jej matka jest z tego powodu równie szczęśliwa.

Na twarzy Elizy pojawił się zagadkowy uśmiech.

– Wiem tylko, że nie podoba się to jej babce.

Uśmiech stał się jeszcze bardziej tajemniczy. Nathaniel zerknął na Elizę i niemal natychmiast odwrócił wzrok.

– Elizo – wyszeptał jej imię, kręcąc głową. – Kiedyś... – zaczął to, co i tak było nieuniknione.

– Ciesz mi się myśl, że dziewczynka ma się dobrze – dodała pośpiesznie, jakby chciała mu przerwać.

– Ależ oczywiście, że ma się dobrze. Niczego jej nie brakuje.

– To, co widzą inni, może być złudne i nie zawsze oznacza, że człowiek ma się dobrze. Zapytaj swoją żonę.

– Niepotrzebnie jesteś tak okrutna.

Gwałtownie pokiwała głową. A więc nie żałuje, zgadza się ze wszystkim, co mówi. Widząc to, pomyślał, że jest osobą pozbawioną zasad. Wiedział jednak, że nie ma prawa tak mówić.

– Przyszedłeś w sprawie mojego prezentu. – Wbiła w niego nieruchome spojrzenie.

– Nie powinnaś była go przynosić – odparł cicho. – Wiesz przecież, jak czuje się Rose.

– Wiem. Pomyślałam tylko, że taki prezent to nic złego.

– Wiem, że jako przyjaciółka Rose nie narażałabyś jej na takie

cierpienie. Jako moja przyjaciółka... – Nagle poczuł się głupio, spuścił wzrok, jakby szukał wsparcia w deskach podłogowych. – Muszę cię prosić, żebyś więcej nie przychodziła. Po twojej wizycie Rose straszliwie cierpiała. Nie chce, aby jej przypomniano.

– Pamięć to okrutna dama, z którą wszyscy musimy nauczyć się tańczyć.

Zanim Nathaniel zdobył się na odpowiedź, Eliza znów utkwiała wzrok w palenisku.

– Napijesz się herbaty?

– Nie – odparł. Czuł się pokonany, choć nie do końca wiedział dlaczego. – Muszę wracać.

– Rose nie wie, że tu jesteś.

– Muszę wracać. – Założył kapelusz i ruszył do drzwi.

– Widziałeś? Uważam, że wyszło całkiem nieźle.

Nathaniel przystanął, jednak się nie odwrócił.

– Do widzenia, Elizo. Nie zobaczymy się już więcej. – Wcisnął dłoń w kieszenie płaszcza i odepchnął od siebie natrętne, niewypowiedziane wątpliwości.

Był prawie przy drzwiach, gdy usłyszał jej głos.

– Zaczekaj. – Brzmiał inaczej, jakby traciła nad sobą panowanie. – Pozwól mi spojrzeć na dziewczynkę, na córkę Rose.

Nathaniel ujął chłodną żelazną gałkę u drzwi i zacisnąwszy zęby, rozważył jej prośbę.

– Po raz ostatni. – Jak mógłby jej odmówić? – Jedno spojrzenie. Później muszę odprowadzić dziewczynkę do domu.

Razem wyszli przez frontowe drzwi, wprost do ogrodu. Ivory siedziała na brzegu małej sadzawki, bosymi stopami muskając powierzchnię wody. Nuciała coś pod nosem i wrzucała do wody zasnęte liście.

Kiedy podniosła wzrok, Nathaniel położył dłoń na ramieniu Elizy i delikatnie pchnął ją do przodu.



Wiatr przybrał na sile i Linus wsparł się na lasce, by nie stracić równowagi. Zwykle łagodne morze było dziś tak wzburzone, że spienione białe grzywy z głośnym hukiem rozbijały się o brzeg.

Słońce kryło się za grubą kotarą chmur, a dzień w niczym nie przypominał szczęśliwych letnich chwil, które spędzał w zatoce wraz ze swoją *poupée*.

Maleńka drewniana łódka – prezent od ojca – należała wprawdzie do Georgiany, jednak dziewczyna chętnie dzieliła się nią z bratem. Tylko Georgiana nie przywiązywała wagi do jego ułomności i wbrew temu, co mówił ojciec, uważała go za prawdziwego mężczyznę. Popołudniami, kiedy powietrze było ciepłe i słodkie, płynęli na środek zatoki. Siedzieli zasłuchani w kojący szum fal, nie dbając o nic innego poza sobą. Tak przynajmniej wydawało się Linusowi.

Kiedy odeszła, zabrała ze sobą delikatne uczucie solidarności, które tak w sobie pielęgnował. Świadomość, że choć matka i ojciec uważali go za nic niewartego głupka, miał w sobie coś, czym mógł się podzielić z drugim człowiekiem. Bez Georgiany znów stał się beznadziejnym chromym dziwakiem. Dlatego właśnie musiała wrócić.

Linus wynajął Henry'ego Mansella, człowieka zagadkowego i mrocznego, którego imię powtarzano szeptem w kornwalijskich oberżach. Mężczyzna, który zdradził Linusowi jego imię – służący miejscowego hrabiego – twierdził, że Mansell wie, jak zadbać o pewne sprawy.

Linus opowiedział Mansellowi o Georgianie i bólu, jaki zadał mu mężczyzna, który mu ją ukradł. Zdradził też, że ów złoczyńca pracuje na statkach zawijających i wypływających z Londynu.

Następną rzeczą, o jakiej się dowiedział, był fakt, że żeglarz nie żyje.

– Wypadek – oznajmił beznamiętnie Mansell. – Nieszczęśliwy wypadek.

Tego dnia Linusa ogarnęło dziwne podniecenie. Zgodnie z jego życzeniem zginął człowiek. Był potężny, potrafił kierować ludzkim losem i ta świadomość sprawiała, że miał ochotę śpiewać.

Szczodrze wynagrodził Mansella, który niebawem wyruszył na poszukiwania Georgiany. Od tego czasu Linus żył nadzieją, świadomy, że nie ma rzeczy, których Mansell nie zrobi i do których się nie posunie. Niebawem jego *poupée* wróci do domu wdzięczna za ocalenie. Wszystko będzie tak jak kiedyś...

Tego dnia czarna skała wyglądała wyjątkowo złowrogo. Serce

Linusa ścisnęło się z żalu, gdy przypomniał sobie Georgianę, która siadywała na jej szczycie. Sięgnął do kieszeni, wyjął pomiętą fotografię i delikatnie musnął ją kciukiem.

– *Poupée* – na wpół pomyślał, na wpół wyszeptał. Niezależnie od tego, jak zjadle Mansell polował na Georgianę, nigdy jej nie odnalazł. Przeczesał całą Europę, badał tropy w Londynie. Wszystko na próżno. Linus nie miał żadnych wieści aż do roku 1900, kiedy to otrzymał wiadomość, że w Londynie odnaleziono dziecko, dziewczynkę z rudymi włosami i oczami swej matki.

Linus oderwał wzrok od morza i zerknął w bok, na wysoki klif, który wznosił się po lewej stronie zatoki, stanowiąc jej naturalną granicę. Z miejsca, w którym stał, zdołał zauważyć wyłącznie kawałek kamiennej ściany.

Ach, jakże uradował się na wieść o dziecku. Wprawdzie nie udało mu się odzyskać Georgiany, ale wiedział, że jej duch wróci do Blackhurst wraz z rudowłosą dziewczynką.

Sprawy nie potoczyły się jednak po jego myśli. Eliza sprzeciwiła się jego woli, nigdy nie zrozumiała, że posłał po nią i sprowadził ją tu po to tylko, by stała się jego własnością.

A teraz, kiedy odcięła się od świata i zamieszkała w tej przekłetej chacie, jej obecność stała się dla niego prawdziwą udręką. Jest tak blisko, a jednak... Cztery lata. Minęły cztery długie lata, odkąd postawiła stopę po tej stronie labiryntu. Dlaczego jest tak okrutna? Dlaczego wciąż mu odmawia?

Nagły podmuch wiatru o mało nie zerwał mu z głowy kapełusza, a wiedziona instynktem ręka sięgnęła do głowy, zwalniając uścisk na fotografii.

W ułamku sekundy bezradny jak dziecko Linus Mountrachet patrzył, jak jego ukochana *poupée* wzbija się w powietrze. Zdjęcie poderwało się do góry i opadło w dół, zatańczyło na wietrze i zaświeciło bielą na tle ciemnych skłębionych chmur, drażniąc się z nim, aż w końcu upomniały się o nie spienione wody oceanu.

Georgiana, jego laleczka, po raz kolejny wymknęła mu się z rąk.



Od ostatniej wizyty Eliza Rose żyła w ciągłym strachu. Zacho-

działa w głowę, szukając najlepszego wyjścia z sytuacji. Z chwilą, gdy Eliza pojawiła się w bramie labiryntu, Rose doznała osobliwego szoku, którego doświadczać ludzie w obliczu nagłego niebezpieczeństwa. Co gorsza, ludzie ci zwykle uświadamiają sobie, że coś zagraża ich życiu już od dłuższego czasu. Rose poczuła falę gwałtownych zawrotów głowy i obezwładniającą paniki. Ulgę, że do tej chwili nic się jeszcze nie wydarzyło i przerażającą pewność, że takie szczęście nie może trwać wiecznie. Rozważyła więc wszystkie możliwości i doszła do wniosku, że mama miała rację: muszą uwolnić się od Elizy.

Rose delikatnie przewlekła nitkę przez czubek igły i stwierdziła obojętnie:

– Znowu myślałam o wizycie Autorki.

Nathaniel oderwał wzrok od listu, który pisał, i spojrzał na żonę. Niepokój w jego oczach zatlił się i zgasł.

– Prosiłam cię, moja droga, żebyś już o tym nie myślała. To się więcej nie powtórzy.

– Nie możesz być tego pewien. W końcu nikt z nas nie przewidywał ostatniej wizyty.

– Ona już tu nie wróci – powtórzył bardziej stanowczo.

– Skąd wiesz?

Policzki Nathaniela oblały się rumieńcem, który, choć delikatny, nie uszedł uwagi Rose.

– Nate? O co chodzi?

– Rozmawiałem z nią.

Serce Rose biło jak oszalałe.

– Widziałeś się z nią?

– Musiałem. Dla ciebie, najdroższa. Byłaś tak zdenerwowana jej wizytą. Musiałem mieć pewność, że to się więcej nie powtórzy.

– Ale nie chciałam, żebyś się z nią spotykał. – To było gorsze, niż Rose mogła sobie wyobrazić. Poczuła rozlewającą się pod skórą falę gorąca i jeszcze większą pewność, że powinni wyjechać. Wszyscy. Ze raz na zawsze muszą wyrzucić Elizę ze swego życia. Odetchnęła powoli, a jej twarz zmieniła się w beznamietną maskę. Nie powinna pokazywać Nathanielowi, że nie czuje się najlepiej i podejmuje pochopne, nieprzemyślane decyzje. – Rozmowa z nią nie wystarczy, Nate. Już nie.

– Co jeszcze możemy zrobić? Chyba nie myślisz, że powinniśmy zamknąć ją w chatce? – Próbował ją rozśmieszyć, jednak kamienna twarz Rose nawet nie drgnęła.

– Myślałam o Nowym Jorku.

Nathaniel uniósł brwi.

– Już wcześniej rozmawialiśmy o podróży za Atlantyk. Myślę, że powinniśmy nieco przyspieszyć nasze plany.

– Wyjechać z Anglii?

Rose pokiwała głową, delikatnie, choć stanowczo.

– Ale ja mam zamówienia. Rozmawialiśmy o zatrudnieniu gubernantki dla Ivory.

– Tak, tak – odparła zniecierpliwiona Rose. – Ale tu nie jesteśmy już bezpieczni.

Nathaniel nie odpowiedział. Nie musiał, jego spojrzenie mówiło wszystko. Wbity w serce Rose maleńki odłamek lodu stęzał i stwardniał. Niebawem zrozumie jej tok myślenia, zawsze rozumiał. Zwłaszcza wtedy, gdy widział w jej oczach rozpacz i panikę. Szkoda, że musi wykorzystywać oddanie Nathaniela przeciwko niemu, jednak nie ma wyboru. Macierzyństwo i rodzina są wszystkim, o czym marzyła i nie zamierza ich stracić. Kiedy Ivory przyszła na świat i Rose po raz pierwszy wzięła ją w ramiona, poczuła, że dostali od losu szansę. Ona i Nathaniel znowu byli szczęśliwi i nigdy więcej nie rozmawiali o przeszłości. Przeszłość nie istniała. Przynajmniej dopóki Eliza trzymała się od ich z daleka.

– Dostałem zamówienie z Carlisle – zaczął Nathaniel. – Już je zacząłem. – W jego głosie Rose dostrzegła wyłom, maleńkie pęknięcie, od którego już wkrótce runie cały mur.

– To oczywiste, że musisz je dokończyć – odparła. – Dlatego przyspieszymy wyjazd do Carlisle i wypłyniemy do Nowego Jorku zaraz po powrocie. Już zarezerwowałam trzy bilety na „Carmanię”.

– Zrobiłaś rezerwację. – Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie.

Głos Rose był łagodny, niemal kojący.

– Tak będzie najlepiej, Nate. Musisz to zrozumieć. Tylko w ten sposób będziemy bezpieczni. Pomyśl tylko, jak taka podróż wpłynie na twoją karierę. Możliwe, że napiszą o tobie w „New York Time-

sie”. Triumfalny powrót jednego z najznakomitszych malarzy.



Skulona pod ulubionym fotelem babci Ivory wyszeptała dwa magiczne słowa: „Nowy Jork”. Ivory wie, gdzie jest Nowy Jork. Kiedyś, gdy podróżowali na północ Szkocji, ona, mama i tatuś, zatrzymali się w Yorku, w domu babcinej przyjaciółki, bardzo starej damy w okularach w drucianych oprawkach i wiecznie wilgotnymi oczami. Ale mama nie mówiła o Yorku, Ivory wyraźnie słyszała. Powiedziała „Nowy Jork”. To właśnie tam mają niebawem wyjechać. Ivory wie, gdzie leży Nowy Jork. Daleko za oceanem, w miejscu, gdzie urodził się tatuś, pełnym drapaczy chmur, muzyki i samochodów. Nowy Jork to miasto światła i przepychu.

Kosmyk psiej sierści połaskotał ją w nos, jednak Ivory opanowała kichnięcie. Był to jeden z jej licznych imponujących talentów. Potrafiła zapanować nad kichaniem, dzięki czemu mogła ukrywać się bez końca. A Ivory uwielbiała się kryć i czasami robiła to wyłącznie dla własnej przyjemności. Nawet gdy była zupełnie sama w pokoju, cieszyła ją myśl, że pokój zapominał o jej istnieniu.

Dziś jednak ukryła się celowo. Dziadek Linus był w wyjątkowo dziwnym nastroju. Zazwyczaj wystarczało mu własne towarzystwo, jednak od pewnego czasu pojawiał się tam, gdzie przebywała Ivory i mówił, że należy do niego. Nigdy nie rozstawał się z małym brązowym aparatem, wpychał jej do rąk zepsutą laleczkę i próbował robić zdjęcia. Ivory nie lubiła lalki i jej przerażających mrugających oczu i choć mama powtarzała, że powinna słuchać dziadka i z radością pozować do zdjęć, wołała się ukrywać.

Na samą myśl o lalce dostawała gęsiej skórki, więc starała się myśleć o innych rzeczach. O czymś, co sprawiało jej radość, jak choćby przygoda, którą przeżyła, idąc z tatą przez labirynt. Ivory bawiła się na dworze, gdy zobaczyła tatusia wychodzącego bocznymi drzwiami. Szedł szybko i z początku pomyślała, że spieszy się do powozu, którym pojedzie malować kolejny portret. Tyle że nie miał przy sobie żadnych farb ani pędzli, a jego ubranie z pewnością nie nadawało się na ważne spotkanie. Ivory patrzyła, jak w pośpiechu przecina trawnik i zbliża się do bramy labiryntu. Wiedziała już, co zamierzał.

Poza tym tata nigdy nie umiał udawać.

Nie zastanawiała się długo. Pognała za ojcem, przeszła przez żelazną bramę i weszła w ciemne wąskie tunele. Ivory wiedziała, że płomiennowłosa pani, która przyniosła dla niej paczkę, mieszka po drugiej stronie, na końcu labiryntu.

Teraz wiedziała również, kim ta kobieta jest. Jej imię brzmi „Autorka” i choć tatuś mówił, że jest człowiekiem, Ivory знаła prawdę. Domyśliła się jej już tamtego dnia, gdy Autorka przeszła przez labirynt. Jednak tam, w ogrodzie, gdy spojrzała jej prosto w oczy, była już pewna.

Autorka pochodziła ze świata magii. Była wiedźmą lub dobrym duszkiem. Z pewnością nie jest zwykłą osobą, jakie Ivory widywała na co dzień.

43

Chatka na klifie, 2005

Wiatr targał czubkami drzew, a zatokę wypełniał ciężki leniwy oddech oceanu. Księżyc zaglądał do okien, kładąc się na podłodze czterema srebrzystymi kwadratami, a powietrze, ściany, a nawet drewnianą podłogę wypełniał zapach zupy pomidorowej i chrupiących grzanek. Cassandra, Christian i Ruby siedzieli przy stole kuchennym, rozkoszując się ciepłem paleniska i stojącego pod ścianą piecyka naftowego. Na stole i w rozmaitych zakątkach kuchni płonęły świece, choć tu i ówdzie zdarzały się ciemne samotne kąty, do których nie docierał blask.

– Wciąż nie rozumiem – mówiła Ruby – skąd wiesz, że w magazynie napisano prawdę i Rose naprawdę była bezpłodna?

Christian włożył do ust łyżkę zupy.

– Ze zdjęć rentgenowskich. Jej komórki jajowe nie miały żadnych szans.

– Czy w takim razie nie powinna była o tym wiedzieć? Chodzi mi o to, że widziała przecież, że coś jest nie tak.

– Niby skąd?

– Na przykład, czy ona wciąż... no, wiesz... miesiączkowała?

Christian wzruszył ramionami.

– Myślę, że tak. Funkcje układu rozrodczego nie zostały zakłócone i jak każda kobieta co miesiąc produkowała jajeczko. Tyle że komórki jajowe Rose były uszkodzone.

– Tak bardzo, że nie mogła zająć w ciążę?

– Nawet gdyby zaszła w ciążę, płód byłby tak uszkodzony, że z

pewnością by poroniła. A gdyby urodziła dziecko, byłoby ono potwornie zdeformowane.

Cassandra odsunęła talerz z zupą.

– To straszne. Dlaczego to zrobił?

– Prawdopodobnie chciał być jednym z pierwszych lekarzy, którzy zrobili użytek z nowej technologii i publikowali na jej temat artykuły. Nie było powodu naświetlać biednej Rose, dziewczynka tylko połknęła naparstek.

– A kto z nas nie połknął czegoś w dzieciństwie? – parsknęła Ruby, do czysta wycierając kawałkiem chleba talerz.

– Ale dlaczego aż przez godzinę? To chyba nie było konieczne?

– Oczywiście, że nie – odparł Christian. – Ale wtedy nikt o tym nie wiedział, a godzinne naświetlanie było czymś normalnym.

– Pewnie myśleli, że zdjęcia uzyskane po godzinie będą znacznie lepsze od tych, które uzyskali w ciągu zaledwie piętnastu minut – odparła Ruby.

– Musimy pamiętać, że wtedy nie znano jeszcze zagrożeń. Promienie X odkryto w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku, tak więc doktor Matthews był tu prawdziwym pionierem. Na początku ludzie wierzyli, że naświetlanie im pomaga, że dzięki niemu można wyleczyć raka, zmiany skórne i inne przypadłości. To, że powodowało poparzenia, nie było żadną tajemnicą. Dopiero po latach odkryto, jak bardzo jest szkodliwe.

– Tym właśnie były znamiona Rose – wyjaśniła Cassandra. – Bliznami po poparzeniach.

Christian pokiwał głową.

– Prześwietlenie nie tylko usmażyło jej jajniki, ale poparzyło skórę.

Targane wiatrem gałęzie rysowały na szybach wzory. Podmuch zimnego powietrza zakręcił płomieniami świec i przez chwilę pozostawił je drżące. Ruby postawiła swój talerz na talerzu Cassandry i otarła usta chusteczką.

– Jeśli więc Rose była bezpłodna, kto był matką Nell?

– Chyba znam odpowiedź – odparła Cassandra.

– Naprawdę?

Skinęła głową.

– Wszystko jest w albumach. Myślę, że to właśnie chce mi powiedzieć Clara.

– Kim jest Clara? – chciał wiedzieć Christian.

Ruby wciągnęła do płuc haust powietrza.

– Myślisz, że Nell była dzieckiem Mary?

– Kim była Mary? – Christian spoglądał to na Cassandrę, to na Ruby.

– Przyjaciółką Elizy – odparła Cassandra. – Matką Clary. Służącą w Blackhurst, którą wyrzucono w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, gdy Rose odkryła, że dziewczyna jest w ciąży.

– Rose ją wyrzuciła?

Cassandra pokiwała głową.

– Jak przyznaje w dzienniku, nie mogła znieść myśli, iż ktoś taki jak Mary będzie miał dziecko, podczas gdy ona – która tak bardzo go pragnie – wciąż musi czekać.

Ruby napiła się wina.

– Ale dlaczego Mary miałyby oddać jej swoją córkę?

– Wątpię, aby tak po prostu ją oddała.

– Myślisz, że Rose kupiła dziecko?

– To możliwe, prawda? Ludzie robili gorsze rzeczy, by zabezpieczyć swoje dzieci.

– Myślisz, że Eliza o tym wiedziała?

– Nie tylko wiedziała – odparła Cassandra. – Przypuszczam, że jej pomogła. Dlatego właśnie wyjechała.

– Wyrzuty sumienia?

– Dokładnie. Pomogła Rose wytargować dziecko od kogoś, kto potrzebował pieniędzy, ale poczucie winy okazało się zbyt duże. Rose pisze, że Eliza i Mary były sobie bliskie.

– Chcesz powiedzieć, że Mary chciała zatrzymać dziecko? – spytała Ruby. – Nie chciała go oddać?

– Myślę, że decyzja o oddaniu dziecka nigdy nie jest prosta. Mary pewnie potrzebowała pieniędzy, dziecko mogło stanowić problem, mogła nawet myśleć, że oddaje dziewczynkę w lepsze ręce, ale myśl o tym z pewnością była straszna.

Ruby uniosła brwi.

– I Eliza jej pomogła?

– Później wyjechała. Dlatego przypuszczam, że dziecko nie zostało oddane dobrowolnie. Moim zdaniem Eliza wyjechała, ponieważ nie mogła znieść widoku Rose wychowującej dziecko Mary. Chwila, w której odbierano matce dziecko, musiała być tak traumatyczna, że do końca życia ciążyła na sumieniu Elizy.

Ruby powoli pokiwała głową.

– To by tłumaczyło, dlaczego po narodzinach Ivory Rose unikała Elizy jak ognia i dlaczego tak bardzo się od siebie oddaliły. Rose musiała wiedzieć, co czuje Eliza, i obawiała się, że kuzynka zniszczy jej szczęście.

– Na przykład odbierze jej Ivory – podsunął Christian.

– Co i tak w końcu zrobiła.

– Tak – przyznała Ruby. – W końcu to zrobiła. – Spojrzała pytająco na Cassandrę. – A więc kiedy spotykasz się z Clarą?

– Zaprosiła mnie na jutro, na jedenastą.

– Cholera. Muszę wyjechać około dziewiątej. Przekłęta robota. Chętnie pojechałabym z tobą, podwiozłabym cię.

– Ja cię zawiozę – zaproponował Christian. Bawił się pokrętlami piecyka. Za każdym razem, gdy podkręcał płomień, zapach nafty przybierał na sile.

Cassandra udała, że nie widzi uśmiechu Ruby.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

Uśmiechnął się i spojrzał na nią, by po chwili odwrócić wzrok.

– Znasz mnie: zawsze chętny do pomocy.

Odpowiedziała uśmiechem i – czując, że się czerwieni – zerknęła na stół. Coś w Christianie sprawiało, że czuła się jak trzynastolatka. Uczucie to było tak młodzieńcze i nostalgiczne jak powrót do czasu, gdy całe życie stało przed nią otworem, i pragnęła zachować je na zawsze. Zapomnieć o poczuciu winy i przekonaniu, że będąc szczęśliwą w towarzystwie Christiana, zdradza Nicka i Lea.

– Jak myślicie, dlaczego Eliza czekała aż do roku tysiąc dziewięćset trzynastego? – Mówiąc to, Christian spoglądał to na Ruby, to na Cassandrę. – To znaczy, dlaczego zwlekała z uprowadzeniem Nell? Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej?

Cassandra musnęła ręką blat stołu. Blask świec kładł się na jej dłoni drżącymi plamami.

– Myślę, że zrobiła to, ponieważ Rose i Nathaniel zginęli w katastrofie kolejowej. Wydaje mi się, że Eliza potrafiła zapanować nad swymi uczuciami tak długo, jak długo Rose była szczęśliwa.

– Ale gdy zginęła...

– Właśnie. – Ich oczy się spotkały. Powaga malująca się na twarzy Christiana sprawiła, że Cassandra zadrżała. – Kiedy Rose zginęła, Eliza nie mogła pozwolić, by Ivory pozostała w Blackhurst. Myślę, że zabrała dziewczynkę i zamierzała oddać ją matce.

– Więc dlaczego tego nie zrobiła? Dlaczego wysłała ją statkiem do Australii?

Cassandra odetchnęła, prawie zdmuchując płomień najbliższej świecy.

– Tego jeszcze nie rozgryzłam.

Podobnie jak nie rozgryzła tego, jak dużo wiedział William Martin, gdy w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym spotkał się z Nell. Mary była jego siostrą, jak zatem mógł nie wiedzieć, że jest w ciąży? Jak mógł nie wiedzieć o dziecku, które przyszło na świat i które odebrano matce? A jeśli wiedział, że Mary spodziewa się dziecka, musiał też wiedzieć o roli, jaką Eliza odegrała w nielegalnej adopcji. Czy jednak powiedziałby o tym Nell? W końcu, jeśli Mary jest matką Nell, William jest wujem. Cassandra nie wierzyła, że starszek potrafiłby zachować zimną krew, widząc na progu swego domu zaginioną siostrzenicę.

Nell w każdym razie nie wspominała o tym w swoim dzienniku. Cassandra studiowała zapiski, szukając szczegółów, które mogły ujść jej uwagi. William nie powiedział ani nie zrobił niczego, co mogłoby sugerować, iż jest spokrewniony z Nell.

Możliwe, że nie miał pojęcia o ciąży Mary. Cassandra słyszała o takich przypadkach, czytała o nich w magazynach i widziała w amerykańskich talk-show. Dziewczyny, które przez całe dziewięć miesięcy ukrywały przed bliskimi swój odmienny stan. W przypadku Mary miałoby to sens. Jeśli Rose pozwoliła dziewczynie wrócić do pracy, z pewnością żądała dyskrecji. Nie mogła dopuścić do tego, by cała wioska wiedziała, że dziecko nie jest jej.

Ale czy to możliwe, by dziewczyna zaszła w ciążę, zaręczyła się z chłopakiem, straciła pracę, oddała dziecko i rozpoczęła nowe życie,

nie wzbudzając niczych podejrzeń? Czegoś tu brakuje. Cassandra była tego pewna.

– To trochę jak w bajce Elizy, prawda?

Cassandra podniosła wzrok i spojrzała na Christiana.

– Ale co?

– No, cała ta historia: Rose, Eliza, Mary i dziecko. Nie przypomina wam *Złotego jaja*?

Cassandra pokręciła głową. Nie знаła tego tytułu.

– To jedna z baśni w *Magicznych opowieściach dla chłopców i dziewcząt*.

– W mojej książce nie ma takiej baśni. Pewnie mamy inne wydania.

– Było tylko jedno wydanie.

Cassandra wzruszyła ramionami.

– Nie znam tej opowieści.

Ruby machnęła ręką.

– Dość tego, kogo obchodzi, ile było wydań książki. Opowiedz nam tę historię, Christianie. Dlaczego myślisz, że powstała z myślą o Mary i jej dziecku?

– Zawsze miałem wrażenie, że *Złote jajo* jest dość dziwną opowieścią. Różniła się od pozostałych baśni, a jej morał znacznie smutniejszy i niejasny. To baśń o nikczemnej królowej, która zmusza młodą dziewczynę, by oddała magiczne złote jajo, którym można uleczyć chorą księżniczkę. Z początku dziewczyna nie zgadza się, ponieważ jej zadaniem jest strzec jaja. Wtedy królowa ucieka się do podstępów i przekonuje ją, że jeśli nie odda jaja, księżniczka nigdy nie zazna szczęścia, a w królestwie zapanuje wieczna zima. W baśni pojawia się postać służącej, która pośredniczy w transakcji. Pracuje ona dla królowej i księżniczki, jednak ostatecznie stara się przekonać dziewczynę, by nie oddawała złotego jaja. Zupełnie, jakby nagle zrozumiała, że jest ono częścią dziewczyny i bez niego jej życie straci sens. Tak właśnie się dzieje: dziewczyna oddaje jajo złej królowej, a jej życie traci sens.

– Myślisz, że to Eliza była służącą? – spytała Cassandra.

– Pasuje, prawda?

Ruby podparła pięścią brodę.

– Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że jajo to dziecko? Nell?

– Tak.

– A Eliza napisała tę baśń, aby złagodzić poczucie winy?

Christian pokręcił głową.

– Nie poczucie winy. W opowieści nie czuje się wyrzutów sumienia. Raczej smutek. Zupełnie jakby Eliza współczuła sobie i Mary. A w pewien sposób także i Rose. Bohaterki są przekonane, że to, co robią, jest dobre, tyle tylko, że nie każda z nich doczeka szczęśliwego zakończenia.

Cassandra w zamyśleniu zagryzła wargi.

– Naprawdę myślisz, że bajka dla dzieci może mieć podłoże autobiograficzne?

– Nie do końca autobiograficzne. To znaczy niezupełnie, choć Eliza dużo w życiu przeszła. – Mówiąc to, delikatnie uniósł brwi. – Właśnie przyszło mi do głowy, że pisała niektóre ze swoich opowieści w oparciu o własne doświadczenia. Czy nie tak właśnie postępują pisarze?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

– Jutro przyniosę *Złote jajo* – powiedział Christian. – Same ocenicie. – Ciepłe żółtobrunatne światło podkreśliło jego kości policzkowe i nadało blasku jego skórze. Uśmiechnął się. – Mam wrażenie, że Eliza przemawia do nas przez swoje baśnie. Ciekawe tylko, co ma nam do powiedzenia.



Po wyjściu Christiana Ruby i Cassandra rozłożyły śpiwory na piankowym materacu. Postanowiły, że będą spały w kuchni, wciąż jeszcze nagrzanej od pieca, i przesunęły stół, by zrobić wystarczająco dużo miejsca. Wiejący od strony oceanu lekki wiatr przeciskał się przez szpary w drzwiach i podłodze. Zapach wilgotnej ziemi, wyczuwalny za dnia, nocą przybrał na sile i wypełnił cały dom.

– W takich chwilach opowiadamy sobie historie o duchach – szepnęła Ruby, odwracając się twarzą do Cassandry. – To dopiero jest ubaw. Mówiłam ci już, jak cholerne masz szczęście, że odziedziczyłaś nawiedzony dom na szczycie klifu?

– Raz czy dwa...

Ruby uśmiechnęła się szelmowsko.

– A o tym, że trafił ci się taki „przyjaciel” jak Christian? Przy stojny, bystry i miły?

Cassandra skupiła się na suwaku spiwora, jakby zasunięcie go wymagało niebywałej koncentracji i precyzji.

– Przyjaciel, który uważa cię za ósmy cud świata.

– Daj spokój, Ruby. – Cassandra pokręciła głową. – Wcale tak nie jest. On po prostu lubi pracę w ogrodzie.

To najwyraźniej rozbawiło Ruby.

– Oczywiście, że lubi pracę w ogrodzie. Dlatego właśnie od dwóch tygodni pracuje za darmo.

– To prawda!

– Pewnie, że tak.

Cassandra ukryła nieśmiały uśmiech i udawała oburzoną.

– Wierz lub nie, ale ten ogród jest dla niego naprawdę ważny. Już jako dziecko lubił się w nim bawić.

– I ta niebywała fascynacja ogrodem tłumaczy, dlaczego jutro jedziesz z nim do Polperro.

– Po prostu jest miły, ot co. To nie ma nic wspólnego ze mną czy z tym, co do mnie czuje. Z całą pewnością mnie nie „lubi”.

Ruby, niczym mędrzec, pokiwała głową.

– Oczywiście, masz rację. Co tu jest do lubienia?

Cassandra spojrzała na nią z ukosa i uśmiechnęła się mimowolnie.

– A więc – zaczęła, zagryzając wargi – uważasz, że jest przystojny?

Ruby odpowiedziała szerokim uśmiechem.

– Słodkich snów, Cassandro.

– Dobranoc, Ruby.

Cassandra zdmuchnęła świecę, jednak księżyc w pełni zalał kuchnię bladym, srebrzystym światłem, które spływało po ścianach jak zastygły wosk. Leżąc w półmroku, układała w głowie kolejne fragmenty łamigłówki: Eliza, Mary, Rose, od czasu do czasu Christian i jego przelotne spojrzenia.

Kilka minut później usłyszała delikatne pochrapywanie Ruby. Uśmiechnęła się do siebie. Mogła przypuszczać, że Ruby nie należy

do osób, które mają problemy z zasypianiem. Zamknęła oczy, czekając, aż powieki zrobią się ciężkie.

Gdy wody oceanu kotłowały się u podnóża klifu, a zmarznięte drzewa szeptały na wietrze, Cassandra zapadła w sen...

...Była w ogrodzie, w sekretnym ogrodzie. Siedziała na trawie pod rozłożystą jabłonią. Dzień był ciepły, a obsypana kwieciami jabłoni wabiła pszczoły, które wypełniały powietrze upartym brzęczeniem.

Była spragniona, pragnęła napić się wody, jednak w pobliżu nie było żadnego źródła. Wyciągnęła rękę i spróbowała wstać. Bez powodzenia. Brzuch miała wielki i nabrzmiąły, a skórę napiętą i swędzącą.

Była w ciąży.

Gdy to zrozumiała, to uczucie przestało być obce. Poczula ciężkie uderzenia serca, ciepło skóry i kopnięcie dziecka...

– Cass.

...kopnięcie tak mocne, że brzuch zafalował, a ona przyłożyła do niego dłoń, jakby chciała pochwycić małą nóżkę...

– Cass.

Otworzyła oczy. Światło księżyca na ścianach. Od czasu do czasu trzask w piecu. Wsparta na ramieniu Ruby, która delikatnie trzymała jej dłoń.

– Wszystko w porządku? Jęczałaś przez sen.

– Nic mi nie jest. – Cassandra usiadła i dotknęła brzucha. – O Boże. Miałam przedziwny sen. Byłam w ciąży, bardzo zaawansowanej ciąży. Mój brzuch był ogromny i napięty jak balon. Wszystko było takie realne.

– To przez rozmowy o Mary, jej dziecku, Rose i złotych jajach. Wszystko ci się pomieszało.

– Nie mówiąc o tym, ile wypiliśmy. – Cassandra ziewnęła. – Ale wszystko było takie rzeczywiste, jakby działa się naprawdę. Było mi niewygodnie i gorąco, a kiedy dziecko zaczęło kopać, czułam prawdziwy ból.

– Cudowny obraz ciężarnej matki – rzuciła Ruby. – Aż mi lepiej, że nigdy się nie skusiłam.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Ostatnie miesiące rzeczywiście nie należą do najprzyjemniejszych, ale warto trochę pocierpieć. Choćby dla momentu, gdy człowiek po raz pierwszy bierze w ramiona maleńkie, nowe życie.

Nick płakał na sali porodowej, Cassandra nie. Była zbyt zaabsorbowana tą przejmującą chwilą, by reagować w taki sposób. Aby zapłakać, musiała osiągnąć pewien poziom, posiadać umiejętność oderwania się od bieżących wydarzeń i spojrzenia na nie w szerszym kontekście. To, co przeżywała Cassandra, było zbyt bezpośrednie. Czuła rozdzierającą ją od środka, oszałamiającą radość. Zupełnie, jakby widziała i słyszała rzeczy, których wcześniej nie mogła zauważyć. Czuła oszalałe bicie własnego serca, światła brzęczące nad głową, szybki oddech nowo narodzonego dziecka.

– Właściwie byłam raz w ciąży – przyznała Ruby. – Przez mnie więcej pięć minut.

– Och, Ruby. – Jęknęła ze współczuciem Cassandra. – Straciłaś dziecko?

– W pewnym sensie. Byłam młoda, popełniliśmy błąd i oboje uznaliśmy, że nie ma sensu przez to przechodzić. Myślałam, że będę miała na to jeszcze mnóstwo czasu. – Poprawiła śpiwór. – Problem w tym, że kiedy byłam już gotowa, zabrakło odpowiednich składników.

Zaskoczona Cassandra przekrzywiła głowę.

– Plemników, moja droga. Nie wiem, czy do czterdziestki cierpiałam na napięcie przedmiesiączkowe, ale z jakiegoś powodu facetów w moim życiu było jak na lekarstwo. Zanim znalazłam gościa, z którym zdecydowałam się zamieszkać, bociany zdążyły już odlecieć. Przez jakiś czas nawet próbowaliśmy, ale... – wzruszyła ramionami – nikt nie pokonał matki natury.

– Przykro mi, Ruby.

– Niepotrzebnie. Dobrze mi tak. Mam pracę, którą kocham, przyjaciół. – Mrugnęła figlarnie. – Daj spokój, przecież widziałas moje mieszkanie. Nie jest złe. Nie mam miejsca na huśtawkę dla kota, ale też nie mam kota.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Trzeba żyć tym, co się ma, nie tym, co się straciło. – Przez chwilę wierciła się w śpiworze, aż w końcu podciągnęła go pod bro-

dę. – Słodkich snów.

Cassandra siedziała jeszcze przez chwilę, obserwując cienie tańczące na ścianach i myśląc o tym, co przed chwilą powiedziała Ruby. Na temat życia, które ona Cassandra zbudowała wokół utraconych rzeczy i ludzi. Czy to samo zrobiła Nell? Porzuciła życie i rodzinę, by skupić się na tym, co przed laty odebrał jej los? Cassandra położyła się i zamknęła oczy. Pozwoliła, by odgłosy nocy zagłuszyły niespokojne myśli. Oddech oceanu, fale rozbijające się o ogromną czarną skałę, drzewa szepczące na wietrze...

Nocą chatka stawiała się jeszcze bardziej odludna. Prowadząca na klif ścieżka tonęła w ciemnościach, wejście do sekretnego ogrodu zostało zamknięte, a tuż obok czai się zdradziecki labirynt. Z pewnością jest to jedno z tych miejsc, w których człowiek może nigdy nie spotkać innego człowieka.

Nagła myśl sprawiła, że Cassandra poderwała się z jękiem.

– Ruby – szepnęła. – Ruby – powtórzyła, tym razem odrobinę głośniej.

– Śpię – mruknęła Ruby.

– Ale to ważne.

– Wciąż śpię.

– Wiem, dlaczego zbudowali mur i dlaczego Eliza wyjechała. Dlatego miałam ten sen. Mój umysł próbował mi to powiedzieć.

Westchnienie. Ruby obróciła się na bok i oparła głowę na ugiętej ręce.

– Wygrałaś, nie śpię. To znaczy już nie śpię.

– To tu mieszkała Mary, gdy była w ciąży z Ivory... z Nell. Tu, w tej chatce. Dlatego William nie wiedział, że spodziewała się dziecka. – Cassandra nachyliła się w stronę Ruby. – Dlatego Eliza wyjechała, żeby Mary mogła tu zamieszkać. Ukrywali ją w chatce i zbudowali mur, żeby przypadkiem nikt jej nie zobaczył.

Ruby przetarła oczy i usiadła.

– Zmienili ten dom w klatkę do czasu, gdy dziecko przyszło na świat, a Rose została szczęśliwą matką.

44

Tregenna, 1975

Dzień przed wyjazdem z Tregenny Nell po raz ostatni odwiedziła chatkę. Wzięła ze sobą białą walizkę pełną dokumentów i informacji, które zgromadziła w czasie pobytu w Kornwalii. Zamierzała przejrzeć notatki, a domek wraz z panującą dookoła ciszą nadawał się do tego jak żadne inne miejsce. Tak przynajmniej myślała, idąc w górę krętą, stromą dróżką. I oczywiście się myliła. Powodem, dla którego wybrała chatkę, wcale nie były cisza i spokój – chociaż one również miały znaczenie. Nell najzwyczajniej w świecie nie potrafiła trzymać się od niej z daleka.

Przekręciła mosiężny klucz i pchnęła drzwi. Nadciągała zima i w domu panował przejmujący chłód. Zatęchłe powietrze wisiało w przedpokoju jak ciężka nieruchoma kotara. Nell zaniosiła walizkę na górę do sypialni. Lubiła spoglądać przez okno na srebrzyste morze, a znalezione podczas ostatniej wizyty eleganckie krzesło z giętego drewna doskonale odpowiadało jej potrzebom. Wyplatane z trzciny oparcie było wprawdzie trochę wystrzępione, jednak dla Nell nie stanowiło to problemu. Tego dnia postawiła krzesło przy oknie, usiadła i otworzyła białą walizkę.

Przez chwilę grzebała w papierach: zapiski Robyn dotyczące rodziny Mountrachetów, adres i telefon detektywa, którego wynajęła, by zbadał sprawę zniknięcia Elizy, związane z kupnem domu dokumenty i korespondencję od miejscowych notariuszy. Nell znalazła list opisujący granice posiadłości i odwróciła go, by zerknąć na mapę sporządzoną przez geodetę. Teraz wyraźnie widziała, że miejsce, o

którym opowiadał Christian, naprawdę jest ogrodem. Zastanawiała się tylko, kto i dlaczego zamurował wszystkie wejścia.

Chwila nieuwagi i dokument wyslizgnął się z jej ręki. Gdy pochyliła się, by go podnieść, coś przykuło jej uwagę. Wilgoć wypaczyła listwę przypodłogową i oderwała ją od ściany, odsłaniając zmięty kawałek papieru. Nell ostrożnie wyciągnęła go zza listwy.

Był to upstrzony drobnymi plamkami kawałek papieru, na którym narysowano kobiecą twarz, a wokół niej płataninę ciernistych gałęzi. Nell знаła ją z portretu, który widziała w galerii. Była to twarz Elizy Makepeace, jednak szkic, który trzymała w ręku, wydawał się nieco inny. W przeciwieństwie do portretu Nathaniela Walkera, który przedstawiał ją jako niedościgniony wzór cnót, piękna i czystości, tutaj twarz Elizy była bardziej ludzka i serdeczna. Coś w jej oczach mówiło Nell, że autor rysunku znał Elizę dużo lepiej niż Nathaniel Walker. Śmiałe linie, pewne siebie krzywe i to spojrzenie, przyciągające, a zarazem odpychające.

Nell wygładziła górny róg papieru. Pomyśleć tylko, że leżał w tym domu od tak dawna. Wyjęła z walizki zbiór baśni. Właściwie nie wiedziała, dlaczego wzięła go ze sobą. Może chciała, by historie i ich bohaterowie wrócili do domu, do miejsca, w którym powstały. Niewątpliwie było to głupie, zenująco sentymentalne zachowanie, ale stało się i już. Teraz dziękowała Bogu, że nie zrobiła inaczej. Otworzyła okładkę i wsunęła szkic do środka. Tam będzie bezpieczny.

Odchyliła się na krześle, dotknęła palcami gładkiej podniszczonej skóry i spojrzała na ilustrację przedstawiającą pannę i jelonka. Była to piękna książka, najpiękniejsza, jaką Nell znalazła w sklepiu. Hugh zadbał, aby wyglądała jak nowa.

Mimo iż przyszła tu, by zgłębić tajemnice odległej przeszłości, myślami wciąż wracała do Hugh. A szczególnie do wieczorów, gdy czytał jej bajki. Lil nie lubiła ich, bała się, że są zbyt okrutne i przerażające dla małej dziewczynki, jednak Hugh był innego zdania. Wieczorami, po kolacji, kiedy Lil zajęta była sprzątaniami, siadał w wiklinowym fotelu i brał Nell na kolana. Pamiętała przyjemny ciężar jego ramion, kiedy obejmował ją, by wziąć książkę, delikatną woń tytoniu na jego koszuli i szorstki zarost, który mierzwił jej włosy.

Westchnęła głęboko. Hugh i Lil byli dobrymi rodzicami. Tak

czy inaczej, postanowiła o nich nie myśleć i wróciła wspomnieniami do czasów, gdy nie było Hugh ani statku do Maryborough. Do Blackhurst, domku na klifie i Autorki.

Białe plecione krzesło, słońce, motyle... Nell zamknęła oczy i dała się porwać wspomnieniom, a jej myśli poszybowały ku ciepłemu letniemu porankowi w ogrodzie, gdzie chłodne cienie rozlewały się leniwie na trawnikach. Powietrze przesycił zapach spalonych słońcem kwiatów...

Mała dziewczynka udawała, że jest motylem. Jej głowę ozdabiał spleciony z kwiatów barwny wianek, podczas gdy ona sama rozłożyła ręce i machając nimi, biegła w kółko. Czuła się cudownie, kiedy promienie słońca zmieniały białą bawełnę jej sukienki w płynne srebro.

– Ivory.

Z początku dziewczynka nie usłyszała swego imienia, ponieważ motyle nie mówią językiem ludzi. Śpiewają za to, używając przy tym słów tak pięknych, że dorośli nie mogą ich usłyszeć. Tylko dzieci odpowiadają na ich wezwanie.

– Ivory, chodź tu szybko.

Głos mamy był trochę srogi, więc dziewczynka machnęła skrzydełkami i poszybowała w kierunku białego krzesła.

– Chodź, chodź – ponaglała mama, wyciągając ręce i przywołując ją bladymi koniuszkami palców.

Czując, jak szczęście i radość rozlewają się po jej ciele falą ciepła, dziewczynka wdrapała się na kolana mamy. Ta oplótła ramionami jej wąską talię, a chłodne usta złożyły pocałunek tuż nad uchem dziewczynki.

– Jestem motylem – wyznała Ivory – krzesło to mój kokon...

– Ćśś. Cichutko. – Mama wciąż tuliła twarz do jej głowy, jednak jej uwagę przyciągało coś za plecami dziewczynki. Ivory odwróciła się, by zobaczyć, co takiego dostrzegła mama.

W ich stronę szła kobieta. Dziewczynka zmrużyła oczy i wyteżyła wzrok. Kobieta nie była podobna do innych dam, które odwiedzały mamę i babcię, przychodząc na herbatę czy na partyjkę brydża. Wyglądała jak dziewczynka w ciele dorosłej osoby. Nosila sukienkę z białej bawełny, a upięte luźno rude włosy falowały się na wietrze.

Dziewczynka rozejrzała się, wypatrując powozu, którym przyjechała rudowłosa pani, jednak niczego nie dostrzegła. Zupełnie, jakby nagle zmaterializowała się przed ich domem, przybyła do ich świata jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Wtedy dziewczynka zrozumiała. Wstrzymała oddech i jak urzeczona wpatrywała się w kobietę. Było bowiem jasne, że nie przyszła od strony bramy, lecz jak zjawa wyłoniła się z labiryntu.

Dziewczynce nie wolno było wchodzić do labiryntu. Była to jedna z pierwszych i najsurowszych zasad. Mama i babcia zawsze przypominały jej, że droga przez labirynt jest mroczna i pełna rozmaitych niebezpieczeństw. Zakaz był tak surowy, że nawet tata, na którym zawsze mogła polegać, nie śmiał go złamać.

Kobieta zbliżała się do nich, na wpół idąc, na wpół podskakując. Ivory dostrzegła, że coś niesie ze sobą; wetknietą pod pachę, owiniętą w brązowy papier paczkę.

Ramiona mamy zacisnęły się wokół talii dziewczynki, tak że przyjemność, którą czuła przed chwilą, graniczyła teraz z bólem.

Kobieta zatrzymała się przed nimi.

– Witaj, Rose.

Dziewczynka wiedziała, że rudowłosa pani mówi do mamy, jednak ta odpowiedziała milczeniem.

– Wiem, że nie powinnam przychodzić. – Srebrzysty głos przywodził na myśl delikatną pajęczą sieć.

– Więc po co przyszłaś?

Kobieta wyciągnęła w jej stronę paczkę, jednak mama jej nie przyjęła. Szczupłe ramiona po raz kolejny zacisnęły się wokół Ivory.

– Niczego od ciebie nie chcę.

– To nie dla ciebie. – Pani położyła paczkę na ławce. – To dla twojej córeczki.



W paczce była książka, gruby zbiór baśni. Nell pamiętała to teraz wyraźnie. Później, gdy rudowłosa pani odeszła, mama i tata głośno rozmawiali: mama upierała się, że powinni pozbyć się książki, aż w końcu tata zgodził się ją zabrać. Tyle tylko, że nigdy jej nie wyrzucił. Schował ją w swojej pracowni, tuż obok zniszczonego egzem-

plarza *Moby Dick*a. Czytał ją Nell, gdy mama była chora i o niczym nie wiedziała.

Podeksytowana tym wspomnieniem po raz kolejny musnęła skórzaną oprawę. Książka była prezentem od Elizy. Ostrożnie przewracała kartki, zatrzymując się w miejscu, gdzie od sześćdziesięciu lat spoczywała zrobiona ze wstążki zakładka. Choć delikatnie wystrzępiona na końcach, wciąż miała głęboki śliwkowy kolor i zaznaczała początek baśni zatytułowanej *Oczy wiedźmy*. Nell zaczęła czytać historię o młodej dziewczynie, która nie wiedziała, że jest księżniczką i która podróżowała za morze do krainy zagubionych rzeczy, aby odnaleźć oczy wiedźmy i przywrócić jej wzrok. Opowieść zdawała się obca, a zarazem dziwnie znajoma, jak wspomnienie ulubionej bajki. Nell włożyła zakładkę między kartki, zamknęła książkę i odłożyła ją na parapet.

Po chwili ściągnęła brwi i pochyliła się do przodu. Miejsce, w którym znalazła śliwkową wstążkę, wciąż wyróżniało się pośród innych stron.

Jeszcze raz wzięła książkę, a gdy strony otworzyły się na *Oczach wiedźmy*, musnęła skórzany grzbiet...

W książce brakowało stron. Niewielu. Pięciu, najwyżej sześciu, ledwie zauważalne, ale jednak.

Usunęła je czyjaś wprawna ręka. Nell nie znalazła postrzępionych kartek ani wystających z oprawy podartych resztek. Możliwe, że wycięto je scyzorykiem.

Sprawdziła numery stron. Przeskakiwały z pięćdziesiątej piątej do sześćdziesiątej pierwszej.

Brakujące strony oddzielały dwie baśnie...

ZŁOTE JAJO

Eliza Makepeace

Dawno, dawno temu, w maleńkiej chatce na skraju wielkiego i bogatego królestwa, żyła sobie młoda dziewczyna. Jej chatka była ukryta w głębi ciemnego lasu, tak by uchronić ją przed ludzką ciekawością. Nieliczni, którzy wiedzieli o chatce i jej kamiennym kominku, odeszli już z tego świata, a czas spowił maleńki domek mgłą zapomnienia. Oprócz ptaków, które przylatywały, by zaśpiewać na parapecie, i leśnych zwierząt, przychodzących, by ogrzać się przy palenisku, dziewczyna była zupełnie sama. Nigdy jednak nie czuła się samotna, albowiem mnóstwo obowiązków sprawiało, że nie tęskniła za towarzystwem.

W głębi domku, w samym jego sercu, za sekretnymi drzwiami z lśniącym zamkiem, ukryto bowiem niezwykle cenny przedmiot. Złote jajo, którego blask był tak olśniewający, że ci, którzy na nie spojrzeli, natychmiast tracili wzrok. Złote jajo było tak stare, że nikt nie pamiętał, ile ma lat. Wiedziano jedynie, że rodzina dziewczęcia od pokoleń strzeże go jak oka w głowie.

Takie również było przeznaczenie dziewczyny: musiała chronić jajo i ukrywać je przed światem, a co najważniejsze, musiała utrzymywać jego istnienie w tajemnicy. Wiele lat temu wieść o złotym jaju doprowadziła do okrutnych wojen, albowiem legenda głosiła, że przedmiot ten posiada magiczną moc i spełnia życzenia swego właściciela.

Dlatego dziewczyna strzegła go jak oka w głowie. Za dnia siedziała przy oknie kuchennym, przędąc na ko-

łowrotku i wtórując ptakom, które śpiewem umilały jej pracę. Nocami zapraszała do domu swoich zwierzęcych przyjaciół i zasypiała w ciepłej izbie, ogrzanej blaskiem złotego jaja. Pamiętała bowiem, że najważniejszą rzeczą w jej życiu jest sprawowanie pieczy nad tym magicznym przedmiotem.

Tymczasem w dalekiej krainie, w pięknym zamku, mieszkała księżniczka, która choć dobra i piękna, była nieszczęśliwa. Księżniczka była wątłego zdrowia i choć jej matka, królowa, przeczesywała królestwo w poszukiwaniu cudownego zaklęcia czy lekarstwa, nic nie mogło uzdrowić księżniczki. Byli i tacy, którzy szeptali, że w dzieciństwie została przeklęta przez nikczemnego medyka, który skazał ją na wieczną chorobę i cierpienie. Nikt jednak nie śmiał mówić o tym głośno, ponieważ królowa była okrutną władczynią, a przed jej gniewem drżeli wszyscy poddani.

Księżniczka była oczkiem w głowie matki. Każdego ranka królowa siadała przy jej łóżu, jednak księżniczka wciąż czuła się źle: była blada, słaba i zmęczona.

– Jedyne, czego pragnę, matko – szeptala – to siła, bym mogła przechadzać się po zamkowych ogrodach, tańczyć na królewskich balach i pływać w królewskich stawach. Tylko tego pragnę: zdrowia.

Królowa miała magiczne lustro, w którym obserwowała bieżące wydarzenia i każdego dnia prosiła: „Lustreczko powiedz przecie, gdzie znajdę lekarza, który uzdrowi moje dziecko”.

Jednak lustro odpowiadało tylko: „Nie ma w królestwie nikogo takiego, kto by nieszczęście zdjął z dziecięcia twego”.

Pewnego dnia królowa była tak przygnębiona chorobą córki, iż zapomniała spytać lustra o poradę. Zamiast tego zaczęła łkać i powtarzać: „Lustreczko daj mi wejrzenie, jak spełnić dziecka mego pragnienie”.

Lustro milczało, jednak na jego gładkiej lśniącej tafli pojawił się obraz: maleńka chatka pośrodku ciemnego,

głębokiego lasu i unosząca się z komina wąska wstążka dymu. W chatce, przy oknie, siedziała młoda dziewczyna, przędąc na kołowrotku i śpiewając.

– Co takiego mi pokazujesz? – jęknęła królowa. – Czy ta młoda kobieta jest uzdrowicielką?

Głos, który wydobył się z wnętrza lustra, był niski i poważny:

– W ciemnym lesie, na skraju królestwa, stoi maleńka chatka. W niej znajdziesz złote jajo, które spełnia życzenia swego właściciela. Dziewczę, które widzisz, jest jego strażniczką.

– Jak mogę odebrać jej jajo? – spytała królowa.

– To, co robi, robi dla dobra królestwa – odparło lustro – i niełatwo będzie ją przekonać.

– Co zatem muszę zrobić?

Jednak lustro nie odpowiedziało, a obraz zniknął, pozostawiając gładką nieruchomą taflę. Królowa uniosła głowę i patrzyła na swoje odbicie tak długo, aż w końcu na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, królowa wezwwała do siebie zaufaną służącą księżniczki. Dziewczynę, która przez całe życie mieszkała w królestwie i, podobnie jak królowa, pragnęła wyłącznie szczęścia i zdrowia księżniczki. Królowa poleciła jej, by zdobyła złote jajo i przyniosła je do zamku.

Służąca przemierzała więc królestwo, kierując się w stronę mrocznego lasu. Przez trzy dni i trzy noce szła na wschód, a o zmierzchu czwartego dnia dotarła na skraj lasu. Przeszła przez połamane gałęzie i tak długo podążała zarośniętą ścieżką, aż dotarła do polany, na której stała maleńka chatka. Z komina ulatywał pachnący dym.

Służąca zapukała do drzwi i czekała. Po chwili w progu stanęła młoda dziewczyna, która choć zaskoczona widokiem gościa, powitała pokojówkę ciepłym uśmiechem. Natychmiast też odsunęła się i wpuściła dziewczynę do domu.

– Jesteś zmęczona – zwróciła się do służącej. – Przebyłaś długą drogę. Wejdz i ogrzej się przy palenisku.

Służąca przyjęła zaproszenie i usiadła na poduszce przed kominkiem. Tymczasem strażniczka ją poczęstowała gością miską ciepłej potrawy, a sama wróciła do przędzenia. Trzask ognia i panujące w chatce ciepło sprawiły, że służąca poczuła się senna. Była tak śpiąca, że gdyby nie słowa strażniczki, zapomniałaby o swym zadaniu.

– Miło mi cię gościć, nieznajoma, muszę jednak spytać o powód twojej wizyty.

– Przysłała mnie sama królowa – odparła służąca. – Ma bowiem nadzieję, że pomożesz uzdrowić jej córkę.

Zdarzało się tak, że ptaki śpiewały o wydarzeniach w królestwie, dlatego strażniczka słyszała o mieszkającej w zamku pięknej i dobrej księżniczce.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparła – choć nie wiem, dlaczego królowa posłała właśnie po mnie. Wszak nie znam się na uzdrawianiu.

– Królowa przysłała mnie, bym znalazła coś, czego strzeżesz – przyznała służąca. – Przedmiot o cudownej mocy, który spełnia wszystkie życzenia.

Wtedy dziewczyna zrozumiała, że chodzi o złote jajo i ze smutkiem pokiwała głową.

– Zrobię wszystko, by pomóc księżniczce, z wyjątkiem tego, o co mnie prosisz. Strzeżenie złotego jaja jest moim obowiązkiem i najważniejszą rzeczą w życiu. Możesz zostać tu na noc i schronić się przed zimnem, jednak jutro wrócisz do królestwa i powiesz królowej, że nie mogę oddać jej złotego jaja.

Następnego dnia służąca wyruszyła w drogę powrotną do zamku. Szła trzy dni i trzy noce, aż w końcu dotarła do królestwa, gdzie czekała na nią królowa.

– Gdzie jest złote jajo? – spytała, widząc, że służąca wróciła z pustymi rękami.

– Nie wypełniłam swego zadania, pani – odparła pokojówka – albowiem strażniczka jajka nie chciała oddać

swego skarbu.

Słyszając to, królowa wyprostowała się, a jej twarz nabiegła krwią.

– Musisz więc wrócić – rzekła, mierząc w służącą długim szponiastym palcem – i powiedzieć strażniczce, że jej obowiązkiem jest służyć królestwu. Jeśli odmówi, każę zmienić ją w kamień i postawić na zamkowym dziedzińcu.

I tak oto pokojówka po raz kolejny wyruszyła na wschód. Wędrowała trzy dni i trzy noce, aż wreszcie dotarła do leśnej chatki. Zapukała do drzwi, a strażniczka jaja zaprosiła ją do domu i ugościła ciepłą potrawką. Kiedy służąca jadła kolację, dziewczyna usiadła przy kołowrotku i zaczęła prząść. Niebawem przerwała jednak milczenie:

– Miło mi cię gościć, nieznajoma, muszę jednak spytać o powód twojej wizyty.

– Przysłała mnie sama królowa – odparła służąca – ma bowiem nadzieję, że pomożesz uzdrowić jej córkę. Twoim obowiązkiem jest służyć królestwu. Jeśli odmówisz, królowa każę zmienić cię w kamień i postawić na zamkowym dziedzińcu.

Słyszając to, dziewczyna uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Strzeżenie złotego jaja jest moim obowiązkiem – odparła. – Nie mogę ci go oddać.

– Chcesz zatem, aby zmieniono cię w kamień?

– Nie – odparła strażniczka – i nie zostanę zmieniona, ponieważ służyć królestwu, strzegąc złotego jaja.

Służąca nie odpowiedziała, ponieważ wiedziała, że to, co mówi dziewczyna, jest prawdą. Następnego dnia pokojówka wyruszyła z powrotem do zamku, gdzie czekała na nią królowa.

– Gdzie jest złote jajo? – spytała, widząc, że służąca wróciła z pustymi rękami.

– I tym razem nie wypełniłam swego zadania, pani – odparła dziewczyna – albowiem strażniczka jajka nie chciała rzec się swego skarbu.

– Czy powiedziałas jej, że jej obowiązkiem jest służyć

królestwu?

– Tak, Wasza Wysokość. Jednak strażniczka odparła, że służy królestwu, strzegąc złotego jaja.

Królowa spojrzała na dziewczynę gniewnie, a jej twarz posiniała z wściekłości. Niebo zaciągnęło się chmurami, a gromady czarnych kruków rozpięchły się w poszukiwaniu schronienia.

Królowa pamiętała słowa lustra: „To, co robi, robi dla dobra królestwa”, a jej usta rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu.

– Jeszcze raz musisz wrócić do chatki – zwróciła się do służącej. – I tym razem powiesz strażnicze, że jeśli nie odda złotego jaja, będzie odpowiedzialna za smutek księżniczki, który pograży królestwo w wiecznej zimie.

I tak oto służąca po raz trzeci wyruszyła na wschód. Wędrowała przez trzy dni i trzy noce, zanim dotarła do drzwi leśnej chatki. Kiedy zapukała, w progu pojawiła się strażniczka jaja, która powitała ją radośnie i ugościła miską potrawy. Gdy służąca jadła kolację, dziewczyna usiadła przy oknie i zaczęła prząść. Niebawem jednak prze-rwała milczenie.

– Miło mi cię gościć, nieznajoma, muszę jednak spytać o powód twojej wizyty.

– Przysłała mnie sama królowa – odparła służąca – ma bowiem nadzieję, że pomożesz uzdrowić jej córkę. Twoim obowiązkiem jest służyć królestwu. Jeśli odmówisz, królowa obwini cię o smutek księżniczki, który pograży królestwo w wiecznej zimie.

Słyszac to, strażniczka posmutniała i przez długi czas siedziała w milczeniu. W końcu podniosła wzrok i oznajmiła:

– Aby uratować księżniczkę i królestwo, wyrzeknę się złotego jaja.

Słyszac to, pokojówka zadrzała, mroczny las pograżył się w upiornej ciszy, a gwałtowny wiatr szarpnął płomieniami. – Ale przecież nie ma w życiu niczego ważniejszego

niż sprawowanie pieczy nad magicznym przedmiotem – stwierdziła służąca. – To twój obowiązek wobec królestwa.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Co z tego, jeśli moje czyny pogrąży królestwo w wiecznej zimie? Wieczna zima skuje lodem ziemię. Nie będzie ptaków, zwierząt ani plonów. Obowiązek nakazuje mi wyrzec się złotego jaja.

Służąca spojrzała na nią ze smutkiem.

– Ale przecież nie ma w życiu niczego ważniejszego niż sprawowanie pieczy nad magicznym przedmiotem. Jajo jest częścią ciebie, masz je chronić.

Jednak strażniczka zdjęła z szyi duży złoty klucz i włożyła go do zamka w sekretnych drzwiach. Kiedy go przekręciła, podłoga jęknęła, kamienie w palenisku zgrzytnęły, a krokwie westchnęły. Światło przygasło, a chatka wypełniła się dziwnym złotym blaskiem. Strażniczka zniknęła, a kiedy znowu się pojawiła, trzymała okryty tkaniną przedmiot o tak potężnej mocy, że powietrze wokół niego zdawało się drżeć i wibrować.

Dziewczyna wyprowadziła służącą z domku, a kiedy dotarły na skraj polany, przekazała jej swe dziedzictwo. Kiedy odwróciła się w stronę chatki, zauważyła, że ciemność wokół niej zgęstniała. Światło zniknęło, jakby nie potrafiło przedrzeć się przez gęstwinę drzew. Chatka, którą jaszczke przed chwilą ogrzewał blask złotego jaja, stała się zimna i ponura. Z upływem czasu zwierzęta przestały przychodzić, ptaki odleciały, a strażniczka odkryła, że jej życie straciło sens. Zapomniała, jak się przedzie, jej głos zmienił się w szept, a ręce i nogi zeszywniały i stały się ciężkie. Pewnego dnia dotarło do niej, że wszystko w chatce pokrywa gruba warstwa kurzu. Strażniczka zamknęła jednak oczy i pogrążyła się w chłodzie, ciszy i mroku.

Jakiś czas później księżniczka i jej służąca dotarły na skraj ciemnego lasu. Księżniczka, niegdyś chora i słaba, wróciła do zdrowia i wyszła za mąż za przystojnego księcia. Wiodła teraz radosne i szczęśliwe życie: spacerowała, tań-

czyła i śpiewała. Miała też ukochaną córeczkę, która jadła najprzedszy miód, spijała rosę z płatków róż i bawiła się barwnymi motylami.

Gdy księżniczka i jej służąca dotarły na skraj lasu, księżniczka zapagnęła wjechać między drzewa. Zignorowała ostrzeżenia pokojówki i poprowadziła konia prosto w mrok i chłód. Nic nie mąciło panującej w lesie ciszy. Ani ptak, ani zwierzę, ani nawet wiatr nie był w stanie porużyć nieruchomego powietrza. Jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w martwej ciszy, był tętent końskich kopyt.

Księżniczka i służąca dotarły na skraj polany, gdzie ich oczom ukazał się ukryty pośród listowia maleńki domek.

– Jaka piękna mała chatka! – wykrzyknęła zachwycona księżniczka. – Ciekawe, kto w niej mieszka.

Słyszcząc to, służąca odwróciła twarz i zadrżała z zimna.

– Nikt, moja pani. Już nikt. Królestwo kwitnie, ale w ciemnych lasach nie ma już życia.

45

Chatka na klifie, 1913

Eliza wiedziała, że gdy wyjedzie, będzie tęskniła za wybrzeżem i morzem. I choć pozna nowe urocze miejsca, nic już nie będzie takie samo. Inne będą ptaki i rośliny. Nawet fale będą szeptały swe opowieści w nowych obcych językach.

A jednak nadszedł już czas. Czekala wystarczająco długo. Co się stało, to się nie odstanie. Niezależnie od tego, co teraz czuje, wyrzuty sumienia wracały wraz z zapadającym zmrokiem, nie pozwalały spać, sprawiały, że wiła się na łóżku, przeklinając swój udział w oszustwie. Musi zatem wyjechać, zniknąć.

Eliza zeszła wąskimi kamiennymi schodami do przystani, gdzie jeden z rybaków przygotowywał się do pracy, układając na pokładzie kosze i ciężkie zwoje liny. Gdy podeszła bliżej, jej oczom ukazały się szczupłe umięśnione ramiona i ogorzała od słońca twarz Williama, brata Mary. Najmłodszy z długiego rodu kornwalijskich rybaków William zasłynął niebywałą odwagą i brawurą, tak więc opowieści o jego wyczynach pleniły się jak trawa na wybrzeżu.

Swojego czasu tych dwoje przyjaźniło się, a William zniewalał Elizę opowieściami o życiu na morzu. Ich stosunki ochłodziły się kilka lat temu, gdy młodzieniec zobaczył coś, czego nie powinien widzieć i zażądał od Elizy wyjaśnień. Świadomość, że już niebawem wyjedzie z Tregenny sprawiała, że Eliza postanowiła zapomnieć o przeszłości i odetchnąwszy, podeszła do mężczyzny.

– Późno dziś wypływasz, Will.

Podniósł wzrok i poprawił czapkę. Na jego ogorzałych policzkach pojawił się rumieniec.

– Za to ty wcześniej wstałaś – odparł sztywno.
– Korzystam z uroków dnia. – Mówiąc to, stanęła przy łodzi. Woda z pluskiem rozbijała się o burtę, a w powietrzu unosił się zapach słonej wody. – Masz jakieś wieści od Mary?

– Od zeszłego tygodnia ani słowa. Dobrze jej tam w Polperro. Jest w końcu żoną rzeźnika.

Eliza się uśmiechnęła. Myśl o tym, że Mary jest szczęśliwa, sprawiła jej nieopisaną radość. Po tym wszystkim, co przeszła, zasługiwała na wszystko, co najlepsze.

– To dobrze. Dziś po południu muszę napisać do niej list.

Słyszając to, William się nachmurzył. Wbił wzrok w ziemię i kopnął kamienną ścianę przystani.

– Co się stało? – spytała Eliza. – Powiedziałam coś niewłaściwego?

William tupnął na parę beczelnych mew, które podkradały się do kosza z przynętą.

– Will?

Spojrzał na nią z ukosa.

– Ależ nie, panienko Elizo, tylko... muszę przyznać, że zaskoczyła mnie obecność panienki.

– Dlaczego?

– Wszystkich nas zmartwiła wiadomość. – Uniósł głowę i pochrupiał krótki szczeciniasty zarost. – O panu i pani Walker i o tym, co się stało.

– Tak, wiem, w przyszłym miesiącu wyjeżdżają do Nowego Jorku. – Nathaniel osobiście ją o tym poinformował. Znowu przyszedł do chatki, w towarzystwie Ivory, jednak tym razem dziewczynka weszła do domu i czekała na ojca w pokoju Elizy. Kiedy Nathaniel powiedział Elizie o ich planach, o tym, że on i Rose chcą zacząć wszystko od nowa po drugiej stronie Atlantyku, Eliza się zdenerwowała. Poczuli się porzucona, wykorzystana i upokorzona. Myśl, że Rose i Nathaniel będą tak daleko, sprawiła, że domek na klifie stał się najbardziej opuszczonym miejscem na ziemi, a ona najbardziej samotną osobą na świecie.

Niedługo po tym, jak Nathaniel wyszedł, Eliza przypomniała sobie słowa matki i nie czekając na księcia z bajki, zdecydowała, że

nadszedł czas, by wziąć sprawy w swoje ręce. Zarezerwowała miejsce na statku, na którym zamierzała rozpocząć własną wielką przygodę, z dala od Blackhurst i życia, które wiodła w chatce. Napisała również do pani Swindell, informując ją, że w przyszłym miesiącu przybędzie do Londynu i chętnie złoży jej wizytę. Nie wspomniała słowem o broszce matki. Z boską pomocą pamiątka czeka na nią w glinianym słoiku w kominie.

Gdy odzyska rodzinną pamiątkę, zacznie zupełnie nowe życie. Sama.

William odchrząknął.

– O co chodzi, Will? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– To nic, panienko Elizo. Po prostu... – Wbił w nią uporczywe spojrzenie błękitnych oczu. Słońce, ciężka, nabrzmiała kula, stało teraz w zenicie, każąc mu patrzeć na Elizę spod przymrużonych powiek. – Czy to możliwe, że panienka o niczym nie wie?

– O czym? – Wzruszyła lekko ramionami.

– O pani i panu Walker i... o pociągu z Carlisle.

Eliza pokiwała głową.

– Wyjechali na kilka dni do Carlisle. Mają wrócić jutro.

William spochmurniał i zacisnął usta w wąską kreskę.

– Rzeczywiście mają wrócić jutro, ale nie tak, jak panienka myśli. – Westchnął i pokręcił głową. – We wsi nie mówi się o niczym innym. Nawet pisali o tym w gazetach. Pomyśleć tylko, że nikt panienki nie poinformował. Sam bym przyszedł, ale... – Ujął jej dłonie w swoje ręce, zaskakując ją i zbijając z tropu. – Zdarzył się wypadek, panienko Elizo. Zderzyły się dwa pociągi. Niektórzy pasażerowie... pani i pan Walker... – Odetchnął głęboko i spojrzał jej w oczy. – Obawiam się, że oboje zginęli. W miejscu o nazwie Ais Gill.

Mówił coś jeszcze, jednak Eliza nie słuchała. Czerwone światło, które eksplodowało w jej głowie, przesłoniło każdą myśl, zablokowało każde uczucie i dźwięk. Eliza zamknęła oczy, czując, że spada w dół mrocznego szybu, który zdawał się nie mieć dna.



Tylko tyle Adeline mogła zrobić, by oddychać. Ból był tak potworny, że płuca odmawiały posłuszeństwa. Wiadomość nadeszła

telefonicznie, we wtorek późną nocą. Linus siedział zamknięty w ciemni, więc Daisy poprosiła do telefonu panią Mountrachet. Głos policjanta, daleki, zniekształcony i trzeszczący, zadał miażdżący cios.

Adeline zemdlała. Tak przynajmniej jej się zdawało, ponieważ następną rzeczą, jaką zapamiętała, było przebudzenie we własnym łóżku i potworny ucisk w piersi. Przez ułamek sekundy nie wiedziała, co się dzieje, a już po chwili koszmar powrócił od nowa.

Gdyby nie pogrzeb i związane z nim procedury, Adeline na zawsze pozostałaby w świecie mroku, bólu i pustki. Jej wydrążone serce przypominało pustą bezużyteczną łupinę, jednak Adeline doskonale знаła swoje obowiązki. Nawet jako pogrążona w rozpacz matka nie może uciec przed odpowiedzialnością. Jest to winna Rose, swojej najdroższej Rose.

– Daisy – powiedziała surowo. – Przynieś papier listowy. Muszę sporządzić listę.

Kiedy służąca opuściła pokój, Adeline zaczęła układać w głowie listę rzeczy do zrobienia. Naturalnie powinna zaprosić Churchillów, lorda i lady Huxley. Astorów, Heuserów... później poinformuje rodzinę Nathaniela. Bóg jeden wie, że Adeline nie ma siły obcować na pogrzebie Rose z ludźmi jego pokroju.

Dziewczynka również nie weźmie udziału w uroczystościach. Nie wypadało, aby ktoś o tak radosnym usposobieniu brał udział w tak smutnej ceremonii. Gdyby nie przeziębienie, które zatrzymało ją w domu, mała Ivory byłaby z rodzicami w pociągu. Cóż Adeline ma z nią począć? Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, jest dziecko, które przypomina jej, że Rose odeszła.

Spojrzała przez okno na zatokę, na linię drzew i widoczne za nią wody oceanu. Wody, które zdawały się nie mieć końca.

Adeline opanowała chęć spojrzenia w lewo. Chatka była ukryta, jednak sama świadomość, że istniała, była dla niej solą w oku i mroziła jej krew w żyłach.

Jedno jest pewne: Eliza dowie się o wszystkim dopiero po pogrzebie. Adeline nie zniosłaby jej widoku i świadomości, że ona żyje, podczas gdy Rose zginęła.

Trzy dni później, gdy Adeline, Linus i służba zgromadzili się na cmentarzu w odległym końcu posiadłości, Eliza po raz ostatni rzuciła okiem na dom. Spakowana walizka czekała już na nią w porcie, tak więc musiała zadbać wyłącznie o bagaż podręczny: dziennik i kilka przedmiotów osobistych. Pociąg wyjeżdżał z Tregenny w południe i Davies, który odbierał z londyńskiego pociągu dostawę świeżych kwiatów, obiecał, że odwiezie ją na stację. Był jedyną osobą, którą Eliza poinformowała o wyjeździe.

Po raz kolejny zerknęła na mały kieszonkowy zegarek. Zostało jeszcze trochę czasu, by po raz ostatni odwiedzić sekretny ogród. Chciała spędzić w nim jak najmniej czasu w obawie, że jeśli zabawi tam dłużej niż to konieczne, nie będzie potrafiła się z nim rozstać.

A musi. Nie miała innego wyjścia.

Eliza okrążyła ścieżkę i skierowała się w stronę wejścia. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się południowa brama, ziała teraz otwarta rana: dziura w ziemi i leżące obok, potężne bloki piaskowca.

Wszystko wydarzyło się w ciągu tygodnia. Eliza plewiła ogród, kiedy ujrzała nadchodzących od strony chatki dwóch krzepkich robotników. Z początku pomyślała, że mężczyźni się zgubili, jednak pomysł wydał się jej absurdalny. Ludzie nie natykają się przypadkiem na chatki.

– Przysłała nas pani Mountrachet – oznajmił wyższy z nich.

Eliza wstała i wytarła ręce w spódnice. Milczała, czekając na dalsze wyjaśnienia.

– Mówi, że trzeba usunąć furtkę.

– Naprawdę? – odparła Eliza. – Dziwne, że nic mi o tym nie wiadomo.

Niższy z mężczyzn zachichotał, podczas gdy jego towarzysz wyglądał na zmieszanego.

– I po co w ogóle ją usuwać? – ciągnęła Eliza. – Macie inną? Nową?

– Mamy zamurować wejście – odparł wyższy robotnik. – Pani Mountrachet mówi, że nikt już nie będzie tu mieszkał. Kazała nam wykopać dziurę i położyć nowe fundamenty.

Oczywiście. Eliza mogła przypuszczać, że wizyta, którą złożyła w Blackhurst dwa tygodnie temu, nie pozostanie niezauważona. Cztery lata temu, gdy wszystko zostało przygotowane i ustalone, ciotka Adeline poinformowała ją o zasadach. Mary dostała pieniądze na rozpoczęcie nowego życia w Polperro, podczas gdy Elizie zakazano opuszczać sekretny ogród i wchodzić do labiryntu. Zakaz, który w końcu musiała złamać.

Czuła się tak, jakby już nie mieszkała w chatce. Bez dostępu do ogrodu życie w Blackhurst stało się nie do zniesienia. Szczególnie teraz, gdy nie ma już Rose.

Minęła gruzowisko, przeszła nad ziejącą w ziemi dziurę i weszła do sekretnego ogrodu.

W powietrzu unosił się ciężki zapach jaśminu, a na jabłoni złożyły się jabłka. Pnącza wdarły się na kamienne ściany, tworząc nad głową zbitą liściastą kopułę.

Świadomość, że Davies od czasu do czasu zajrzy do ogrodu, sprawiała Elizie niemal fizyczny ból. Ogrodnik miał wystarczająco dużo obowiązków, a praca w ogrodzie wymaga czasu i zaangażowania.

– Co się z tobą stanie? – spytała szeptem.

Spojrzała na jabłoń i poczuła w piersi bolesne ułknięcie, jakby ktoś wydarł jej kawałek serca. Pamiętała dzień, w którym razem z Rose sadziły drzewko. Ileż miały wówczas nadziei, jak ogromną wiarę w to, że wszystko się ułoży. Eliza nie mogła pogodzić się z myślą, że Rose odeszła już z tego świata.

Nagle coś przykuło jej uwagę: wystający zza drzewa kawałek materiału. Czyżby podczas ostatniej wizyty zostawiła tu chusteczkę? Uklękła i mrużąc oczy, zerknęła przez liście.

Na ziemi, zwinięta w kłębek, leżała mała dziewczynka, córeczka Rose. Dziecko poruszyło się przez sen, jakby obecność Elizy zdjęła ciężar na nim kłutwę, zamrugało i utkwilo w Elizie badawczy wzrok.

Dziewczynka nie poderwała się z ziemi ani nawet nie przestraszyła się obcej osoby. Zamiast tego uśmiechnęła się i ziewnęła, po chwili wyczołgała się spod gałęzi.

– Dzień dobry – powiedziała, stając przed Elizą.

Jej brak poszanowania dla konwenansów zaskoczył Elizę, a jednocześnie ją ucieszył.

– Co tu robisz? – spytała zaskoczona.

– Czytam.

Eliza uniosła brwi. Dziewczynka nie skończyła jeszcze czterech lat.

– Potrafisz czytać?

Chwila wahania i szybkie skinienie głowy.

– Pokaż mi.

Dziewczynka opadła na czworaki i zniknęła pośród gałęzi. Kiedy wyszła, ścisła w rączkach zbiór baśni, które Eliza dała jej w prezencie. Po chwili otworzyła książkę na przypadkowej stronie i wodząc paluszką po kartce, zaczęła czytać *Oczy wiedzmy*.

Eliza ukryła uśmiech, widząc, że palec Ivory nie nadąża za jej głosem. Dzieci mają wyjątkowy dar zapamiętywania ulubionych opowieści.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała.

Dziewczynka podniosła wzrok znad książki.

– Wszyscy inni sobie poszli. Widziałam ich z okna. Lśniące, czarne powozy, które zajeżdżały przed dom jak ruchliwe czarne mrówki. Nie chciałam zostać sama. Dlatego tu przyszłam. Lubię twój ogród. To najładniejsze miejsce w całym dworze. – Spuściła wzrok. Wiedziała, że przekroczyła pewną granicę.

– Wiesz, kim jestem? – spytała Eliza.

– Autorką.

Uśmiechnęła się łagodnie.

Widząc to, dziewczynka nabrała pewności siebie. Zadarła głowę i przekrzywiła ją tak, że gruby warkocz opadł ciężko na ramię.

– Dlaczego jesteś smutna?

– Ponieważ muszę się pożegnać.

– Z czym?

– Z moim ogrodem i dotychczasowym życiem. – Przejęcie, z jakim Ivory wpatrywała się w Elizę, było urzekające. – Wybieram się w podróż. Lubisz podróże?

Dziewczynka pokiwała głową.

– Ja też wybieram się w podróż z mamusią i tatusiem. Płyniemy

do Nowego Jorku ogromnym statkiem, większym nawet od statku kapitana Ahaba.

– Do Nowego Jorku? – powtórzyła Eliza łamiącym się głosem. Czy to możliwe, że nikt nie powiedział dziecku, iż rodzice nie żyją?

– Będziemy płynęli przez morze, ale babcia i dziadek zostaną w domu. Tak samo jak ta okropna zniszczona laleczka.

Czyżby dotarła do miejsca, z którego nie ma już odwrotu? Zrozpaczona Eliza spojrzała w oczy dziecka, które nie miało pojęcia o śmierci rodziców i którym prawdopodobnie zajmą się ciotka Adeline i wuj Linus.

Później, gdy wracała myślami do tamtej chwili, zdawało jej się, że nie miała na nic wpływu i że to los zdecydował za nią. Coś podpowiadało jej, że dziewczynka nie może zostać sama w Blackhurst.

Wyciągnęła więc rękę i patrzyła na własną dłoń, która powoli kierowała się w stronę dziewczynki. Zaciśnęła usta, aż w końcu odzyskała głos.

– Słyszałam o twojej podróży i przysłano mnie, abym cię odebrała. – Słowa płynęły teraz z jej ust wartkim potokiem. Jakby stanowiły część doskonale przygotowanego planu, jakby były prawdziwe. – Mam cię odprowadzić.

Dziewczynka zamrugała. Chyba nie do końca wierzyła w to, co słyszy.

– Nie bój się – ciągnęła Eliza. – Chodź. Weź mnie za rękę. Pójdziemy specjalną ścieżką. Sekretnym przejściem, o którym nie wie nikt poza nami.

– Czy kiedy dotrzemy na miejsce, będzie tam moja mama?

– Tak – skłamała gładko Eliza – Będzie na ciebie czekała.

Dziewczynka przez chwilę rozważała jej słowa. W końcu jednak skinęła głową.

– Muszę zabrać swoją książkę – rzuciła, unosząc spiczastą bródkę z uroczym małym dołeczkiem.



Adeline miała w głowie zamęt. Było wczesne popołudnie, gdy wszczęto alarm. Daisy – głupia dziewczyna – przyszła, waląc do drzwi sypialni, jękając się, kręcąc, z zakłopotaniem przestępując z

nogi na nogę i wypytując, czy nie widziała przypadkiem panienki Ivory.

Pytanie zirytowało Adeline, która знаła zamięłowanie wnuczki do pieszych wędrówek i psot. Szkoda tylko, że wybrała nieodpowiednią porę. Zupełnie jak ta nikczemna dziewczucha. Akurat dziś, kiedy Adeline pochowała swą najdroższą Rose i powierzyła jej ciało ziemi. Aby nie wrzeszczeć i nie przeklinać, postanowiła zorganizować poszukiwania.

Zagoniła do pracy całą służbę, każąc im zająrzeć w każdy najciemniejszy zakamarek domu. Na próżno. Po godzinie, kiedy było jasne, że dziewczynki nie ma we dworze, Adeline przyszło do głowy, że może Ivory wybrała się na dalszą wędrówkę. Adeline, podobnie jak Rose, ostrzegały dziewczynkę przed zatoką i innymi zakątkami majątku, jednak Ivory, tak jak Rose, za nic miała posłuszeństwo. Był w niej upór, jakże żalosna cecha charakteru, na którą Rose przymykała oko, powstrzymując się od karania córki. Jednak Adeline nie była tak pobłażliwa i postanowiła, że dziewczynka zda sobie sprawę z własnych błędów. Koniec z bezczelnością i notorycznym łamaniem zasad.

– Przepraszam, proszę pani.

Adeline odwróciła się, szeleszcząc halkami. W drzwiach stała Daisy, która najwyraźniej wróciła znad zatoki.

– Gdzie ona jest? – spytała Adeline.

– Nie widziałam jej, proszę pani.

– Szukałaś wszędzie? Na czarnej skale, na wzgórzach?

– Ależ nie, proszę pani. Nie zbliżałam się do czarnej skały.

– Dlaczego nie?

– Jest taka wielka i śliska i... – Głupiutka twarz dziewczyny oblała się rumieńcem. – Mówią, że jest nawiedzona.

Adeline miała ochotę ją spoliczkować. Powinna robić, co jej kazano i dopilnować, by dziewczynka została w łóżku! Zamiast tego pewnie flirtowała w kuchni z nowym lokajem... Ukaranie jej nic nie pomoże. Przynajmniej nie teraz. Teraz Adeline miała na głowie ważniejsze rzeczy.

Zamiast tego odwróciła się, uniosła halki i podeszła do okna. Przez chwilę spoglądała na pogrążony w mroku trawnik. Wszystko

wydawało się takie przytłaczające. Adeline Mountrachet, mistrzyni udawania, nie potrafiła podołać roli zrozpaczonej babki. Gdyby tylko ktoś odnalazł dziewczynkę – żywą lub martwą, zdrową czy też nie – i przyprowadził ją do domu! Wtedy mogłaby zakończyć ten żaloszny epizod i pogrzyżyć się w rozpacz po stracie Rose.

Nic jednak nie wskazywało na to, by sprawy przybrały pomyślny obrót. Za mniej więcej godzinę zrobi się ciemno, a ona nie może zakończyć poszukiwań, nie podjawszy wszelkich możliwych kroków. Pokojówki patrzyły jej na ręce, w jadalni dla służby na pewno rozprawia się o jej reakcjach, tak więc musi kontynuować poszukiwania. Daisy jest beznadziejna, podobnie jak cała reszta. Potrzebuje Daviesa. Gdzie podziewa się ten prymitywny drab, gdy naprawdę go potrzebuje?

– Ma wolne popołudnie – odparła zapytana Daisy.

Rzeczywiście. Służba zawsze płacze się pod nogami, ale gdy jest potrzebna, dosłownie zapada się pod ziemię.

– Przypuszczam, że jest w domu albo pojechał do miasteczka. Zdaje się, że mówił coś o przesyłkach, które musi odebrać z pociągu.

Istniała tylko jedna osoba, która znała dwór równie dobrze jak Davies.

– W takim razie poślij po pannę Elizę – rzuciła Adeline, krzywiąc się, gdy wypowiadała znienawidzone imię. – I natychmiast ją do mnie przyprowadź.



Eliza spojrzała na śpiącą Ivory. Długie rzęsy ocieniały gładkie policzki, różowe usta były pełne i delikatnie wydęte, a zaciśnięte piąstki spoczywały na kolanach. Ach, jakże ufne są dzieci. Jakże łatwo zapadają w sen, nawet w tak dramatycznych okolicznościach. Ufność i bezbronność Ivory sprawiły, że jakaś część Elizy zapragnęła zapłakać.

Co ona sobie myśli? Co robi w pociągu do Londynu, wioząc dziecko Rose?

Nic, pomyślała. Nic. Dlatego właśnie to zrobiła. Myślenie jest jak maczanie brudnego od farby pędzla w krystalicznie czystej wodzie pewności. Wiedziała, że dziewczynka nie może zostać w Black-

hurst zupełnie sama, na łasce wuja Linusa i ciotki Adeline. Dlatego ją zabrała. Zawiodła Sammy'ego, jednak postanowiła, że tym razem będzie inaczej.

Pozostało tylko pytanie, co zrobić z Ivory. Nie może jej przecież zatrzymać. Dziewczynka zasługuje na coś więcej. Powinna mieć matkę i ojca, rodzeństwo i szczęśliwy dom pełen miłości.

Mimo to Eliza nie wiedziała, co począć. Ivory musi opuścić Kornwalię, istnieje bowiem ryzyko, że zostanie rozpoznana i odwieziona do Blackhurst.

Nie. Do czasu, aż Eliza nie wymyśli lepszego rozwiązania, dziewczynka będzie musiała zostać razem z nią. Przynajmniej przez jakiś czas. Statek do Maryborough w Australii, gdzie mieszka brat Mary i jej ciotka Eleanor, wypływa za pięć dni. Mary dała jej adres i na miejscu Eliza zamierzała skontaktować się z rodziną Martinów. Obiecała też Mary, że napisze do niej list i poinformuje ją, jak sobie radzi.

Eliza miała już bilet zarezerwowany na fałszywe nazwisko. Zabobonne, ale kiedy musiała podać nazwisko, poczuła nagle, że nowe życie wymaga nowej tożsamości. Nie chciała zostawić po sobie śladu w kasie biletowej, ścieżki łączącej dwa, jakże odmienne światy. Użyła więc pseudonimu. Jak się okazało, był to prawdziwy uśmiech losu.

Będą jej szukali. Eliza nie miała co do tego wątpliwości. Zbyt wiele wie o dziecku Rose, by ciotka Adeline pozwoliła jej odejść. Będzie musiała się ukrywać. Poszuka gospody w porcie, miejsca, w którym znajdzie się pokój dla biednej wdowy z dzieckiem oczekującej na statek do Nowego Świata. Zastanawiała się, czy w tak krótkim czasie zdoła wykupić bilet dla Ivory? W przeciwnym razie będzie zmuszona wprowadzić dziewczynkę na pokład, nie ściągając na nią niczyjej uwagi.

Spojrzała na skuloną w kącie drobną postać. Jest tak bezbronna. Pieszczotliwie musnęła dłonią rumiany policzek. Dziecko wzdrygnęło się, zmarszczyło mały nosek i jeszcze głębiej wcisnęło główkę w kąt siedzenia. Absurdalne, ale Eliza zobaczyła w niej Rose. Rose jako dziewczynkę w dniu, kiedy ujrzała ją po raz pierwszy.

Ivory będzie pytała o mamę i tatę i pewnego dnia Eliza powie jej prawdę. Nie była tylko pewna, jakich słów użyje, by ją wyznać.

Zauważyła, że baśń, która mogłaby wyręczyć ją w tej kłopotliwej sytuacji, zniknęła z książki Ivory. Ktoś ją usunął. Eliza przypuszczała, że to Nathaniel. Rose i Adeline zapewne zniszczyłyby całą książkę, tylko Nathaniel mógł wydrzeć opowieść, w którą był zamieszany, i zachować resztę.

Zaczeka do ostatniej chwili, by skontaktować się ze Swindellami, bo choć nie miała pojęcia, jak mogą jej zagrozić, wołała nie ryzykować. Wystarczy, że Swindellowie zwięszą okazję do łatwego zarobku, a rzucą się na nią jak stado wygłodniałych psów. W pewnym momencie Eliza chciała odwołać wizytę, obawiając się, że nagroda nie jest warta ryzyka, jednak w końcu postanowiła pójść. Potrzebuje klejnotów, by opłacić podróż do Nowego Świata. Poza tym broszka należy do jej rodziny, jest jej przeszłością i nią samą.



Czekając na powrót Daisy, Adeline miała wrażenie, że czas ciągnie się w nieskończoność, powolny i ciężki niczym uwieszone spódnicy marudne dziecko. To Eliza jest winna śmierci Rose. Jej nieuzasadniona wizyta przyspieszyła decyzję o wyjeździe do Nowego Jorku i wymogła na Rose podróż do Carlisle. Gdyby Eliza pozostała w drugim końcu majątku, tak jak obiecywała, Rose nigdy nie wsiadłaby do tego pociągu.

Słyszac trzask otwieranych drzwi, Adeline wstrzymała oddech. W progu pojawiła się Daisy z liśćmi we włosach i ubłoconej sukience. Sama.

– Gdzie ona jest? – spytała Adeline. Czyżby już szukała dziewczynki? Czyżby Daisy choć raz zrobiła użytek ze swej głowy i wysłała Elizę prosto do zatoki?

– Nie wiem, proszę pani.

– Jak to nie wiesz?

– Kiedy przyszedłam do chatki, drzwi były zamknięte. Zaglądałam przez okna, ale dom wyglądał na opuszczony.

– Trzeba było chwilę zaczekać. Może poszła do miasteczka i niebawem wróci.

Dziewczyna beczelnie pokręciła głową.

– Nie sądzę, proszę pani. Palenisko było wygaszone, a półki pu-

ste. – Mówiąc to, Daisy zamrugła w typowy dla siebie, gamoniowaty sposób. – Myślę, że ona też zniknęła.

Wtedy Adeline zrozumiała. Świadomość szybko przerodziła się w gniew, a gniew we wściekłość, która paliła jej skórę i wypełniała głowę pulsującym ostrym bólem.

– Dobrze się pani czuje? Proszę usiąść.

Nie, Adeline nie musi siadać. Wręcz przeciwnie. Chce zobaczyć to na własne oczy. Przekonać się, jak niewdzięczna okazała się dziewczyna.

– Przeprowadź mnie przez labirynt, Daisy.

– Nie znam drogi, proszę pani. Nikt jej nie zna. Nikt, oprócz Daviesa. Poszłam okrężną drogą, przez szczyt klifu.

– W takim razie sprowadź tu Newtona i powóz.

– Ale robi się ciemno.

Adeline zmrużyła oczy i wyprostowała ramiona.

– W tej chwili sprowadź tu Newtona i przynieś latarnię – powtórzyla stanowczo.



Chatka była posprzątana, ale nie pusta. Sprzęty kuchenne wisiały jak zawsze nad paleniskiem, jednak wytarty stół był pusty. Na zamocowanym przy drzwiach haczyku nie wisiały żadne ubrania. Adeline czuła mdłości, jakby ściśnięte płuca nie dawały sobie rady z zatęchłym powietrzem. Tyle tylko, że to nie powietrze wywoływało nudności, lecz obecność dziewczyny, przytłaczająca i ciężka jak wilgotny koc. Wzięła latarnię i ruszyła w górę wąskimi schodami. Niebawem jej oczom ukazały się dwa pokoje. Wyposażenie pierwszego było spartańskie: łóżko z poddasza i narzucona na nie stara narzuta. W drugim znalazła biurko, krzesło i wypełnioną książkami półkę. Przedmioty na biurku poukładano w staranne kupki. Adeline przycisnęła palce do drewnianego blatu i wyjrzała przez okno.

Dzień miał się ku końcowi, ostatnie promienie słońca roztrząskiwały się o horyzont, a złotopurpurowe wody oceanu unosiły się i opadały jak ogromna uśpiona bestia.

Rose odeszła.

Ta myśl pojawiła się w głowie Adeline znienacka.

Tu, w ciszy domu, zupełnie sama, mogła choć na chwilę przestać udawać. Zamknęła oczy i przygarbiła kościste ramiona.

Pragnęła zwinąć się w kłębek, poczuć na policzku gładkie chłodne deski i trwać tak w nieskończoność. Zapaść w stuletni sen. Uciec od ludzi i ich oczekiwań. Móc oddychać...

– Pani Mountrachet? – usłyszała z dołu głos Newtona. – Ściemnia się, proszę pani. Jeśli wkrótce nie wyjedziemy, konie mogą mieć trudności z zejściem z klifu.

Adeline złapała gwałtownie powietrze. Jej ramiona znów były idealnie wyprostowane.

– Jeszcze chwila.

Otworzyła oczy i przyłożyła dłoń do czoła. Rose odeszła, a ona już nigdy nie pozbiera się po jej stracie. Istnieje jednak inne zagrożenie. Choć jakaś część Adeline pragnęła, by Eliza i dziewczynka już na zawsze zniknęły z jej życia, sytuacja stała się znacznie bardziej dramatyczna. Teraz, gdy była już niemal pewna, że Eliza i Ivory uciekły razem, Adeline zaczęła obawiać się, że ludzie mogą poznać prawdę. Że Eliza zacznie rozpowiadać o tym, co naprawdę wydarzyło się w Blackhurst. Nie może do tego dopuścić. Dla dobra Rose, przez wzgląd na jej pamięć i dobre imię rodziny Mountrachetów, musi odnaleźć i uciszyć Elizę.

Po raz ostatni zerknęła na biurko i zatrzymała wzrok na wystającym spod sterty książek kawałku papieru. Zapisano na nim słowo, które, choć znajome, nie niosło ze sobą żadnych skojarzeń. Powoli wyciągnęła kartkę. Była to lista sprawunków spisana ręką Elizy: rzeczy, które zamierzała załatwić przed wyjazdem. Na dole kartki widniało pojedyncze słowo: „Swindell”. Nazwisko, pomyślała Adeline, choć nie była pewna, gdzie je słyszała.

Z dudniącym sercem złożyła kartkę i wcisnęła do kieszeni. Oto znalazła klucz, słaby punkt uknutego przez Elizę spisku. Dziewczyna nie mogła przypuszczać, że zdradzi ją ukryty między książkami świstek papieru. Dlatego zostanie odnaleziona, podobnie jak dziecko, dziecko Rose, które już niebawem wróci do domu.

Adeline wiedziała, do kogo zwrócić się po pomoc.

46

Polperro, 2005

Dom Clary okazał się małą pobieloną chatką, przytuloną do stromej skały, kawałek drogi od pubu Buccaneer. Aby do niej dotrzeć, należało iść w górę wąską ścieżką.

– Chcesz tam wejść? – spytał Christian, gdy stanęli przed drzwiami.

Cassandra skinęła głową, jednak nie zapukała. Nagle ogarnęła ją fala nerwowego podniecenia. Gdzieś tam, za tymi drzwiami jest siostra jej babki, zupełnie obca osoba. Niebawem pozna rozwiązanie zagadki, która przez całe życie dręczyła Nell. Cassandra zerknęła na Christiana i po raz kolejny poczuła wdzięczność, że jest tu razem z nią.

Rano, kiedy Ruby wyjechała do Londynu, Cassandra czekała na niego przed wejściem do hotelu, ściskając w ręku egzemplarz baśni Elizy. On również przywiózł swój i oboje doszli do wniosku, że w egzemplarzu Cassandry rzeczywiście brakuje jednej opowieści. Luka w oprawie była tak wąska, a cięcie tak precyzyjne, że Cassandra mogła ich nie zauważyć. Nawet numery brakujących stron nie zwróciły jej uwagi, druk był bowiem tak ozdobny i wyszukany, że potrzeba było dyplomu z kaligrafii, by dostrzec różnicę pomiędzy 54 a 61.

W drodze do Polperro Cassandra czytała na głos *Złote jajo* i z każdym zdaniem nabierała coraz większej pewności, że Christian miał rację, a baśń jest alegorią historii Rose i jej córki.

Biedna Mary, zmuszona oddać dziecko i zachować to w tajemnicy. Nic dziwnego, że pod koniec życia zrzuciła z serca ten potwór-

ny ciężar i zwierzyła się swojej córce. Zaginione dziecko, które przez całe życie szukało matki.

Leo miałby teraz prawie dwanaście lat.

– Wszystko w porządku? – Christian spoglądał na nią z niepokojem.

– Tak – odparła, odpędzając natarczywe wspomnienia. – Nic mi nie jest. – Tym razem jej słowa nie brzmiały jak kłamstwo.



Uniosła rękę i zamierzała zastukać kołatką, gdy drzwi domku się otworzyły. W progu stała niska, pulchna kobieta, której figura przywodziła na myśl dwa kawałki ciasta oddzielone od siebie zawiązanym w pasie fartuchem kuchennym.

– Widziałam, że stoicie przed drzwiami – powiedziała z uśmiechem – i pomyślałam: To muszą być moi młodzi goście. No, dalej, wchodźcie. Zaraz podam pyszną herbatę.

Christian usiadł na kwiecistej sofie obok Cassandry, tak że oddzielały ich od siebie patchworkowe poduszki. Otaczające ich ze wsząd kruche bibeloty sprawiały, że wyglądał jak słoń w składzie porcelany i Cassandra musiała się powstrzymywać, by nie wybuchnąć śmiechem.

Żeby o tym nie myśleć, zerknęła na masywny kufer i stojący na nim żółty imbryk otulony robionym na drutach ocieplaczem w kształcie kury. Wygląda zupełnie jak Clara, pomyślała Cassandra: małe, uważne oczka, pulchne ciało, mały ostry dzióbek.

Clara przyniosła trzy filiżanki i wrzuciła do każdej z nich liście herbaty.

– Moja własna mieszanka – rzuciła. – W trzech czwartych herbata Breakfast, w jednej czwartej Earl Grey. – Spojrzała wymownie ponad okularami. – Mam na myśli angielską Breakfast. – Kiedy w filiżance pojawiło się mleko, Clara rozsiadła się w fotelu przy kominu. – Muszę dać odpocząć moim zmęczonym starym stopom. Cały dzień jestem na nogach, przygotowuję stragany na festiwal, który ma się odbyć w porcie.

– Dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć – odrzekła Cassandra. – To mój przyjaciel, Christian.

Christian wyciągnął rękę ponad kufrem i uściśnął dłoń staruszki.

– Miło mi cię poznać. – Clara upiła łyk herbaty i skinęła głową w stronę Cassandra. – Ta kobieta z muzeum Ruby opowiedziała mi o twojej babce. Tej, która nie wiedziała, kim są jej rodzice.

– Nell – wyjaśniła Cassandra. – Tak miała na imię. Mój pradziadek Hugh znalazł ją, kiedy jako mała dziewczynka siedziała na białej walizce na nabrzeżu w Maryborough. Był mistrzem portowym i statek...

– Maryborough, powiadasz?

Cassandra pokiwała głową.

– A to ci niespodzianka. Mam rodzinę w miejscu o nazwie Maryborough. W Queensland.

– Queensland – powtórzyła Cassandra, pochylając się do przodu. – Jaką rodzinę?

– Brat mojej mamy przeprowadził się tam, gdy był młodym chłopakiem. Wychował tam swoje dzieci, moich kuzynów. – Zachichotała. – Mama mówiła, że zrobił to, by uratować jej dobre imię.

Cassandra zerknęła na Christiana. Czy dlatego Eliza zaprowadziła Nell na ten statek? Czy chciała oddać dziewczynkę rodzinie Mary, prawdziwej rodzinie Nell? Nie chciała zabierać dziecka do Polperro w obawie, że ktoś rozpozna w nim Ivory Mountrachet i wolała odesłać dziewczynkę do brata Mary. Cassandra przypuszczała, że Clara zna odpowiedź. Musi tylko zadawać właściwe pytania i skierować rozmowę na odpowiedni tor.

– Pani mama Mary pracowała w posiadłości Blackhurst, prawda?

Clara wypiła łyk herbaty.

– Pracowała tam do roku tysiąc dziewięćset dziewiętego, kiedy to została odprawiona. Spędziła we dworze prawie dziesięć lat. Jej stan przeszkadzał rodzinie Mountrachetów. – Clara zniżyła głos do szeptu. – Widzicie, nie była mężatką, a w tamtych czasach takie zachowanie uważano za niestosowne. Ale moja mama nie była złą dziewczyną. Pochodziła z prostej uczciwej rodziny. W końcu ona i mój ojciec się pobraли. Zapewne zrobiliby to wcześniej, tyle że ojciec zachorował na zapalenie płuc. Mało brakowało, a nie dożyłby wła-

snego ślubu. Właśnie wtedy przeprowadzili się do Polperro, zaoszczędzili trochę pieniędzy i otworzyli sklep mięsny.

Podniosła leżącą obok tacy prostokątną książkę. Twardą okładkę zdobiły kawałki papieru pakunkowego, skrawki materiału i guziki. Kiedy ją otworzyła, Cassandra zobaczyła, że jest to album na zdjęcia. Clara odszukała stronę zaznaczoną kawałkiem wstążki i wyciągnęła album w kierunku gości.

– To moja mama.

Cassandra spojrzała na młodą pulchną kobietę z burzą loków, szukając w jej twarzy znajomych rysów Nell. Możliwe, że miały podobne usta, uśmiech, który pojawiał się na twarzy Nell w najmniej oczekiwanym momencie. Taki też był charakter zdjęć. Im dłużej Cassandra spoglądała na twarz Mary, tym wyraźniej widziała podobieństwo do ciotki Phylly. Ten nos i oczy!

Podala album Christianowi i obdarzyła Clarę ciepłym uśmiechem.

– Była bardzo ładna, prawda?

– O tak – odparła staruszka, puszczając oko. – Mama była prawdziwą ślicznotką. Zbyt ładną jak na służącą.

– Ciekawe, czy lubiła swoją pracę i czy było jej ciężko odchodzić.

– Cieszyła się, że opuszcza dom, ale rozstanie z jej panią nie przyszło jej łatwo.

To było coś nowego.

– Mary i Rose były sobie bliskie?

Clara pokręciła głową.

– Nie wiem nic o Rose. Mama mówiła tylko o panience Elizie. Panienka Eliza to, panienka Eliza tamto.

– Ale Eliza nie była panią domu.

– Cóż, oficjalnie nie, ale była oczkiem w głowie mojej mamy. Mama zawsze powtarzała, że panienka Eliza była jedyną isierką życia w tym ponurym grobowcu.

– Dlaczego nazywała Blackhurst grobowcem?

– Mama mówiła, że ci, którzy tam mieszkali, byli jak umarli. Wiecznie posępni i markotni. Wszyscy gonili za mirażami i pragnęli rzeczy, których z tego czy innego powodu nie mogli dostać.

Cassandrę zastanowiły te słowa. Nie takie wrażenie odniosła, czytając pamiętniki Rose. Musiała jednak przyznać, że Rose, której świat ograniczał się do nowych sukienek i przygód kuzynki Elizy, z pewnością została stłamszona przez pozostałych domowników. Oto, jaka była historia: hipotetyczna, stronnicza, niepoznawalna i zawsze tworzona przez zwycięzców.

– Jej państwo byli naprawdę podli. Ale w końcu dostali za swoje, prawda?

Cassandra ściągnęła brwi.

– Kto dostał za swoje?

– On i ona. Lord i lady Mountrachet. Ona zmarła miesiąc lub dwa po śmierci córki. Mówią, że zachorowała na posocznicę. – Clara pokręciła głową i zniżyła głos do konspiracyjnego, niemal radosnego szeptu. – Paskudna sprawa. Mama słyszała od innych służących, że przed śmiercią wyglądała jak straszdydło. Twarz miała wykrzywioną, uciekała z łóżka i zataczając się, chodziła po korytarzach, ścisnęła w dłoni pęk kluczy, zamykała wszystkie drzwi i bredziła o jakiejś tajemnicy, której nikt nie powinien poznać. Podobno do reszty zwariowała. On zresztą też.

– On także zmarł na posocznicę?

– Nie, nie. Stracił majątek, jeżdżąc po świecie i odwiedzając dziwne miejsca. – Znowu zniżyła głos. – Dziwne, nawiedzone miejsca. Mówią, że przywoził z nich pamiątki, od których włosy stawały dęba. Zupełnie zdziwaczał. W końcu służba odeszła, a w majątku zostali tylko jedna podkuchenna i ogrodnik, który spędził w Blachhurst całe życie. Mama mówiła, że kiedy pan Mountrachet zmarł, minęło wiele dni, zanim ktoś w końcu odnalazł jego ciało. – Clara uśmiechnęła się, mrużąc oczy. – Najważniejsze, że Eliza w porę wyrwała się z tego szaleństwa. Mama mówiła, że wsiadła na statek i uciekła za granicę. Była z tego powodu taka szczęśliwa.

– Ale nie popłynęła do Australii – zauważyła Cassandra.

– Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, dokąd się udała – odparła Clara. – Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi moja mama: że Eliza w porę wyrwała się z tego potwornego domu. Wyjechała, tak jak zawsze tego pragnęła, i nigdy już nie wróciła. – Uniosła palec. – Stąd te szkice, którymi tak bardzo zachwycała się pani z muzeum.

Należały do niej, do Elizy. Znalazłam je między jej rzeczami.

Cassandra chciała spytać, czy Mary przypadkiem nie zabrała ich Elizie, jednak w porę ugryzła się w język. Z pewnością byłoby nieaktownością sugerować, że nieżyjąca matka Clary ukradła swej pracodawczyni cenne dzieła sztuki.

– Jakimi rzeczami?

– Pudłami, które kupiła moja mama.

Cassandra poczuła, że nie nadążyła za kolejnymi rewelacjami.

– Kupiła od Elizy jakieś pudła?

– Nie od Elizy. Po Elizie. Po tym, jak wyjechała.

– Od kogo je kupiła?

– Po wyjeździe Elizy zorganizowano wielką wyprzedaż. Pamiętam ją jak dziś. Mama zabrała mnie na nią, gdy byłam dziewczynką. Był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty piąty, miałam wtedy piętnaście lat. Po śmierci pana Mountracheta daleki krewny rodziny, który na stałe mieszkał w Szkocji, postanowił sprzedać majątek. Myślę, że chciał w ten sposób zarobić trochę pieniędzy w dobie Wielkiego Kryzysu. W każdym razie mama przeczytała o tym w gazecie. Wyczytała też, że kuzyn Mountrachetów zamierza sprzedać mnóstwo drobiazgów i rodzinnych pamiątek. Myślę, że czuła satysfakcję, wiedząc, że może wejść w posiadanie miejsca, gdzie tak okrutnie ją traktowano. Zabrała mnie ze sobą, bo – jak twierdziła – powinnam zobaczyć, gdzie pracowała. Chciała, żebym doceniła to, że nie muszę pracować jako służąca. Myślała, że dzięki temu zacznę się lepiej uczyć i osiągnę w życiu więcej niż ona. Nie mogę powiedzieć, żeby podziślała, ale z pewnością byłam zaszokowana. Pierwszy raz w życiu widziałam coś takiego. Nie miałam pojęcia, że ludzie mogą żyć w takim przepychu. W okolicy niewiele jest tak okazałych domów. – Skinęła głową, jakby chciała dać do zrozumienia, że w pełni aprobuje taki stan rzeczy, po czym utkwiała wzrok w suficie. – Na czym to skończyłam?

– Opowiadała pani o pudłach – odpowiedział Christian. – Tych, które pani matka kupiła w majątku Blackhurst.

Uniosła drżący palec.

– Właśnie, z majątku w Tregennie. Szkoda, że nie widzieliście jej twarzy, gdy je zobaczyła. Leżały na stole wśród innych drobia-

zgów: lamp, przycisków do papieru, książek i takich tam. Ja nie zwróciłam na nie uwagi, ale mama od razu wiedziała, że były własnością Elizy. Złapała mnie za rękę, pierwszy raz w życiu, nie mogła złapać tchu. Wystraszyłam się i chciałam przynieść jej krzesło, ale nawet nie chciała o tym słyszeć. Uczepiła się tych pudeł. Jakby bała się zrobić krok, w obawie, że ktoś inny może je kupić. Byłam wtedy innego zdania – jak już powiedziałam, nie widziałam tam niczego szczególnego – ale, jak to mówią, nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba.

– I rysunki Nathaniela Walkera były w jednym z pudełek? – spytała Cassandra. – Wśród innych rzeczy?

Clara pokiwała głową.

– Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się to dziwne. Mama była taka szczęśliwa, że kupiła te pudła, ale gdy wróciłyśmy do domu, poprosiła ojca, by zaniósł je na strych i wtedy słyszałam o nich po raz ostatni. Nie zwracałam sobie nimi głowy. Miałam w końcu piętnaście lat i bardziej niż stare rupiecie interesowali mnie miejscowi chłopcy. Zupełnie zapomniałam o pudłach, aż do czasu, gdy mama zamieszkała tu razem ze mną. Wtedy zauważyłam je wśród jej rzeczy. Rozśmieszyło mnie to, zwłaszcza że mama nie przywiozła ze sobą zbyt wielu bagaży. Wtedy też powiedziała mi, co w nich jest i dla czego są dla niej takie ważne.

Cassandra przypomniała sobie podniecenie, z jakim Ruby opowiadała o pokoju, w którym znalazła rzeczy Mary. Cóż jeszcze może kryć się w pudłach, czego nikt nigdy nie widział? Z trudem przełknęła.

– Czy kiedykolwiek zagłądała pani do środka?

Clara upiła łyk zimnej już herbaty i przez chwilę bawiła się uszkiem filiżanki.

– Muszę przyznać, że tak.

Serce Cassandry pracowało teraz jak ogromna pompa. Pochyliła się do przodu.

– I?

– Były w nich głównie książki, jakaś lampa i inne szpargały. – Przerwała i obladała się delikatnym rumieńcem.

– Czy było tam coś jeszcze? – delikatnie upominała się Cassan-

dra. Nie spłosz jej.

Clara wbiła czubek kaptura w miękki dywan i przez chwilę nie podnosiła wzroku.

– Znalazłam też list od wydawcy z Londynu zaadresowany do mojej mamy. Byłam w szoku. Do głowy by mi nie przyszło, że mama była pisarką. – Zachichotała. – I oczywiście wcale nią nie była.

– A więc skąd ten list? – chciał wiedzieć Christian. – Dlaczego wydawca kontaktował się z pani matką?

Clara zamrugła.

– Wydaje mi się, że mama przesłała mu jedno z opowiadań Elizy. Z listu wynikało, że znalazła je w pudle, wśród innych rzeczy i uznała, że ktoś powinien je przeczytać. Wychodzi na to, że Eliza napisała je na krótko przed wyjazdem. Była to piękna baśń, pełna nadziei i ze szczęśliwym zakończeniem.

Cassandra pomyślała o znalezionej w dzienniku Nell kserokopii artykułu.

– *Lot kukulki?* – spytała.

– Nie inaczej – odparła Clara, w głosie staruszki pobrzmiwała radość, jakby to ona była autorką baśni. – Czytałaś ją?

– Czytałam o niej, ale nigdy jej nie widziałam. Została opublikowana długo po tym, jak wydano zbiór baśni.

– Zgadza się. Jeśli wierzyć listowi, był to rok tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty. Mama była z siebie naprawdę zadowolona. Czuli, że zrobiła coś dla Elizy. Prawda była bowiem taka, że bardzo za nią tęskniła.

Cassandra pokiwała głową. Czuli, że za chwilę pozna odpowiedzi na wszystkie nurtujące ją pytania.

– Istniała między nimi silna więź, prawda?

– Tak, to prawda.

– Jak pani myśli, co tak bardzo je do siebie zbliżyło? – Przygryzła usta i próbowała opanować emocje.

Clara splótła dłonie i położyła je na kolanach.

– Obie brały udział w czymś, o czym nikt inny nie miał pojęcia.

Cassandra poczuła, jak coś w niej pęka.

– Ale w czym? – spytała słabym głosem. – Co powiedziała pani mama?

– Powiedziała mi o tym tuż przed śmiercią. Wciąż powtarzała, że wydarzyło się coś potwornego i ci, którzy się tego dopuścili, myśleli, że są bezkarni. W kółko mówiła to samo.

– Jak pani myśli, co chciała przez to powiedzieć?

– Z początku w ogóle nie zwracałam na to uwagi. Pod koniec życia mama często mówiła dziwne rzeczy. Obrażała naszych starzych, dobrych znajomych. Nie była sobą. „Wszystko jest w baśni, powtarzała. Odebrali je młodej dziewczynie i odprawili ją z kwitkiem”. Nie miałam pojęcia, o czym mówi ani o jaką baśń chodzi. W końcu powiedziała mi to otwarcie. – Clara zaczerpnęła powietrza i pokiwała ze smutkiem głową. – Rose Mountrachet nie była matką tej małej dziewczynki, twojej babki.

Cassandra odetchnęła z ulgą. Wreszcie usłyszała słowa prawdy.

– Wiem – odparła, ujmując w dłonie drżące ręce Clary. – Nell była dzieckiem Mary. To z powodu ciąży Mary została wyrzucona z Blackhurst.

Twarz Clary nie zdradzała żadnych emocji. Staruszka w milczeniu spoglądała to na Cassandrę, to na Christiana, aż w końcu wybuchnęła ciepłym serdecznym śmiechem.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona Cassandra. – Co panią tak bawi? Wszystko w porządku?

– To prawda, moja mama była w ciąży, ale nigdy nie urodziła tego dziecka. Poroniła w dwunastym tygodniu ciąży.

– Co?

– Właśnie to chciałam wam powiedzieć. Nell nie była moją siostrą, była dzieckiem Elizy.



– Eliza była w ciąży! – Cassandra rozwiązała szalik i cisnęła go na wierzch torby leżącej na podłodze samochodu.

– Eliza była w ciąży – powtórzył Christian, bębniąc palcami w kierownicę.

Włączył ogrzewanie, co sprawiło, że opuszczali Polperro przy wórze warczącej i klekoczącej chłodnicy. Gęsta mgła, która podstępem wdarła się na wybrzeże, sprawiła, że majaczące w oddali światła łodzi przywodziły na myśl upiorne ślepie morskich bestii.

Cassandra w osłupieniu wpatrywała się przed siebie, czując, że jej umysł jest równie zamglony jak otaczający ją świat.

– Eliza była w ciąży. Była matką Nell. Dlatego wzięła ją ze sobą.
– Zdawało jej się, że jeśli wypowie te słowa głośno wystarczającą ilość razy, nabiorą sensu.

– Chyba właśnie o to chodziło.

Przekrzywiła głowę i pomasowała obolały kark.

– Wciąż nie rozumiem. Wszystko się zgadzało, kiedy myślałam, że to Mary była matką Nell. Teraz, gdy wiem, że to Eliza... Nie rozumiem, w jaki sposób Ivory trafiła pod opiekę Rose. Dlaczego Eliza pozwoliła jej zatrzymać dziecko? I jak to możliwe, że nikt o tym nie wiedział?

– Oprócz Mary.

– Tak, oprócz Mary.

– Myślę, że utrzymywali to w tajemnicy.

– Rodzina Elizy?

Pokiwał głową.

– Była samotna, młoda, znajdowała się pod ich opieką i nagle okazało się, że jest w ciąży. Fatalna sprawa.

– Pytanie tylko, kim był ojciec dziecka?

Christian wzruszył ramionami.

– Któryś z miejscowych młodzieńców? Spotykała się z kimś?

– Nie wiem. W pamiętniku wyczytałam, że przyjaźniła się z bratem Mary, Williamem. Byli ze sobą blisko, dopóki coś ich nie różniło. Może to on był ojcem?

– Kto wie? Myślę, że teraz to bez znaczenia. – Spojrzał na nią. – To znaczy, oczywiście, że to istotne, dla ciebie i dla Nell, ale najważniejsze, że wiemy już, że to Eliza była w ciąży, nie Rose.

– To znaczy, że przekonali Elizę, by oddała Rose swoje dziecko.

– Tak było łatwiej dla wszystkich.

– To sprawa dyskusyjna.

– Miałem na myśli kwestie społeczne. Później Rose zginęła...

– A Eliza odzyskała córeczkę. Brzmi sensownie. – Cassandra patrzyła na mgłę, której mlecznobiałe pasma kłębiły się w przydrożnych trawach. – Ale dlaczego nie wsiadła razem z nią na statek do Australii? Po co miałaby odzyskiwać dziecko, jeśli zamierzała wy-

śłać je w niebezpieczną podróż na drugi koniec świata? – Cassandra westchnęła. – Mam wrażenie, że im bliżej jesteśmy odpowiedzi, tym bardziej zagmatwana robi się ta historia.

– Może jednak z nią popłynęła? Może coś jej się stało podczas podróży? Może zachorowała? Clara była pewna, że popłynęły razem.

– Ale Nell pamiętała, że Eliza wprowadziła ją na pokład, powiedziała jej, żeby czekała, odeszła i już nigdy nie wróciła. Tej jednej rzeczy była absolutnie pewna. – Cassandra nerwowo skubała paznokcie kciuka. – Jakie to irytujące. Myślałam, że dziś poznamy odpowiedź. Nie liczyłam na kolejne pytania.

– Jedno jest pewne, *Złote jajo* nie było historią Mary. Eliza pisała o sobie. To ona była dziewczyną w leśnej chatce.

– Biedna Eliza – westchnęła Cassandra, patrząc na przemykający za oknem ponury świat. – Życie strażniczki po tym, jak oddała złote jajo, było takie...

– Beznadziejnie smutne.

– Tak. – Cassandra zadrżała. Jak nikt inny poznała smak straty, która odbiera człowiekowi chęć do życia, czyniąc z niego bladą, kruchą skorupę. – Nic dziwnego, że przy pierwszej nadarzającej się okazji odebrała Nell. – Cassandra zrobiłaby wszystko, gdyby tylko mogła dostać od losu drugą szansę.

– A zatem wracamy do punktu wyjścia, czyli pytania: dlaczego kobieta, która właśnie odzyskała córkę, nie wsiadła z nią na statek?

Cassandra pokręciła głową.

– Nie wiem. To nie ma sensu.

Minęli znak obwieszczający, że właśnie wjeżdżają do Tregenny. Tuż za nim Christian zjechał z głównej drogi.

– Wiesz, co myślę?

– Co takiego? – spytała Cassandra.

– Myślę, że powinniśmy skoczyć do pubu na późny lunch i obgadać całą sprawę. Zobaczymy, może uda nam się coś wykombinować. Jestem pewien, że piwo rozjaśni nam w głowach.

Cassandra się uśmiechnęła.

– Jasne, nic tak nie rozjaśnia umysłu jak dobre piwo. Możemy tylko zajrzeć do hotelu? Wezmę kurtkę.

Christian wjechał na biegnącą pośród drzew główną drogę i za-

wrócił w kierunku hotelu Blackhurst. Czająca się w rowach nieruchoma wilgotna mgła nie pozwalała na szybką jazdę.

– Zaraz wracam – rzuciła Cassandra, zatrzymując za sobą drzwi. Chwilę później wbiegła po schodach i znikła w holu. – Cześć, Sam! – zawołała, machając do recepcjonistki.

– Hej, Cass, ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Zaskoczona Cassandra zatrzymała się.

– Robyn Jameson czeka w holu od mniej więcej pół godziny.

Cassandra odwróciła się, zerkając na samochód i siedzącego w nim Christiana, który majstrował coś przy radiu. Nic mu nie będzie, jeśli zaczeka minutę dłużej.

Nie miała pojęcia, jakie wieści przynosi Robyn, ale podejrzewała, że przekazanie ich nie zajmie dużo czasu.

– Witaj, moja droga! – wykrzyknęła Robyn. – Coś mi mówi, że spędziłaś poranek, gawędząc z moją drugą kuzynką Clarą.

Prędkość, z jaką plotki docierały tu do kolejnych uszu, była iście imponująca.

– Masz rację.

– Mam nadzieję, że miło spędziłaś czas.

– Dziękuję, rzeczywiście było bardzo miło. Długo czekasz?

– Ależ nie. Mam coś dla ciebie. Mogłam zostawić to w recepcji, ale pomyślałam, że lepiej, jeśli wszystko wyjaśnię osobiście.

Cassandra uniosła brwi.

– W weekend odwiedziłam ojca w domu emeryta. Staruszek lubi, gdy opowiadam mu wszystkie nowinki. Był niegdyś naczelnikiem poczty. Wspomniałam mu o twoim przyjeździe i o tym, że remontujesz chatkę, którą zostawiła ci twoja babka. Szkoda, że nie widziałas jego miny, gdy to usłyszał. Biedaczek, może i jest stary, ale ma złote serce i jest równie bystry jak jego ojciec. A więc wziął mnie pod ramię i oznajmił, że musi oddać ci pewien list.

– Mnie?

– Właściwie twojej babce, ale skoro biedaczka odeszła, list należy się tobie.

– Co to za list?

– Zanim twoja babka wyjechała z Tregenny, spotkała się z moim ojcem. Powiedziała mu, że niebawem wróci i prosiła, by prze-

chowywał dla niej wszelką korespondencję. Podobno wyraziła się w tej kwestii niezwykle jasno, tak więc, gdy przyszedł list, tata zrobił, jak mu kazano – przechowywał go na poczcie. Co kilka miesięcy brał list i jechał z nim do chatki, jednak wydawała się opuszczona. Wszędzie rosły gęste chaszcze, na sprzętach zalegała coraz grubsza warstwa kurzu, a dom sprawiał wrażenie opuszczonego. W końcu przestał tam jeździć. Miał problemy z kolanami i doszedł do wniosku, że twoja babka na pewno odwiedzi go po przyjeździe. W normalnej sytuacji zwróciłby list do nadawcy, jednak twoja babka była bardzo stanowcza, więc schował go i przechowywał przez wszystkie te lata. Powiedział, żebym zeszła do piwnicy i wyciągnęła pudełko z zaginionymi listami. Gdzieś między nimi miał być ten jeden, zaadresowany do Nell Andrews, Tregenna Inn, z listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego. I miał rację. List tam był.

Sięgnęła do torby, wyjęła małą szarą kopertę i wręczyła ją Cassandrze. Papier był tani i tak cienki, że prawie przezroczysty. Czyjaś ręka wypisała staroświeckim niedbałym pismem adres londyńskiego hotelu, a następnie zmieniła go na adres Tregenna Inn. Cassandra odwróciła kopertę.

Na odwrocie ta sama niechlujna ręka napisała: *Nadawca, Panna Harriet Swindell, 37 Battersea Church Road, Londyn, SW11.*

Widząc to, Cassandra przypomniała sobie wpis w dzienniku Nell. Harriet Swindell była kobietą, którą Nell odwiedziła w Londynie, staruszką, która urodziła się i dorastała w tym samym domu co Eliza. Ciekawe po co pisała do Nell?

Drżącymi palcami Cassandra otworzyła kopertę, delikatnie rozrywając cienki papier. Rozłożyła list i zaczęła czytać.

3 listopada 1975

Droga Pani Andrews!

Nie będę ukrywała, że odkąd pojawiła się pani przed moim domem, wypytując o baśniopisarkę, nie mogę przestać o tym myśleć. Zrozumie to pani, gdy dożyje pani mojego wieku – dla takich ludzi przeszłość to stary przyjaciel. Nieproszony gość, który nie chce wyjechać. Widzi pani, pamiętam ją. Pamiętam ją aż za dobrze, tyle że pani wizyta zupełnie mnie zaskoczyła.

Nieczęsto ludzie pojawiają się przed moimi drzwiami w porze herbaty. Nie byłam pewna, czy mam ochotę rozmawiać o przeszłości z zupełnie obcą osobą. Moja bratanica Nancy mówi, że powinnam, że wszystko to wydarzyło się dawno temu i teraz jest bez znaczenia. Dlatego postanowiłam do pani napisać. Piszę, ponieważ Eliza Makepeace wróciła, by spotkać się z moją matką. Jeden jedyny raz, ale dobrze pamiętam to spotkanie. Miałam szesnaście lat i jeśli dobrze liczę, musiał to być rok 1913.

Od początku wiedziałam, że było w niej coś dziwnego. Cóż z tego, że miała na sobie eleganckie ubrania damy, skoro nie zachowywała się jak dama. Wręcz przeciwnie, było w niej coś, co sprawiało, że przypominała nas z 35 Battersea Church Road. Coś, co odróżniało ją od innych wykwintrych dam, które widywało się na ulicach Londynu. Kiedy weszła do sklepu, wydała mi się poruszona, jakby się spieszyła i nie chciała, by ktokolwiek ją zobaczył. Przyznam, że był to niecodzienny i trochę podejrzany widok. Powitała mamę skinieniem głowy, jakby się знаły. Mama natomiast odpowiedziała uśmiechem, co wprawiło mnie w jeszcze większe zdumienie, gdyż nieczęsto widziałam, żeby tak witała swych klientów. Pomyślałam sobie, kimkolwiek jest ta kobieta, mama musi wiedzieć, że znajomość z nią to dobry interes.

Gdy przemówiła, jej głos był czysty i melodyjny. Co dziwne, wydał mi się znajomy i słuchając go, miałam wrażenie, że już go słyszałam. Był to jeden z tych głosów, których tak chętnie słuchają dzieci, głosów, które opowiadają o wrózkach i chochlikach, nie pozostawiając wątpliwości co do ich istnienia.

Podziękowała mamie, że zgodziła się z nią spotkać, i oznajmiła, iż na kilka lat opuszcza Anglię. Pamiętam, że bardzo chciała wejść na górę i zobaczyć pokój, w którym niegdyś mieszkała. Paskudną małą klitkę na poddaszu, zimną i ciemną, z nieużywanym kominkiem i bez okien. Powtarzała, że chce tam zajrzeć przez wzgląd na stare czasy.

Akurat wtedy mama nie miała żadnych lokatorów – spierała się z kimś o należne jej pieniądze – więc z chęcią przystała na prośbę kobiety. Powiedziała jej, żeby poszła na górę i została tam

tak długo, jak tylko chce. Nawet wstawiła wodę na herbatę.

Patrzyła, jak kobieta wchodzi na górę, po czym przywołała mnie do siebie. Idź za nią na górę, powiedziała, i dopilnuj, żeby nie wróciła tu za szybko. Byłam przyzwyczajona do rozkazów mamy i kar, jakie mi wymierzała, kiedy jej nie słuchałam, więc zrobiłam, co mi kazała, i poszłam na górę.

Zanim dotarłam na podest, kobieta zamknęła za sobą drzwi do pokoju. Jedyne, co mogłam zrobić, to zostać tam, gdzie byłam, i zadbać o to, by nie zeszła na dół. Zzerała mnie jednak ciekawość. Za nic nie mogłam zrozumieć, dlaczego zamknęła drzwi. Jak już wspomniałam, w pokoju nie było okien, więc jedynym źródłem światła było wejście.

Wiedziałam, że tuż przy podłodze szczury wygryzły dziurę, dlatego położyłam się na brzuchu i przyciskając policzek do zimnych desek, zerknęłam przez szparę. Patrzyłam, jak kobieta staje pośrodku pokoju i się rozgląda. Widziałam, jak podchodzi do starego kominka, siada na krawędzi i sięga ręką w głębi komina. Zdawało mi się, że siedziała tak całą wieczność. W końcu jednak cofnęła dłoń i zobaczyłam, że ściska w niej małe gliniane naczynie. Byłam tak zaskoczona, że musiałam wydać jakiś dźwięk, bo kobieta podniosła na drzwi przerażone spojrzenie. Wstrzymałam oddech i po chwili jej uwaga znów skupiła się na naczyniu. Tym razem jednak przyłożyła je do ucha i delikatnie potrząsnęła. Z wyrazu jej twarzy wyczytałam, że jest zadowolona z tego, co usłyszała. Włożyła naczynie do ukrytej w fałdach sukni sekretnej kieszeni i ruszyła do drzwi.

Ja tymczasem zbiegłam na dół i powiedziałam mamie, że nadchodzi. Zdziwiłam się, widząc, że mój mały braciszek Tom stoi w drzwiach, dysząc ze zmęczenia. Nie miałam jednak czasu zapytać go, gdzie był. Mama patrzyła na schody, więc ja także na nie spojrzałam. Kobieta podziękowała mamie za gościnę i przeprosiła, że nie zostanie na herbatę, tłumacząc, iż bardzo się spieszy. Dopiero wtedy dostrzegłam mężczyznę, który czał się w mroku u podnóża schodów. Człowieka w zabawnych małych okularach – takich, które nie mają zauszników, tylko spinający szkła cienki drucik, który zaciska się na nosie. Człowiek ten

trzymał w dłoni gąbkę, a gdy kobieta stanęła u podnóża schodów, podetknął ją jej pod nos, a ona nieprzytomna osunęła się w jego ramiona. Musiałam krzyknąć, bo kolejną rzeczą, jaką pamiętam, był siarczysty policzek wymierzony mi przez matkę.

Mężczyzna zignorował mnie i powlókł bezwładne ciało w kierunku drzwi. Z pomocą ojca wsadził kobietę do powozu, pożegnał mamę skinieniem głowy, wręczył jej kopertę i odjechał.

Później, gdy powiedziałam mamie, co widziałam w pokoju, dostałam solidną burę. „Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, ty głupia dziewczyno”, krzyczała mama. „To mogło być coś cennego. Należało nam się za fatygę”. Nie wspomniałam nawet, że mężczyzna w ciągniętym przez czarne konie eleganckim powozie zapłacił jej sowicie za naszego gościa. Jeśli chodzi o moją matkę, nigdy nie miała dość pieniędzy.

Nigdy więc nie widziałam tej kobiety i nie wiem, co się z nią stało po tym, jak nieprzytomna opuściła nasz dom. W naszym zakolu rzeki często działy się rzeczy, których normalny człowiek wolalby nie pamiętać.

Nie wiem, czy list ten okaże się pomocny, jednak Nancy powiedziała, że lepiej, żeby wiedziała pani o wszystkim. Dlatego postanowiłam napisać. Mam szczerą nadzieję, że odnajdzie pani to, czego szuka.

Z wyrazami szacunku,
panna Harriet Swindell

Zdobiona baśniowymi motywami waza firmy Wedgwood należała do jej ulubionych. Nell znalazła ją dziesiątki lat temu na jednym z zagraconych stoisk. Każdy szanujący się sprzedawca antyków znał jej cenę, jednak nie o nią chodziło. Ta bogato zdobiona waza przedstawiała zgoła inną wartość niż materialna, choć ta była równie imponująca. Po raz pierwszy Nell trafiła na prawdziwą żyłę złota w zupełnie niebywałych okolicznościach. Po latach, jak przystało na wytrawnego poszukiwacza złota, który przechowuje pierwszą bryłkę, niezależnie od jej wartości, Nell również nie potrafiła rozstać się z baśniową wazą.

Trzymała ją zawiniętą w ręcznik, schowaną bezpiecznie w najciemniejszym kącie bieliźniarki, po to tylko, by od czasu do czasu wyciągnąć ją i cieszyć oczy jej niebywałym pięknem: namalowanymi z boku ciemnozielonymi liśćmi, delikatnymi nitkami złota i ukrytymi pośród listowia duszkami w stylu art nouveau, których widok przywracał jej spokój.

Mimo to Nell postanowiła być stanowcza i zdecydowała, że oto nadeszła chwila, gdy może żyć bez swojego skarbu. Prawdę powiedziawszy, mogła się rozstać ze wszystkimi precjozami, które zgromadziła na przestrzeni lat. Podjęła już decyzję i nie zamierzała jej zmieniać. Zawinęła wazę w kolejną warstwę gazet i umieściła ją w pudle obok innych antyków. W poniedziałek zanieś je do sklepu i wyceni. Wiedziała też, że jeśli dopadną ją wątpliwości czy wyrzuty sumienia musi przypomnieć sobie, dlaczego to robi: aby zgroma-

dzić pieniądze na nowe życie w Tregennie.

Ach, jakże pragnęła wrócić do Anglii. Zwłaszcza teraz, gdy tajemnica stawiała się coraz bardziej skomplikowana. W końcu otrzymała wieści od detektywa Neda Morrisha, który prowadził w tej sprawie własne śledztwo i przesłał jej najświeższe wiadomości. Nell była w sklepie, gdy nowy klient, Ben Jakiśtam, przyniósł list. Na widok zagranicznych znaczków i charakteru pisma, starannego i spłaszczonego na dole, jakby pisanego od linijki, Nell poczuła oszałamiający przypływ emocji. Z trudem powstrzymała chęć rozrywania listu zębami. Odzyskała jednak panowanie nad sobą, znalazła uprzejmą wymówkę, by choć na chwilę wyrwać się ze sklepu i zanieść list do małej kuchenki na zapleczu.

Wiadomość była krótka. Nell potrzebowała zaledwie kilku minut, by ją przeczytać, a zawartość obudziła w niej jeszcze więcej wątpliwości. Według pana Morrisha Eliza Makepeace nie opuszczała Blackhurst ani w roku tysiąc dziewięćset dziewiątym, ani tysiąc dziewięćset dziesiątym. Przez cały ten czas pozostawała w chatce. Na potwierdzenie swych słów pan Morrish dołączył do listu kilka dokumentów – wywiad z kimś, kto, jak twierdził, pracował we dworze, korespondencję z londyńskim wydawcą adresowaną na adres domku – jednak aby je przeczytać, Nell musiała poczekać na bardziej dogodny moment. Tymczasem była zaskoczona informacją, że Eliza nie wyjechała i że przez cały czas mieszkała w domku na klifie. William był przekonany, że wyjechała. Mówił, że zniknęła z miasteczka na mniej więcej dwanaście miesięcy, a kiedy wróciła, była jakby odmieniona. Przygaszona, bez życia. Nell nie rozumiała, jak to możliwe, że wspomnienia Williama tak bardzo różnią się od raportu pana Morrisha. Postanowiła, że po powrocie do Kornwalii jeszcze raz odwiedzi staruszka. Może on będzie potrafił wyjaśnić tę rozbieżność.

Nell otarła czoło wierzchem dłoni. Koszmarny dzień, ale tak właśnie wygląda styczeń w Brisbane. Mimo iż bezchmurne niebo przypomina kopułę z gładkiego, nieskazitelnie czystego szkła, późnym popołudniem zerwie się burza. Nell nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Zbyt długo żyła na tym świecie, by wiedzieć, że gdzieś poza zasięgiem wzroku czają się wściekle, skłębione chmury.

Zza okna dobiegł odgłos zatrzymującego się samochodu. War-
kot silnika brzmiał jednak dziwnie obco, był zbyt hałaśliwy jak
na mini Howarda i zbyt piskliwy jak na potężnego forda, którym
jeździł Hogan. Po chwili samochód z łoskotem wtoczył się na kra-
węznik. Nell pokręciła głową, zadowolona, że nigdy nie nauczyła
się jeździć, a co za tym idzie, nie potrzebuje samochodu. Przekłęte
maszyny, wyzwalają w ludziach to, co najgorsze.

Whiskers wygięła się w pałąk. Koty. To za nimi będzie tęskniła.
Chętnie wzięłaby je ze sobą, ale dokarmianie cudzych kotów to jed-
no, a porywanie ich to zupełnie inna sprawa.

– Co jest, panno wścibska? – rzuciła, zanurzając palce w cie-
płym miękkim futerku. – Nie przejmuj się tym starym hałaśliwym
samochodem.

W odpowiedzi Whiskers miauknęła, zeskoczyła ze stołu i zerk-
nęła na Nell.

– O co chodzi? Myślisz, że ktoś chce się z nami zobaczyć? Praw-
dę powiedziawszy, nie mam pojęcia, kto mógłby to być. Gdybyś
jeszcze nie zauważyła, nie jesteśmy specjalnie towarzyskie.

Kotka przemknęła jednak po podłodze i podbiegła do tylnych
drzwi. Nell odłożyła stos gazet.

– W porządku, moja pani – westchnęła. – Tym razem wygrałaś.
Wyrzę, czy mamy gości. – Podrapała kotkę po grzbiecie i ruszyła
wąską betonową ścieżką. – Myślisz, że jesteś bystra, co? Wydaje ci
się, że tańczę, jak mi zagrasz...

Zatrzymała się przy rogu domu. Samochód – jak się okazało
potężne kombi – rzeczywiście zatrzymał się przed jej domem. Jego
właścicielka, kobieta w dużych brązowych okularach przeciwsło-
necznych i kusych szortach, szła właśnie w kierunku Nell. Tuż za
nią wlokło się chude przygarbione dziecko.

One również się zatrzymały i przez chwilę wszystkie trzy spo-
glądały na siebie w milczeniu.

– Chyba ustaliłyśmy, że następnym razem uprzedzisz mnie te-
lefonicznie o swoim przyjeździe.

Nell jako pierwsza odzyskała głos.

– Też się cieszę, że cie widzę, mamó – rzuciła Lesley i przewró-
ciła oczami, jak wtedy, gdy miała piętnaście lat. Był to irytujący na-

wyk. Zarówno wtedy, jak i teraz.

Nell poczuła, że gdzieś z zakamarków umysłu wypływają na powierzchnię stare żale. Nie była dobrą matką i dobrze o tym wiedziała, jednak było za późno, by cokolwiek naprawiać.

– Jestem w trakcie sortowania pudeł na aukcję – rzuciła Nell, starając się zapanować nad ściśniętym gardłem. Nie był to najlepszy moment, by wspominać Lesley o wyjeździe do Anglii. – W domu panuje bałagan, nie ma nawet gdzie usiąść.

– Przeżyjemy. – Lesley pstryknęła palcami w kierunku Cassandry. – Twojej wnuczce chce się pić. Cholernie tu gorąco.

Nell zerknęła na dziewczynkę. Długie nogi i ręce, kościste kolana, spuszczone smętnie głowa. Nie ma wątpliwości, niektóre dzieci przychodziły na świat z poważnymi problemami.

Spośród wszystkich wspomnień na powierzchnię umysłu wypłynęło to jedno jedyne. Twarz Christiana, chłopca, którego przyłapała w kornwalijskim ogrodzie. Osieroconego przez matkę dziecka z poważnymi brązowymi oczami. „Czy twoja wnuczka lubi ogrody?” – spytał, a ona, Nell, nie potrafiła mu odpowiedzieć.

– Dobrze więc. Lepiej wejdźcie do środka.

48

Posiadłość Blackhurst, 1913

Końskie kopyta tratowały zimną wyschniętą ziemię. Powóz gnał na zachód w kierunku Blackhurst, jednak Eliza niczego nie słyszała. Gąbka pana Mansella spełniła swoje zadanie i umysł Elizy pogrążył się w oparach chloroformu, a jej bezwładne ciało leżało porzucone w najciemniejszym kącie powozu...

Głos Rose, delikatny i łamiący się:

– Jest coś, czego potrzebuję, coś, co tylko ty możesz dla mnie uczynić. Moje ciało zawodzi mnie tak, jak zawodziło mnie przez całe życie, ale twoje, droga kuzynko, twoje ciało jest silne i zdrowe. Chcę, żebyś urodziła mi dziecko, dziecko Nathaniela.

Eliza, która tak długo czekała, która tak desperacko pragnęła czuć się potrzebna i przez całe życie szukała pokrewnej duszy, nie musiała się zastanawiać.

– Oczywiście – odparła. – Oczywiście, że ci pomogę, Rose.

Przychodził każdej nocy przez okrągły tydzień. Ciotka Adeline z pomocą doktora Matthews dokonała koniecznych obliczeń i Nathaniel robił, co mu kazano. Przechodził przez labirynt, szedł w stronę domku i stawał pod drzwiami Elizy.

Pierwszej nocy Eliza czekała w środku, krążąc po kuchni i zastanawiając się, czy przyjdzie i czy powinna była coś przygotować. Myślała, jak w takich sytuacjach zachowują się inni ludzie. Bez wahania przystała na propozycję Rose i w kolejnych tygodniach nie zastanawiała się nad tym, czego wymagać będzie owo zobowiązanie. Była zbyt wdzięczna losowi, że Rose znów jej potrzebuje. Dopiero

w przeddzień spotkania z Nathanielem rozumiała, że to, co jeszcze niedawno było tylko słowami, niebawem stanie się rzeczywistością.

Nie było jednak rzeczy, której nie zrobiłaby dla Rose. Powtarzała sobie, że jej czyny już na zawsze scementują łączącą je więź, niezależnie od tego, jak potworny okaże się sam akt. Słowa te były jak mantra, jak zaklęcie. Ona i Rose będą ze sobą związane jak nigdy dotąd. Miłość Rose obudzi się na nowo, jednak tym razem z dużo większą siłą. Rose już nigdy więcej nie porzuci kuzynki. Przecież Eliza robi to wszystko dla niej.

Kiedy pierwszej nocy usłyszała pukanie do drzwi, powtórzyła swoją mantrę, otworzyła drzwi i wpuściła Nathaniela do domu.

Przez chwilę stał w przedpokoju, wyższy, niż go zapamiętała, i bardziej mroczny. Dopiero gdy wskazała wieszak, zdjął płaszcz i uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Wtedy zrozumiała, że jest tak samo zdenerwowany jak ona.

Poszedł za nią do kuchni, jakby widok stołu i jego trwałość dawała obojgu poczucie bezpieczeństwa. Usiadł i odchylił się na krzesło.

Eliza stanęła po przeciwnej stronie stołu, nerwowo wycierając ręce w spódnice i zastanawiając się, co powiedzieć. Chciała, aby zrobili to, co konieczne, i mieli to już za sobą. Nie było sensu przedłużać tego okropnego uczucia zakłopotania. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, jednak Nathaniel był szybszy...

– ...pomyślałem, że chciałabyś je zobaczyć. Pracowałem nad nimi przez miesiąc.

Zauważyła, że przyniósł ze sobą skórzaną teczkę.

Położył ją na stole i wyciągnął ze środka plik kartek.

– Zacząłem od *Polowania na wróżki*. – Wyciągnął do niej kartkę, a gdy ją wzięła, poczuła, jak drżą mu dłonie.

Zerknęła na szkic: czarne kreski i szrafowane cienie. Błada chuda kobieta leżąca na niskim łóżku w zimnej mrocznej wieży. Jej twarz tworzyły cienkie długie linie. Była piękna, magiczna i ulotna, zupełnie tak, jak opisała ją Eliza. Jednak w interpretacji Nathaniela było coś niepokojąco dziwnego, coś, co skupiało się w zaszczutej twarzy uwięzionej kobiety. Patrząc na nią, Eliza zobaczyła własną matkę. Podobieństwo było subtelne: kształt ust, chłodne migdałowe oczy,

wysokie kości policzkowe. Jakimś cudem, z pomocą magii, Nathaniel zaklął Georgianę w tym pozbawionym życia ciele. Uchwycił jej znużenie i nietypową dla niej rezygnację. Co dziwniejsze, szkic uświadomił Elizie, że w bajce o zamkniętej w wieży, zaszcutej wróżce, opisała własną matkę.

Podniosła wzrok i spojrzała w ciemne oczy, które wejrzały w głąb jej duszy. Kiedy Nathaniel odpowiedział spojrzeniem, rozlewający się wokół nich blask ognia nagle stał się cieplejszy.



Okoliczności potęgują doznania. Ich głosy były zbyt głośne, ruchy zbyt gwałtowne, powietrze zbyt zimne. Akt nie był wcale tak ohydny, jak się tego obawiała; nie był też czymś pospolitym. Delektowała się nim i jego niespodziewanym pięknem. Bliskością, intymnością, której od dawna już nie zaznała. Tamtej nocy czuła się częścią jakiejś cudownej całości.

Oczywiście myliła się, a sam fakt, że coś podobnego przyszło jej do głowy, był jak zdrada i policzek wymierzony Rose. A jednak... Sunące po plecach delikatne palce. Jego dłonie na jej karku, udzie. Ciepło, które czuła, gdy ich ciała się dotykały. Jego oddech na jej szyi...

W pewnym momencie otworzyła oczy i patrzyła na jego twarz, wypisane na niej uczucia i emocje. A gdy i on niespodziewanie otworzył oczy, poczuła się tak cielesna jak nigdy dotąd. Rzeczywista i realna.

Nagle wszystko dobiegło końca, a trwająca krótką chwilę fizyczna więź zniknęła bezpowrotnie. Ubrali się i Eliza sprowadziła go na dół. Przez chwilę stali przy drzwiach, rozmawiając o ostatnim wpływie i nadchodzącym załamaniu pogody. Ot, uprzejma rozmowa, jakby Nathaniel wstąpił na chwilę, by pożyczyć książkę.

Kiedy w końcu niechętnie dotknął klamki, zapadła niezręczna cisza. Poczuli ciężar tego, co wydarzyło się przed chwilą. Otworzył drzwi i znowu je zamknął. Stał tak przez moment, zanim w końcu spojrzał jej w twarz.

– Dziękuję – szepnął. Skinęła głową. – Rose chce... Pragnie...

Znowu pokiwała głową, a on odpowiedział słabym uśmiechem.

Otworzył drzwi i zniknął w ciemnościach.



Mijały dni, w czasie których to, co niezwykle, spowszedniało, a do codziennych spotkań wkradła się rutyna. Nathaniel przychodził, przynosząc kolejne szkice, po czym rozmawiali na temat baśni i ilustracji. Przyniósł także ołówki i na bieżąco dokonywał koniecznych zmian. Często, gdy szkice były już gotowe, rozmowa schodziła na inne tematy.

Rozmawiali nawet wtedy, gdy już po wszystkim leżeli w wąskim łóżku na poddaszu. Nathaniel opowiadał o swojej rodzinie i problemach, z jakimi zmagał się w młodości. Mówił o ojcu, który pracował na nabrzeżu, i dłoniach matki, spracowanych i popękanych od prania. W zamian za to Eliza opowiadała mu o rzeczach, o których nigdy nikomu nie mówiła: o matce i ojcu, którego nigdy nie poznała, a także o sekretnym marzeniu, by – tak jak on – podróżować po morzach i oceanach. Więź, która między nimi powstała, była tak silna i tak intymna, że Eliza odważyła się opowiedzieć mu o Sammym.

Tak minął tydzień i ostatniej nocy Nathaniel przybył nieco wcześniej. Patrząc na niego, Eliza miała wrażenie, że nie ma ochoty na to, co ich czeka. Usiedli po przeciwnych stronach stołu, jak wtedy, gdy przyszedł do niej po raz pierwszy, jednak tym razem żadne z nich nie śmiało powiedzieć choćby słowa. Nagle, bez ostrzeżenia, Nathaniel ujął kosmyk jej długich rudych włosów, które ciepłe światło świecy zmieniło w płynne złoto. Przez chwilę patrzył w skupieniu, jak rozsypują się między jego palcami. Jego twarz ginęła w cieniu, a w czarnych oczach czaiły się niewypowiedziane myśli. Widząc to, Eliza poczuła, jak coś ciepłego chwyta ją za serce.

– Nie chcę, żeby to się skończyło – wyznał w końcu. – To głupie, wiem, ale czuję...

Przerwał, bo szczypty palec Elizy zamknął mu usta.

Czuła pod ciasnym gorsetem bicie swojego serca i modliła się, by zamilkł. Nie wolno mu dokończyć tego zdania – choć zdradziłaby część jej samej pragnęła, by było inaczej – ponieważ słowa mają moc. Nikt nie wiedział o tym lepiej od Elizy. I tak pozwolili sobie na zbyt wiele. W obowiązującej ich umowie nie było miejsca na uczu-

cia.

Pokręciła głową, na co on odpowiedział skinieniem. Przez jakiś czas unikał jej wzroku i siedział pogrążony w milczeniu. Dopiero gdy sięgnął po papier i ołówek, zapragnęła powiedzieć mu, że zmieniła zdanie.

Kiedy wyszedł tamtej nocy, miała wrażenie, że cały dom pogrążył się w ciszy i pustce. Na stole, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą siedział Nathaniel, znalazła skrawek papieru, a na nim narysowaną ołówkiem swoją twarz.



Jeszcze przed końcem pierwszego miesiąca Eliza wiedziała, że się udało. Chodziło o niewyjaśnione poczucie czyjejs obecności, które towarzyszyło jej nawet wtedy, gdy była zupełnie sama. Potem, gdy nie dostała miesiączki, była już pewna. Mary, która niedawno straciła dziecko, wróciła do Blackhurst i stała się posłańcem szybko i sprawnie przekazującym informacje między dworem a chatką. Gdy Eliza powiedziała jej, że spodziewa się dziecka, westchnęła i kręcąc głową, zaniósła wieści ciotce Adeline.

Wkrótce wokół chatki zbudowano mur chroniący brzemienną Elizę przed oczami ciekawskich. W okolicy rozeszły się plotki, że dziewczyna wyjechała i niebawem świat o niej zapomniał. Po raz kolejny życie udowodniło, że najprostsze kłamstwa są również najskuteczniejsze. Wszyscy wiedzieli o tym, jak bardzo Eliza pragnęła podróżować. Nikogo zatem nie zdziwił fakt, że wyjechała bez słowa. Co noc Mary zanosila do domu prowiant i niezbędne rzeczy, podczas gdy lekarz ciotki Adeline, doktor Matthews, co dwa tygodnie odwiedzał Elizę pod osłoną nocy, by sprawdzić, jak rozwija się ciąża.

Mimo iż w ciągu kolejnych miesięcy Eliza prawie w ogóle nie widywała ludzi, nie czuła się samotna. Śpiewała do swego nabrzmiałego brzucha, szeptem opowiadała mu bajki, miała dziwne, tętniące życiem sny. Chatka kurczyła się wokół niej jak stary ciepły kożuch.

Był jeszcze ogród, miejsce, w którym czuła się naprawdę szczęśliwa, piękniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Teraz, gdy niosła pod sercem maleńką kruchą istotę, miała wrażenie, że kwiaty rosną szybciej, a ich zapach jest jeszcze słodszy. Pewnego dnia, gdy siedziała

pod jabłonią, rozkoszując się ciepłym, przesyconym słońcem powietrzem, zasnęła. We śnie usłyszała opowieść, baśń, której słowa były tak wyraźne, jak gdyby ktoś uklęknął tuż obok i szeptał jej do ucha. Była to historia młodej dziewczyny, która pokonała lęki i przebyła długą drogę, by odkryć prawdę.

Eliza obudziła się przekonana, że sen niesie ważne przesłanie i należy przelać go na papier. W przeciwieństwie do innych sennych inspiracji ta nie wymagała wielu zmian, a kluczem do niej było jej własne nienarodzone dziecko. Eliza nie potrafiła tego wytłumaczyć, jednak czuła, że to dzięki niemu pojęła sens całej historii.

Jeszcze tego samego dnia napisała baśń zatytułowaną *Oczy wiedzmy*, a w ciągu kolejnych tygodni często myślała o ograbionej z prawdy starej, smutnej kobiecie. Choć nie widziała Nathaniela od ich ostatniej wspólnej nocy, wiedziała, że wciąż rysuje ilustracje do jej książki i pragnęła zobaczyć te zainspirowane jej najnowszą opowieścią. Pewnej nocy, gdy Mary przyniosła zapasy, Eliza spytała o niego i spokojnym głosem poprosiła, by pokojówka przekazała mu, że chętnie się z nim spotka. Słyszając to, Mary pokręciła głową.

– Pani Walker nigdy się na to nie zgodzi – odparła, zniżając głos, mimo iż były same. – Słyszałam, jak płakała i rozmawiała o tym z panią. Pani powiedziała, że nie powinien przechodzić przez labirynt i spotykać się z panienką. Nie po tym, co się wydarzyło. – Zerknęła na okrągły brzuch Elizy. – Powiedziała, że sprawy mogą się skomplikować.

– Ależ to niedorzeczne – broniła się Eliza. – To, co zrobiliśmy, zrobiliśmy dla Rose. Oboje ją kochamy. Zrobiliśmy to, o co nas prosiła, by dać jej to, czego tak bardzo pragnie.

Mary, która jasno wyraziła swoje zdanie na temat tego, co zrobiła Eliza i co zamierza zrobić po urodzeniu dziecka, nie odezwała się słowem.

– Chcę tylko porozmawiać z nim na temat ilustracji – westchnęła poirytowana Eliza.

– To kolejna rzecz, która nie podoba się pani Walker – odparła Mary. – Nie pochwała tego, że jej mąż ilustruje baśnie panienki.

– Dlaczego miałyby mieć coś przeciwko temu?

– Z zazdrości. Nie może znieść myśli, że jej mąż poświęca czas

i energię, rozmyślając o opowieściach innej kobiety.

Po tej rozmowie Eliza przestała czekać na Nathaniela. Dała jednak rękopis *Oczu wiedźmy* Mary, która – wbrew zdrowemu rozsądkowi – obiecała przekazać go Nathanielowi. Kilka dni później pokojówka przyniosła prezent, ogrodową statuetkę chłopca o anielskiej twarzy. Eliza nie musiała czytać dołączonego listu, by wiedzieć, że Nathaniel wybrał posążek z myślą o Sammym. W liście przepraszał za to, że jej nie odwiedza, dopytywał się o jej zdrowie i wyznawał, jak bardzo urzekła go jej nowa baśń. Pisał, że zaklęta w niej magia tak bardzo zawiądnęła jego umysłem, że nie potrafił myśleć o niczym innym jak o ilustracjach, które dla niej wykona.

Rose pojawiała się w chatce zaledwie raz w miesiącu, jednak Eliza nauczyła się podchodzić do jej wizyt z rezerwą. Początki zawsze były miłe: Rose witała kuzynkę radosnym uśmiechem, pytała o jej samopoczucie i przy każdej okazji dotykała brzucha Elizy, by poczuć ruchy dziecka. Jednak w pewnym momencie z niewiadomych powodów zamykała się w sobie, splatała dłonie, unikała rozmowy, a nawet wzroku Elizy. Zamiast tego skubała palcami wypchaną sukienkę, dzięki której świat miał uwierzyć, że naprawdę jest w ciąży.

Kiedy minął szósty miesiąc, wizyty Rose się skończyły. Na próżno Eliza wypatrywała jej w wyznaczonym dniu, zastanawiając się, czy przypadkiem nie pomyliła terminu spotkania. Ale przecież został wyraźnie zaznaczony w jej dzienniku.

Z początku obawiała się, że Rose zachorowała. Nic bowiem nie było w stanie powstrzymać jej od spotkania. Kiedy więc w drzwiach pojawiła się Mary, Eliza natychmiast spytała o Rose.

Pokojówka podała Elizie koszyk i najwyraźniej unikając odpowiedzi, postawiła na płycie kuchennej czajnik z wodą.

– Mary? – zaczęła Eliza, wyginając się, by przesunąć dziecko, które coraz śmielej napierało na jej brzuch. – Nie możesz mnie chronić. Jeśli Rose nie czuje się najlepiej...

– To nie tak, panienko Elizo. – Mary odwróciła się od pieca. – Chodzi o to, że pani Walker uważa te wizyty za zbyt przygnębiające.

– Przygnębiające?

Mary starała się unikać jej wzroku.

– Po każdej z nich czuje się jeszcze bardziej zdruzgotana. Nie

może pogodzić się z tym, że panienka przypomina dojrzały owoc, podczas gdy ona wydaje się pustą skorupą. Kiedy wraca do domu, jej stan się pogarsza. Nie chce widzieć pana Walkera, warczy na panią, traci apetyt.

– A zatem tym niecierpliwiej czekam na narodziny dziecka. Kiedy przyjdzie na świat, Rose jako matka zapomni o podobnych stanach.

Po tych słowach dyskusja, którą prowadziły już dziesiątki razy, rozgorzała od nowa z jeszcze większą zjadłością. Mary kręciła głową, podczas gdy Eliza uparcie broniła swego stanowiska.

– To nie w porządku, panienko Elizo. Matka nie powinna, ot tak, oddawać swojego dziecka.

– To nie jest moje dziecko. Należy do Rose.

– Może pani zmienić zdanie, gdy nadejdzie czas rozwiązania.

– Nie zmienię zdania, Mary.

– Nie wie panienka...

– Nie poczuję się inaczej, ponieważ nie potrafię. Dałam słowo.

Gdybym zmieniła zdanie, Rose mogłaby tego nie przeżyć.

Mary uniosła brwi.

Tymczasem w głosie Elizy pobrzmiwało coraz większe zdecydowanie.

– Oddam dziecko i sprawię, że Rose znowu będzie szczęśliwa. Obie będziemy szczęśliwe, zupełnie jak wtedy, gdy byłyśmy dziewczynkami. Nie rozumiesz, Mary? Dziecko, które noszę pod sercem, zwróci mi moją Rose.

Mary uśmiechnęła się smutno.

– Może ma panienka rację – westchnęła, choć ton jej głosu zdradzał, że w to nie wierzy.



W końcu po długich miesiącach, kiedy to czas stanął w miejscu, nadeszło rozwiązanie. Dwa tygodnie wcześniej, niż się spodziewano. Ból, przejmujący ból, który zmieniał ciało w skrzypiący mechanizm. Mary, która jako pierwsza rozpoznała oznaki zbliżającego się porodu, dopilnowała, by Eliza nie była w tym czasie sama. Jej matka przez całe życie odbierała porody, więc Mary wiedziała, co należy

robić.

Poród przebiegł łagodnie, a dziecko było najpiękniejszą istotą, jaką Eliza widziała w życiu. Maleńka dziewczynka z uszkami jak muszelki, przyciśniętymi ciasno do główki, i ślicznymi bladymi paluszkami, które poruszały się zaskoczony muskającym je powietrzem.

Mary, która miała niezwłocznie poinformować Adeline o rozwiązaniu, przez kolejne dni ani słowem nie wspominała o dziecku. Rozmawiała wyłącznie z Elizą, namawiając ją, by zmieniła zdanie i zerwała ten potworny pakt. W kółko powtarzała, że nie powinno tak być i że nikt nie ma prawa wymagać od kobiety, by porzuciła własne dziecko.

Przez trzy dni i trzy noce Eliza i dziecko były zupełnie same. Ach, jakże dziwnie było widzieć istotkę, która jeszcze do niedawna żyła i rosła w jej ciele. Głaskać maleńkie rączki i nóżki, które zaledwie kilka dni temu od środka kopały jej brzuch. Patrzyć na miękkie usteczka. Mądrość malującą się na filigranowej twarzyczce, jak gdyby w pierwszych dniach życia dziecko posiadało wiedzę wszystkich minionych istnień.

Trzeciej nocy Mary przyszła do chatki i stojąc w progu, ogłosiła potworną nowinę. Na kolejną noc zaplanowano wizytę doktora Matthews. Mary zniżyła głos i ujęła w dłonie ręce Elizy, tłumacząc, że jeśli chce zatrzymać dziecko, musi natychmiast opuścić Blackhurst. Zabrać maleństwo i uciec stąd jak najszybciej.

I choć myśl o ucieczce zakiełkowała w sercu Elizy, szarpała jej sumieniem i zmuszała do działania, Eliza wyparła ją ze swego umysłu. Zignorowała rozdzierający ból w piersi i zapewniła Mary, że nie zamierza zmieniać zdania. Po raz ostatni spojrzała na swoje dziecko i wpatrując się w idealną maleńką twarzyczkę, starała się zrozumieć, jak to się stało, że wydała na świat tak cudowną istotę. Oderwała od niej wzrok dopiero wtedy, gdy dudnienie w głowie, piersi i duszy stało się nie do zniesienia. Zrobiła tak, jak obiecała: oddała Mary dziewczynkę i pozwoliła, by zniknęła z jej życia. Zamknęła drzwi i wróciła sama do pogrążonego w ciszy martwego domu. Gdy błąd świt rozlał się po zimowym ogrodzie, a ściany i ciemność przestały napierać na jej skulone ciało, Eliza pojęła, że nigdy wcześniej nie poznała potwornego bólu, jaki niesie ze sobą samotność.



Choć pogardzała wynajętym przez Linusa Mansellem i przeklinała go za to, że postawił na ich drodze przeszkodę zwaną Elizą, Adeline Mountrachet nie mogła zaprzeczyć, że człowiek ten wie, jak odnajdywać tych, którzy pragną ukryć się przed światem. Minęły zaledwie cztery dni, odkąd wyjechał do Londynu, a już dziś wezwano ją do telefonu, gdy siedząc w salonie, udawała, że haftuje.

Na szczęście Mansell wykazał się odrobiną taktu i był nadzwyczaj dyskretny. Nigdy nie wiadomo, kto może podsłuchiwać przy drugim aparacie.

– Dzwonię, by poinformować panią, że zdobyłem to, o co pani prosiła.

Adeline wstrzymała oddech. Tak szybko? Zniecierpliwienie, nadzieja i zdenerwowanie sprawiały, że poczuła w palcach nieprzyjemne mrowienie.

– Pozwoli pan, że zapytam, czy chodzi o większy, czy też może o mniejszy przedmiot?

– Większy.

Adeline przymknęła powieki, starając się zapanować nad oszalałym uczuciem ulgi zmieszanej z radością.

– Kiedy mogę spodziewać się dostawy?

– Niezwłocznie opuścimy Londyn. Sądzę, że pojawię się w Blackhurst jutro wieczorem.

Tak więc Adeline czekała. Krążąc po tureckim dywanie, wygładzając spódnice, warcząc na służbę i zastanawiając się, jak ukarać Elizę.



Eliza obiecała nie zbliżać się do domu i dotrzymała słowa. Jednak uważnie obserwowała życie w Blackhurst. Choć zgromadziła wystarczającą ilość pieniędzy, by udać się w podróż do dalekich, obcych krajów, coś ją powstrzymywało. Zupełnie jakby wraz z rodzinami dziecka kotwica, której poszukiwała całe życie, utkwiała w ziemi należącej do majątku.

Obecność dziecka przyciągała ją jak magnes, dlatego została.

Dotrzymała jednak słowa danego Rose i nie zbliżała się do posiadłości. Wkrótce odkryła, że istnieją inne miejsca, z których po kryjomu może obserwować dziewczynkę. Zupełnie jak wtedy, gdy była dzieckiem i leżąc w obskurnym ciemnym pokoiku w domu pani Swindell, podglądała świat. To, jak poruszał się, gnał i przemijał, podczas gdy ona nawet nie drgnęła.

Utrata dziecka spowodowała, że wraz z upływem czasu Eliza znów zanurzyła się w dawnym życiu. Zapomniała o swoim pochodzeniu i straciła sens życia. Pisała rzadko i tylko jedna z opowieści wydała jej się godna uwagi. Była to baśń o młodej kobiecie, która mieszkała w samym sercu mrocznego lasu. W imię szlachetnego celu podjęła niewłaściwą decyzję, która zrujnowała jej życie.

Miesiące i lata mijały jak we śnie, aż pewnego dnia w roku 1913 nadeszła przesyłka od londyńskiego wydawcy. Eliza natychmiast zanosła ją do domu, rozerwała papier i wzięła do rąk oprawny w skórę gruby tom. Usiadła w bujanym fotelu, otworzyła książkę i przytknęła ją do twarzy. Kartki pachniały świeżym tuszem i klejem introligatorskim, dokładnie tak, jak powinna pachnieć prawdziwa książka. Na sztywnych stronicach były jej baśnie, słowa, które wyszły spod jej pióra. Z nabożną czcią przewracała grube kartki, aż dotarła do baśni zatytułowanej *Oczy wiedźmy*. Czytając ją, przypomniła sobie przedziwny barwny sen i przytłaczające uczucie, że dziecko, które nosi pod sercem, jest kluczem do całej historii.

Nagle dotarło do niej, że to dziecko, jej dziecko, musi dostać egzemplarz baśni. Że mała dziewczynka i spisane na kartce słowa to poniekąd ta sama istota. Niewiele myśląc, zapakowała książkę w brązowy papier, zaczęła na odpowiednią okazję i po raz pierwszy złamała obietnicę: przeszła przez bramę na końcu labiryntu i zbliżyła się do domu.



W przeświecającym pomiędzy dwoma beczkami srebrzystym świetle słońca tańczyły pyłki kurzu. Dziewczynka uśmiechnęła się i Autorka, klif, labirynt, a nawet mama, zniknęli z jej myśli. Wyciągnęła palec, próbując pochwycić wirującą drobinę, i roześmiała się, gdy pyłek niespodziewanie umknął przed jej dotykem.

Dźwięki, które dochodziły spoza kryjówki, zaczęły się zmieniać. Dziewczynka usłyszała nagle poruszenie, zgiełk i podekscytowane głosy. Po chwili zbliżyła twarz do smugi światła i poczuła na policzku chłodny dotyk drewna. Jednym okiem zerknęła na pokład.

Nogi, buty i rąbki halek. Ogony wyciętych z papieru, łopoczących na wietrze, kolorowych wstęg i przebiegłe mewy krążące nad pokładem w poszukiwaniu okruchów.

Gwałtowne szarpnięcie i z trzewi ogromnego statku dobiegł przeciągły niski jęk. Deski pokładu zadrżały i dziewczynka poczuła pod palcami delikatne wibracje.

Po chwili nastała cisza. Dziewczynka wstrzymała oddech, wsparła się na dłoniach, czując, jak rozkołysany kolos odpycha się od doku. Zagrzmiały syreny, a tuż po nich rozbrzmiały okrzyki radości i życzenia: „Dobrej podróży”. Byli w drodze.



Przybyły do Londynu nocą. Mrok, gęsty i lepki, czał się w zakamarkach ulic, gdy idąc od strony dworca, zmierzały w kierunku rzeki. Dziewczynka była zmęczona – gdy dotarły do celu, Eliza musiała ją obudzić – jednak nie narzekała. Ścisnęła jej dłoń, posłusznie drepzcząc obok.

Tej nocy zatrzymały się w oberży i zamknięte w pokoju zjadły potrawkę z chlebem. Długa podróż dała im się we znaki, dlatego jadły w milczeniu, od czasu do czasu podnosząc znad łyżki ciekawski wzrok. Dziewczynka tylko raz spytała o rodziców, jednak Eliza odparła, że spotka ich, gdy dotrą do celu. Było to kłamstwo, ale jakże konieczne. Eliza potrzebowała czasu, by wyjaśnić dziewczynce, że zarówno Rose, jak i Nathaniel zginęli w wypadku i na zawsze odeszli z tego świata.

Po kolacji Ivory zasnęła na jedynym w pokoju łóżku, a Eliza usiadła przy oknie i w milczeniu spoglądała to na pogrążoną w mroku, choć wciąż tętniącą życiem ulicę, to na wierzące się pod kołdrą śpiące dziecko. Po jakimś czasie podeszła do łóżka i przyjrzała się drobnej twarzyczce, by po chwili uklęknąć przy niej i poczuć we włosach ciepły spokojny oddech. Była tak blisko, że z łatwością mogła policzyć drobniutkie piegi na twarzy dziewczynki. Ach, jakaż

ona piękna, pomyślała Eliza, patrząc na delikatną alabastrową skórę i podobne do pąka róży czerwone usta. Na twarzy dziecka malowała się ta sama mądrość, którą dostrzegła w pierwszych dniach po porodzie. Była to ta sama twarz, którą widywała w snach niezliczoną ilość razy.

Poczuła pragnienie, potrzebę – przypuszczała, że to właśnie ludzie nazywają miłością – tak dziką i gwałtowną, że nie miała już wątpliwości. Zupełnie jakby jej ciało rozpoznało dziecko, któremu dała życie i które znała tak dobrze jak własną dłoń, jak własne odbicie w lustrze i słyszany w ciemnościach własny głos. Ostrożnie, jak tylko mogła, położyła się na łóżku i zwinęła w kłębek, by nie zbudzić śpiącej dziewczynki. Kiedyś, bardzo dawno temu, w innym czasie i innym pokoju, robiła dokładnie to samo, tuląc się w mroku do ciepłego ciała Sammy'ego.

Eliza nareszcie wróciła do domu.



W dzień, w którym statek miał wypłynąć z portu, Eliza i dziewczynka wyszły wcześniej, by zrobić niezbędne zapasy. Eliza kupiła kilka ubrań, szczotkę do włosów i niewielką walizkę. Na jej dnie ukryła kopertę z pieniędzmi i – wyznając zasadę, że lepiej dmuchać na zimne – kartkę z adresem rodziny Mary w Polperro. Dopiero wtedy wchodziła się w tłum, prowadząc za sobą podekscytowaną Ivory, która ścisnęła w ręczce swój pierwszy mały bagaż. Doki tętniły życiem i hałasem: świst lokomotywy, syk buchającej pary, dźwigi wciągające na pokład dziecięce wózki, rowery i gramofony. Ivory roześmiała się, gdy minęły stado beczących kozłów i owiec, które próbowano zapędzić do ładowni. Była ubrana w ładniejszą z dwóch sukienek, które kupiła jej Eliza, i wyglądała jak mała dama, która przyszła pożegnać ciotkę wybierającą się w daleką podróż. Kiedy dotarli do kładki, Eliza wręczyła oficerowi kartę pokładową.

– Witamy na pokładzie – powiedział mężczyzna, kłaniając się i poprawiając przekrzywioną czapkę.

W odpowiedzi Eliza skinęła głową.

– To wielka przyjemność, móc podróżować tak wspaniałym statkiem – odrzekła. Moja bratanica nie posiadała się z radości, gdy

dowiedziała się, że będzie mnie mogła odprowadzić. Proszę zobaczyć, przyniosła nawet swój własny bagaż.

– Lubi panienka statki? – Mężczyzna pochylił się i spojrzał na dziewczynkę.

Ivory pokiwała główką i uśmiechnęła się słodko, jednak nie odpowiedziała. Dokładnie tak, jak poinstruowała ją Eliza.

– Oficerze – ciągnęła Eliza – mój brat i szwagierka czekają niedaleko w doku. – Mówiąc to, machnęła ręką w kierunku gęstniejącego tłumu. – Czy mogę choć na chwilę zabrać bratanicę na pokład i pokazać jej swoją kajutę?

Mężczyzna zerknął na kolejkę, która ciągnęła się w głąb doku.

– Nie będziemy długo – zapewniła Eliza. – Dla dziecka to prawdziwa przygoda.

– Myślę, że nic się nie stanie – stwierdził mężczyzna. – Proszę tylko dopilnować i odprowadzić małą. – Mrugnął porozumiewawczo do Ivory. – Coś mi mówi, że rodzice byliby smutni, gdyby odpłynęła bez nich.

Eliza wzięła dziewczynkę za rękę i weszła na kładkę.

Wszędzie kłębili się ludzie, a powietrze rozbrzmiewało wrzawą dziesiątków głosów, pluskiem wody i jękiem syren. Orkiestra grała żwawą melodię, podczas gdy pokojówki uwijały się po pokładzie, posłańcy dostarczali telegramy, a zadufani w sobie boye hotelowi rozdawali odpływającym pasażerom czekoladki i drobne prezenty.

Jednak Eliza nie podążyła za stewardem do wnętrza statku. Zamiast tego poprowadziła Ivory wzdłuż pokładu, do miejsca, w którym składowano drewniane beczki. Gdy ukryły się za nimi, Eliza przykucnęła, tak że jej suknie rozłożyły się na deskach pokładu szerokim kołem. Dziewczynka była zdenerwowana, nigdy wcześniej nie widziała takiej krzątanimy, a dobiegające zewsząd głosy sprawiały, że spłoszona rozglądała się dokoła.

– Musisz tu na mnie zaczekać – wyjaśniła Eliza. – To niebezpieczne, żebyś sama chodziła po pokładzie. Niebawem wrócę. – Zawahała się i spojrzała w niebo. Kołujące nad głowami mewy wbijały w nie ciekawskie spojrzenia czarnych paciorkowych oczu. – Zaczekaj tu na mnie, dobrze?

Dziewczynka pokiwała głową.

- Potrafisz się ukrywać?
- Oczywiście.
- A więc zagramy w grę. – Mówiąc te słowa, pomyślała o Sammym i poczuła na skórze nieprzyjemny chłód.
- Lubię gry.
- Eliza zepchnęła obraz Sammy'ego na dno umysłu. Ta mała dziewczynka nie jest jej bratem. Nie bawią się w Rozpruwacza. Wszystko będzie dobrze.
- Wrócę po ciebie.
- Dokąd idziesz?
- Muszę się z kimś zobaczyć i odebrać coś, zanim nasz statek odpłynie.
- Co?
- Moją przeszłość – odparła. – Moją przyszłość. – Uśmiechnęła się. – Moją rodzinę.



W miarę jak powóz nieuchronnie zbliżał się do Blackhurst, mgła, która spowijała umysł Elizy, zaczęła się podnosić. Powoli wracała jej świadomość: kołysanie, tętent pędzących po błocie końskich kopyt, smród stęchlizny.

Podniosła ciężkie powieki i zamrugała gwałtownie. Czarne cienie rozplynęły się w smugach brudnego światła. Poczuła, że zaraz zemdleje.

W powozie był ktoś jeszcze, mężczyzna siedzący naprzeciwko niej. Oparł głowę o podniszczoną skórę siedzenia, a gdy oddychał, z jego gardła dobywało się delikatne pochrapywanie. Mężczyzna miał gęste wąsy i małe okrągłe okulary na czubku nosa.

Eliza wstrzymała oddech. Znów ma dwanaście lat i gna ku nieznannej przyszłości. Zamknięta w powozie ze Złym Człowiekiem, przed którym ostrzegała ją mama. Mansellem.

Teraz... coś było nie tak. Było coś, o czym zapomniała, czająca się na skraju umysłu ogromna czarna chmura. Coś istotnego. Coś, co miała zrobić.

Jęknęła. Gdzie jest Sammy? Powinien być tu z nią, miała się nim opiekować...

Tratujące ziemię końskie kopyta. Nie wiadomo, dlaczego ich dźwięk przerażał ją, sprawiał, że robiło jej się niedobrze. Czarna chmura zaczęła wirować i nadciągnęła bliżej, kładąc się cieniem na jej umyśle.

Eliza zerknęła na swoją spódnicę i splecione dłonie. Jej, a jakby należały do kogoś innego.

Przez szparę w chmurze przedarło się jaskrawe światło. Nie ma dwunastu lat, jest dorosłą kobietą...

Ale co się stało? Gdzie się znajduje? Dlaczego jest z nią ten mężczyzna? Mansell.

Chatka na klifie, ogród, morze...

Szybki urywany oddech uwiązał jej w gardle.

Kobieta, mężczyzna, dziecko...

Panika szarpnęła jej ciałem.

Więcej światła... chmura zbladła i zaczęła się rozpadać na brudne poszarpane strzępy...

Słowa, które wyłaniały się z otchłani umysłu, wciąż nie do końca zrozumiałe: Maryborough... statek... dziecko, nie Sammy, mała dziewczynka...

Poczuła uścisk w obolałym gardle. Jej wewnątrz zionęło pustką, która niemal natychmiast wypełniła się czarnym lękiem.

Dziewczynka należała do niej.

Nagle... zrozumienie, tak jasne, że paliło jej oczy żywym ogniem: jej córeczka jest sama na odpływającym statku.

Zalewająca jej umysł fala paniki. Krew dudniąc w skroniach. Musi uciec, wrócić po swoje dziecko.

Kątem oka zerknęła na drzwi.

Powóz gnał jak szalony, ale nie dbała o to. Statek wypływa z portu jeszcze dziś, a dziewczynka wciąż jest na jego pokładzie. Dziecko, jej dziecko, zupełnie samo.

Eliza wyciągnęła rękę. Jej głowa pulsowała tępym bólem, a w piersi poczuła rozdzierający ból.

Mansell się poruszył. Otworzył zaczerwienione oczy i utkwiał wzrok w ściskającej klamkę dłoni Elizy.

Na usta mężczyzny, niczym wąż, wypełził okrutny uśmiech.

Palce Elizy jeszcze mocniej zacisnęły się na klamce. Mansell po-

derwał się z siedzenia, by ją zatrzymać, jednak Eliza była szybsza. Podobnie jak silniejsza była potrzeba, którą się kierowała.



Spadała, drzwi do klatki stanęły otworem, a ona leciała w dół ku zimnej, czarnej ziemi. Czas stanął w miejscu, jakby chciał zobaczyć, co się stanie. Całe jej życie stało się jednością. Przeszłość była terażniejszością, a terażniejszość przyszłością. Eliza nie zamknęła oczu. Z niemą fascynacją patrzyła na zbliżającą się ziemię, czuła zapach błota, trawy, nadziei...

...i wzbiła się w powietrze. Tuż nad ziemią rozwinęła skrzydła i uleciała w niebo niesiona prądami powietrza. Umysł miała czysty, twarz chłodną od wiatru. Wiedziała, dokąd leci. Do swojej córeczki, do Ivory. Do jedynej osoby, której szukała przez swoje życie. Do swojej drugiej połówki. W końcu poczuła się spełniona. Teraz może wrócić do domu.

49

Chatka na klifie, 2005

W końcu wróciła do ogrodu. Minęły długie dni, odkąd po raz ostatni prześliznęła się przez wyrwę w murze. W tym czasie odwiedziła Clarę, spotkała się z Ruby i zmagala się z kapryśną kornwalijską pogodą. Odczuwała też dziwny niewytłumaczalny niepokój, który dopiero teraz opuścił jej umysł. Dziwne, pomyślała, wsuwając prawą dłoń w rękawiczkę, nigdy dotąd nie odkryła w sobie żyłki ogrodniczej, jednak to miejsce jest inne. Czuła, że musi tu wrócić, zanurzyć dłonie w wilgotnej ziemi i tchnąć życie w otaczający ją ogród. Naciągając rękawiczkę, po raz kolejny zerknęła na serdeczny palec i widoczny na nim cienki pasek białej skóry.

Delikatnie musnęła go kciukiem, jakby chciała się upewnić, że naprawdę tam jest. Skóra była gładka i bardziej elastyczna, jak moczona w gorącej wodzie. Ten cienki pasek bieli był młodszy od reszty jej ciała o długie piętnaście lat. Odkąd Nick włożył na niego obrączkę, tylko on pozostał młody i ukrył się przed nieubłagany upływem czasu. Aż do teraz.

– Jest ci wystarczająco zimno? – Christian, który właśnie wyszedł zza muru, wcisnął dłonie w kieszenie spodni.

Cassandra włożyła rękawiczkę i uśmiechnęła się do niego.

– Nie miałam pojęcia, że bywa tu tak zimno. We wszystkich broszurach, które przeczytałam, piszą, że klimat jest tu umiarkowany.

– Tylko gdy porówna się go do Yorkshire. – Uśmiechnął się. – Zbliża się zima. Ty przynajmniej przed nią uciekniesz.

Zapadła niezręczna cisza, w czasie której Christian podziwiał dziurę, którą od tygodnia kopał w ogrodzie, a Cassandra z udawanym zainteresowaniem wróciła do wyrywania chwastów. Jej powrót do Australii był tematem, który oboje skrzętnie omijali. Przez ostatnie dni, za każdym razem, gdy rozmowa niebezpiecznie zahaczała o kwestię jej wyjazdu, któreś z nich niemal natychmiast sprowadzało ją na inny tor.

– Myślałem... zaczął niepewnie Christian – o liście od Harriet Swindell.

– Tak? – Cassandra odpędziła niepokojące myśli na temat przeszłości i przyszłości.

– Cokolwiek było w glinianym naczyniu, tym, które Eliza wyciągnęła z komina, musiało być ważne. Nell była już na pokładzie, więc Eliza podjęła prawdziwe ryzyko, wracając do domu Swindellów.

Rozmawiali o tym wczoraj. W ciepłym przytulnym pubie, przy akompaniamencie trzaskającego ognia, raz po raz omawiali te same szczegóły. Szukali rozwiązania, które, jak sądzili, jest w zasięgu ręki.

– Myślę, że nie spodziewała się, że ktokolwiek będzie chciał ją porwać. – Cassandra wbiła widły w zarośnięty klomb. – Szkoda, że Harriet nie podała nazwiska tego mężczyzny.

– Musiał to być ktoś wysłany przez rodzinę Rose.

– Tak myślisz?

– Komu innemu mogło zależeć na ich odnalezieniu?

– Na sprowadzeniu Elizy z powrotem do Blackhurst.

– No?

Cassandra obejrzała się przez ramię.

– Nie przywiózł Nell. Tylko Elizę.

Christian przestał kopać.

– Tak, to dziwne. Myślę, że nie powiedziała im, gdzie jest dziewczynka.

Właśnie tego Cassandra nie potrafiła zrozumieć. W nocy, gdy rozbudzona leżała w łóżku, starała się rozwikłać tę zagadkę, jednak za każdym razem dochodziła do tych samych wniosków: Eliza mogła nie chcieć, aby Nell pozostała w Blackhurst, jednak wiedząc, że statek odpłynął bez niej, zrobiłaby wszystko, by go zatrzymać. Była

przecież matką Nell, kochała ją wystarczająco mocno, by zabrać ją ze sobą. Czyż nie zrobiłaby wszystkiego, by powiadomić ludzi, że na pokładzie jest mała dziewczynka? Nie mogła tak po prostu zostawić dziecka samego. Widły uderzyły w wyjątkowo twardy korzeń.

– Myślę, że nie mogła im powiedzieć.

– To znaczy?

– Chodzi o to, że gdyby mogła, na pewno by to zrobiła. Prawda?

Christian skinął głową i uniośł brwi, jakby nagle dotarło do niego, co Cassandra ma na myśli. Wbił łopatę w ziemię.

Korzeń był gruby. Cassandra odgarnęła chwasty, sięgnęła ręką nieco głębiej i uśmiechnęła się. Choć roślina sprawiała wrażenie zaniedbanej i prawie w ogóle nie miała liści, Cassandra natychmiast ją rozpoznała. Widziała podobną w ogrodzie Nell w Brisbane. Był to poskręcany różany krzew, który musiał tu rosnąć od dziesiątków lat. Grubą jak ramię łodygę pokrywały długie kolce. Mimo to roślina wciąż żyła i jeśli odpowiednio się nią zająć, wkrótce może znowu zakwitnąć.

– Mój Boże.

Cassandra na chwilę straciła zainteresowanie przerośniętym krzewem i podniosła na Christiana pytające spojrzenie.

Christian klęczał nad ziejącą w ziemi dziurą i zaglądał do jej wnętrza.

– O co chodzi? Coś się stało? – spytała.

– Znalazłem coś. – Głos miał dziwny, nieodgadniony.

Cassandra poczuła uderzenie gorąca, jakby ktoś podłączył ją do prądu.

– Coś przerażającego czy fascynującego?

– Chyba raczej fascynującego.

Porzuciła robotę i uklękła przy nim, wbijając wzrok w czarną wilgotną ziemię. Spojrzała w miejsce, które wskazywał wyciągnięty palec Christiana.

Głęboko w dole, pomiędzy zlepionymi grudkami ziemi, dostrzegła coś dziwnego. Mały, brązowy, gładki przedmiot.

Po chwili dłoń Christiana zamknęła się na glinianym naczyniu, podobnym do tych, w których niegdyś przechowywano musztardę

lub konfitury. Jego smukłe palce otarły resztki błota z wilgotnych ścianek. Podał naczynie Cassandrze.

– Coś mi się widzi, że twój ogród zdradził właśnie swój sekret.

Glina była chłodna w dotyku, a naczynie wydało się Cassandrze zaskakująco ciężkie. Serce waliło jej jak młot.

– Musiała je tu zakopać – orzekł Christian. – Mężczyzna, który uprowadził ją w Londynie, musiał ją przywieźć z powrotem do Blackhurst.

Ale po co Eliza miałaby zakopywać coś, dla czego tak wiele ryzykowała? Dlaczego miałaby ryzykować ponowną utratę tego, na czym tak bardzo jej zależało? A skoro miała czas, by zakopać naczynie, dlaczego nie skontaktowała się z załogą statku? Dlaczego nie odzyskała małej Ivory?

Nagle zrozumiała. Coś, o czym wiedziała już od dawna, nareszcie stało się jasne. Wciągnęła gwałtownie powietrze.

– O co chodzi?

– Nie sądzę, aby to ona zakopała naczynie – szepnęła Cassandra.

– Co masz na myśli? Kto mógł je zakopać, jeśli nie ona?

– Nikt. To znaczy przypuszczam, że naczynie zostało pochowane razem z Elizą. – Jej ciało spoczywa tu od dziewięćdziesięciu lat, czekając, aż ktoś je odnajdzie. Aż pojawi się ktoś taki jak Cassandra i rozwiąże zagadkę.

Christian po raz kolejny spojrzał w głąb dziury i powoli pokiwał głową.

– To by tłumaczyło, dlaczego nie wróciła po Ivory, to znaczy po Nell.

– Nie mogła, bo już nie żyła.

– Ale kto zakopał ciało? Mężczyzna, który ją uprowadził? Ciotka? Wuj?

Cassandra pokręciła głową.

– Nie wiem. Jedno jest pewne: ktokolwiek to był, nie chciał, by prawda wyszła na jaw. Nie ma nagrobka ani niczego, co wskazywałoby, że jest tu grób. Chcieli, aby Eliza zniknęła i aby prawda o jej śmierci pozostała tajemnicą. Zapomnianą, zupełnie jak jej ogród.

Posiadłość Blackhurst, 1913

Adeline odwróciła się od kominka i zaczerpnęła powietrza, tak że jej talia przypominała teraz talię osy.

– Co to znaczy, że sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem?

Zapadła noc i nadchodzący od strony lasów mrok coraz śmielej napierał na ściany domu. Cienie, niczym pajęczyny, wisiały w zakamarkach pokoju drażnione mdławym światłem świec.

Pan Mansell poprawił binokle.

– Zdarzył się wypadek. Kobieta wyskoczyła z pędzącego powozu i konie się przestraszyły.

– Medyk – przerwał Linus. – Musimy wezwać medyka.

– Jego obecność jest tu zbędna – wyjaśnił Mansell spokojnym opanowanym głosem. – Ona nie żyje.

– Co takiego? – wykrztusiła Adeline.

– Nie żyje – powtórzył Mansell. – Kobieta, pańska siostrzenica, nie żyje.

Adeline zamknęła oczy, czując, jak uginają się pod nią kolana. Otaczający ją świat zawirował, a ona sama poczuła się lekka jak piórko, wolna od bólu i ciężaru życia. Jak to możliwe, że tak potworne brzemień, ciężar, który od tak dawna spoczywał na jej barkach, zniknął w ułamku sekundy. Że jeden niefortunny upadek uwolnił ją od największego zniechęcenia wroga, córki Georgiany?

Adeline nie dbała o to. Jej modlitwy zostały wysłuchane, a świat odzyskał równowagę. Dziewczyna nie żyje. Zniknęła z jej życia. Tylko to się liczy. Po raz pierwszy od śmierci Rose Adeline czuła,

że może swobodnie oddychać. W jej żyłach oprócz krwi popłynęła radość.

– Gdzie? – usłyszała własny głos. – Gdzie ona jest?

– W powozie...

– Przywiózł ją pan tu?

– Dziewczynka... – Dobiegł od strony fotela spokojny głos Linusa. Jego oddech był szybki i płytki. – Gdzie jest mała dziewczynka z włosami jak płomienie?

– Przed upadkiem kobieta wymamrotała kilka słów. Była półprzytomna i szeptała, ale mówiła coś o łodzi albo o statku. Była wzburzona i za wszelką cenę chciała zdążyć przed wypłynięciem.

– Proszę wyjść – rzuciła rozkazującym tonem Adeline. – Niech pan zaczeka przy powozie. Załatwię tylko coś i poślę po pana.

Mansell skinął pospiesznie głową i wyszedł, zabierając ze sobą odrobinę ciepła.

– Co z dzieckiem? – zawodził Linus.

Adeline zignorowała go. Jej myśli krążyły wokół możliwych rozwiązań. Naturalnie służba nie może się dowiedzieć. Już dawno uwierzyli, że Eliza opuściła Blackhurst, gdy dowiedziała się, że Rose i Nathaniel wyjeżdżają do Nowego Jorku. Jak dobrze, że dziewczyna tak chętnie opowiadała o swoich planach i chęci podróżowania.

– Co z dzieckiem? – powtórzył Linus. Drżącymi palcami szarpał krawędź kołnierza. – Mansell musi je odnaleźć. Musi odnaleźć statek. Musimy ją odzyskać. Dziewczynka musi wrócić do Blackhurst.

Adeline przełknęła z niesmakiem, patrząc na skuloną w fotelu, godną pożałowania sylwetkę męża.

– Po co? – odparła lodowatym tonem. – Po co mamy jej szukać? Kimże jest dla nas ta dziewczyna? – Głos miała niski, złowieszczy. – Nie rozumiesz? Zostaliśmy uwolnieni.

– To nasza wnuczka.

– W jej żyłach nie płynie nasza krew.

– Owszem, płynie. Krew mojej rodziny.

Adeline zignorowała jego słowa. Nie było potrzeby komentować podobnych przejawów sentymentalizmu. Nie teraz, gdy wreszcie są bezpieczni. Obróciła się na pięcie i zaczęła krążyć po pokoju.

– Powiemy ludziom, że dziecko zostało odnalezione na terenie posiadłości, jednak dziewczynka choruje na szkarlatynę. Uwierzą nam, w końcu i tak sądzą, że dziewczynka leży chora w łóżku. Po wiem służbie, że osobiście będę jej doglądała, że tego właśnie życzyłyby sobie Rose. Później, gdy okaże się, że mimo naszych starań, zawiodły wszystkie metody walki z chorobą, urządzimy pogrzeb.

Podczas gdy Ivory została pożegnana jak najukochańsza wnuczka, Adeline Mountrachet dopilnowała, by ciało Elizy zniknęło tak szybko i dyskretnie, jak to możliwe. Jedno było pewne, kobieta nie mogła być pochowana na rodzinnym cmentarzu. Poświęcona ziemia, w której spoczęło ciało Rose, nie mogła zostać skalana. Należało zakopać zwłoki tam, gdzie nikt ich nie odnajdzie. Gdzie nikt nigdy nie będzie ich szukał.



Następnego ranka Adeline kazała Daviesowi, by przeprowadził ją przez labirynt, upiorne wilgotne miejsce. Zewsząd otaczała ją ciężka mdława woń gnijącego podszycia, które nigdy nie widziało promieni słońca. Czarne żałobne spódnice muskały zgrabioną ziemię, a wyschnięte poskręcane liście czepiały się materiału jak rzepy. Adeline przypominała ogromnego czarnego ptaka szczelnie otulającego się piórami, by przetrwać zimę, która nadeszła wraz ze śmiercią Rose.

Gdy w końcu dotarli do ukrytego ogrodu, Adeline odepchnęła Daviesa i nie oglądając się za siebie, ruszyła wąską ścieżką. Jej krokom towarzyszył jazgot maleńkich ptaków, które co rusz podrywały się do lotu i chowały wśród gałęzi. Szła tak szybko, jak przystało kobiecie w jej wieku i sytuacji, marząc o tym, by jak najszybciej uwolnić się od tego przekłętą miejsca i odurzającego zapachu ziemi, od którego kręciło jej się w głowie.

Zatrzymała się dopiero na końcu ogrodu.

Wąskie usta rozciągnęły się w uśmiechu. Było dokładnie tak, jak myślała.

Zadrzała i obróciła się na pięcie.

– Dość już widziałam – rzuciła. – Moja wnuczka jest poważnie chora i muszę wracać do domu.

Davies, który przez krótką chwilę wytrzymał jej spojrzenie, zadrżał. Zlekceważyła jego trwożliwe spojrzenie. Cóż ten człowiek może wiedzieć o podstępie, który planowała?

– Zabierz mnie stąd.

Wracając, trzymała się jak najdalej od jego potężnej, ociążałej sylwetki. Szczupła dłoń co rusz sięgała do kieszeni spodnicy, by rzucać na ziemię drobne białe kamyczki, które znalazła w słoiku, w pokoju Ivory.



Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność, mijały godziny, aż w końcu nadeszła upragniona północ. Adeline zerwała się z łóżka, włożyła suknię i zawiązała buty. Idąc na palcach, minęła korytarz, zeszła po schodach i wyszła na dwór.

Księżyc był w pełni, więc przecięła trawnik, chowając się w czarnych plamach cienia. Brama labiryntu była zamknięta i Adeline potrzebowała chwili, by poradzić sobie z zamkiem. Uśmiechnęła się, widząc pierwszy z kamyczków, który lśnił w ciemnościach jak grudka srebra.

Idąc od jednego kamyczka do drugiego, dotarła do drugiej bramy prowadzącej do sekretnego ogrodu.

Zamknięty między kamiennymi ścianami ogród powitał ją cichym monotonnym szelestem. Blade światło księżyca zmieniło liście w ruchliwe drobinki srebra, które podzwaniały na wietrze, przywodząc na myśl drżącą strunę harfy.

Adeline miała dziwne uczucie, że ktoś ją obserwuje. Jakby cały ogród patrzył tylko na nią. Zaniepokojona rozejrzała się, wstrzymując oddech, gdy dostrzegła między gałęziami parę nieruchomych oczu. Po krótkiej chwili jej bystry umysł zauważył kolejne szczegóły: sowie pióra, okrągłe ciało i głowę, a także ostry dziób.

Mimo to wcale nie poczuła się lepiej. W spojrzeniu ptaka było coś dziwnego. Jakaś świadomość. I te oczy, wbite w nią i oskarżycielskie.

Spojrzała w bok, nie pozwalając, by pierwsze lepsze ptaszysko wyprowadziło ją z równowagi.

Nagle usłyszała hałas dobiegający od strony chatki. Spłoszona

przycupnęła obok ławeczki i patrzyła, jak pod osłoną nocy do ogrodu wchodzi dwie osoby. W jednej z nich rozpoznała Mansella. Ale kogoż ten głupiec ze sobą przyprowadził?

Mężczyźni szli wolno, dźwigając coś ciężkiego. Złożyli balast przy odległym końcu muru, po czym jeden z nich ominął ziejącą w ziemi dziurę i ruszył w głąb ogrodu.

Trzask zapalki i ciemności rozjaśniło ciepłe światło: pomarańczowe serce otoczone niebieskawą poświatą. Mężczyzna przytknął zapalkę do knota lampy i podkręcił płomień, który bladym światłem rozlał się po ogrodzie.

Adeline wstała zza ławki i wyprostowana ruszyła w stronę mężczyzn.

– Dobry wieczór, lady Mountrachet – powitał ją Mansell.

W odpowiedzi wskazał dłonią drugiego mężczyznę i wycedziła przez zaciśnięte zęby:

– Kto to jest?

– Slocombe – odparł Mansell. – Mój stangret.

– Co tu robisz?

– Klif jest stromy, a ładunek ciężki. – Mrugnął porozumiewawczo do Adeline, a światło latarni odbiło się w jego binoklach. – Możemy być pewni, że nic nie powie. – Przechylił latarnię i Adeline ujrzała dół twarzy drugiego mężczyzny: zdeformowaną, pokrytą brodawkami dolną szczękę i zbliżnowaciałą skórę w miejscu, gdzie powinny być usta.

Gdy zaczęli kopać, pogłębiając dziurę wykopaną przez budowniczych muru, Adeline spojrzała na leżący pod jabłonią ciemny kształt. A więc doczekała dnia, w którym ciało dziewczyny zostanie oddane ziemi. Zniknie i zostanie zapomniana, jakby nigdy nie istniała. Z czasem ludzie zapomną nawet to, jak miała na imię.

Adeline zamknęła oczy, starając się zapomnieć o wrzasku przeklętych ptaków i liściach, których szelest przybrał teraz na sile. Zamiast tego wsłuchiwała się w błogosławiony odgłos wilgotnych grudek, które jedna po drugiej uderzały o dno. Wkrótce będzie po wszystkim. Dziewczyna odeszła i Adeline może nareszcie oddychać...

Poczuła na policzkach dotyk zimnego powietrza. Otworzyła oczy.

Tuż obok przemknęło coś czarnego.

Ptak? Nietoperz?

Ciemne skrzydła na tle nieba.

Adeline cofnęła się odruchowo.

Coś użądliło ją i poczuła rozlewające się po ciele przeraźliwe zimno. Gorąco. I znowu zimno.

Z chwilą, gdy sowa wzbijała się ponad murem, dłoń Adeline eksplodowała bólem.

Musiała krzyknąć, bo Mansell znieruchomiał i podniósł latarnię. W roztańczonym żółtawym świetle Adeline zobaczyła, że najeżony kolcami różany wąż uwolnił się ze splątanego krzewu i smagnął jej rękę. Jeden z grubych kolców tkwił teraz głęboko w ciele.

Wściekła Adeline wolną ręką wyrwała kolec. Na białej skórze natychmiast wykwitła lśniąca kropla krwi.

Adeline wyciągnęła z rękawa chusteczkę, przycisnęła ją do ranki i patrzyła, jak nieskazitelna biel barwi się krwistą czerwienią.

To tylko kolec, tłumaczyła sobie. Rana się zagoi i wszystko będzie dobrze.

Różany krzew jako pierwszy pozna jej gniew, gdy Adeline każe w końcu zmieść ogród z powierzchni ziemi.

Teraz, gdy Rose odeszła, w Blackhurst nie ma już miejsca na róże.

Zagłądając do zięjącej w ziemi dziury, która okazała się grobowcem Elizy, Cassandra poczuła dziwny spokój. Jakby cały ogród odechnął z ulgą: ptaki ucichły, liście przestały szeleścić, zniknął dziwny niepokój, który jeszcze przed chwilą wyczuwało się w powietrzu. Dawno zapomniany sekret ujrzał w końcu światło dzienne.

Usłyszała głos Christiana, daleki i nierzeczywisty.

– No, dalej, nie zobaczysz, co jest w środku?

Gliniane naczynie ciążyło jej w ręku. Cassandra musnęła palcami stary воск, którym zalano krawędzie. Zerknęła na Christiana, a on kiwnął zachęcająco głową. Dłoń Cassandry zacisnęła się na wieczku i przekręciła je, łamiąc воск i oddzielając pokrywkę od reszty naczynia.

W środku były trzy przedmioty: skórzana sakiewka, pukiel rudozłotych włosów i broszka.

Sakiewka zawierała dwie stare monety w kolorze spłowiałej żółci ze znajomym wizerunkiem królowej Wiktorii. Jedna pochodziła z 1897, a druga z 1900 roku.

Włosy związano kawałkiem sznurka i zwinięto, by zmieścić się w pojemniku. Lata w zamknięciu sprawiły, że pukiel wciąż był gładki i delikatny. Cassandra zastanawiała się, do kogo należał, gdy nagle przypomniała sobie jeden z wpisów w dzienniku Rose, napisany niedługo po tym, jak Eliza przybyła do Blackhurst. Była to cała litania skarg na dziewczynkę, którą Rose określała mianem „dzikuski”. Dziewczynkę, której włosy zostały obcięte krótko jak u chłopca.

Jako ostatnią wzięła do rąk broszkę. Była okrągła i doskonale leżała w jej dłoni. Krawędzie miała zdobione, wysadzone klejnotami, a środek przypominał fragment gobelinu. Nie był to jednak gobelin. Cassandra zbyt długo miała do czynienia z antykami, by wiedzieć, czym jest broszka. Odwróciła ją i musnęła palcami wygrawerowany napis. *Dla Georgiany Mountrachet*, głosiły drobne litery, z *okazji szesnastych urodzin. Przeszłość. Przyszłość. Rodzina.*

To było to. Skarb, po który Eliza wróciła do domu Swindellów i za który zapłaciła spotkaniem z nieznanym mężczyzną. Spotkaniem, które na zawsze rozdzieliło ją z Ivory, z Nell.

– Co to?

Cassandra podniosła wzrok na Christiana.

– Broszka żałobna.

Ściągnął brwi.

– Ludzie epoki wiktoriańskiej zamykali w nich włosy członków rodziny. Ta należała do Georgiany Mountrachet, matki Elizy.

Christian pokiwał ze zrozumieniem głową.

– To by tłumaczyło, dlaczego tak bardzo chciała ją odzyskać. Dlaczego po nią wróciła.

– Podobnie jak to, dlaczego nie zdążyła na statek. – Cassandra położyła sobie przedmioty na kolanach. – Szkoda, że Nell ich nie widziała. Zawsze czuła się porzucona, nie miała pojęcia, że Eliza jest jej matką, a ona jej ukochanym dzieckiem. Tylko tego pragnęła się dowiedzieć: kim naprawdę jest.

– Ale przecież wiedziała to – odparł Christian. – Była Nell. Kobieta, którą wnuczka Cassandra kochała tak bardzo, że przepłynęła ocean, by odkryć dla niej prawdę.

– Nell nie wie, że tu jestem.

– Skąd możesz wiedzieć, co wie, a czego nie wie? Być może nawet w tej chwili patrzy na ciebie. – Mówiąc to, uniósł brwi. – Poza tym na pewno wiedziała, że tu przyjedziesz. Dlatego właśnie zostawiła ci chatkę. I wiadomość zapisaną w testamencie. Jak ona brzmiała?

Brzmiała dziwnie i Cassandra niewiele rozumiała, gdy dostała ją od Bena.

– *Dla Cassandry, która zrozumie dlaczego.*

– Teraz już rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiała. Nell, która za wszelką cenę pragnęła stanąć twarzą w twarz z własną przeszłością, widziała w Cassandrze bratnią duszę. Kogoś, kto podobnie jak ona padł ofiarą nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

– Wiedziała, że przyjadę.

Christian pokiwał głową.

– Wiedziała, że kochasz ją wystarczająco mocno, by dokończyć to, co zaczęła. Zupełnie jak w *Oczach więdźmy*, gdy jelonek tłumaczy księżniczce, że staruszka nie potrzebowała wzroku i że wiedziała, kim jest, dzięki miłości księżniczki.

Cassandra poczuła pod powiekami piekące łzy.

– Jelonek był bardzo mądry.

– Mądry, przystojny i odważny.

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

– A więc wiemy już wszystko. Kim była matka Nell. Dlaczego zostawiła ją samą na statku. Co stało się z Elizą. – Wiedziała też, dlaczego ogród jest dla niej tak ważny, dlaczego czuje, że jej korzenie coraz głębiej wnikają w zamkniętą w tych murach kornwalijską ziemię. Ogród jest jej domem, w którym – choć nie potrafi tego wytłumaczyć – czuje także obecność Nell. I Elizy. A ona, Cassandra, jest strażniczką ich sekretów.

– I jak, wciąż zamierzasz go sprzedać? – spytał Christian.

Cassandra zerknęła na sypiący się z drzewa deszcz pożółkłych liści.

– Właściwie pomyślałam sobie, że mogłabym zostać tu na dłużej.

– W hotelu?

– Nie, tu, w chatce.

– Nie będziesz czuła się samotna?

To, co się stało, było do niej zupełnie niepodobne, a jednak Cassandra otworzyła usta i powiedziała dokładnie to, co czuła. Nie pozwoliła, by dopadły ją wątpliwości.

– Nie sądzę, abym była sama. Na pewno nie przez cały czas. – Poczuła, że się czerwieni, i natychmiast dodała: – Chcę skończyć to, co zaczęliśmy.

Christian uniósł brwi.

Tym razem oblała się rumieńcem.

– Miałam na myśli ogród.

– Wiem, co miałaś na myśli. – Zamknął ją w swym spojrzeniu i zapomniawszy o łopacie, ujął w dłonie jej twarz. Nachylił się, a ona zamknęła oczy, czując w uszach oszalałe dudnienie serca. Z jej piersi wydarł się cichy jęk, w którym zawarła długie lata znużenia. Kiedy ją pocałował, zaskoczyła ją jego bliskość, stanowczość i zapach. Pachniał ogrodem, ziemią i słońcem.

Otworzyła oczy, czując na policzkach ciepłe łzy. Nie była jednak smutna. Płakała, bo po wielu latach odnalazła siebie i nareszcie wróciła do domu. Ścisnęła w dłoni ozdobną broszkę. *Przeszłość. Przyszłość. Rodzina.* Jej przeszłość pełna jest wspomnień. Pięknych, cennych i smutnych. Przez ostatnie dziesięć lat żyła wśród nich, chodziła między nimi, a nawet z nimi spała. Jednak coś się zmieniło, ona się zmieniła. Przyjechała do Kornwalii, by rozwiązać zagadkę przeszłości Nell i jej rodziny, a odnalazła w niej własną przyszłość. Tu, w ogrodzie stworzonym przez Elizę Makepeace, odnalazła siebie.

Christian przygładził jej włosy i spojrzał na nią z pewnością, od której ciarki przeszły jej po plecach.

– Czekałem na ciebie – powiedział.

Cassandra ujęła w ręce jego dłoni. Ona również na niego czekała.

Epilog

Szpital Greenslopes, Brisbane, 2005

Chłód na powiekach, mrowienie, jakby po ciele biegały miliony mrówek.

Głos, jakże cudownie znajomy.

– Zawolałam pielęgniarkę...

– Nie. – Nell wyciągnęła rękę i choć wciąż niczego nie widziała, spróbowała się czegoś chwycić. – Nie zostawiaj mnie. – Twarz miała mokrą, zimną od powietrza.

– Zaraz wrócę. Obiecuję.

– Nie...

– Już dobrze, babciu. Pójdę po pomoc.

Babciu. A więc to nią jest, teraz już wie. W swoim życiu nosiła wiele różnych imion, tak wiele, że niektóre z nich zostały zapomniane. Dopiero to ostatnie, „babcia”, powiedziało jej, kim jest naprawdę.

Druga szansa, błogosławieństwo, wybawca. Jej wnuczka.

A teraz Cassandra spieszy po pomoc.

Nell zamknęła oczy. Znowu jest na statku. Czuje, jak pokład się kołysze. Beczki, promienie słońca, kurz. Śmiech, daleki śmiech.

Wszystko uleciało. Światła przygasły. Stały się przyćmione jak te w teatrze Plaza, tuż przed spektaklem. Goście wiercili się na siedzeniach, szeptali, czekali...

Czerń.

Cisza.

I nagle znalazła się w zupełnie innym miejscu. Zimnym i mrocz-

nym. Sama. Ostre przedmioty, otaczające ją zewsząd gałęzie. Ściany, które napierały na nią z każdej strony, ciemne i wysokie. Światło wróciło, nie tak jasne jak przed chwilą, ale wystarczające, by gdzieś w oddali zobaczyła niebo.

Poruszała nogami. Szła i rozłożywszy ramiona, dotykała liści i koniuszków gałęzi.

Skręciła i zobaczyła kolejne liściaste ściany. Zapach ziemi, żywej i wilgotnej.

Nagle wiedziała. Słowo pojawiło się w jej umyśle, prastare i znajome. Labirynt. Jest w labiryncie.

Świadomość pojawiła się nagle: na końcu labiryntu znajduje się najcudowniejsze miejsce na ziemi. Miejsce, do którego pragnęła dotrzeć. Bezpieczna przystań, w której może odpocząć.

Dotarła do rozwidlenia.

Skręciła.

Zna drogę. Pamięta ją. Przecież już tu kiedyś była.

Szła teraz znacznie szybciej. Czuła gnające ją do przodu pewność i pragnienie. Musi dotrzeć do końca.

Gdzieś w górze rozbłysło światło. Jest już prawie na miejscu.

Jeszcze tylko troszkę.

Nagle z cieni wyłoniła się sylwetka. I znajoma twarz Autorki, która wyciąga ku niej smukłą dłoń. Jej srebrzysty dźwięczny głos.

– Czekałam na ciebie.

Po tych słowach odsunęła się na bok i Nell zobaczyła, że dotarła do bramy.

W tym miejscu kończył się labirynt.

– Gdzie jestem?

– W domu.

Odetchnąwszy, Nell przeszła przez próg i wkroczyła do najpiękniejszego ogrodu, jaki kiedykolwiek widziała.

Wreszcie urok rzucony przez podłą królową został zdjęty, a młoda kobieta, którą ludzka zawiść i okrucieństwo uwięziły w ciele ptaka, mogła uciec ze swego więzienia. Drzwiczki klatki stanęły otworem, a kukulka zaczęła spadać. Spadała tak aż do chwili, gdy rozwinęła zdrętwiałe skrzydła i stwierdziła, że potrafi latać. Czując na brzuchu morską bryzę, wzbiła się ponad klifem i wzleciała nad ocean. Po chwili leciała ku nowej nadziei, wolności i życiu. Ku swej drugiej połówce. Do domu.

Eliza Makepeace Lot kukulki

Od autorki

Uwielbiam pisać o rodzinach, a zwłaszcza o ich sekretach. Rodzina stanowi idealny mały teatr, w którym można przedstawiać wiele tematów, w tym te najważniejsze. Związki między członkami rodziny są tak bliskie i skomplikowane, że nigdy nie da się ich zerwać całkowicie. Co jakiś czas ktoś z czytelników mówi mi, z nutą pewnego rozczarowania, że w jego rodzinie nie ma tajemnic. Na co ja zawsze odpowiadam, że z pewnością są, tylko że oni jeszcze o tym nie wiedzą. Bo kiedy ludzie żyją ze sobą tak blisko, muszą być sekrety.

Zapomniany ogród to książka dla mnie szczególnie, bo zainspirował ją sekret mojej babci. Kiedy miała dwadzieścia jeden lat, ojciec wyjawiał jej, że nie jest jej biologicznym rodzicem. Babcia bardzo długo nikomu o tym nie mówiła; trzymała to w tajemnicy nawet przed przyjaciółmi i siostrami. Dopiero jako mocno starsza pani zdecydowała się powiedzieć o tym swoim trzem córkom.

Ta historia, kiedy wreszcie sama ją poznałam, bardzo mnie zaintrygowała. Była nie tylko zaskakująca sama w sobie. Do naszego drzewa genealogicznego wdarł się jakiś tajemniczy pradziadek – wówczas bardzo młody człowiek, młodszy niż ja, kiedy o nim usłyszałam – który zginął przedwcześnie na froncie pierwszej wojny światowej. Zdumiała mnie reakcja babci na to, że się o nim dowiedziała. Jej instynktowne trzymanie się oficjalnej wersji skłoniło mnie do zastanowienia się głębiej nad kwestią tożsamości, tej śliskiej, zmiennej istoty, na której opieramy się, idąc przez świat. To niesamowite, jak bardzo jest dla nas cenna, uważnie budowana i jak łatwo może się rozpaść na kawałki.

Nell to nie moja babcia i jej reakcja na szokującą wiadomość jest o wiele bardziej skrajna – tak jak można oczekiwać w świecie fikcji. Chciałabym jednak podziękować babci za to, że mnie zainspirowała, i za ziarno prawdy, z którego wyrósł *Zapomniany ogród*. Ogromne podziękowania składałam również pozostałym członkom mojej rodziny. Za ich niezawodną miłość i wsparcie, zwłaszcza kiedy spędzam tak wiele czasu z tworzonymi w wyobraźni rodzinami, które żyją na kartach moich książek. Jestem też niezmiernie wdzięczna Herbertowi i Ricie, którzy stali się dla mnie drogimi przyjaciółmi i mentorami, a ich dom i serca zawsze stały przede mną otworem, kiedy byłam dziewczynką. Odegrali ogromną rolę w moim życiu. Jeszcze nie napisałam książki, w której by się nie pojawiali.

Za pomoc w zbieraniu materiałów – związanych z archeologią, entomologią i medycyną – jestem bardzo wdzięczna doktorowi Walterowi Woodowi, doktor Natalie Franklin, Katharine Parkes, a szczególnie doktor Sally Wilde. Podziękowania również dla Joyce Morton za sprawdzenie konkretnych szczegółów historycznych.

Na koniec kłaniam się nisko autorom, którzy pisują dla dzieci. Dzięki nim bardzo wcześnie odkryłam, że za czarnymi znaczkami na białych kartkach kryje się fascynujący świat, w którym dzieją się rzeczy niebywale straszne i cudowne, i można się nim cieszyć, co jest jednym z największych darów w życiu. Jestem ogromnie wdzięczna tym pisarzom za to, że rozpalili moją dziecięcą wyobraźnię i zaszczepili mi miłość do książek i czytania, która od tamtej pory mi towarzyszy. *Zapomniany ogród* jest po części odą ku czci tych autorów.